

SEKRETNY POKÓJ w Auschwitz

STEVE MATTHEWS

LUKSUS W NAZISTOWSKIM PIEKLE
Powieść inspirowana faktami

BUKOWY LAS

STEVE MATTHEWS

SEKRETNY POKÓJ
Auschwitz

Przełożyła
Beata Hrycak-Domke

BUKOWY  LAS

Spis treści

- Część 1. Anna i Stella
- Część 2. Zabić i pojmać
- Część 3. Klub komendanta
- Część 4. Polski ruch oporu
- Część 5. Obóz śmierci
- Część 6. Powstanie
- Część 7. Wyzwolenie
- Część 8. Oczami Ani
- Od autora

TYTUŁ ORYGINAŁU: *Hitler's Brothel*

Copyright © 2020 Steve Matthews

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie.

Copyright © for the Polish edition and translation by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-8074-450-9

PROJEKT OKŁADKI: Magdalena Zawadzka

FOTOGRAFIE NA OKŁADCE: © Collaboration JS / Arcangel,

© Natasza Fiedotjew / Trevillion Images, © Bastian Kienitz / Shutterstock

REDAKCJA: Sonia Miniewicz

KOREKTA: Agnieszka Madyńska

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

bukowylas.pl

Wrocław 2022

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie Zecer

*Pamięci Martyn Isbell
(1955–2016)*

CZĘŚĆ 1

Anna i Stella

1

7 lutego 2000
Paterson, New Jersey, USA

Kiedy to się stało, Stella Lombardo miała pięćdziesiąt dziewięć lat. Już nigdy nie wróci do pracy, już nigdy się nie otrząśnie i zawsze będzie zadawała sobie oraz Bogu pytania, dlaczego taka okropność w ogóle się wydarzyła i czy mogła temu w jakikolwiek sposób zapobiec.

Tego samego dnia po południu pod drzwiami jej domu zebrał się tłumek reporterów. Powiedziała im, że „w życiu nie widziała czegoś podobnego”, a później głupio się poczuła, bo to oczywiste, że nie widziała – kto widział? Pytano ją, jak dobrze zna tamtą kobietę, a ona, chowając twarz w dłoniach, odparła:

– Jak dobrze? Jest dla mnie jak siostra. Jak siostra!

Stella i Anna pracowały razem w domu opieki Paterson Manor w New Jersey przez ponad czterdzieści lat – w sumie tak długo, jak długo były sąsiadkami. Stella powie później reporterom, że Anna i jej mąż Leo wpadli do niej poprzedniego wieczoru, szóstego lutego, by wspólnie świętować z nią rocznicę ślubu.

Mąż Stelli, Joe, też bardzo lubił Annę i gdy dziennikarze rozmawiali w drzwiach z jego żoną, pojawił się w tle, prosto spod prysznic, świeżo ogolony, w spodniach, które nosił do pracy, i nieskazitelnie białym podkoszulku. Jeden z reporterów zapytał głośno, co o tym wszystkim myśli pan Lombardo, a on odpowiedział:

– Słuchajcie, coś wam powiem. Powiem wam to: zawsze była dobrą sąsiadką, dobrą pracownicą i dobrą kobietą.



– To nie są srebrne, złote ani brylantowe gody, to tak zwana plastikowa rocznica – powiedział Joe podczas swojej krótkiej mowy na wczorajszym przyjęciu.

Wyjął tandetny pierścionek z czerwonym oczkiem – kupiony w lokalnym dyskoncie Five and Dime w dziale dziecięcych strojów karnawałowych – i wsunął go Stelli na palec. Wszyscy uznali to za przedni żart, ale Stella wiedziała, że nic prócz tej dziecięcej błyskotki nie dostanie. Joe niechętnie sięgał do portfela, a już zwłaszcza gdy chodziło o wydawanie pieniędzy na nią. Zakończył swoją przemowę, odwracając się do Stelli ze słowami, że przede wszystkim – poza byciem wspaniałą matką i troskliwą żoną – jest jego najlepszą przyjaciółką. Wszyscy wzdychali i kiwali głowami, kilka kobiet nawet ścisnęło czule dłonie swoich mężów. Wszyscy prócz Stelli. Gdyby ktoś nie znał jej wystarczająco dobrze, toby jej wybaczył, sądząc, że nie dosłyszała wszystkiego, co powiedział Joe. Ona jednak słyszała, a prawda była taka, że nie uważała męża za swojego najlepszego przyjaciela.

Najlepszą przyjaciółką Stelli była Anna, od zawsze, od początku. A Joe? Był ojcem i żywicielem rodziny, nikim więcej. Zdaniem Stelli tylko kobiety wiedzą, czym jest prawdziwa przyjaźń. *Nie można być jednocześnie rodzicem i przyjacielem własnych dzieci, tak jak nie sposób być mężem i przyjacielem własnej żony.*

Przez lata zwierzała się Annie z rzeczy, o których nigdy nie powiedziałaby Joemu. Nie tylko z tych poufnych, dzieliła się z nią także plotkami na temat ich rodzin, opowiadała o sprawach, które wywołałyby wielkie niezadowolenie Joego, gdyby znał prawdziwe odczucia żony.

Stella często się skarżyła, że mąż nieustannie wytyka jej błędy.

– Nie potrafi się powstrzymać od komentarza, zanim powie mi, jak coś naprawić. Nie potrzebuję jego opinii ani rozwiązań; gdybym potrzebowała, tobym o nie poprosiła, prawda?

Anna zawsze wysłuchiwała żali przyjaciółki i taką samą gotowość miała w sobie Stella. Kiedy tylko Anna chciała się wygadać, Stella była pod ręką. A zapotrzebowanie okazało się spore, ponieważ Leo, mąż Anny, był równie do niczego jak Joe!

Stella nie miała najłatwiejszego życia, ale to i tak nic w porównaniu z Anną. Opowieści o wojennych losach przyjaciółki nieodmiennie budziły w niej przerażenie oraz wdzięczność, że ona sama nie musiała nigdy znosić takich potworności. Anna widziała i robiła rzeczy, które większości ludzi nie mieściły się w głowie, a Stella wiedziała, że najgorszego z pewnością jeszcze nie usłyszała – Anna nigdy nie ujawniała wszystkiego.

Kobiety często żartowały, że lokalny ksiądz jest zbędny, ponieważ żadna z nich nie potrzebowała ani jego, ani konfesjonału – miały siebie nawzajem i na tym

polegała prawdziwa przyjaźń.



Anna i Leo nie doczekali się potomka i kiedy dzieci Stelli były małe, Anna pożyczala je z wielką radością. Jeśli podczas szkolnych ferii nie zabierała ich do kina, zwykle spędzali czas na plaży. Uwielbiała je rozpieszczać, twierdziła bowiem, że nie ma na kogo wydawać pieniędzy – Leo się nie liczył.

W gruncie rzeczy stała się dla latorośli Stelli drugą mamą i nic nie cieszyło jej bardziej niż wprawianie ich w zakłopotanie. Z upodobaniem tańczyła do muzyki puszczonej w galeriach handlowych albo przebierała się i chodziła z nimi w Halloween od domu do domu zbierać słodczyce. Choć mieszkali dosłownie drzwi w drzwi, dzieci nocowały czasem u cioci Anny, wypożyczały filmy Disneya na wideo, zajadały się popcornem i czytały straszne książki przy latarce. Od czasu do czasu Anna pomagała im w lekcjach, a gdy w wieku czterech i pół roku Joe junior zaczął przejawiać zainteresowanie liczbami, to właśnie Anna kibicowała mu najbardziej. Bardzo szybko nauczył się rozpoznawać cyfry cztery i trzy, a także siedem, dziewięć i osiem – Anna chichotała i skarżyła się, że ją łaskocze, gdy wodził małymi paluszkami po tatuażu na jej lewym przedramieniu.

Gdy dzieci Stelli weszły w trudny wiek nastoletni, zwracały się po radę do cioci Anny i to ona kazała im wracać do domu i przeproszać mamę za sposób, w jaki się do niej odnosili. Anna miała w sobie tyle mądrości i zdrowego rozsądku, że to, co wydarzyło się w domu opieki dzień po przyjęciu rocznicowym u Stelli i Joego, wydawało się tym bardziej niezrozumiałe.



Nie ulegało wątpliwości, że jak na swój wiek Anna wciąż była niezwykle atrakcyjną kobietą. Metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, srebrzyste włosy średniej długości, niegdyś czarne i lśniące, figura, która nadal nosiła znamiona dawnej świetności. Zaokrągliła się nieco tu i ówdzie, jak to się zwykle dzieje z wiekiem, lecz sylwetka klepsydry i zmysłowe krągłości nadal rzucały się w oczy. Zachowała idealne proporcje, była tylko odrobinę pełniejsza. Pomimo długich godzin w ogrodzie pod palącym letnim słońcem New Jersey miała nieskazitelną cerę, zmarszczki na twarzy uwidaczały się tylko przy uśmiechu. Nic dziwnego, że gdy wkładała kostium kąpielowy, przyciągała spojrzenia, nie znosiła jednak komentarzy i wlepionych w nią męskich oczu na plaży albo basenie. Pewna

kobieta powiedziała kiedyś, że oddałaby lewe ramię, by mężczyźni patrzyli na nią tak, jak patrzą na Annę.

– Ty to masz szczęście!

Anna smutno się uśmiechała.

– Ja? Szczęście? Gdybyś tylko wiedziała...

Wydawało się, że jednym z nielicznych ustępstw Anny wobec starzenia się było noszenie soczewek kontaktowych. Co dziwne, jedna była brązowa, druga przezroczysta. Oczywiście soczewki bardzo poprawiały jej wzrok, lecz prawdziwym powodem, dla którego postanowiła je nosić, była chęć ukrycia się za nimi – zerkając co rano w lustro, nie chciała widzieć swojego prawdziwego ja. Zdarzały się jednak chwile, gdy maska opadała, oczy z niewiadomych przyczyn traciły blask, kąciki ust wyginały się w podkowę. Działo się tak zwykle wtedy, gdy coś uruchomiło odległe wspomnienia z czasów, gdy życie wyglądało całkowicie inaczej.

Anna Braniewska miała swoje tajemnice.



Mały domek zamieszkiwany przez Annę i Leo był dość ascetyczny i nieskazatelnie czysty, ale gdyby Anna nie kosiła trawy i nie myła okien, wątpliwe, czy kiedykolwiek zostałyby to zrobione.

Umeblowanie było skromne, ponieważ Leo uważał, że meble nie są czymś istotnym. Te, z którymi się tam wprowadzili, służyły dopóty, dopóki się nie rozpadły, a i wtedy Leo stawał na głowie, by je naprawić, zamiast wydawać pieniądze na nowe.

Wazon był tylko jeden, ustawiony zawsze na środku kuchennego stołu, zwykle wypełniony różami z ogrodu Anny. Parapety i półki lśniły nienaganną czystością, nie zagracały ich typowe domowe bibeloty – nie uświadczyło się tam lalek, imbryczków ani malowanych talerzy, żadne zbędne przedmioty nie zbierały kurzu.

Rzeczy nieużywane na co dzień chowano, usuwano z widoku. W kuchennej szufladzie leżały na przykład tylko dwa noże, dwa widelce i dwie łyżki. W kredensie dwa kubki stały obok dwóch talerzy obiadowych i deserowych miseczek. Gdy potrzebne były dodatkowe sztuce albo naczynia stołowe, wyjmowano je z plastikowych pojemników ustawionych jeden na drugim pod zlewem.

Wnętrze było pozbawione niepotrzebnych mebli, podłóg nie zaścielały żadne dywany czy chodniki, na ścianach nie wisały reprodukcje, fotografie ani obrazy. Jedyne wyjątkiem znajdował się w kuchni (saloniku, jak nazywała ją Anna): oprawiona w ramki fotografia nad małym laminowanym kredensem.

Przedstawiała Stellę z dziećmi stojącą obok Anny na Coney Island. Wszyscy mrużą oczy przed oślepiającym słońcem, dzieciom ściekają po brodach roztopione lody, Stella i Anna mają na głowach kolorowe kapelusze, uśmiechają się jak szczęśliwe turystki. Na odwrocie zdjęcia odręczny podpis Anny: *Ja i moja rodzina, lato 1992.*

Dzieci Stelli zawsze ciekawiła przeszłość Anny. Zadały kiedyś pytanie, dlaczego w jej domu nie ma innych zdjęć. Chciały wiedzieć, jak Anna wyglądała w dzieciństwie, kiedy była w ich wieku. Odpowiedziała im, że z powodu wojny nie miała dzieciństwa – jej życie zaczęło się dopiero w dniu, gdy przyjechała do Ameryki jako uchodźczyni, po zakończeniu działań wojennych.

– I dlatego nie masz w domu żadnych zdjęć ani rzeczy, ciociu Anno? Z powodu wojny?

Joe junior zawsze był dzieckiem, które nie wstydzi się pytać i wyrażać własnych opinii.

Anna głęboko westchnęła, odrzuciła pierwszą myśl, by zbyć to pytanie, posadziła dociekliwego chłopca przed sobą i wzięła go za ręce. Wyjaśniła, że podczas wojny mieszkała w Europie, a kiedy wojna się skończyła, pozostały tylko ruiny. *Całe miasta i miasteczka zostały obrócone w gruzy. W niektórych miejscach nie zostało się kompletnie nic, ani jeden budynek.*

– Po wojnie większość ludzi nie miała do czego wracać. Nie było pracy, wiele osób nie miało nawet domu.

– Jak to? Tak wcale?

– Tak. Ani wychodka, ani budy dla psa.

Chłopiec skrzywił się, próbując pojąć potworność tego wszystkiego. Otworzył usta, chcąc zadać kolejne pytanie, lecz tym razem zabrakło mu słów. Anna ciągnęła:

– Trudno to sobie wyobrazić, Joey, ale po wojnie niektórzy ludzie nie mieli nic prócz tego, co na sobie. Wszystko zostało zniszczone.

W kąciku prawego oka Anny wezbrała łza i spłynęła po policzku. Chłopiec wyciągnął rękę, by ją otrzeć, a wtedy Anna chwyciła jego drobne dłonie i wyszeptwała:

– Niektórzy z nas stracili w tej wojnie wszystko, Joey.

Stella i Anna rzadko się ze sobą nie zgadzały, ale jeden temat był nieustannym przedmiotem dyskusji: który kraj wydał najbardziej leniwych mężczyzn, Włochy czy Polska? Uzgodniły, że pojedynek jest wyrównany, ponieważ obie mają za mężów beznadziejnych wałkoni!

Joe działał w branży budowlanej, Leo znalazł swoje powołanie za kierownicą taksówki, obaj starali się pracować na czarno, kiedy tylko się dało. Leo trzymał pieniądze w kuchni, w starej puszcze po herbacie, Joe chował swoje w szufladzie ze skarpetami („Absolutnie ostatnie miejsce, do którego zajrzałyby włamywacz, daję słowo, wiem coś o tym!”). Obu panów łączyła jeszcze jedna wspólna cecha: upodobanie do tradycyjnego samogonu. Grappa Joego miała wielkie wzięcie i była powszechnie ceniona, Leo pędził bimber z ziemniaków, które Anna uprawiała w ogródku warzywnym za domem. Ponoć według rodzinnej receptury, ponadstuletniej, lecz zdaniem Anny „i tak smakuje jak płyn do udrażniania rur”.

Jeszcze jedna rzecz przypominała Leo ojczyznę: wędzarnia za domem. Wychowując się w przedwojennej Polsce, widział czasem, jak ojciec idzie na targ, kupuje małego świniaka, a potem zarzyna go i wędzi. Przez lata Leo udoskonaliał własną technikę, przerzucając się na wędzenie ryb. Na specjalne okazje wstawał o świcie, ruszał na targ rybny Fulton w Bronksie, kupował najlepszego łososia i po mistrzowsku preparował go na podwórku za domem. Ryby Leo słynęły na całą okolicę, zdarzało się nawet, że ludzie byli gotowi pić jego ohydną wódkę, byle mieć dostęp do wybornej ryby.

Choć Leo uparcie podtrzymywał tradycje wiążące go z ojczystym krajem, jakoś dziwnie uwierało go to dziedzictwo i na pewnym etapie rozważał nawet zmianę nazwiska. Niemal się obrażał, gdy Joe nazywał go amerykańskim Polakiem.

– Jestem Amerykaninem, na litość boską. Nie różnię się od kowboja z westernu, takiego Johna Wayne’a!

– Miano Polaka nie jest zniewagą, przyjacielu. Hej, szkoda, że nie słyszałeś, jak nazywają u mnie w pracy Anglików. Brytolskie dranie! No ale – teatralnie zawiesił głos – większość z nich to prawdziwe dranie... – A potem parsknął śmiechem. – Daj sobie spokój, chłopie. Co jest z tobą, kurwa? Można by pomyśleć, że wstydzisz się swojej polskości!

Stella i Joe przyjechali do Ameryki przed wojną. Ich rodzice bez grosza przy duszy pracowali, gdzie popadnie, nawet w ogródkach sąsiadów, w których uprawiali warzywa i sprzedawali je później przy drodze. Poznali się typowymi w owych czasach kanałami – przedstawili ich sobie przyjaciele włoskich przyjaciół, których rodzina знаła ich włoskich przyjaciół i włoskie rodziny przyjaciół.

Wiele lat później Stella i Joe wydawali przyjęcie z okazji rocznicy ślubu w małym ogródku ich własnego domu w Paterson w stanie New Jersey. Joe poszedł na całość, przygotowując jubileuszową imprezę, w przeddzień pomalował nawet beton świeżą warstwą zielonej farby. Gdy tylko skończył, znikąd pojawił się bezdomny kot, przeskoczył ogrodzenie z tyłu i przebiegł po świeżej farbie. Pomimo protestów Joego Stella uparła się, by pozostawić odciski łap dla upamiętnienia tej okazji.

Pogoda w dniu przyjęcia była wyjątkowo łagodna jak na tę porę roku, wszyscy zebrali się więc na werandzie za domem, co pozwoliło zaoszczędzić na prądzie, ponieważ ku niezmiernemu zadowoleniu Joego nie trzeba było włączać klimatyzacji. Stella pichciła w kuchni od tygodnia, a mimo to martwiła się, czy nie zabraknie jedzenia. Na szczęście, jak nakazywała tradycja, każdy przyszedł z półmiskiem.

Oczywiście zjawily się też dzieci Stelli i Joego ze swoimi partnerami. Anna przyniosła jakieś faszerowane liście kapusty, ale większość osób tylko je skubnęła, gdyż Włosi nie jadają polskich potraw. Leo przyszedł z foliowym zawiniątkiem oraz dwiema flaszkami swojej ohydnej wódki z ziemniaków. Joe otworzył butelki, ponieważ Włosi piją darmowy alkohol.

Po pierwszym kieliszku Joe oznajmił:

– Nic dziwnego, że wy, Polacy, wyglądacie na takich skwaszonych, skoro jecie te mdłe gołąbki i pijecie siuski wielbłąda!

Wszyscy się roześmiali, tręcili kieliszkami, ale szerokie uśmiechy błyskawicznie zamieniły się w grymas, gdy paskudny bimber Leo wlał się w niczego niepodważające włoskie gardła.

Leo udał, że uraziły go komentarze na temat trunku, i urządził przedstawienie z wychodzeniem z przyjęcia.

– Idę sobie i zabieram swoje jedzenie, przynajmniej docenią mnie we własnym domu!

Machnął Joemu pod nosem foliowym zawiniątkiem.

– Co tam masz? Mam nadzieję, że nie kapustę?

– A skąd, w każdym razie nic, co by cię zainteresowało. Tylko kilka pstrągów kupionych wczoraj w Bronksie. Uwędziłem je przez noc!

CMoknął czubki kciuka i palca wskazującego na znak, że palce lizać.

Joe natychmiast zmienił ton.

– Leo! Leo, przyjacielu, błagam, nie zabieraj swoich pstrągów. Proszę! Ty sam możesz się stąd zmyć razem ze swoją wódką, żaloszny polski jebańcu, ale zostaw nam te wspaniałe ryby! Leo, proszę. Błagam cię!

Otoczył barki Leo wielkim włochatym łapskiem i zaprowadził go do kuchni. Obaj szczerzyli zęby, a reszta miała ubaw.

Przyjęcie udało się wspaniale, a o siódmej Joe zaczął domagać się tańca młodej pary.

– Z moją żoneczką, jak na naszym weselu.

Uśmiechnięci małżonkowie sunęli po werandzie do piosenki Deana Martina *That's Amore*. Goście śpiewali, kołysząc się do muzyki, Joe coraz mocniej przytulał swoją pannę młodą. Stellę wzruszyła ta chwila, choć na krótko, ponieważ przeniosła ją do odległego dnia ślubu, dźwięków akordeonu, śmiechów i słońca w ogrodzie rodziców. Prócz tańca zapamiętała, jak musiała całować swojego świeżo upieczonego męża za każdym razem, gdy ktoś stuknął nożem o talerz – albo pocałunek, albo wychylenie kieliszka, który dziwnym trafem ciągle był pełny! Cóż to było za wesele... tak wiele lat temu.

Takie magiczne chwile jak ta z dnia ich zaślubin dawno przeminęły, zastąpiły je szara codzienność i nuda długiego, monotonnego, ale za to wiernego związku. To, że Joe chciał zatańczyć na ich rocznicowym przyjęciu, było miłą niespodzianką i Stella raz jeszcze poczuła sprężystość jego kroku, gdy tuląc ją w tańcu, nieoczekiwanie położył dłoń na jej pośladkach.

– Hej, Giuseppe Lombardo, jeśli liczysz na seks tej nocy, lepiej dobrze się zastanów! – krzyknęła ku ucieście wszystkich. Nawet dzieci się śmiały. Mama i tata byli tacy uroczy, kiedy się wstawili.

Po kilku kolejnych kieliszkach przyciszono muzykę i powrócono do pogawędek. Potem zaczęto namawiać Annę, by wykonała swój popisowy numer, słynną historię „ostralijską”. Zgodziła się, acz niechętnie.

– Macie trzy miejsca do wyboru. Ameryka, Australia albo Kanada. Co wybieracie?

Brytyjski urzędnik, który zwrócił się do niej z tym pytaniem w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, bardzo się spieszył. Kolejka była długa i wydawało się, że większość ludzi, którzy przeżyli wojnę, chce wyjechać z Polski, zanim brutalni Rosjanie przejmą pełną kontrolę.

Krążyła pogłoska, że małżeństwom przyznawane jest pierwszeństwo w migracji, więc Leo i Anna dołączyli do kolejki tuż po tym, jak Leo się jej przedstawił. Oczywiście nie dysponowali żadnym aktem ślubu, ale nie było to niczym wyjątkowym w spustoszonej wojną Polsce. Dość łatwo dało się przekonać

urzędnika, że są mężem i żoną, ponieważ bardziej interesowało go skrócenie kolejki niż oficjalne potwierdzanie wszystkiego, co mu powiedziano.

Leo wydał się Annie dość sympatycznym człowiekiem. Jemu z kolei spotkanie jej było bardzo na rękę, nie mówiąc już o tym, że przedstawiała miły dla oka widok. Wiedział o jej związkach z Niemcami i nie bardzo mu to pasowało. Uważał jednak, że razem mają większe szanse na rozpoczęcie nowego życia w miejscu, gdzie komunizm jest jedynie hasłem w słowniku.

– Według alfabetu – powiedziała Anna do brytyjskiego urzędnika. – Idźmy według alfabetu.

– W porządku. Zrobione. W ciągu trzech tygodni znajdziecie się w drodze do Australii, państwo Braniewscy. A teraz proszę dołączyć do tamtej kolejki i podać urzędnikowi ten dokument, gdy was wywoła.

Przybił stempel na zadrukowanej jednostronnie kartce papieru, na dole złożył swój podpis i wyciągnął do nich rękę z papierem. Anna i Leo nie ruszyli się z miejsca.

– Tam. Tamten stolik! – Poirytowany oficer ruchem głowy wskazał im kierunek, lecz Anna i Leo jakby wrosli w ziemię. – Co jest? Coś nie w porządku? Rozumiecie angielski, prawda?

Anna była zła.

– Ostralia? Żadna Ostralia. Powiedziałam: według alfabetu. Ameryka jest na pierwszym miejscu!

– Proszę pani, pozwoli pani, że wyjaśnię zasady angielszczyzny. Stany Zjednoczone Ameryki figurują w słowniku za Australią. W naszym języku litera „S” zawsze znajdowała się za literą „A”, choć w polskim może być inaczej i niewiele mnie to obchodzi. Proszę stąd odejść i dołączyć do tamtej kolejki!

Pstryknął palcami w dokument, a Anna wyrwała mu go z ręki, mamrocząc na odchodne: „Ostralia? Jaka, kurwa, Ostralia?”. Wszystko wskazywało na to, że całkiem dobrze opanowała niektóre słowa standardowej angielszczyzny.

Anna klęła wyłącznie przy opowiadaniu ostralijskiej historii i za każdym razem się rumieniła. Ponieważ jednak opowieść nie brzmiała tak samo bez słowa na „k”, na prośbę Stelli zdecydowała się je zachować. Gdy tamtego wieczoru raczyła wszystkich anegdotą, która wzbudziła śmiech i spontaniczne oklaski, Stella widziała, że jej najlepsza przyjaciółka jest myślami gdzie indziej. Przez cały tydzień Anna była w pracy jakaś nieobecna, Stella zaś tkwiła w przekonaniu, że przyjaciółka jej unika. Dlaczego?

Opowieść o Ostralii jeszcze się nie skończyła, lecz ktoś zdołał przekrzyczeć gwar.

– Zaraz, zaraz. Mówisz, że wysłano was do Australii, więc jakim cudem wylądowaliście tutaj, w Stanach?

Anna kontynuowała opowieść.

– Myśleliśmy, że jesteśmy skazani na Australię, ale kiedy przybyliśmy do portu, przy nabrzeżu stały dwa statki, a tysiące ludzi próbowały się dostać na pokład. Wybadaliśmy, który statek dokąd płynie, wemknęliśmy się po trapie i wyczekiwaliśmy na odpowiedni moment, by przecisnąć się obok urzędników i wmieszać w tłum na pokładzie. Nim zdążyliśmy się obejrzeć, byliśmy w drodze do Ameryki! W każdej kabinie znajdowało się sześć koi, wkrótce ludzie zaczęli zajmować je parami, żeby przytulać się do siebie nocą, skorzystaliśmy więc z wolnego miejsca. Kilka tygodni później staliśmy w kolejce na Ellis Island.

– Przecież musieli sprawdzać wam dokumenty po przyjeździe?

– Oczywiście. Ale był koniec wojny i tłumy uchodźców do skontrolowania. Przybyły nas tam tysiące! Przez kilka tygodni tłoczyliśmy się na statku, gdzie brakowało sanitariatów, potem staliśmy ramię przy ramieniu w hali przyjęć na Ellis Island. Tyle ludzi, zrobiło się okropnie gorąco, smród trudny do zniesienia, mówię wam. Odkryli, że Leo i ja mamy niewłaściwe dokumenty, ale zauważyli też, że przyjechaliśmy z obozu koncentracyjnego. Strugaliśmy wariata, udawaliśmy, że to musi być jakaś pomyłka. Z początku zamierzali odesłać nas z powrotem do Polski, ale ja wybuchnęłam płaczem, Leo zaczął ciskać gromy na Niemców i pokrzykiwać, że gdyby nie zaangażowanie Amerykanów, nigdy by nie skapitulowali. „Boże, błogosław Amerykę!” A potem ze szczerą łzą w oku zaczął mówić o demokracji. Oczywiście wtedy żadne z nas nie wiedziało zbyt wiele o Stanach Zjednoczonych, ale Leo słyszał o prezydencie Lincolnie, nowojorskich Jankesach, Myszce Miki i hot dogach, więc wymienił to wszystko jednym tchem w bardzo emocjonalnej przemowie. Ja płakałam, Leo płakał, wokół rejwach, zamieszanie i wrzawa. Wszyscy się dołączyli. „Wpuśćcie ich, na miłość boską, dość już przeszli”. Podniósł się taki jazgot, że celnicy się poddali. W przeciwnym razie powstałby jeszcze większy chaos. Ktoś uścisnął nam dłonie i powiedział: „Witajcie w Stanach Zjednoczonych Ameryki”, a potem podstemplował dokumenty. I po sprawie!



O jedenastej, kiedy wszyscy się już rozeszli, Stella zastała Annę samą w kuchni. Zmywała naczynia z zamyślonym, nieobecny wyrazem twarzy. Stella uznała, że oto nadarza się okazja, by zapytać, dlaczego tak dziwnie się ostatnio zachowuje, jednak gdy tylko zaczęły rozmawiać, wtoczył się Joe i nie ulegało wątpliwości, że nadal jest w sentymentalnym nastroju. Zakradł się za jej plecami, chwycił ją w pasie, a potem wycisnął na szyi żony ckiwy pocałunek.

Pół godziny później, nadal objęci, pożegnali się z Anną. Joe musiał praktycznie wypchnąć ją za drzwi i choć Stella martwiła się o przyjaciółkę, on nie zamierzał na ten temat dyskutować. Mogą sobie porozmawiać następnego dnia. A teraz trzeba się zająć pewnymi męskimi sprawami.

Jeszcze drzwi się dobrze nie zamknęły, a Joe już prowadził żonę do sypialni. Stella nie miała innego wyboru, jak ulec, zgodziła się więc odłożyć resztę porządków do rana i pójść do łóżka z adorującym ją pijanym mężem. Zanim się rozebrała i wśliznęła do pościeli, Joe już prawie spał. Puścił bąka, mruknął: „To ty?” i zasnął na dobre, nie doczekawszy się odpowiedzi – chrapał jak stary borsuk z przyklejonym do twarzy uśmiechem samozadowolenia. Wieczór był wspianiały, przyjęcie niezapomniane, ale wszystko to miało zblednąć przy wydarzeniach następnego dnia.

4

Anna musiała odejść na emeryturę z domu opieki Paterson Manor, osiągnąwszy piękny wiek siedemdziesięciu lat. Lecz wkrótce potem poproszono ją o powrót, kierownictwo w swojej mądrości postanowiło bowiem zorganizować obwoźną bibliotekę. Do jej obsługi potrzebowano godnych zaufania wolontariuszy, a tylko jedna osoba spełniała te oczekiwania. To zajęcie ocaliło Annie życie, tak przynajmniej utrzymywała, ponieważ nie zniosłaby ciągłej obecności Leo. Nadal jeździł taksówką, ale robił tylko krótkie kursy parę dni w tygodniu, więc zazwyczaj plątał się jej w domu pod nogami. Anna twierdziła, że po dwóch tygodniach miała niemal myśli samobójcze, dlatego telefon w sprawie obwoźnej biblioteki okazał się prawdziwym darem losu.

Anna miała wrażenie, że tylko wyjechała na wakacje. Zapach środków dezynfekcyjnych w korytarzach, brak klimatyzacji latem oraz przenikliwa wilgoć szarego kamiennego budynku zimą – wszystko to kochała. Choć nie było jej tam zaledwie kilka tygodni, bez niej Skrzydło Wolności bezsprzecznie nie wyglądało tak samo. „Element wyposażenia”, tak opisała ją kierowniczką zmiany w mowie pożegnalnej. „Zawsze trzeba dbać o wysoką jakość wyposażenia” – oto, co powiedziała kilka tygodni później, gdy Anna wróciła.



– O nie! Znowu! Kto nie zamknął tej cholernej szatni?

Po tym okrzyku nastąpił kolejny:

– Jezu Święty, Chryste Panie, tym razem ta stara małpa przesadziła!

Stella ruszyła w kierunku głosu i stanęła w progu jak wryta. Sharron Ward, jedna z pomocnic, trzymała w dwóch palcach jaskrawoczerwoną torebkę, odsuwając ją od siebie na długość ramienia. Wykrzywiła z obrzydzeniem twarz, gdy z dolnego rogu zaczęła wyciekać strużka jakiegoś paskudztwa.

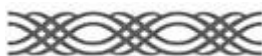
Drzwiczki kilku szafek były otwarte (nietypowo, ponieważ wszystkie powinny zostać zamknięte na klucz), a uroczą wiekową Joan Nevin, pensjonariuszka z pokoju numer trzy, siedziała przy stole w koszuli nocnej i miała zdecydowanie podejrzaną minę.

Podczas indagacji nikt nie przyznał się do pozostawienia szatni personelu otwartej. Typowe zachowanie pracowników Paterson Manor – gdy coś poszło źle, nikt nie chciał brać na siebie odpowiedzialności.

– Płacą mi za sprzątanie, nie za myślenie – burknęła zapytana o ten incydent jamajska sprzątaczką. – Zresztą kto obnosi się w takim miejscu z taką torebką? To nie pokaz mody.

Sprzątaczką miała oczywiście rację, ale Sharron Ward lubiła, gdy cały świat wiedział, że ma pieniądze – po byłym mężu. Twierdziła, że nie ma potrzeby pracować, „ale kobieta musi przecież robić coś pożytecznego ze swoim wolnym czasem, prawda?”. Pensja zapewniała jej pieniądze na drobne przyjemności, a częste podróże do Vegas oraz stary, przekrzywiony na bok cadillac, którym przyjeżdżała codziennie na parking, dowodziły, że kiedyś miała pewnie masę forsy. Problem polegał na tym, że obecnie chyba kończyły się jej zasoby, ale nie miała ochoty się do tego przyznawać.

Sharron często wspominała o swojej nieruchomości w modnym kwartale Tribeca – twierdziła, że to część ugody rozwodowej – a mieszkanie nad czyimś garażem w Jersey wynajmowała tylko tymczasowo. W jej lofcie trwa remont, ale wkrótce się do niego wprowadzi. Tak przynajmniej mówiła dwa lata temu i zdaniem wszystkich osób w pracy musi to być jakiś cholernie gigantyczny remont! Sharron przechadzała się po korytarzach i częściach wspólnych budynku z tak arogancką miną i zadartym nosem, jakby to miejsce było jej własnością. Kruczoczarne włosy (ani chybi peruka), mocno upudrowana twarz, oczy jak paciorki i ściągnięte w dzióbek usta, które nasuwały skojarzenie z uszmińkowanym na czerwono psim odbytem.



Od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku dom opieki Paterson Manor miał nowych właścicieli. Obiecywali przeprowadzić remont i pozbyć się

okropnej, łuszczącej się, bladozielonej farby, którą pomalowano ściany w czasie powstania budynku, w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku. Większość podłóg przykrywało popękane szare linoleum, nieustannie naprawiane od lat, trudno było znaleźć łazienkę bez wilgoci lub pleśni przynajmniej w jednym z narożników sufitu. Nowi właściciele wprowadzili statut oraz tak zwane założenia misji placówki, oba dokumenty starannie oprawili w ramy i wywiesili w holu recepcji, gdzie wszyscy je ignorowali.

Większość personelu wykonywała swoją pracę z wystarczającym szacunkiem i troską, niektórzy bardziej sumiennie niż inni. Sharron Ward miała skłonność do złośliwości i bywało, że pozwalała sobie na zbyt wiele wobec sędziwych pensjonariuszy zamieszkujących Skrzydło Wolności, ale jakoś zawsze uchodziło jej to płazem. Zdołała utrzymać się w pracy, ponieważ – jak często słusznie zauważała – „kto będzie robił coś takiego za niecałe piętnaście dolców na godzinę?”.

Do incydentu doszło niedawno, kiedy Sharron zmieniała Joan Nevin pampersa. Tuż po zdjęciu brudnej pieluchy pani Nevin zorientowała się, że nie do końca opróżniła pęcherz, a nie miała absolutnie żadnej kontroli nad tą funkcją fizjologiczną. W wyniku tego niefortunnego wypadku Sharron musiała się przebrać, a także zmienić pościel i koszulę nocną Joan. Zajmowanie się rzeczami wykraczającymi poza zakres tygodniowych obowiązków nie odpowiadało Sharron Ward, podobnie jak nie odpowiadał jej zapach moczu.

Słowa, jakie padły wówczas w pokoju numer trzy, z pewnością nie były wymienione w statucie placówki, a kiedy Anna przyszła sprawdzić, co wywołało całą awanturę, starsza pani siedziała zalana łzami. Później Anna odkryła kilka paskudnych siniaków na ramieniu Joan Nevin, które wedle Sharron Ward powstały wskutek nieporozumienia, kiedy „ta głupia starucha o mało nie upadła pod prysznicem”.

Kilka dni później pani Nevin najwyraźniej pomyliła szatnię personelu z toaletą, choć odpowiedź na pytanie, dlaczego postanowiła oddać mocz akurat do należącej do Sharron Ward nowiutkiej torebki firmy Coach z jaskrawoczerwonej skóry, pozostawała tajemnicą dla niektórych osób z Paterson Manor... lecz nie dla wszystkich.



– Słyszałem, co zrobiła, słyszałem! – Korytarzem niósł się rechot, a tyczkowaty mężczyzna na bocianich nogach wielkimi susami wparował do pokoju akurat w chwili, gdy Anna układała Joanie w łóżku. – Wspaniałe wiadomości! Nadawali przed chwilą w CNN! Znów byliśmy niegrzeczni, staruszko, co? Podobno

pierwszorędne trafienie, w sam środek tarczy za pierwszym razem! – Wydobył z siebie odgłos bomby spadającej z dużej wysokości.

Podczas pierwszego miesiąca pobytu Lesa Howella w Paterson Manor trzykrotnie przyłapano go w łóżku z trzema różnymi, bardzo zdezorientowanymi starszymi paniami. W kolejnym tygodniu zastano go w dość jednoznacznej pozycji z jeszcze inną pensjonariuszką, która wydawała się tym dużo mniej przejęta niż inne kobiety. Ostro sprzeciwiła się wypuszczeniu go z pokoju, póki „cholernie dobrze jej nie dogodzi” – były to jej słowa, nie jego, jak ujawniono w raporcie z incydentu, który czekał na opinię dochodzącego psychologa klinicznego. Pan Howell utrzymywał, że doszło do nieporozumienia i że on sam ma problemy z orientacją. W każdym razie absolutnie nie był w stanie „dogodzić” jakiegokolwiek kobiecie, choć przyznał, że chętnie by spróbował.

Większość pensjonariuszy domu opieki wywodziła się z klasy średniej, opłaty za pobyt były pokrywane z ich ograniczonych zasobów osobistych i uzupełniane przez hojne rodziny. Kilka dolarów miesięcznie to niewygórowana cena za pozbycie się irytujących starych przyków.

Ci najbardziej samotni spędzali czas na patrzeniu na ogród, odgrzebywaniu utraconych wspomnień i dawnych miłości, inni udawali, że czytają gazety albo rozwiązują krzyżówki, lecz i oni byli pogrążeni w przeszłości. Zdarzali się wśród nich karciarze i układacze puzzli, gaduły i plotkarze, spokojni i małomówni, którzy lubili kolorowanki i robótki na drutach, żywotne kobiety jak Joanie Nevin i niesforni, hałaśliwi mężczyźni jak Les Howell. Stanowili zróżnicowaną grupę, a Anna kochała ich wszystkich, podobnie jak oni ją. Zawsze znajdowała czas na pogawędkę albo pomoc w znalezieniu opuszczonego oczka czy zagubionego elementu układanki. Chętnie oglądała z nimi telenowełe i uwielbiała słuchać opowieści ze szczęśliwszych czasów. Nikt nie powiedziałby na nią złego słowa. Nikt, prócz nowego mieszkańca z pokoju dwadzieścia cztery, Pawła Michalika, który podawał się za Polaka.

5

Paweł Michalik przeżył ostatnie dwa lata drugiej wojny światowej, kiedy eksterminacja Żydów osiągnęła kulminację, w obozie koncentracyjnym. Był kimś w rodzaju bohatera, uwielbiał opowiadać o swoich wyczynach każdemu, kto chciał słuchać, choć jego schorowana publiczność nierzadko zasypiała, gdy głądził o trudnych doświadczeniach i niedoli tamtych strasznych lat.

Kiedy w ośrodku przycichło początkowe poruszenie wywołane obecnością bohatera wojennego, większość jego mieszkańców zaczęła omijać Polaka szerokim łukiem. Był człowiekiem trudnym, odrobinę zbyt wybuchowym i zarozumiałym jak na gust innych, w końcu zaczął więc przesiadywać w swoim pokoju, spędzając większość czasu w łóżku, gdzie w dalszym ciągu oddawał się przeszukiwaniu pamięci.

Czasem jednak podejmował wysiłek pojawienia się na obiedzie, ponieważ wiedział, że będzie miał tam mimowolnych słuchaczy. Drugim stałym towarzyszem Polaka – obok wybujałego ego – była srebrna piersiówka, tak zwany ożywiacz. Posiadanie alkoholu w niedozwolonym naczyniu było ściśle zabronione w Paterson Manor, ale Polak był przekonany, że personel nie ma pojęcia o sprytnie ukrywanym przez niego trunku. Mylił się – wiedzieli, lecz postanowili przymknąć oko. Kierowniczka zmiany zdecydowała się traktować Polaka trochę luźniej; nie dość, że był bohaterem wojennym, to w jego karcie wspomniano o możliwej demencji oraz początkach przedwczesnej utraty pamięci.

Polak był nowy w okolicach New Jersey, wcześniej zamieszkiwał z rodziną duży dom w ekskluzywnej części Florydy. Nie było jasne, jak ani dlaczego przybył do zawilgoconego, podupadłego domu opieki w Paterson, wzięwszy pod uwagę, że to właśnie Florydę uważano za amerykańską stolicę emerytów. Przypisywano to kwestiom finansowym i ludzie błędnie przypuszczali, że nie stać go już na dobre życie w Słonecznym Stanie.

Wkrótce po zjawieniu się Michalika w Paterson Manor kierownictwo puściło w obieg artykuł o jego doświadczeniach obozowych, wychodząc z założenia, że może on zainteresować pozostałych mieszkańców. Opatrzony fotografiami tekst ukazał się we „Florida Times” kilka miesięcy wcześniej pod skromnym nagłówkiem *Bohater z obozu koncentracyjnego*.

Polak twierdził, że po zatrzymaniu przez Niemców harował w fabryce, a w gazecie napisano, że jest polskim Żydem. Sharron Ward szybko zwróciła uwagę zainteresowanych, że zgodnie z dokumentacją medyczną Paweł Michalik nie został obrzezany. „Może miał niepraktykujących rodziców”, wywnioskowała.

Pomimo zaawansowanego wieku Michalik miał w sobie jakąś dystynkcję oraz autorytatywność i gdyby nie podupadające zdrowie, można by było powiedzieć, że trzymał się po wojskowemu.

Mówiąc, ledwie poruszał ustami, zmuszał tym samym słuchaczy do koncentracji, a to dawało mu poczucie ważności. Cerę miał poszarzałą, ziemistą, czasem przybierającą niemal trupi odcień, i gdy jakieś dziecko odwiedzało krewnego w Skrzydle Wolności, to albo gapiło się na Polaka z bezpiecznej odległości, albo uciekało przerażone – zwykle wybierało tę drugą opcję.

Anna unikała go jak ognia. Kiedy Stella zauważyła, że on zawsze siedzi zwrócony plecami do ściany, jakby ciągle obserwując, Anna zaczęła przyglądać mu się po kryjomu i przekonała się, że przyjaciółka ma rację. Towarzystwo Michalika niektórych wytrącało z równowagi.

Florydzka gazeta donosiła, że zdumiewająca historia Polaka zostanie przedstawiona w dwóch częściach, i rzeczywiście: w kolejnym numerze pojawił się znowu, z dokumentem, który rzekomo ocalał z tłącego się stosu akt niszczonych w pośpiechu przez niemieckich strażników przed wyzwoleniem. Polak utrzymywał, że zdobył go potajemnie. Nie tylko zawierał ziarniste zdjęcie jego udręczonej twarzy zrobione w dniu przyjazdu do obozu, lecz także wyszczególniał miasto pochodzenia, kolor włosów, skóry i tak dalej. W rubryce zawód z jakiegoś powodu wpisano „urzędnik”, a nie „robotnik fabryczny”. Na dokumencie przybito pieczętkę ze słowem „*Juden*” wypisanym złowroźnie wielkimi literami.

Wedle Ellen Randolph, niezależnej dziennikarki, autorki artykułu we „Florida Times”, Polak był więziony w Wiśnicy, jednym z pomocniczych obozów gigantycznego kompleksu Auschwitz-Birkenau. Wiśnica dostarczała drewno, wapno, żwir oraz, co istotniejsze, siłę roboczą. Badania potwierdziły, że nie różniła się istotnie od wielu innych ówczesnych obozów, była miejscem przeznaczonym do karania wrogów Rzeszy, intelektualistów, artystów, sporadycznie jeńców, Romów i homoseksualistów. Wraz z intensyfikacją działań wojennych i krystalizowaniem się hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania” Wiśnica potroiła swoje rozmiary, by pomóc w radzeniu sobie z ogromnym napływem europejskich Żydów. Stała się obozem zagłady, takim jak Auschwitz.

Paweł Michalik mówił, że przebywał tam w czasie, gdy do obozu zaczęły przybywać tysiące węgierskich Żydów. Chełpił się, że był zupełnie inny niż oni. O ile tamci szli na spotkanie swego losu „cicho i bezwolnie”, on przyjął samowolną rolę „agitatora”, by jak najbardziej krzyżować Niemcom szyki, a zarazem utrzymać się przy życiu.

Twierdził, że ukrywał się pośród hord przybyszów, robiąc uniki, lawirując i przemykając po terenie obozu, sypiając co noc w innym baraku, unikając apeli, gdy tylko się dało, robiąc wszystko, by ocalić życie. Biegle opanował sztukę nieprzebywania nigdy w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie, acz wiedział, że kiedyś wyczerpie mu się szczęście. „Niemcy mieli pełne ręce roboty”, zacytowano jego słowa. „Na końcu było po prostu za dużo więźniów. Na każdy tysiąc wysłany do komór gazowych następnego dnia przyjeżdżały dwa tysiące. Nietrudno było zgubić się w tym tłumie, jeśli miało się głowę na karku”.

Michalik opowiadał, że każdą godzinę poświęcał sabotowaniu wysiłków wroga. Choć było to skrajnie niebezpieczne, robił „co trzeba”, żeby spowolnić

niemiecką machinę śmierci. Dzięki niemu jego żydowscy bracia mogli przynajmniej pooddychać nieco dłużej, nawet jeśli było to zaledwie kilka godzin.

„Bóg w swojej nieskończonej mądrości opuścił Żydów w Wiśnicy”, mówił Polak w artykule. „Zostawił nas samym sobie, byśmy umierali z jego imieniem na ustach. Może o nas zapomniał? Postanowiłem, że usłyszy mój głos w tej otchłani niedoli”. Dalej twierdził, że przed wyzwoleniem obozu zabił kilku strażników, którzy zamienili jego życie w pasmo udręki. „Nadszedł czas małego odwetu”, powiedział.

Po publikacji drugiej części wspomnień kilka ogólnokrajowych gazet codziennych podchwyciło historię i także zamieściło artykuły na ten temat, nawet producenci programu publicystycznego *60 minut*, emitowanego w telewizji CBS, zaczęli się rozglądać, czy nie skapnie coś dla nich. Relację Polaka dokumentowały wycinki prasowe, listy oraz dokumenty, które z dumą puścił w obieg przy stole podczas obiadu kilka tygodni po swoim przyjeździe. Jego sława zataczała coraz szersze kręgi.

Aż nagle pewnego dnia Ellen Randolph otrzymała tajemniczy list z Polski, który podawał w wątpliwość wiarygodność opowieści Polaka. Ellen zrobiła to, co uczyniłby na jej miejscu każdy solidny dziennikarz – zaczęła węszyć. Na początek postanowiła ponownie złożyć wizytę bohaterowi swojego artykułu i zadać mu więcej pytań. Nie brakowało jej doświadczenia, udała więc, że nosi się z zamiarem napisania kolejnego tekstu okraszonego większą porcją sensacyjnych informacji. Obrona taktyka niestety zawiodła i kiedy pani Randolph przybyła na spotkanie, dzieci Pawła Michalika poinformowały ją, że ojciec nagle postanowił wybrać się w podróż do Europy, na stare śmieci, z sentymentu do dawnych czasów, i że nie mają pojęcia, kiedy wróci. Ellen im nie uwierzyła. Michalik był zbyt wątłego zdrowia, by wyjechać z Florydy do Polski bez osoby towarzyszącej, oni tymczasem utrzymywali, że podróżuje sam i nie wiadomo, jak długo zabawi... Niemożliwe.

Dalsze dociekania potwierdziły, że nigdzie nie ma dowodu, by ktokolwiek o nazwisku Michalik opuścił Stany Zjednoczone drogą morską lub powietrzną w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Zagadka się pogłębiała. Gdzie on się podziewał, a co istotniejsze, dlaczego zniknął?

Poszukiwania trwały. Gdyby tylko pani Randolph знаła prawdziwą historię Pawła Michalika, sprzedałaby duszę za taką bombę – mówiłby o tym cały świat. Jednak to nie ambitna młoda dziennikarka z Florydy dopisała ostatni rozdział opowieści Polaka, tylko stary wyjadacz z „New York Timesa”, który podsumował wszystko słowami: „Życie Pawła Michalika jest tak niesamowite, że sam Stephen King czy John Grisham by tego nie wymyślili!”.

6

Gdy Stella wciąż jeszcze śmiała się z tego, jak Joan Nevin nasikała rano do torebki Sharron, zauważyła, że staruszka się uśmiecha. Joanie była wytrawną żartownisią o wodnistych, jasnoniebieskich oczach z czerwonymi obwódkami, nadal skrzących się szelmowsko, co urzekało jej męża aż do śmierci, która nastąpiła wkrótce po jego dziewięćdziesiątych czwartych urodzinach. Joan uniosła wąż, niemal szponiastą dłoń i przywołała Stellę zakrzywionym palcem.

– O co chodzi, Joanie? Czego byś chciała?

Szept staruszki poniósł się w powietrzu na niewidzialnych motylach skrzydłach.

– Zasłużyła sobie!

– Kto sobie na co zasłużył, kochana? Mówisz o Sharron?

– Tak. O tej wrednej suce Sharron. Zawsze mnie nienawidziła, ale tym razem ją dopadłam, co? Nieźle założyłam jej za skórę, a nie wie jeszcze o najgorszym!

Po tej uwadze szelmowsko zachichotała. Stella zadała sobie w duchu pytanie, cóż może być gorszego od nasikania komuś do torebki.

– Poczekaj, aż wieczorem włożę buty – ciągnęła staruszka. – Jak zdejmie te stare, brudne tenisówki i wsunie swoje śmierdzące stopy z odciskami w te nowiutkie eleganckie buciki!

Sharron Ward kupiła sobie drogie na pierwszy rzut oka botki i włożyła je tego dnia do pracy, żeby się wszystkim pochwalić. Były z czerwonej lakierowanej skóry oraz zamszu, idealnie dobrane do nowej torebki.

Wąż starsza pani pochyliła się ku Stelli i zdradziła jej sekret:

– Lewy but.

– Co z tym lewym butem, kochana? Joanie, o czym ty, na litość boską, mówisz?

– Stella spojrzała w twarz pani Nevin i natychmiast pożałowała tego pytania.

– Nie mogłam nic poradzić, musiałam, więc załatwiłam się do tych jej nowiutkich butów, do lewego, jak już mówiłam. Zrobiłam kupę tuż przed tym, jak mnie nakryli na siusianiu do jej torebki!

Staruszka zgarbiła kościste ramiona, głowa zawisała między obojczykami, podskakując w górę i w dół, ponieważ Joanie zaśmiewała się ze swojej śmierdzącej tajemnicy niczym psotne dziecko, którym zresztą zawsze była.

Stella krzyknęła, w jej głosie szok mieszał się z zachwytem.

– Och, dobry Boże, Joanie! Jesteś niereformowalna! Mogłaś mi nie mówić!



Kilka minut później Stella była już w jadalni dla personelu. Miała nadzieję, że wpadnie tam na Annę i opowie jej o najnowszym akcie zemsty Joan Nevin. Jeśli cokolwiek mogłoby przełamać lody pomiędzy Stellą a Anną, to właśnie opowieść o Joanie robiącej kupę do eleganckich nowych butów Sharron Ward!

Nucąc pod nosem *That's Amore*, Stella wyjęła kubek z szafki nad zlewem i wsypała do niego pełną łyżkę kawy rozpuszczalnej. Następnie otworzyła lodówkę i sięgnęła po resztkę ciasta, które przyniosła rano z domu.

I właśnie wtedy, gdy czekała, aż zagotuje się woda w czajniku, rozegrała się ta straszna historia.

Zaczęło się od krzyku tak donośnego, że wszystkie ptaki za oknem zerwały się do lotu, a ludziom w budynku słowa zamarły na ustach.

Krzyczał mężczyzna. Bez wątpienia. Głośno i w wielkiej złości. Stella natychmiast wybiegła na korytarz, by zobaczyć, skąd dochodzą odgłosy awantury. Okazało się, że z pokoju numer dwadzieścia cztery, pokoju Polaka.

– Nie rób tego! Odłóż to, ty polska suko, inaczej požalujesz. Odłóż to, mówię!

Stelli stanęły dęba delikatne włoski na ramionach, puściła się biegiem do pokoju dwadzieścia cztery i bez zapowiedzi wpadła do środka.

Najpierw ujrzała siedzącego prosto na łóżku Polaka, wciąż jeszcze w pizamie, wyraźnie dygoczącego. Z rozdziawionymi ustami i nitką śliny rozciągniętą między górną a dolną sztuczną szczęką. Miał rozszerzone nozdrza i trupio bladą skórę. W pokoju mocno było czuć uryną. Po raz pierwszy oczy Polaka były kompletnie nieruchome, wielkie jak spodki, wpatrzone w kogoś stojącego naprzeciwko, w nogach łóżka.

Stella powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i wtedy po raz pierwszy zobaczyła przyjaciółkę z bronią w ręku. Co dziwne, Anna ani drgnęła, gdy Stella wparowała do pokoju; nawet na sekundę nie oderwała oczu od Polaka. Tak jakby się jej tam spodziewała. Stella wtedy jeszcze tego nie wiedziała, dopiero później powiedziano jej, że trzymany przez przyjaciółkę pistolet to luger, standardowe wyposażenie SS podczas drugiej wojny światowej. Dla niej równie dobrze mogła to być zabawka, sądząc jednak po minie Polaka oraz trudności, jaką najwyraźniej sprawiał Annie ciężar broni, pistolet był jak najbardziej prawdziwy.

– To on, Stell. Od początku wiedziałam, że to on – rzuciła cicho przez ramię, jakby intuicyjnie rozpoznała, kto wszedł właśnie do pokoju.

– Jaki on?

– On. Polak. Chart. To Polak i Chart, nie rozumiesz? Jedna i ta sama osoba. – Anna mówiła zagadkami.

– Może odłożysz tę broń? – wtrącił Polak łamiącym się głosem. – Jestem bohaterem wojennym i jeśli mnie zastrzelisz, nie zyskasz nic prócz dożywotniego więzienia.

Anna zaczęła wymachiwać bronią i zaśmiała się – śmiechem szaleńca, który przeraził Stellę równie mocno jak pistolet.

– Ja jestem w więzieniu, ty stary durniu, od stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku!

– Anno, o co tu chodzi? – zapytała Stella. – Mogłabyś odłożyć broń? Anno, proszę, boję się. Zrób to dla mnie, odłóż pistolet.

Polak jakby odrobinę się rozluźnił, usadowił się wygodniej i naciągnął kołdrę. Pierś falowała pod piżamą, oczy miał przymrużone. Kąciki ust wygięły się w górę, tak jakby drwił sobie z Anny.

Serce Stelli waliło jak młotem. Nad górną wargą wystąpiły krople potu, dłonie zwilgotniały. Dlaczego Anna mierzy do Polaka? Przecież nie ma pojęcia, jak się posługiwać bronią palną, a jednak wygląda na bardzo zdeterminowaną.

– Proszę cię, Anno, odłóż broń. Proszę. Na pewno rozwiążemy problem. Kimkolwiek jest, chyba nie warto, prawda?

– Och, Stell, bardzo się mylisz. Zasłużył sobie na to, na każdą z tych chwil i na jeszcze więcej.

Po pięknych policzkach Anny zaczęły spływać łzy, otarła twarz rękawem. A potem nagle zastygła, jakby właśnie wpadł jej do głowy pewien pomysł. Głośno kichnęła, kilkakrotnie zamrugała powiekami, zbierając siły do powziętej przed chwilą decyzji. Przecież tego nie robi, nie pociągnie za spust, prawda?

Jednym celowym ruchem niemal w zwolnionym tempie uniosła i w pełni wyprostowała prawe ramię – ręka już nie drżała, pewnie dzierżyła pistolet. Anna rozmyślnie wsparła podbródek na obojczyku, zamknęła jedno oko, drugie zmrużyła, patrząc wzdłuż wyciągniętego ramienia prosto w celownik pistoletu na linii głowy Polaka... Następnie kciukiem odbezpieczyła broń.

CZĘŚĆ 2

Zabić i pojmać

7

9 stycznia 1940 Węgrzyn, Polska

Według niemieckich żołnierzy przemierzających Polskę po blitzkriegu pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku zabijanie to pestka. Rozmawiali o tym w trakcie podróży, podskakując i tłukąc się na wybojach pośród smętnego, szarego krajobrazu, gdy zbliżali się do niemieckiej granicy i leżących za nią polskich wsi. Panowała powszechna zgoda co do tego, że jak już się zacznie, trudno przestać. Pierwszy raz był najtrudniejszy, a potem to już „masowe strzelanie do szcurów”, jak ktoś zauważył, a cała reszta zaśmiała się z tej analogii, ponieważ właśnie tak minister Goebbels nazywał Żydów i Polaków: szcurami.

Brak oporu podczas drugiej fali zaskoczył oddziały SS, które nie wzięły pod uwagę faktu, że mają do czynienia jedynie z chłopami i ich rodzinami, a nie z wyszkolonym personelem wojskowym. Z jaką łatwością robiło się czystki, podążając śladem elitarnych oddziałów szturmowych, które zaledwie kilka tygodni wcześniej niczym niemożliwa do zatrzymania machina utorowały drogę do Warszawy. Niemiec – to brzmi dumnie.

Teraz tylko sprząтали i przy udziale drobnych lokalnych urzędników sporządzali listy – niekończące się listy. Każda najdrobniejsza rzecz musiała być udokumentowana i zatwierdzona stemplem, ponieważ ostatecznie całą dokumentację deponowano w Berlinie. Führer oświadczył, że wszystkie działania trzeba ewidencjonować, ponieważ Niemcy tworzą właśnie historię. Zapewniano ich, że są niezwykłymi, a zważywszy na łatwość, z jaką wszystko im się poddawało, najwyraźniej była to prawda.

Nikt nie powiedział, jak długa jest droga do zwycięstwa, stawało się jednak jasne, że składała się z wielu etapów. Im prędzej uporają się z bieżącymi zadaniami, tym prędzej wojna się zakończy. Należało działać sprawnie także i w drugiej fazie; SS miało rozprawić się z drobnymi sprzeciwami i głupimi

narzekaniami (wielu ludzi będzie niezadowolonych ze zmian) i nie pozwolić, by ktokolwiek lub cokolwiek stanęło im na drodze.

Berlin wpadł na doskonały pomysł wykorzystania więźniów do fizycznej pracy, wyznaczając niemieckich żołnierzy dokładnie do tych zadań, do których się zgłosili – walki o ojczyznę. Podbite ziemie dostarczały licznej siły roboczej, a z dotychczasowych doświadczeń wynikało, że Führer miał rację – Polacy nadają się do pracy fizycznej i do niczego ponadto. Stoją o stopień wyżej od Żydów, ale to niewielka różnica.

Mężczyźni, mając mnóstwo czasu w trakcie długiej podróży, w ciężarówce poruszali wiele różnych tematów, a nastrój poprawił się im jeszcze bardziej, gdy zaczęli rozprawiać o dodatkowych korzyściach związanych z „drugą falą”. Na przykład dostaje się najlepsze kwatery, zwłaszcza jeśli jest się oficerem. Dobrze też mieć znajomego w Gestapo, ponieważ to przyspiesza sprawy, a nie ma nic lepszego, niż przejąć mieszkanie zwolnione niedawno przez jakiegoś zamożnego Żyda, jako że to oni mieli zawsze najpiękniejsze nieruchomości i zostawiali po sobie dobry jakościowo dobytek. Wolno im było zabrać ze sobą tylko tyle, ile zdołali unieść, ku wielkiej korzyści wprowadzającego się na ich miejsce nowego lokatora.

Największymi problemami drugiej fali były zasoby i czas. To typowe dla Berlina, siedziby anonimowych biurokratów, którzy odczytywali treści zawarte między wierszami przemówień Führera: nie mieli pojęcia o praktycznych trudnościach, z którymi ci na miejscu musieli mierzyć się każdego dnia. Tyle dobrego, że nie narzucali wielu zasad. Owszem, wszystko musiało być udokumentowane i odnotowane, przeprowadzano kontrole, audyty i bilanse, ale istniała możliwość dowolnego doboru środków, byle wykonać zadanie. Po prostu. I takie były rozkazy. Wykonać!

Wtedy nadeszła pora na zabijanie. Czasem nie miało się wyboru, bo inaczej spowalniałoby się proces i wynikłyby z tego piekielne kłopoty. Jeśli ktoś powodował zbędne opóźnienia, należało rozprawić się z nim natychmiast, by móc przejść do następnego celu. Tylko to się liczyło.

Rolf Schroder, najwyższy rangą Niemiec w ciężarówce, mówił o otrzymanej korespondencji dotyczącej problemów części młodszych rekrutów SS z likwidowaniem dużych grup – strzelanie przez wiele godzin do nieuzbrojonych starszych ludzi oraz dzieci dla niektórych stawało się nieznośne. Sprawa zaczęła nabierać rozpędu, gdy do Berlina wpłynęły liczne raporty z operacyjnych działań polowych. Zamiast mówić żołnierzom, by „się uodpornili” i wypełniali swoje obowiązki, Reichsführer Himmler, który dowodził SS, a nawet Obersturmbannführer Eichmann (komendant wszystkich obozów) poszukiwali innych metod eliminacji, by uspokoić sytuację.

Wraz z szerzeniem się wieści o zakładaniu gett, w których tymczasowo zakwaterowywano Żydów, stało się jasne, że liczebność się zwiększy. Mówiło się nawet o stworzeniu programu eutanazji dla dorosłych, który pomógłby w rozwiązaniu kwestii praktycznych związanych z tymi sprawami. Wszyscy czuli się pokrzepieni na duchu, że Berlin poważnie traktuje ich obawy.

Rosyjskich jeńców wojennych oraz polskich dysydentów likwidowano szybko, ponieważ byli potencjalnie najbardziej szkodliwi. Pomimo tragicznego w oczywisty sposób położenia z jakiegoś nedorzecznego powodu wciąż mieli w sobie zapał i determinację. Im mocniej uderzało się w wichrzycieli, tym bardziej rósł upór tych głupców. Żydów było więcej niż wszystkich innych razem wziętych, ale na szczęście zachowywali się tak biernie i uległe, że nie nastęrczali większych trudności. Znęcano się nad nimi i poniewierano, systematycznie bito i odczułowiczano do tego stopnia, że zgadzali się nawet pilnować samych siebie!

Z wybranych formowano grupy kapo – zaufanych więźniów – których zadaniem było utrzymywanie dyscypliny wśród swoich. Niemcy musieli mieć ubaw, gdy rozmawiali o tym, że kapo ochoczo stłuką na kwaśne jabłko każdego z żółtą gwiazdą Dawida na rękawie! To genialny Adolf Eichmann rozpracował sposób postępowania tych ludzi na długo przed przeniesieniem ich do gett. Nigdy nie podejmowali walki; stawali na baczność, gdy im kazano, pracowali do ostatków sił, kopali własne groby, a nawet własnoręcznie zapełniali te już wykopane, zanim ich rozstrzelano. Łatwiej być nie mogło. Gdyby tylko nie było ich tak wielu!

Wart uwagi jest fakt, że zdaniem części esesmanów z Żydami nie było żadnej frajdy. Gdzie pościg, gdzie polowanie? Ich uległość sprawiała, że wiało nudą, więc oddziały musiały podtrzymywać swoje zaangażowanie w sprawę wszelkimi dostępnymi środkami. Trudno mieć szacunek dla wroga, który nie stawia oporu.

„Brak frajdy” najbardziej doskwierał Karlowi Braunowi. Jego koledzy z ciężarówki widzieli go już w akcji i nie wątpili, że zabijanie sprawiało mu przyjemność. Czasem dostrzegali to w jego oczach – błyszczwały, gdy zaczynało się rozstrzeliwanie. Ale dobrze było mieć go pod ręką. Kiedy Chart znajdował się w pobliżu, można było robić swoje.

8

Poranne słońce próbowało obwieścić swoje pojawienie się na szarym niebie za zasłoną nagich drzew. Szron osadził się na trawie, lód chrzęścił pod kołami

ciężarówki telepiącej się po zamrożonym błocie i wybojach. Rolf Schroder patrzył, jak wstaje kolejny ponury dzień polskiej zimy. Nienawidził Polski, jej zasnutego nieba i nijakiego krajobrazu. Poprzedniego wieczora spotkał się z kłótliwym burmistrzem sporego miasta, w końcu wyciągnął od niego interesujące go nazwiska i zatrzymał się tam na nocny spoczynek. Przed wyjazdem postanowił pozostawić przykład, dlaczego nie należy sprzeciwiać się SS w takich czasach. Przykład zawisł na drzewie pod ratuszem. A dokładniej – trzy takie przykłady.

Później Schroder wyruszył w godzinną podróż wąskimi bocznymi drogami do maleńkiej wioski Węgrzyn, dziesięć kilometrów za niemiecko-polską granicą.

Pozwolił sobie na przelotny uśmiech. Życie podporucznika SS okazało się nie takie złe, jak z początku obawiali się jego rodzice. Nie walczył na linii frontu. Los najwyraźniej mu sprzyjał i Schroder był przekonany, że jeśli nie będzie pakował się w kłopoty, przeczeka wojnę i gdy konflikt zbrojny się zakończy, powróci do normalnego życia, wzbogaconego o nowe doświadczenia.



Lech Burczyk dźwignął z łóżka swoje obolałe ciało, przeciągnął się i podszedł boso do okna po zimnych deskach podłogi. Gdy rozsuwał jutowe zasłony, zza których wyłonił się kolejny mroźny poranek, oddech zawisł przed nim w powietrzu pod postacią lekkiego obłoczka niewypowiedzianych jeszcze słów. Zima ciągnęła się już długo, okazała się czasem burzliwym, obfitującym w wydarzenia wszczęte z haniebnych pobudek. Niemiecka inwazja, o której mówiło się ze strachem od dawna, przeprowadzona w przerażająco błyskawicznym tempie, zwiastowała nadejście nowego roku w najgorszy możliwy sposób.

Zwykle o tej porze Lech myślał o wiosnie i nadchodzących siewach. Ale do wiosny pozostały jeszcze dwa miesiące, a dwa miesiące mogą bardzo się dłużyć, gdy zależy od ciebie życie tak wielu osób, a tymczasem twój los jest w cudzych rękach.

Dobiegający osiemdziesiątki Lech urodził się w tym domu, a przed nim jego ojciec. Pokolenia przemijały i teraz dom należał do Lecha, jego żony Zlaty i ich córki Rozy, z którą zamieszkały tam jej dwie nastoletnie córki, Danuta i Ania. Miejsce znów wypełniło się ludźmi, ale na nieszczęście Lecha samymi kobietami! Między innymi z tego powodu zerwał z rodzinną tradycją i dbał o to, by wstawać o świcie jako pierwszy – chcąc zakosztować ciszy i spokoju wczesnego poranka.

Roza była tą nieokielznaną, najtrudniejszą latoroślą z pięciorga dzieci Lecha i Zlaty, która okryła rodzinę najgorszą możliwą hańbą. Mieszkała ze swoim mężem

Leszkiem (leniwym nieudacznikiem i wałkoniem, jak większość mężczyzn z Lublina, zdaniem Lecha) oraz ich pierwszym dzieckiem, córką Danutą, w niewielkim dzierzawionym gospodarstwie pośrodku niczego, gdzieś pod Łodzią. Gdy Roza oznajmiła, że znowu jest w ciąży, Leszek nie przyjął tej nowiny z radością. Jeszcze jedna gęba do wyżywienia. Lepiej, żeby tym razem urodził się chłopiec. Kiedy dorośnie, będzie przynajmniej pomagać w gospodarstwie. Wspólnymi siłami jakoś dawali sobie radę, ale ledwo, a teraz stracą dochód, jaki przynosił im ich lokator, którego pokój wkrótce będzie potrzebny powiększającej się rodzinie.

Leszek odczuje brak lokatora. Mężczyźni regularnie grywali w karty albo szachy i zwykle popijali razem wieczorami – Leszek i cichy podkuwacz koni przedstawiony mu na targu przez znajomego, który zabawił u nich dłużej niż ktokolwiek przewidywał. Podkuwacz koni wyglądał jakoś dziwnie, trochę jak Cygan, miał długie, czarne, kręcone włosy oraz oczy w różnych kolorach. Trudno było rozgryźć, czy jest krętaczem, czy oryginałem (mężczyźni na targu widzieli w nim krętacza, za to ich kobiety oryginała). Ale jakie to miało znaczenie? W picciu dorównywał najtęższymi głowom, a przyłapany na karcianym oszustwie parskał śmiechem. Dorabiał pokątnym handlem końmi i zawsze płacił czynsz na czas. Zwykle wykonywał w domu różne drobne prace, te, do których Leszek jakoś nigdy nie mógł się zabrać, ponieważ był albo zbyt zajęty, albo zbyt pijany. Drobna kwota, którą dorzucał do domowego budżetu, oraz pomoc, którą świadczył, szybko sprawiły, że stał się niezbędny.

Uprzedzono go, że będzie musiał się wyprowadzić wkrótce po narodzinach dziecka. Okazało się tymczasem, że wyniósł się znacznie szybciej, niż się spodziewali – już kilka godzin po przyjściu na świat niemowlęcia. Dziesięć minut później wybiegł z domu także Leszek – w pogoni za lokatorem.

Dopał go na przedmieściach Łodzi i niemal zatłukł na śmierć, następnie wrócił do domu, uderzył Rozę pięścią w twarz, spakował manatki i tyle go widziano. Roza zabrała dwójkę dzieci do gospodarstwa rodziców w Węgrzynie, powróciła do panińskiego nazwiska i samotnie wychowywała dzieci.

Nowo narodzona Ania stała się atrakcją targowej miejsciny: bądź co bądź nieczęsto widuje się na polskiej wsi dziecko o kruczoczarnych włosach, jednym oku niebieskim, a drugim brązowym.

W miarę dojrzewania i wkraczania w nastoletniość uroda Ani coraz bardziej rozkwitała. Zdecydowanie różniła się od patykowatych, jasnowłosych i błękitnookich dziewcząt, które uczęszczały do miejscowej szkoły. I choć niektórzy sądzili, że ma w sobie odrobinę charakterystycznej dziecięcej pulchności, wkrótce stało się jasne, że tak nie jest. Natura obdarowała Anię ponętą figurą oraz zachwycającą urodą cygańskiej królowej, co w oczach

chłopców dawało jej prawdziwą przewagę nad innymi dziewczętami, ona jednak przez większość czasu opędzała się od zalotników, zamiast ich ośmielać.

Danuta, starsza o dwa lata siostra Ani, była bardzo podobna do matki – Polka z krwi i kości. Krótkie blond włosy, owalna twarz, szlachetny nos. Nogi do pasa, szczupła, zwarta budowa sportsmenki. Były jej pisane wielkie sukcesy na arenie sportowej, ale nauka także szła jej bardzo dobrze, podobnie jak Ani, zwłaszcza języki. Dziewczynki stały się nierozłączne.

Danuta miała zdecydowanie większe doświadczenie w sprawach sercowych. Nim skończyła dziewiętnaście lat, była już dwukrotnie zakochana i zdążyła zapomnieć, kiedy straciła dziewictwo i kto je odebrał. Ani udało się je zachować, ale jako siedemnastolatka znalazła się pod ostrzałem kilku adoratorów, w tym dwóch ojców koleżanek. Na razie wołała jednak słuchać o wyczynach siostry, gdy leżały razem w łóżku i rozmawiały do późnej nocy.

Żadna z nich nie bała się pracy, obie robiły w gospodarstwie dziadka więcej, niż powinny. Miały silne ramiona i nogi – i równie silne charaktery: nikt nie zadzierał z Burczykównami, a ci, którzy ośmielali się spróbować, zawsze źle kończyli, zwłaszcza chłopcy.

O ile Danuta potrafiła wykazać się uporem, Ania zawsze była realistką, choć miała też w sobie trochę nonszalancji, która, jak się mówiło, pewnego dnia może wpędzić ją w tarapaty. Lech i Złata dziękowali Bogu, że obdarzył ich tak wspaniałymi wnuczkami, choć jednocześnie przeklinali Rożę za wstyd i trudne doświadczenia, które sprowadziła na nich i na siebie. Ale koniec końców rodzina to rodzina, byli sobie bliscy jak koszula ciała. Lech czuł, że Bóg naprawdę mu błogosławił.



Długie lata pracy na roli odcisnęły na Lechu piętno. Odkąd pamiętał, uprawa buraków cukrowych stanowiła centrum jego wszechświata. A teraz? Wszystko zmieniało się z dnia na dzień, w dodatku Niemcy narzucili w Polsce ścisłe regulacje żywnościowe.

Dieta polskich obywateli została ograniczona do sześciuset pięćdziesięciu czterech kalorii dziennie, czyli mniej więcej dwudziestu pięciu procent rekomendowanego spożycia, Żydom przysługiwały tylko sto osiemdziesiąt cztery kalorie. Grożono kontrolami, wymuszono racjonowanie, a większość płodów rolnych uprawianych przez takich chłopów jak Lech zabierano dla niemieckiej armii. Dlatego miał przeświadczenie, że są bezpieczni. Po co Niemcy mieliby krzywdzić rolników, którzy tak ciężko pracowali, by wyżywić swoich panów i władców? Plotki rozsiewane na targu były pozbawione sensu.



Lech naciągnął na ramiona patchworkową kołdrę, odwrócił się i zostawił swoje myśli przy oknie. Przez chwilę zastanawiał się, co to za hałas dobiega gdzieś z oddali. Brzmiał metalicznie, jak tłuczenie metalu o metal, przypisał go więc łańcuchom i kłódkom na drzwiach stodoły, które często stukały bez powodu. Zanotował w pamięci, że trzeba je sprawdzić.

Gdy wrócił do sypialni, Złata mamrotała coś przez sen. Stanął w drzwiach, spojrzął czule na kobietę, która została jego żoną w wieku piętnastu lat. On sam miał zaledwie szesnaście, kiedy się pobrali. Wypełnione ciężką pracą życie odcisnęło na niej swoje piętno, ale była dobrą żoną i cudowną matką jego dzieci, a jeszcze lepszą babką. Inni mężczyźni ze wsi (z którymi Lech od czasu do czasu pił i grał w szachy) nieustannie klęli na swoje żony, on jednak nie widział żadnego konkretnego powodu do skarżenia się na Złatę – bez względu na to, jak mocna była wódka albo jak późna pora!

Złata w śmienicie gotowała i rządziła w domu jak wszystkie polskie kobiety. Czasem bywała trudna, co u Polki nie było niczym wyjątkowym, ale żyli zgodnie, a na pewno lepiej, niż się wielu spodziewało lata temu, kiedy się ze sobą zeszli.

Targowe plotki zawsze wywoływały w Złacie panikę i od kiedy po raz pierwszy doszły ją słuchy o niemieckiej inwazji, nie przespała spokojnie żadnej nocy. Lech stale zapewniał ją, że nic im nie grozi. Niemcy polują na Żydów. „Polskę nieraz już najeżdżano w przeszłości i prawdopodobnie na tym się nie skończy, ale wzięwszy wszystko pod uwagę, Hitler potrzebuje takich jak my, by wyżywić swoją armię”, uspokajał któryś raz z kolei. Oto nadarzała się okazja do zarobienia w końcu trochę grosza, aczkolwiek kosztem cudzego nieszczęścia, ale tak to już w życiu bywa.

W drodze do kuchni Lech pozwolił sobie na uśmiezek i wspominał rozmowę z poprzedniego dnia przy obiedzie. Złata jak zwykle widziała wszystko w czarnych barwach i już po raz drugi zepsuła bigos! Dołożył drewna pod kuchnią, dmuchał, póki nie wystrzelił płomień i nie spowił szczap, postawił na fajerce rondel z wodą. Słońce wstało niecałe pół godziny wcześniej, ale było dość widno. Ponieważ artretyzm Złaty zimą się zaostrzał, Lech z przyjemnością zanosił żonie kubek gorącej herbaty, by mogła niespiesznie wstać z łóżka i rozpocząć dzień.

Nie mógł się doczekać wieczora. O siódmej on i kilku innych mężczyzn ze wsi miało się zebrać w domu jego kuzyna na partyjkę szachów, rozmowy o polityce, sporcie i inwazji, wspólne palenie papierosów i picie domowego bimbrow. Był to jego ulubiony czas w tygodniu, tylko dla niego, z dala od kobiet.

Siedząc przy starym drewnianym stole, owinięty kołdrą, którą Złata uszyła mu ręcznie na dziesiątą rocznicę ślubu, znów usłyszał na zewnątrz jakieś postukiwania. Tym razem był pewien, że to nie łańcuchy na drzwiach stodoły. Dźwięk był zbyt głośny i zbyt mechaniczny, jakby pod dom zajechał jakiś pojazd.

Trzask drzwi potwierdził, że się nie myli.

Lech nie znał nikogo, kto miałby auto. Prawdę mówiąc, pierwszy raz ktoś odwiedził go samochodem kilka dni temu, kiedy miejscowi urzędnicy przybyli zatwierdzić roczny limit buraków cukrowych. Może wrócili po więcej informacji albo zapomnieli o coś zapytać. Ale nie zjawialiby się o świcie. Przyjechaliby w godzinach urzędowych – chyba że jest jakiś problem.

Lech wstał od stołu, słysząc, jak dwie pary ciężkich buciorów tupią na ścieżce prowadzącej do domu. Nim doszedł do połowy korytarza, ktoś już kołatał do drzwi.

Lech mieszkał w Węgrzynie całe swoje życie. Od czasu do czasu jeździł na targ do dużego miasta, do Krakowa, i poza pobytem w wojsku nigdy nie słyszał innego języka niż polski. Tym razem, kiedy szybkim krokiem po raz ostatni tego ranka podchodził do frontowych drzwi, usłyszał głos mówiący po niemiecku:

– *Öffnen*. Otwierać. *Schnell*, szybciej, *schnell*!

9

Przekłete drzwi zablokowały się jak zwykle w zimie i kiedy Lech zdołał wreszcie otworzyć je szarpnięciem, stanął twarzą w twarz z niemieckim żołnierzem celującym z karabinu w jego pierś oraz drugim, trzymającym w ręku podkładkę do pisania. Lech momentalnie zastygł.

Najwyraźniej dowodził ten z podkładką, choć bardziej przypominał bladego urzędnika państwowego niż oficera niemieckiej armii.

– *Herr Burczyk*?

Lech w odpowiedzi skinął głową. Niemiec z listą zadzierał nosa, stał z ołówkiem w ręku, odhaczając nazwiska, i starał się ukryć przed Lechem powodowane zimnem drżenie gołej ręki.

Lechowi bardziej nie podobał się ten chudy z karabinem. Mróz mu najwyraźniej nie przeszkadzał, sprawiał wrażenie kogoś, kto lubi szukać guza, a głęboko osadzone czarne oczy tylko to potwierdzały. Lech czuł, że przy odrobinie szczęścia oraz elemencie zaskoczenia mógłby w razie potrzeby sprzątnąć ich obydwu pomimo dość zaawansowanego wieku. Ale wtedy dostrzegł

w tle dwóch innych uzbrojonych esesmanów palących papierosy na tyłach ciężarówki. Wiedział, że nie ma wyboru, musi współpracować. Mimo lodowatego powietrza, które wpadło do korytarza i penetrowało głębiej, Lech cierpliwie czekał, aż ten dowodzący znów przemówi. Ten moment ciągnął się w nieskończoność, zdawał się trwać całe wieki, choć w rzeczywistości upłynęło zaledwie kilka sekund.

Gdy Niemiec w końcu się odezwał, jego głos brzmiał obojętnie i mimo że Lech kompletnie nic nie rozumiał, ścierpła mu skóra na karku. Nie miał czasu na zastanowienie, ponieważ od razu oszołomił go ogłuszający huk wystrzału, po którym rozblęskło oślepiające światło i coś wybuchło mu w piersi, odrzucając go w tył. Osunął się na podłogę, zostawiając za sobą na ścianie resztki swego życia w postaci grubej czerwonej smugi.

Dwaj Niemcy ominęli przeszkodę w postaci zwłok i skierowali się w głąb pustego korytarza, z determinacją zmierzając w stronę drzwi na jego końcu.

Nagle hałasy wybudziły Złatę z głębokiego snu, a słysząc przerażający odgłos wystrzału odbijający się od ścian ciasnego korytarza, gwałtownie wyprostowała się na łóżku i wlepiła wzrok w drzwi sypialni. Od ciężkich kroków zbliżających się do jej pokoju trzęsły się deski podłogi, wywołując drżenie wody w szklance na nocnym stoliku. Do środka wtargnęli dwaj mężczyźni, więc przez wzgląd na skromność Złata odruchowo podciągnęła kołdrę pod brodę. Nastąpił króciutki kontakt wzrokowy, a potem Złata przeniosła spojrzenie na otwarte drzwi i dostrzegła leżące w korytarzu zakrwawione ciało męża.

Wtedy widziała go po raz ostatni, a w zasadzie nie zdążyła zobaczyć niczego więcej, ponieważ z lufy karabinu chudego żołnierza śmierć wypadła z impetem po raz drugi w ciągu niespełna minuty. Złata leżała na łóżku z rozłupaną głową, a wyrwane z poduszki pierze delikatnie unosiło się w powietrzu, po czym miękko lądowało na broczącym ciełe.

Czas miał kluczowe znaczenie, dlatego Schrodera frustrowało, że nie znalazł dwóch dziewcząt z listy. Ten idiota burmistrz, którego wywlókł poprzedniego wieczoru z ratusza, wisiał teraz na drzewie w rynku wraz z dwoma innymi urzędnikami. Wcześniej niechętnie wydał listę wszystkich rodzin z dziewczętami w wymaganym wieku, które zamieszkiwały okoliczne wsie, a dla dobra jego własnej rodziny uczciwie podał nazwiska. Burczykowie byli pierwsi na liście.

Wykrzyczano rozkazy, chudy żołnierz z karabinem pomaszerował do sąsiedniego pokoju, chwilę później w domu huknął kolejny strzał. Nagie ciało Rozy zwisało z łóżka niczym porzucona lalka.

Pozostały jeszcze jedne drzwi.

Karl Braun wparował do środka i wreszcie znalazł drżącą ze strachu siedemnastoletnią Anię, wyprostowaną jak struna, siedzącą w łóżku z białą jak

plótno twarzą. Podszedł do niej ciężkim krokiem i wyciągnął ją za włosy. Krzyczała.

– *Rasch, rasch*, szybko!

Włókł ją za sobą korytarzem nad zwłokami dziadka, przez kałużę jego krwi, po czym cisnął ją na zamrażający próg. Potem podniósł kołdrę leżącą obok ciała starszego mężczyzny i rzucił ją dziewczynie trzęsącej się jak przerażone szczenię i patrzącej wielkimi jak spodki oczami.

Dowodzący, ten, który, jak dowie się później Ania, nazywał się Rolf Schroder, ponownie sprawdził listę – brakowało jednej dziewczyny. Właśnie miał nakazać gruntowniejsze przeszukanie domu, gdy nagle usłyszał jakieś odgłosy z sypialni Ani. Ruchem głowy wskazał pokój, instruując Brauna, by wrócił tam i się rozejrzył. Może to ta druga dziewczyna. *Niech ją szlag, opóźnia sprawy.*

Chudy żołnierz szybko ruszył we wskazanym kierunku i od razu się zorientował, że ktoś jest w szafie. Pewnie ta druga. Rozkazał jej wyjść. I nic, choć wyłapał jakiś dźwięk. Coś jak chlipnięcie. Na dworze ciężarówka włączyła już silnik, wiedział, że czas nagli. Podniósł karabin, puścił serię i usłyszał stłumiony odgłos upadającego w szafie ciała.

Spod narożnika drzwi wypłynęła strużka krwi, zbierając się w kałużę na drewnianej podłodze.

Przy ciężarówce Schroder zapytał, co się wydarzyło.

– Nie chciała wyjść, więc... – Braun wzruszył ramionami i wsiadł do szoferki.

– Sprawdziłeś? Potwierdziłeś, że to ona?

– Jasne, że ona, a kto inny? Tak czy owak było mnóstwo krwi.

– *Scheisskopf!*

Wściekły Schroder wysiadł z kabiny ciężarówki i dał Braunowi znak, by do niego dołączył. Musieli mieć pewność, że to ta druga dziewczyna! Jeśli tak, nie ma problemu – ukrywała się, stawiała opór i należało rozwiązać sprawę – ale w papierach wszystko musi się zgadzać. Dlatego Schroder został porucznikiem, a Braun zaledwie kapralem. Mózg i mięśnie, było tak od zawsze, odkąd połączyli siły w hitlerowskiej młodzieżówce.

Schroder ostrożnie zbliżył się do szafy z gotowym do strzału pistoletem. Zobaczył okazałą kałużę krwi na podłodze pod drzwiami, powoli je otworzył. Leżała przed nim kupka zakrwawionego futra. Pies! Odwrócił się do Brauna z odrazą i wówczas kątem oka dostrzegł postać biegnącą przez pole w stronę lasu.

– Karabin, szybko!

Danuta, która co roku wygrywała bieg na dystansie stu metrów w szkolnych zawodach sportowych, tym razem nie biegła po trofeum – biegła po życie. Serce łomotało jej w piersi, ramiona poruszały się rytmicznie, wyteżała wszystkie

mięśnie, by znaleźć się jak najdalej od domu. Kilka razy o mało nie pośliznęła się na mokrej trawie, ale przed nią, w odległości niespełna pięćdziesięciu metrów, był las, w którym mogła się schronić.

Schroder pewnie osadził karabin na prawym barku i wkrótce miał Danutę na muszce. Odbezpieczył broń, westchnął i delikatnie nacisnął spust.

Głośny huk poderwał ptaki do lotu. W tym samym momencie Danuta straciła równowagę, pośliznęła się i upadła na ziemię w bezładnej plątaniu rąk i nóg. Czuła ciepłą krew na ramieniu, lekko uniosła głowę, by sprawdzić, jak daleko do drzew, a potem zrobiło się jej ciemno przed oczami.

Dwaj żołnierze obserwowali ją z okna sypialni. Wyraźnie widzieli tryskający w powietrze pióropusz krwi, gdy dziewczyna runęła na trawę, widzieli też, jak na moment podnosi się i znów upada.

– Tak się to robi, *scheisskopf!* – rzucił Schroder tonem służbisty.

Mężczyźni wrócili do ciężarówki. Braun nie lubił, jak nazywano go zasrańcem. W końcu człowiek ma swoją dumę. Płonęły mu oczy, gdy wskakiwał z powrotem do szoferki. Jakie to typowe dla Schrodera – poniżyć go, własnoręcznie strzelając do dziewczyny. Braun sprzątnąłby ją równie skutecznie, ale Schroder, jak widać, zawsze musiał przypomnieć, kto tu rządzi.

Ania, drżąc na progu domu, słyszała strzały. Była zbyt przerażona i zziębnięta, by krzyczeć. Kiedy żołnierz chwycił ją za łokieć i szarpnięciem postawił do pionu, a następnie pchnął na pakę ciężarówki, sparaliżował ją strach. Jej koszmar miał trwać. Siedziała z tyłu, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, od czasu do czasu pociągając nosem i gwałtownie mrugając powiekami, z zakrwawioną kołdrą dziadka na ramionach, z głową pełną potwornych widoków i odgłosów, których przed chwilą była świadkiem.

Drgnęła, usłyszawszy nagły syk i huk miotacza ognia. Jeden z Niemców stał w rozkroku kilka metrów od drzwi wejściowych. Broń ożyła z łoskotem, wypływając na dom dziadków strumień płonącej mieszanki smoły i benzyny. Ania patrzyła ze zgrozą, jak płomienie liżą ciało dziadka, jak zagłębiają się w korytarz niczym jęzor nienasyconego smoka. W ciągu minuty objęły całą chałupę, ogień zachłannie pożerał budynek stojący tam od pokoleń.

Wkrótce niemiecki żołnierz schował miotacz ognia do metalowej skrzynki przy burcie ciężarówki i usiadł obok Ani z całkowicie obojętną miną. Dwukrotnie uderzył w burtę, szczęknęła skrzynia biegów i pojazd zaczął powoli toczyć się w kierunku drogi.

Za Anią zostało jej dawne życie, kłęby dymu unosiły jej wspomnienia z dzieciństwa w zimne powietrze poranka, poczerniały szkielet domu głośno trzeszczał, a ogień kończył swą ucztę. Po twarzy dziewczyny płynęły łzy, usta szeptały imię siostry. *Danuta...*



Ania dygotała i pochlipywała, podczas gdy żołnierz, który użył miotacza ognia, zapalił papierosa i wbił wzrok w podłogę. Nagle bardzo zainteresował się swoim lewym butem, lekko go uniósł, przekręcił w jedną, potem w drugą stronę, a potem mruknął do siebie:

– Krowie gównu. Ja to mam zawsze cholerne szczęście!

Wyciągnął przed siebie wyprostowaną nogę i skrobał butem o podłogę, póki nie wyczyścił podeszwy. W końcu usatysfakcjonowany spojrzał na Anię i niespiesznie zaciągnął się papierosem.

Ciężarówką nagle szarpnęło do przodu. Ania i żołnierz chwycili się burty, gdy pojazd, tłukąc się i podskakując, wyjechał na główną drogę, zmierzając w stronę kolejnego gospodarstwa z listy. Wkrótce wśliznęli się w odstęp pomiędzy niemieckimi wozami wojskowymi jadącymi w konwoju. Trząsał się grunt pod stopami, drobne kamyki przyskały na trawiaste pobocze, niskopodwoziowe przyczepy wiozące czołgi i artylerię wiły się wstęgą na wschód w kierunku Krakowa.

Wiejskie plotki okazały się prawdziwe. Niemcy nacierali, spełniały się najstraszniejsze groźby Hitlera. Wielka Brytania wypowiedziała Niemcom wojnę, a życie większości ludzi na ziemi już nigdy nie będzie takie samo. Albo bezpośrednio dotknie ich ta bezmyślna obojętność wojny na ludzkie cierpienie, albo będą przyglądać się jej w przerażeniu z oddali, niezdolni do ogarnięcia rozumem skali i siły wydarzeń.

Wieś Węgrzyn licząca dwustu dwudziestu sześciu mieszkańców przestała istnieć jeszcze przez zapadnięciem zmierzchu.

10

Odzyskawszy przytomność, Danuta z bólem podniosła się na prawy bok. Sądząc po panującej wokół ciszy, Niemcy odeszli. Z rany na szyi dochodził specyficzny zapach miedzi, ale po chwili lekki podmuch wiatru zastąpił go gryzącym smrodem spalenizny. Gdy spojrzała w kierunku domu, ujrzała jedynie stertę tłących się belek i popiołu.

Wraz ze wspomnieniem wydarzeń ostatnich godzin do oczu napłynęły jej łzy: wdzierający się do domu Niemcy, huk w korytarzu, gdy zastrzelili dziadka. Potem

kroki, ciężkie wojskowe buty walące w deski podłogi, zmierzające prosto do pokoju, który dzieliła z siostrą – po drodze zatrzymały się jednak pod sypialnią babci. Stłumione głosy, trudno o pewność, ale nie miała wątpliwości, że usłyszała krzyk, a po nim strzał. Chwilowa cisza. Przerazająca pauza. I znów ciężkie kroki na drewnianej podłodze.

Zamknęła wtedy oczy, wyskoczyła z łóżka i dała nura do szafy, łapiąc po drodze na wpół śpiącego psa. Może to intuicja, w każdym razie babcia uparła się, by tamtej nocy pies spał w pokoju dziewcząt. Kapustek nie protestował. Artretyzm praktycznie uczynił go kaleką, do tego był głuchy, jednak przez lata pracował w gospodarstwie na swoje utrzymanie i teraz z zadowoleniem korzystał z drobnych wygod i cieszył się poświęcaną mu uwagą. Minęło piętnaście lat, od kiedy sąsiad zjawił się ze szczeniakiem, najsłabszym z miotu, ale Lech nie miał mu czym zapłacić. „Jedynie, co mamy, to warzywa. Mogę dać ci w zamian za tego kundla kapustę, tyle, ile uniesiesz”. I tak psa nazwano Kapustkiem ze względu na walutę, w jakiej za niego zapłacono. Aдекватnie.

Dygocząc ze strachu w szafie, Danuta nagle uzmysłowiła sobie, że siostra wciąż jest w łóżku. Danuta zawsze miała lekki sen, a Ania była jej całkowitym przeciwieństwem – nie obudziłoby jej nawet trzęsienie ziemi. Co rano Danuta wstawała pierwsza zaraz po otwarciu oczu, za to siostra uwielbiała się wylegiwać i nic jej tak nie cieszyło jak przytulanie Kapustka i wykradanie dodatkowych minut ciepła, zwłaszcza w zimie.

Drzwi sypialni otworzyły się z impetem w tej samej chwili, gdy Danuta chowała się w szafie. Jedną ręką zamknęła za sobą drzwi, drugą dłonią chwyciła mordkę psa. Słyszała krzyk niemieckiego żołnierza wyciągającego Anię z łóżka. Po raz ostatni usłyszała głos siostry, gdy ta wrzeszczała, wleczona przez korytarz. Zabrali Anię, jej Anię, a Danuta nie zrobiła nic, by jej pomóc.

Miała wrażenie, że siedzi w tej szafie wieczność, zastanawiając się, co robić. Na korytarzu zapanowała cisza, ale przed domem wciąż było słyhać głosy. Niemieckie głosy. Złowrogie. Czmychnęła przez okno najszybciej, jak umiała, a potem zdała sobie sprawę, że zostawiła w szafie Kapustka. Chciała po niego wrócić, wtedy jednak znów załomotały kroki pod drzwiami sypialni. Błyskawicznie kucnęła, a chwilę później padły kolejne strzały. Kiedy zebrała się na odwagę, by zajrzeć do środka, zobaczyła jedynie sączącą się z szafy krew.

Oszołomiona usiadła w kucki pod oknem, a po chwili znów doszły ją podniesione głosy sprzed domu. Była boso, w koszuli nocnej, w przenikliwym zimnie, ale intuicja podpowiadała, żeby wziąć nogi za pas. Zwinność i wysportowanie działały na jej korzyść, wkrótce znalazła się w połowie łąki. Do drzew było już niedaleko, na trawie leżały butwiejące resztki ostatnich jesiennych liści – ścieżka czerwieni, oranżu i żółci ułożona przez nocny wiatr, prowadząca ją

ku bezpiecznej kryjówce. Ziemia zrobiła się śliska od liści, a poranny mróz i wszechobecne krowie placki zamieniły ją niemal w lodowisko. Kilkakrotnie myślała, że się przewróci, i w końcu tak się stało, dokładnie w chwili, gdy usłyszała z tyłu trzask karabinu.

Pośliznęła się na krowim łajnie. Coś świsnęło w powietrzu, poczuła pieczenie w barku, tuż przy szyi. Nogi fiknęły w górę i Danuta runęła na zimną, moką trawę, zaplątując się we własne kończyny.

Pamiętała, że coś w lesie przykuło jej uwagę, uniosła głowę, chcąc zobaczyć, co to – jakieś zwierzę, może jeleni? Albo żołnierze? Wtedy poczuła okropny ból i straciła przytomność.

Nie miała pojęcia, jak długo tam leżała, ale kiedy się ocknęła, słońce było wyżej na niebie, a z domu dziadków zostały jedynie poczerńiałe zgliszcza. Można było rozpoznać tylko jedną część: murowany komin.

Potem wyczuła ruch. Słyszała dudnienie ciężkich kroków na ziemi, jej ciało podrygiwało w ich rytm. I wszystko było do góry nogami. Ona była do góry nogami, chyba na czyimś ramieniu. Wkrótce poczuła, jak ktoś opuszcza ją na ziemię i ciężko dyszy przy jej uchu. Skrzywiła się i krzyknęła z bólu, widząc nad sobą konary drzew. W tym miejscu było ciemno, wilgotno, powietrze pachniało sosnowymi igłami i zgnilizną. Leżała na kocu rozkładających się liści i paproci, które kłuły przez koszulę nocną. Kiedy próbowała odwrócić głowę, chcąc zobaczyć, kto ją tu położył, znów poczuła dotkliwy ból od barku do szyi.

I po raz drugi tego dnia zrobiło się jej ciemno przed oczami.



Wszędzie tam, gdzie docierała ciężarówka, sprawy toczyły się według podobnego schematu. Zjeżdżali z głównej drogi, tłukli się wąską, wyboistą dróżką do kolejnego gospodarstwa, gdzie witały ich niespokojne, badawcze spojrzenia. Schroder zjawiał się ze swoją podkładką w towarzystwie kościstego Brauna, wymieniano słowa po polsku i niemiecku. Ci, którzy nie figurowali na liście, byli natychmiast likwidowani. Niezwłocznie, bez negocjacji, bez targowania się, a już na pewno bez litości. Kobiety, dzieci, starcy – dla esesmanów nie miało to większego znaczenia. Ania zbyt często musiała chować głowę w dłonie, gdy na jej oczach dokonywano kolejnej rzezi. Nie dało się zagłuszyć błagań i nieuchronnie następujących po nich odgłosów wystrzałów. A po nich zalegała ta koszmarna cisza.

Karl Braun wykonywał bieżące zadania ze skutecznością i obojętnością równie przerażającą, co bezwzględna. Zachowywał się jak na strzelnicy

w wesołym miasteczku, tyle że zamiast strzelać do rzędów kaczek, zabijał niewinnych, nieuzbrojonych polskich rolników i ich rodziny.

Od czasu do czasu zachodził na tył ciężarówki i patrzył na Anię takim wzrokiem, jakby szukał u niej uznania – *zobacz, co zrobiłem!* Opanowywała przemożną chęć obrzucenia go gradem obelg, a on śmiał się głośno, widząc jej minę.

W pewnym momencie zaczął narzekać na ziąb. Po rozstrzelaniu mieszkańców wszedł ponownie do domu, chwilę później wyłonił się stamtąd w rękawiczkach z naręczem robionych na drutach swetrów i szalików, które wrzucił do ciężarówki obok Ani, ona jednak nie była w stanie ich tknąć.

Na następnym postoju obserwowwała ze zgrozą, jak Schroder wywleka z domu drobną staruszkę i zaciąga ją do ogrodu od frontu. Była to pani Pawłowska, powszechnie lubiana prababcia, której rodzina uprawiała to samo pole od stu z górą lat. Schroder zostawił ją klęczącą na zimnie, pilnowaną przez Brauna, a sam znów zniknął we wnętrzu domu. Ania patrzyła na podarte pończochy staruszki, na jej trzęsące się dłonie i drżące sine wargi, ale nie potrafiła spojrzeć kobiecie w oczy. Nic nie zdołałoby przygotować Ani na to, co stało się później.

Gdy pani Pawłowska klęczała i się modliła, Braun nonszalanckim krokiem zaszedł ją od tyłu, a następnie strzelił prosto w potylicę. Krew rozprysła się łukiem w powietrzu, głowę staruszki gwałtownie odrzuciło w tył, ciało z podwiniętymi nogami osunęło się do przodu, wykrwawiając się na skutej mrozem ziemi.

Braun odwrócił się, jego oczy na ułamek sekundy zwały się ze spojrzeniem Ani. Strzelały niespokojnie na wszystkie strony jakby gdzieś w głębi czaszki, bawiąc się w chowanego z jej emocjami. Kąciki ust Brauna wygięły się w górę w ironicznym uśmiešku, który zmroził Anię. Po jego odejściu zwymiotowała za burtę ciężarówki.

To nie był koniec tej masakry. Chwilę później inny Niemiec zjawił się w drzwiach wraz z panem Pawłowskim. Staruszek zdołał mu się wyrwać, gdy ujrzał zwłoki żony. Szybko pokuśtykał ścieżką i wyraźnie roztrzęsiony rzucił się na jej ciało. Zalany łzami patrzył Braunowi w twarz i błagał jak dziecko:

– Proszę, proszę.

Braun po raz drugi nonszalancko podniósł broń i nacisnął spust. Między oczami pana Pawłowskiego pojawiła się plamka krwi, usta drgnęły i wykrzywiły się w grymasie przypominającym niemal uśmiech wdzięczności, po czym starszy mężczyzna na wieki dołączył do żony.

Ania widziała te okropieństwa na własne oczy, a gdyby dzień wcześniej ktoś jej powiedział, że będzie świadkiem takich rzeczy, nigdy by nie uwierzyła. Do tej

pory sądziła, że grzechem jest kłamać, ukraść jabłko ze straganu, odszczekiwać mamie, ale to? To wykraczało poza grzech.

Ania знаła wiele rodzin, których domy i gospodarstwa odwiedzano tamtego dnia. Niektórych kojarzyła z targu albo ze szkoły, o innych opowiadali jej dziadkowie lub matka, zwykle z życzliwością, ponieważ ludzie ci należeli do porządnej, uczciwej i pracowitej społeczności polskich rolników. Byli filarem kraju.

W trakcie dalszej podróży do Ani dołączały inne młode kobiety, wszystkie odhaczone na liście Schrodera. Po selekcji podpalano ich domy, za każdym razem używając miotacza ognia. W kilku przypadkach było jasne, że w budynkach znajdują się żywi ludzie, raz Ania była świadkiem, jak starszy mężczyzna w płomieniach wyskoczył przez okno. Jego twarz wyrażała kompletną dezorientację, nie umiałaby tego inaczej opisać. Kucnął przed nią na ziemi, zgięty bólem, w płonących ubraniach, przypalana skóra krwawiła i pokrywała się pęcherzami.

Niemcy zdawali się całkowicie nieporuszeni. Patrzyli na niego beznamiętnym wzrokiem i pozwolili mu dogorywać tam, gdzie leżał, osmalone kończyny poruszały się z trudem w powolnych podrygach niedobitego owada, oni tymczasem zajmowali się dalej swoimi ważnymi sprawami. Szaleństwo.

Kiedy zapadł zmrok i ziąb zaczął wsączać się przez plandekę ciężarówki, siedziało w niej dwanaście młodych kobiet. Podczas całej podróży prawie się nie odzywały ani nie zwracały na siebie nawzajem uwagi, każda sparaliżowana strachem i kłębiącymi się w głowie myślami. Komunikowały się jedynie poprzez złąknione spojrzenia. Co się z nimi stanie? Nawet kiedy jedna z młodszych dziewcząt cierpiąca na chorobę lokomocyjną zaczęła wymiotować, nie padło ani jedno słowo, tylko jedna z kobiet przesiadła się, by delikatnie przytrzymać głowę dziewczyny i zapewnić jej odrobinę wygody.

Dla kobiet był to straszny dzień, ale najwyraźniej zmęczył także Niemców, kiedy bowiem po zmroku zatrzymali się pod kolejnym gospodarstwem, z ulgą przyjęli perspektywę zasłużonego odpoczynku.

11

Jeden z żołnierzy obszedł ciężarówkę, opuścił klapę z tyłu i zapalił papierosa, dzieląc się nim z kolegą, który siedział wcześniej naprzeciwko Ani. W trakcie

rozmowy mężczyźni od czasu do czasu zerkali na kobiety, to się uśmiechając, to kiwając głowami.

Ania przez cały dzień zdołała utrzymać miejsce przy burcie ciężarówki. Pejzaż migał jej przed oczami, zacierając się w zimną szarość, główne drogi dławily się od wojskowych konwojów i obłoków spalin. Sporadycznie ukazywał się jej oczom dziwaczny widok w postaci wypchanego ludźmi i ich dobytkiem wozu zaprzęzonego w konie, mozolnie posuwającego się naprzód razem z pojazdami opancerzonymi; transportery wojskowe oraz ogromne działa wlekły się za niskopodwoziowymi przyczepami, na które załadowano czołgi. Pomimo rozgrywającego się wokół koszmaru chwilami odpływała myślami do domu dziadków i do siostry. Gdzie jest Danuta?

Nagle z boku ciężarówki pojawił się Schroder z dobrze już jej znaną podkładką pod pachą. Przystanął, zamienił kilka słów z Braunem, przeciągnął się, ziewnął, poprawił mundur i ruszył do drzwi wiejskiego domu.

Braun zgasił papierosa i powlókł się za Schroderem. Drzwi otworzyły się w chwili, gdy znaleźli się kilka kroków od nich.

Na tle żółtego światła zarysowały się sylwetki dwóch postaci. Po krótkiej rozmowie Braun pomaszerował z powrotem do ciężarówki. Powiedział coś do strażnika, a chwilę później Anię wraz z resztą kobiet stłoczono na poboczu drogi.

Po wyładunku zaprowadzono je do ciasnego wydzielonego pomieszczenia w środku dużej stodoły. Kilka krów przyglądało się im z umiarkowanym zainteresowaniem.

Ania znalazła się obok kobiety, którą rozpoznała, nauczycielki imieniem Emilia.

– Uczyłaś moją siostrę Danutę, prawda? – zapytała, gdy obie przerzuciły siano, moszcząc sobie wygodne miejsce do spania.

– Tak, Danuta była moją uczennicą. Utalentowaną w większości konkurencji lekkoatletycznych, ale największe nadzieje pokładaliśmy w biegu na sto metrów. Uważaliśmy, że pewnego dnia zakwalifikuje się na olimpiadę.

Rozmowa się urwała i kobiety przytuliły się do siebie pod splamioną krwią kołdrą dziadka, by było im ciepłej. Prócz chłodu dawały im się we znaki głód i pragnienie, ale żadna nie ośmieliła się podejść do Niemców i zapytać o dostęp do jedzenia albo wody.

Jeden ze strażników, którego pozostawiono przy otwartych drzwiach stodoły, rozglądał się za jakimś miejscem do siedzenia. Naburmuszony zapalił papierosa, podczas gdy jego trzej koledzy ulokowali się wygodnie w ciepłym domu.

Schroder zajadał się wyśmienitym gulaszem wołowym, który pani Lipszyc ugotowała dla swojego męża Jakuba. Lipszycowie siedzieli w kuchni przy jednym końcu długiego sosnowego stołu, a Schroder spożywał kolację przy drugim,

wyraźnie rozbawiony ich obecnością. Pani Lipszyc wodziła wzrokiem za łyżką Schrodera, która zanurzała się w misce, a później wędrowała do ust. Śledziła jej ruch przy każdym kolejnym kęsie. Co się stanie, kiedy gość opróżni miskę? Od pół roku regularnie czytała gazety – wiedziała, co Niemcy myślą o takich jak ona i jej mąż.

Pani Lipszyc postanowiła zaproponować Schroderowi dokładkę.

– Może jeszcze trochę gulaszu dla pana? Podać?

– Podać. Rzeczywiście bardzo smaczny. – Uśmiechnął się, odsunął od siebie miskę, a następnie zwrócił się do pana Lipszyca. – Pańska żona doskonale gotuje, panie Lipszyc! – Z pozoru dobry nastrój Niemca w żaden sposób nie złagodził panującego w kuchni zdenerwowania. – Mogę zapytać, co to za mięso, pani Lipszyc?

Ze strachu małżonkowie odpowiedzieli oboje na raz: pan Lipszyc zbyt szybko powiedział „wołowina”, a pani Lipszyc – „baranina”.

Niemiec się roześmiał.

– Krowobaran, co? W Niemczech takich nie ma, ale tutaj w Polsce, przy waszym chowie wsobnym, wcale mnie to nie dziwi! – Znów głośno się roześmiał, natomiast pan Lipszyc patrzył surowo na żonę, zachęcając, by przyłączyła się do tej wesołości, ale przede wszystkim pozwoliła mu prowadzić rozmowę.

Braun i kierowca siedzieli z dala od stołu przed huczącym ogniem, posilając się znalezionymi w spiżarni ciastkami i serem. Zanieśli je także swojemu koledze pełniącemu wartę pod stodołą i przystali na sugestię pani Lipszyc, która chciała dać kobietom trochę czerstwego chleba i resztek ze stołu.

– Przyda im się woda. To kobiety. Kobiety potrzebują się umyć – odezwała się z szacunkiem do strażnika, on jednak zbył ją machnięciem ręki, pałaszując jedzenie.

Panu Lipszycowi udało się rozluźnić atmosferę wyjęciem butelki brandy, którą niemal radośnie wywijał w powietrzu.

– My się nie raczymy alkoholem, ale rozumiemy tę potrzebę w takich okolicznościach. Proszę się częstować, proszę.

Schroder przyjął butelkę, otworzył, powąchał zawartość, nalał odrobinę do szklanki, po czym podsunął ją gospodarzowi.

– Skąd mam wiedzieć, że nie dosypał mi pan trucizny, *Herr Lipszyc*?

– Dlaczego miałbym robić coś takiego naszym nowym panom? Popieramy Führera. *Heil Hitler!* – Błyskawicznie wyprostował prawe ramię w sposób tak absurdalny, że jego żona wykrzywiła twarz, a Schroder się uśmiechnął.

Niemiec podetknął panu Lipszycowi szklankę brandy.

– Pan pierwszy.

Lipszyc zerknął na żonę, szukając u niej wsparcia, ona jednak wciąż była wściekła za to hitlerowskie pozdrowienie. Wyglądało na to, że nie miał wyboru. Schroder dał znak, żeby pił.

– No dalej, *prost, prost!*

Mężczyzna spojrział na szklanę, nerwowo zamrugał powiekami i powoli podniósł ją do ust. Schroder podtrzymał ją od spodu palcem wskazującym, przechylając w taki sposób, by trunek wlał się prosto do gardła Lipszyca. Ten posłusznie przełknął alkohol. Wymienili spojrzenia, pan Lipszyc przewrócił oczami, wznosił je do sufitu, a potem dostał ataku kaszlu, który pozbawił go sił.

– Jak już mówiłem, my nie pijemy. Nie używamy alkoholu, chyba że leczniczo albo w celach obrzędowych – wyrzeził.

Żona zbyt energicznie poklepała go po plecach, przyprawiając go o kolejny napad. Schroder nie mógł pohamować śmiechu.

– *Gutte? Gutte, ya?* Dobrze... tak się to u was mówi, prawda?

Pan Lipszyc skinął głową, kaszląc i popijając małymi łydkami podaną mu przez żonę wodę, a Schroder nalał sobie dużą szklanę i machnął butelką brandy w stronę dwóch żołnierzy.

Szybkie przeszukanie sąsiedniego pokoju ujawniło stary bakelitowy radioodbiornik. Pokręciwszy gałką, Schroder złapał stację ze skoczną muzyką. Trzeszczące dźwięki orkiestry przełamały napiętą atmosferę w kuchni, którą zalewało teraz przytulne żółte światło płonącego ognia. Swoje zrobiła też rozgrzewająca brandy.

Dziesięć minut później Schroder zjawił się pod drzwiami stodoły z drugą szklaneczką brandy w dłoni oraz szerokim uśmiechem na twarzy. Powiedział strażnikowi o trunku, sugerując, by poszedł do domu i się poczęstował, „zanim ta moczymorda Braun opróżni butelkę”. „Tylko nie zabaw tam za długo!” Żołnierz oddalił się w mgnieniu oka, a Schroder skorzystał z okazji, by dokładnie przyjrzeć się kobietom.

Zaczął przywoływać je do siebie, machając ramionami.

– Ustawcie się w rzędzie, *kommen*, ustawcie się przede mną, moje panie!

Schroder emanował pewnością siebie, nie musiał krzyczeć ani grozić. Był apodyktyczny, więc kobiety natychmiast utworzyły dwa rzędy, między którymi przechadzał się nieco chwiejnym krokiem. Kobiety starały się za wszelką cenę unikać kontaktu wzrokowego, ale Schroder od czasu do czasu przystawał, mierzył którąś wzrokiem od stóp do głów, a potem kiwał głową, jakby przedstawiał się na przyjęciu.

Zakończywszy inspekcję, odrzucił pustą już szklanę, wyjął z kabury pistolet i ruszył prosto do Ani. Kilka starszych, o wiele bardziej doświadczonych kobiet wystawiło Anię na wyeksponowaną pozycję w pierwszym rzędzie. Uświadomiła

sobie, że jest na widoku. Schroder uśmiechnął się do niej podczas inspekcji, wiedziała więc, że wpadła mu w oko. Teraz stał tuż przed nią.

– Imię?

– Ania Burczyk – odpowiedziała zbyt raptownie i wyraźnie zadrżała, gdy podniósł pistolet, przyłożył lufę pod jej lewą pierś, powoli unosząc ją i opuszczając, jakby oceniał jakość. Z aprobatą pokiwał głową, następnie przeniósł uwagę na jej twarz.

– Aniu Burczyk, masz dziwne oczy. Jedno niebieskie, jedno brązowe. Kocie oczy.

Stała ze wzrokiem wbitym w ziemię, nie reagując na ten komentarz.

– Podobają mi się. Bardzo mi się podobają. No! Czas spełnić obowiązek dla kraju, moja mała polska kocico.

Ze strachu oczy Ani zrobiły się wielkie jak spodki, gdy Schroder złapał ją za łokieć i zaczął wyprowadzać ze stodoły. Za ich plecami nieoczekiwanie odezwał się kobiecy głos.

– Przepraszam, ale muszę coś powiedzieć. Powiadomić o czymś, co może wpłynąć na pański dzisiejszy wybór. – Emilia spojrzała najpierw na Anię, a potem znów na Schrodera. – Muszę pana uprzedzić, że ona ma okres.

Schroder stanął jak wryty.

– Tak?

– Tak.

Emilia wystąpiła z szeregu, podniosła rąbek koszuli nocnej Ani, by pokazać wielką czerwonawobrazową plamę na tkaninie. Schroder nie mógł wiedzieć, że to krew jej dziadka, która pobrudziła koszulę, kiedy dziewczynę wleczono korytarzem nad jego zwłokami, w każdym razie tyle wystarczyło, by go zniechęcić. Puścił łokieć Ani i ustawił się przed Emilią.

– A ty kim niby jesteś, jej ginekologiem?

– Mam na imię Emilia, proszę pana. Emilia Karpińska. Jestem jej kuzynką – odważnie skłamała. – Jest bardzo młoda, proszę pana, nie rozumie i boi się odezwać. Nie chcę, by przez miesiączkę zepsuła panu wieczór.

– Należy ci się chyba nagroda. Jeszcze raz, jak się nazywasz?

– Emilia, proszę pana. Emilia Karpińska. – Kobiecie drgnął kącik ust, pozostawiając Schrodera w niepewności, czy to nerwowy uśmiech, czy coś uwodzicielskiego.

– W takim razie jej strata, twój zysk, Emilio Karpińska, kuzynko i ginekologu dziewczyny o kocich oczach. Idziesz ze mną!

12

Rano następnego dnia, godzinę po tym, jak słońce zdołało przedrzeć się przez ciężkie chmury zasnuwające niebo niczym wielkie kłęby bawełnianej waty, Emilia wróciła do stodoły. Ominęła Anię, podeszła prosto do pompy.

Tej nocy zabrano jeszcze jedną dziewczynę, dużo młodszą od Emilii i znacznie mniej doświadczoną, tę, która cierpiała na chorobę lokomocyjną. Braun zawłókł ją, wrzeszczącą i wierzgającą, do domu.

– Nie chcę iść z tym śmierdzącym niemieckim draniem!

Choć dziewczyna była wątłej postury, słabowita, o bladej cerze, walczyła jak lwica, gdy Braun usiłował zaciągnąć ją do domu. W końcu kilkakrotnie uderzył ją w głowę, próbując wyperswadować opór, ona jednak szarpała się nadal, póki nie zadał jej mocnego ciosu pięścią w twarz. Dopiero wtedy się uspokoiła.

Braun włókł dziewczynę, która krwawiła z nosa i rozciętej wargi. Choć wyglądała na bardzo kruchą, broniła się zaciekle, a sądząc po dochodzących ze środka odgłosach, opierała się jeszcze przez kilka godzin. Jej krzyki i wrzaski było słychać do późnej nocy, a potem nagle wszystko ucichło. Strażnik spojrział w stronę okna na piętrze i wzruszył ramionami, a Ania wymieniła z niemogącymi zasnąć kobietami niespokojne spojrzenia.

Była siódma rano, gdy z domu wyłonił się Schroder, poprawił mundur i spojrział w niebo, by sprawdzić pogodę. Państwo Lipszycowie stali nerwowo przy drzwiach, jakby chcieli podziękować za wizytę i życzyć szczęśliwej podróży.

Ciężarówka zazgrzytała i ożyła, w powietrze strzeliły obłoki spalin, kobiety zagnano pod plandekę. Braun zjawił się w ostatniej chwili, prowadząc młodziutką dziewczynę o bladej, posiniaczonej i zakrwawionej twarzy. Skrzywiła się z bólu, gdy wepchnął ją na tył ciężarówki. Ta sama kobieta, która pocieszała ją poprzedniego dnia, przytuliła sponiewieraną dziewczynę i się rozplakała. Ania zajęła swoje miejsce przy burcie, obok niej usiadła milcząca Emilia.

Żegnając się z gospodarzami, Schroder sprawiał wrażenie człowieka przyzwoitego i sympatycznego. Zwyczajowo stuknął obcasami, poprawił czapkę i się uśmiechnął.

– Panie Lipszyc, pani Lipszyc, muszę podziękować państwu za gościnę. Pobyt u państwa był dla nas bardzo udany.

Ania widziała, jak twarze starszego małżeństwa rozluźniają się z ulgą. Ocaleli. Będą mogli opowiadać o tym dniu rodzinie i przyjaciołom, o nadętym i okrutnym zachowaniu Niemców wobec nieszczęsnych młodych kobiet.

– Goszczenie pana, panie pułkowniku, było dla nas zaszczytem.

Pan Lipszyc pomylił rangę, ale przynajmniej poszedł we właściwym kierunku. Schroder szczerze się uśmiechnął na ten błąd.

– Ależ panie Lipszyc, cała przyjemność po mojej stronie. Jeszcze raz dziękuję.

Ponownie strzelił obcasami, energicznie uniósł ramię w hitlerowskim pozdrowieniu, odwrócił się i skinął głową do Brauna, po czym odmaszerował do szoferki oczekującej ciężarówki.

Ze swego stanowiska przy tylnej klapie Ania widziała, że Braun się z czymś zмага – jakby z jakimś sprzętem. Twarz miał skierowaną w przeciwną stronę, kolana ugięte, mocował się z karabinem. Klął pod nosem, słyszała też metaliczne trzaski i postukiwania. Spojrzała dalej, ponad jego głową i dostrzegła przerażone miny żydowskiego małżeństwa. Pani Lipszyc wytrzeszczyła oczy i rozchyliła usta. Mąż uspokajającym gestem objął ją ramieniem. Widać było, jak drżą mu dłonie.

Braun w końcu się wyprostował.

– No, wreszcie!

I wtedy Ania się zorientowała, że Braun majstrował przy zamku karabinu maszynowego. Zdecydowanym ruchem dłoni, po którym rozległ się głośny metaliczny szczęk, załadował magazynek. Tuż po tym nastąpił ogłuszający huk, a państwo Lipszycowie wykonali groteskowy taniec, gdy kule rozrywały ich kruche ciała i siekły framugę drzwi za ich plecami. Hukowi wystrzałów towarzyszyły trzask rozłupywanego drewna oraz smród dymu z lufy.

Niespełna minutę później Braun wrócił do ciężarówki. Mijając Anię, zauważył jej otwarte usta i pytające spojrzenie: „Dlaczego?”. Wiedział, co ona sobie myśli – istniało wyjaśnienie, ależ oczywiście.

– *Juden* – rzucił, kręcąc głową. – *Juden*.



Kiedy Danuta ocknęła się po raz drugi, było już późne popołudnie. W powietrzu czuła chłód i wilgoć, które kojarzyły się jej z rzeką. Podłoże jakby delikatnie się zakołysało, gdy przekręciła głowę, przygotowując się na gwałtowny ból barku. Wtedy padł na nią jakiś cień, usłyszała szczęk odbezpieczanej broni, a tuż potem mówiący po niemiecku głos:

– A cóż my tu mamy, he? Czyżby polską dziewicę... jeśli coś takiego w ogóle istnieje?

Powiodła wzrokiem wzdłuż lufy karabinu wymierzonego w jej głowę i ku ogromnej uldze dostrzegła na drugim końcu znajomą twarz.

– Krzys Paderewski?

Odpowiedź padła już po polsku.

– Tak.

– O co chodzi z tym fałszywym niemieckim akcentem?

– Ostrożności nigdy nie za wiele, prawda? – Krzyś się roześmiał, pomagając Danucie usiąść. Rodzina Danuty znała Paderewskich od wielu lat, gospodarzyli po sąsiedzku, w trudnych czasach dzielili się sprzętem i wodą.

– Jak bark? – zapytał.

– Boli – przyznała, poruszając ręką i wykrzywiając przy tym twarz.

– Masz szczęście, że to ja cię znalazłem.

Krzyś opowiedział Danucie, że kiedy tropił jelenia w lesie, usłyszał strzały i widział z oddali wszystko, co zrobili Niemcy. Był sam, nie mógł nic zrobić, a jedynie patrzeć.

– Widziałem, jak biegłaś w stronę drzew, potem huknął strzał, a ty upadłaś. Zaniósłem cię do lasu i opatrzyłem ranę najlepiej, jak umiałem. Byłem pewien, że jesteś bezpieczna, pobiegłem więc do domu, by ostrzec rodziców przed Niemcami, ale okazało się, że jest już za późno. – W tym momencie zwiesił głowę i mówił do własnych stóp. – Patrzyłem, jak odjeżdżają, a później znalazłem rodziców.

Krzyś zaczął płakać, Danuta przysunęła się do niego i objęła go zdrowym ramieniem. On ciągnął szeptem:

– Wisieli w sadzie na jabłoni. Wyobrażasz to sobie? Posadzili to drzewo ponad pięćdziesiąt lat temu z okazji rocznicy ślubu.

Głośno pociągnął nosem i zamknął oczy, obraz ciał dyndających na starej, sękiej jabłoni wrył mu się w pamięć.

Krzysia dręczyły wyrzuty sumienia, że nie zdążył do domu przed Niemcami. Może zdołałby pomóc, jakoś zaradzić sytuacji. Albo przynajmniej podjąć próbę, a tymczasem pozostawił starych, bezbronnych rodziców zdanych tylko na siebie. Niemcy szukali jego siostry, a jej nie było wtedy w domu. Jedyne, co pomogło Krzysiu usmierzyć poczucie winy i żal, to fakt, że mógł się na coś przydać, gdy znalazł leżącą pod lasem Danutę i zabrał ją na barkę. Myśli dziewczyny zaczęły dryfować w kierunku domu, do tego, jak skryła się na zewnątrz pod oknem sypialni, podczas gdy Niemcy przeszukiwali izby. Czy powinna oddać się wtedy w ich ręce? Może dzięki temu byłaby teraz razem z Anią. Albo by nie żyła, tak jak dziadkowie. A ona uciekła. Zawisło nad nią ciężkie poczucie winy, zagłuszając śpiew ptaków w koronach drzew porastających brzeg rzeki oraz łagodny plusk wody obmywającej burtę łodzi.

– Nie jest tak źle, jak się wydawało na początku. – Krzyś przełknął łyżę i ponownie obejrzał ranę Danuty. – Kula najwyraźniej ominęła łopatkę, myślę, że za kilka tygodni wszystko się zagoi. Musimy uważać, by nie wdała się infekcja i tyle.

Nabój przeszył na wylot wyłącznie tkanki miękkie, gładko i równo. Rana była głębsza niż powierzchowna, ale nie poważna. Nie wyrządziła żadnych większych szkód – nic, czego nie zaleczyłby czas.

Gdy Krzyś poprawiał opatrunek, jego palce muskały nagą skórę Danuty, dłonie spoczęły tam na chwilę nieco zbyt swobodnie. W innych okolicznościach mogłoby się coś między nimi wydarzyć, jednak szok i smutek przytłaczały ich oboje. Krzyś przerwał niezręczną ciszę:

– Danuto, jadę do Krakowa, wstępuję do Armii Krajowej. Już nic mnie tu teraz nie trzyma.

– Do czego?

– Do podziemnych sił zbrojnych w Krakowie. Muszę zabijać Niemców.

– Ach tak? A jak zamierzasz się tam dostać? Zabierzesz się autostopem z niemieckim konwojem? – zapytała z nutą sarkazmu.

– Popłynę rzeką.

– Czy ta barka nie za bardzo rzuca się w oczy?

– Ta stara łajba nie dopłynęłaby nawet do najbliższego zakola. Nie, będę wiosłował. Z tyłu jest przycumowana łódź wiosłowa. To z niej skorzystam. Zamierzam trzymać się dopływów. Znam pewną trasę, gdzie rzeka tworzy rozlewiska i wije się starorzeczami w stronę miasta. – Ból po stracie rodziny przepełnił Krzysia żelazną determinacją. – To długa droga, ale wiem, że dam radę.

– I zrobisz to całkiem sam, tak? Ocalisz Polskę w pojedynkę?

Głos Danuty złagodniał. Cechował ją pewien zdrowy rozsądek, nieczęsty w tak młodym wieku, który bardzo jej się przyda w nadchodzących tygodniach. Wyraźnie chciała dołączyć do Krzysia.

– Moi przodkowie bili się z Rosjanami w tysiąc osiemset trzynastym i możesz być pewna, że teraz walczą z Niemcami. Tak już mamy i jest to także mój obowiązek, moje powołanie.

Danucie rozbłysły oczy.

– Och, o jednym zapomniałeś w tych swoich wielkich planach. Potrzebny ci ktoś, kto czasem coś ugotuje i przejmie wiosła. We dwoje podróżuje się różnie niż w pojedynkę. W grupie bezpieczniej.

– Masz kogoś na myśli? – Krzyś czuł, na co się zanosi.

– Mogę gotować, a kiedy podgoi się bark, mogę też wiosłować. Poza tym dobre ze mnie towarzystwo.

– To nie jest wakacyjny rejs po rzece...

– Potrafię też strzelać. Prawdopodobnie lepiej od ciebie!

Danuta kłamała. Jej kontakt z bronią palną ograniczał się do trzymania w rękach starego sztucera dziadka, gdy kilka lat temu zabrał ją na polowanie na

zające. Była jednak przekonująca, gdy patrzyła na Krzysia swoimi jasnoniebieskimi oczami – w tamtej chwili uwierzyłby w każde jej słowo.

– Mam jakiś wybór? – zapytał.

– Nie, jeśli umiesz dbać o własną skórę – odparła.

– Wobec tego się poddaję! – Podniósł ręce do góry i niechcący uderzył przy tym Danutę w ramię, a ona zawyła z bólu. – Myślę, że powinniśmy odczekać kilka dni, tutaj, na rzece. Przez pewien czas powinniśmy być tu bezpieczni, ale musimy wyruszyć niebawem. Skoro chcesz do mnie dołączyć, pospiesz się z tym powrotem do zdrowia.

13

Obóz pracy przymusowej w Wiśnicy trzydzieści kilometrów na wschód od Krakowa, miasta, którego początki, jak wynika ze źródeł, sięgają dziesiątego wieku, zaczynał wywierać wpływ na lokalną ekonomię i mieszkańców. Utworzony do obsługi gigantycznego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau ogromnie ożywił miejscowy czarny rynek.

Poza dostarczaniem drewna i wapna obóz zapewniał również siłę roboczą dla Auschwitz, towar, którego co prawda nie brakowało, ale na który nieustannie panowało zapotrzebowanie, zwłaszcza jeśli był dobrze wykwalifikowany, sprawny i gotowy do pracy. Wielu majątnych przemysłowców utworzyło już fabryki w samym Oświęcimiu i okolicach, obiecywano im bowiem darmową siłę roboczą, i to pod dostatkiem, a jedynym jej kosztem miało być skromne wynagrodzenie dla lokalnych komendantów SS.

Zanim ukończono prace w obozie w Wiśnicy, na miejsce przyjechał architekt, który miał nadzorować ekipę miejscowych rzemieślników wznoszących luksusowy dwukondygnacyjny budynek na obrzeżach obozu. To stamtąd nowy komendant Obersturmbannführer Baldric Fischer miał rządzić swoim imperium.

Żona podpułkownika przybyła na miejsce tuż po zakończeniu budowy, by się rozejrzeć i rzucić okiem na personel. Kiedy jednak zobaczyła cały teren, pomysł zamieszkania tam na kilka lat wraz z ukochanymi dziećmi, tak blisko tych odrażających więźniów, nie przemówił do jej wrażliwej natury, wobec czego już następnego dnia powróciła do Berlina. Zgodnie z planem dwadzieścia cztery godziny później na miejscu zjawiała się polska przyjaciółka komendanta, Krystyna Byłok.

Większość niemieckich oficerów służących za granicą brała sobie lokalne dziewczyny na kochanki. Nie sprzeciwiano się temu na przykład we Francji i Belgii, ponieważ takie związki były aprobowane przez Berlin. Natomiast w Polsce niemiecka ideologia surowo zabraniała spoufalania się z miejscowymi kobietami. Na szarym końcu znajdowały się Żydówki, a zaledwie poziom wyżej plasowały się Polki, uważane za zwykłe kretyнки nadające się do służenia Rzeszy jedynie w najbardziej prymitywny sposób. Krzywo patrzono na romans niemieckiego oficera z polską kobietą i poczytywano taki związek za hańbę.

Oczywiście tu i ówdzie łamano zasady, a wysocy rangą oficerowie, którzy trafili do Polski, skrętnie utrzymywali w tajemnicy swoje dziwki i przyjaciółki. W końcu w następstwie poprawki do norymberskich ustaw rasowych aktywność seksualną między Niemcami a Polkami zaczęto uważać nie tylko za dopuszczalną, ale także konieczną – był to w gruncie rzeczy rodzaj transakcji handlowej. Zmiana ta otworzyła niemieckim żołnierzom drzwi do legalnego odwiedzania polskich domów publicznych. Fischer nazywał tę nową poprawkę „ustawą o metodach i środkach” i ucieszył się, gdy naczelne dowództwo w Berlinie w końcu ugięło się pod presją wywieraną przez niego samego oraz innych wyższych stopniem oficerów. Krystyna „Tina” została natychmiast zaprezentowana publicznie.

Główna sypialnia nowego domu miała rząd wygodnie usytuowanych przeszklonych drzwi wychodzących na przestronną werandę, która zapewniała schronienie przed lodowatymi podmuchami zimowych wiatrów ciągnących od rzeki i przenikających niepostrzeżenie niczym złodzieje do okolicznych lasów. Dodatkowo przez większą część dnia weranda łapała promienie słońca i Tina mogła opalać się tam topless nawet wczesną jesienią.

Strażnicy z wieży obserwacyjnej, z której roztaczał się widok na dom, nadali jej przydomek „Cycata Tina” i czasem, gdy prognozy zapowiadały ciepłą i przyjemną pogodę, kupowali sobie prawo do pełnienia dziennej warty. Tinie schlebiało to zainteresowanie, choć zawsze udawała, że nie jest świadoma obecności podglądaczy. Bądź co bądź, jej główna rola sprowadzała się do bycia piękną i zawsze dostępną oraz kojenia stresu towarzyszącego pracy komendanta obozu. Zajmowała się dogadzaniem Baldricowi (czy też Baldy’emu, jak go czasem czule nazywała).

Tak jak większość polskich kochanek w tamtych czasach, Tina miała w zanadrzu drobne „coś”, co było jej kartą przetargową. Obiecała Baldricowi, że odda się pewnej czynności seksualnej dopiero wtedy, kiedy sama poczuje, że jest na nią gotowa, nie wcześniej. Oczywiście sporadyczna rozrzutność z jego strony mogła pomóc w zmiękczeniu jej stanowczości i gdy w końcu dawała się namówić, zapewniała swojego amanta, że nie będzie rozczarowany. Wszystko było kwestią

odpowiedniego momentu. „Bądź cierpliwy, Baldy, kochany, bądź cierpliwy i hojny...”

Fischer nie szczędził Tinie podarunków, miała do dyspozycji samochód z kierowcą dostępny o każdej porze dnia i nocy, założył jej też rachunki klienta w najlepszych butikach i pasmanteriach, jakie Kraków miał do zaoferowania. Znał się na dobrych rzeczach, a Tina bez wątplenia należała do tej kategorii.

Żona Fischera bardzo różniła się od Tiny i już na samym początku ich związku jasno postawiła sprawę: wszelkie formy aktywności seksualnej uważa za wstrętne, acz konieczne do spełnienia małżeńskiego obowiązku. Podczas współżycia zachowywała się w sposób oziębły i konwencjonalny, ale było to małżeństwo z rozsądku, ponieważ pani Fischer miała koneksje, z których jej mąż skwapliwie korzystał.

Obersturmbannführer Fischer był znienawidzony przez większość osób z bliskiego kręgu Hitlera. Jego stopień wojskowy znacząco przewyższał ten kojarzony zwykle z komendantem małego obozu pomocniczego; przecież Rudolf Hoess, komendant Auschwitz, był ledwie kapitanem, gdy mianowano go na to stanowisko. Czarę goryczy przelał fakt, że Führer osobiście przyznał Fischerowi Krzyż Żelazny pierwszej klasy, mimo że takie zaszczyty były zwykle zarezerwowane dla służących na froncie. Zdaniem niektórych Fischer nie służył nigdy nawet w kantynie, a co dopiero na linii ognia, acz tego rodzaju komentarze wypowiadano zwykle w ściśle wyselekcjonowanym gronie, ze złośliwym uśmieszkiem.

Fischer miał w sobie coś, co wprawiało najbliższych doradców Hitlera w zakłopotanie, dlatego traktowali go zawsze z powściągliwym szacunkiem. Na biurku i stoliku nocnym Fischera stały fotografie przedstawiające go w towarzystwie Evy, Führera i jego psa Blondi odpoczywających w Berghof, prywatnej rezydencji Hitlera w Alpach Salzburskich, osobiście podpisane przez wodza. Stanowiły wystarczający dowód – jakby w ogóle taki był potrzebny – wyjątkowych koneksji Fischera. Himmler, Göring, Goebbels, Speer oraz inni także mieli obowiązkowe fotografie z Führerem, ale żadnego z nich nie łączyła z nim taka zażyłość jak Fischera, co wszystkim spędzało sen z powiek.

Fakt ów najbardziej irytował Adolfa Eichmanna, ponieważ Führer powierzył mu nadzór nad wszystkimi obozami w Europie i kategorycznie nakazał „opiekować się moim bliskim przyjacielem Baldrikiem”.

Osoba Fischera nieustannie drażniła Eichmanna, przyrównywał go nawet do „kamyka w bucie, którego nie można się pozbyć”. Wydawało się, że czasem sam Führer nie wiedział, czy się uśmiechać, czy gniewnie marszczyć czoło, gdy nazwisko Fischera padało na zebraniach strategicznych lub podczas planowania. Nawet ściśle tajne śledztwo przeprowadzone przez Gestapo nie znalazło

wytłumaczenia błyskawicznej kariery i dominacji Fischera ani jego wyjątkowej relacji z Führerem. I nie znajdzie, ponieważ dowody bezpiecznie spoczywały w miejscu znanym wyłącznie Fischerowi.



W próbie zdystansowania się od zadania nianczenia Fischera Eichmann celowo zmienił strukturę zależności służbowej w taki sposób, by Fischer musiał raportować do Hoessa w Auschwitz, a nie bezpośrednio do niego. Fischer wpadł w furję, natychmiast zatelefonował do Hitlera, domagając się zmiany wytycznych, lecz Führer o niczym nie chciał słyszeć. Oznajmił, że nie może i nie zamierza cofnąć decyzji Eichmanna. Byłoby to postrzegane jako kumoterstwo i nie spodobałoby się „Berlinowi”. Jeśli Führer w cokolwiek wierzył, to w biurokrację, nad której stworzeniem tak ciężko pracował.

Fischer zdał sobie sprawę, że reszta „wąskiego grona wtajemniczonych” tylko czyha, by go zdeprecjonować przy każdej możliwej okazji, zaczął więc chronić się przed reperkusjami sprawowania rządów w Wiśnicy. Nie zawsze osobiście dokumentował ważne sprawy – kazał innym podpisywać się pod nakazami egzekucji i pilnował, by pod wszelkimi kontrowersyjnymi pismami składał w jego imieniu podpis jego sekretarz – zawsze będzie mógł utrzymywać, że o niczym nie wiedział, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Zaprzestał też bezpośredniego mieszania się do przyspieszonych egzekucji, gdy tylko było to możliwe – w końcu zabijanie to rzecz niska i kłopotliwa, więc najlepiej zrzucić ją na barki osób bardziej się do tego nadających: zasoby ludzi o zimnych oczach i jeszcze zimniejszych sercach wydawały się w SS niewyczerpane.



Ściany w gabinecie Fischera były wyłożone dębową boazerią, ozdobione swastykami oraz wspinałym portretem olejnym Führera. Dzieło zostało skopiowane przez znanego polskiego artystę z fotografii zrobionej podczas jednego z licznych porywających przemówień Hitlera w Monachium. Tina była zdumiona, widząc obraz po raz pierwszy.

- Wygląda jak fotografia, Baldy! Niemal widać pory na skórze Führera!
- Rzeczywiście, widać pory, ale nie są to pory Führera – oznajmił Fischer rzeczowym tonem.
- Och... – Tina wzięła głęboki oddech, by nie zwymiotować. – Chryste!

Artysta, który tak wiernie namalował podobiznę wodza, był obecny przy odsłonięciu dzieła. Zabił się tego samego wieczoru, wiedząc, że jego nazwisko pozostanie na zawsze uwiecznione w prawym dolnym rogu „płótna” wykonanego z ludzkiej skóry.

Fischer był zapalonym fajczarzem, dołączył tym samym do elitarnego i czasem pogardzanego klubu, do którego zaliczali się tacy luminarze jak Einstein i słynny niemiecki teolog Rudolf Bultmann. Dla fajczarzy nie istniały granice narodowe, acz podczas przyjęć unoszono brwi, gdy Fischer napomykał, że Stalin, Alexander Graham Bell, a nawet Sherlock Holmes, brytyjska postać literacka, także należeli do grona znanych miłośników fajki.

Na gzymsie kominka w gabinecie stał stojak z sześcioma ulubionymi fajkami, a wśród nich tylko jedna była niemieckiej produkcji: Vauen. Fischer chlubił się zwłaszcza brytyjską Royale Supreme, rzeźbioną ręcznie w korzeniu wrzośca, z charakterystycznym cybuchem z czystego srebra. Fajka pozwalała Fischerowi się wyróżniać; ludzie zapamiętywali go z przyjęć jako „mężczyznę z fajką” i był to wystarczająco dobry powód, by w nich uczestniczyć.

Przez kilka dni w tygodniu Fischer siedział niczym najwyższy sędzia za wielkim dębowym biurkiem, spokojnie wypuszczając kłęby tytoniowego dymu, wydając wyroki, rozkazy egzekucji, polecenia, śląc dyrektywy i rozsyłając pisma. Niektórzy mieli go za niewydarzonego starego durnia, ci jednak, którzy weszli mu w paradę lub spojrzeli na niego w niewłaściwym momencie, szybko zaczęli bać się komendanta.

Dla Berlina liczyły się statystyki; w ostatecznym rozrachunku chodziło o liczby. Co miesiąc musiał dostarczyć określoną liczbę ton wapna, miał te cyfry pod ręką, gdzieś na biurku, dzielił je na plany tygodniowe, następnie dzienne, a potem podwajał. To samo dotyczyło tartaku. Drzewa (głównie sosny i brzozy) wycinano w lasach obficie porastających region i pozbawiano gałęzi poza terenem obozu. Następnie pnie ciągnięto do tartaku, gdzie cięto je na deski albo słupki, zależnie od zamówienia.

Siła robocza była głównym towarem Fischera. Konsekwentnie dostarczał najsilniejszych, najsprawniejszych robotników do fabryk i kompleksów przemysłowych wokół Auschwitz, produkujących uzbrojenie oraz wyroby gumowe na potrzeby wojny. Wymagająca praca w Wiśnicy wydawała dobrych pracowników; nikt w to nie wątpił. Czasem Fischer obserwował ich osobiście: wszyscy uwijali się jak w ukropie, by uniknąć bicia, sprintem wbiegali na rampy z taczkami wypełnionymi wapnem, ładowali je do czekających wagonów kolejowych. Jeśli więzień się pośliznął albo tracił siły i nie mógł kontynuować pracy w wymaganym tempie, natychmiast się nim „zajmowano” i zastępowano go innym.

Wysokie standardy narzucone przez Fischera wydawały najlepsze owoce – był to jego znak firmowy. Od czasu do czasu odwiedzał strefę załadunku na stacji kolejowej, wydawał kilka rozkazów przyspieszonych egzekucji, następnie przechodził do tartaku, gdzie tempo pracy w cudowny sposób przyspieszało, ponieważ wieść o jego rychłej wizycie rozchodziła się błyskawicznie.

Lubił te obozowe inspekcje, czerpał przyjemność ze strachu, jaki wzbudzał.

– Czuję w sobie taką moc. Patrzą na mnie tak, jakbym był Bogiem – powiedział kiedyś do Tiny.

– Bo tutaj jesteś Bogiem – odparła.

Nigdy nie przestawał bawić go widok, jak jakiś rabin albo wielki polski uczony, artysta czy nauczyciel z wielkim wysiłkiem próbują pogodzić się z prawdziwą pracą. Wiśnica idealnie zrównywała Polaków i Żydów, lecz nic nie sprowadzało ich na ziemię tak skutecznie, jak ich uniformy. Snując się w swoich pasiakach, wyglądali w oczach całego świata niczym ludzkie wersje zwierząt z dziecięcych książek o historii naturalnej. Nic dziwnego, że miejscowi, widząc transporty w Wiśnicy, nazywali ich „zebrami”.

Widok więźniów nieco mniej bawił obozowych gości, zwłaszcza z bliska, gdy widać było wszy łączące po ich ubraniach i ciałach. I te ich odrażające zęby. Boże, jak oni śmierdzieli, ci ludzie-zebry! Byli oczywiście Żydami, większość z nich – polskimi Żydami, owszem, niemniej Żydami – i miejscowi traktowali ich odpowiednio. Dla niektórych wojna była katastrofą, dla innych zwykłą niedogodnością. Ale zdarzali się i tacy, wcale nie odosobnieni, dla których wojna stanowiła fantastyczną okazję. Wszystko sprowadzało się do tego, kogo się znało i komu można było posmarować.



Fischer spędzał mnóstwo czasu na studiowaniu obozowej działalności. Wskaźniki produkcyjne (tony wapna, metry drewna) wyglądały doskonale, miał całkowitą pewność, że trudno byłoby o lepsze. Ale jeśli chodzi o siłę roboczą, statystyki aż tak bardzo go nie zadowalały. Za każdym razem gdy jednostka „zawiodła”, trzeba było ją „przerobić” i zastąpić inną – kosztowny interes! Nowe jednostki wymagały przeszkolenia, wpojenia dyscypliny... wdrożenie ich do reżimu pracy wymagało czasu, a czas to pieniądz. Najbardziej irytowały Fischera koszty ponoszone, gdy jednostka zawiodła. Koszt wyżywienia był oczywiście symboliczny, ubranie dało się wykorzystać powtórnie, ale przerób? Przerób okazał się kosztowny. Wycofanie jednostki z produkcji i jej przerobienie – komora gazowa, krematorium, a potem jeszcze kwestia pozbycia się tego, co zostało. Wszystko to kosztowało! Dużo lepiej było sprzedać sprawną jednostkę któremuś

z lokalnych przemysłowców, ponieważ wtedy to oni poniosą koszty pozbycia się jej, gdy w końcu się zużyje. Ale przemysłowcy nie byli głupi, negocjując koszt siły roboczej.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, w końcu oni wszyscy się zużyją, prawda, Baldric? I o to właśnie chodzi, czyż nie?

Była to loteria – na każde tysiąc jednostek przybywających w jednym transporcie Fischer musiał najpierw odsiać co najmniej osiemset, z których nie byłoby żadnego pożytku! Już samo to stanowiło poważny problem, jako że wielkość transportów rosła z dnia na dzień, zaś w przeciwieństwie do Auschwitz jego oceniano na podstawie tego, co dostarczył, a nie czego się pozbył.

Z około dwustu jednostek, które przeszły selekcję, niespełna pięćdziesiąt stawało w końcu na wysokości zadania i trafiało do pracy w fabrykach w Auschwitz. Wydajność na poziomie niecałych pięciu procent była zdaniem Fischera zbyt niska.

W przeciwieństwie do wielu swoich kolegów z SS Fischer uważał się za mędrca nowego porządku. Hoess, podobnie jak większość, wierzył w dyscyplinę, by wycisnąć z robotników jak najwięcej, a z tym Fischer nie miał żadnego problemu – do pewnej granicy. Ostatecznie nie ma nic złego w przyspieszonej egzekucji raz na jakiś czas, sam stosował tę taktykę. Trzymała robotników w ryzach. Ale po co bić człowieka, który przykładowie pracuje? Po co składać w ofierze jego wydajność, skoro trzeba potem ponieść koszt pozbycia się go? Dlaczego nie nagradzać tych najlepszych? Dawać im marchewkę zamiast kija.

Istniały na to sposoby i Fischer był przekonany, że w rezultacie produktywność znacznie by się zwiększyła. W głowie komendanta kiełkował nowy radykalny pomysł, taki, który wywrze głęboki wpływ na funkcjonowanie całej sieci obozów koncentracyjnych w Europie. A gdyby tak zdołał udowodnić Führerowi, że jego idea się sprawdza, miałby zagwarantowane miejsce w berlińskim bunkrze.

14

Danuta i Krzyś pozostali na barce jeszcze przez kilka dni. Spędzali czas na łowieniu ryb, jedzeniu, rozmowach, odzyskiwaniu sił oraz próbach pogodzenia się z najświeższą przeszłością. Wspomnienia ze szczęśliwszych czasów wywoływały czasem śmiech, ale myśli spowijał głównie mrok. Trudno było uwierzyć, że w tak krótkim czasie ich życie radykalnie się zmieniło. Już nic nigdy nie będzie takie samo, a „normalność” nie istniała.

Choć Krzys nie miał żadnych konkretnych dowodów, był pewien, że cała rodzina Danuty zginęła z rąk Niemców. Nie znalazł żadnych kości w strawionych ogniem szczątkach jej rodzinnego domu, ale jednocześnie nie znalazł właściwie nic prócz popiołu, zwęglonych kawałków drewna i pokruszonych cegieł. Ogień musiał mieć wielką niszczycielską siłę; dwa dni później wciąż tliły się gruzy, uniemożliwiając dokładne przeszukanie. Mimo wszystko Danuta nie traciła nadziei; gdzieś w głębi serca czuła, że Ania żyje.



Krzys był zapalonym biegaczem przełajowym, szkolnym mistrzem.

– Nigdy się nie ścigaliśmy, prawda? – zapytał Danutę.

– Nie – odparła. – Dziewczyny nie mogły rywalizować z chłopakami. Nie pozwalały na to szkolne przepisy, żebyśmy okrutnie was nie upokorzyły!

W zadziornym charakterze Danuty było coś, co odpowiadało Krzysowi. Cały Węgrzyn wiedział, że Paderewscy to przywoici i bezstronni ludzie, którzy traktują innych tak, jak sami chcieliby być w życiu traktowani. Ale nie daj Boże wyrządzić im jakąś krzywdę! Tylko na własne ryzyko, ponieważ Paderewscy nigdy nie wybaczały, nigdy nie zapominali, a już na pewno nigdy się nie poddawali.

Wedle wiedzy Krzysia był on jedynym mężczyzną z wioski, który ocalał, i teraz bardzo ciążyła mu odpowiedzialność. Jakoś dziwnie wydawało mu się, że ojciec bezwiednie przygotował go na to, co miało nadejść. Jednak Krzys był jeszcze bardzo młody, miał niewielkie doświadczenie. Miał też w sobie gniew i determinację, ale czy to wystarczało?



Zima rozgościła się na dobre, choć typowe dla późnych zimowych miesięcy gwałtowne śnieżycy jeszcze nie nadeszły. Słońce jakby miało ochotę pozostać godzinę lub dwie dłużej nad lodowatymi mgłami zbierającymi się przy rzece u schyłku dnia. Danuta spędzała czas na barce, ciepło opatulona na pokładzie, i dochodziła do zdrowia, Krzys zaś udawał się w tym czasie na rekonesans do zrujnowanej wsi, przynosząc czasem coś do jedzenia, rzadziej jakiś napitek, a za każdym razem smutne opowieści.

Zastał tam całkowite spustoszenie. Większość domów doszczętnie spłonęła, wszędzie leżały truchła zwierząt domowych i gospodarskich. Ale zdecydowanie najgorsze były ciała osób, które Krzys znał, które kochał i szanował,

podziurawione od kul, leżące we własnej krwi, z przerażeniem wyrytym na pustych twarzach. To wszystko było kompletnie pozbawione sensu.

Krzyś pogrzebał każde ciało, na które się natknął. Ból pleców i pęcherze na dłoniach tylko wzmożyły jego determinację i chęć szukania sprawiedliwości. Po kilku dniach uznał, że zrobił wszystko, co się dało, a potem zabrał Danutę na zgliszcza jej dawnego domu, gdzie w końcu trafili na dowody zbrodni. Zakopał kilka zwęglonych kości oraz trzy czaszki. Czy jedna z nich należała do Ani?

Stali przy małym drewnianym krzyżu i z niedowierzaniem patrzyli na to, co zostało z pożogi. Nie popłynęły łzy. Krzyś podniósł wzrok do nieba.

– Niemcy za to zapłacą. Przynajmniej ci, Boże, tak jak stoję tu przed tobą, mając Danutę za świadka. Niemcy zapłacą.

Następnego popołudnia po kolejnej wizycie we wsi Krzyś przybiegł na baręk zdyszany i zaniepokojony. Po okolicy krążył na motocyklu z przyczepą mały niemiecki patrol. Niemcy zatrzymali się, obejrzelik świeże groby, rozejrzeli się dokoła, uświadamiając sobie, że nadal ktoś tam jest.

– Czas ruszać w drogę. Jestem pewien, że Niemcy wkrótce powrócą. Będę wiosłował, ale potrzebuję twojej pomocy. Jak myślisz, dasz radę?

– Oczywiście – zapewniła, wykonując okrężne ruchy rannym barkiem.

Jak na tak młodą osobę Danuta miała w sobie stanowczość, której mogłoby jej pozazdrościć wiele starszych od niej kobiet. Młode, wysportowane ciało odzyskiwało siły, wspomagane pragnieniem pomszczenia doznanych krzywd. Wiedziała, że niektórzy urodzili się po to, by dokonać w życiu wielkich rzeczy, naprawiać zło i zostawić po sobie ślad. Chciała do tego grona dołączyć.

W przeddzień rozpoczęcia ich eskapady Krzyś otworzył butelkę wódki. Wieczorne niebo rozjaśniała niezwykła poświata, ciężkie śniegowe chmury przywarły do linii horyzontu, zatrzymując nikłe resztki ciepła i nie przepuszczając przejmująco zimnego wiatru, jakby specjalnie dla nich. Młodzi przytulili się do siebie pod brezentową plandeką na pokładzie barki, Krzyś wziął do ręki szklanę, trącił się nią z Danutą i wzniósł toast:

– Na zdrowie!

– Na zdrowie! Za wyprawę, podczas której uwiecznimy pamięć dynastii Jagiellonów. Śmierć teutońskim rycerzom!

– Co? Komu śmierć? Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ale i tak oddaję honory tobie i Jagiellonom! – powtórzył toast i wypił do dna.

Zgodnie ze zwyczajem Danuta poszła za jego przykładem. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Uparła się, że nauczy Krzysia co nieco historii, choć plątał się jej język i widziała podwójnie.

– Nie słyszałeś o bitwie pod Tannenbergiem? Czego cię uczyli w szkole, ty ciemny polski kmiecie?

– Jak śmiesz nazywać mnie kmiotem? Jestem chłopem i w dodatku z tego dumnym!

– No wwaśnie.

– A więc za ciemnego polskiego kmiota i jego świetnie wykształconą rycerkę, Danutę Burczyk!

– Na zdrowie!

Danuta zatoczyła się w bok. Krzyś złapał ją w ramiona, chroniąc przed upadkiem, i przez chwilę nie wypuszczał z objęć. Poczerwieniał ze wstydu.

– Przepraszam – bąknął.

– Nie ma za co – powiedziała Danuta, odsuwając się i unikając jego wzroku.

15

Ciężarówka wioząca kobiety posuwała się z kłopotem w kierunku wschodnim, a w Opolu nagle skręciła na południe. Podróż przerywano od czasu do czasu, by strażnicy mogli rozprostować nogi, pójść za potrzebą, zapalić i uzupełnić paliwo. Jeśli przy drodze napotymano strumień albo opuszczony dom, pozwalano kobietom zająć się ich kobiecymi sprawami.

Tamtego ranka przejeżdżali przez kilka zrujnowanych miasteczek. Widzieli oszołomionych ludzi wałęsających się bez celu ulicami albo siedzących przy drodze z nieobecnym wzrokiem, patrzących w ziemię albo w niebo.

Miejscowość, w której dolewali paliwa do baku i której nazwę usunięto z drogowskazów na samym początku blitzkriegu, nie została całkowicie zdewastowana. Część budynków zachowała się w nienaruszonym stanie, choć sąsiadowały z takimi, które w każdej chwili mogły się zawalić, poszatowane kulami i pociskami. Ciche smugi dymu wiły się z pobliskich kominów, wychudzone psy węszyły wokół stosów cegieł, ludzie o posępnych obliczach szukali w gruzach okaleczonych budynków utraconego dobytku, zwierząt domowych i bliskich.

Na kawałku nieużytku pomiędzy dwoma zniszczonymi domami dwie kobiety zauważyły stertę zakrwawionych ciał zwalonych bezładnie niczym gigantyczne bierki. Ze stosu sterczały tu i ówdzie kończyny, tu noga, tam ręka, a w końcu pojawiła się też twarz o niewidzących oczach. „No i na co się tak gapicie?” Dopiero wtedy kobiety dostrzegły kolejne ludzkie zwłoki. Zwisające z konarów drzew, leżące chaotycznie pod ścianą, pośród zgłiszcz, zastygłe w makabrycznych pozach. Ręka wystająca z gruzów, która jakby chciała zacisnąć się w pięść

w ostatnich męczarniach przed śmiercią. Tak wiele martwych ludzi. Tak wiele koszarów, które miały dopiero nadejść.

Napotykały także martwe zwierzęta przy drodze, rozdęte, spęczniałe, gotowe lada chwila pęknąć; większość leżała na boku albo grzbiecie, ze sztywnymi, wycelowanymi w górę łapami, stężałe po śmierci.

Kilka bezpańskich psów nie miało już siły uganiać się za wynędzniałymi, parchatymi kotami, które wciąż błąkały się pośród resztek roztrzaskanych budynków będących niegdyś ich domem. Wszystko pokrywała warstewka ceglanego pyłu – drzewa, krzewy, zwierzęta, ludzi – zdawało się, że całe miasteczko jest jak sparaliżowane. Nawet ptaki milczały. Kobiety w ciężarówce nie rozmawiały o tym, czego były naocznymi świadkami w tym anonimowym miejscu; wystarczyła świadomość, że te widoki i zapachy będą nawiedzać je za każdym razem, gdy tylko zamkną oczy, aż do chwili, gdy uczynią to po raz ostatni.

Gdy strażnicy byli zajęci wlewaniem do baku paliwa z kanistrów, Ania dostrzegła skleconą prowizorycznie szubienicę na dziedzińcu pobliskiej szkoły. Pięć świeżo powieszonych ciał kołysało się łagodnie, poruszanych lekkim wiatrem późnego poranka.

– Muszę do toalety – powiedziała do strażnika.

– A to pech – odparł, nie podnosząc nawet wzroku.

– Naprawdę muszę i to już. Wasza sprawa, jeśli chcecie, żebym zrobiła to w ciężarówce. Wy też będziecie musieli znosić ten smród.

Wtedy przewrócił oczami i ruchem głowy wskazał krzak.

– Idź tam, gdzie będę cię miał na oku.

Zeskoczyła z ciężarówki i pobiegła za krzaki, kucnęła, zadarła koszulę nocną. No proszę, wypróżnia się w miejscu publicznym. Jej matka spaliłaby się ze wstydu. Ania też się wstydziła. Gdy podniosła oczy, ujrzała zasmarkaną dziewczynkę z kołtunem na głowie, ubraną w wysłużoną żółtą sukienkę. Dziecko, najwyżej pięcioletnie, patrzyło na nią.

Odwróciwszy głowę, zażenowana Ania zorientowała się, że dziewczynka wcale nie patrzy na nią. Tylko dalej, na ustawionych rzędem mężczyzn w podobnych czarnych strojach. Stali za rowem czy okopem, który sądząc po ich ubłoconych butach i łydkach, własnoręcznie wykopali. Każdy z nich trzymał łopatę grubo oblepioną szarą gliną.

Mężczyźni wyglądali dość nietypowo. Obcokrajowcy, wywnioskowała. Niektórzy mieli brody, inni dziwne kapelusze i pejsy zwisające po obu stronach twarzy. Za to wszyscy mieli w oczach strach. Niektórzy kołysali się, stojąc, mamrocząc lub monotonnie intonując jakieś dziwne słowa, których nie mogła dosłyszeć, była jednak pewna, że nie mówią jej ojczystym językiem.

Przycupnięta za żywoplotem Ania przyłapała się na tym, że sama zaczyna się kołysać, podłapując cichy rytm. Dziecko też się kołysało, poruszało ustami, wypowiadało bezgłośnie słowa, wpatrzone w rozgrywającą się przed nim scenę szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami.

Zjawił się inny mężczyzna ubrany formalnie w garnitur. Sądząc po jego zachowaniu, musiał być jakimś urzędnikiem. Przechadzał się wzdłuż rzędu dziwnych mężczyzn, kłaniał się, kiwał głową w komiczny z pozoru sposób i odbierał łopaty. Następnie złożył je u stóp niemieckiego oficera, który stał w czapce i płaszczu z wypolerowanymi guzikami, dumnie prezentując order, w pysznej pozie, z dyszącym u boku wielkim dobermanem. Niemiec wyglądał poważnie, służbowo, miał zaciśnięte usta, lekko rozszerzone nozdrza. Nagle Ania z niewiadomego powodu zwróciła uwagę na jego rękawiczki: nieskazitelne, eleganckie, pięknie odszyte z miękkiej czarnej skóry.

Mężczyzna, który dostarczył oficerowi łopaty, stanął na baczność i wykrzyknął:

– Sprzęt zwrócony zgodnie z rozkazem.

Uniósł ramię w hitlerowskim salucie, co w jego wydaniu wyglądało dość komicznie. Ania aż uśmiechnęła się na widok tej absurdalnej scenki.

Następnie Niemiec zaczął powoli, metodycznie zdejmować swoje piękne rękawice. Najpierw jedną, potem drugą. Palec po palcu. Majestatycznie. Rozpoczął od kciuka, kończył na małym palcu. Rytuał ściągania rękawiczek z obu dłoni zajął mu kilka minut. Przez cały ten czas obcokrajowcy patrzyli przed siebie, nadal się kołysząc, nadal mamrocząc swoje niewysłuchane modlitwy lub pieśni. Gdy Niemiec skończył, podał rękawiczki drobnemu mężczyźnie, który odebrał je w szalenie służbisty sposób, wciąż stojąc na baczność w oczekiwaniu na dalsze instrukcje.

To, co nastąpiło później, było tak straszne, że wstrząśnięta Ania chciała odwrócić głowę, zamknąć oczy i odsunąć od siebie ten widok, który zarazem zdawał się do niej wołać: „Patrz... patrz na to, proszę”.

Nie wierzyła w to, co rozgrywało się przed jej oczami. Czegoś podobnego nie byłaby w stanie sobie wyobrazić, dlatego widząc, że to się dzieje naprawdę, nie umiała odwrócić wzroku pomimo potworności tej sceny oraz ulgi, którą odwrócenie wzroku by przyniosło. *Boże, proszę, powiedz mi, że to nie jest prawdziwe, powiedz, że śnię i spraw, bym obudziła się we własnym łóżku z Kapustkiem ogrzewającym mi stopy.*

Tego nie ma, prawda? Nie. To niemożliwe. To się wcale nie dzieje, to tylko wyobraźnia, zły sen. Nie widzi, jak niemiecki oficer przesuwa się za rzędem obcokrajowców o osobliwym wyglądzie, jak podnosi pistolet i strzela każdemu z nich w potylicę.

Wcale tego nie widziała, prawda? Nie widziała, jak dziurawione kulami głowy odskakują w tył, nie widziała, jak mężczyźni wpadają do wykopanego przez siebie rowu. Dlaczego wyobraźnia podsuwa jej takie okropieństwa? Dlaczego śni jej się ten koszmar? Kiedy wreszcie się obudzi?

Dotarłszy do przedostatniego mężczyzny, Niemiec zrobił przerwę, powoli rozpiął płaszcz, sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął nowy magazynek. Opróżniony schował do kieszeni. Zapiął guziki, włożył nowy magazynek, wysunął go ponownie i mocnym, zdecydowanym ruchem ponownie go docisnął.

W tym czasie komiczny człowieczek w garniturze patrzył przed siebie jak w transie, na nic nie reagując. Jeden z dwóch pozostałych przy życiu obcokrajowców odwrócił się i coś powiedział, następnie stanął twarzą do rowu i nakreślił na piersi znak krzyża. Ania widziała, jak cały się trzęsie – gwałtownie porusza ustami. Widziała, jak drżą mu powieki i mięśnie twarzy, niemal widziała krople potu nad górną wargą, gdy modlił się i kołysał na piętach w przód i w tył. Nie próbował uciekać ani się bronić. Wydawał się dziwnie zrezygnowany, pogodzony ze swoim losem. Ania aż podskoczyła, słysząc donośny huk wystrzału. Ofiara jakby znieruchomiała na krawędzi rowu, więc Niemiec podniósł prawą stopę i strącił mężczyznę do wykopanego dołu.

W końcu oficer stanął za ostatnim z mężczyzn i kompetentnie pozbawił go życia w taki sam sposób jak jego poprzedników. Wszyscy obcokrajowcy leżeli już w rowie. Dziesięć strzałów. Dziesięciu mężczyzn. Dziesięć istnień ludzkich. Już ich nie ma. Pozostało jedynie miejsce, w którym stali jeszcze przed chwilą.

Śmieszny człowieczek w garniturze czekał cierpliwie, aż Niemiec schowa broń do skórzanej kabury i zapnie kilka zatrzasków, zabezpieczając pistolet. Następnie oficer wyciągnął wyprostowaną prawą dłoń: sygnał dla człowieczka w garniturze, by energicznym gestem podał mu piękne skórzane rękawice. Niemiec najpierw starannie je obejrzał i, usatysfakcjonowany ich wyglądem, zaczął je zakładać równie powoli, jak wcześniej zdejmował, tak jakby oddawał się jakiemuś ważnemu rytuałowi.

Ania, wciąż nie dowierzając, stała jak wryta z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami, gdy nagle padł na nią złowrogi cień. Przyszedł po nią strażnik z ciężarówki.

– *Raus, raus!*

Nie mogła oderwać wzroku od dziwnej sceny przed oczami: niemiecki oficer, drobny urzędnik i martwi mężczyźni w rowie. Strażnik podążył za jej spojrzeniem.

– *Kommen* – dodał lekko ściszone głosem, ciągnąc ją za sobą.

W drodze do ciężarówki Ania uzmysłowiła sobie, że mała dziewczynka zniknęła, za to człowieczek w garniturze wciąż nadskakiwał Niemcowi. Gdy się

odwrócił, zauważyła na jego szyi łańcuch czy coś w rodzaju herbu. Drobnym mężczyzną okazał się burmistrzem miasteczka.

Po zajęciu miejsca pod plandeką ciężarówki Ania powiedziała do Emilii:

– Okropnie się wstydzę.

– Nie masz się czego wstydzić, Aniu. Nie twoja wina, że tu jesteś. I nie nasza.

Lecz Ani nie dręczył wstyd z powodu pojmania jej przez Niemców. Wstydziła się bycia człowiekiem, naocznym świadkiem tego, do czego zdolni są ludzie.

– Emilio, kiedy skończy się ten koszmar, co będziemy o sobie myśleć? Powiedz, czy warto przetrwać ten potworny czas, jeśli później ludzkość nie stanie się lepsza?

Ciężarówka nagle ożyła i ze szczękiem ruszyła z miejsca. Ania zajmowała swoją pozycję przy kłapie z tyłu. Tym razem miała zaciśnięte usta, w jej oczach pojawił się przelotny wyraz determinacji. Musi żyć dla Danuty. Po wojnie będą potrzebowały siebie nawzajem; była pewna, że Danuta uważałaby tak samo. Danuta na pewno żyje – musi żyć. Ania nigdy nie porzuci nadziei.

16

Podróż ciągnęła się w milczeniu przez kilka kolejnych godzin. Czasem ciężarówka dołączała do dużego konwoju i wlokła się razem z nim, kiedy indziej była jedynym pojazdem na drodze. Zwykle jechało przed nią kilka innych; jeden czy dwa małe transportery, motocykl z przyczepką albo samochód służbowy wypełniony umundurowanymi oficerami. Za to ciągle spotykało się uchodźców. Niektórzy pchali przed sobą taczki załadowane dobytkiem, stare kobiety szły w chustach na głowie, inne miały wózki wyładowane dziećmi i kurami, raz w wózku jechała koza, innym razem prosię. Myślały, że będzie im lepiej na wschodzie, z dala od Niemców? Czy w Kielcach było bezpieczniej niż w Poznaniu? A może powinny wybrać Lublin?

Każde miejsce było lepsze od tego, w którym się znajdowały, ot co. Nie miały mężczyzny u boku, którzy by się nimi opiekowali, musiały więc robić to, co uważały za najbezpieczniejsze dla dzieci i osób w podeszłym wieku. Uciec jak najdalej od Niemiec i niemieckiej granicy, taki miały plan. Skąd miały wiedzieć, że gdziekolwiek pójdą, Niemcy już tam będą?

Po trzech godzinach milczenia Ania odezwała się jako pierwsza:

– Jeśli kiedykolwiek będę musiała zrobić coś dla Niemców, odmówię.

– Taka duma może skończyć się dla ciebie śmiercią.

Emilia była starsza. Rozumiała.

– To nie duma, tylko przyzwoitość. Trzeba odróżniać dobro od zła, a dziadkowie zawsze mi powtarzali, że dzięki temu wiadomo, jakim jest się człowiekiem, dobrym czy złym. Teraz wiem, co mieli na myśli.

– Ale można też być żywym albo martwym. O tym także pamiętaj, Aniu. Już niedługo możesz znaleźć się w sytuacji, kiedy będziesz musiała zrobić, co ci każą. Gdy nadejdzie ten dzień, nie będziesz miała innego wyboru, jak tylko zapomnieć o moralności, ponieważ Niemcy nie kierują się szlachetnymi zasadami, a i czasy nie są etyczne.

Obie kobiety w milczeniu wpatrywały się w kłęby kurzu unoszącego się spod tylnych kół ciężarówki, która podskakiwała i trzęsła się na drodze prowadzącej nie wiadomo dokąd. Niebo nadal zasnuwały chmury, lecz śnieg z uporem nie chciał spaść. Było cieplej niż ostatnio, ziemia czekała na pierzynę białego puchu. Siedzący naprzeciwko Ani strażnik patrzył nieprzejednanie, nie przejmował się już kondycją swoich butów. Głośno pociągnął nosem, po czym splunął za burtę.



Młoda dziewczyna pobita poprzedniego wieczoru przez Brauna była w kiepskim stanie. Miała zapuchnięte oczy i najprawdopodobniej złamaną szczękę. Kilka kobiet starało się ją pocieszać, było jednak oczywiste, że jej obrażenia to coś więcej niż kilka siniaków i rozcięta warga. Na następnym postoju spróbują poszukać jakiejś pomocy medycznej. Może w szoferce mają apteczkę?

Ciężarówka w końcu zatrzymała się z kłopotem na wyboistej drodze w środku niczego. Zaorane pola ciągnęły się jak okiem sięgnąć, wzdłuż szosy rosły żywopłoty. Kobietom pozwolono wysiąść. Braun przy każdej okazji gapił się na Anię, teraz też. Przerazało ją nie to, że patrzył. Tylko jak patrzył. W jego spojrzeniu było coś groźnego, coś, co bardzo ją peszyło, a jednocześnie budziło skrajną nieufność.

Schroder rozłożył mapę na masce samochodu, mówił coś i z ożywieniem wskazywał na Brauna. Pozostali Niemcy czujnym okiem pilnowali kobiet i palili papierosy. Roześmiali się, gdy jedna z tych starszych poprosiła o leki, na przykład tabletkę od bólu głowy, jakiś środek dezynfekujący, coś do opatrzenia ran zmaltretowanej dziewczyny. Inna oderwała rąbek sukienki, zamoczyła pas tkaniny w kałuży i przyłożyła go do czoła dziewczyny, jeszcze inna próbowała sprzątnąć wymiociny, by osłabić kwaśny odór.

Strażnicy rozdali kobietom kilka suchych herbatników, którymi miały się podzielić. Porcję poranionej dziewczyny porwała żarłoczna z wyglądu tęga kobieta o krótkich czarnych włosach i gniewnym usposobieniu. Niektóre kobiety

złożyły dłonie w miseczki, by napić się wody z pobliskiego strumienia, inne myły twarze albo zapierały plamy na ubraniach, odzywały się z rzadka, nerwowo łypały dookoła oczami. Kilka z nich podobnie jak Ania miało na sobie tylko koszule nocne, otulały się zarzuconymi na ramiona kołdrami i dzierganymi ręcznie kocami. Czegóż by nie dały za gorącą kąpiel!

Stały w milczeniu, dygocząc z zimna i strachu, w tym czasie Niemcy palili papierosy, pili gorącą kawę z termosów, śmiali się i zajadali resztę ciasta wyniesionego z kuchni pani Lipszyc.

Dziesięć minut później ich uwagę przykuło odległe dudnienie silnika. Kobiety patrzyły, jak zbliża się powoli obłoczek kurzu. W końcu z pyłu wyłoniła się z terkotem ciężarówka, kilka minut później znalazła się tuż za nimi, stanęła, silnik zaklekotał i zgasł, kurz opadł. Szoferkę zajmowało trzech Niemców, kolejny pilnował kobiet w różnym wieku, siedzących z nietęgimi minami na odkrytej pacy.

Kierowca wyskoczył z kabiny, wydawał się tryskać energią. Miał zdecydowaną nadwagę, plamy potu pod pachami, gęste kępki czarnych włosów sterczały mu ze wszystkich widocznych otworów. Przeszedł obok Ani i pozostałych kobiet, oglądając każdą po kolei z lubieżnym uśmiechem na nieogolonej twarzy. Zameldował się Schroderowi i po krótkiej rozmowie wrócił do pojazdu, przystając przed Anią i Emilią. Otworzywszy usta, odsłonił garnitur przebarwionych zębów i jęzor pełzający wokół nich niczym oślizły różowy ślimak.

– Dziś wieczorem się zabawimy, jesteście zaproszone, moje małe polskie księżniczki!

Ania widziała czarne wągry na jego nosie, czuła cuchnący nikotyną oddech.

– Brzydzą się panem! – warknęła przez zaciśnięte zęby.

Niemiec złapał się za brzuch i roześmiał.

– Masz świętą rację. Jestem obrzydliwy i lubię robić obrzydliwe rzeczy z polskimi księżniczkami, zwłaszcza z takimi o dziwnych oczach!

Uszczypnął Anię w policzek, po czym wrócił do ciężarówki, witany przez kolegów rechotem i poklepywaniem po plecach.

Ania patrzyła, jak zmaltretowana dziewczyna kuli się przy kole ciężarówki, garnąc się do ciepła. Jedną stroną twarzy miała opuchniętą i zaczerwienioną, lewe oko całkowicie zamknięte. Cicho pochlipywała, gdy ktoś przyłożył jej do czoła wilgotną szmatkę.

– Nie możemy jakoś jej pomóc? – zapytała Ania.

– Nie wydaje mi się. Ich to nie obchodzi – rzekła Emilia, wskazując głową strażników.

Tęgi kierowca przyczłapał i wyciągnął rękę do kobiet.

– Masz, dla ciebie i twojej koleżanki. – Rozwinął dłoń, w której trzymał bułkę. – Musisz nabrać sił na dzisiejszy wieczór, co ty na to, księżniczko?

– Nie chcę waszego chleba – odparła stanowczo Ania, odpychając jego rękę. Emilia chwyciła bułkę, zanim Niemiec zdążył cofnąć ramię.

– Dziękuję panu.

Jeden ze strażników krzyknął z ciężarówki na przedzie:

– Ej, ładujemy się, czas ruszać!

Gdy Ania podeszła do burty, tęgi kierowca pchnął ją w plecy i wsuwając łąpsko pod jej nocną koszulę, dotknął jej nagich pośladków. Wierzgnęła wściekle, ale niecelnie.

– No tak, podoba ci się, tak myślałem! – powiedział, obleśnie łypiąc okiem. – Pięknie, księżniczko, naprawdę pięknie.

Z aprobatą kiwał głową, zaglądając jej pod ubranie. Emilia wciągnęła ją do ciężarówki, nim Ania zdążyła splunąć na kierowcę.

Zająwszy miejsce pod plandeką, spojrzała z uśmiechem na grubego Niemca i powiedziała:

– Wie pan, matka zawsze mi powtarzała, że nie ogląda się towaru, na który cię nie stać.

– Tu jest Polska, a ja jestem Niemcem. Nie muszę płacić za towar! – Odchylił głowę i wybuchnął wulgarnym śmiechem, zatraskując tylną klapę ciężarówki.

– Hej, ty tłusty sukinsynu, zejdź mi z drogi! – Pojawił się strażnik, który zawsze siedział naprzeciwko Ani, i chciał wsiąść na pakę. – I nie waż się obmacywać mi dupy, bo rozwalę ci łeb! – dodał, przekładając nogę przez burty ciężarówki.

Sprośny kierowca się oddalił, strażnik zajął swoją pozycję. Spojrzał na Anię, wzruszył ramionami i rzucił:

– Nie zwracaj na niego uwagi. Pochodzi z Hamburga.

Dwa pojazdy z łoskotem potoczyły się naprzód i już wkrótce podskakiwały na wybojach i częściowo zamarzniętych kałużach.

– Jedziemy na przełaj. Tak będzie szybciej, no i ominiemy konwoje – wyjaśnił strażnik, patrząc na Emilię.

– Dokąd jedziemy? – zapytała, ale nie doczekała się odpowiedzi. Powiedział już dość, a teraz znów tępo patrzył w nicość.

Ania nadal siedziała na samym tyle i nie mogła uniknąć widoku grubego kierowcy w jadącej za nimi ciężarówce. Zmagał się z kierownicą, podskakiwał na fotelu, machał do niej jak rozbrykane dziecko na karuzeli. Siedzący obok niego mężczyzna był ukryty za mapą, którą pilnie studiował, trzeci odpoczywał z papierosem wetkniętym w kącik ust.

Nagle przód ciężarówki zanurkował z głośnym metalicznym zgrzytem, zawieszenie uderzyło o podłoże, pojazd wpadł do ogromnej dziury, a później potężnym szarpnięciem się z niej wydostał. Gwałtowny manewr poderwał kilka kobiet z twardej drewnianej ławki, na którą po chwili ciężko opadły, powietrze przeszyły okrzyki, ponieważ poturbowana dziewczyna zwymiotowała na kilka swoich współtowarzyszek. Krwawiła z ucha, gałka częściowo otwartego oka wywróciła się i było widać samo białko. Nie miały jak jej pomóc, mogły ją tylko przytulić.

Kobiet w drugiej ciężarówce nic nie chroniło przed warunkami pogodowymi, czego skutki były widoczne na ich twarzach. Ania ciaśniej opatuliła się kołdrą i przypomniała sobie czasy, gdy jako dziecko spadła z konia i uszkodziła sobie bark. Bardzo się wtedy nad sobą użalała, ale babcia udzieliła jej pożytecznej lekcji życia. *„Moje dziecko, żeby nie wiadomo jak było ciężko, zawsze znajdzie się ktoś, kto ma gorzej”*.

Mały konwój złożony z dwóch ciężarówek coraz głębiej zapuszczał się w Polskę, smętny zimowy pejzaż przesuwał się przed ich oczami. Bywało, że nie widziały nic prócz zaoranych pól i jakby zdumionych nagich drzew; od czasu do czasu dostrzegały krowę albo samotnego rolnika naprawiającego wóz lub dogładającego inwentarza. Większość zabudowań nosiła świeże ślady działań zbrojnych, mijali po drodze zawałone stodoły, przewrócone furmanki i padłe rozdęte konie oraz krowy. Przy małym tartaku natknęły się na potworny widok: groteskowo skrzycone ciało, zwęglone nie do rozpoznania. Poznał je tylko warujący przy nim pies.

Ania położyła głowę na ramieniu Emilii, próbowała odrobinę się przespać. Spaliny ciężko wisały w powietrzu, warkot silnika i ponure otoczenie jeszcze potęgowały jej opresję. Nie czuła już stóp, ziaęb pełzł po nogach coraz wyżej niczym dłoń niechcianego adoratora. Miała nadzieję, że sen pomoże uciec przed lękiem i narastającym w niej poczuciem beznadziei i nieszczęścia. Dokąd jada, a przede wszystkim – co się z nimi stanie, gdy już dotrą na miejsce?

17

Mała łódź wiosłowa sunęła gładko i cicho po atramentowoczarnej rzece, słońce postanowiło przez cały dzień chować się za ciężkimi śniegowymi chmurami. Na szczęście Krzyś zapakował sporo koców, brezentową plandekę, mnóstwo żywności i trochę opatrunków oraz lekarstw. Najwyraźniej wiedział, co robi, za

każdym razem, gdy dopływali do jakiegoś rozgałęzienia rzeki, dokładnie znał kierunek i rzadko musiał sprawdzać mapę.

Przez większość czasu Danuta odpoczywała, oparta o stertę ubrań i wyposażenia, które ukrył za jej plecami, obserwując przesuwany się krajobraz. Gdy ją to znudziło, patrzyła na Krzysia – i to był najlepszy pejzaż. Łatwo byłoby zapomnieć, dlaczego znaleźli się w tym miejscu, gdyby nie pomruk wojskowych pojazdów. Od czasu do czasu musiała naciągać koc na ramiona, by chronić się przed wilgotnym powietrzem, ponieważ rana nadal jej dokuczała. Krzys zapewniał, że ból jest oznaką gojenia. W innych okolicznościach mogłaby się jej podobać ta podróż rzeką, teraz jednak szare chmury i przenikliwy chłód współgrały z jej przygnębieniem, myśli krążyły wokół wspomnień, co Niemcy zrobili jej rodzinie. Żal tchnął w Krzysia determinację, za to Danuta czuła się przytłoczona utratą najbliższych. Jediną nadzieję pokładała w Ani; ona żyje, musi tak być.

Zanim wyruszyli, Krzys pokazał jej trasę na zapasowej mapie, Danuta mogła więc śledzić niemal stukilometrową podróż. Trzymali się najmniejszych dopływów, unikali większości głównych dróg oraz, co istotniejsze, mostów. Jedyne ważne mosty znajdowały się na lokalnej drodze pomiędzy dwoma miastami targowymi mniej więcej w połowie podróży. Wystarczająco duży dla Niemców, by transportować tamtędy broń i wojsko, a także dla lokalnych mieszkańców do przemykania kontrabandy. Był przekonany o słuszności swego założenia, że Niemców bardziej interesuje sama droga niż przepływająca pod nią niewielka rzeka, i nadzieję na przemknięcie się pod mostem opierał właśnie na tym. Jeśli miał rację, będą kontynuować podróż bez większych przeszkód. Jeśli się mylił, przyjdzie im zmierzyć się z tym, co tam zastaną.

Pierwsza połowa podróży wiodła przez pola i wzdłuż bocznych dróg, dogodnie omijając większość głównych tras, a tym samym minimalizując ryzyko. Bądź co bądź płynęli małą łodzią wiosłową pomniejszych dopływami i nawet gdyby Niemcy ich zauważyli, wątpliwe, by dostrzegli w rzecznej wycieczce dwojga młodych kochanków jakieś wielkie zagrożenie, mimo że to dość niespotykany widok o tej porze roku. Większość szos była oddalona od rzeki, a gdy na krótkich odcinkach biegły równolegle, koryto zawsze znajdowało się dużo niżej. Krzysowi kilkakrotnie udało się wśliznąć pod osłonę trzciny i zwisających nisko gałęzi, gdy na górze z hukiem przetaczały się pojazdy. Co prawda spowalniało to podróż, za to chroniło przed niebezpieczeństwem.

Raz Krzys błędnie obliczył tempo podróży i przez pewien czas płynęli równolegle do głównej drogi. Wystarczyła krótka dekoncentracja, by nie zauważyć niemieckiej ciężarówki z uzbrojeniem, która sunęła szosą obok. Kierowca dostrzegł Danutę w łodzi i coś do niej krzyczał. Co prawda po

niemiecku, ale z jego tonu i wyrazu twarzy jasno wynikało, że nie życzył jej „miłego dnia”. Odetchnęli z ulgą, gdy pojazd w końcu przyspieszył i zniknął w oddali.

Przed Wieliczką skręcili w wąską odnogę, która wedle wiedzy Krzysia miała doprowadzić ich do Wisły i dalej do Krakowa – najpierw jednak musieli minąć most.

W dzieciństwie Krzyś spędzał sporo czasu nad Wisłą, łowiąc ryby, buszując na brzegach, biwakując z ojcem nad wodą. Dzieciństwo miał sielankowe, ciepłe letnie dni upływały mu właśnie nad rzeką. Wciąż pamiętał miękkie światło sączące się przez zwieszane nisko gałęzie wierzb, głos ojca zmiękczony domowym bimbrem, gdy przy ognisku opowiadał mu o swoich szczenięcych latach.

Podczas pierwszej wojny światowej starszy mężczyzna przeżył i widział rzeczy, o których mówił niechętnie, póki alkohol nie uderzył mu do głowy. Dopiero wtedy z pasją rozprawiał o nieustannej walce jego kraju z Niemcami i Rosją. Na przestrzeni lat granice pojawiały się i znikaly; ojciec Krzysia dokładnie wiedział, ile razy i których miast te zmiany dotyczyły. „I dlatego Polacy mają płaskie głowy”, bełkotał. „Bo Niemcy albo Rosjanie ciągle na nas napierają!” Niemiecka inwazja przerwała opowieści ojca, tak jak położyła kres czasom, gdy Krzyś przyglądał mu się w milczeniu, jak wędkuje w swoim ulubionym miejscu nad rzeką. Życie już nigdy nie będzie takie samo.

Krzysiowi zachciało się jeść.

– Jestem głodny jak wilk, ale chyba umrę, jeśli będę zmuszony zjeść kolejnego cholernego gołąbka. Nie cierpię kapusty, a żeby na domiar złego jeść ją na zimno? Nie znajdziesz tam czegoś innego?

– Wydaje mi się, że mamy jeszcze trochę pierogów – powiedziała Danuta, przeszukując niewielki koszyk u swych stóp.

– Ale on też są z kapustą!

– Trwa wojna, wyobraź sobie! – krzyknęła, a potem zorientowała się, że Krzyś się uśmiecha. – Może przywiążemy wieczorem łódkę do brzegu i rozejrzemy się po okolicy? Zobaczmy, czy nie uda nam się znaleźć u gospodarzy kilku jajek albo kurczaka?

– Brzmi dobrze. Tylko nie kapusta, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się Danuta.

Chwilę później rozmiękły gołąbek wylądował na czole Krzysia z głośnym plaśnięciem.



Tuż przed zmrokiem Krzyś zbadał okolicę.

– Na prawo, za rzędem drzew jest wąska droga. Widzisz ten budynek? To musi być gospodarstwo. Powinniśmy pójść w tamtym kierunku i zrobić rekonesans.

Po zachodzie słońca ruszyli w stronę oświetlonych okien, w ich oczach tliła się isierka przygody. Przyjemnie było stąpać po suchym łądzie. Buty wkrótce oblepiły się grudami brązowego błota, a Danuta powiedziała, że czuje się tak, jakby miała na nogach kamasze klauna. Śmiali się oboje, gdy opowiadała Krzysiu, jak w dzieciństwie oglądała rosyjski cyrk objazdowy. Bała się klaunów z namalowanymi wielkimi ustami, w zielonych albo pomarańczowych perukach. Krzyś uśmiechnął się, słuchając wesołego trajkotania Danuty, i przełożył karabin na drugie ramię. *Czy dziewczyny zawsze są takie gadatliwe?*

Poruszali się wzdłuż rowów i niskich żywopłotów graniczących z polem, które sąsiadowało z kamiennym domem, w milczeniu, mieli wyostrome wszystkie zmysły. Schowali głowy w ramionach, gdy sowa, pohukując, wyleciała nagle ze swojej kryjówki i cicho przemknęła po nocnym niebie nad ich głowami. Wkrótce znaleźli się za kamiennym murkiem, wypatrując jakichś nietypowych ruchów czy podejrzanego aktywności w obejściu. Gdy Krzyś uznał, że wszystko jest w porządku, ostrożnie ruszyli naprzód.

Nagle z ciemności wyskoczył pies, zmierzał prosto ku nim z obnażonymi zębami. Krzyś wyciągnął do niego rękę z gołąbkim, którego zwierzę łapczywie pożarło.

– Biedaczysko, nie doczeka poranka – wyszeptał do Danuty, rozrzucając po trawie kolejne kąski.

Z boku stała duża drewniana stodoła, słyszeli dobiegające ze środka chrumkanie świń. Na wybiegu otaczającym gospodarstwo majaczyły cienie rozstawionych koryt i szop. Raczej nie brakowało tu żywności.

Mieli już plan. Po prośbie pójdzie Danuta. Taka ładna, młoda, wiejska dziewczyna z pewnością wyda się mniej groźna niż nieogolony młody mężczyzna z karabinem na ramieniu i plecakiem, dlatego Krzyś został pod stodołą, dotrzymując towarzystwa psu. Stara dwudziestka dwójka ojca była naładowana i gotowa do strzału. Danuta zbliżała się do domu.

Obejrzawszy się przez ramię dla dodania sobie otuchy, zebrała się na odwagę i zapukała. Po chwili usłyszała stłumione głosy, zgrzyt przekręcane w zamku klucza. Ktoś w środku zaszurał nogami, a gdy wreszcie otworzyły się drzwi, ku swemu przerażeniu ujrzała tuż przed sobą niemieckiego oficera z pistoletem w prawej dłoni.

Kilka godzin wcześniej, gdy niewielki konwój pojazdów wojskowych zmierzał główną drogą do Krakowa, jeden z samochodów wiozących oficerów złapał gumę. Oficer dowodzący wydał konwojowi rozkaz kontynuowania podróży,

informując, że wkrótce ich dogonią. Na nieszczęście kierowca miał kłopot ze zdjęciem koła, ponieważ tydzień wcześniej mechanicy w warsztacie we Wrocławiu zbyt mocno dokręcili śruby przy zakładaniu nowych opon. Wymiana koła zamiast dziesięciu minut trwała dwie godziny, więc oficer zerknął na mapę i rozkazał kierowcy jechać na przełaj, na skróty. Wraz z zapadnięciem nocy zorientował się, że się zgubili.

Myśl o smacznej, gorącej, wiejskiej kolacji była kusząca, podobnie jak perspektywa ciepłego i wygodnego noclegu przed podjęciem poszukiwań konwoju w świetle dziennym. Oficer kazał kierowcy zajechać do najbliższego gospodarstwa, a tam zażądał od mieszkańców ciepłej strawy.

Prawie godzinę później ktoś zapukał do drzwi. Stała w nich młoda dziewczyna o miłej aparycji. Dygotała z zimna, miała oblepione błotem buty i zapytała, czy mogłaby pożyczyć trochę kapusty.

Danuta zniknęła we wnętrzu, a wtedy Krzyś natknął się na zaparkowany za stodołą w niewidocznym miejscu samochód. Pojazd był niezamknięty i niestrzeżony, chłopak znalazł w nim pierwszorzędny karabinek Sturmgewehr 44, standardowe wyposażenie niemieckiej armii, wraz z zapasem amunicji. Znacznie lepszy niż ojcowski sztucer.

Z naładowaną zdobyczną bronią zajął pozycję za okazałym dębem, skąd miał doskonały widok na przebieg wydarzeń za oknem. Wyraźnie widział Danutę przy kuchennym stole rozmawiającą z umundurowanym Niemcem, który najwyraźniej łatwo dał się przekonać, że Danuta mieszka w sąsiednim gospodarstwie i przyszła prosić o kapustę, by ugotować kolację swoim starszym rodzicom. Oficer podsuwał jej kieliszek wina, kierowca wydawał się już pijany, siedział może metr dalej z opróżnioną butelką wina w ręku.

Złękciona kobieta krzątała się przy kuchni, mieszając coś w dużym garnku, a starszy mężczyzna siedział przywiązany do krzesła pod ścianą. Przez celownik karabinka Krzyś widział, że gospodarz ma knebel w ustach i zakrwawiony nos. Prócz nich nie było tam nikogo.

Danuta, pochłonięta próbami przekonania Niemca, że jest za młoda na alkohol, dostrzegła za oknem jasny błysk, po którym nastąpił trzask oraz brzęk tłuczonego szkła. Siedzący przed nią oficer zamilkł w połowie zdania, a gdy zadarł głowę, zauważyła na jego czole czerwony punkt, dokładnie między oczami. Po grzbiecie nosa ściekała strużka krwi i po chwili upadł twarzą na stół z głuchym łomotem.

Kobieta wypuściła chochlę z rąk i zasłoniła dłonią usta, by stłumić krzyk. Zanim kierowca zorientował się, co się dzieje, też leżał już z głową na stole i dziurą w skroni.

Krzysiovi wystarczyło kilka minut, by zapewnić starsze małżeństwo, że nic im nie grozi i że nie zamierza wyrządzić im krzywdy. Gdy Danuta rozwiązywała

mężczyznę, chłopak przeszukiwał dom i otoczenie, sprawdzając, czy nie czyhają na nich nigdzie żadne niespodzianki.

Starsza para zachowywała stoicki spokój, zważywszy na to, co przeszli. Krzyś wraz z gospodarzem wynieśli ciała Niemców do budynków gospodarczych, a gdy wrócili, kobieta zaserwowała wszystkim wyśmienity gulasz wieprzowy. Z kapustą.

Dwie godziny później Danuta i Krzyś byli gotowi do dalszej drogi, mieli plecak wyładowany warzywami, dwoma bochenkami chleba, świeżo oskórowanym i wypatroszonym królikiem oraz połową szynki osobiście wybranej przez mężczyznę ze spiżarni.

Szykując się do wymarszu, Krzyś ruchem głowy wskazał budynek gospodarczy, w którym leżały ciała Niemców.

– A co z nimi?

Starszy mężczyzna zmrużył oczy, zacharczał i splunął na ziemię.

– Świnie – powiedział.

Krzyś pokiwał głową.

– Niemieckie łotry – dodał.

Wtedy wtrąciła się kobieta.

– Nie, nie. Świnie to ich zjedzą. Jutro je nimi nakarmimy!

– Niemieckie kiełbasy. Oto, co będę tu wyrabiał przez kolejne miesiące – powiedział rolnik bez humoru.

– A samochód? – spytał sceptycznie Krzyś.

– Ukryję go w szopie pod belami słomy. Po wojnie będę woził świnie na targ ładnym autem – rzekł z uśmiechem gospodarz, marszcząc pooraną bruzdami twarz.

Godzinę później, gdy znów znaleźli się na łódce, Danuta wciąż jeszcze się śmiała. Mieli teraz zapas świeżej żywności.

– Żadnej więcej kapusty. Chwała tobie, Boże! – rzekł Krzyś, zaglądając do plecaka. – Mamy też dwie sztuki nowej broni i dość amunicji na stoczenie przyzwoitej walki.

Pokazał Danucie karabinek i zabrany oficerowi pistolet.

Zakwakała siedząca w trzcinach kaczka, księżyc wyłonił się na krótko zza chmur, a jego odbicie falowało na powierzchni wody.

– Zimno mi – poskarżyła się Danuta.

Krzyś uniósł koc po swojej stronie, Danuta wśliznęła się pod okrycie i przytuliła do Krzysia, który objął ją ramieniem, kładąc mu głowę na piersi. Czowała się bezpieczna po raz pierwszy od wielu dni, ogarnęła ją senność i zabrała w miejsce o wiele wygodniejsze niż ta stara łajba. Krzyś czuwał z ręką na nowym karabinku, wybiegając myślami do czekającej ich przeprawy pod mostem.

Po kolejnych sześciu godzinach jazdy obie ciężarówki zatrzymały się na obrzeżach jeszcze jednego bezimiennego miasteczka. Kobietom pozwolono napić się wody z dużej kałuży, gdy jeden ze strażników skruszył lód kolbą karabinu. Dziwne – pomimo chłodu to nie głód najbardziej im dokuczał, tylko pragnienie, skwapliwie nabierały więc drżącymi dłońmi brudną wodę.

Niebo groziło uwolnieniem obfitych opadów śniegu z gęstych chmur, które pęczniały, nabrzmiwały, gotowe do rozerwania się na kawałki. Kobiety stłoczyły się grupkami, rozmawiając szeptem w obłokach papierosowego dymu niosącego się od frontu ciężarówki. Ania zastanawiała się nad czmychnięciem do lasu pod nieuwagę Niemców. W obu ciężarówkach musiało mieścić się razem ponad trzydzieści kobiet, a pilnujących je żołnierzy było zaledwie sześciu czy siedmiu. Nie będą ścigać wszystkich.

– Wszystko pięknie, jeśli będziesz jedną z tych, którym się uda, ale co z tymi, które nie mogą biec albo zostaną złapane? – zapytała któraś z kobiet.

– Ona ma rację. Nie możesz im tego zrobić, Aniu, zapłaciłyby za to zbyt wysoką cenę – zawyrokowała Emilia. – Tak dla jasności: nie mam najmniejszej ochoty na drugą taką noc jak wczorajsza, ale alternatywa samotnego błąkania się po ciemku w lodowato zimnym lesie jest niewiele lepsza. Poza tym kto nam pomoże? Ludzie będą brali nas za żydowskie uciekinierki, a kto w Polsce chce ryzykować, pomagając Żydówce?

Nagle wyskoczył jak diabeł z pudełka opasy kierowca z cienkim, czarnym i cuchnącym cygarem wetkniętym między zaciśnięte zęby.

– A, jest tu moja dziwnooka księżniczka! – Złapał Anię za podbródek. – Dzisiaj... czeka na ciebie twój książę!

– Z podniecenia ledwo nad sobą panuję, ty tłusta niemiecka świnię. Gdy tylko wrócę z synagogi, cała będę twoja!

Ania splunęła na ziemię, a Niemiec odruchowo uderzył ją w twarz. Piekący policzek pozostawił ślad. Nie przyszło mu do głowy, że kobiety są Żydówkami; czy przypadkiem nie miały to być polskie dziewczyny ze wsi? Czy nie tak mu mówili?

Kierowca obrzucił Anię wściekłym spojrzeniem i odmaszerował z obrzydzeniem. Burczykówny słynęły z tupetu, zwłaszcza Ania. Ale jak dotąd najgorsze, co mogło im się przytrafić za karę, to dodatkowa praca domowa albo siedzenie w kozie. Tym razem sytuacja była znacznie poważniejsza, dlatego Emilia ostrzegła Anię, by uważała, nie była taka cwana, bo mocno tego pożałuje.

Okna na parterze opuszczonego na pozór budynku po drugiej stronie drogi nagle rozbiły się, wyłuskując z mroku dużą dwukondygnacyjną drewnianą budowlę przypominającą coś w rodzaju wiejskiej świetlicy. Kobiety wprowadzono do środka, gdzie przywitało je kilka starszych pań w długich wełnianych spódnicach i ciepłych szalach. Miały zniszczone twarze i powykręcane artretyzmem dłonie, ale oczy jasne i współczujące.

Przyglądały się ubraniom kobiet z transportu, widziały, jakie są młode, jak drżą i jak sinymi ustami szepczą podziękowania, gdy zaprowadzone na piętro odbierają koce i kołdry, by mogły się odrobinę rozgrzać.

Pomieszczenie było puste, z wyjątkiem kilku krzeseł ustawionych jedno na drugim pod ścianą w głębi. Przed wojną pełniło pewnie funkcję sali tanecznej albo miejsca spotkań publicznych. Mocno pachniało woskiem do podłóg, każde okno było oklejone na krzyż taśmą.

Jedna ze starszych kobiet wskazała tym młodszym zlew w głębi. Kran nie działał, ale podstawiono tam kilka wiader z wodą, a za parawanem była toaleta ze spłuczką! Taki luksus!

Leciwe kobiety wkrótce zajęły się wycieńczoną dziewczyną o twarzy poszarzałej jak koc, którym ją otuliły. Jej stan był poważny, dygotała i majaczyła, a one krzątały się wokół niej. Z dołu przyniesiono miskę gorącej wody, czysty ręcznik i jakieś tabletki, które wreszcie przełknęła dzięki zachętom dogładających ją kobiet. Przy jedynych drzwiach w wiklinowym fotelu siedział niemiecki żołnierz z karabinem przy boku i papierosem w ustach, kompletnie niezainteresowany tym, co się dzieje.

Po niespełna pół godzinie starsze kobiety zjawily się ponownie z gorącym barszczem i domowym chlebem oraz metalowymi kubkami pełnymi niemal wrzącej herbaty z mlekiem. Gdy kobiety z ciężarówki się posilały, przyszedł jeszcze stary mężczyzna bez ręki z zawieszoną na szyi torebką gwoździ i zatkniętym za pas młotkiem. Zaczął zabijać gwoździami wszystkie okna w sali, a kobiety pytały go szeptem:

– Co to za miejsce, dziadku? W jakim mieście jesteśmy?

– Wiesz, dokąd nas wiozą?

Pomimo kalectwa starzec sprawnie wykonywał swoje zadanie, nie spuszczając przy tym oka ze strażnika przy drzwiach.

– Słyszałem, jak gadali – rzekł półszepsem. – Jedzicie do jakiegoś miejsca w pobliżu Krakowa, jest tam, zdaje się, obóz. Poza tym nic nie wiem, moje dzieci.

Strażnik przy drzwiach ryknął:

– Ruszaj się, ty głupi kaleko, jazda! Strasznie się guzdrzesz.

Stary podniósł wzrok, przepaszając kiwnął głową, po czym powrócił do swojego zajęcia, markując większy zapał.

– Młoda kobieto – szepnął do Emilii – powodzenia i niech Bóg ci błogosławi. Jego głos brzmiał ciepło i łagodnie, przypominał Emilii głos jej własnego dziadka.

– Tobie również – odparła z powagą. – Tobie również, dziadku.

Od dawna nikt tak serdecznie nie przemawiał do starszego mężczyzny. Oczywiście mu łzami, udawał, że ma jakiś problem z ramą najbliższego Emilii okna.

W drzwiach stanął Schroder z serwetką zatknietą za kołnierzyk koszuli, przeszedł się po sali zamaszystym krokiem, sprawdził okna. Stary niespokojnie czekał na jego aprobatę. Przy ostatnim oknie Schroder rzekł:

– Pospiesz się i dopilnuj, by było równie dobrze zabezpieczone jak pozostałe. Niezła robota jak na kogoś w twojej sytuacji! – Trzepnął w pusty rękaw zwisający z barku mężczyzny i wyszczerzył zęby. – Bardzo dobrze. Uwijaj się, jesteś potrzebny do pomocy w kuchni na dole.

I wyszedł.

Starzec wbił ostatni gwóźdź, zebrał narzędzia, ale człapiąc do wyjścia, potknął się o nogi Emilii.

– Z drogi – rzekł głośno.

Strażnik błyskawicznie zerwał się z fotela i zlustrował salę, by rozeznaczyć, o co chodzi. Zorientowawszy się, w czym rzecz, usiadł z powrotem i zapalił papierosa.

– Cholerne kaleki!

Po czym jeszcze raz wrzasnął na jednorękiego mężczyznę, żeby się pospieszył.

– Przepraszam! – odrzyknął stary. Podnosząc się z podłogi, dyskretnie pchnął coś w stronę Emilii. Zauważyła to natychmiast – sześcioramienisty galwanizowany gwóźdź – i ostrożnie ukryła go w fałdach spódnicy, gdy stary pokuśtykał za drzwi.

Kobiety wróciły, by pozbierać puste kubki i miski po zupie, a przy okazji rozdały więcej koców. Zatrzymały się przy sponiewieranej dziewczynie i próbowały wygodniej ją ułożyć, ale po chwili pokiwały głowami i powiedziały coś między sobą poważnym tonem. W nocy, kiedy wszystkie spały, dziewczyna zniknęła; nigdy więcej o niej nie słyszały i już nigdy jej nie zobaczyły.

Okolo trzeciej w nocy Anię obudziły odgłosy przepychanki pod drzwiami. Gruby kierowca, wyraźnie pijany, kłócił się ze strażnikiem. Między mężczyznami doszło do ostrej wymiany zdań. Kierowca wskazał Anię i wrzasnął:

– Ty żydowska suko z dziwacznymi ślepiami!

Strażnik stanął przed nim i go odepchnął, ale grubas jeszcze nie skończył.

– Pożalujesz tego, Żydówko!

Ania słyszała, jak kierowca pokrzykuje i chwiejnym krokiem schodzi na parter. Nie przejmowała się zanadto; był flejtuchem i pijakiem, a pozostali Niemcy wyraźnie gardzili nim tak samo jak ona. Z kolei Braun, ten chudy, był zupełnie

inny. Przebiegły, bezwzględny, złowieszczy, czuła, jak wwierca się w nią wzrokiem przy każdej okazji. W Braunie było coś ogromnie niepokojącego.



– Dzień dobry, drogie panie. Mam nadzieję, że kwatery was usatysfakcjonowała i że dobrze spałyście. Do wiadomości tych z was, które nie wiedzą, kim jestem: nazywam się Obersturmführer Schroder. Bez wątpienia ucieszy was informacja, że dziś dotrzemy do celu naszej podróży i już wkrótce będziecie miały zaszczyt służyć naszemu ukochanemu Führerowi i ojczyźnie. To dla was wielki dzień, moje panie! O ile mi wiadomo, macie tu możliwość umycia się, jest coś w rodzaju łazienki. Proszę, doprowadźcie się do porządku. Dobre czasy czekają te z was, które są gotowe z nich skorzystać!

Schroder stuknął obcasami i wyszedł.

Po sali poniosł się nieufny pomruk. Niektóre kobiety udały się w stronę prowizorycznej łazienki, inne nie ruszyły się z miejsca i rozmawiały z sąsiadkami. Po piętnastu minutach podano kolejną porcję gorącej zupy i herbatę. Rozgorzały rozmowy, kobiety snuły domysły nad przyczyną tej nagłej zmiany w zachowaniu Schrodera.

Godzinę później sprowadzono je na dół i pomimo niepewności co do swego przyszłego losu zdawały się cieszyć ze świeżej warstwy nieskalanego śniegu, który chrząścił im pod stopami w drodze do ciężarówki. Drugi pojazd także osłonięto plandeką, kobietom powiedziano, że mogą zatrzymać koce, kołdry i szale, które dostały w wiejskiej świetlicy. Początkowi podróży do miejsca przeznaczenia towarzyszyła mieszanina niepokoju i ulgi.

Dla Ani dzień zaczął się dobrze, ponieważ zdała sobie sprawę, że nie ma już z nimi Brauna i grubego kierowcy, a wiele kobiet po raz pierwszy swobodnie rozmawia. Kilka nawet się uśmiechało, od czasu do czasu słychać było stłumiony śmiech przebijający się przez warkot silnika.

Ale to nie to samo co wtedy, gdy kobiety zbierały się na rynku na plotki. Nie toczyły się rozmowy o gotowaniu, szyciu czy pijanych mężach. Za to niektóre z kobiet nabierały większej pewności; *patrzcie, jak nas traktują, jesteśmy bezpieczne, oni nas potrzebują!*

Ania i Emilia jako jedyne nie wdały się w pogawędkę. Wymieniały milczące, trwożliwe spojrzenia, miały zasepione twarze, rozumiały realia sytuacji. Nie zaślepiła ich fałszywa nadzieja, widziały i doświadczyły już dosyć, by wiedzieć, że Niemcom nie wolno ufać. Emilia siedziała cicho, zatopiona w myślach, Ania zamknęła oczy i wsłuchiwała się w warkot ciężarówki, która znów wjechała na asfaltową szosę. Kolejny raz pomyślała o Danucie. Gdzie ona jest?

19

Danuta obudziła się pod okapem gęstych chmur sunących po niebie z zachodu.

– Nareszcie śnieg. Miejmy nadzieję, że wraz ze śniegiem nadejdą Rosjanie! – mruknęła pod nosem, usiadła i patrzyła, jak Krzyś gotuje na brzegu wodę.

Powoli powracała jej pewność, ponieważ przy nim czuła się bezpiecznie – nie próbował wykorzystać sytuacji poprzedniego wieczora, wiedziała, że będzie się nią opiekował i nie dopuści, by stała się jej krzywda. Krzyś Paderewski spodobałby się jej rodzinie.

Danuta miała już pewne życiowe doświadczenie, a kiedy decydowała się na pójście do łóżka z mężczyzną, to zawsze ze starszym od siebie. Ci młodszy, w wieku Krzysia, zachowywali się jak smarkacze; tarzali się w trawie, tłukli między sobą i zbyt dużo pili, próbując zdobyć jej uznanie. Krzyś różnił się od chłopaków we wsi. Był bardziej dojrzały, dlatego Danuta cieszyła się, że trafił się jej właśnie on. Kiedy zobaczył, że Danuta już nie śpi, przyniósł jej kubek gorącej herbaty. Smakowała rzeką. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach, dmuchając na herbatę i od czasu do czasu siorbiąc parzący usta napój. Danutę nagle przeszył dreszcz, ponieważ zaczynało powracać tamto ponure uczucie, które trawiło ją na początku podróży. Wyrzuty sumienia skierowały jej myśli w mroczniejsze rejony...

Leżała w łóżku, gdy zjawili się Niemcy. Słyszała strzały i krzyki, więc się ukryła. W tamtych strasznych chwilach myślała tylko o sobie. A potem, gdy tylko nadarzyła się okazja, uciekła i zostawiła bliskich. Jakim trzeba być człowiekiem, by tak postąpić? Czyżby wojna zdążyła już ją zmienić? A może po prostu obnażyła jej prawdziwe oblicze, wyłuskała osobę, która tkwiła w niej od zawsze. Jezu! Przecież była nawet współwinna zabicia dwóch osób – Niemców w gospodarstwie. Czyichś synów, mężów, braci, kochanków... Potem jednak przypomniała sobie, że zabicie tamtych żołnierzy pomogło uwolnić dwoje innych ludzi: hodowcę świń i jego żonę. Zwrócić im szansę na przeżycie. To taki rodzaj gry – jednego ratujesz, drugiego tracisz. Była jeszcze taka młoda, nie prosiła się o taką odpowiedzialność!

Ta odpowiedzialność spadła na nią sama i Danuta wiedziała, że jeśli chce znów cieszyć się w życiu prostymi rzeczami – zapachem mokrej sierści psa suszącego się przy kuchennym piecu, jazdą na łyżwach po zamrożonym zimnym stawie, bieganiem na bieżni i odsadzaniem wszystkich zawodników albo najlepszym: plotkowaniem z Anią w łóżku – być może znów przyjdzie jej brać udział w zabijaniu.



Jedynym dźwiękiem towarzyszącym łodzi sunącej po gładkiej tafli szarej wody był plusk wyciąganych wiosł. Krzyś przyglądał się siedzącej przed nim Danucie głęboko zatopionej we własnych myślach. Zachowanie kobiet było mu obce, nie przywykł do ich nagłych łez i szerokiego wachlarza uczuć. Nie wiedział jeszcze, kiedy należy dać Danucie spokój, a kiedy wciągnąć ją w rozmowę o bezsensownych zwykle jego zdaniem sprawach. Kobiety stanowiły dla Krzysia zagadkę. Największym darem byłoby rozwikłanie ich tajemnic – ileż to jest warte dla mężczyzny? Z pewnością małą fortunę!

Tuż przed zmierzchem przycumowali łódź przy brzegu w odległości dwóch zakoli od mostu. Trzciny rosły w tym miejscu najgęściej, zapewniały idealne miejsce do odpoczynku przed zapadnięciem nocy. Krzyś zostawił odsłonięty róg brezentu, by mieć oko na ewentualne ruchy w okolicy, nim całkiem się ściemni.

Gdy tylko będzie bezpiecznie, wymknie się i sprawdzi most; czy natknie się tam Niemców? Jeśli tak, to czy podejmie próbę przemknięcia tuż pod ich nosem po północy, kiedy księżyc będzie ukryty za chmurami, a oni najmniej widoczni? Czy Niemcy będą pilnować rzeki czy drogi, a może jednego i drugiego?

Przygotowując się do pójścia na zwiady, Krzyś zwrócił się do Danuty z pytaniem:

– Jak sądzisz, dasz radę?

Wiedziała, co ma na myśli. Czy zdoła zabić Niemca? Czy zdoła stanąć z kimś twarzą w twarz i nacisnąć spust?

Odpowiedziała po namyśle:

– Chyba nie mam wyboru. Nie będę miała wyboru, prawda?

Krzyś próbował nauczyć Danutę posługiwania się bronią palną zabraną niemieckiemu oficerowi. Celność jej strzałów była, najdelikatniej rzecz ujmując, zmienna. Na początku trafiła w sam środek tarczy, lecz za drugim razem chybiła z kretesem, a przecież celowała z zaledwie kilku metrów! Krzyś uznał zatem, że jedyną szansą na sukces będzie strzelanie z bardzo bliskiej odległości. Nawet ona nie spudłuje, stojąc metr od celu – przy założeniu, że wystarczy jej odwagi do pociągnięcia za spust.

Powtórzył pytanie.

– Zrobię to, Krzysiu – odparła. – Dam radę.

I uśmiechnęła się, po raz pierwszy tego dnia – dość niepewnie.

CZĘŚĆ 3

Klub komendanta

20

Obersturmbannführer Baldric Fischer pyknął z ulubionej fajki, a następnie rzucił okiem na zegarek kieszonkowy. Punkt dziesiąta. Zegarek był szwajcarski, działał więc bez zarzutu. Niemiecka inżynieria przewyższała wszystkie inne pod każdym względem prócz precyzji mierzenia czasu. Chętnie to przyznawał.

Fischer odwołał w tym dniu wszystkie przesłuchania, raporty i prośby o ułaskawienie. Nawet cotygodniowe spotkanie budżetowe. Dzień był ważny, należało przeprowadzić inspekcję nowej infrastruktury, a towar miał planowo przybyć po południu. Wiedząc, że za transport jest odpowiedzialny Obersturmführer Rolf Schroder, nie miał wątpliwości, że wszystko odbędzie się o czasie. Dlatego właśnie jemu powierzył to zadanie – na Schroderze można było polegać. Nic nie może pójść źle. I nic nie pójdzie źle.

Fischer najpierw podsunął ten pomysł na piśmie, tradycyjnymi kanałami komunikacji, i otrzymał od Eichmanna odpowiedź, której nie można określić inaczej niż jako szyderczą. Eichmann użył słów w rodzaju „idiotyczne” i „niedorzeczne”, ale Fischer nie zamierzał odpuścić tak fantastycznego pomysłu. Natychmiast postarał się o prywatne spotkanie z Führerem, który przyznał w istocie, że koncepcja „ma swoje zalety”. „Nie przypadła do gustu Eichmannowi tylko dlatego, że nie on to wymyślił. Po prostu, Baldric”, odpowiedział Führer, śmiejąc się serdecznie i poklepując starego przyjaciela po plecach.

Wizyta komendanta Fischera była naprawdę udana. Omawiali podrzucone przez niego rozwiązania przy kolacji: on, Führer i Eva przy ogniu buzującym w kominku w Berghofie. Towarzyszyła im też Blondi.

– Baldric, przyjacielu, mów mi po imieniu, kiedy jesteśmy sami tak jak teraz – rzekł Führer. Był to najwspanialszy wieczór w życiu Fischera, po którym przestał przejmował się tym, co myśli Eichmann.

Rano następnego dnia sprawy potoczyły się swoim zwykłym biegiem. Na poranną odprawę przybyło do Berghofu kilku członków naczelnego dowództwa. Himmler, Hermann Göring, minister Goebbels oraz Eichmann. Zaproszono też Fischera, ale gdy tylko Führer wyszedł z pokoju, żeby odebrać rozmowę

telefoniczną, Eichmann osobiście oznajmił Fischerowi, że uważa jego pomysł za absurdalny. Niewiele brakowało, a skoczyliby sobie do gardeł.

Jeśli chodzi o nowatorski koncept Fischera, Eichmann nie był jedyną osobą, która uważała go za ryzykowny i nieodpowiedzialny. Ministrowi Goebbelsowi również się nie spodobał, niemniej Führer twardo obstawał przy swoim i, jak powiedział ministrowi propagandy, po długim namyśle doszedł do wniosku, że plan Fischera nie tylko okaże się sukcesem, lecz także stworzy wspaniałą okazję do pierwszorzędnej propagandy.

– *Mein Führer*, nie potrafię dostrzec żadnych korzyści w tej... w tej... farsie! Berlin stanie się pośmiewiskiem, jeśli się na to zgodzisz!

Goebbels był wściekły. Być może tym wybuchem posunął się za daleko. W pokoju zapadła natychmiastowa cisza, a Führer zareagował w sposób absolutnie dla siebie nietypowy.

Spokojnie, w bardzo wyważony sposób poprosił wszystkich z wyjątkiem ministra o opuszczenie pomieszczenia. Potem Goebbels słuchał, jak Führer przez piętnaście minut swego cennego czasu przekonuje go do pomysłu Fischera. Jasno dał do zrozumienia, że popiera tę inicjatywę i co by się nie działo, ten rewolucyjny plan doczeka się realizacji. I nic ani nikt – te ostatnie słowa zaakcentował – nie stanie mu na przeszkodzie. Po tym wywodzie Goebbels zrozumiał.

Oczywiście Goebbels kłamał; projekt go nie przekonał. Czy przekonałby kogokolwiek przy zdrowych zmysłach? Cała sytuacja po raz kolejny dowodziła jednak ponad wszelką wątpliwość, że Fischer jest niebezpieczny. Skoro udało mu się namówić Führera na zaakceptowanie czegoś takiego, co jeszcze ma w zanadrzu i skąd biorą się jego wpływy? Czym szachuje Führera? Jakie zna tajemnice?



Komendanta oczekiwano punktualnie dziesięć minut po dziesiątej. Trzeba przygotować miejsce na przyjęcie towaru, bo inaczej polecą głowy. Fischer odwrócił się do Rapportführera Fritza Scholego, swego osobistego asystenta od czterech lat, i podał mu swoją fajkę, którą ten odłożył na półkę nad kominkiem.

– Gotowy, Fritz?

– Gotowy.

Wyszli na plac przed budynkiem, gdzie zebrała się już grupka strażników, którzy mieli ich eskortować do punktu kontrolnego. Maszerowali w zawrotnym tempie w stronę bramki z boku głównego wejścia. Otworzyła się, gdy znaleźli się kilka kroków przed nią. Stuknęły obcasy, więźniowie czmychnęli, usuwając się

z widoku, nadzorcy pokrzykiwali wyjątkowo głośno, by zapewnić komendanta, że wywiązują się ze swoich obowiązków.

Fischer żwawym krokiem przeszedł przez plac apelowy, pokonał cztery schody i znalazł się w budynku, gdzie miał przeprowadzić inspekcję. W cieple, z dala od lodowatego zimna na dworze. Przybierając pozę, którą często widywał u Führera, splótł dłonie za plecami i chrząknął, gdy odsunięto przed nim zasłonę i pokazano pokój.

– Mały, ale z pewnością wystarczy. Następny!

Przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Tej samej wielkości, mniej więcej cztery metry długości i trzy szerokości. Pod dłuższą ścianą podwójne łóżko, pod krótszą umywalka i toaleta w głębi.

– Obersturmbannführer, pozwoliłem sobie dopilnować, by w każdym pokoju znajdował się portret Führera, a dla stworzenia przyjemnego klimatu także jakiś ojczysty pejzaż. Inny w każdym z pomieszczeń. Subtelny i, jak powiedziałem, miły dla oka.

Rapportführer Schole dobrze wywiązał się z zadania. Fischer z zadowoleniem zarejestrował wywieszane obok włącznika światła dwa dokumenty: „Zasady zachowania” i „Zasady ochrony zdrowia”.

– Dobry akcent – powiedział Fischer, stukając palcem w regulaminy. Sześć zadowolony. Na razie jest dobrze. – Teraz chcę obejrzeć apartament – oznajmił.

Wyszli na korytarz. Po prawej stronie naprzeciwko kuchni znajdowały się zielone drzwi, które Schole otworzył przed komendantem. Fischer wkroczył do środka.

– *Wunderbar!*

– Nad wystrojem czuwała *Fraulein* Tina, wszystko zrobione wedle jej instrukcji. Dobór kolorów zgodny z jej życzeniem. Łóżko takie, jak kazała. Cała pościel i w ogóle wszystko spełnia jej surowe wymagania.

Fischer nadal stał z dłońmi splecionymi za plecami.

– *Gutte*. Naprawdę *gutte*.

– *Fraulein* Tina odpowiada za każdy element wystroju – ciągnął Schole – z wyjątkiem obrazu z ojczystym pejzażem. To był mój pomysł, jak już wspomniałem.

Fischer się zatrzymał.

– Ale *Fraulein* Tina go zaakceptowała?

– Jak najbardziej, *Herr Obersturmbannführer!*

– W takim razie wszystko *gutte*.

W korytarzu Fischer zastał grupkę ustawionych rzędem ludzi.

– To wykonawcy, panie komendancie – wyjaśnił Schole. – Odpowiedzialni za wszystkie roboty. Czekają tu na pańskie uznanie.

Fischer pociągnął nosem.

– No cóż, skoro muszę...

Przeszedł się wzdłuż rzędu robotników, kiwając z aprobatą głową, z wciąż zaplecionymi z tyłu dłońmi. Niektórzy z mężczyzn byli więźniami w obozowych pasiakach – tych mijał szybko, by nie czuć bijącego od nich odoru. Wszyscy stali z czapkami w rękę i pochylonymi głowami, uprzedzeni, by nie patrzeć komendantowi w oczy, chyba że zwróci się do kogoś osobiście.

Przy piątym Fischer się znudził.

– Dość. Czas przejść do kolejnych spraw. Daj tym ludziom jakieś konkretne zadanie i wynagrodź ich dziś wieczorem dodatkową porcją zupy. – Zdobył się na uśmiech wobec jednego z mężczyzn, innego poklepał nawet po ramieniu. – Może talon dla ciebie, jeśli raport wykaże, że sobie zasłużyłeś, co? Szczęściarz z ciebie! – Następnie zwrócił się do Scholego ze słowami: – Fritz, kupony gotowe?

– Wszystko gotowe, *mein Commandant*.

System kuponów został opracowany przez Scholego. Wzorowe zachowanie, ponadnormatywne wykonywanie obowiązków, wyższe tempo pracy, zadowalanie nadzorców z wyjątkowym poświęceniem – za to wszystko zbierało się punkty, a punkty wymieniano na talony!

– To się nazywa motywacja, co, Fritz? Jeśli nie podniesie wydajności, to już nie wiem, co by podniosło!

System kuponów zaszokował Eichmanna i Goebbelsa. Führer czuł konsternację, ale dostrzegał potencjalną korzyść, a poza tym zależało mu, żeby Fischer był zadowolony, siedział cicho i nie zawadzał. Awansowanie go do stopnia podpułkownika do tej pory się sprawdzało, zaczynało to jednak wyglądać tak, jakby Führer stworzył potwora, wysyłając Fischera na najdalsze rubieże Polski i powierzając mu zawiadywanie tym małym podobozem w Wiśnicy...

Po wyjściu z budynku Fischer odprawił wszystkich prócz Scholego.

– Fritz, mam problem. Przejdźmy się, przedyskutujmy sprawę. – Mężczyźni ruszyli spacerowym krokiem w stronę bramy. – Mówiłem ci już, że Herr Goebbelsowi nie spodobał się mój pomysł. Doszły mnie słuchy, że gdyby tylko mógł, jutro zamknąłby ten obiekt. Za to Führer zgadza się ze mną w całej rozciągłości. Dostrzega wartość nagradzania najlepszych za dobrze wykonaną pracę.

– Führer ma oczywiście rację, *mein Commandant*.

– W istocie. – Fischer był w refleksyjnym nastroju. Poklepał się po kieszeniach, lecz uzmysłowił sobie, że zostawił fajkę w gabinecie. Schole niczym magik wyciągnął przed siebie otwartą prawą dłoń.

– Pomyślałem, że może się przydać – rzekł, wręczając komendantowi pożądany przedmiot.

Tak to już było z Fritzem Scholem – zawsze wiedział, czego chce Fischer, w tej samej sekundzie, gdy ten tylko tego zapragnął. Właśnie dlatego uczynił Scholego swoją prawą ręką. A po ostatnim powrocie z Berghofu wziął go na stronę i oświadczył, że może mówić mu po imieniu.

– Tylko w stosownym momencie, rozumiesz? Nigdy, powtarzam, nigdy się tak do mnie nie zwracaj, gdy ktokolwiek znajduje się w zasięgu słuchu, włącznie z *Fraulein* Tiną. Zrozumiałeś?

Schole zrozumiał i był zachwycony, że przeszedł z komendantem na ty. Takim poziomem zażyłości nie mógł w Wiśnicy poszczycić się nikt, oczywiście poza Tiną.

– Co ja bym bez ciebie zrobił, Fritz, no co? – Fischer wziął fajkę i zapalił. – Musimy mieć nazwę, Fritz, nazwę dla tego nowego przedsięwzięcia, adekwatną do jego znaczenia. Nazwę godną, by ludzie czuli się zaszczytzeni i dumni, że są z nią kojarzeni. Podoba mi się nazwa pokoju z zielonymi drzwiami: Apartament. Dobra. Z klasą. Ale jak nazwiemy cały projekt, to wyjątkowe miejsce, co?

– Masz jakieś pomysły, Baldric? Może nazwać go na cześć *Herr* Goebbelsa, albo nawet samego Führera?

– Nie, nie. Absolutnie nie. Wyobrażasz sobie, jak Führer dowiaduje się, że to miejsce nosi jego imię? Mój Boże, nie! A co ty proponujesz, Fritz? Mów, jesteś moim człowiekiem od pomysłów. Polegam na tobie w takich kwestiach. Zastanów się, chłopie, zastanów!

– A może nazwać je... – Schole umilkł na chwilę, jakby chcąc sprawić wrażenie pogrążonego w myślach, a potem rzucił nazwę, która chodziła mu po głowie od samego początku. – Klubem? Brzmi dość dyskretnie, prawda? Może wręcz prestiżowo? Będą mogli się przechwalać we własnym gronie. Jak członkowie klubu dla śmietanki towarzyskiej w jakimś renomowanym miejscu?

– Klub, powiadasz. Będą mogli mówić, że należą do Klubu. O to ci chodzi?

– Otóż to, *mein Commandant*.

– Podoba mi się... Klub... Bardzo mi się podoba! Gratulacje, Fritz! Tak jest, Klub! Doskonała nazwa dla pierwszego burdelu założonego w obozie koncentracyjnym Rzeszy!

Było ciemno, gdy Krzyś usłyszał niemieckie głosy nad brzegiem rzeki, jakieś sto metrów od nich. Ostrożnie obudził Danutę, delikatnie trącając ją łokciem, i położył palec na ustach.

– Ciii...

Głosy się przybliżały, Krzyś słyszał już, co mówią. Ktoś zapytał:

– Co to? Tam, w trzcinach. Co to jest?

Krzyś zaczął ostrożnie szukać po omacku karabinu schowanego pod plandeką.

I znów niemiecki głos.

– Mam strzelać czy co?

– Jak chcesz. Ja kompletnie nic nie widzę, ciemno tu jak w dupie.

Krzyś usłyszał groźny dźwięk przesuwania zamka broni i serię z karabinu wystrzeloną gdzieś w mrok bez ostrzeżenia. Na drugim brzegu rzeki podniósł się nagle harmider. Ptaki krzyczały i trzepotały skrzydłami, kilka dzikich kaczek głośno zerwało się z gniazd i rozpierzchło we wszystkich kierunkach.

– Ustrzeliłem coś, Klaus?

– Skąd mam wiedzieć? Mówiłem, ciemno jak w dupie, jęłopie. Sprawdzimy rano. A teraz chodź, wracamy. Mamy stać na warcie, a nie polować na kaczki.

Krzyś westchnął, Danuta zamknęła oczy... o mały włos. Głosy Niemców zacierają się, po pięciu minutach całkiem ucichły, więc Krzyś odsunął brezent i zza trzcin lustrował okolicę. Droga wolna.

– Co robimy? – zapytała niespokojnie Danuta.

– Wygląda na to, że było ich tylko dwóch, powinniśmy więc uważnie się rozejrzeć i sprawdzić, ilu dokładnie ich jest. Jeśli wielu, musimy zaryzykować i spróbować przeprowić się pod mostem później, pod osłoną nocy, tak żeby nikt nas nie widział i nie słyszał.

Nie powiedzieli nic więcej. Krzyś zaczął posuwać się wzdłuż brzegu rzeki i zniknął w ciemnościach. Danuta została na łódce pośród delikatnego szmeru wody. Wrócił po dziesięciu minutach. Był lekko zdyszany, ale wyraźnie podniesiony na duchu.

– Jest ich tylko trzech! Jeśli dobrze rozegramy karty, możemy sprzątnąć wszystkich i ruszyć w dalszą drogę.

– Wszystkich? – Głos Danuty brzmiał bardzo nerwowo.

– Zgadza się. Wszystkich. Masz lepszy pomysł?

Przełknęła ślinę i pokręciła głową. *Nie.*

Plan był stosunkowo prosty. Danuta miała wiosłować sama, ukryć łódź po przeciwnej stronie rzeki, wgramolić się na brzeg i ruszyć w stronę drogi. Na umówiony znak zbliży się do mostu i zagadnie wartowników, trzymając w kieszeni krótką broń. Krzyś był pewien, że wyposażony w zdobyty na farmie niemiecki karabin kropnie dwóch Niemców, nim zdążą się połapać, co się dzieje. Zabicie

trzeciego będzie na głowie Danuty: strzeli do niego z bliska. Ryzykowne, ale to najlepsze rozwiązanie.

– O czym mam z nimi rozmawiać? Przecież nie mogę tak po prostu zjawić się znikąd, podejść do trzech Niemców i nawiązać rozmowę.

Obawy Danuty martwiły Krzysia. Musi być pewna siebie i opanowana, a nie targana wątpliwościami. I nie ma teraz czasu na pisanie cholernego scenariusza!

– A o czym rozmawiałaś w gospodarstwie, kiedy Niemiec otworzył ci drzwi?

– O kapuście.

– No to już, zagadaj o kapuście!

Danuta wydała odgłos przypominający coś w rodzaju chrząknięcia czy parsknięcia. Krzyś wzruszył ramionami i westchnął, po czym po raz ostatni powtórzył plan działania.

Ustalili sygnały i zsynchronizowali zegarki. On musi zająć pozycję jako pierwszy i kiedy będzie gotowy, da jej znać pohukiwaniem sowy. Wtedy ona przejdzie przez most i wda się w rozmowę z wartownikami. Gdy on szybko odda dwa strzały, jeden po drugim, ona upora się z trzecim Niemcem. Żadnego wahania. Żadnej zwłoki. Jeden, dwa strzały z bliska i cześć pieśni. Krzyś wyjaśnił, że światło nad budką wartowniczą jest kluczowe. Podczas krótkiego zwiadu przekonał się, że most widać w miarę dobrze i wypatrzył dalej nad brzegiem drzewo, które zapewni mu możliwie najdogodniejszą pozycję. Zadaniem Danuty będzie zadbanie o to, by wszyscy trzej wartownicy znaleźli się w blasku lampy; gadanie o kapuście musi angażować ich wystarczająco długo, by zdążył trafić w swoje dwa cele, a ona w jeden.

Chciała jeszcze raz omówić szczegóły, ale ją powstrzymał. Jeśli teraz nie wie, co robić, to nie będzie wiedziała. Musi rozpracować sytuację, a w razie potrzeby działać intuicyjnie. Da sobie radę. Krzyś nie chciał, by zbyt dużo o tym myślała, ponieważ wiedział, że wówczas może zawahać się w niewłaściwym momencie i tym samym zaalarmować Niemców, że coś się święci. Jeśli nie uda się jej zastrzelić trzeciego z Niemców, gdy Krzyś załatwi dwóch pozostałych, cały plan może spalić na panewce.

Teraz albo nigdy. Pożegnali się, przypieczętowali tę chwilę nieśmiałym uściskiem i nim Danuta się obejrzała, Krzyś odepchnął łódź od brzegu. Patrzył, jak cicho oddala się w mrok, następnie pobiegł po karabin i ruszył wzdłuż rzeki w kierunku upatrzonego drzewa.

Pięć minut później Danuta zacumowała łódkę w trzcinach po drugiej stronie rzeki i zaczęła gramolić się na brzeg.

Krzyś widział, jak jej ciemna postać pnie się po nabrzeżu i szybko dociera do drogi, gdzie kucnęła w głębokim mroku, by doprowadzić się do ładunku. Upewniwszy się, że jest bezpieczna, sam zajął pozycję. Zgodnie z jego nadziejami

gałęzie wierzby wisały tak nisko, że muskały skraj wody, zapewniając mu osłonę. Był pewien, że nie jest widoczny z mostu, natomiast sam miał doskonały widok na wszystko. I wtedy poczuł, jak na jego twarzy lądują pierwsze płatki śniegu. Małe kłębki waty opadały z nieba, gęstniejąc z każdą sekundą.

Mimo prószącego śniegu Krzyś widział trzech Niemców przy budce wartowniczej i tak jak się umówili, wydał dźwięk przypominający pohukiwanie sowy – głuchy, przytłumiony, który rozśmieszył Danutę, gdy Krzyś początkowo go testował, teraz jednak wcale nie było jej do śmiechu. Nerwowo przełknęła ślinę, ponieważ wiedziała, że on jest już na swoim miejscu i zaraz się zacznie.

Zebrała się w sobie, głęboko odetchnęła, potknęła się na ostatniej kępie śliskiej trawy, na której osiadał już śnieg. Przeszła przez ogrodzenie z drutu kolczastego i znalazła się na szosie, wciąż jeszcze ukryta za zaroślami. Most znajdował się najwyżej sto metrów dalej. Widziała trzech Niemców rozmawiających pod lampą wartowni. Noc była cicha, spokojna i zaskakująco piękna za sprawą śniegu, którego duże białe płatki unosiły się teraz delikatnie niczym piórka, zanim opadły na ziemię.

Krzyś ponownie sprawdził broń, odbezpieczył ją, starł śnieg z wylotu lufy, następnie starannie przyłożył oko do celownika, biorąc na muszkę jednego z Niemców na moście.

Danuta nie dała sobie czasu na roztrząsanie sytuacji. Krzyś miał całkowitą rację – trzeba po prostu działać. „Nie pozwól nerwom igrać z twoimi uczuciami”, przestrzegał; nie było miejsca na wahanie. Pomyślała sobie, że za chwilę wystartuje na bieżni, przez dziesięć sekund biegła w miejscu, następnie wyszła z cienia i ruszyła w stronę budki wartowniczej po drugiej stronie mostu. Krótka broń ciążyła w kieszeni i chłodziła skórę. Danuta trzymała palec na spuście, wirujące płatki śniegu sklejały jej rzęsy, zmuszając do mrugania.

Krzyś nigdy wcześniej nie był tak wdzięczny ojcu za to, że nauczył go polować w lasach wokół wsi, kiedy był jeszcze chłopcem. Początkowo strzelali do zajęcy, ale wkrótce przerwali się na jelenie. Najlepsze było tropienie – branie na muszkę zwierzęcia nieświadomego obecności człowieka. Zaczęło się od zabawy, ale Krzyś wkrótce nauczył się maskować swój zapach i kamuflować się do tego stopnia, że stawał się praktycznie niewidoczny dla zwierzyny. Zapisywali swoje trofea i gdy Krzyś skończył czternaście lat, miał wyższy wskaźnik celności niż ojciec.

W okolicy szesnastych urodzin już sam zapuszczał się do lasu, tropił, strzelał i skórował upolowaną zwierzynę, przez kilka dni żywiąc się tym, co dawała natura. Nauczył się lasu i rządzących nim praw, zamieszkujących je stworzeń, ich zwyczajów i siedlisk. Jego największą umiejętnością było celne strzelanie, miał zresztą najlepszego nauczyciela – jego ojciec był wielokrotnie odznaczany

strzelcem wyborowym w pierwszej wojnie światowej. Krzyś mówił na niego pa albo tata, ale przy matce zawsze nazywał go ojcem. Była bardzo tradycyjna, co typowe dla osób z jej pokolenia, a Krzyś w przeciwieństwie do wielu swoich rówieśników żywił do rodziców głęboki podziw i szacunek.

W żółtym świetle pojedynczej żarówki na dachu budki wartowniczej Krzyś obserwował, jak Danuta zbliża się do mostu. Płatki śniegu wirowały jak ćmy wokół lampy, ale i tak miał doskonałe pole widzenia.

Stoją tam.

Trzej Niemcy.

Wszystcy w paltach, z bronią pod ręką.

Kompletnie nieświadomi tego, co ma się wydarzyć.

Podczas rozmowy z ich ust buchały obłoki pary. Jeden pił z blaszanego kubka, dwaj stali z karabinami przewieszonymi przez ramię, z rękami wciśniętymi w kieszenie, przytupywali, by się rozgrzać. Bardzo rozluźnieni. Krzyś pewnym gestem poklepał swój zdobyczy niemiecki karabin. Wiedział, że może sprzątnąć dwóch w krótkich odstępach czasu: tego z kawą i tego na lewo od niego. Gdy pierwszy padnie, dwaj pozostali natychmiast sięgną po broń. Zanim zdążą wziąć ją do ręki, drugi dostanie kulę w głowę. I wtedy Danuta musi zastrzelić trzeciego. Będzie blisko, mniej więcej metr od niego. Nawet ona nie chybi z takiej odległości, a nawet gdyby tylko unieszkodliwiła go na chwilę, Krzyś zdąży wziąć go na muszkę i dokończyć dzieła.

Skorygował pozycję pod drzewem: ciało rozpląszczone, nogi rozrzucone z tyłu, głowa zadarta, lewe oko zamknięte, prawe przy celowniku skupione na celu. Śnieg zaczął sypać intensywniej, Krzyś się modlił, żeby żaden z Niemców nie schronił się w budce. Na razie się śmiali, pogoda najwyraźniej im nie przeszkadzała. W tym momencie dostrzegł Danutę nadchodzącą z prawej strony mostu. Gwałtownie zabiło mu serce. Niemcy nadal nie mieli o niczym pojęcia.

Danuta czuła, jak z każdym krokiem przyspiesza jej puls. W stanie spoczynku był wyjątkowo niski, czterdzieści pięć uderzeń na minutę, ale po przebiegnięciu stu metrów wzrastał do około stu osiemdziesięciu uderzeń, dokładnie tak jak teraz. Spojrzała na ciemne kontury rozłożystej wierzby na drugim brzegu – ani śladu Krzysia.

Niemcy przyglądali się nadchodzącej dziewczynie. Patrzyła prosto przed siebie, mrugała, by strząsnąć śnieg z rzęs, zdmuchiwała białe płatki z ust i przykleiła na twarz uśmiech zbląkanej dziewczynki. Dlaczego tak okropnie się trzęsła – z zimna czy ze strachu? Nagle lodowate powietrze przeniknęło przez ubranie aż do szpiku kości. Zęby dzwoniły, pistolet w kieszeni zamienił się w bryłę lodu. Kilkakrotnie poruszyła palcami, by je rozgrzać, po czym znów zsunęła palec wskazujący na spust.

Jeden krok... dwa kroki... trzy, cztery, pięć. Jeden z Niemców się do niej uśmiechał, drugi trzymał przy ustach kubek z gorącą kawą, trzeci wyszedł zza pleców dwóch pozostałych, by przyjrzeć się nadchodzącej pięknej dziewczynie. Śnieg przysypał im hełmy i ramiona, ziemię pokrywała cienka warstewka połyskujących białych płatków, które skrzyły się w świetle z wartowni.

Danuta potrzebowała teraz tylko jednego: pierwszego strzału Krzysia. Gdy tylko kula świśnie w powietrzu, na moście wybuchnie panika, a ona pozbędzie się swego celu z bliskiej odległości. Zamierzała nawet oddać jeden czy dwa dodatkowe strzały, na wypadek gdyby Krzyś tylko ranił któryś ze swych celów. Zebrała się w sobie i oto stanęła twarzą w twarz z trzema niemieckimi żołnierzami przy budce wartowniczej.

Błyskawicznie zerknęła w lewo, na brzeg rzeki. Krzyś czaił się pod tamtym drzewem, zaledwie sześćdziesiąt metrów dalej. Wkrótce będzie po wszystkim, chwala Bogu... Jeden ze strażników się do niej odezwał, ten, który wyłonił się zza pleców tamtego z kawą i tego drugiego z uśmiechem na ustach.

– *Guten tag*. Musimy sprawdzić dokumenty, *bitte*.

W tym samym momencie Danuta dostrzegła kątem oka błysk światła w ciemności pod drzewem i usłyszała huk...

22

Trzecia po południu. Wiśnica. Czas na inspekcję nowego towaru. Fischer pożegnał się z Tiną.

– Wrócę na podwieczorek.

– Dopilnuję, by czekało na ciebie coś gorącego! – odparła, prowokacyjnie potrząsając biustem.

Schole się odwrócił, chcąc zapewnić komendantowi odrobinę prywatności. Nie znosił, gdy w jego obecności Tina kręciła się jak tania dziwka, obnosząc się ze swoimi wdziękami i dając jasno do zrozumienia, że komendant należy do niej. Schole wiedział, że jej uczucie do komendanta nie jest szczere; nie był głupi, brzydziła go ta poniżająca sytuacja.

Po ostatniej podróży Fischera do Berlina Tina paradowała po domu w nowej francuskiej bieliźnie z jedwabiu, prezencie od Baldrice. Jej samej nie wolno było wyjeżdżać do Berlina pod żadnym pozorem. Tam mieszkała żona Fischera. Tłusta krowa, która urodziła dwoje puciołowatych, szkaradnych dzieci – ich zdjęcie stało na jego biurku, a Tina zawsze je odwracała, by nie widzieć twarzy bachorów, gdy

komendant brał ją od tyłu w swoim gabinecie. Woląla kochać się z nim w ten sposób, gdy on był z tyłu, ponieważ nie musiała wtedy patrzeć na spoconą gębę i obrzydliwe nozdrza, z których wystawały kępki włosów. Obsceniczne odgłosy, które wydawał podczas seksu, były wystarczająco obrzydliwe, a ta jego cuchnąca fajka i zwyczaj oczyszczania ustnika ze śliny postukiwaniem nim o stół przy kolacji... Śluz i maź na jej pięknym obrusie z białego lnu. Jak obozowa pralnia usuwała te plamy – tego nie pojmowała...

Schole podał Fischerowi mundur, czekając, aż komendant wsunie ramiona w rękawy, Tina otrzepała mu łupież z barków i wręczyła czapkę. Niemieccy oficerowie tradycyjnie szczylic się swoim wyglądem. Ich nieskazitelne, piękne i szyte na miarę szare mundury produkował Hugo Boss, a kroili je i odszywali przymusowi pracownicy z gett i obozów, ściągani do szwalni specjalnie w tym celu. W porównaniu z Brytyjczykami, którzy paradowali w odpowiednich dla klauna workowatych mundurach khaki w uniwersalnym rozmiarze, Niemcy byli bezsprzecznie nestorami stylu i elegancji w teatrze wojny. Nawet Fischer dobrze się prezentował.

Następnie Schole pomógł komendantowi założyć płaszcz, podał mu rękawiczki, poprawił Żelazny Krzyż, odłożył fajkę na kominek. Schole lubił nadskakiwać komendantowi, ale Tina uważała go za pochlebcę i nie omieszkała przekazać swych spostrzeżeń Fischerowi. Jej zdaniem Baldric miał trzy żony. Tamtą tłustą krowę w Berlinie, ją i Scholego. Fischer w zasadzie przyznawał jej rację, twierdząc, że to właśnie Schole dba o niego najlepiej! Gdyby się przy tym nie śmiał, toby go spoliczkowała. Fischer powiedział kiedyś, że bez Scholego by nie przeżył, natomiast nigdy nie powiedział tego samego o niej.



Na placu apelowym prószył śnieg, kobiety stały na baczność, dygocząc z zimna w śnieżnej brei przez pół godziny, nim zjawił się Fischer w towarzystwie Scholego. Oczekując na jego przybycie, obserwowały, jak uzbrojeni żołnierze pilnują ładujących pnie drzew na ciężarówki strudzonych robotników, ubranych w same tylko pasiaste piżamy. Wyglądali na niedożywionych i straszliwie zziębniętych, byli brudni. Miejsce to było zapewne jakimś zakładem pracy, otoczonym drutem kolczastym, z wieżami strażniczymi. Z dwóch wielkich kominów za szeregiem drewnianych baraków buchał dym... Gdzieś z tyłu, stosunkowo niedaleko, słychać było tartaczne hałasy i warkot maszyn. Podczas podróży do Wiśnicy kobiety przekazywały sobie plotki zasłyszane na targu i od sklepikarzy – potworne opowieści o miejscach, które zdawały się aż nadto przypominać to, w którym się obecnie znajdowały. Drżały więc nie tyle z zimna

przenikającego je do szpiku kości, ile ze strachu, który torował sobie drogę do ich myśli.

Fischer dokonał przeglądu dwóch rzędów kobiet, zaczynając od końca, przechadzając się między szeregami. Tyle wystarczy. Było zbyt zimno. W trakcie inspekcji trzymał ręce za plecami, dość uprzejmie skinął głową jednej czy dwóm kobietom, w taki sam sposób jak Führer podczas wizyt w fabrykach i zakładach zbrojeniowych. Nie nawiązywały kontaktu wzrokowego, ale zachowywały się z respektem. Zadowolilo go to, co zobaczył.

Fischer stanął przed zebranymi.

– Polskie kobiety – uśmiechnął się, rozpoczynając przemowę. – Witajcie w Wiśnicy!

Śnieg sypał nieprzerwanie na strwożoną, nieszczęsną gromadkę, a tymczasem Fischer gędził o świetności Rzeszy i ojczyzny. Nie ulegało wątpliwości, że oczyma wyobraźni widział już, jak zaczyna spełniać się jego marzenie i uchylają się przed nim mityczne drzwi bunkra w Berlinie.

Podziękował kobietom za ich gotowość do służby.

– Wasza oferta pracy dla Rzeszy przynosi wam wielką chlubę.

Po zakończeniu wojny i zwycięstwie Niemiec osobiście dopilnuje, by uznano ich zasługi i odpowiednio je wynagrodzono. Przemawiał silnym głosem, autorytatywnie, stojąc przed nimi dumnie, wyprostowany jak struna. Schole patrzył z podziwem, kobiety ze strachem.

Podczas inspekcji Fischer przystanął na chwilę przed Anią i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Wydawało się jej, że uniósł przy tym brew. A może tylko to sobie wyobraziła. W tle stał tłum umundurowanych gapiów, łącznie z tęgim kierowcą i Karlem Braunem, chudym strażnikiem, którego koledzy zwali czasem Chartem; oni wszystko widzieli.

Fischer kontynuował powitalną przemowę.

– Dla tych z was, które nie zdecydują się ochoczo uczestniczyć w moim nowym, ekscytującym projekcie, mamy inne zadania o mniej, powiedzmy sobie, pożytecznym charakterze. Rozejrzyjcie się dokoła, spójrzcie na tych w pasiastych strojach, a potem porównajcie ich życie z tym, co zostanie wam zaoferowane. Wkrótce zrozumiecie. Polskie kobiety, wybór należy do was.

Inspekcja i przemowa komendanta trwały nie więcej niż dziesięć minut i wcale nie podniosły kobiet na duchu. Niemieccy obserwatorzy tej sceny, którzy dobrze znali zmienne humory komendanta, byli zaskoczeni, że nie zirytowała go aż nadto widoczna obojętność jego słuchaczek. Schole wiedział dlaczego – Fischer coś kombinował.

23

Danuta była zdezorientowana. Nikt się nie zatoczył ani nie runął zakrwawiony na ziemię. Nikt nie chwycił się za pierś ani brzuch, gdy kule Krzysia wbiły się w ich ciała. Nikt nawet się nie uchylił. Ale czy błysk i huk wystrzału nie nadeszły od strony kryjówki Krzysia pod wierzbą? Dotknęła broni w kieszeni – co robić? Jeden ze strażników wrzasnął nagle:

– *Scheisse!*

Potem puścił się pędem do drzewa. Metalowy kubek z brzękiem upadł na ziemię, drugi ze strażników zdjął karabin z ramienia i przycisnął wylot lufy do piersi Danuty. Kazano jej nie ruszać się z miejsca. Chwilę później strażnik, który pobiegł nad rzekę, krzyknął:

– *Klaus, kommen, schnell, schnell!*

Czekając w nerwach na moście, Danuta zobaczyła, jak dwóch Niemców z mozołem wspina się po trawiastym brzegu, wlokąc ciało, które bezceremonialnie rzucili jej pod nogi. Krzyś.

Wytrzeszczyła oczy. Ojciec Krzysia może i nauczył go tropić i polować, lecz najwyraźniej zaniedbał naukę tego, jak nie dać się wytropić i upolować. Mostu pilnowało trzech strażników, ale gdzieś musiał być ktoś jeszcze, kto zobaczył, jak Krzyś przyjmuje pozycję strzelecką pod wierzbą. W rezultacie nieruchome ciało Krzysia leżało na drodze, przysypywane śniegiem, jeden z Niemców przeszukiwał mu kieszenie, a pozostali zastanawiali się, co robić.

Danucie napłynęły do oczu łzy, ciałem wstrząsnął dreszcz strachu. Tego się nie spodziewała. Nie tak miało się wszystko potoczyć. W ustach Krzysia brzmiało to tak prosto. Owszem, plan wiązał się z pewnym ryzykiem, ale po incydencie na farmie świń mieli wrażenie, że są niepokonani. Chciała podbiec do Krzysia, przytrzymać jego głowę, przywrócić mu życie pocałunkiem. Jak to możliwe, że on nie żyje? To jakiś absurd.

Sympatyczny dotąd Niemiec nie wydawał się już tak miły, gdy ruchem głowy wskazał zwłoki.

– Znasz tego człowieka?

– Nie. Nigdy go nie widziałam. – Danucie drżał głos.

– Więc dlaczego płaczesz?

Nie zdawała sobie sprawy ze swoich łez. Co powinna odpowiedzieć? Co robić? Krzyś zawsze znał odpowiedzi, zawsze wiedział, co mówić. Łza torowała sobie drogę po policzku Danuty i w końcu spłynęła do kącika ust.

Jeden ze strażników szturchnął ją karabinem.

– No? Mów. Ręce do góry. *Hände hoch, Hände hoch!*

On też wydawał się przerażony, trzęsły mu się dłonie. Nie przeszkolili go na wypadek takich sytuacji. Postawili go na moście w środku niczego, gdzie nic nie miało się dziać, a tymczasem u jego stóp leżał martwy człowiek, przed nim zaś stała roztrzęsiona młoda kobieta. Spojrzała w jego twarz – był jeszcze chłopcem.

– Powinniśmy zadzwonić i zameldować, co się wydarzyło – rzekł jeden z Niemców, próbując zapanować nad sytuacją. Następnie odwrócił się do Danuty, podszedł bliżej i ryknął:

– Nie odpowiedziałaś na pytanie. Dlaczego płaczesz? Dlaczego?

Nim zdążyła wykrztusić słowo, z drugiego brzegu rzeki dobiegł stłumiony trzask. Niemiec z karabinem przyciśniętym do piersi Danuty patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, potem lekko drgnęła mu głowa, bez ostrzeżenia ugięły się pod nim nogi i ciężko osunął się na ziemię, a karabin z łoskotem upadł obok na drogę.

Jeszcze kilka szybko następujących po sobie trzasków przypominających odpalanie fajerwerków i pozostali Niemcy zwalili się bezładnie na ziemię. Jeden z nich cicho jęczał, z dziury w szyi rytmicznie tryskała krew, pod głową zbierała się kałuża. Patrzył na Danutę, jakby nie rozumiał, co się stało. *Co się tu właściwie dzieje?*

Danuta nie zdążyła krzyknąć, ponieważ zza jej pleców czyjeś ręce w rękawiczkach zakryły jej usta. Poczowała zapach tytoniu, a także inny, który powoli stawał się znajomy. Kordyt.

Ludzie jakby wynurzali się z mroku, wszyscy ubrani na czarno, poruszali się szybko, zrzucając Niemców jednego po drugim z mostu do rzeki.

– Ten jeszcze żyje!

Polski język. Dłonie oderwały się od twarzy Danuty i ktoś szepnął jej ochryple do ucha:

– Ani kroku.

Zza jej pleców wyszedł wysoki mężczyzna i wyjął z kieszeni rewolwer. Zauważyła, że broń jest dłuższa od tej, którą widziała u Krzysia, i dopiero kiedy mężczyzna podszedł do jęczącego Niemca i wpakował mu kulę w głowę, zdała sobie sprawę, że jest wyposażona w tłumik. Na most znienacka wtoczyła się w pośpiechu furgonetka z namalowanym z boku napisem „Kwiaciarnia”. Zatrzymała się z poślizgiem w świeżym śniegu, otworzyły się tylne drzwi, do środka wepchnięto zwłoki Krzysia. Po chwili Danuta znów poczuła za sobą czyjąś obecność i nim zrozumiała, co się dzieje, ktoś naciągnął jej worek na głowę.

Wepchnięto ją do furgonetki, w tle usłyszała głośny plusk; ostatniego z Niemców zepchnięto do wody. Tył pojazdu osiadł pod ciężarem kolejnych osób, które wskoczyły do środka, a po chwili Danuta usłyszała, jak zatraskują się drzwi. Czuła wokół siebie ludzkie oddechy, zapach ciał, wilgotnych ubrań i papierosowego dymu; cztery, może pięć osób. Cała akcja zdawała się trwać

zaledwie pięć minut. Głośno szczęknęła skrzynia biegów, furgonetką szarpnęło, koła zaczęły ślizgać się na śniegu. W końcu pojazdem jeszcze raz zarzuciło i ruszył z miejsca. Danuta nie miała pojęcia, czy właśnie ją uratowano, czy uprowadzono.

24

Gdy Fischer opuścił plac apelowy, kobiety zagoniono schodami do pobliskiego budynku. Słoczono je w świeżo odmalowanym pomieszczeniu. Pod ścianą w głębi stał mały kwadratowy stolik z krzesłem, na którym siedział mężczyzna w białym kitlu lekarskim i coś notował, przy jego boku stała postawna, onieśmielająca kobieta (naczelný lekarz wojskowy – NLW) z rękami skrzyżowanymi na obfitej piersi.

Ani lekarz za stołem, ani NLW nie podnieśli głów, gdy Schroder ustawił kobiety w dwóch rzędach, stanął na baczność i stuknął obcasami, dając sygnał, że wszystko gotowe. W końcu doktor podniósł wzrok i sztywno kaszlnął.

Z pogardą zmierzył kobiety wzrokiem, westchnął, odsunął krzesło i wyszedł zza stołu. Był wysoki, dystyngowany, trudno było stwierdzić, czy wyraz jego twarzy świadczy o irytacji, czy głębokim namyśle, w każdym razie jedno wydawało się oczywiste: trzeba mieć się przed nim na baczności. Ania zauważyła stetoskop na jego szyi oraz kilka błyszczących narzędzi medycznych wyczynających z górnej kieszeni kitla.

Doktor w milczeniu przechadzał się wzdłuż pierwszego rzędu. Zatrzymał się przy jednej z młodszych dziewcząt, która robiła, co mogła, by uniknąć kontaktu wzrokowego, zgodnie z cichymi sugestiami starszych kobiet. Dziewczyna strzelała oczami na lewo i prawo, w każdym możliwym kierunku, byle nie patrzeć na niemieckiego lekarza. Ania ją znała: to była Ewa, olśniewająca piętnastoletnia Polka, chodziły do tej samej szkoły w czasie, który wydawał się teraz odległy o całe wieki. Ewa głośno przełknęła ślinę, a lekarz miło się uśmiechnął, nim ruszył dalej i przystanął ponownie, tym razem przed Anią.

Wyjął ołówek z górnej kieszeni fartucha, wsunął go pod jej podbródek, przesuwając jej głowę z boku na bok. Wydawał się skonsternowany. W końcu zapytał przyjemnym głosem:

– *Juden?*

A następnie wytarł ołówek w rękaw kitla.

– *Nein, Herr Doctor*, Polka – odparła uprzejmie Ania, po czym nie wiadomo dlaczego wzruszyła ramionami i dodała: – Mam duży nos.

Uśmiechnął się na ten żarcik i skierował się w lewo. Ania zamknęła oczy i cicho odetchnęła. *Ależ z niej idiotka. Co jej strzeliło do głowy?* Dowcipkować z niemieckim lekarzem, który mógłby zabić ją na miejscu? *To było głupie, Aniu, oj, głupie!*

Trochę dalej ponownie usłyszała głos lekarza. Mówił do kogoś, kogo nie знаła, jakiejś nieco starszej kobiety o wystraszonych oczach. Doktor zadał jej pytanie, ona jednak milczała.

Głos zabrała inna, stojąca obok niej.

– Ona nie rozumie po niemiecku, *Herr Doctor*.

Mężczyzna nie odrywał wzroku od kobiety, która trzęsa się jak galareta i wydawało się, że lada chwila zemdleje.

– Aha – mruknął, po czym stanął przed tą, która się odezwała. Spojrzał najpierw na nią, a potem przeniósł wzrok na następną dziewczynę. – O! Mamy bliźniaczki?

– Tak, proszę pana. Tak, *Herr Doctor* – potwierdziła.

– Doskonale. Proszę zanotować ich nazwiska, *Frau Groepler*.

NLW podeszła z blokiem biurowym i przygotowanym ołówkiem. Włosy miała surowo zaczesane do tyłu i spięte w ciasny kok na czubku otłuszczonej, okrągłej głowy. Do tego obwisły podbródek, zimne, czarne oczy, mocna, atletyczna budowa kulomiotki albo zapaśniczki. Srogi wyraz twarzy natychmiast wzbudził wśród kobiet popłoch.

Lekarz kontynuował obchód, więcej się nie zatrzymywał, tylko od czasu do czasu unosił brew i rozdymał nozdrza.

Do sali weszło cicho trzech strażników. Ustawili się przy drzwiach. Ania znów ujrzała Brauna. Bez płaszcza wydawał się jeszcze bardziej kościsty, ale ani trochę mniej groźny. Po zakończeniu inspekcji lekarz wrócił do stołu, usiadł znużony i zaczął sporządzać notatki. *Frau Groepler* wyrwała kartkę z bloczka i mu ją podała. Jedynym dźwiękiem było skrobanie pióra po papierze. Po kilku minutach odłożył je, zakręcił butelkę z atramentem i gestem ręki przywołał Schrodera. Coś do niego szepnął, spojrzał na kobiety, skinął głową, a wtedy Schroder wyciągnął z szeregu dwie siostry.

Dołączył do niego drugi strażnik i razem wyprowadzili bliźniaczki. Doktor podniósł wzrok na NLW i zwrócił się do niej spokojnym głosem:

– To by było na tyle, *Frau Groepler*. Wracam do Auschwitz. Ta akcja okazała się dość owocna. Proszę mnie poinformować, gdy przyjedzie kolejny taki transport, dobrze?

– Oczywiście – odparła NLW. – Mam nadzieję, że wkrótce znów zaszczyci nas pan swoją obecnością, *Herr Doctor Mengele*.



Po wyjściu Mengelego *Frau Groepler* także opuściła pokój. Braun zjawił się ponownie po kilku minutach, lustrował twarze kobiet, póki nie trafił na Ewę i nie wyciągnął jej z szeregu. Gdy szarpnął ją za włosy, na jej twarzy wyryło się przerażenie, krzyki przeszywały powietrze, póki nie zniknęła w sąsiednim pomieszczeniu i nie zatrzęsnęły się za nią drzwi. Już po kilku sekundach kobiety usłyszały przerażające stłumione odgłosy bicia. Wymieniły złęknięte spojrzenia, ale milczały. Obok stali strażnicy, jeden zerkał na zegarek, drugi ziewał.

Wkrótce powróciła też *Frau Groepler*, z zaczerwienioną twarzą, lekko zdyszana. Poprawiła fartuch, zanim zwróciła się do kobiet.

– Macie wyjątkowe szczęście. Zostałyście wybrane do służenia Rzeszy i jeśli dobrze będziecie wykonywać swoje zadania, bez słowa skargi, zostanieie otoczone opieką.

Wciąż jeszcze miała rozbiegane oczy, fakt, że razem z Karlem Braunem zrobiła miązgę z Ewy za to, że uciekała wzrokiem przed doktorem Mengelem, wprowadził ją w stan radosnego podniecenia. Była rozczarowana, że krucha dziewczyna tak szybko się poddała, niemniej zdążyła sprzedać jej kilka siarczystych kopniaków, zanim zwłoki wywleczono z pokoju, pozostawiając na zimnych białych kaflach długą czerwoną smugę.

Obowiązki czekają. *Frau Groepler* ochłonęła.

– Jest dużo do zrobienia przed rozpoczęciem przez was pracy, słuchajcie mnie więc uważnie, bo nie zamierzam marnować więcej czasu na kwestie dyscypliny.

Mówiła w taki sposób, jakby incydent z Ewą był zwykłą niedogodnością, napotykaną w każdej pracy – taką jak telefon dzwoniący w nieodpowiednim momencie czy kłopot ze znalezieniem segregatora, bo ktoś nie odłożył go na właściwe miejsce. Zrobiła efektowną pauzę, westchnęła dość teatralnie, jak gdyby przez wzgląd na innych opanowywała emocje.

– Czas przygotować się do selekcji, więc prosimy was, panie, o wzięcie prysznic. – I uśmiechnęła się jak ukochana ciotka.

Kobiety zachowywały się nienagannie, dokładnie tak, jak oczekiwała.

– Pójdziecie za mną. No już!

Szybko ustawiły się w rzędzie i podążyły za *Frau Groepler* korytarzem w stronę kolejnych drzwi. Po drodze mijały coś w rodzaju ciągu małych pokoików zasłoniętych kotarami – bez drzwi. Wkrótce przeszły przez zadaszoną kładkę, która zaprowadziła je do sąsiedniego budynku. Znalazły się w dużej,

wykafelkowanej, wspólnej umywalni. Słyszały już o tak zwanych prysznicach w obozach koncentracyjnych, stały więc z kamiennymi twarzami, jakby wrośnięte w podłogę, niektóre z przerażeniem spoglądały na natryski, inne bezgłośnie się modliły.

– *Kommen, rasch, rasch!* – Niemiecki strażnik machał rękami. – Zdejmować ubrania i pod prysznic. Jazda! Szybciej, *rasch, rasch!*

Emilia pierwsza ruszyła się z miejsca, reszta poszła w jej ślady. Braun wrócił ze skórzaną szpicrutą, którą lekko uderzał w otwartą doń, rozglądając się po umywalni. Na policzku miał kilka kropli rozprysniętej krwi, oczy wciąż niespokojne po wysiłku, jaki towarzyszył biciu Ewy. Kobiety nagle się ożywiły, po zrzuceniu ubrań starały się chronić swoją intymność. Wkrótce stertę brudnej odzieży kopnięto w stronę drzwi.

Braun je otworzył, dwóch mężczyzn w pasiakach wśliznęło się do środka z pochylonymi głowami. Kiedy zbierali brudne łachy pod czujnym okiem Brauna, Ania poczuła bijący od nich odór, mimo że znajdowała się w najdalszym kącie umywalni. Mężczyźni wyszli, ani razu nie podnosząc wzroku.

Zdenerwowane kobiety stały nago w zimnym, wyłożonym kafelkami pomieszczeniu. Niektóre z mężatek nie pokazywały się zupełnie nago nawet swoim mężom, a teraz oto były całkowicie obnażone, otoczone nagością i starały się na siebie nie patrzeć. Ania jedną ręką zasłaniała piersi, drugą przyciskała nerwowo między nogami, szepcząc do Emilii:

– Co się z nami stanie?

Emilia uśmiechnęła się do pięknej dziewczyny.

– Ty jesteś bezpieczna, uwierz mi. Z takim ciałem nie spadnie ci nawet jeden włos z głowy. Tylko trzymaj język na wodzy i nie syp żartami.

Z natrysków zaczęła płynąć zimna woda i nagle całe zastępy strażników zdawały się znajdować powód do odwiedzenia umywalni, łącznie z grubym kierowcą, który z zachwytem pokazywał Anię palcem, wykonując przy tym obsceniczne gesty.

Kobiety stały pod strumieniem zimnej wody tak długo, jak tylko mogły wytrzymać, w nadziei, że strażnicy się rozejdą. Emilia jako jedyna wydawała się nie mieć problemu ze swoją nagością i zaakceptowała sytuację szybciej niż pozostałe. Łatwo było zauważyć, która z kobiet miała za sobą trudy porodu – głównie te starsze, ale także i kilka młodszych. Przeważnie były w wieku od kilkunastu do trzydziestu paru lat, reprezentowały cały wachlarz sylwetek; tęgie i szczupłe, krzepkie i wysportowane, wszystkie silne, jak to wiejskie dziewczyny.

Ania brała prysznic w milczeniu, zadowolona, że znalazła mydło, które zawierało chyba jakiś środek dezynfekujący, namydliła się dokładnie, łącznie z włosami, doceniając tę chwilę luksusu po kilku dniach podróży ciężarówką.

Kilka minut później jedna z kobiet krzyknęła, innej wyrwał się głośny szloch, ponieważ z natrysków popłynęła znieczulająca gorąca woda.

Kiedy Ania wyszła w końcu spod prysznicy, strażnik, którego nigdy dotąd nie widziała, podał jej cienki biały ręcznik, zaskakująco miękki. Wytarłszy się dokładnie, owinęła ciało ręcznikiem i stała, dygocząc, na zimnych kaflach wraz z innymi kobietami.

Strażnik od ręczników policzył wszystkie obecne i kazał im iść za sobą do kolejnego pomieszczenia. Tam również stało biurko, ale tym razem siedział przy nim niemiecki urzędnik w mundurze. Przed nim stało pudełko z kartami, kilka gumowych pieczętek po prawej stronie, poduszka z tuszem po lewej. Anię przyprowadzono do stołu jako pierwszą, zwrócił się do niej, nie podnosząc głowy.

– Masz dokumenty?

– Nie, proszę pana.

– Dlaczego? – Urzędnik zmarszczył czoło.

Tym razem Ania zdołała ugryźć się w język.

– Byłam w koszuli nocnej, gdy mnie zabra... wybrano, proszę pana – odparła, roztropnie poprawiając źle dobrane słowo.

– A, rozumiem. – Wyjął kartę z pudełka. – Nazwisko?

– Ania Burczyk – wyjąkała.

– Wiek?

– Siedemnaście lat.

– Ostatni adres zamieszkania?

Starannie zapisywał na karcie odpowiedzi, przerywając tylko raz, by zanurzyć pióro w atramencie. Po kilku kolejnych pytaniach podniósł głowę i zajrzał jej głęboko w oczy.

– Wyznanie?

Nie wahała się ani sekundy.

– Katolickie, proszę pana.

– Pochodzenie? – ciągnął. Wbiła wzrok w palce stóp, którymi nieustannie poruszała.

Niemiec lekko podniósł głos.

– Pochodzenie? – powtórzył. – Skąd jesteś, dziewczyno? Skąd pochodzi twoja rodzina, twoi dziadkowie i ich rodzice? Skąd są?

– Z Polski, proszę pana – odpowiedziała z ciężkim westchnieniem. – Nie zrozumiałam, o co pan pyta, przepraszam.

Mruganiem powiek zażegnała łzy. Mężczyzna burknął coś pod nosem, powiódł palcem wzdłuż rządka gumowych stempli. Starannie wybrał jeden z nich, podbił kartę, po czym wręczył ją Ani i krzyknął:

– Następna!

Natychmiast wyprowadzono ją z pokoju i zostawiono w korytarzu, gdzie strażnik wyszczerzył zęby ze słowami:

– Zwykle takie jak ty nie wychodzą spod natrysków z mokrymi włosami.

Zjawił się Braun i zabrał Anię do pokoju oznaczonego tabliczką „Gabinet lekarski 1”. Wnętrze było jasne, świeżo pomalowane śnieżnobiałą farbą. Kolejne biurko, kolejne pieczętki, karty, pióra i atrament. Na blacie obok przyborów do pisania leżała długa bambusowa dyscyplina, ale najbardziej przerażającą rzeczą była kozetka, przy której stał umundurowany strażnik.

Do gabinetu weszła *Frau* Groepler w białym kitlu lekarskim.

– Karta.

Ania nerwowo podała dokument.

– Tu jest napisane, że masz siedemnaście lat.

– Co?

Ania poczuła nagle piekący policzek. Pozostawił po sobie bolesny ślad, oszołomionej dziewczynie napłynęły do oczu łzy.

– Masz się do mnie zwracać *Frau* Groepler! – ryknęła NLW. – Odpowiadaj z szacunkiem.

Przeprosiny Ani zostały zignorowane. Czowała, jak zaczyna jej drzeć dolna warga. Nie rozplacze się, nic z tego – Burczykówny słynęły zarówno z uporu, jak i nonszalancji. Po kilku kolejnych pytaniach, na które odpowiedzi zdawały się już wpisane do karty, polecono jej zdjąć ręcznik.

Łypnęła na Brauna, po czym znów przeniosła wzrok na *Frau* Groepler. Najwyraźniej ociągała się zbyt długo i tym razem trzcina świsnęła w powietrzu i złośliwie smagnęła ją po łydkach.

– No już, ty polska dziwko!

Ania zsunęła ręcznik, próbując rozmasować piekące miejsce na skórze, ale wyprostowała się, widząc, jak trzcina znów wędruje w górę. Z bólu kręciło się jej w głowie, gdy wielka okrągła twarz pojawiła się tuż przed nią, niemal dotykając jej nosa. Czowała na sobie gorący oddech Niemki.

– Schył się – rozkazała *Frau* Groepler.

Zaczęła rozgarniać Ani włosy w taki sam sposób, jak robią to małpy, kiedy nawzajem się iskają.

– Masz szczęście. Gdzie indziej ogoliliby ci głowę. Nie ma wszy! – oznajmiła, podeszła do biurka i zaznaczyła okienko na karcie Ani. – Jest tu pytanie o kolor oczu. Ktoś wpisał jedno niebieskie, jedno brązowe, ale nie dali mi pieczętki ze słowem „dziwadło”! – Roześmiała się z własnego żartu i ruchem głowy wskazała kozetkę.

Ania się położyła, NLW siłą rozwarła jej kolana. Braun pochylił się, by lepiej widzieć, gdy *Frau* Groepler wcisnęła w dziewczynę kilka tłustych paluchów. Ania chwyciła się kurczowo kozetki, napięła każdy mięsień. Kobieta chrząknęła, wolną ręką sięgnęła po dyscyplinę dogodnie opartą o kozetkę. Ania natychmiast rozluźniła spięte ciało i badanie było kontynuowane.

Gdy Ania spojrzała w dół między rozsunięte kolana, nagle wyrosła przed nią szpetna twarz lekarki.

– Jeszcze nietknięta, co? Niespotykane jak na polską dziwkę.

Wymamrotała jeszcze coś niezrozumiałego, wróciła do biurka i odnotowała wynik badania na karcie. Zmierzyła Ani ciśnienie, zajrzała do gardła, uszu, osłuchiwała serce.

Odhaczywszy wszystkie kratki i zapisawszy kilka uwag, *Frau* Groepler przybiła pieczętkę z taką siłą, że aż zakołysał się stół i wywróciły się inne stemple. Wskazała drzwi.

– Tam!

Ania spojrzała we wskazanym kierunku.

– Zabieraj ze sobą swój obrzydliwy ręcznik!

Kobiety stopniowo dołączały do Ani w sąsiednim pomieszczeniu, owinięte w ręczniki, zszokowane i przerażone sposobem, w jaki potraktowała je *Frau* Groepler. Młodsze dziewczęta pochlipywały, jedna stała z mocno zaciśniętymi kolanami, a po wewnętrznej stronie uda spływała jej cienka strużka krwi. Żadna nie odważyła się pocieszyć cicho pociągającej nosem dziewczyny.

Na wrażliwej skórze ud i ramionach niektórych kobiet widniały bolesne, krwistoczerwone, przecinające się pręgi. Ania ustawiła się pod jedynym oknem. Zapadł już zmrok, ale teren za oknem był rzęsiście oświetlony. Nie jadła i nie piła od czasu porannego wyjazdu z wiejskiej świetlicy, lecz jak dotąd strach przed nieznanym nie dopuszczał do uczucia głodu.

Z gabinetu lekarskiego dały się słyszeć podniesione głosy: NLW i drugi, męski, też znajomy. W drzwiach stanął Obersturmführer Schroder, trzymając w dłoni opieczętowaną, odręcznie wypełnioną kartę. Kilkakrotnie przeszedł się po pomieszczeniu, aż wreszcie stanął przed Anią.

– Ty, z dziwnymi oczami. Za mną! – rozkazał.

Przez całą godzinną podróż furgonetką Danuta miała zasłonięte oczy, nogi od czasu do czasu dotykały ciała Krzysia. Z zimna nie czuła już palców, ale, co dziwne, była wdzięczna za ten worek na głowie, bo przynajmniej jej własny oddech ogrzewał twarz. Wszystko toczyło się zbyt szybko, nie miała czasu opłakiwać Krzysia. Bardziej pochłaniała ją kwestia przeżycia, a intuicja kazała zachowywać czujność i jasność umysłu.

Auto gnało bez świateł przez pokryte śnieżną breją ulice krakowskich przedmieść, odnajdowało drogę dzięki wyczuciu kierowcy i jego dogłębnej znajomości każdego zaułka i bocznej uliczki tonących w głębokim mroku. Zdołali sprytnie ominąć kilka niemieckich posterunków, wiedzieli jednak, że im bliżej centrum miasta, tym większe ryzyko, że zostaną zauważeni przez patrol albo natkną się na nową blokadę na drodze.

Po pogrążonym w ciemności mieście niosły się odgłosy przejeżdżających lekkich wozów opancerzonych oraz motocykli, furgonetka kilkakrotnie się zatrzymała i czekała, aż niemieckie patrole przetoczą się zaledwie kilka ulic dalej. Wszystkim przykazano wtedy siedzieć cicho i zwykle mijało kilka minut, nim kierowca ponownie wprawiał pojazd w ruch, a koła buksowały w śniegu na brukowanej nawierzchni.

Po kolejnym postoju i dłuższej niż zwykle przerwie Danuta poczuła, jak czyjaś ręka wciska się pod worek i wpycha jej do ust cuchnący gałgan. Zaczęła się dławić, ktoś pchnął ją w tył, czyjaś nieogolona twarz dotknęła jej szyi.

– Ciii – odezwał się męski głos. – Ciii.

Jego oddech cuchnął nikotyną. Chwilę siedzieli w milczeniu, a potem usłyszała charakterystyczny szczęk ładowanej broni i gwałtownego otwierania tylnych drzwi furgonetki.

Co dziwne, najpierw uderzył ją zapach kwiatów, a nim zdążyła zebrać myśli, wypchnięto ją z auta i pognano przez małe brukowane podwórze. Następnie znalazła się w budynku. Zatrzasnęły się drzwi, zazgrzytały pospiesznie zasuwane rygle.

Po chwili zupełnie inny zapach i zupełnie inne doznania. Prawdopodobnie była w kuchni. Czuła żar pieca, aromat gorącej zupy, płonącego drewna. W końcu kobiecy głos przebił się przez swojskie pobrzękiwanie sztućców i mieszanie łyżką w garnku.

– Kto to?

Wyrwano jej knebel z ust, zdarto worek z głowy, jej nieprzywykłe do światła oczy gwałtownie zamrugwały. Patrzyło na nią kilka twarzy. I znów odezwała się kobieta.

– Przecież to jeszcze dziecko!

– Nie jestem dzieckiem – odparła gniewnie Danuta – i nie podoba mi się ta idiotyczna zabawa w kotka i myszkę. Jeśli zamierzacie mnie zabić, to już. Do dzieła.

Naliczyła sześć bądź siedem osób, wszyscy się śmiali. Mężczyzna, którego głos słyszała już na moście, objął ją ramieniem.

– Dlaczego, mała, mielibyśmy cię zabijać, skoro właśnie ryzykowaliśmy życiem, żeby cię uratować?

– A dlaczego nie? Nie wiem, kim, do diabła, jesteście.

– Ma charakter! – skwitowała kobieta przy kuchni, podając Danucie talerz gorącej zupy.

Ponownie odezwał się mężczyzna.

– Możesz mi mówić Grabowski. A to moja kobieta, Wisława, no i reszta drani: mój brat Józef, obok niego Eddie, dalej Jurek i jego brat Jurek; tak, wiem, myślące, ale musiałyś poznać ich rodziców. I jeszcze jeden, który nie chce, żebyś wiedziała, jak ma na imię, bo jest, zdaje się, nieśmiały?

Nieśmiały cisnął w Grabowskiego bułką, trafiając go tuż za uchem. Grabowski nie przejął się tym żartem i zwrócił się do Danuty.

– Już wiesz, z kim masz do czynienia, a teraz my musimy się dowiedzieć, kim jesteś i co robiłaś na moście z Krzysiem Paderewskim.

Wszyscy patrzyli na Danutę. Gorączkowo zastanawiała się nad odpowiedzią. Czy jest tu bezpieczna? Co to za ludzie? Nie zaryzykuje powiedzeniem im całej prawdy, nie ma mowy. Więc trochę skłamała.

– Nazywam się Danuta Szalek i jestem z Orszy.

– Niedaleko rosyjskiej granicy?

– Zgadza się. Odwiedzałam znajomych koło Łodzi i tam utknęłam, gdy wtargnęli Niemcy. Tak poznałam Krzysia, na targu. Zaproponował, że zabierze mnie do Krakowa i oto jestem tu z wami i nie wiem, co się dalej stanie!



Rozmawiali przy jedzeniu. Danuta dowiedziała się, że ludzie, do których trafiła, wracając z czegoś, co nazywali „misją”, usłyszeli strzał przy moście i zatrzymali się na rekonesans. Danuta przypuszczała, że uratował ją polski ruch oporu, ale skąd miała mieć pewność?

Ich nonszalancja oraz fakt, że bez trudu zabili Niemców, były dobrym znakiem, ale równie dobrze mogli przecież sympatyzować z bolszewikami albo być dysydentami, którzy za punkt honoru postawili sobie wyrządzenie jak największych szkód.

Jedząc zupełnie, Danuta wodziła wzrokiem po twarzach mężczyzn. Krzyś ją ostrzegł, że Rosjanie są szczególnie okrutni dla polskich kobiet; brutalne gwałty zbiorowe i morderstwa nie należały do rzadkości. Wiedziała jednak, że w furgonetce była całkowicie bezbronna, a nikt nie tknął jej palcem. W zasadzie bezpiecznie dotarła na miejsce.



Ulice zabytkowego, pięknego, otoczonego murami Krakowa zdobiły czerwono-czarne flagi nazistów. Wszędzie powiewały swastyki. Na wielu gmachach publicznych pozostał polski orzeł, ale Niemcy zdjęli mu koronę. Orzeł miał symbolizować siłę Polski i Niemcy sprytnie pozwolili go zachować – w formie zmodyfikowanej, podległej, jako przypomnienie obecnego położenia tego narodu, znajdującego się pod niemieckim butem. Polska w końcu przestanie samodzielnie istnieć, będzie dodatkiem do Niemiec, dostarczycielem taniej siły roboczej, służby i niewolników. Hitler niczym innym się nie zadowoli.

W trakcie posiłku zniknął jeden z Jurków. Wrócił po mniej więcej dwudziestu minutach z innym mężczyzną i powiedział do Grabowskiego:

– To on. Krzyś Paderewski.

Grabowski wydawał się autentycznie zasmucony.

– Przykro mi. Byliście sobie bliscy? – zwrócił się z pytaniem do Danuty.

– Zaoferował, że mnie podrzuci, to wszystko. Już mówiłam.

Było jednak jasne, że to nie „wszystko”, ponieważ oczy zaszklily się jej od łez. Wisława przyjaźnie objęła ją ramieniem.

– Współczuję. Spocznie w mogile bohatera. Możesz być pewna, że zostanie pochowany ze wszystkimi honorami – oznajmił Grabowski.

W pokoju zapadła cisza przerywana jedynie pochlipywaniem Danuty.

– Skąd znacie Krzysia? – zapytała w końcu, ocierając oczy rękawem.

Grabowski położył rękę na barkach jednego ze swych ludzi.

– To jest Tomasz, kuzyn Krzysia. Wszyscy pracujemy dla wuja Krzysia, Sławka Posłuznego, dość ważnej osoby w Krakowie. Słyszeliśmy o zajściach w Węgrzynie i spodziewaliśmy się, że Krzyś wyruszy w drogę, by do nas dołączyć.

– Skąd mieliście pewność?

– Powiedzmy, że w rodzinie takie rzeczy się wie. Nie bój się, moja droga, z nami jesteś bezpieczna. Sprzątnęliśmy Niemca, który zabił Krzysia, a także resztę sukinsynów na moście. Jutro zabierzemy cię do wuja Krzysia, zostaniesz u niego do czasu, aż znajdziemy ci jakieś stałe lokum.

Danuta poczuła nagły przypływ gniewu.

– Ale ja chcę walczyć, a nie się ukrywać. Chcę zabijać Niemców, tak jak oni zabili moją matkę i dziadków... i chyba także siostrę... i Krzysia.

– Już jutro będziesz mogła omówić to z ludźmi, którzy decydują o tych sprawach. Do tego czasu musisz zostać z nami. Wisława się tobą zaopiekuje.

Gdy Wisława przesunęła krzesło, by usiąść twarzą do Danuty, z impetem otworzyły się kuchenne drzwi. Do środka wtargnęło kilku zamaskowanych mężczyzn z gotowymi do strzału karabinami maszynowymi. Grabowski nie zdążył chwycić za broń, pozostali też dali się zaskoczyć. Intruzi omietli wnętrze wzrokiem, ich wyzierające z otworów kominiarek oczy ślizgały się z lewa na prawo, a gdy najwyraźniej uznali, że jest bezpiecznie, usunęli się na bok, ustępując miejsca zamaskowanemu olbrzymowi w wyświechtanych, spłowiałych spodniach z brązowego sztruksu, czarnej kurtce i szarym kaszkiecie, który wkroczył do kuchni. Pozostali poszli w jego ślady, łącznie z człowiekiem o skrępowanych rękach, przypuszczalnie jednym z ludzi Grabowskiego, który stał na warcie pod drzwiami. Cisnęli go na podłogę, upadł z jękiem.

Olbrzym dzierżył wielki karabin maszynowy, na tyle duży, że jedną serią mógłby sprzątnąć wszystkich zebranych. Twarz miał ukrytą za jutową maską z prymitywnie wyciętymi otworami na oczy i rozcięciem na usta. Wyglądał jak kat, a gdy Danuta dostrzegła osłupiałe miny swoich „porywaczy”, ich ręce uniesione w geście kapitulacji, zdała sobie sprawę, że Krzyś nie był jedynym nieostrożnym człowiekiem w jej dotychczasowym wojennym życiu.

26

Rolf Schroder wstąpił do SS w wieku osiemnastu lat. Matka płakała, a ojciec w zaciszu swojego gabinetu także ronił łzy, choć nikt o tym nie wiedział. Schroderowie byli bibliotekarzami, a ich jedyne dziecko, Rolf, zawsze pilnie się uczył, był prymusem, nie interesowały go sport ani zabawy na świeżym powietrzu. Podczas gdy jego koledzy włóczyli się nocami po ulicach i uczestniczyli w politycznych wiecach, Rolfa bardziej zajmowała lektura i nauka.

Nie ulega wątpliwości, że Schroderowie byli zacnymi berlińczykami. Z zainteresowaniem śledzili proces dochodzenia Adolfa Hitlera do władzy, jak również wybranie Hindenburga na drugą kadencję prezydencką w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku. Wydawało się oczywiste, że mianowanie Hitlera Kanclerzem stanowiło płytką i tchórzliwą próbę przekonania Niemców oraz reszty świata, że Hindenburg nadal dzierży stery.

Ale już w marcu tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku Hitler stanął na czele Reichstagu, miał dyktatorskie zapędy, co ostatecznie doprowadziło do najazdu na Polskę, ale nie tylko: dobrze się działo, odbudowywano niemiecką dumę. Spadał poziom bezrobocia, tworzono nowe bogactwo, ale zarazem narastał niepokój wśród mniejszości rasowych oraz tych, którzy nie zgadzali się z nazistami.

Raptem zwykły człowiek znów poczuł się godnie jako Niemiec. Ludzie wreszcie mieli w kieszeni pieniądze, widzieli przyszłość dla siebie i swoich bliskich. To, że wszystko budowano na strachu, jakoś nie spędzało większości snu z powiek.

W owym czasie Żydzi stanowili narastające źródło obaw w całej Europie, głównie ze względu na ich finansową i ekonomiczną dominację. Większość prawdziwych Niemców z krwi i kości, takich jak Schroderowie, wiedziało jedno: Żydzi tradycyjnie prowadzą interesy między sobą i zatrzymują bogactwo w obrębie własnych społeczności, a to nie służy gospodarce. Nie dostosowują się do niemieckiego modelu życia, mają własne przekonania i obrzędy religijne, jak również absurdalne przepisy odnośnie do stroju. Mimo to pracownicy Schroderowie mieli paru bliskich żydowskich przyjaciół – poważnych osób o wysokiej kulturze umysłowej, których poznali dzięki pracy w bibliotece.

Tym, co najbardziej zaskakiwało Schroderów w Rosenbergach, było ich ogromne zainteresowanie niemiecką historią oraz filozofią. Ale dlaczego uparcie nazywali siebie „niemieckimi Żydami”, dlaczego nie po prostu „Niemcami”, jak wszyscy inni? Führer otwarcie powiedział, że Żydom nie można ufać – czy miał rację?

Gdy w listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku wydarzyła się Noc Kryształowa, dziesiątki tysięcy Żydów pobito, zamordowano lub wysłano do obozów koncentracyjnych. Schroderowie znaleźli się wśród tłumów, które przechadzały się ulicami, przyglądając się spustoszeniu i cierpieniom wyrządzonym przez Hitlera i jego partię nazistowską. W milczeniu wędrowali u boku swoich aryjskich sąsiadów, oglądając efekty dwudziestu czterech godzin plądrowania i łupienia, podczas których doszczętnie spalono żydowskie sklepy, zakłady, warsztaty oraz synagogi, a ludzi wystawiono na widok publiczny, by ujadające masy mogły dołączyć do prześladowań.

Gdy Rosenbergowie próbowali uprzątnąć wnętrze swojego wypalonego do gołych ścian sklepu, *Frau* Schroder odwróciła wzrok i dziarskim krokiem poszła dalej w towarzystwie niemieckiej znajomej. Ale pani Rosenberg ją zauważyła, ich spojrzenia spotkały się na króciutką chwilę. Z niewiadomego powodu *Frau* Schroder nagle poważnie rozboleła głowa i musiała wrócić do domu. Leżała w łóżku przez dwa dni, a kiedy wreszcie wstała, była głęboko przygnębiona.

Tydzień później w bibliotece zjawilo się Gestapo. Funkcjonariusze mieli ze sobą listy dozwolonej i niedozwolonej literatury, a Schroderom polecono dopilnować, by niedozwolone książki zostały wystawione na ulicę przed zamknięciem biblioteki. Zostanie przeprowadzona kontrola, a jeśli znajdą się na półkach jakieś książki z listy „zabronionych”, zostaną one niezwłocznie usunięte wraz z *Herr Schroderem*.

Schroderowie i personel biblioteki pracowali przez cały dzień aż do wczesnej nocy. *Herr Schroder* był zdumiony rozmiarami stosu książek, które wylądowały na ulicy. Zajmowały całą szerokość chodnika i wysypywały się na jezdnię. Wielkie dzieła Leopolda Staffa i Brechta, erudycyjne arcydzieła poświęcone kulturze współczesnej, czasopisma naukowe, nawet modlitewniki, nie było żadnych świętości; wszystkie uznano za lektury wywierające niezdrowy wpływ na naród niemiecki. Jak na porządnego obywatela przystało, *Herr Schroder* stał z poważną miną i zaciśniętymi ustami, patrząc, jak Gestapo podpala ogromną stertę, ale ścisnęło mu się serce i tamtej nocy płakał po raz drugi w swym dorosłym życiu.

Za zamkniętymi drzwiami rozgoryczony *Herr Schroder* uważał, że każdy człowiek obdarzony choćby krztyną inteligencji wie, że z palenia książek nigdy nie wynikło nic dobrego. Führer popełnił ogromny błąd, a nacjonalistyczny zapal, który wcześniej płonął w sercach Schroderów, zgasł całkowicie i nagle zaczęli postrzegać przyszłość wyłącznie w czarnych barwach. Usun książki, a zubożysz cywilizację. Schroderów zaczynało dręczyć nieznane dotąd uczucie – ciężar winy. To nie koniec złych wieści, Rolfa wysłano do kulturalnej przepaści zwanej Polską. „Na szczęście to nie front. Musimy dziękować Bogu za drobne łaski”, powiedziała matka, machając mu na pożegnanie na Anhalter Bahnhof, głównym dworcu kolejowym Berlina. W skrytości ducha cieszyli się z losu, jaki przypadł ich synowi. Obóz pracy w Polsce nie był złą rzeczą, no i będzie mógł poszczycić się robieniem czegoś pożytecznego dla wysiłku wojennego, szczęśliwie znajdując się z dala od rzezi i okropieństw linii frontu. Może pomógłby Rosenbergom, gdyby się na nich natknął? Ulżyłby w ten sposób wyrzutom sumienia rodziców.

Po wyjeździe Rolfa do Polski ojciec podupadł na zdrowiu. Chodził po bibliotece, mamrocząc coś do siebie, patrząc na puste miejsca na półkach i skreślenia na kartach katalogowych. Zaczął być nieuprzejmy dla klientów, przez większość czasu sprawiał wrażenie rozkojarzonego, pogrążonego we własnych myślach. Wzrok miał nieobecny, ludzie często komentowali, że nie widują już na jego twarzy uśmiechu. Nie mógł mówić na głos z obawy, że ktoś doniesie na niego Gestapo, informując o jego tak zwanych wywrotowych poglądach, więc stopniowo umierał w środku, dzień po dniu, kawałek po kawałku.

Gdy Rolf przybył do obozu, który miał być jego domem na czas wojny, przeprowadzone przez niego prywatne dochodzenie potwierdziło, że

Rosenbergów wysłano do Bergen-Belsen. Nie wiedział zbyt wiele o tym miejscu, kilku starszych mężczyzn śmiało się, gdy pytał o tamtejsze warunki. Jest tam biblioteka? A może orkiestra?

Początkowo Rolf nie bardzo mógł się połapać w roli Wiśnicy oraz swoich obowiązkach w obozie, nie mięło jednak wiele czasu, gdy atmosfera okrucieństwa wsączyła się w jego umysł mola książkowego. Potworności działy się codziennie. Były częścią życia. Ludzi oszpecano, okaleczano, mordowano i wydawało się, że nikt nie ponosi za to większej odpowiedzialności, jeśli w ogóle jakąś ponosi.

Po pewnym czasie Rolf zaniechał kwestionowania czegokolwiek i nie trzeba było długo czekać, by zaczął usprawiedliwiać brutalność. Później sam przykładał do niej rękę. Był doskonałym przykładem na to, jak łatwo można wpłynąć na poglądy porządnym Niemców i przekonać ich, że istnieje tylko jeden sposób rozprawienia się z wywrotowcami, dysydentami i Żydami. Skoro wszyscy zmuszają ich do uległości, to musi to być słuszne postępowanie, prawda?

Rolfa zafascynował sposób, w jaki Żydzi czekają w kolejce do komór gazowych; i choć wydawało się to absurdalne, niektórzy z nich chronili się w cieniu pobliskich drzew przed palącymi promieniami letniego słońca. Czekając na śmierć!

Kiedy skończy się wojna, świat będzie wolny od kalek, niedorozwiniętych, psychicznie chorych, komunistów, Cyganów, homoseksualistów, intelektualistów, wywrotowców i Żydów! Chodziło o wyższe dobro i trudno było nie dać się ogarnąć ferworowi, nie oparł mu się nawet Rolf Schroder.



Strażnicy i oficerowie SS w Wiśnicy stanowili typową mieszanię Niemców z miast i miasteczek, ale łączyło ich jedno: umiłowanie Führera i ojczyzny. Wielu z nich wyszło z szeregów Hitlerjugend, zresztą podobnie jak Rolf Schroder, który ucieszył się ze spotkania z kolegą z tamtych ekscytujących czasów, Karlem Braunem.

W czasach szkolnych Braun był nienaturalnie chudy, mimo że odznaczał się wilczym apetytem. Wydawało się, że ile by nie zjadł, nigdy nie przybierał na wadze. Gdy latem paradował bez koszuli, można było zobaczyć wszystkie kosteczki – policzyć wszystkie żebra i kręgi w kręgosłupie. Stał się obiektem drwin i łatwym celem dla prześladowców. Jego jedyną obroną była wtedy ucieczka. Ponieważ szybko biegał, nauczyciel wychowania fizycznego nadał mu przydomek Chart. Później sam Braun twierdził z upodobaniem, że nazywano go Chartem z powodu jego budowy. „Karl, ty to jesteś sama skóra i kości”,

komentowano pod prysznicami po treningu. Bez względu na powód przewisko do niego przywarło.

Braun poprzysiągł, że pewnego dnia pokaże swoim tyranom, z jakiej ulepiono go gliny. Na razie wyładowywał frustrację na zwierzętach, stopniując okrucieństwo od rozczłonkowania polnych myszy do torturowania domowego kota, a potem hałaśliwego psa sąsiadów. Szczególnie lubił patrzeć, jak zwierzęta wiją się, podrygują i wyją z bólu, gdy je maltretował, skupiając się na różnych częściach ich ciała. Jedną z jego ulubionych rozrywek było łapanie ptaków, krępowanie im nóg żyłką wędkarską i przywiązywanie ich do ogrodzenia z siatki. Nieszczęsne stworzenie kręciło się jak koło do łamania kości, próbując odfrunąć. Oczywiście żyłka w końcu odcinała mu nogi, ptak spadał, trzepocząc się i szamocząc, aż wykrwawił się na śmierć. Karl siedział i obserwował cały proces od początku do końca, podjadając ulubioną czekoladę.

Gdy miał piętnaście lat, zmęczył się uciekaniem przed dręczącymi go kolegami. Osaczyli go o ten jeden raz za dużo i wtedy przekonał się, że potrafi całkiem niezłe się bić. Walczył nieczysto, gryzł, pluł, kopał, szarpał; wszystko, byle wygrać. Wydawało się, że zadawanie cierpienia ludziom sprawia mu większą przyjemność niż dręczenie zwierząt, a ku swemu zaskoczeniu odkrył, że lubi także poddawać się bólowi. Obie te fiksacje wnosił do swoich związków z kobietami i w rezultacie nigdy nie udało mu się zatrzymać przy sobie żadnej dziewczyny dłużej niż kilka miesięcy.

Kilka lat po wystąpieniu z Hitlerjugend Schroder i Braun znów się spotkali, tym razem w Wiśnicy: kujon Schroder i zbir Braun. Schroder wciąż rozwijał się intelektualnie (znał na pamięć *Mein Kampf*) i dążył do władzy z zapałem, który w innych dążących do podobnego celu budził jedynie respekt. Władza zdawała się motorem jego działań, on jednak pragnął czegoś więcej niż szarzyzny biurokratycznych wpływów, które starał się wywierać jego ojciec jako urzędnik w miejscowej bibliotece.

Zawsze nienagannie ubrany Rolf był esencją SS: prawy idealista, rzeczowy i zasadniczy żołnierz, który wypełniał rozkazy co do joty, niczego nie kwestionując. Wiedział, jak wykorzystywać system i jak działa wewnętrzna polityka. Trudno było go nie zauważyć, ponieważ Rolf Schroder miał prezencję. SS widziało w nim idealnego kandydata do szybkiego awansu, a Braun nie odstępował go na krok i ochoczo czerpał z tej znajomości korzyści.



Jazda przez pół Polski była dla Schrodera i Brauna czymś w rodzaju przygody, odskocznią od codziennego mozołu w Wiśnicy. Przynosiła nawet pewne

dotatkowe korzyści w postaci dostępu do kobiet – to znaczy dopóki Braun nie obszedł się brutalnie z jedną z nich. Najwyraźniej nie chciała uczestniczyć w jego sypialnianych zabawach, ale ponieważ została już wpisana na listę, musiała zostać z niej wypisana! Żaden problem – Rolf wypełnił papiery i w końcu wszystko załatwiono ku zadowoleniu Berlina. Praca zespołowa SS w najlepszym wydaniu.

Fischer sporządził szczegółowy wykaz, opisując, czego dokładnie życzy sobie w Klubie. Głównym czynnikiem była młodość, ponieważ polskie kobiety źle się starzały. Zdrowe, wiejskie, gospodarskie dziewczyny o rumianych policzkach i silnych kończynach – taki był rozkaz. Komendant dostarczył mapy, zaznaczył miejscowości i wsie, podał dane urzędników, którzy mieli udzielić informacji o miejscu zamieszkania takich kobiet. Potrzeba było w sumie trzydziestu, a rozkazy Fischera były bardzo precyzyjne.

Zaangażowani w tę misję mężczyźni posilali się teraz w kantynie, gdzie większość młodszych podoficerów oraz szeregowych żołnierzy gromadziła się w przerwach na posiłek.

Początkowo wieść o burdelu wywołała w obozie wielkie poruszenie, a ogromne rozczarowanie nastąpiło wtedy, gdy okazało się, że kobiety mają być dostępne tylko dla więźniów!

Z Klubu mieli korzystać kapo i członkowie Sonderkommando. Kapo, którzy utrzymywali dyscyplinę, bijąc współwięźniów, oraz brudasy z Sonderkommando, którzy pracowali w komorach gazowych i krematorium. Dlaczego tym szumowinom wolno było korzystać z młodych, świeżych polskich ciał, a ich panom nie? Do grona beneficjentów zaliczali się też kucharze, strażacy i funkcyjni z baraków – mogli korzystać wszyscy, którzy odgrywali jakąś rolę w sprawnym funkcjonowaniu obozu, pod warunkiem że nie byli Żydami. A takim jak Schroder i jemu podobnym, którzy na co dzień narażali życie, skąpiono zabawy. To nie w porządku, dlatego morale oddziałów SS w obozie i wokół niego znacząco podupadło wraz z puszczeniem w obieg zasad korzystania z Klubu.

Dwanaście kobiet miało pracować jednocześnie od ósmej wieczorem do północy. Wybierał je osobiście komendant, kierując się radami doktora Mengelego i jego zespołu medycznego. Kobiety, jak głosiła notatka służbowa, były ochotniczkami oferującymi swe usługi Rzeszy i będą chętnie wynagradzać zasłużonych pracowników, którzy robią tak wiele dla niemieckiej sprawy w tak trudnych okolicznościach.

– Musimy znaleźć sposób na dobranie się do tych dziwek – oznajmił Braun tego wieczoru w kantynie. – Będą się marnować przy obrzydliwych polskich kapo. Niech zaznają porządnych niemieckich ptaszków!

– Podobno charty słyną bardziej z szybkości niż wytrzymałości. Niby dlaczego dwuminutowy stosunek z tobą miałby być jakąś szczególną atrakcją dla kurwy? –

zadrwił Schroder.

– Pierdol się.

– Przyjacielu, mam przeczucie, że byłoby to jedyne pierdolenie, jakie przypadnie w udziale któremukolwiek z nas w tym obozie, czy to dzisiaj, czy kiedykolwiek – odparł Schroder.

– Nie sądzę, mój drogi Rolfie. Myślę, że tym razem się mylisz...

CZĘŚĆ 4

Polski ruch oporu

27

Wódka lała się strumieniami, gdy wieczorem przedstawiono Danucie wuja Krzysia, Sławka. Słynął ze spektakularnych wejść, ale żeby od razu z karabinem maszynowym i w kapturze na głowie? Grabowski próbował wyjść z twarzą z porażki, jaką było nie dość skuteczne strzeżenie kwiaciarni.

– Mogłem cię zabić! I co wtedy, hę? Co by było, gdybym zastrzelił „zamaskowanego napastnika”? – zapytał Grabowski, energicznie klepiąc Sławka po plecach.

– Byłeś zbyt zajęty opowiadaniem tej młodej damie, jaki to jesteś ważny. – Sławek muskularnym ramieniem objął wąską talię Danuty. – Jeśli chcesz poznać naprawdę ważnego człowieka...

– Przedstaw mi go, kiedy się tu zjawi.

Dowcip Danuty rozbawił wszystkich, łącznie ze Sławkiem.

Wkrótce zrelacjonowano mu wydarzenia na moście. Pomimo miłości do siostrzeńca Sławek musiał przyznać, że chłopak zginął przez swoją nieostrożność.

– Niech to będzie nauką dla was wszystkich, Grabowski. Musicie mieć oczy dookoła głowy. Zobaczcie, z jaką łatwością się tutaj dostałem, na litość boską!

Sławek dał wszystkim znak, by usiedli. Nadszedł czas na poważne sprawy. Zaszurały krzesła, napełniono kieliszki i oczy wszystkich zwróciły się na niego. Tajemnicza osoba, która wcześniej chciała pozostać anonimowa, zajęła miejsce obok Sławka, zdjęła chustę, czapkę i kurtkę, ujawniając tym samym, że jest kobietą.

Długie blond włosy ukrywała pod czapką i gdy teraz potrząsnęła głową, opadły kaskadą na ramiona. Kobieta uśmiechnęła się do Sławka. Była prawdziwą pięknoscią. Przedstawiła się Danucie jako Natalka i nikt nie wydawał się zaskoczony jej przebraniem – wszyscy najwyraźniej znali ten żart. Z gracją otoczyła Sławka długim ramieniem, by jasno dać Danucie do zrozumienia, do kogo mężczyzna należy. I w końcu zaczęła się rozmowa.

– Kiedy we wrześniu Niemcy maszerowali przez Warszawę, byłem tam w interesach...

– Chyba dość szemranych, co, Sławek? – przerwał mu z uśmiechem jeden z Jurków, prowokując go do poklepania Natalki po idealnie zaokrąglonych pośladkach.

– Chyba tak – przyznał z uśmiechem. Roześmiali się wszyscy prócz Natalki, która zazdrośnie zmarszczyła czoło. – Mówię wam, przyjaciele – ciągnął Sławek – w tamtym koszmarnym dniu moi rodacy pokazali mi swoje najohydniejsze oblicze.

– Co się stało? – zapytała Danuta.

Postawny mężczyzna zamilkł i wychylił kieliszek wódki. Gdy nalewał sobie kolejną porcję, Danuta skorzystała z okazji, by lepiej mu się przyjrzeć. Miał krótko ostrzyżone włosy i lekki zarost, który pokrywał kwadratową żuchwę jak mech skałę. Szeroki nos, pełne usta. „Mam usta stworzone do całowania”, powiedział kiedyś. „I do miłości”, dodała Natalka z cierpkiem uśmiechem. Jednak najbardziej zniewalające były oczy: czaił się w nich błysk, któremu nie zdołała się nigdy oprzeć żadna interesująca go kobieta. Duża głowa i mocna budowa ciała czyniły zeń postać onieśmielającą, charyzmatyczną. Był typem człowieka, za którym ludzie staną murem albo uciekną gdzie pieprz rośnie.

– Przez kilka tygodni obserwowałem, jak traktowani są Żydzi, przyglądałem się uważnie, kiedy Niemcy zamknęli ich w getcie. Na ławkach parkowych, toaletach publicznych i tramwajach w ciągu jednej nocy pojawiły się napisy. „Żydom siadać nie wolno”. Albo: „Żydom wstęp wzbroniony”. Nie wolno im było spacerować chodnikami, widziałem, jak jakiś niemiecki bandzior zatłukł mężczyznę na śmierć na oczach jego żony i dzieci tylko dlatego, że był na chodniku. A dlaczego się tam znalazł? Dlaczego? Dlatego, że podnosił upuszczoną przez dziecko zabawkę.

W tym momencie piękna Natalka ujęła jego wielką dłoń i ścisnęła ją mocniej, niż on ścisnął jej pośladki.

– I co wzbudziło we mnie taką odrazę? – ciągnął Sławek. – To, że zabito go na oczach rodziny? Nie. To, że Niemiec wytarł krew z kolby karabinu w płaszcz leżącego w rynsztoku i konającego mężczyzny? Nie. A więc co? Co tak bardzo mnie oburzyło, że postanowiłem zrobić wszystko, co w mojej mocy, by pomścić śmierć tamtego nieszczęśnika?

Każdy wiedział, że to pytanie retoryczne. Sławek opróżnił kolejny kieliszek, nim podjął opowieść.

– O ile mi wiadomo, tamten człowiek był nikim, ani sławny, ani ważny. Może robotnik fabryczny. Może prowadził jakiś drobny interes, powiedzmy, że piekarnię. Czymkolwiek się zajmował, był przede wszystkim Polakiem, a dopiero potem Żydem! – Huknął pięścią w stół, aż wszyscy podskoczyli. – Na litość boską, był jednym z nas! Moim sąsiadem, waszym sąsiadem, kolegą z pracy,

a może nawet szefem. Był POLAKIEM! – wrzasnął. – Widziałem, jak polscy mężczyźni i polskie kobiety opluwali Żydów idących do getta. A potem widziałem, jak ci sami obywatele biegną ulicą z łupami, właśnie tak, grabili opuszczone domy swoich żydowskich sąsiadów, zanim zajęli je Niemcy!

Znów umilkł i gniewnie pociągnął z butelki wielki haust, rezygnując z napełniania kieliszka.

– I teraz tutaj, w Krakowie, naszym rodzinnym mieście, w którym wyrosliśmy, w którym polskie dzieci bawią się obok dzieci naszych znajomych Żydów, tutaj robimy to samo, a nawet gorsze rzeczy! Zapytacie, co może być gorszego niż to, co wydarzyło się w Warszawie? No co? – Napotkał ścianę skonsternowanych twarzy. Po kolei przyglądał się każdemu z obecnych. – Powiem wam, co jest gorsze – kontynuował – i co mamy tuż pod nosem. FABRYKA ŚMIERCI.

Mówił o Auschwitz. Kilkadziesiąt kilometrów za Krakowem. Opowiadał wszystkim, że podczas gdy bogate Polki kupowały żywność na Rynku w Krakowie, otulone futrami, z torbami wypchanymi czarnorynkowymi towarami, polskich Żydów ustawiano w kolejkach do komór gazowych w Fabryce. Maszyny i sprzęt przywieziono z Niemiec pociągiem, z Warszawy przyjeżdżali specjaliści, by stawiać kolejne kominy i piece.

– W zeszłym roku zbudowali cholerne krematorium w lesie! – wykrzyknął.

W dalszej części spotkania omawiali misję podjętą przez Grabowskiego i jego ludzi, podczas której natknęli się na Krzysia i Danutę na moście. Powierzono im zadanie wysadzenia pociągu wiozącego wyposażenie do komór gazowych w Auschwitz. Z niewiadomych powodów kilka ładunków wybuchowych nie eksplodowało i choć pociąg się wykoleił, nie udało się im wskórać dużo więcej. Opóźnili jedynie transport materiałów na miejsce docelowe. Niemcy przeładowali je do ciężarówek, które i tak dostarczyły wszystko do Auschwitz.

Sławek powiedział, że ich misja zakończyła się katastrofalnym fiaskiem. Narazili życie po nic.

– Doszedłem do wniosku, że zabieramy się do tego w niewłaściwy sposób. Próbujemy pokrzyżować Niemcom plany od zewnątrz, podczas gdy powinniśmy walczyć z nimi od wewnątrz. Powinniśmy być w Auschwitz.

Mówił o swojej ekipie budowniczych i konserwatorów, którzy mieli przepustki, mogli wchodzić na cały teren gigantycznego kompleksu Auschwitz-Birkenau, do podobozów i fabryk. Firma Sławka zajmowała się wszystkimi zabudowaniami, barakami dla więźniów, nawet blokami z ubikacjami i umywalniami. Większość używanego przez nich drewna pochodziła z tartaku w Wiśnicy, więc Sławek miał swobodny dostęp także i do tamtego miejsca. Chciał wraz z Grabowskim i jego zespołem przesznułować do obozu broń i inne środki. Tego Niemcy nie będą się spodziewać.

Zasugerował, że mogliby także szmuglować różne drobiazgi, by uczynić obozowe życie nieco znośniejszym.

– Wyobrażacie sobie, ile radości dałaby im zwykła kostka mydła? Oni zapomnieli o istnieniu takich rzeczy, rzeczy, które przed wojną wszyscy braliśmy za coś oczywistego.

Żydzi robili, co w ich mocy, by stworzyć namiastkę normalności w tych strasznych okolicznościach: muzykowali, wpajali dzieciom tradycje religijne, uczyli je tych swoich dziwnych pieśni i starodawnych obrzędów. Założyli szkoły i wykorzystywali wszelkie środki, by wieść przyzwoite życie cywilizowanych ludzi, pomimo że znaleźli się w miejscu najgorszym z możliwych.

Niemcy pozwalali im pielęgnować tę ich tak zwaną kulturę. Co im zależało? Przecież i tak wszyscy pójdą z dymem!

Dlatego właśnie działanie od środka było najlepsze. Niemcom nigdy nie przyszłoby do głowy, że Żydzi są do tego zdolni.

– Wyobraźcie sobie, gdybyśmy tak mogli odpowiednio ich zorganizować, ukraść proch strzelniczy z którejś z fabryk zbrojeniowych na obrzeżach Auschwitz, przemyścić do obozu amunicję i drobną broń, ukryć ją między materiałami budowlanymi.

Dzięki przemyślanemu i dobrze skoordynowanemu atakowi od wewnątrz można by było zniszczyć komory gazowe i krematoria. Zabić wielu Niemców, wysadzić wielką dziurę w ogrodzeniu z drutu kolczastego, a nawet zburzyć kilka wież strażniczych. Mogłyby uciec setki więźniów, gdyby akcja zbiegła się z przybyciem nowego transportu, to nawet tysiące. Co za plan! Cóż za niedorzeczny pomysł! Stawiający opór Żydzi – kto by się spodziewał?

– To nie będzie dla nich żaden wstrząs. Tylko zwykła komplikacja, to wszystko. Jeśli mamy coś zrobić, zróbmy coś naprawdę doniosłego, coś, co Niemcy zapamiętałiby na zawsze. Wysadźmy w powietrze cały obóz, a przy okazji uprowadźmy komendanta!

Józef uchodził za raptusa, który często plótł, co mu ślina na język przyniosła. Taki akt jak porwanie komendanta spowodowałby niewyobrażalne reperkusje dla osób w obozie i poza nim. Rozpętałoby się piekło.

Gdy Sławek i Natalka byli sami, zdarzało im się zastanawiać, po czyjej Józef jest stronie. Natalka nigdy go nie lubiła; był czarną owcą, człowiekiem słabego charakteru. Nie podobało jej się także jego zachowanie, kiedy trochę sobie wypił, to, co mówił, lubieżne spojrzenia, którymi czasem ją obrzucał. Ale był bratem Grabowskiego, a Grabowski był drugi po Sławku.

Józef był skomplikowanym typem, który jako dziecko stracił oko w wypadku; miał w sobie dużo gniewu i pretensji do losu. Nie chciał nosić szklanego oka ani opaski – zależało mu na tym, by każdy widział, jak okrutnie potraktowało go

życie. Zaszyli mu więc pusty oczodół, a on wyzywająco obnosił się ze swoją bliźnią, by pokazać całemu światu swoje nieszczęście. W końcu czy to nie Grabowski, jego starszy brat, rzucił w niego śnieżką, nie wiedząc, że zawiera kamień, którym wybił mu oko?



Sławek podlegał bezpośrednio Stefanowi Roweckiemu, który stał na czele Armii Krajowej, tajnych sił zbrojnych Polskiego Państwa Podziemnego z siedzibą w Warszawie. Rowecki wyraził zgodę na plan Sławka, który zakładał zorganizowanie grupy ludzi w samym Auschwitz, uzbrojenie ich, wzmocnienie, wyszkolenie najsilniejszych. Mieli też nauczyć się posługiwania bronią, podkładania ładunków wybuchowych. A wszystko pod nosem Niemców. Tajność była oczywiście sprawą nadrzędną.

– Musimy zachowywać ostrożność, wszyscy bez wyjątku. Nie może dojść do żadnego przecieku. Jeśli macie wątpliwości co do kogoś, kto z nami pracuje, musicie natychmiast przekazać mi je pod rozwagę. Odpowiedzialność spoczywa na nas wszystkich.

– W porządku, Sławek, my odpowiadamy przed tobą, ale przed kim odpowiadasz ty? – zapytał arogancko Józef.

– Ja? Ja odpowiadam przed Bogiem! – zagrzmiął w odpowiedzi, znów klepiąc Natalkę po pośladkach. – Przed Bogiem i przed tą wspaniałą kobietą!

Towarzystwo gruchnęło spontanicznym śmiechem, a nowy plan powitano zwyczajowo kilkoma kolejkami wódki.

– Na zdrowie!

Wszyscy zgromadzili się wokół Sławka; wszyscy z wyjątkiem Józefa.

28

W dniu otwarcia Klubu panowało gorączkowe ożywienie, mężczyźni w całym obozie harowali jak woły, by zdobyć punkty i zapewnić sobie jeden z cennych talonów wstępu. Już zdążył powstać czarny rynek, na którym handlowano punktami, strażnicy na to zezwalali, o ile mieli z tego jakąś korzyść. Fischerowi powiedział o tym Schole, który dowiedział się od Schrodera, który dostał tę informację od Charta, który z kolei wydawał się żywo zainteresowany całym procederem. Ta wiadomość ucieszyła komendanta Fischera. Tak jak oczekiwał,

z Klubem wiązał się pewien prestiż, popyt był oczywisty od samego początku, a to wróżyło tylko sukces.

O piątej po południu kobiety zgromadzono w pokoju na zapleczu, gdzie oczekiwały na ostatnią inspekcję Fischera. Nerwy były napięte, zwłaszcza wśród młodszych dziewcząt, które zostały poinstruowane przez te starsze, jak należy się zaprezentować – przejście przez sito selekcji było ważne, ponieważ alternatywa wyglądała aż nadto oczywiście – szybki rzut oka za dowolne okno służył za pouczające przypomnienie.

Stroje i kosmetyki do makijażu zebrano w Auschwitz. Żydzi przybyli tam z walizkami pełnymi dobytku, a Schroderowi zapewniono dostęp do partii bagażu z najświeższego transportu, tyle że on sam nie miał pojęcia, co noszą kobiety i jak dbają o swoje ciało. Zwrócił się więc po pomoc do atrakcyjnej młodej Żydówki w Auschwitz, a w zasadzie osobiście wyciągnął ją z transportu. Gdyby jej nie wybrał, skierowano by ją do pracy w barakach albo do komory gazowej.

Z entuzjazmem otwierała dla niego walizkę po walizce. „To będzie im potrzebne, proszę pana. I ta bielizna, mężczyźni będą zachwyceni, jak zobaczą je w tych rzeczach; i jeszcze te buty, świetne, przepiękne buty, będą doskonale pasować do tych ubrań. I dziękuję panu za danie mi szansy, proszę pana. Dziękuję. Niech Bóg panu błogosławi, dziękuję panu”. Pracowała niestrudzenie i bez przerwy, jej zapał nie osłabł nawet na chwilę. Schroder siedział wygodnie i pozwalał jej przynosić rzeczy. „Te odłóż tam, tamte tutaj”. Po pewnym czasie zmierzył wzrokiem stertę ubrań i dodatków. „Już dosyć! Tyle wystarczy”. Dał znak jednemu ze strażników, machnął tylko ręką i kobietę ku jej niedowierzaniu zaciągnięto do komory gazowej, gdzie poddano ją procesowi unicestwienia wraz z ostatnią partią ludzi tamtego dnia.

Zdaniem Fischera Tina miała wyśmienity gust, „styl szykownej rewii z domieszką berlińskiej burleski” – tak go kiedyś opisał – i powierzył jej zadanie dopilnowania, by kobiety z Klubu były odpowiednio ubrane.

Odzież wyprano, wyprasowano i zaniesiono do „przymierzalni”, gdzie kobietom pozwolono na wybranie kilku zestawów w jak najbardziej zbliżonym do ich potrzeb rozmiarze. Wyposażono je nawet w nożyczki, igły i nici, by mogły dokonać drobnych poprawek, jeśli miały takie życzenie.

W końcu nawet spodobało im się to zadanie. Jedna opowiadała o wizycie w sklepie w dużym mieście, gdzie babcia zabrała ją w dzieciństwie i gdzie doświadczyła szaleństwa sezonowej wyprzedaży. Choć w Klubie takiej gorączki nie było, gdy do kobiet dotarło, że wolno im się ubrać po ludzku, wreszcie się rozluźniły.

Stroiły się, nakładały puder na twarz i szminkę na usta, szcztokowały sobie nawzajem włosy i zaczęły otwarcie ze sobą rozmawiać. Ku zaskoczeniu innych

tęga żona rolnika z Oświęcimia oznajmiła, że nie wyobraża sobie nic gorszego niż życie we własnym domu.

– Mój mąż był żalonym, zapijaczonym wałkoniem. Niemcy go zastrzelili, a ja wcale nie żałuję. Bez niego jest mi lepiej. Przynajmniej będę miała wreszcie trochę seksu i powiem wam, że liczę na coś lepszego niż to, do czego przywykłam. I mam nadzieję, że potrwa trochę dłużej!

Nikt się nie roześmiał.

– No co wy, coście takie ponure? – ciągnęła tęga kobieta. – Mogłoby być gorzej. Nie widzicie tych chodzących trupów za oknem? Czternastogodzinne zmiany szufłowania wapna albo dźwigania drewna w tej zdradliwej pogodzie? I to za cowieczorny talerz zupy bez smaku i kawałek chleba z robakami? Tu będą nas karmić, no i spójrzmy prawdzie w oczy: nie zabraknie dla nas niemieckich kiełbasek, co, dziewczyny?

W końcu któraś zareagowała uśmiechem.

– Niemieckie kiełbaski? Komu potrzebne cienkie wyschnięte bratwursty? Ja tam wolę solidną porcję polskiej kiełbachy, i to codziennie!

W pomieszczeniu rozległ się rzadki w takich okolicznościach śmiech, aż któraś z kobiet napomknęła o Ani. Nastąpiła wymiana opinii na temat miejsca jej pobytu. Któraś powiedziała, że zamknęli ją gdzieś wbrew jej woli, inne sądziły, że mości sobie własne gniazdko, korzystając z młodości i urody.

Gdziekolwiek była, tym, które zostały, i tak by to nie pomogło. Dano im szansę ocalenia życia i wszystkie zgadzały się co do tego, że powinny jak najlepiej opiekować się sobą nawzajem w czekających je trudnych czasach. Wśród przymierzających ubrania kobiet rozwinęło się osobliwe poczucie koleżeństwa, choć ta nowa solidarność była, co oczywiste, równie krucha, co płytka. W takich miejscach jak Wiśnica utrzymanie zaufania było równie trudne jak jego zdobycie.



Wybierając dwanaście kobiet na pierwszą zmianę, Fischer postawił na różnorodność: sześć najmłodszych, trzy najstarsze, jedna bardzo szczupła, jedna o chłopięcej figurze i jedna bardzo rozłożysta – tęga żona chłopca.

Doktor Mengele i *Frau* Groepler zaświadczyli, że kobiety są zdrowe, teraz zaś stosownie odziane czekały na inspekcję. Fischer był zdecydowany nie marnować zasobów i po selekcji kobiet na pierwszą zmianę musiał zdecydować o losie pozostałych. Jedną z bardziej urodziwych dziewcząt posłał do oficerskiej kantyny, gdzie miała pracować w charakterze kelnerki, najmniej atrakcyjną skierował do kuchni. Dwie najmłodsze pójda do domu Fischera, gdzie dołączą do

ośmioosobowego personelu, sprząając, gotując i ogólnie dbając o wszelkie wygody jego samego oraz Tiny.

Z grona pozostałych dwie będą w pogotowiu, by zastąpić którąś z dwunastu hostess w Klubie, gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Resztę przydzielono do pracy w pralni. Fischer wyjaśniał to wszystko Tinie przy kolacji, a gdy przeglądał listy, wymieniając, która dokąd trafiła, Tina liczyła na palcach.

– Zostaje jeszcze jedna – powiedziała. – Jedną pominąłeś.

– Żadnej nie pominąłem – odparł Fischer, rozkręcając fajkę i postukując ustnikiem w obrus. – Moja droga, w Klubie jest dwanaście kabin, a czy zauważyłaś drzwi na samym końcu korytarza? Zielone drzwi po prawej stronie? –

Ponownie złożył fajkę i nabił ją świeżą szczyptą tytoniu ze skórzanego mieszka, który wyjął z kieszeni munduru. – Słyszałaś, moja droga? Zielone drzwi.

– Tak, tak – mruknęła Tina. – Drzwi. Zielone drzwi. Widziałam. I co?

– To są drzwi do apartamentu. Tam będą umieszczane najlepsze z kobiet, te najbardziej pożądane. – Podniósł do światła kieliszek wina. – Apartament będzie oferował nagrody, których gdzie indziej nie uświadczysz. O ile pokoje z kotarami zapewniają pospolite, powiedzmy, rozkosze, o tyle oferta apartamentu będzie znacznie, znacznie bogatsza. Tylko nieliczni wybrańcy zostaną wpuszczeni za zielone drzwi, za to w całym obozie nie znajdzie się ani jeden mężczyzna, który nie będzie chciał zakosztować tamtejszych delicji!

Zapalił fajkę, w zamyśleniu wypuszczając obłoczki aromatycznego tytoniu wirginijskiego.

Tamtego popołudnia, gdy Tina osobiście obejrzała ostatecznie wybrane kobiety, zauważyła, że brakuje wśród nich dziewczyny o dziwnych oczach. Teraz wiedziała dlaczego. Jeżeli Baldric zamierza osobiście zaznać rozkoszy pokoju za zielonymi drzwiami, to po trupie tamtej dziewczyny albo po pozbawieniu go pewnej części ciała. Nie ma mowy, by Tina dzieliła się swoim mężczyzną z tą małą polską dziwką!

Dziewczyna o dziwnych oczach od razu przykuła jej uwagę. Jak mogłaby jej nie zauważyć? Ta trzęsąca się mała suka, choć przybyła tu bosa, w koszuli nocnej, owinięta brudnym kocem, przyciągała spojrzenia. Młodość, naturalna uroda, ponętne kształty, a przede wszystkim te fascynujące, skrzące się oczy – była widoczna jak światło latarni na placu apelowym.

Tina wiedziała, że ona sama też nadal ma „to coś”. Może i dobiegała trzydziestki i urodziła córkę, którą babcia opiekowała się w domu w Piaskach, potrafiła jednak manipulować Baldrikiem i choć stąpała w sypialni po niebezpiecznym gruncie, udawało się jej podtrzymywać jego zainteresowanie i wzbudzać w nim pożądanie od wybuchu wojny.

Nieustannie obiecywała mu „tę rzecz”, pewien akt seksualny, do którego nie bardzo potrafiła się zmusić, nawet dla niego. Tak więc trzymała go w niepewności i podejmowała ryzyko, przyrzekając, że pewnego dnia, kiedy najdzie ją ochota, może mu na to pozwolić. Ze względu na córkę musi przetrwać wojnę w jednym kawałku i jeśli sypianie z tą niską, grubą, odrażającą niemiecką świnia ma jej to zapewnić, niech tak będzie.

Tina często sobie powtarzała, że trzeba wierzyć w siebie. Grawitacja zaczęła już co prawda odciskać swoje piętno na jej ciele, lecz ona nauczyła się kilku sztuczek, które pomagały ukryć wszelkie mankamenty. Na przykład zawsze gasiła górne światło, rozwiązując w ten sposób problem niekorzystnych cieni, układała się w odpowiedni sposób albo zarzucała prześcieradło na pośladki, zasłaniając liczne dołeczki w skórze.

Gdy służąca podawała deser, Fischer wciąż jeszcze rozwodził się nad apartamentem. Według Tiny zbyt mocno ekscytował się dziewczyną o dwóch różnych kolorach tęczówek.

– Mężczyźni będą się zabijać za okazję przespania się z nią – ciągnął z zachwytem. – Ona jest odkryciem stulecia!

Pykał z fajki, siorbał wino, napychał usta ulubionym strudlem z jabłkami i rozprawiał z żywieniem o zielonym pokoju, nie zauważywszy nawet, że siedzi przy stole sam. Tina wyszła. Nasłuchiwała się już dość o dziewczynie z osobliwymi oczami, choć z pewnością nie usłyszała wszystkiego.

29

O ósmej pewnego ciemnego, przenikliwie zimnego wieczoru Klub po raz pierwszy otworzył swe podwoje. Wiatr smagał narożniki zabudowań i raźnie gnał pomiędzy nimi, czyhając na ofiarę, której można by dokuczyć. Więźniowie kulili się na piętrowych pryczach, odsunięci jak najdalej od zbitych z desek ścian, przez które chłód wdzierał się między szpary i spowijał ich ciała. Już dawno zobojętnieli na brud i smród swoich współtowarzyszy, prowadząc z łóżek rozmowy o dawnych czasach i cicho nucąc melodie z minionej epoki. Modlitwy kilku osób słyszało wiele innych, choć niektórzy reagowali gniewem, przekonani, że Bóg już dawno ich opuścił.

Szorstki kaszel szarpiący pierś potwierdzał, że w ciałach wielu tłą się tyfus i gruźlica, czekając na wykiwanie Niemców. Już niedługo ciemna noc przeniesie ich na kilka godzin w lepsze miejsce, gdzie nie będą czuli pełzających po ciałach

wszy ani szcurów podgryzających ich zziębnięte na kość kończyny. Nie wszyscy się obudzą – dla niektórych będzie to prawdziwym błogosławieństwem.

Cierpienia kolejnej ponurej nocy w Wiśnicy nie były udziałem wszystkich, ponieważ pierwsi szczęśliwi posiadacze talonów nerwowo zbliżali się do schodów przed wejściem do Klubu. Wokół budynku panował niezwykły ruch, oficjalnie łamano godzinę policyjną, by móc obserwować, jak ci z talonami wchodzą i wychodzą. Strażnicy, kapo, więźniowie – wszyscy byli ciekawi, kto zostanie obsłużony w pierwszej kolejności.

Przy drzwiach ustawiono strażnika. Sprawdzał talony w żółtym świetle lampy nad drzwiami, kilku zdenerwowanych mężczyzn czekało w kolejce, przytupując i oklepując się, by rozgrzać zziębnięte ciało. Strażnik się nie spieszył – a co? Z premedytacją trzymał ich na zimnie, na każdego patrzył z góry, zdecydowanie zbyt długo kontrolując talony w nadziei dopatrzenia się fałszerstwa albo znalezienia powodu do niewpuszczenia delikwenta. W końcu usatysfakcjonowany chrząkał i kiwał głową, pozwalając mężczyznom nieśmiało przestąpić próg.

Znalazszy się we wnętrzu, byli zaskoczeni ciepłem, zapachem świeżej farby i powabem luksusu, do którego nie przywykli – w samym środku piekła znajdowali maleńki skrawek nieba. Po obu stronach korytarza na całej jego długości czekał szereg zasłoniętych kotarami pokojów. Za zasłonami stały wygodne łóżka z szeleszczącą białą pościelą, ozdobione pękatymi poduszkami wypełnionymi kaczym puchem. Zdawało się, że wszystko pachnie świeżością pięknego krajobrazu, gdzie słońce złoci ludziom skórę, a przelatujące ptaki rumienią się, słysząc szepty kochanków.

Na łóżkach leżały najwspanialsze kobiety, jakie pustoszona wojną Polska miała do zaoferowania, gotowe błyskawicznie wyrwać mężczyzn na pół godziny z ich świata bólu i niedoli. Fetor śmierci zastąpi odurzająca woń kobiet gotowych na miłość, czekających na szczęśliwych posiadaczy talonów. Przez krótki czas ich wizyty zło w Wiśnicy usunie się na dalszy plan.

Najpierw jednak musieli przejść obok onieśmielającej naczelnej lekarki wojskowej, *Frau Groepler*, która ustawiła swoje biurko w korytarzu, zagradzając wstęp do pokojów, gdzie kobiety niespokojnie czekały za zasłonami. U jej boku stała pielęgniarka.

– No dobrze! – wyrzuciła z siebie *Frau Groepler*, przestawiając na blacie pieczątki i wygładzając kartki z listą szczęściarzy, nim zanurzyła pióro w kałamarzu, czekając, aż pierwszy mężczyzna zrobi krok naprzód.

Uczył to z wahaniem, usiłując podać świstek papieru *Frau Groepler*, której dłonie spoczywały płasko na blacie. Zamiast sięgnąć po talon, świdrowała mężczyznę wzrokiem, tak więc kupon zawisł między nimi w jego w drżącej ręce.

Był spięty, spodziewał się, że lekarka coś powie, ona tymczasem siedziała nadal z kamienną twarzą, w milczeniu, wciąż nie odrywając oczu od jego twarzy.

Wtedy zdał sobie sprawę, że ma na głowie czapkę. Zdjął ją przeproszającym gestem, splunął na dłoń i nerwowo przyklepał tłuste włosy. NLW chrząknęła z aprobatą, po czym przeniosła uwagę na talon. Wynikało z niego, że stojący przed nią mężczyzna jest kucharzem z oficerskiej kantyny.

By dostać talon, pracował przez trzy dwudziestodwugodzinne zmiany z rzędu, co pozostawiło ślad na jego zmęczonej twarzy, jednak oczy błyszczały z podniecenia. Minęły ponad cztery lata, od kiedy Marek Kowalski był w łóżku z kobietą, czuł krzepiące ciepło kobiecego ciała.

– Prysznic, kontrola, a potem wybierasz! – krzyknęła lekarka, stemplując talon i wskazując pomieszczenie na końcu korytarza. – Następny!

Woda była ciepła. Kolejna nowość dla zdumionego Kowalskiego. Po raz pierwszy od czterech lat. I ręczniki – prawdziwe, czyste ręczniki! Taki luksus był trudny do udźwignięcia. Kowalski zbyt długo ociągał się z wyjściem, trzymał ręcznik przy twarzy, wdychał jego zapach. Tę przyjemność przerwało mu babsko ze skwaszoną miną i w pielęgniarskim fartuchu, które wparowało do środka i brutalnie odciągnęło go na bok. Patrzył na czubek jej głowy, gdy uklękła, by dokładnie obejrzyć jego genitalia. Podniosła wzrok.

– Zdrowy. Wybieraj uważnie, bo jak już wejdiesz do pokoju, to go nie zmienisz. Przesuń wywieszkę na ścianie na znak, że kabina jest zajęta. I użyj tego. – Spojrzał pytająco na małą paczuszkę, którą mu wręczyła. – Kondom, ty durniu, coś, co niemieccy wojskowi nazywają „ochraniaczem lufy”, choć sądząc po rozmiarach twojej, nie ma się przed czym chronić. Żadnych zbrojeń. Wyłącznie pozycja misjonarska. Czas start.

Kowalski ruszył cicho korytarzem, mijając po drodze innych skołowanych posiadaczy talonów, którzy wykręcali szyje, by jak najwięcej zobaczyć, gdy odsunął zasłonę wybranego przez siebie pokoju.

Zajmowała go tęga żona rolnika. Uśmiechnęła się niepewnie, gdy Kowalski zajrzał do środka. Miała taki sam duży i płaski tyłek, jak jego żona, do której przytulał się w łóżku na łyżeczkę. A także ogromne, obwisłe piersi, podobne do tych, które z taką miłością pieścił wiele lat temu. Zadrzała mu ręką, gdy odwrócił na ścianie wywieszkę z zielonej strony na czerwoną i wszedł do pokoiku, zasuwając za sobą kotarę. Pielęgniarka z kwaśną miną spojrzała na zegar ścienny i zanotowała czas.

Pozostałe kobiety czekały nerwowo za swoimi zasłonami, nasłuchując kroków, czasem ostrej riposty po niemiecku oraz przytłumionych głosów w tle. Przykazano im, że mają być wyjątkowo miłe dla tych cenionych pracowników, przyjmując ich życzliwie i dołożyć starań, by wyszli z uśmiechem na twarzy. Nietrudno będzie

znaleźć inne kobiety chętne do zajęcia wolnych łóżek za zasłonami. Łatwo zaradzić niesubordynacji czy brakowi chęci do obsłużenia mężczyzn. Bądź co bądź nikt inny w obozie nie miał takich przywilejów – gorąca woda, dwa posiłki dziennie, towarzystwo, cywilne ubrania, makijaż, a nawet alkohol na specjalne okazje. Wszystko, czego od nich wymagano, to zaspokojenie nie więcej niż piętnastu mężczyzn w ciągu jednej zmiany. Zdaniem komendanta Fischera jeszcze nikt nie miał tak dobrze w niemieckim obozie koncentracyjnym.



Dziesięć minut po zasłonięciu kotary pierwszy klient Emilii stał przed nią nagi w pełnym wzwodzie. Piotrek Karpiński znany był z brutalności przy dole z wapnem, gdzie pełnił funkcję głównego kapo i budził powszechny strach. Niemcy bardzo cenili sobie jego metody, dostarczał im robotników poszukiwanych przez zakłady zbrojeniowe wokół Auschwitz, w których siła fizyczna stanowiła niezbędny warunek.

Karpiński zmuszał ludzi do czternastogodzinnej pracy na pełnych obrotach, bez wytchnienia. Jeśli ktoś się potknął albo upadł, był to jego ostatni raz. Zmianę kończyli tylko najwytrwalsi. Dlatego Karpiński bez trudu dostał jeden z pierwszych talonów.

Choć kobiety były w obozie zaledwie od kilku dni, zdążyły już usłyszeć o Karpińskim. Emilii ze strachu ścisnęło się serce, gdy przedstawił się, zaciągając zasłonę. Jednym gestem kazał jej zdjąć sukienkę i przyglądał się, póki nie była całkiem naga. Powiódł wzrokiem po jej ciele, a potem się uśmiechnął, odsłaniając kilka poczerwiałych pieńków zepsutych zębów. Kiedy dumnie się do niej zbliżał, jego penis kołysał się przy każdym kroku. Nagle rzucił się na nią, oderwał jej ramiona od piersi, brutalnie rozwarł kolanami uda. Wstrzymała oddech, gdy się w nią wbił, odrażający odór jego ciała był ostry i trudny do zniesienia. Ze zgrozy wytrzeszczyła oczy, zauważając wszy łązące po gęstych, szczeciniastych włosach porastających jego ramiona; jego pierwszy od czterech lat prysznic bez dodatku środka dezynfekcyjnego był kompletną stratą czasu.

Stękał przy każdym brutalnym pchnięciu, zadając jej potworny ból, który przeszywał ciało i wywoływał fioletowe mroczyki przed oczami. Jedną dłoń zacisnął jej na gardle, drugą zakrył usta. Podjęła słabą próbę wywinięcia się spod niego, ale był o wiele za silny. Ból oraz brak tlenu ją pokonały i Emilia straciła przytomność, zanim zdążyła się obronić.

Ocknęła się po kilku minutach. Karpiński wciąż na niej leżał, dysząc jak zgrzany pies i jeszcze bardziej cuchnąc z wysiłku.

– Podobało ci się, co, suko? Tego właśnie chciałaś, co?

A potem zaczął rozpychać się w niej ponownie, jej ciało podskakiwało przygniecione jego ciężarem, sprężyny materaca rytmicznie kurczyły się i rozprężały, Emilia modliła się, żeby wreszcie skończył. On tymczasem wbijał się w nią bez chwili przerwy, jego ramiona unosiły się i opadały przez kilka długich minut, nim zdała sobie sprawę, co się dzieje.

Karpiński, postrach dołu z wapnem, płakał.

– Ty suko, ty kurwo, ty jebana polska dziwko! – ryczał, zadając kolejne pchnięcia.

Walenie w ścianę w końcu zasygnalizowało, że czas się skończył. Ubierając się, Karpiński powiedział:

– Kiedy będę cię ruchał następnym razem, dziwko, masz być przytomna. Gdybym chciał się pieprzyć z trupami, pracowałbym z Sonderkommando w komorze gazowej.



Ani pozwolono jako pierwszej wybrać ubrania i makijaż pod okiem pilnującego jej strażnika. Następnie zaprowadzono ją do apartamentu i zamknięto tam na klucz, przedtem jednak dostała posiłek złożony z warzyw i prawdziwego mięsa, zaserwowany na białej porcelanie z czarno-czerwoną swastyką pośrodku. Podano jej nawet najprawdziwsze sztućce.

Czas płynął, Ania leżała sama na miękkim, wygodnym materacu, wędrując myślami do prowadzonych w łóżku nocnych rozmów z Danutą. Siostra jako pierwsza zbierała doświadczenia niemal we wszystkich dziedzinach i chętnie dzieliła się swoją wiedzą. Pierwsza nauczyła się palić, a potem pokazała tę umiejętność Ani. Pierwsza skosztowała alkoholu i oczywiście przemyciła trochę wódki do stodoły, żeby i młodsza siostra mogła spróbować. Pomimo ataku kaszlu Ani całkiem się spodobało, zwłaszcza to uczucie ciepła ześlizgujące się do gardła i rozchodzące po żołądku.

A później byli chłopcy... tak, chłopcy... W tej dziedzinie Danuta też była pierwsza. Ania musiała jeszcze poczekać, ale chęć spróbowania czasem mocno jej doskwierała. Rzeczy, o których opowiadała Danuta, rzeczy, które robiła jej siostra... Gdyby matka o tym wiedziała, chybaby ją zabiła! Wspólnie dorastając, dziewczęta nie miały przed sobą tajemnic, teraz jednak, gdy je rozdzielono, tajemnica się pojawiła i dręczyła je obie: gdzie podziewa się ta druga. Ból niewiedzy rozdzierał im serce, takiej udręki dotąd nie znały i nawet jej sobie nie wyobrażały. Ania potrzebowała teraz starszej siostry bardziej niż kiedykolwiek. Nie wiedziała, jak sobie radzić z zazdrością innych kobiet, a co gorsza, jak uciszyć wyrzuty sumienia wywołane awansem do apartamentu. Za oknem ludzie

umierali w barakach z niedożywienia, chorób i odbierającego czucie zimna, podczas gdy ona miała do dyspozycji ciepły i wygodny pokój za zielonymi drzwiami i jedzenia pod dostatkiem. Dlaczego?

30

Wzmagający się hałas obwieścił przybycie kolejnego transportu: donośny świst lokomotywy, syk pary z kotłów, głuchy łomot ciężkich ramp opadających na beton, a potem kołatanie wielkich odsuwanych drzwi wagonów bydlęcych i setki przerażonych ludzi ciasno stłoczonych na peronie. I natychmiastowy wybuch ożywienia, ujadanie psów, krzyki, płacz dzieci i od czasu do czasu huk wystrzału przebijający się przez ogólny harmider. I tak trudno było spać na przesiąkniętych moczem pryczach, a gdy przyjeżdżał nowy transport, wszyscy wyteżali słuch i przynajmniej wtedy starali się nie zważać na szczury i biegające po ich ciałach insekty. Pomimo odrażającego ludzkiego fetoru dzielący ze sobą prycze ludzie tulili się do siebie, szukając u innych pocieszenia; tyle cierpienia, tyle osób...

Ania należała do szczęściarzy, ponieważ nigdy nie słyszała przyjazdu transportów – zagłuszał go ruch na korytarzu za jej drzwiami. Czasem do jej uszu docierały jęki innych kobiet z burdelu, czasem krzyk albo podniesiony głos, raz czy dwa dziwny, niemal nonszalancki śmiech. Jakby słuchała jakiejś nieznanej audycji radiowej.

Nie wszyscy mężczyźni traktowali kobiety brutalnie czy obelżywie. Zdarzali się także flirciarze, na przykład taki Kowalski, któremu wcale nie zależało na seksie. Pragnął jedynie leżeć nago i przytulać się do pleców tęgiej żony rolnika. Przez swoje wydzielone trzydzieści minut szeptał jej we włosy, wachał zapach czystej skóry, mówił, jak bardzo tęskni za wielkimi, białymi, usianymi dołeczkami pośladkami swojej żony i jak się bał, że już nigdy podobnych nie zobaczy – aż do tej pory. Tamtej pierwszej nocy wytworzyła się między Kowalskim a żoną chłopa osobliwa więź: oboje byli więźniami, tyle że w różnych kłatkach. Gdy jego czas dobiegł końca, oboje mieli łzy w oczach. Wychodził z żalem – swoim i jej.

Mimo że wieczór zaczął się dobrze dla grubej żony rolnika, dobra passa nie trwała długo. Postarał się o to robotnik z tartaku, kolejny szef zmiany, znany z niemal takiego samego okrucieństwa, jakie cechowało Karpińskiego, i jeszcze większej jurności. Też lubił poniżyć i upokorzyć kobietę podczas aktu seksualnego. Zadawanie bólu potęgowało jego przyjemność i doskonale

odnalazłby się w SS, gdyby nie to, że był Cyganem. Trzydzieści minut z kimś takim było najdłuższą połową godziny dla każdej kobiety.

Ku zaskoczeniu Emilii godzinę po północy, już po zakończeniu pierwszej zmiany, zjawił się jeszcze jeden klient. Strażnik z ciężarówki, ten, który bez przerwy palił i przez trzy bite dni gapił się na czubki butów. Nie potrafiła zrozumieć, jakim cudem dostał talon, ponieważ Niemcom nie wolno było odwiedzać kobiet z Klubu. Emilia doszła do wniosku, że dostał się tu za łapówkę, choć nie umiała sobie wyobrazić, jak ominął *Frau* Groepler.

Może to po prostu dowodziło, że każdego można przekupić? Strażnik był zaskakująco miły dla Emilii. Zasunął za sobą kotarę, stuknął obcasami, jak na Niemca przystało, a potem uśmiechnął się od ucha do ucha, wręczając jej podarunki w postaci papierosów i czekoladek, jeszcze zanim się rozebrała. Postarała się, by szybko się uwinąć, a potem siedzieli w łóżku, paląc i rozmawiając przyciszonymi głosami o życiu sprzed wojny. Ani razu nie wspomniał o żonie. Emilia odniosła wrażenie, że zwyczajnie potrzebował kogoś, kto z nim porozmawia, kto go wysłucha, przytuli. Nieustannie przeproszał, choć nie bardzo wiedziała za co. Za to, co wydarzyło się podczas podróży do Wiśnicy? Za coś, co zrobił w przeszłości, czy za to, co robił teraz? Za wojnę? Za to, że jest Niemcem?

Przed drugą w Klubie zrobiło się wreszcie cicho, pierwsza zmiana dobiegła końca. Ania nie słyszała już wody płynącej z kranów ani cichych szlochów. Jęki i postękiwania oraz skrzypienie podskakujących sprężyn w łóżkach zastąpiły trzaski osiadającego budynku oraz pochrapywania tych, którzy już spali. O wpół do trzeciej zrobiło się tak cicho, że słyszała nawet chrapanie strażnika przy drzwiach wejściowych.

Zgasiła światło, uznając, że dla niej noc się zakończyła, chociaż nikt jej nie odwiedził. Leżąc i patrząc po ciemku w sufit, myślała o rodzicach, siostrze i matce, nawet o kochanym starym psie, Kapustku. Z góry opadała zasłona mroku. Ania zamknęła oczy i prosiła Boga, by pomógł jej zrozumieć powód tego wszystkiego, co widziała, i tego nieskończonego cierpienia dookoła. Czy mógłby ją także zapewnić, że Danuta jest bezpieczna? Myśli przeistoczyły się w modlitwy, które wycisnęły jej łzy z oczu i pogłębiły posępny nastrój.

Szczęk klucza w zamku przerwał nagle jej modlitwy. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem, do pokoju wśliznął się wąski promień światła, przesunął się po podłodze, wzdłuż łóżka i wreszcie spoczął na niej.

Gdy wzrok przywykł do światła, zauważyła stojącego w progu i chwiejącego się lekko Scholego o nieco sfatygowanym wyglądzie.

– A więc tu jesteś – wybełkotał. – Najwspanialszy łup komendanta zamknięty w złotej klatce i czekający na swoją nagrodę. – Ania podciągnęła kołdrę pod

brodę. – Och, cóż za niewinność, cóż za uroda – ciągnął Schole, zamknawszy drzwi i zmierzając w jej stronę. Zapalił nocną lampkę, po czym ułożył się wygodnie obok Ani. Czują od niego alkohol. – Jutro dostaniesz numer. Tutaj. O tu, na przedramieniu. – Wyjął jej rękę spod kołdry. – Masz szczęście, że dadzą ci numer, wiesz o tym?

Pokręciła głową. Zdawało się, że Schole i alkohol to niedobrana para; Ania miała wrażenie, że asystent komendanta lada chwila zwymiotuje, ale jakoś udawało mu się mówić dalej.

– Cyfry, które ci wytatuują na ramieniu, oznaczają, że jesteś tu w Wiśnicy przydatnym towarem, sikoreczko. – Delikatnie pogładził ją po policzku. – Komendant uznał, że przedstawiasz sobą wartość dla Rzeszy. A w każdym razie dla niego. Dni tych bez numeru są policzone, bardzo policzone. Przydzielenie go oznacza tu dla takich jak ty wszystko.

Widywała Scholego kręcącego się gdzieś w tle podczas rozmaitych inspekcji, które musiała znosić od czasu swego przyjazdu. Zawsze czujny, zawsze na baczności. Niczym dziecko bawiące się w szpiega, udające tajnego agenta. O tej nocnej porze i w jego obecnym stanie, w tych swoich okrągłych okularach w drucianej oprawie wydawał się zdecydowanie za młody na całe to szaleństwo.

Pomimo jego pozornej niewinności i nieszkodliwości Ania wiedziała, że nie wolno jej tracić rozsądku. Zdążyła się już nauczyć, że na wojnie jest czas mówienia i czas słuchania, intuicyjnie rozumiała, co powinna teraz robić.

Dziwna wizyta Scholego trwała niespełna pół godziny. Rozprowiał głównie o swojej niechęci do Tyny i ostrzegł Anię, by uważała na przyjaciółkę komendanta, która jest po prostu „pazerną wiejską dziwką z polskiego zaścianka”. Uprzedził, że Tina pokazywała już pazury i Ania powinna być ostrożna.

Zbierając się do wyjścia, wyjął stosik talonów do apartamentu i wręczył je Ani ze słowami:

– Wkrótce będą ci potrzebne.

Wyszedł bez dalszych wyjaśnień, zamykając za sobą drzwi na klucz. Ania wciąż jeszcze patrzyła na talony, gdy po raz drugi tej nocy usłyszała zgrzyt klucza w zamku.



Fischer znajdował się w stanie dużego podniecenia, gdy przyszedł do apartamentu w częściowo rozpiętym mundurze, z butelką najlepszego napoleona pod pachą. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiły się dwa kieliszki, komendant usadowił obok Ani swoje obfite cielsko i nalał im obojgu hojną porcję brandy.

– Tina wreszcie zasnęła, dzięki Bogu! – wysapał, tak jakby Ania od początku wiedziała, że próbował się wymknąć. – Mamy ze sobą coś do omówienia, ty i ja – oznajmił, klepiąc się po kieszeniach i przeklinając, ponieważ zapomniał fajki. A bez niej czuł się jakby mniej elokwentny.

Ania nieraz w życiu widziała nagą siostrę, w końcu przez większość życia dzieliły łóżko i razem się kąpały. Wcześniej tego dnia widziała też inne nagie kobiety pod prysznicami, teraz jednak po raz pierwszy w życiu miała zobaczyć rozebranego mężczyznę. Pomimo tego, co opowiadała jej Danuta, żadne ciarki nie przebiegały jej po kręgosłupie, nie czuła żadnego mrowienia między nogami. Perspektywa ujrzenia nagiego komendanta naprawdę ją onieśmielała, Ania była na to zupełnie nieprzygotowana.

Był groteskowo gruby jak na tak niskiego człowieka, a gdy zdjął górną część ubrania, brzuch wylał się zza gumki slipów. Kępki włosów zdawały się sterczeć z każdego otworu jego ciała, obficie porastając plecy i ramiona niż klatkę piersiową. Przy każdym ruchu całe jego ciało falowało, łącznie z fałdami tłuszczu zwisającymi spod łopatek. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że nawet piersi ma większe niż ona!

Nalał sobie kolejną porcję brandy, kieliszek Ani pozostał nietknięty. Kazał jej pić. Alkohol smakował inaczej niż pędzony w domu biber, który kosztowała z Danutą w stodole, ale i tak piekł w gardło, wywołując kaszel, a zarazem dając Fischerowi pretekst do pomasowania jej pleców. Gdy dotknął aksamitnej skóry, wyraźnie zdrzął z podniecenia i delikatnie zsunął jej z ramion koszulę. Im więcej odsłaniał, tym bardziej się trząśł.

– Będę cię tu trzymał, jak długo mogę. Będziesz bezpieczna – wydyszał. – Ale to zależy od kilku czynników. – Mówił niemal jak w transie, zdejmując jej koszulę i zanurzając twarz między idealnie krągłe piersi. – Musisz się nauczyć kilku rzeczy, które zrobisz, żeby mnie zadowolić. Byłoby lepiej, gdyby i tobie się one podobały. Dbaj o uśmiech na mojej twarzy, Aniu, a wtedy twoje życie tutaj da ci dużo satysfakcji i będzie wyjątkowo komfortowe. – Umilkł na moment, jak gdyby zamierzał powiedzieć, co się stanie, jeśli Ania nie sprostą jego oczekiwaniom, ale zmienił mu się wyraz twarzy, pojawiła się na niej szczerłość. – Jestem wobec ciebie uczciwy. Żeby nie było żadnych tajemnic czy nieporozumień co do naszej relacji.

Ania odważyła się na pytanie.

– A co z *Fraulein* Tiną, komendancie?

– Ach tak, Tina. Prawdę mówiąc, powinnaś przede wszystkim troszczyć się o moje szczęście, a o nią w drugiej kolejności. Jeśli się dowie, że cię odwiedzam, bez wątpienia utnie mi we śnie jądra jakimś zardzewiałym narzędziem. Ale najpierw zabije ciebie w jakiś wyjątkowo okrutny sposób, możesz być tego

pewna. – Ta perspektywa jakby podniosła go na duchu. – Tina bywa czasem trochę narwana. – Przez chwilę wydawał się zadumany, a potem zmienił temat. – Masz talony?

– Chodzi o to? – Ania podała mu stos karteczek wręczonych jej przez Scholego.

– Znakomicie. Wiedziałem, że Fritz mnie nie zawiedzie.

– Co to jest?

– Twoje alibi. Oraz moje! Jeśli Tina, inspektorzy obozów czy ktokolwiek z ważnych zapyta, czy przyjmujesz gości w tym pokoju, pokażesz im talony. Schole będzie je od czasu do czasu uaktualniał. Nikt nie może bez nich zyskać wstępu do Klubu, są dowodem na to, że cieszysz się tu ogromną popularnością. – Pokazał jej daty i stemple na talonach. Każdy oznaczał „wizytę” kogoś z obozu. – Dla przypadkowego obserwatora będzie to potwierdzeniem, że tak jak inne kobiety przyjmujesz naszych najlepszych pracowników, ale oczywiście na bardziej wybiórczych zasadach, jak przystoi twojemu statusowi lokatorki apartamentu.

Fischer odsunął na bok talony, ciężko opadł na poduszkę obok Ani i zaczął mówić do sufitu, tak jakby dyktował list:

– Jest kilka drobnych zasad, które będą rządzić naszą relacją. Przestrzegaj ich, a włos ci z głowy nie spadnie.

Żadnego plotkowania, żadnych kontaktów z kimkolwiek prócz tych, których będzie widywała w ramach wykonywania swoich obowiązków, o czym oczywiście decyduje wyłącznie Fischer. Ma oszczędzać swoje „specjalne” talenty dla niego i tylko dla niego. Powtórzył, że będzie dbał o jej bezpieczeństwo, jak długo będzie to możliwe, ale musi współuczestniczyć w kłamstwach i trzymać się ustaleń. Zaczął zdejmować bieliznę, co było dla Ani sygnałem, że rozmowa zakończona. Nadszedł czas konkretów. Nie mogła nie patrzeć na komendanta leżącego przed nią nago w samych skarpetach ozdobionych czerwono-czarnymi swastykami oraz podtrzymujących je podwiązkach.

– Rozumiemy się, Aniu, moja droga? – zapytał Fischer, delikatnie gryząc ją w ucho i obmacując piersi.

Nerwowo skinęła głową, naprężyła ciało. Komendant już lekko dyszał.

– Tina robi dla mnie rzeczy, które lubię, ale przed niektórymi się wzbrania. Teraz, kiedy mam ciebie, nie ma to znaczenia. Będiesz robić je ty! Zatrzymam Tinę do zaspokajania moich codziennych potrzeb, do rutynowego rozładowywania napięcia, że się tak wyrażę. A ty? Ty jesteś moim sekretem, moim małym pięknym skarbem i będziesz dostarczać specjalnych rozkoszy swojemu komendantowi. Wkrótce dowiesz się, co lubię, nauczę cię. – Od jego głosu przeszły ją ciarki. – Namawiam do ich polubienia – ciągnął z entuzjazmem. – Będzie to warte twojego zachodu, uwierz mi – dodał podekscytowanym tonem.

I oto ona, Ania Burczyk, miała przeżyć swoje pierwsze doświadczenie seksualne z mężczyzną, który mógłby być jej ojcem. Mężczyzną, który mógłby kazać ją zabić, gdyby tylko miał taki kaprys, i to bez ponoszenia jakichkolwiek konsekwencji. Nie zanosilo się na to, że zamierza ją bić, niemniej gdyby miał taką ochotę, toby to zrobił, a jej pozostałaby tylko bierność. Tylko dlaczego tak przejmował się Tina? Skoro dzierży taką władzę, co za różnica, czy ona się dowie, że wziął sobie kochankę, czy nie? Przecież Tina sama była kochanicą komendanta? Gdy się nad tym zastanawiała, leżąc na łóżku, tłuste paluchy Fischera zaczęły wodzić po jej ciele, badać je i pieścić.

I co mam teraz robić? – zastanawiała się, leżąc nago na pościeli. Czego się od niej oczekuje? Jak powinna się zaprezentować? Intuicja podpowiadała jej, by zachować skromność, okryć się prześcieradłem, ale Danuta mówiła, że „mężczyźni lubią patrzeć, lubią widzieć”.

Różnica wieku między Anią a Danutą wynosiła zaledwie dwa lata, ale w kwestii życiowego doświadczenia dzieliła je dwudziestoletnia przepaść! Danuta miała już dawno za sobą etap niezdarnych pieszczot, a Ania dopiero pierwszy nieśmiały cmok w policzek. Starsza siostra cieszyła się też we wsi pewną reputacją: jak mawiali miejscowi chłopcy, była dość przystępna. Wszyscy uganiłi się za Danutą, a jej podobało się to powodzenie. Dość szybko wyszłaby za mąż, sądząc zaś po tym, ilu chłopców zabiegało o jej uwagę, miałaby w kim wybierać.

Pewnej zimowej nocy pół roku przed niemiecką inwazją leżały razem w łóżku i wtedy Danuta opowiedziała Ani wszystko, co wie o mężczyznach i ich apetycie na seks. „Mój Boże, to takie pierwotne”, mówiła. Ania chichotała i chwytła siostrę za rękę, przyciskając ją sobie do piersi. „Opowiedz coś jeszcze, opowiedz!”, piszcziała.

I Danuta powiedziała jej o wszystkim: co lubili robić, czego oczekiwali od dziewczyny, jak wyglądali, jaki mieli zapach, jacy byli w dotyku. „To ich stękanie, te ich drobne jędrne poślądki w twoich rękach, gdy w ciebie wchodzi...”

Rzeczywistość, jaka w końcu przypadła Ani w udziale, bardzo różniła się od jej wyobrażeń – z wyjątkiem „poczucia władzy”. Danuta często o nim mówiła. „O tak, władza. Poczujesz ją, leżąc nago z mężczyzną. Moja kochana siostrze, będziesz miała nad nim władzę. Niezaprzeczalną, niedającą się z niczym pomylić”.

Danuta miała rację.

Ania wiedziała, że ma „władzę”, widząc, jak Fischer się ślini, komplementując jej piękne piersi, kiedy je głaszcze, ujmuje w dłonie i całuje – całe jego ciało drżało z pożądania. Potem po raz pierwszy w życiu zobaczyła penisa w erekcji, ukrytego pod kilkoma wałkami tłuszczu, wyzierającego

z gęstwiny szorstkich włosów niczym drgający nos jakiegoś wścibskiego stworzenia, który wychynął z żywopłotu.

Gdy go dotknęła, oczy Fischera stały się szkliste, głos ochryplł, oddech przyspieszył i się rwał. Trząśł się gwałtownie, gdy całowała mu sutki, jego ciało płonęło. I tak, jak mówiła Danuta, im dłużej go pieściła, tym bardziej wyglądał tak, jakby miał za chwilę eksplodować – a gdy przestała zajmować się sutkami i postanowiła zsunąć się nieco niżej, właśnie to się stało.

31

Następnego dnia po przebudzeniu Ania zastała w swoim pokoju służącą, która przyniosła jej wspaniałe ciepłe śniadanie. Sok pomarańczowy i grzanka, do tego dwa jajka i trzy plastry bekonu. Skąd się to wszystko wzięło w środku Polski w takich czasach – mogła tylko spekulować, niemniej bardzo się ucieszyła. Po jedzeniu umyła się w umywalce i ubrała. Pojawił się Schole o fantastycznej, jak zwykle, prezencji i zachowywał się tak, jakby znalazł się w tym pokoju po raz pierwszy, a wczorajsza nocna wizyta w ogóle nie miała miejsca.

Uprzejmie zaprowadził ją do innego budynku, gdzie miano ją sfotografować i wytatuować numer – pięć cyfr, które pozostaną z nią na zawsze – 43798 na wewnętrznej stronie lewego przedramienia. W ostatniej chwili pojawił się pewien problem i w rezultacie Schole musiał posłać po pistolet do tatuażu. Ponieważ kurier się spóźnił, Anię poczęstowano gorącym napojem. Schole okazał swój gniew osobom odpowiedzialnym za niedociągnięcie, a później wyjaśnił, że stosowaną zwyczajowo metodą tatuowania w Wiśnicy było wypalenie na skórze piętna tuż nad lewą piersią. Zgoda na takie zeszpecenie jej wspaniałego ciała równałaby się samobójstwu – komendant nigdy by mu nie wybaczył.

– Posłałby mnie prosto na rosyjski front!

W końcu tatuaż był gotowy i Anię odprowadzono do jej pokoju. W drodze powrotnej udało się jej spojrzeć za kilka okien i zaobserwować, co dzieje się na zewnątrz. Zobaczyła ludzi w pasiakach biegających boso tam i z powrotem w śniegu i błocie oraz brutalność, z jaką nieustannie ich traktowano. Niektórych więźniów zmuszano do dźwigania potężnych kłód, inni pchali taczki wyładowane po brzegi wapnem lub żwirem. Przez cały czas strażnicy popychali ich, wyszydiali, szturchali i podstawiali im nogi. Wiał porywisty wiatr, wydymał

pasiaki, uderzał z różnych kierunków, tak jakby i natura nienawidziła ludzi przebranych za zebry.

Ania z ulgą wróciła do ciepłego pokoju, gdzie przywitał ją skromny, ale przyzwoity posiłek na tacy. Po drodze Schole prawie się do niej nie odzywał, z wyjątkiem poleceń: „skręć tutaj” albo „patrz przed siebie”. Wychodząc, zamknął drzwi na klucz, a potem Ania zauważyła kolejne niespodzianki: kilka książek na stoliku nocnym, w tym pięknie oprawiony w skórę egzemplarz *Mein Kampf*. Lepiej mówiła po niemiecku, niż czytała, ale z pewnością potrafiła obsługiwać gramofon, który również wstawiono do pokoju wraz z kilkunastoma płytami.

Z biegiem czasu jej relacja z Fischerem się pogłębiała, drobne niespodzianki nadal pojawiały się zniemacka. Nigdy nie pytała służącej ani Scholego, skąd te rzeczy się biorą ani dlaczego je przynoszono, ale przyjmowała je i za każdym razem roniła łzy, że los tak łagodnie ją traktuje, jak również przepraszała Boga za swoją zachłanność.

Jeszcze tego samego dnia Schole znów odwiedził ją po południu i skrępowany przycupnął na łóżku, podczas gdy Ania parzyła mu herbatę przy swojej małej umywalce. Prowadził niezobowiązującą rozmowę, jak gdyby wyczekiwał odpowiedniej chwili na poruszenie jakiejś trudnej kwestii. A potem w połowie zdania zmienił temat bez żadnego wyraźnego powodu, kurtuazyjnie wstał i zaczął przepraszać za swoje nietrzeźwe zachowanie poprzedniej nocy. Zakończył tę krótką przemowę ukłonem i stuknięciem obcasami.

Oznajmił, że musi wyjechać na pewien czas, nie dłużej niż na tydzień, w jakiejś osobistej sprawie komendanta. Ale chciałby po powrocie ponownie złożyć jej prywatną wizytę, obiecał przy tym, że już nigdy nie zjawi się pijany.

– Jeśli się zgodzisz, *Fraulein* Ania, nie będę się narzucał i przyrzekam, że podczas moich odwiedzin zawsze będziesz bezpieczna. Wierzysz mi, mam nadzieję?



Gdy Emilia, tęga żona rolnika oraz inne kobiety przyjmowały następną partię szczęściarzy z talonami, Ania siedziała samotnie w swoim pokoju. W tle cicho grał gramofon, trochę po to, by było jej raźniej, ale głównie dla zagłuszenia krępujących odgłosów z dalszych pokojów.

Dokładnie o jedenastej w nocy otworzyły się drzwi, ukazując Obersturmbannführera Fischera w pełnym umundurowaniu, z przypiętym do piersi Żelaznym Krzyżem (pierwszej klasy). Na nocnym stoliku postawił butelkę wybornego francuskiego szampana oraz dwa piękne kryształowe kieliszki, a następnie zdjął czapkę.

Odkorkował butelkę, nalał trunek, uprzejmie zapytał, czy Ania pozwoli, że usiądzie obok niej, a potem zainteresował się ręką, czy boli po tatuażu? Pytał też, czy Schole się nią opiekuje.

– Jest najbardziej oddanym członkiem mojego zespołu. Może wydaje się trochę dziwny, bywają chwile, kiedy sam nie wiem, co o nim sądzić, ale przyznaję, że bez niego bym zginął. Szkoda, że nie będę mógł wynagrodzić takiego poświęcenia, gdy to wszystko się skończy. – Wziął łyk, w zamyśleniu odsunął kieliszek od ust, a potem rzekł: – Wiesz co, naprawdę wierzę, że Schole oddałby za mnie życie.

Fischer przechodził samego siebie, był szczery, otwarty, uprzejmy, w dodatku nalegał, by Ania zwracała się do niego po imieniu, a komendantem nazywała go w obecności innych, a przede wszystkim w chwilach największej napiętności.

– Takich jak wczorajsza noc – powiedział z miną, która potwierdzała, że ich pierwsze spotkanie dało mu prawdziwą rozkosz.

Im więcej pił szampana, tym bardziej robił się rozochocony i wkrótce butelka była pusta. Ania nie wypuszczała kieliszka z dłoni. Choć od czasu do czasu moczyła w nim usta, poziom trunku prawie się nie zmieniał.

Fischer przeproszał, że drzwi do pokoju muszą pozostawać zamknięte na klucz. Nie po to, by ją tu więzić, tylko po to, by nikt tu nie wchodził. Należała do niego i do nikogo więcej.

– Ostatecznie, jak powiedział kiedyś Szekspir, „łupy przypadają zwycięzcy” – zacytował błędnie.

Fischer poinformował Anię, że Tina musiała niespodziewanie wyjechać na pewien czas.

– Teraz mogę więc poświęcić ci uwagę, na którą zasługuje twoja uroda – powiedział, zadzierając jej podbródek i podziwiając twarz.

Okazało się, że Tina odwiedzała krewnych, którzy opiekowali się jej dzieckiem w Piaskach. Dostała do dyspozycji Scholego i kierowcę, którzy mieli jej towarzyszyć i dbać o bezpieczeństwo. Schole został poinstruowany, by wracać dłuższą trasą, bardzo okrężną, przez Warszawę, dla rozrywki zabrać Tinę na zakupy oraz zatrzymywać się w najlepszych hotelach. Pod nieobecność Tiny i Scholego ryzyko, że wizyty Fischera u Ani wyjdą na jaw, było znikome.

– Przed jej powrotem nauczę cię, moja droga, sprawiać mi te specjalne przyjemności, o których ci wspominałem – rzekł i objął ją w tali.

Nazajutrz po popijawie ze Sławkiem w mieszkaniu na tyłach kwiaciarni panował spokój. Danuta została u Grabowskiego, zamiast przenosić się do Sławka, jak wcześniej planowano. Sławek chciał być sam na sam z Natalką, a poza tym u Grabowskiego było dużo miejsca. Dostała własny pokój, zadbane, by czuła się jak u siebie. Wstała o dziewiątej i udała się do kuchni, gdzie mężczyzna, którego poznała poprzedniego wieczoru, ten z jednym okiem, Józef, przygotowywał z Natalką śniadanie.

Podali smażone pomidory i kielbasę oraz kawę, która smakowała jak błoto. Danuta nie była głodna. Trudy minionego dnia oraz to, co stało się później, mocno ją przygnębiły. Wciąż próbowała uporać się z emocjami, zwłaszcza ze śmiercią Krzysia.

– Przepraszam za to śniadanie – powiedział Józef – ale dzisiaj gotuje Natalka. I uwierz mi, ona ma prezencję, ale gdyby od gotowania zależało jej życie, to już dawno by je straciła.

Przez kuchnię przeleciał metalowy kubek i z hukiem trafił w ścianę nad jego głową.

– Mam do zaoferowania coś więcej niż wygląd i dobrze o tym wiesz. Gdyby Sławek tu był, nie odważyłbyś się tak mówić – podsumowała Natalka.

– Oczywiście, że nie, bo gdyby tu był, leżałabyś z nim w łóżku i pokazywała mu, w czym jesteś naprawdę dobra! – Tym razem nad jego głową rozbił się talerz. Józef się roześmiał. – Ona nie należy do rannych ptaszków – skomentował, po czym zmienił temat. – Grabowski jest w Auschwitz razem ze Sławkiem. – Natalka zajęła się zbieraniem kawałków potłuczonej porcelany, a Józef mówił dalej: – Mają wykonywać jakieś prace przy barakach, a tak naprawdę rekrutować ludzi do wielkiego nowego planu. Oby im się powiodło, co? Dziś wieczorem pewnie się dowiemy, jak przemycać do obozów broń, amunicję i jedzenie. – Józef zrobił zarozumiałą minę i przymrużył swoje jedyne oko. – Szykują się wielkie sprawy, o których nie mogę z tobą, Danuto, rozmawiać. Wiedzą o nich tylko nieliczni, najbliżsi zaufani Sławka. – Tę napuszoną przemowę przerwał łomot garnka specjalnie upuszczonego przez Natalkę na kamienną posadzkę. Rzuciła mu surowe spojrzenie. – Sławek i mój brat rozmawiają tylko z tymi, którym mogą zaufać – dodał.

Dzień płynął leniwie, po obiedzie Danuta trochę się zdrzemnęła, ale obudziła się, gdy przyśnił się jej martwy Krzyś. Nalała sobie herbaty do kubka, czytała leżące w mieszkaniu gazety. Nie mogła wejść do kwiaciarni na froncie budynku, ponieważ Niemcy często tam zaglądali po kwiaty dla swoich żon i przyjaciółek. Właścicielką była Wisława, która od czasu do czasu wpadała do mieszkania na pogawędkę, choć w obecności Danuty wydawała się ostrożna, podobnie jak Józef. Natalka i Józef bez przerwy się sprzeczali. Danucie od razu przyszła do głowy

myśl, że Józef jest zazdrosny o związek Natalki ze Sławkiem; sypiali razem co noc, a więc i rozmawiali – jako para byli ze sobą blisko. Może jednooki Józef uważał, że ta bliskość jest zbyt duża i że Sławek zdradza zbyt wiele.

Sławek i Grabowski wrócili o ósmej wieczorem z serią odbitek przedstawiających plany Auschwitz i Wiśnicy. Nie tylko pokazywały szczegółowo istniejące i planowane zabudowania, lecz także uwzględniały lokalizację rur kanalizacyjnych oraz szybów wentylacyjnych – najlepszych kryjówek. Podczas gdy dwaj mężczyźni omawiali szczegóły, Danuta pomagała w parzeniu kawy i szykowaniu przekąsek. Obaj dowodzący najwyraźniej czuli się już przy niej swobodnie.

– Kiedy zwerbujemy i wyszkolimy grupy wewnątrz obu obozów, zaczniemy przemycać drobną broń. Uczestniczący w akcji będą nagradzani żywnością oraz innymi drobiazgami i artykułami pierwszej potrzeby. Mam obecnie poważne zlecenie w Auschwitz, będę dobudowywał kolejne piętra łóżek, by zwiększyć ich liczbę. Mają być trzy zamiast wcześniejszych dwóch i na każdym poziomie zostaną ulokowani trzej więźniowie, a nie dwaj. Czyli w każdej wnęce będzie miejsce nie dla czterech, a dla dziewięciu osób. Tylko pomyślcie, ta sama przestrzeń, a dziewięciu nieszczęśników. Nie do wiary. – Rzucił się na kanapkę i podjął temat. – Łatwo ukryć rzeczy. Mogę rozmieścić amunicję i materiały wybuchowe pomiędzy materiałami budowlanymi, które przywożę do robót. –

Zwinął w rulon plan, nad którym pracował. – Niemcy nie są w stanie fizycznie kontrolować wszystkiego, co wnoszę do obozu, a gdy lepiej poznam strażników, łatwiej będzie ich namówić na przemykanie od czasu do czasu oka. Uwielbiają czekoladę, papierosy i oczywiście dobre brandy. A najbardziej lubią jedwabną bieliznę dla swoich kobiet. Czarny rynek może dostarczyć nam te luksusy, naturalnie za odpowiednią cenę, ale ja dobrze zarabiam. To nie problem.

Powiedział, że jest sfrustrowany, że nie może zrobić więcej, ale wkrótce bez wątplenia nadarzą się nowe możliwości, na które będzie gotowy, bez względu na wszystko. Z dumą podniósł kieliszek.

– Już mój mały księgowy, Jurek, dopilnuje, by pieniądze były pod ręką, gdy okażą się potrzebne.

– Mam nadzieję, że lepiej mu idzie fałszowanie ksiąg niż Natalce gotowanie – wtrącił sarkastycznie Józef.

Grabowski posłał mu miażdżące spojrzenie, po którym zapadła niezręczna cisza przerwana w końcu przez Danutę.

– Sławku, mówiłeś o zagęszczaniu łóżek w Auschwitz. Można wiedzieć, po co robią?

– Jest coraz więcej Żydów z Europy. Przybywają tysiącami. A może i setkami tysięcy, trudno powiedzieć. Każdego dnia wydaje się ich więcej. Przyjeżdżają

transporty załadowane tymi biedakami po sufit. Widziałem na własne oczy. Niektórzy umierają, zanim zdążą wysiąść z tych bydłych wagonów, co, jak przypuszczam, oszczędza Niemcom trochę pracy. – Mówił o tym w absolutnie pragmatyczny sposób. – Nie są w stanie zabijać ich wystarczająco szybko w Auschwitz. Jest ich obecnie zbyt wiele, robi się poważny problem. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że wkrótce zaczną budować kolejne komory gazowe i piece. Koszty nie są przeszkodą; problem w dostawach.

– Dość już tego, na litość boską! – Natałka nagle wybuchnęła płaczem i zarzuciła Sławkowi ramiona na szyję, ze szlochem opierając głowę na jego szerokiej piersi. Czule gładził ją po twarzy.

– Przepraszam, kochana, ale to się dzieje tuż za naszym podwórkiem. Powiem ci, powiem wam wszystkim, że Sławek Posłuszny nigdy nie będzie się wstydził przyznać, że jest Polakiem, ale co z tymi, którzy udają, że niczego nie widzą, i nie kiwają nawet palcem? Ci będą nieść swoją hańbę aż po grób. I jeszcze dłużej!

33

Po trzech dniach uznano, że Danuta może już bezpiecznie opuszczać mieszkanie. Miała teraz komplet dokumentów na fałszywe nazwisko, które podała Grabowskiemu i Sławkowi – Danuta Szalek. Krzepiące, że nikt nie wiedział, kim jest naprawdę. Po południu Wisława posłała ją po sprawunki, miała kupić mąkę. W drodze powrotnej zabłądziła i znalazła się na wąskich bocznych uliczkach Krakowa w zapadającym powoli zmierzchu. Nadciągała godzina policyjna.

Danuta poczuła, jak ciało reaguje na pierwsze objawy paniki. A jeśli nie zdąży wrócić przed godziną policyjną? Zapytała kilka osób, czy wiedzą, gdzie jest kwiaciarnia, wskazywali jej wszystkie kierunki, ale ona miała wrażenie, że kręci się w kółko.

I wtedy podjechał do niej samochód patrolu wojskowego, ktoś po niemiecku wezwał ją do zatrzymania się. Z auta wyskoczyli dwaj żołnierze i ją zaczepili.

– Kogo my tu mamy, Gunther, może bojowniczkę ruchu oporu?

– Wielkiego oporu to ja w niej nie widzę, na pewno – odparł wyższy, unosząc palcem jej podbródek.

Kiedy przyparł ją do muru, Danuta zauważyła lekkie poruszenie zasłon w oknie naprzeciwko, które po chwili nagle się zaciągnęły, odcinając ją od wszelkich szans na ratunek. Niemiec krzyknął jej w twarz:

– Dokumenty! Już!

Danuta odłożyła torebkę mąki na najbliższy parapet okienny, poklepała się po bokach, drżącymi dłońmi zaczęła majstrować przy guzikach, szukając dokumentów.

Niemiec się niecierpliwił. Demonstrował pewność siebie, której nie uzasadniały ani szacowany na oko wiek, ani ranga, a jego ofermowatemu na pierwszy rzut oka koledze wyraźnie było to w smak. W sumie czemu nie? Gunther Schulz był przystojny i władczy w swoim nowiutkim mundurze, matka powtarzała mu to wystarczająco często, a polskie kobiety zdawały się go lubić.

Chwycił Danutę za podbródek. Próbując wykręcić głowę, poczuła od niego alkohol.

– Widzisz to, Hans? Moglibyśmy ją za to zastrzelić na miejscu. Stawia opór żołnierzowi Wehrmachtu i próbuje uciec!

– Szkoda na nią amunicji. Uważam, że powinniśmy ją zatrudnić!

– Zatrudnić?

– Zgadza się. Wygląda mi na taką, co wyjątkowo dobrze nadaje się do zatrudnienia. Nigdy nie widziałem bardziej odpowiedniej „grzałki Wehrmachtu”. Jest dość szczupła, pewnie nie rozgrzeje nas obu naraz, tylko po kolei. No to który będzie pierwszy?

– Racja, mężczyźnie przyda się trochę ciepłka w taki mroźny wieczór, co? – Schulz zaczął szarpać płaszcz Danuty, a ona próbowała mu się wywinąć.

– Franz, przytrzymaj ją z rękoma za plecami. Trzeba nauczyć ją manier. – Wykręcili jej ręce do tyłu, twarz zapiekła od siarczystego policzka. Ostro warknęła i cała się usztywniła. Teraz, gdy ten drugi skrępował Danucie ręce, Schulz miał swobodę działania. Poczuła kolejne uderzenie w twarz, na tyle mocne, że rozcięło wargę i pozostawiło odcisk na prawym policzku.

– Ty polska dziwko, masz dwa wyjścia do wyboru: łatwe i trudne. Które wybierasz? – syknął jej prosto w twarz.

Danuta nie spuściła z tonu i ponownie próbowała się wykręcić, ale Schulz przyciągnął ją i ścisnął piersi. Ofermowaty Niemiec mocno przytrzymał dziewczynę i postanowił dołączyć do zabawy, wtykając jej język w ucho i całując szyję.

Obaj się śmiali, ponieważ szło im tak łatwo. Przez kilka ostatnich miesięcy doprowadzili do perfekcji technikę napastowania niewinnych, bezbronnych polskich kobiet, która okazała się wysoce skuteczna. Łatwo było strachem zmusić kobietę do uległości i seksu z nimi dwoma. Komu się poskarży? Jak udowodni, że została zgwałcona, a nie oddała się im dobrowolnie, jak czyniło wiele kobiet w rejonie Krakowa?

Ponieważ kolega mocno trzymał Danutę, Schulzowi udało się rozpiąć płaszcz i spodnie. Starła się go do siebie nie dopuścić, lecz w końcu wcisnął rękę w jej

majtki. Nie przestawała się opierać, uznał więc, że będzie musiał jeszcze raz ją uderzyć, tym razem z większą siłą. Nagle za jego plecami rozbrzmiał gniewny głos.

– Co się tu, do diabła, dzieje?

W tym samym momencie wyłonił się znikąd elegancko ubrany niemiecki oficer i odciągnął Danutę od żołnierzy.

Odpowiedział mu Schulz w spuszczonej do połowy spodniach.

– Dawaliśmy tylko tej dziwce nauczkę. Ta suka znieważyla Rzeszę.

Oficer spojrzał na Danutę, potem na Schulza, który starał się podciągnąć spodnie.

– Nie ona jedna, prawda? Nie zaszalowaliście starszemu oficerowi ani nie pozdrowiliście Führera!

Schulz natychmiast stanął na baczność, próbując stuknąć obcasami, ale ponieważ spodnie opadły mu do kostek, zdołał jedynie wydobyć stłumiony głuchy odgłos.

– *Heil Hitler!*

– Proponuję się stąd zabierać, ty i twój głupi klakier. I potraktować to jak lekcję dyplomacji. Jestem pewien, że ta młoda dama nie popełnia żadnego wykroczenia i spieszy się do domu przed godziną policyjną. Ma pani dokumenty? – zapytał Danutę.

Skinęła głową. Oficer ponownie odwrócił się do Schulza.

– Waszym obowiązkiem jest kontrolowanie polskiej ludności, a nie niepotrzebne jej nękanie, jasne?

Obaj mężczyźni stuknęli obcasami i gorliwie zaszalutowali. W końcu Schulz zdołał podciągnąć spodnie i zapiąć płaszcz, po czym kładąc uszy po sobie, wskoczyli obaj do samochodu i prędko odjechali w gasnącym świetle dnia.

– Młoda damo – przemówił oficer niespodziewanie uprzejmie – niechże się pani przyjrze. Wszystko w porządku? – Delikatnie nasunął Danucie płaszcz na ramiona. Podziękowała i spuściła głowę, poprawiła ubranie, ściągnęła klapy płaszcza. – Powiniennem poprosić o dokumenty, jeśli wolno.

Danuta znalazła je już przy pierwszej próbie. Podała mu papiery. O ile łatwiej działało się bez przymusu. Niemiec szybko przebiegł wzrokiem dokumenty, a Danuta nagle zdała sobie sprawę, że przecież jest tam jej nowy adres, był tam cały czas, czarno na białym! Skwitowała uśmiechem swoją głupotę. Oficer zauważył tę zmianę wyrazu twarzy.

– W porządku, Danuto Szalek, wszystko wydaje się w porządku. Powiniennem chyba odprowadzić panią do domu, by nie spotkały pani żadne kłopoty, zbliża się godzina policyjna. Choć to tuż za rogiem, wolałbym pani towarzyszyć. Nigdy nie wiadomo, na kogo można się tu natknąć na ulicy.

Znów się uśmiechnęła. Niemiec ruchem głowy wskazał drogę. *Tuż za rogiem.* Ależ była głupia! Ale teraz musiała szybko coś wymyślić, nie mogła przecież pozwolić mu podejść pod kwiaciarnię.

– Ne idę do domu, proszę pana, nocuję dzisiaj u babci. Tu, w tym domu, te drzwi.

Niemiec postanowił wciągnąć Danutę w rozmowę. Jak większość niemieckich oficerów był nienagannie zadbany. Zdjął skórzane rękawiczki, uściśnął jej dłoń. Zwróciła uwagę, jak miękką ma skórę, jak pięknie wypiełgnowane paznokcie i jak drobne wydawały się jego ręce. Przedstawił się jako Arndt Nebe. Hauptsturmführer Arndt Nebe.

– Czyli kapitan Nebe, ale chyba powinna mi pani mówić po imieniu, prawda?

Nebe był kulturalny i wykształcony, mówił biegle trzema językami.

– Pochodzę z pięknego miasta Dortmund – oznajmił z rozbajającym uśmiechem.

Był wyjątkowo przystojny, naprawdę czarujący, a zanim ucałował jej dłoń na pożegnanie, wręczył dziewczynie tłoczoną wizytówkę z czerwono-czarną swastyką na górze oraz adresem i danymi kontaktowymi w lewym dolnym rogu. Danuta wpatrywała się w jego piękne niebieskie oczy, z czego dopiero teraz zdała sobie sprawę.

– Muszę iść, Danuto Szalek. Wieczorem czeka mnie zadanie opracowania pewnych planów. Na tym obszarze nadal są Żydzi, trzeba urządzić łapankę. W getcie nie brakuje miejsca, szkoda, żeby się marnowało, nie uważasz? – Nie czekał na jej odpowiedź. – Pozwolę sobie na pewną radę, jeśli wolno. Jutro lepiej zostać wraz z babcią w domu, ponieważ zacznie się nasza końcowa obława. Tę część mojej pracy lubię najbardziej. Jest szalenie ekscytująca, ponieważ Żydzi potrafią być naprawdę przebiegli i bardziej pomysłowi, niż można sobie wyobrazić. Uwielbiam to ujadanie psów, ludzi biegających bez ładu i składu, wystrzały dookoła mnie, a pod koniec dnia ładne stosy martwych Żydów przed każdą kamienicą po wschodniej stronie Krakowa! Brytyjczycy mają swoje polowanie na lisa, my łowimy Żydów. Taki sport nigdy nikomu nie zaszkodził, prawda?

Danuta uzmysłowiła sobie, że jej ręka nadal spoczywa w jego dłoni. Szybko ją cofnęła. Był zbyt pochłonięty sobą, by to zauważyć, zadufanie w sobie zablokowało wszelkie inne doznania. W gardle Danuty wzbierał niemy krzyk, serce łomotało, miała wielką ochotę zwymiotować na ten piękny mundur i odrażająco przystojną niemiecką twarz. Intuicja podpowiadała jednak, by przyciągnąć go do siebie i przytulić.

– Jeśli nie mogę zrobić nic więcej, chciałabym przynajmniej podziękować za uratowanie mnie przed tymi zbirami, Arndt. Jest pan moim rycerzem w lśniącej

zbroi. Bóg jeden wie, co by się stało, gdyby nie pańska interwencja.

Kurtuazyjny na pozór uścisk przerodził się w namiętność, Danuta coraz mocniej przywierała do niego ciałem. Poczł na sobie jej piersi, gdy wtulała się w jego szyję, wdychał zapach jej włosów. Oderwała się od niego na chwilę, spojrzła mu w oczy, ujęła jego twarz w obie dłonie, następnie pochyliła się i wycisnęła na jego ustach ognisty pocałunek. Przez kilka sekund trwali w objęciach, pocałunek się przedłużał, oddech Niemca przyspieszał, a wtedy Danuta ostrożnie wsunęła prawą dłoń do kieszeni płaszcza. Usłyszała nagle rój tysięcy pszczoł w swojej głowie, huk i bzyczenie, które wypełniało jej czaszkę z takim natężeniem, że chciało jej się krzyczeć... obraz Nebego biegającego po klatce schodowej kamienicy, wyganiającego z mieszkań przerażonych Żydów... po chwili poczuła jego dłoń na swojej krągłej piersi, którą delikatnie masował kciukiem, a potem przytuliła się jeszcze mocniej w odpowiedzi na dotyk jego drugiej dłoni, która wsunęła się za pasek spódnicy, szukając miękkich wyniosłości pośladków.

Danuta od razu znalazła w kieszeni to, czego szukała. Znieruchomiała, po czym delikatnie uwolniła się z objęć oficera.

– Żegnaj, kapitanie, to dla Krzysia.

Wyjęła z kieszeni myśliwski nóż Sławka i wbiła ostrze głęboko w bok Niemca, z wściekłą siłą wwiercając je w ciało. Nebe kurczowo chwycił się Danuty, jego twarz zastygła w przerażeniu. Głębiej wbiła nóż. Wytrzeszczył oczy, rozchylił usta i zdążył wydać cichy jęk, po czym się na nią osunął. Dźwigała na sobie cały ciężar jego ciała, zdołała jednak go przekręcić i położyć na ziemi w bramie.

Patrzyła na bezwładne ciało. W jednej chwili żył, w następnej już go nie było. Nagle przypomniała sobie o nożu w dłoni i spuściła wzrok, zaskoczona, że jest tak niewiele krwi. Miała wrażenie, że serce lada moment wyskoczy jej z piersi, zaczęła wzbierać w niej fala paniki, każąc uciekać jak najdalej od martwego oficera. Wówczas jednak uzmysłowiła sobie, że widok biegnącej kobiety może zwrócić czyjąś uwagę, wzięła więc trzy głębokie oddechy, schowała nóż do kieszeni, zdjęła z parapetu torebkę mąki i rozejrzała się po cichej ulicy.

Zasłona w oknie naprzeciwko znów drgnęła, na chodnik padło wąskie pasmo światła, za tkaniną przesunął się wyraźnie widoczny ludzki cień. Danuta jeszcze raz poprawiła ubranie, cisnęła na zwłoki Niemca otrzymaną od niego wizytówkę i ruszyła w stronę kwiaciarni oraz mieszkania Grabowskiego, które było niespełna sto metrów dalej za kolejnym rogiem. W chwili, gdy zamykała za sobą drzwi wejściowe, wskazówka zegara na kuchennej ścianie przesunęła się na szóstą – początek godziny policyjnej.

34

Ania nauczyła się znosić codzienne odwiedziny komendanta pod nieobecność Tiny. Ta wróciła obładowana nowymi ubraniami i kosmetykami w błogiej nieświadomości ekscesów Fischera. Oznajmił Ani, że skoro Tina wróciła, nie będzie już tak często jej odwiedzał, dlatego musi być przygotowana na jego nieprzewidywalne wizyty o różnych porach dnia i nocy.

Schole zgodnie z zapowiedzią także zaczął przychodzić. Zawsze późnym wieczorem, zwykle tuż po wyjściu Fischera. Zawsze uprzejmy i przepraszający. Ania odnosiła wrażenie, że chciałby podzielić się jakąś tajemnicą, ale nie potrafił jej z siebie wyrzucić. Może była to kwestia niedostatecznego zaufania. Wyraźnie potrzebował się przed kimś wygadać, a ona zdawała się chętnie słuchać.

Fischer cieszył się Anią.

– To obopólnie korzystny układ – powiedział kiedyś, leżąc obok niej. – Ja odpoczywam od Tiny i rozładowuję stres, a w dodatku raczysz mnie specjalnymi przyjemnościami. W zamian jesteś chroniona przed zmiennymi kolejami obozowego życia! Cóż mogłoby być lepszego?

Ania bez wątpienia miała dobrze w porównaniu z resztą kobiet z zamtuza: wysmienite posiłki, wykrochmaloną pościel, mięciutkie ręczniki, regularne dostawy do pokoju za zielonymi drzwiami. Miała nawet osobistego strażnika. Pozostałe kobiety dobrze wiedziały, co kombinuje. Podczas gdy one pracowały w lęku o własne życie, Ania z premedytacją próbowała przeczekać wojnę w komforcie. Ale pewnego dnia wojna się skończy, a kiedy to nastąpi, poprzysięgły sobie rozprawić się z nią po swojemu. Ania widywała je od czasu do czasu w korytarzach albo przez otwarte drzwi: gapiły się na nią, splotowały albo złorzeczyły pod nosem.

– Obawiam się innych kobiet, Baldric. Są zazdrosne i myślę, że chciałyby mi zrobić krzywdę. Potrzebuję twojej ochrony.

Fischer odwrócił się do niej i aby dodać jej otuchy, pogładził ją po policzku.

– Ta wojna – powiedział – wyzwala w nas wszystkich to, co najgorsze.

Ania radziła sobie z odosobnieniem i jak na razie czuła się dość bezpiecznie. Bardzo starała się zadowolić Fischera i Scholego. Odczuwała samotność, gdy leżała sama w ciemnościach, i to wtedy najbardziej tęskniła za Danutą. Brakowało jej dotyku siostry, jej zapachu, wydawanych przez sen cichych westchnień, jej głosu, ich wspólnych plotek. Och, tamte sekrety! Tęskniła za siostrą całą sobą i zaczęła nawet obmyślać plan poproszenia Fischera albo Scholego o odnalezienie Danuty, jeśli tylko uda się jej wystarczająco do nich

zbliżyć. Mogli to zrobić, mieli koneksje i wpływy. Dla nich to pestka, a dla Ani cały świat. Byli jej jedyną nadzieją.



Pewnej nocy tuż po wyjściu komendanta Ania usłyszała znajomy zgrzyt klucza w zamku, gdy myła się w umywalce w rogu pokoju. Westchnęła i w bieliźnie podeszła do drzwi.

– Czego zapomniałeś tym razem: fajki czy zegarka? – zapytała.

Natychmiast została wepchnięta do pokoju przez obryzganego krwią Brauna o oczach szaleńca. Nie miała czasu krzyknąć, ponieważ błyskawicznie przycisnął silną rękę do jej ust i rzucił ją na łóżko.

Dla strażnika pilnującego wejścia do Klubu tamta noc była bardzo owocna. *Frau Groepler* już dawno zrezygnowała z patrolowania korytarzy i kontroli posiadaczy talonów. Zaniechała też badań lekarskich, ponieważ zabierały zbyt dużo czasu. Zamiast tego rozdano kobietom kwas borny do irygacji oraz dużo mydła karbolowego. Takie środki bezpieczeństwa im wystarczą. Od czasu do czasu NLW wysyłała tam zastępczynię (która łatwo dawała się przekupić), ale przez większość czasu wszystkim zawiadywał strażnik przy drzwiach.

Posiadacze talonów wkrótce nauczyli się kombinować, ponieważ jednak Niemcy także chcieli mieć dostęp do kobiet, obmyślili własny plan zapewniający im udział w cielesnych uciechach. Bez wiedzy administracji obozu strażnicy pilnujący wejścia wyznaczyli dwie najlepsze kobiety. Jedną z nich była Emilia. Następnie wdrożono system barterowy z ustalonym wcześniej taryfikatorem opłat w towarach czarnorynkowych.

Od tej pory każdego wieczoru kieszenie strażników wypychały się obcymi walutami, biżuterią, a także konwencjonalnymi dobrami w postaci papierosów i cygar. Nawet weksłami zobowiązującymi do zapłaty w piwie, gdy do kantyny dostarczano ulubioną markę. Gdy tamtego wieczoru Braun niespodziewanie zjawił się pod Klubem, wydawał się mocno pobudzony. Miał szklisty wzrok, twarz i bluzę munduru ubrudzone krwią, a do tego bełkotał jak oszalały. Coś się wydarzyło w obozie, ale strażnik przy wejściu nie chciał o niczym wiedzieć. Gdzie tylko zjawiał się Chart, tam pojawiały się kłopoty, a tamtego wieczoru wyglądał jak obłąkany!

Po krótkiej dyskusji Braun sięgnął głęboko do kieszeni i wcisnął strażnikowi w dłoń garść zmiętych banknotów, po czym zażądał klucza do apartamentu.

– Nic z tego, Braun. Nie ma zapasowego, tylko komendant ma tam wstęp.

– Bzdury. Wiem, że ta niedojda Schole ciągle tam przychodzi. Daj mi zapasowy klucz.

Braun nie był w nastroju na przedłużające się negocjacje.

– Słuchaj, nie mogę. Gdyby komendant się dowiedział, wysłałby mnie na front.

Braun wyjął amerykański banknot. Pięćdziesiąt dolarów! Skąd te brudne łapska wytrzasnęły amerykańską walutę? Podał banknot z taką miną, jakby mówił: „Tam, skąd go wzięłem, jest tego więcej”. Strażnik podniósł banknot do światła i uważnie mu się przyjrzał. Przy tyłu Żydach w obozie fałszywek nie brakowało, ten jednak wyglądał na prawdziwy. Z wizerunkiem osiemnastego prezydenta, Ulyssesa S. Granta, szeleszczący i świeżutki, prawie nowy. Złożony wielokrotnie, prawdopodobnie po to, by zmieścił się w zakładce marynarki jakiegoś cuchnącego Żyda. To przekonało strażnika o jego autentyczności. Pieniądze piechotą nie chodzą, ale żeby od razu klucz do zielonych drzwi? Gdy strażnik bił się z myślami, Braun wyjął kolejny amerykański banknot – tym razem dwudziestodolarowy.

– Słuchaj, Braun, ale tylko piętnaście minut, dobra? Nie dłużej. Ona należy do komendanta i jest warta więcej niż moje życie...

Strażnik machnął kluczem tuż przed nosem Brauna, a ten wyrwał mu go zamaszystym gestem i pognał korytarzem prosto do zielonych drzwi.

Cóż to była za noc w Klubie, a przecież jeszcze się nie skończyła! Obie wydzielone kobiety były zajęte, a teraz jeszcze Braun wcisnął mu w rękę tę cudowną amerykańską walutę – strażnik nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Po odejściu Brauna usłyszał jakieś niepokojące odgłosy z pokoju Emilii. Ostatnimi czasy sam złożył jej kilkakrotnie wizytę i zawsze była dla niego wyjątkowo miła, nawet obiecywała mu coś więcej, gdyby podjął się zadania chronienia jej przed odwiedzinami niepożądanych osób. „Po prostu im powiedz, że jestem zajęta, to wszystko, co musisz zrobić”. Wyjaśniła mu, kogo chce unikać, ale cóż począć, skoro akurat jeden z nich zjawił się z ofertą tak dobrą, że nie można było jej odrzucić? W końcu jest wojna.

Zaledwie kilka dni wcześniej dostał broszkę wysadzaną rubinami. Piękną. Od starej Żydówki podczas selekcji w Auschwitz. Drobną starszą kobietą wyrwała się z szeregu i rozpaczliwie wciskała broszkę jednemu ze strażników.

– Niech mnie pan zabierze na bezpieczną stronę. Proszę. Niech mi pan pozwoli być z moimi wnukami, proszę. Błagam pana. Błagam.

No i co było robić? Oczywiście zrobił to, co należało, wziął broszkę, chwycił kobietę za ramię i pospiesznie przeprowadził do miejsca, gdzie stały dzieci. Dołączyła do wnuków, bezgłośnie wyszeptwała: „Niech Bóg panu błogosławi”, a potem razem z nimi została zaprowadzona schodami do komory gazowej...

Chowając amerykańską walutę, strażnik nadal słyszał podniesione głosy w pokoju Emilii. Takie dźwięki nie należały do rzadkości, tym jednak razem odniósł dziwne wrażenie, że coś jest nie w porządku. Zatrzymał się na chwilę

i nasłuchiwał, usiłując wywnioskować, co się dzieje. I wtedy usłyszał krzyki mrozące krew w żyłach.

Nagle wybuchło gorączkowe poruszenie, odsuwano zasłony, wszędzie biegali ludzie w różnym stopniu roznegliżowania, klnąc i krzycząc; trzasnęły drzwi apartamentu, dudniły ciężkie kroki, Bóg jeden wie, skąd pojawił się Schole. Pomimo chaosu i wrzawy najbardziej zdumiewał fakt, że ten potworny ryk wyrwał się z gardła mężczyzny, nie kobiety.



Karl Braun właśnie skończył gwałcić Anię. Była półprzytomna, przywiązana do łóżka, przyduszana. I wtedy Braun, trzymając rękę na gardle dziewczyny, usłyszał wrzaski. Miał koszmarny dzień; czasem zabijanie dawało mu się we znaki. Twarze tamtych żalonych Żydów, Sonderkommando i kapo. Potrzebował wyżyć się na kobiecym ciele, wyładować na nim swoje frustracje, a nie było lepszego niż ciało Ani. Jednak gdy tylko usłyszał krzyk, zerwał się na równe nogi i wybiegł z apartamentu w ciągu kilku sekund, zostawiając nagą dziewczynę przywiązaną do łóżka.

Schole pracował w pobliskim gabinecie i usłyszał awanturę. Zjawił się na miejscu jako pierwszy i zaczął wszystkim bez wyjątku wydawać rozkazy. W korytarzu nagle zrobił się tłok. Natychmiast otworzył pokój Ani, zastając ją we łzach, unieruchomioną na łóżku. Błyskawicznie rozwiązał dziewczynę i zapytał, co się stało. Gdzie jest komendant, czy tak się z nią bawił podczas swoich odwiedzin? Czy słyszała to dziwne zamieszanie za drzwiami? Czy coś wie?

Została tak sponiewierana, że nie mogła wykrztusić słowa, ale na szczęście nie było widać na jej ciele żadnych obrażeń. Schole podał jej szklankę wody, a potem znów wyszedł prosto w zgiełk panujący w korytarzu, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Nerwowy chaos trwał w najlepsze. Natychmiast zamknięto wejście do Klubu i postawiono dodatkowego strażnika, nakazując mu nie przepuszczać nikogo z wyjątkiem komendanta i Scholego. Kilku uzbrojonych esesmanów patrolowało korytarz. Kobiety przeniesiono w inne miejsce, porozsuwano zasłony we wszystkich pokojach – z wyjątkiem jednego.



Następnego dnia z samego rana w progu pokoju Ani pojawił się Schole, jak zawsze w nienagannym stroju, ale wyglądał inaczej niż zwykle – jakoś tak

służbiście.

– Komendant chce ci coś pokazać. *Kommen*.

Odsunął się na bok, gdy Ania wyskoczyła z łóżka.

– Nie ma czasu na ubieranie. Chodź w nocnej koszuli. Szybko.

Ania ściągnęła brwi i sięgnęła po szlafrok. Schole odezwał się ponownie, tym razem bardziej nagłym tonem.

– Pospiesz się.

Na zewnątrz zalegała śniegowa breja, na niektórych dachach i parapetach okiennych leżał jeszcze śnieg. Było wietrznie i ponuro, Ania szybko pożałowała, że nie zarzuciła koca na ramiona. W jej pokoju było tak ciepło, a teraz znów zetknęła się z zimną rzeczywistością obozu. Jak łatwo zapomniała o cierpieniu i nieszczęściu innych.

Zaprowadzono ją na niewielki dziedziniec za kompleksem ceglanych baraków. Na jednym końcu znajdowała się duża granitowa ściana. Ściana Śmierci. To tutaj plutony egzekucyjne rozstrzelały w jeden dzień prawie trzystu Cyganów, ustanawiając rekord, którym często chełpił się Fischer.

Budynki otaczały dziedziniec w kształcie podkowy, Ściana Śmierci była lekko odsunięta od pozostałych. Wchodziło się tam przez sklepioną bramę łączącą dwa sąsiednie budynki. Więźniowie w pasiakach przychodzili tam codziennie bez względu na pogodę, dbali, by wysypane żwirem podłoże było równe i nieskazitelne, bez odcisniętych śladów stóp, w każdej chwili gotowe do użycia. Idąc za Scholem na dziedziniec, Ania widziała kilkuset więźniów w pasiastych ubraniach, z ogolonymi głowami, stojących na baczność, dygoczących i wystraszonych. Zaprowadzono ją do miejsca, gdzie stały już rzędem pozostałe kobiety z Klubu – tylko one nie miały na sobie pasiaków. Żadna z nich nie zaszczyciła Ani spojrzeniem, żadna nie próbowała nawiązać kontaktu wzrokowego. Schole wcisnął ją na koniec rzędu obok kobiety o przerażonej twarzy, której nie znała. Ktoś z tyłu syknął przez zaciśnięte zęby:

– Ty krowo.

Pomimo że zgromadzono liczną grupę więźniów, na dziedzińcu panowała cisza, żadnego szurania, żadnych rozmów. Duża grupa ciężko uzbrojonych strażników lustrowała tłum. Poza sporadycznym suchym kaszlem dochodzącym gdzieś z głębi szeregów jedynym dźwiękiem był świst wiatru, który gnał po dziedzińcu, ośmielając więźniów do poruszania się dla rozgrzewki.

Rozejrzawszy się wokół, Ania zdała sobie sprawę, że wszystkie spojrzenia są utkwione w szarym kocu sporych rozmiarów leżącym beładnie pośrodku żwirowego dziedzińca. Coś pod nim było. Na pewno kontrabanda przechwycona podczas porannej inspekcji. Dlatego zebrano tu tych wszystkich ludzi.

Gdy pod łukiem bramy pojawił się Fischer w nienagannym palcie z dumnie wyeksponowanym na piersi Krzyżem Żelaznym, strażnicy natychmiast stanęli na baczność. Dwaj inni eskortowali go na środek placu. Staął obok koca i warknął rozkazującym tonem:

– Przyprowadzić ją!

Gdzieś poza zasięgiem wzroku Ani doszło do krótkiej przepychanki, następnie wyłonił się strażnik, który włókł kogoś i popychał na przemian, jakąś kobietę. Rzucił ją na kolana na środku dziedzińca obok komendanta Fischera.

Miała związane za plecami ręce, zakrwawioną i posiniaczoną twarz ze smugami łez, włosy skołtunione i posklejane krwią. Krew zakrzepła także wokół jej nozdrzy, jedno oko było opuchnięte i zamknięte, skóra wokół oczodołów i na kościach policzkowych miała zielonkawożółtą barwę. Rozerwana górna warga zwisała luźno, brakowało kilku zębów, za fałdem skóry widoczne były puste dziąsła. Gdyby nie miała na sobie znajomych ubrań kobiety z Klubu, w takim stanie trudno byłoby ją rozpoznać.

Ania szepnęła:

– O Boże, Emilia.

Emilia była sama, cała we krwi, trzęsła się od stóp po czubek głowy, lecz mimo to nie miała w sobie uległości. Strażnik szarpnął ją w górę, przeciął więzy na nadgarstkach i się odsunął.

Komendant wodził wzrokiem po zebranych, następnie odwrócił się w stronę leżącego na ziemi koca i rozkazał Emilii:

– Ściągnij.

Lekko się zatoczyła, zawahała, a potem spojrzała na Fischera. Rozciął jej twarz ciosem skórzanej szpicruty. Wszyscy więźniowie na dziedzińcu się wzdrygnęli.

– Ściągnij koc! – syknął.

Emilia wzięła się w garść, zdecydowana nie uronić ani jednej łzy, schyliła się i drżącą, zakrwawioną ręką odsunęła na bok koc.

Przez dziedziniec przeszedł stłumiony okrzyk – pod kocem leżało ciało tęgiego kierowcy. Twarz zastygła w wyrazie przerażenia, usta były otwarte, lewe oko patrzyło w nicość. Z prawego oczodołu sterczał duży galwanizowany gwóźdź.



Gruby kierowca dobijał targu ze strażnikami strzegącymi wejścia do Klubu już od pierwszego wieczoru po otwarciu. Koniecznie chciał się dostać do Ani, ale strażnik miał dość rozumu, by nie wpuścić takiego durnia jak Lange do pokoju z zielonymi drzwiami – zresztą i tak nie miał on na to dość pieniędzy.

Lange uchodził wśród kolegów za głupka ze skłonnością do brawury i lekkomyślności, który, o czym wszyscy byli przekonani, pewnego dnia narobi poważnych problemów. Śmiali się razem z nim w kantynie, ale nikt nigdy nie zostawał na drugą kolejkę piwa. Langemu nie można było ufać; zwiastował kłopoty i najlepiej było go unikać.

Miał plan zemstczenia się na Ani, która jego zdaniem ukrywała fakt, że jest Żydówką; czy nie powiedziała mu tego kiedyś podczas podróży do Wiśnicy? Zaczął od małych kroczków, torował sobie drogę do zielonych drzwi noc po nocy, pokój po pokoju, kobieta po kobiecie, coraz bardziej zagłębiając się w korytarz. Prędzej czy później strażnik przy wejściu da za wygraną i sprzeda mu klucz na kilka minut, a wtedy zabawi się z dziewczyną o dziwnych oczach, tą, która stała się jego obsesją od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał ją na zimnej polskiej bocznej drodze. Na razie użyje sobie z drugą po najładniejszej, koleżanką tamtej z dziwnymi oczami, jedną z wybranych, Emilią.

Emilia była wyczerpana już po pierwszej wizycie Langego. Kiedy mówił, kropelki jego śliny osiadały jej na twarzy. Oddech cuchnął starym dymem z papierosów, a kiedy wpychał jej język do ust podczas pierwszej próby pocałunku, o mało nie zwymiotowała. „Bądź dla mnie miła, polska księżniczko”, drwił. Tamtej nocy brutalnie ją zgwałcił, bił i poniewierał, a po wszystkim zostawił krwawiącą i szlochającą na podłodze. Gdy wychodził z budynku, jego śmiech wciąż dźwięczał jej w uszach.

Emilia zaoferowała swe wdzięki strażnikowi przy wejściu, chcąc w ten sposób uchronić się przed spasionym kierowcą, ale metoda działała tylko przez kilka dni. W końcu Langemu znów udało się dostać do jej pokoju i znęcał się nad nią w najlepsze. Powiedział, że jego żona jest oziębła i za gruba jak na jego gust. Przestała o siebie dbać i robiła, co mogła, by unikać kontaktów seksualnych. W swoim rodzinnym mieście odwiedzał prostytutki w różnych przybytkach, aż wreszcie wojna rzuciła go na całe szczęście do Krakowa, a potem do Wiśnicy – raju na ziemi.

Frau Groepler coraz bardziej wściekała się na siniaki, podbite oczy i rozcięte wargi Emilii i ostrzegła ją, żeby lepiej zadbała o swój wygląd, bo inaczej wyląduje na śniegu z szuflą wapna w rękach, zamiast pracować w ciepłym Klubie. Mężczyźni nie chcą seksu z zaniechanymi kobietami. Jeśli ktoś od czasu do czasu ją uderzył, to z pewnością dlatego, że nie był zadowolony z oferowanych przez nią usług. „Doprowadź się do porządku albo szykuj na wylot z Klubu”, tak brzmiały rozkazy *Frau Groepler*.

Wkrótce Emilia nie była w stanie dłużej znosić wizyt Langego po godzinach. I bez niego miała dość obaw przed innymi gośćmi, nie potrzebowała, by powiększał brzemień strachu. Zauważyła, że strażnicy z Auschwitz, których

ściągnięto do Wiśnicy, odznaczali się szczególną podłością. Roztaczali wokół siebie specyficzną woń, w której – gdyby kiedykolwiek znalazła się w tamtym miejscu – bez trudu rozpoznałaby zapach śmierci.

Po kilku dniach roztrząsania konsekwencji nadszedł moment, kiedy Emilia musiała podjąć jakieś działania, by się bronić. Pożegnała się z kobietami, napisała do Ani list z przeprosinami, że zostawia ją samą, i przekazała go jednej z kobiet, która zgodziła się wsunąć go rano pod drzwi dziewczyny w zamian za jakieś rzeczy znajdujące się w posiadaniu Emilii. Później leżała na łóżku i czekała, czy gruby kierowca złoży jej tej nocy wizytę. Złożył.

Gdy Lange kolanami rozwarł jej uda i wcisnął odrażającą tłustą gębę pomiędzy jej piersi, ostrożnie sięgnęła pod materac. Koniuszkami palców wymacała gwóźdź, który starszy mężczyzna niepostrzeżenie upuścił na podłogę wiejskiej świetlicy całe wieki temu. Emilia sprytnie go ukrywała nawet podczas badania lekarskiego, twierdząc, że cierpi na ostrą biegunkę, co wystarczyło, by zniechęcić *Frau Groepler* do zbadania tej konkretnej części jej anatomii.

Gdy Lange lizał jej piersi i przechwalał się, czego to zaraz z nią nie zrobi, zręcznie przerzuciła go na plecy i usiadła na nim okrakiem. „Podoba ci się, co?” Wsunęła gwóźdź między palec wskazujący i środkowy, opierając główkę o wewnętrzną stronę dłoni. Chwyciła kierowcę za włosy i odchyliła w tył jego głowę, co gładko wziął za przejaw namiętności. Nim zdał sobie sprawę, co się dzieje, Emilia z całej siły wbiła mu gwóźdź w oko. Czuł, jak przebija galaretowatą gałkę oczną i ociera się o kość oczodołu, a potem zagłębia w mózg i grzęźnie na głębokości kilku cali.

W szoku Lange niezdarnie dotykał twarzy drżącą ręką. Palce natrafiły na sterczący z oka gwóźdź, strużka krwi zmieszanej z dziwnym szarym płynem spływała powoli na kość policzkową. Był kompletnie zaskoczony, nie rozumiał, co się stało, póki nie spojrzął na rękę na palcach. To właśnie wtedy wydał z siebie ryk, który rozszedł się po całym budynku. Stoczył się z łóżka na podłogę, przez minutę albo dłużej podrygiwał tam jak szalony epileptyk, aż wreszcie zastygł bez ruchu. Opasły kierowca Lange wyzionął ducha i rozpętało się piekło.



Emilia wpatrywała się w leżące na dziedzińcu zwłoki. Wraz z nią patrzyło pół obozu. Fischer ukończył już raport dla Berlina. Musiał bardzo uważać, co pisze; w końcu Führer osobiście przyglądał się projektowi Klubu, a Eichmann oraz reszta naczelnego dowództwa z niekłamaną satysfakcją skompromitowaliby ten pomysł. Taki incydent mógłby doprowadzić do zamknięcia Klubu, jeszcze zanim ugruntowałaby się jego reputacja.

Dlatego wypadek z gwoździem odnotowano jako „wypadek przemysłowy”. W Wiśnicy działał tartak, w którym często dochodziło do nieszczęśliwych zdarzeń. Pech chciał, że tym razem dotknęło ono jednego ze strażników oraz kobietę, która pracowała przy pile taśmowej; takie wyjaśnienie figurowało w każdym razie w dokumentach wysłanych do inspektorów w Berlinie i zdawało się ich satysfakcjonować.

Braun podszedł do Emilii od tyłu. Bolesnie wykręcił jej rękę, a następnie przeciągnął ją przez dziedziniec do Ściany Śmierci. Stała tam jak porzucone, bezdomne dziecko, z pochyloną głową, lekko zgiętym kolaniem, cała dygocząc. Zdołała rozejrzeć się dokoła – wszyscy wyglądali tak dziwnie z tymi ogolonymi głowami i twarzami bez wyrazu, gdy patrzyła na nich zamglonym wzrokiem. Odpowiedziało jej spojrzenie setek wielkich okrągłych oczu. Nawet ci stojący najdalej widzieli mocz spływający po gołych nogach Emilii. Spuściła głowę, wpatrzona w zbierającą się pod nią ciepłą kałużę, zagłębiła w żwirze palce stóp i w końcu zaczęła płakać. Na odgłos maszerujących nóg podniosła wzrok. Stał przed nią rząd dziewięciu żołnierzy. Surowe twarze, lśniące hełmy z szarego metalu, ciepłe płaszcze, karabiny przy boku. A potem usłyszała gdzieś w tle głos Schrodera.

– Cel!

Podniosło się jednocześnie dziewięć karabinów, skrzypnęły skórzane pasy, zabrzączały metalowe zatrzaski.

– Repetuj broń!

Tym razem od ścian budynków odbił się huk towarzyszący odciąganiu zamków i ładowaniu dziewięciu kul do komór. Emilia już kilkakrotnie słyszała w tle pluton egzekucyjny, siedząc w ciepłym pokoju Klubu i zawsze się zastanawiała, ile kul jest prawdziwych. Ktoś jej powiedział, że dawniej używano tylko jednego ostrego naboju; dzięki temu nie było wiadomo, kto oddał śmiertelny strzał. *Ale czy Niemcy przejmowałiby się takimi rzeczami? Chyba że chcieliby zaoszczędzić amunicję.*

Ponoć człowiek stojący przed plutonem egzekucyjnym ma zawsze związane oczy. *Gdzie jej opaska?* Widziała rząd wycelowanych w nią luf, zastanawiając się, w której znajduje się pocisk, który odbierze jej życie. Starła się patrzeć prosto na lufę, na zmarszczone czoła i zmrużone oczy na jej drugim końcu. *Czy to on? Czy on ma ostry nabój? A może ten?*

– Pal!

Po dziedzińcu rozniósł się głośny huk, dostrzegła małe obłoczki dymu unoszące się z wycelowanych w nią karabinów, poczuła kilka silnych uderzeń, jakby ktoś przebijał jej ciało, dziwny dźwięk kul przeszywających ją na wylot i odbijających się od ściany za jej plecami, następnie fala rozdzierającego bólu.

Ugięły się pod nią nogi, kiedy upadła, mokry żwir oblepił twarz... A potem świat spowiła czerń.

Emilię przewrócono na plecy, więźniom kazano przejść obok jej ciała w drodze powrotnej do baraków. Widzieli udramę na posiniaczonej i zmaltretowanej twarzy zmarłej, powykręcane kończyny, podartą sukienkę. Niektórzy policzyli nawet dziury po kulach. Dziewięć.

CZĘŚĆ 5

Obóz śmierci

35

1942

Wiśnica, Polska

Obersturmbannführer Fischer krążył po swoim gabinecie, pykając z fajki, żując ustnik. Robił to od co najmniej piętnastu minut, czekając na Scholego, który z niewiadomych powodów nie odebrał telefonu. Wysłał po niego gońca. Komendant nie lubił, gdy kazano mu czekać.

Schole próbował przekonać swojego szefa, żeby dla wygody przeniósł się do biur na terenie obozu, gdzie pracował on sam oraz cała reszta, ale nie, Fischer wolał zostać w domu, gdzie zawsze miał pod ręką Tinę, która go zabawiała i w każdej chwili mogła zaspokoić jego potrzeby. Zawiadywanie obozem pracy to stresujące zajęcie, a ostatnimi czasy Fischerowi stresu nie brakowało. Podejmował coraz ważniejsze decyzje: zajmował się problemami z personelem, podpisywał nakazy wykonania wyroków śmierci, próbował radzić sobie z coraz większą częstotliwością transportów. Denerwowały go nawet błahostki, ludzie mieli się na baczności przed jego humorami i coraz ostrzejszymi karami wymierzonymi nawet za drobne wykroczenia. Wszyscy chodzili na palcach.

Schole wreszcie się zjawił i głośno zapukał do drzwi.

– *Kommen!*

Wszedł.

Nie było czasu na uprzejmości. Fischer na coś się wściekał.

– Fritz, otrzymałem wiadomość z Berlina. Od samego Führera! – Postukał fajką w dokument. – Siadaj, siadaj. Awansowano Hoessa. Jest teraz Obersturmbannführerem Hoessem! Podpułkownikiem, wyobrażasz to sobie? Ma ten sam cholerny stopień co ja! To robota Eichmanna, wspomnisz moje słowa. Absurd. Na początku był ledwo kapitanem, a teraz popatrz tylko! Ten człowiek to kombinator, jest niebezpieczny!

Rzeczywistość się zmieniła, gdy czternastego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku otworzyły się bramy Auschwitz. Wedle pierwotnych planów

obóz miał przyjąć najwyżej dziesięć tysięcy więźniów politycznych i wrogów państwa, a tymczasem regularnie mieścił ich dwukrotnie więcej, z czego ponad połowa była likwidowana w ciągu osiemnastu miesięcy. Zasada była prosta – pracowali do utraty sił, a gdy nie mogli już dłużej, likwidowano ich albo pozwalano im umrzeć z głodu i chorób. Oczywiście jeśli wcześniej nie padli ofiarą jednej z wielu codziennych „selekcji” czy „akcji”.

Hoess wprowadził coś w rodzaju systemu taśmowej selekcji ludzi, który działał tak sprawnie, że przeszedł wszelkie oczekiwania jego samego, a nawet Berlina. Było to zabójstwo na skalę przemysłową. Wychwalano geniusz Hoessa, co bardzo bolało Fischera.

Ponieważ pomysł Hoessa okazał się sukcesem, Berlin zdecydował się na wielki program rozbudowania Auschwitz. Wszystkie okoliczne podobozy, z Wiśnicą włącznie, powiększono, by mogły obsłużyć i zakwaterować coraz większą liczbę ludzi, i wydawało się, że Auschwitz stał się oczkiem w głowie Adolfa Eichmanna, którego popularność u Führera rosła błyskawicznie. O tym, co wcześniej Berlin za zamkniętymi drzwiami nazywał „ostatecznym rozwiązaniem”, teraz mówiono otwarcie i traktowano to priorytetowo. Przeprowadzano zakrojone na coraz większą skalę łapanki na Żydów i umieszczano ich w gettach całej Europy. Okupowane kraje zmuszano do wydawania obywateli pochodzenia żydowskiego. Były to dosłownie miliony ludzi, a wszyscy musieli dokądś trafić. Do miejsca, gdzie poddawano ich „przerobowi”.

To, co w pierwotnym zamyśle miało być zwykłym obozem pracy, teraz przekształcano w fabryki śmierci, do których ludzie wchodziłi z jednej strony, a wychodzili z drugiej pod postacią prochów. Ów „przerób” przynosił Rzeszy liczne dodatkowe korzyści.

Schole poprawił się na krześle, wpatrzony w twarz Fischera.

– A co będzie się działo w Wiśnicy, *mein Commandant*? Co z panem i pańskimi dotychczasowymi wspaniałymi wysiłkami? Doceniają pana w Berlinie?

– Eichmann mnie nie lubi. To powszechnie znany fakt. Zazdrości mi osobistych relacji z Führerem.

– W istocie.

– Ale Führer o mnie dba, tego możesz być pewien, Fritz. O tak! Znamy się kopę lat i myślę, że ma wobec mnie plany długoterminowe, o których nie wie nawet ten zaszary Eichmann. Wiśnica będzie się rozwijać, jesteśmy częścią wielkiego planu. W przyszłym tygodniu przylatują, jak mi zapowiedziano, inżynierowie, jak również architekt, i będziemy mieli tu nowe udogodnienia. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, uwolnimy się od tego nadętego kurdupła

Hoessa! Przystaniemy być częścią maszyny Auschwitz, trybikiem w ich przetwórczej maszynierii; będziemy działać samodzielnie!

Fischer otworzył teczkę opatrzoną dużą czerwoną pieczęcią „Ścisłe tajne”. Z fajką wciśniętą w kącik ust uroczyście wyjął pismo i rozłożył je na biurku. Na pięknie tłoczonym papierze firmowym widniał osobisty herb Führera oraz znajoma czarno-czerwona swastyka.

– Mamy znacznie zwiększyć rozmiary naszych pomieszczeń do utylizacji i podwoić pojemność krematorium! Nadal będziemy o ponad połowę mniejsi niż Auschwitz, to prawda, ale prześcigniemy Hoessa, zobaczysz. Będziemy przerabiać więcej, niż w ogóle mu się śniło, a w dodatku szybciej! – Fischer umilkł, by mieć pewność, że Schole uważnie słucha. Słuchał. Zawsze słuchał. Nie było nic bardziej inspirującego niż komendant w ferworze. Fischer cytował na głos fragmenty listu Führera.

– Mój drogi Baldricu, oczekuję kontynuacji doskonałych osiągnięć, których dostarczyłeś już Rzeszy i swojemu Führerowi, niczego więcej. – Wziął do ręki list i zaczął nim wymachiwać, wwiercając w Scholego płonące spojrzenie. – Widzisz to, Fritz? Podpisane osobiście przez Führera!

– Widzę, Baldric.

– To gigantyczne zadanie będzie wymagało doskonałej organizacji. Techniczne, ekonomiczne i administracyjne procedury, które zaczniemy wdrażać, nie mogą zostać udokumentowane. To osobiste polecenie Führera, rozumiesz. Podobnie jak specjaliści z Berlina, architekci i inżynierowie, którzy opracowują infrastrukturę „przerobu”, musimy rozwiązać kwestię zaopatrzenia i magazynowania; będziemy musieli zbudować więcej baraków i koszar. A nawet powiększyć blok administracyjny. Wszystko. To ogromne przedsięwzięcie!

– Mam porozmawiać z Hoessem w Auschwitz?

Na samą wzmiankę o swoim zaciekłym wrogu Fischer się najeżył.

– Do licha, po co?

– Cóż, on zna miejscowych przedsiębiorców. Ma kontakty logistyczne. A my dysponujemy jedynie siłą roboczą... – Schole sprytnie nawiązał kontakt wzrokowy z Fischerem, po czym dodał: – I mamy najlepszą administrację w całej sieci!

– Tak, to prawda. Niech będzie. Zgoda. Możesz porozmawiać z Hoessem, ale zachowaj dyskrecję. Nie chcę, żeby wiedział, co myślę. Rozerwij go trochę, jeśli będzie trzeba, niech poczuje się ważny. Wedle mojej wiedzy lubi hulanki. Chcę tu mieć jego najlepsze ekipy budowlane, tu, na miejscu, niech pracują dla mnie, gdy tylko architekci dostarczą projekty i plany! Osobiście będę nadzorował wszystkie prace i fachowców. Führer właśnie tego oczekuje. Powiadomiono mnie, że Herr Eichmann osobiście skontroluje prace po ich ukończeniu, więc nie życzę sobie

żadnych opóźnień czy problemów. Chcę sprawnie się z tym uporać i pokazać Hoessowi, gdzie jego miejsce!

Fischer odsunął szufladę biurka, wyjął z niej butelkę brandy oraz dwa kieliszki.

– To jest to, Fritz. Bierzemy udział w tej kampanii pełną parą. Wszyscy na tym skorzystamy, już widzę kilka awansów na horyzoncie. – Napełnił dwa kieliszki, jeden podał Scholemu.

– *Heil Hitler!* – powiedzieli jednym głosem, trącając się szkłem.

Schole wypił brandy bez grymasu. Nie należał do amatorów tego trunku, ale nie było rzeczy, której by nie zrobił dla swojego komendanta.

36

Drzwi pokoju Ani otworzyły się o dziesiątej rano i do środka wszedł swobodnie jakiś nieznajomy, człowiek, którego nigdy nie widziała, bez żadnej zapowiedzi.

– Dzień dobry – odezwał się po polsku. Wesoło zdjął czapkę i się przedstawił.
– Miło mi cię poznać. Jestem Sławek.

Ania sięgnęła po ręcznik.

– Nie bój się, panno Aniu, jestem przyjacielem – zapewnił, choć nawet nie próbował odwrócić wzroku.

– Jesteś budowlańcem? Skąd wzięłeś klucz?

– Dał mi go *Herr* Fischer, komendant. Prosił, żebym zajrzał tu dziś rano.

– Nie wiesz, że się puka? Mogłam być zajęta.

– Powiedziano mi, że w niczym nie przeszkodzę.

Fischer porozumiewawczo mrugnął okiem i trącił Sławka łokciem, wyjaśniając mu, że Ania jest równie „wyjątkowa” jak wysokogatunkowy cięty tytoń wirginijski do fajki, który Sławkowi udało się zdobyć dla komendanta dzięki kontaktom na czarnym rynku. Fischer nie miał wątpliwości, że ten potężnie zbudowany mężczyzna, dobrze znany Hoessowi i wysoko przez niego ceniony, jest człowiekiem obytym w świecie.

Sławek wetknął kaszkiet za pas, wystawił głowę na korytarz i się rozejrzał. Strażnik przy wejściu delectował się cygarem, które Sławek właśnie mu podarował. Kiedy drzwi były już zamknięte, Ania powiedziała:

– Słyszałam, jak o tobie mówili; same dobre rzeczy. Podobno możesz pomóc. Mówią, że pomagasz ludziom w obozach.

– Staram się. Przyszedłem tu pomóc i tobie. Komendant powiedział, że chcesz mieć prysznic.

Ania wskazała róg pokoju.

– Chcę mieć własną łazienkę. Jak widzisz, jest tu umywalka i toaleta, ale chcę większych wygod. Teraz za każdym razem, kiedy chcę wziąć prysznic, pilnuje mnie strażnik i mogę robić to tylko wtedy, gdy nie ma w pobliżu innych dziewcząt. Nie wolno mi się z nimi zadawać. To wszystko jest dość uciążliwe.

– Rozumiem. – Sławek zaczął notować w zeszytcie. – Prysznic łatwo zainstalować.

– Podobno nie ma rzeczy, której nie możesz zrobić – rzekła Ania z lekkim wahaniem. – Kobiety mówią o tobie jak o jakimś świętym.

Sławek się uśmiechnął. Nigdy dotąd nie nazwano go świętym; zwykle kobiety nadawały mu barwniejsze przydomki.

– Ja świętym? Słuchaj, przynoszę lekarstwa, jeśli mogę, różne drobiazgi, czasem jakiś luksus. Głównie mydło, zdarza się pasta do zębów oraz talk, jeśli uda mi się go zdobyć. Ale przede wszystkim przynoszę nadzieję. Nie każdy w Polsce chce śmierci wszystkich Żydów. Jest w tym kraju trochę porządnych ludzi. Ja handluję nadzieją.

– A więc jesteś handlarzem, tak?

– Mam koneksje. Znam ludzi... po obu stronach.

– Gdybym chciała prosić cię o przysługę, panie Budowniczy, ile by to kosztowało?

– Przede wszystkim mów mi Sławek. Wszyscy tak mówią, nawet komendant.

– Cóż, będę wyjątkiem. – Ania nie zamierzała dać się uwieść jego czarowi.

– W takim razie pozwolę ci być wyjątkiem. Jesteś o wiele piękniejsza, niż mówili, takiej piękności zdecydowanie nie można obrażać. Opowiadali mi też o twoich oczach. Niesamowite. Bardzo uwodzicielskie.

Ania nie zareagowała na pochlebstwo.

– Mógłbyś odnaleźć moją siostrę?

Wciąż tęskniła za Danutą. Im więcej mijało czasu, tym bardziej godziła się z myślą, że może Danucie nie udało się uciec tamtego pamiętnego dnia w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Ale w głębi serca nadal tliła się iskierka nadziei, i to przede wszystkim ona pozwalała jej przetrwać te koszmarnie tygodnie i miesiące więzienia i wykorzystywania seksualnego. Nigdy się nie podda.

– Powiedz mi coś więcej. Jeśli jest w obozie, znajdę ją. Jeśli nie, może to nie być takie łatwe.

Ania opowiedziała Sławkowi całą historię. Obiecał, że się postara, że oczywiście najpierw zasięgnie języka w Auschwitz, później w innych obozach,

a stamtąd wici zostaną rozesłane dalej. Wszędzie ma kontakty. Znajdzie ją, jeśli to tylko możliwe.

– A czego chcesz w charakterze zapłaty, panie Budowniczy?

– Twojej znajomości z komendantem. Jak blisko ze sobą jesteście?

– Wystarczająco blisko, dziękuję. A czasem nawet, rzekłabym, zbyt blisko.

– Wobec tego jedyne, czego chcę, to wiedzy, co się tu dzieje. Wszystkiego, co pomogłoby mi poprawić bezpieczeństwo i jakość życia w obozie.

– Niczego więcej? – Ania patrzyła na niego znacząco.

Sławek odwzajemnił spojrzenie. Olśniewająca uroda, bez dwóch zdań. Pełne piersi, wąska talia, długie, szczupłe nogi, wszystko w idealnych proporcjach. I ta twarz, te oczy! Wyglądała tak, jakby dorosła w bardzo krótkim czasie: kusząca mieszanka młodego ciała i dojrzałego umysłu. Rozkoszne połączenie. Miała delikatnie odsłonięty dekolt, wystarczająco, by zauważył zagłębienie między piersiami. Uśmiechnęła się, gdy do niej podszedł i sięgnął do ręcznika, który luźno owijał jej ciało. Ania nawet nie drgnęła, on jednak zamiast ją pieścić, podciągnął wyżej ręcznik.

– Wiesz, nie zawsze łatwo jest być świętym – rzekł z gorzkim uśmiechem.

37

Tak jak ustalono, Schole odwiedził Auschwitz i spisał się doskonale, raczył się z Hoessem wystawnym jedzeniem i trunkami, prawił mu komplementy. W tym samym czasie najbardziej zaufany współpracownik Scholego, Rolf Schroder, wizytował różne oddziały i sektory, by dowiedzieć się, jak działają na poziomie praktycznym. Schroder wziął z sobą także Brauna.

Podczas gdy Schole pił szampana i jadał w willi Hoessa kolacje z nim i jego rodziną, Schroder i Braun próbowali odkryć, co sprawia, że wszystko sprawnie funkcjonuje, przyglądali się praktycznym rozwiązaniom, analizowali słabe punkty. A co najważniejsze, badali, gdzie można by uszczknąć coś dla siebie. Rozmawiali teraz o tym w kantynie w Wiśnicy.

– Wygląda na to, że wiecznie mają problem z którymś z krematoriów, albo i kilkoma naraz. Ciągłe coś się psuje. Przypisują to sabotażowi, ale jak to możliwe? Żydzi nie mają ani środków, ani możliwości czy sprytu, by sprawić, że coś będzie wyglądało na zepsute, gdy w rzeczywistości nie zepsuło się samo, tylko ktoś umyślnie w tym pomógł – zawyrokował Schroder. – Wiesz, co myślę?

Że te awarie to dla nich zwykle wymówki. Są niewydolni. Pamiętasz piece, które oglądaliśmy? Ile w każdym z nich mieściło się jednostek, pamiętasz?

Braun pokręcił głową.

– Może dwie?

– Zgadza się. Dwie. A jest miejsce dla trzech! Gdybyśmy kazali naszym Sonderkommando równo układać jednostki zaraz po zebraniu ich z komór gazowych, moglibyśmy ładować po trzy naraz, jedna na drugiej, i przerabiać je o wiele szybciej. Co oznacza, że na dwadzieścia, które przerabiają w Auschwitz, my mielibyśmy trzydzieści! Jestem pewien, że zdołamy przerabiać ponad czterysta jednostek w ciągu dziesięciogodzinnej zmiany. Będzie to wymagać odrobiny wysiłku i pomysłowości, ale uważam, że da się zrobić.

– Pod trzecim krematorium widziałem co najmniej tysiąc oczekujących na przerobienie. I przybywały kolejne. A jutro ma ponoć przyjechać transport z Węgier, dziesięć tysięcy.

Omawiali problemy związane z nagromadzeniem jednostek czekających na przerób.

– To dla nas niezdrowe. To my musimy wdychać to cholerne powietrze – skarżyli się strażnicy w Auschwitz.

– Te świnie gorzej cuchną za życia, mówię ci!

Opowiadając o Żydach, Chart z upodobaniem używał słowa „świnie”, ponieważ tym właśnie byli: świniami. Nie szczurami, jak nazywali ich niektórzy jego koledzy. „Szczury” wymyślił minister propagandy Goebbels.

– Ci Żydzi to najzwyklejsze świnie. Nawet żrą gówno, widziałem na własne oczy. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu pod latrynami w Wiśnicy widziałem, jak jeden zjadał gówno. To świnie, wszyscy, co do sztuki! – podsumował Braun.

– Gdy zakończą się prace nad powiększeniem obozu, będziemy opanowani przez świnie. Do pięciu tysięcy w każdym transporcie, w niektóre dni więcej, tak mi powiedział Rapportführer Schole – oznajmił Schroder. – Będzie mnóstwo roboty administracyjnej. Mam nadzieję, że komendant i Schole dadzą radę.

Ale Schroder i Braun obaj wiedzieli, że sami też muszą stanąć na wysokości zadania. Skończyły się leniwe dni grania w karty i picia piwa do późna w nocy. Teraz cały czas muszą być w pogotowiu. Oczekuje się od nich wiele i może trafi im się nagroda, o ile zdołają utrzymać porządek i dyscyplinę, do tego jednak potrzebowali pomocy.

Funkcję kapo pełnili w Auschwitz mężczyźni i kobiety o przestępczym rodowodzie. Łatwo było ich wypatrzeć w każdym nowym transporcie; to ci, którzy wciąż wyglądali nie najgorzej pomimo potwornych warunków panujących w wagonach bydłych, ci, którzy stali na ciałach innych, by dosięgnąć kratki wentylacyjnych w dachu, ci, od których cała reszta odsuwała się podczas selekcji.

Schroder wyjaśnił, jak działa system.

– Kapo z Auschwitz paradują tak, jakby byli panami tego miejsca. Tym głupcom najwyraźniej się wydaje, że są niezastąpieni. Ich żalosne wysiłki mogą przedłużyć im życie, ale o ile, co? O tydzień, o dzień, o godzinę, tylko na tak długo, jak długo będą potrzebni. – Schroder się roześmiał. – Na końcu sami wylądają w piecach, bez względu na to, jak bardzo się wysilali! Niezależnie od rozwoju wydarzeń, po prostu nie można zostawić ich przy życiu!

Pochłonięci rozmowami o powiększaniu obozu łatwo zapominali o realiach toczącej się w Europie wojny. Tempo działań malało, blietzkrieg się skończył. Alianci stawiali opór dzięki zasobom i środkom dostarczanym przez Amerykanów. Jeszcze nie tak dawno temu wydawało się, że wszystko potoczy się zgodnie z planem i koniec wojny jest tylko kwestią czasu. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Może czas pomyśleć o przyszłości – przygotować sobie jakieś alibi i wymościć kilka gniazdek. Potrzeba planu na emeryturę! Schroder dopił duszkiem piwo, Braun napoczął kolejne i obaj uśmiechnęli się do siebie.

– Karl, myślisz o tym samym, co ja? – zapytał Schroder.

– *Ja.*

Jednomyślnie stuknęli się butelkami.

– Za Kanadę!

38

W ciągu pięciu minut Baldric Fischer pięciokrotnie przeczytał notatkę służbową. W końcu ją zmiął, cisnął do kubła i wrzasnął na Scholego.

– O co chodzi, *mein Commandant*, co się stało? – Po tonie głosu Fischera rozpoznał, że to nie jest właściwy moment na zwracanie się do niego po imieniu.

– Znowu ten pieprzony Hoess. Panoszy się, jakby rządził całą Polską! Berlin chce większego przerebu, Hoess wymyślił więc, że to my zajmiemy się nadwyżkami. Wie, że zwiększamy przepustowość, dlatego chce, byśmy przejęli tych nadmiarowych i odwalili za niego całą brudną robotę, zajęli się kłopotliwym przerebem, a on zbierze laury!

„Trudny przerób” zwykle oznaczał bardzo młodych albo bardzo starych. Nie żeby wstępli Żydzi powodowali dużo zamieszania – chodziło o skalę. Martwi sprawiali tyle samo kłopotów co żywi. Fischer był przekonany, że robili to celowo.

– To straszne, komendancie! – Schole natychmiast pojął, w czym rzecz. – Co możemy zrobić? Może osobiście napisać do Führera, pociągnąć za kilka sznurków?

– On jest szalenie zajęтым człowiekiem, Fritz. Obecnie sprawy się komplikują. Pieprzeni Japońce, to przez nich ta presja. Gdyby po prostu robili swoje na Pacyfiku i zostawili Pearl Harbor w spokoju, Amerykanie by się nie włączyli i napięcie nie byłoby tak duże. Teraz nasze wojska dwoją się i troją, a jednym z największych problemów jest przerób tych cholernych europejskich Żydów. Berlin chce załatwić to szybko. Przed Pearl Harbor istniała jakaś struktura, skoordynowana metoda, która działała jak w zegarku. Nie wszystko szło perfekcyjnie, ale przynajmniej było zorganizowane i toczyło się swoim torem. A teraz? Co mamy robić, skoro strumyk zamienił się w rwący potok?

– A co proponuje Berlin?

– Chcą przyspieszyć przerób we wszystkich obozach. Czytałeś statystyki z Treblinki? Zdumiewające! W zeszłym roku przerobili ponad dwieście tysięcy jednostek, a to mały obóz, jedna dwudziesta tego co Auschwitz. Połowa naszego. Musimy się dowiedzieć, jak tego dokonali. Pieprzyć Hoessa i jego plany. Nie będę robił tak, jak on, będziemy się wzorować na Treblince i w ten sposób go przechytzymy. Przejmiemy jego nadkomplety i mało tego: już wkrótce to ja będę prosił go o przysłanie nam większej liczby jednostek, bo nie wykorzystujemy w pełni naszych możliwości!

– Kopia tej korespondencji trafi oczywiście do Führera? – domyślał się Schole.

Fischer wstał zza biurka, podszedł do kominka, z podziwem przyjrzał się kolekcji fajek, po czym odwrócił się do Scholego i położył ciężką dłoń na jego ramieniu.

– W takich momentach uświadamiam sobie, jak dobrze mnie znasz, drogi Fritzu.

– Jesteś wielkim człowiekiem, *mein Commandant*, służenie tobie to zaszczyt.

Mężczyźni patrzyli na siebie przez chwilę, nie do końca wiedząc, co widzą nawzajem w swoich oczach.

Fischer pierwszy przerwał to dziwne milczenie.

– Nie mogę powierzyć tego nikomu innemu, Fritz. Po prostu nie mogę. – Westchnął i mówił dalej. – Możesz od razu udać się do Treblinki i dowiedzieć się, jak oni to, do licha, robią? Zadzwoń w kilka miejsc, zorganizuję niezbędne przepustki i polecenia. Mógłbyś wyjechać jeszcze dzisiaj?

– Oczywiście, komendancie. Dla ciebie, oczywiście! – Schole trzasnął obcasami i energicznie wyprostował ramię w hitlerowskim pozdrowieniu.

– A zaraz osobiście napiszę do Führera. Może mimo wszystko uda mi się pociągnąć za kilka sznurków, kto wie? Sądzę, że wciąż mam w tych kręgach wpływy.

I uniósł lewą brew niczym sztukmistrz, który za chwilę wyciągnie królika z kapelusza.



To, co Schole zastał w Treblince, było imponujące. Do perfekcji udoskonalono tam sztukę zabijania i utylizacji, obozem zarządzano jak fabryką. Transport przyjeżdżał do miejsca, które wyglądało jak publiczna stacja kolejowa. W istocie była to jedynie scenografia. Po tym wszystkim, co słyszeli i czego się bali, Żydzi byli zdumieni widokiem, który ukazywał się ich oczom po opuszczeniu wagonów. Co za miejsce! Tak pięknie, i Niemcy tacy mili, delikatnie pomagali na rampach osobom starszym i dzieciom, gromadzili ich na peronie. Żadnych wściekle ujadających psów, żadnych wycelowanych w nich karabinów maszynowych. Prowadzono ich przez pięknie utrzymane ogrody ze starannie przystrzyżonymi żywopłotami, grała muzyka. Na oknie każdego budynku stały skrzynki, z których wysypywały się kolorowe kwiaty. O wszystko dbała ekipa uśmiechniętych ogrodników w kombinezonach.

Następnie mówiący łagodnym głosem strażnicy prowadzili niedowierzających Żydów pod prysznic, odbierając od nich uprzednio rzeczy na przechowanie (żeby mogli ubrać się ponownie po wzięciu prysznic), cały czas zapewniając, że nie ma powodów do obaw. Żadnej paniki, żadnego strachu, wszyscy współpracowali i się uśmiechali. A gdy nieoczekiwanie zatrzaskiwały się ciężkie metalowe drzwi, rozpoczynało się uśmiercanie.

Krzyki Żydów tłumiły strategicznie ukształtowany krajobraz, jeszcze więcej głośników i jeszcze więcej muzyki. Później zwłoki grzebano w masowych grobach. Warstwa po warstwie, każde ciało obficie posypując wapnem. Teraz Schole zrozumiał, dlaczego w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy Treblinka zamawiała u nich tak wiele wapna. Nie wszystkie ciała zakopywano, było ich na to zbyt wiele, pozostałe trafiały prosto do dołów ze specjalnie skonstruowanymi rusztami. Warstwa zwłok, warstwa drewna, kolejna warstwa zwłok i kolejna warstwa drewna, i tak aż do wypełnienia dołu. Drewno także pochodziło z Wiśnicy! A potem chluzt benzyny i trupy szły z dymem! Powietrze krążące pomiędzy warstwami zapewniało ciągłe podtrzymywanie ognia przez kilka godzin – liczyły się konstrukcja i warstwowość – słowem: technika. Niestety, taką precyzyjną pracę trzeba było wykonywać ręcznie, więc kto to robił? Oczywiście kapo – zajmowali się tym sami Żydzi! Niesamowite!

Taki przerób w tak niewielkim miejscu wymagał ciężkiej pracy, ale okazywało się, że dzięki odrobinie dyscypliny i dobrej organizacji jest to możliwe. Niemiecka pomysłowość i skuteczność w najlepszym wydaniu. Statystyki wprawiały w osłupienie, a to właśnie statystyki uszczęśliwiały Berlin. Liczby były wszystkim.

Ale czy zastosowanie takich metod w Wiśnicy jest możliwe?

To przede wszystkim obóz pracy; musieli dostarczać przydzielone im limity wapna i drewna. Nowa kopalnia wapna była już w przygotowaniu, oczyszczano teren na składowanie żwiru. Miejsce wyglądało zbyt przemysłowo z tą ciężką maszyną, wiatami na sprzęt, warsztatami i robotnikami w pasiakach pracującymi, gdzie tylko spojrzeć.

Ale Schole opracował generalny plan i po swoim powrocie przedstawił go Fischerowi krok po kroku, bez pośpiechu, dokładnie.



Do tej pory, gdy do Wiśnicy przyjeżdżały transporty, proces selekcji odbywał się powoli i był mało efektywny. Wszystko rejestrowano i dokumentowano. Selekcja potrafiła ciągnąć się godzinami, a zimą stawało się to dużym obciążeniem, ponieważ ziąb wszystkim dawał się we znaki: psy były głodne i rozdrażnione, strażnicy marzli i zaczęli zachowywać się impulsywnie, zbyt chętnie łapali za broń. Cały proces okazywał się zbyt uciążliwy.

Po selekcji tych, których uznano za zdolnych do pracy, fotografowano i tatuowano, a nieprzydatnych odsyłano do baraków, gdzie oczekiwali na utylizację. Oczywiście należało wprowadzić ich dane do ewidencji, by dysponować odpowiednią informacją potrzebną do planowania „akcji” i opróżniania kilku baraków, pozbywając się jednorazowo setek jednostek.

Po latach takiej buchalterii Schole wymyślił sposób na skrócenie całego procesu. Powiedział, że wszystko odbędzie się zdecydowanie szybciej i w mniej archaiczny sposób.

– Dzieci, starcy, kaleki, czyli odpady, będą natychmiastowo kierowani do przerobu, tak jak w Treblince. Przejdą przez zielony teren przyjemną brukowaną ulicą z pergolami po obu stronach, gdzieś tam ustawimy nawet stoły piknikowe. – Schole rozłożył rysunek na biurku Fischera, wskazując różne punkty. – Jednostki poinformujemy, że znajdują się w obozie przejściowym, poprosimy o rozebranie się i wzięcie prysznic po uprzednim ogoleniu głów; pociągi są zawszawione, rozumieją więc potrzebę zapobiegania rozprzestrzenianiu się chorób. Powie się im, że po prysznicu dostaną czyste ubrania, by mogli udać się na nocny spoczynek przed kolejnym transportem następnego dnia o poranku, który

zawiezie ich do miejsca, gdzie będą pomagać Rzeszy w wysiłku wojennym, szyjąc ubrania, uprawiając żywność, wykonując tego rodzaju prace.

Rozwinął kolejny plan. To, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak duży projekt budowlany, w rzeczywistości wiązało się jedynie z postawieniem kilku prostych fasad, trochę jak w filmowej scenografii.

– Ten twój budowlaniec, wielkie chłopsko w kaszkiecie, zrobi to za rozsądną cenę. Kiedy jednostki wysiądą z pociągu, zobaczą od razu ogrodników pielęgnujących rośliny, uśmiechnięte twarze, zadowolonych ludzi z radością wykonujących swoją ciężką pracę. A co powiesz na to? Każdy transport będzie witała orkiestra!

Fischer uniósł brwi. Wszystko to z minuty na minutę brzmiało coraz bardziej absurdalnie! *Ale w sumie dlaczego nie orkiestra, burdel już przecież mamy.*

– Przechodząc sztuczną ulicą, którą nazwiemy „ścieżką do nieba”, będą widzieli zadowolonych ludzi w obozowych pasiakach, oczywiście czystych i schludnych. Niektórzy z nich będą grali w szachy, inni czytali albo malowali, coś w tym rodzaju. W końcu dotrą tutaj. – Schole stuknął w rysunek. – Do komór gazowych, które będą udawały zwykłe prysznice, umieścimy tam nawet tabliczki ostrzegające przed poparzeniem gorącą wodą. – Przerwał, by sprawdzić minę Fischera, a widząc, że wszystko w porządku, dalej roztaczał swoje wizje. –

W tym miejscu będziemy golić głowy, potem będą się rozbierać i przechodzić do komory. Każdy dostanie na wejściu przybory do mycia, których będziemy używać wielokrotnie, nikt nie zacznie niczego podejrzewać. – Fischer nie mógł się nie uśmiechnąć na tę pomysłowość. – Właściwy proces rozpocznie się tutaj. – Schole ponownie stuknął w rysunek, wskazując komory gazowe. – Widzisz te kominy, komendancie? – Fischer skinął głową. – Tak naprawdę nimi nie są. To wykonane z wytrzymałej drucianej siatki rury, które wychodzą przez dach i sięgają podłogi komór. Jest ich tak wiele dlatego, że podwoimy ilość cyklonu B. Będzie szybciej. Mam tu raport, załącznik D z działu naukowego wyszczególniający, ile potrzeba puszek na setkę przeciętnych jednostek. Jeśli zwiększymy liczbę puszek zgodnie z załączonym wyliczeniem, proporcjonalnie obniżymy czas utylizacji!

– Przyspieszymy cały proces, co? – wtrącił Fischer.

– Właśnie. Przyspieszymy znacząco, a koszt jest minimalny. Jednostki będą wyciągane z komory tymi drzwiami. – Ponownie wskazał rysunek. – Następnie przewożone wózkiem do krematorium i dalej, tam gdzie zastosujemy nowe rozwiązanie, płonące doły. Nazywają je rusztami, uważam, że dość adekwatnie – dodał Schole, z uznaniem kiwając głową.

W podsumowaniu całego przedsięwzięcia mówił o nowej jakości selekcji, łatwej i sprawnej. Jednostki będą chętniej poddawać się takim procedurom. Koniec z lamentami i rozdzielaniem rodzin.

– Za jednym zamachem przerobimy cały transport, całą błogo nieświadomą kolejkę. Zaraz po przyjeździe.

Fischer wydawał się zamyślony.

– Mówisz, że tak będzie łatwiej, Fritz, ale czy na pewno? Teraz jest ich o wiele więcej.

– Myślę, że proces selekcji powinien zostać uproszczony, należy mniej przejmować się pracą administracyjną, a skupiać na zdolności jednostki do pracy bądź jej braku. Po co ewidencjonować nazwiska, zawody, miejsca pochodzenia? To mamy już za sobą, w gruncie rzeczy wystarczy chyba krzyżyk albo ptaszek? Bułka z masłem. Wszystko będzie działać jak dobrze naoliwiona maszyna. Jak w szwajcarskim zegarku. Mogę obiecać, że od chwili wyładowania transportu cała procedura będzie trwała godzinę. Godzinę! Wystarczy ich policzyć i po ogoleniu głowy oznaczyć ptaszkiem albo krzyżykiem, oto cała filozofia. Przecież i tak w końcu wszyscy pójdą z dymem! Musimy tylko zatrzymać pewną ich liczbę do pracy w barakach. Reszta jest zbędna. Trzeba wybierać tylko najzdrowszych i najsilniejszych, nie starych, wątłych i dzieci. A co z resztą? Będziemy utylizować ich jeszcze tego samego dnia, nie tak jak w Auschwitz!

– Tego samego dnia? – Fischer po raz pierwszy wydawał się zaniepokojony. – Mówimy o ogromnych liczbach, Fritz!

– Da się to zrobić, Baldric. Zaufaj mi.

– Jak to ma działać? Nasze zasoby ludzkie będą bardzo obciążone, prawda?

– I tak, i nie, Baldric. Widzisz, nie potrzebujemy dodatkowego płatnego personelu i to jest w tym piękne. – Fischer wydawał się zdezorientowany, ale Schole kontynuował: – Podwoimy liczbę kapo i Sonderkommando, przyznając im dwa poziomy władzy. Stopień pierwszy to pracownicy ogólni, od czarnej roboty, że się tak wyrażę. Stopień drugi to ci z prawdziwą władzą. Jeśli będzie się im wydawać, że sami przeżyją, zaczną z werwą pilnować porządku. Niech myślą, że są bezpieczni; dajmy im większy dostęp do Klubu. Może trzeba będzie go powiększyć?

– Może tak, ale jak, u licha, zdołamy sobie poradzić z większą liczbą kapo?

– Zdaniem Schrodera jeden z naszych ludzi jest w stanie w takich okolicznościach zarządzać pięćdziesięcioma kapo albo Sonderkommando. Pamiętaj, to są ludzie, którym obiecano dłuższe życie. Im lepiej wywiążą się ze swoich obowiązków, tym mniej będziemy mieli problemów, a oni tym dłużej będą żyć... A przynajmniej będą tak myśleć.

– Poniekąd ma to sens, Fritz. – Fischer zaczynał przekonywać się do planu Scholego. – A jeśli nie zdołamy przerobić wszystkich w tak krótkim czasie? Co z poślizgami? Podobno opóźnienia i przestoje są nieustannym źródłem stresu dla Hoessa. – Fischer myślał, że zapędził Scholego w kozi róg. Wykształcenie

uniwersyteckie i trzy dyplomy z wyróżnieniem mogą być przydatne, ale nie są gwarancją zdrowego rozsądku.

– Myśleliśmy o przestojach. Podczas naszej wizyty w Auschwitz jeden z moich najbardziej zaufanych ludzi spędził sporo czasu przy tamtejszym krematorium. Uważa, że nie wykorzystują w pełni pieców. Na podstawie wyciągniętych przez Schrodera wniosków jestem przekonany, że możemy zwiększyć przepustowość o trzydzieści procent podczas każdej zmiany, i to bez żadnych dodatkowych kosztów!

– O trzydzieści procent, mówisz? Doskonale, Fritz. Doskonale... gdyby się udało...

– We właściwym czasie opowiem o szczegółach, ale proszę mi uwierzyć, komendancie, to da się zrobić. A teraz przejdę do kwestii korzyści.

Fischer poprawił mundur.

– Korzyści, mówisz? Uwielbiamy korzyści, prawda?

Schole najlepsze zachował na sam koniec. Schroder dostarczył informacji, Schole opracował szczegóły. Schroder i Braun poświęcili cały dzień na analizę jednego konkretnego aspektu działalności Auschwitz i obaj byli przekonani, że mogliby zrobić to lepiej, sprawniej, skuteczniej i wyciągnąć większe korzyści.

– Komendant Hoess i jego personel mają wydzielony teren, który nazywają „Kanadą”. Tam zajmują się tym, co jednostki przywożą ze sobą z gett. Walizkami, sakwami, koszami i tak dalej oraz, oczywiście, ubraniami, które mają na sobie.

– Fritz, mój drogi Fritz. My robimy to samo! To żadna nowość, odgrzewany kotlet!

– Zostawmy odgrzewany kotlet, Baldric, ponieważ mam dla ciebie w zanadru coś nowego do skosztowania!

Fischer grzebał w kieszeni w poszukiwaniu fajki, nabił ją świeżym tytoniem i zapalił.

– Twierdzisz, że istnieje lepszy sposób?

– Przepraszam, że to mówię, Baldric, ale moglibyśmy poprawić u nas pewne aspekty. – Wydaje się, że w Wiśnicy, przynajmniej zgodnie z wnioskami Schrodera, nie byliśmy wystarczająco skrupulatni, gdy przywożono więźniów. Cały proces trwał zbyt długo, co dawało im okazję do ponownego przemyślenia kryjówek. Kosztowności mogły być przekazywane z rąk do rąk, lepiej ukrywane, były okazje do wręczania łapówek.

Auschwitz funkcjonowało zupełnie inaczej i o wiele efektywniej. Mieli tam całe pomieszczenia wypełnione okularami, które naprawiali żydowscy optycy, a potem je sprzedawano, by wesprzeć finansowo działania wojenne. Wszystko wykorzystywano ponownie: ubrania, protezy kończyn, szklane gałki oczne, nawet pasy przepuklinowe! W Auschwitz golono więźniom głowy, Schole chciał golić

także ciała. Zapewniłoby to znaczący wzrost przychodów, ponieważ włosy by dezynfekowano, segregowano wedle koloru i rodzaju, a następnie tkaloby się z nich rodzaj filcu, który byłby sprzedawany marynarce wojennej na skarpety i koce dla załóg U-Bootów. Podczas rewizji znajdowano też mnóstwo gotówki, którą wywożono pod zbrojną eskortą do Banku Narodowego w Berlinie. Ale największe źródło przychodów w Wiśnicy miały zapewnić zęby Żydów.

– Zęby? – spytał z niedowierzaniem Fischer.

– Oczywiście – ciągnął Schole. – Nigdy nie widziałem tylu zębów, co tam, a niektóre z nich miały złote korony, chyba dla ozdoby.

Fischer zmarszczył czoło.

– Co za próżność. Żyją jak robactwo, a mają złote korony?

– Owszem, komendancie. Ale proszę słuchać dalej. Kiedy Sonderkommando wyciągają ich z komór gazowych, wyłamują im zęby i usuwają złote wypełnienia. Hoess ma pokój, do którego zanoszą te zęby, a żydowski złotnik przetapia kruszec na sztabki.

– I pewnie wysyłają je do Berlina razem z gotówką?

– W istocie, *mein Commandant*.

Fischer znalazł kolejny minus.

– Sztabki złota kontroluje inspektorat?

– Oczywiście. Ale czy wiadomo, ile zebrano zębów? Jeden, dwa, dziesięć, może sto z każdego transportu? Nie będą mieli pojęcia, ile było zębów, wszystko, co widzą, to sztabki, produkt końcowy! – W tym momencie Schole wydawał się bardzo przejęty, nerwowo oblizwał wargi. – Do tej pory trafiali do nas Cyganie i dysydenci, jeńcy wojenni, tak zwani intelektualisci. Cóż oni mieli do ukrycia? Ślubną obrączkę, może zegarek, kilka banknotów, trochę drobnych pieniędzy. Za to teraz będziemy przyjmować więcej Żydów, a Żydzi są bogaci, niektórzy nawet bardzo, i tak przebiegli, że przechytrzyliby lisa! Mają przy sobie pieniądze i wszelką biżuterię. Nie tylko złote zęby, choć to wisienka na torcie, specjalny dodatek, że tak powiem. Mają też szlachetne kamienie ukryte, gdzie się da! Nazywają je „bogactwem przenośnym”. Cokolwiek przyjdzie ci do głowy, oni mają to gdzieś schowane. Taka grotka Ali Baby w Auschwitz! Najważniejsze, by przekazać Berlinowi zadowalające ich ilości. Buty, ubrania, włosy, ramki na zdjęcia, zabawki i tak dalej, niech sobie to wszystko wezmą, niech sprzedadzą! Dla nas to bez znaczenia. Muszą coś widzieć, więc damy im to, czego chcą, może nawet z drobną nawiązką. Za to my zbierzemy „wisienki” i schowamy je na boku. To będzie twój fundusz emerytalny, komendancie. Powiem ci, Baldric, że jeśli naprawdę się postaramy, możesz wyjść z tej wojny jako bardzo zamożny człowiek. Bardzo zamożny.

Mózg Fischera pracował na pełnych obrotach.

– Będzie ryzyko. Kradzieże, tego rodzaju rzeczy. Musimy wprowadzić kontrolę na każdym etapie i nie ufać nikomu. Potrzeba nam niezawodnych ludzi nadzorujących cały proces.

– Mam takich dwóch – oznajmił Schole. – Będą rządili naszą Kanadą żelazną ręką! Schroder i Braun to moi najlepsi ludzie. Nie zawiodą nas. Twoja fortuna będzie bezpieczna, gdy to wszystko się skończy, Baldric. I nie martw się inspektorami obozów, mam pomysł, jak sprawić, by się nas nie czepiali. Stworzymy dwa komplety ksiąg, które będę sprawdzał osobiście.

Fischer wiedział, że może zaufać Scholemu. *Patrzcie no na niego! Jak szczenię u stóp swego pana! Schole jest szczęśliwy, jeśli może mi służyć.* Fischer nigdy nie dociekał, skąd się bierze lojalność Scholego, czasem jednak wydawało mu się, że dostrzega coś w oczach swojego asystenta... Bez wątpienia Schole będzie chciał otrzymać po wojnie nagrodę, i to całkiem słusznie. Wśród niższych rangą nie ma nikogo o bystrzejszym umyśle. Fischer zajmie się spełnieniem oczekiwań Scholego, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

– To mi się podoba, Fritz! Jedna część dla Rzeszy i jedna dla mnie!

– Nie, Baldric, jedna część dla Rzeszy, dwie dla ciebie!

39

Awans na Unterscharführera był dla Karla Brauna spełnieniem marzeń. Skąd się wziął i dlaczego – tego Braun nie rozumiał, ale wkrótce przejął rolę sierżanta i błyskawicznie się obruszał, jeśli niżsi rangą mu nie salutowali, kiedy paradował po obozie dumny jak paw. Schroder także wspiał się wyżej w hierarchii służbowej: z dnia na dzień został porucznikiem. Obersturmführer Schroder – ależ rodzice będą dumni!

Schroderowi i Braunowi zapowiedziano, że będą pracować razem dla komendanta przy bardzo ważnym nowym projekcie. Plotki w kantynie coraz częściej krążyły wokół tematu zakończenia działań wojennych i Schroder poufnie zapewnił Brauna, że mają już zabezpieczoną przyszłość, ponieważ przygotowuje plan, który uczyni ich obu bogaczami.



W kolejnych tygodniach Schole i Schroder rozpracowywali wspólnie szczegóły przedsięwzięcia, które miało nosić nazwę Kanada Dwa. Wszystko

musiało działać gładko, a hasłem przewodnim miało być bezpieczeństwo. Nikt nie wspomniał o planach tajnej emerytury komendanta, a Schroder nie zająknął się na temat swojego pomysłu dotyczącego jego samego oraz Brauna.

Personel z Auschwitz wyjaśnił, na jakie sztuczki należy mieć oko podczas rewizji: puste w środku obcasy, zwitki banknotów wszyte w lamówki na kłapach ubrań, wydrążone protezy kończyn, podszewki, podeszwy dziecięcych bucików. W charakterze skrytki używano nawet wgłębień w zausznikach okularów. Nie było też takiego otworu w ludzkim ciele, którego by nie wykorzystano. Jeśli nie znajdzie się nic przed posłaniem ich do gazu, znajdzie się później, gdy ciała zostaną wyciągnięte z komory gazowej, a wszystkie otwory rozwarł siłą. Poza tym piece krematoryjne będą skrupulatnie oczyszczane z prochów i fragmentów kości, które po ostudzeniu będą przesiewane na wypadek, gdyby ktoś połknął coś, co przetrwało w wysokiej temperaturze pieca. Byli pewni, że znajdą brylanty oraz inne kamienie szlachetne.

W Kanadzie Dwa nigdy nie narzekano na brak rąk do pracy. Zadbala o to sama ludzka natura. Mechanizmy kontroli i równowagi działały na całej linii. Motywacją dla kapo i Sonderkommando miały być talony do Klubu, a przede wszystkim szansa na przedłużenie życia. Kapo stopnia pierwszego byli wymienialni. Kapo stopnia drugiego stanowili grupę bardzo zaufanych ludzi, brutalnych, z wysokim mniemaniem o sobie. Będą pilnować bezpieczeństwa i teoretycznie mogą trwać na swoich stanowiskach wiecznie. Nie najgorsza zachęta!

Kluczem do sukcesu była dyscyplina na wszystkich poziomach, nie ma miejsca na błędy czy nieporozumienia; Braun miał tego dopilnować i zgodnie z zapowiedziami Schrodera zostać za to hojnie wynagrodzony.

Tymczasem Schole stworzy podwójne księgi rachunkowe. Jedną dla inspektoratu obozów koncentracyjnych, drugą, nielegalną, dla komendanta Fischera. Bez wiedzy Scholego Schroder założył jeszcze jeden komplet ksiąg dla siebie i Brauna. Niewidoczny trzeci. Łupy miał przechowywać Braun, ponieważ gdyby jakieś nieprawidłowości wyszły na światło dzienne, podejrzania padłyby natychmiast na Schrodera jako wyższego rangą. Najważniejsze to nie być zachłannym. Tylko jedna mała „wisienka” raz na jakiś czas. Nie za wiele, tylko tyle, żeby nikt niczego nie zauważył. Przerób będzie tak duży, że pod koniec wojny ten ich drobny kąsek może okazać się ogromny. Podział łupów po połowie ustawi ich obu na resztę życia! Jeśli inspektorzy czegoś się dopatrzą i zaczną szukać winnego, z pewnością skupią uwagę na tym mazgaju, nędznym urzędniczynie Scholem. Już Schroder o to zadba.

Mól książkowy Schroder w końcu dopiął swego. Był teraz porucznikiem, a jego przyszłość finansowa wydawała się zabezpieczona. Dwunastoletni

chłopiec, którego system katalogowania bibliotecznego był nadal w użyciu, w wieku dwudziestu sześciu lat zyskał reputację w siłach zbrojnych. I na tym nie koniec. Zapewnił też sobie nielegalną emeryturę, zdecydowanie przewyższającą każdą kwotę, którą mogłaby mu wypłacić armia. Po wojnie kupi dom i może założyć jakiś drobny interes. Zapowiada się piękne życie!

W dzień awansu Schroder kilkakrotnie próbował dodzwonić się do swoich rodziców w Berlinie, chcąc podzielić się z nimi dobrą nowiną. Linia była uszkodzona. Brytyjskie dowództwo bombowców okazało się szybsze, dotarło do jego rodziców oraz biblioteki, zanim zdążył zrobić to on.



Utworzenie Kanady Dwa nie zajęło dużo czasu. Pracowników wybrano starannie, najbardziej sumiennym obiecano nagrodę. A co z tymi, którzy spiszą się niezadowolająco? Zawsze znajdzie się wolne miejsce w komorze gazowej, bez względu na wielkość obłożenia.

Braun ustanowił w Kanadzie Dwa prostą procedurę, na wypadek gdyby natrafiono na gotówkę albo kosztowności. W pobliżu każdego stołu do sortowania umieszczono drewnianą skrzynkę z ciężką kłódką, kobiety odpowiedzialne za przeszukiwanie znajdowały się pod ciągłym nadzorem, co miało zapobiec kradzieżom z ich strony. Musiały pracować nago, tym samym okazje do ukrycia czegoś miały mocno ograniczone. Żenujące rewizje osobiste przeprowadzano często i publicznie, więc problem z uczciwością wśród pracownic praktycznie nie istniał.

Dbano o nie, podawano im dwa posiłki dziennie zamiast jednego, zapewniano wody pod dostatkiem, a w chłodne dni instalowano grzejnik, by nie traciły czucia w palcach, a ich mózgi pozostały aktywne. Pozwalano im na rozmowy i zachęcano do docenienia tego nędznego zajęcia. Zamontowano głośnik, z którego całymi dniami puszczano niemiecką muzykę, namawiając kobiety do śpiewania; Berlin krzywo patrzył na tę inicjatywę, ale w Wiśnicy zdawała się działać.

Zwłoki wyciągane z komór gazowych natychmiast drobiazgowo przeszukiwano. Makabryczna praca, ale Sonderkommando ochoczo brali ją na siebie; zajęcie budzące największe obiekcje niosło ze sobą perspektywę dłuższego życia. W Wiśnicy nie brakowało osób przekonanych o tym, że wszyscy w Sonderkommando to dewianci. I rzeczywiście, znajdowało się wśród nich więcej niż kilka osób, które z lubością przeszukiwały nagie zwłoki. Niektórzy nawet prosili o możliwość takiej pracy.

Ponieważ wszystko było już gotowe, Fischer poprosił o przekierowanie z Auschwitz dużego transportu węgierskich Żydów, by można było przetestować

nowy system. Przyjechały dwa pociągi liczące w sumie dziewięćdziesiąt wagonów – ponad sześć tysięcy Żydów. Komendant był zachwycony rezultatami. Wszystkich przerobiono w ciągu jednego dnia. Wszystkich, co do jednego! Wyprawiono huczne przyjęcie dla osób zaangażowanych w akcję, a kapo oraz członkowie Sonderkommando otrzymali talony do Klubu. By zadowolić wszystkich, specjalnie wydłużono godziny pracy Klubu. Wszystkim zainteresowanym podano alkohol, w kantynie świętowali także strażnicy, a Fischer osobiście intonował na scenie patriotyczne pieśni. Nawet kobietom pracującym w Kanadzie Dwa pozwolono na kilka butelek rozcieńczonego wodą wina stołowego i rozdano im trochę czerstwych bułek, którymi same miały się podzielić wedle własnego uznania.

Najważniejsza próba odbyła się dopiero w obecności inspektorów obozów koncentracyjnych, którzy przybyli następnego dnia z surowymi minami i notesami. Ku uciechu Fischera kilka dni później pojawili się ponownie z krzyżykami skreślonymi w każdej kratce. Schole był zachwycony zdobyczami „spod lady” dla komendanta, a Schroder i Braun patrzyli na swe osobiste tajne łupy, nie dowierzając szczęściu. Wszyscy trafili na żyłę złota, a to przecież tylko jeden transport!

40

Ogólnie rzecz biorąc, Fischer był zadowolony z pracy swojego fachowca Sławka Posłusznego. Pojawiło się parę komplikacji, kilka niefortunnych „awarii”, które spowolniły produkcję, ale uporano się z nimi szybko i bez większych opóźnień. Wydawało się, że Sławek ma głowę na karku i dobrze sobie radzi ze wszystkimi pracami z wyjątkiem prysznic w apartamencie Ani.

– W tartaku źle pocięli drewno, panie komendancie, a szkła jeszcze nie dowieźli. Rozumie pan, jest wojna. Co robić, przecież sam tego szkła nie wyprodukuję. Gdybym mógł, dla pana bym to zrobił, panie komendancie, ale nawet ja nie mam takich możliwości. Wie pan, że robotę dla pana stawiam na pierwszym miejscu, przed zleceniem dla *Herr* Hoessa w Auschwitz. Nie jest zadowolony, ale ja wiem, z kim trzymać i kto smaruje mój chleb masłem.

Fischerowi schlebiało, że przyznano mu pierwszeństwo, a jeszcze bardziej podobało mu się to, że Sławek nazwał Hoessa „panem” zamiast komendantem. Dobrze, że trafił mu się taki fachowiec, ale Fischer i tak sprawdzał każdą wykonaną pracę, żeby mieć pewność, że nie poszedł nigdzie na skróty.

Gdy w trakcie inspekcji robili obchód obozowego kompleksu, Fischer powiedział z rozbijającą szczerością:

– Słyszałem, że u strażnika z Klubu zdiagnozowano raka płuc z powodu tych cygar, które mu dajesz, i że już trzykrotnie robiłeś pomiary w apartamencie. Mam nadzieję, że nie robisz tam nic więcej, co? – Serdecznie poklepał Sławka po ramieniu, nim ruszyli na dalszy obchód.

– Wszelkie opóźnienia są spowodowane wyłącznie pogodą, komendancie – zapewnił Sławek.

– Tak – odparł Fischer. I dodał: – Rozumiem, że niskie temperatury nieco spowalniają prace, ale zawsze mogę podkręcić dla ciebie ogrzewanie... – zauważył z cierpkim uśmiechem, gdy mijali krematorium.



Sławek często kursował pomiędzy Wiśnicą a Auschwitz. Każdego dnia gdzieś wpadał, poklepywał kogoś po plecach, opowiadał pieprzny dowcip, podrzucał kilka drobiazgów dla żony czy dziewczyny, dla dzieci strażnika. Ze wszystkimi się przyjaźnił i Schole wyraził nawet zaniepokojenie, że w pewnych kręgach nadmiernie się spoufala. „Myślę, że można mu ufać”, rzekł Fischer, testując kolejną porcję wybornego tytoniu wirginijskiego, który właśnie mu dostarczono dzięki uprzejmości Sławka.

Ekipa budowlana powiększyła się ostatnio na życzenie Fischera. Komendantowi zależało, by projekt został ukończony przed czasem, dlatego ustępował i był gotów przychylić się do większości próśb Sławka, o ile widział rzeczywiste postępy. Żydowscy więźniowie harowali teraz ramię w ramię z ludźmi Sławka, którzy potajemnie uczyli ich obsługi broni, podkładania materiałów wybuchowych i podrzynania gardeł. Stukanie młotków przy wbijaniu gwoździ albo zgrzyt piły przy cięciu drewna wystarczyły do zagłuszenia towarzyszących szkoleniu hałasów.

W końcu nadszedł dzień, gdy rozbudowa Wiśnicy dobiegła końca. Przed czasem, zgodnie z życzeniem. Sławek doskonale wywiązał się z zadania, a Fischer nagroził pracujących wraz z jego ekipą więźniów dodatkową porcją zupy, w której pływały nawet kawałki jakiegoś mięsa – po raz pierwszy! Ponieważ czas miał teraz dla Fischera zasadnicze znaczenie, natychmiast powierzył Scholemowi misję przekierowania transportów z Węgier. Chełpił się też przed Berlinem, że jego obóz jest gotowy na wszystko, co tylko zechcą mu zlecić. Właśnie w tym gorączkowym czasie, o czym wiedzieli nieliczni, Sławek w końcu wyznaczył datę powstania w Wiśnicy i Auschwitz – miało wybuchnąć siódmego października tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.



Sławek rzadko wspominał przy Natalce o „dziewczynie z Wiśnicy”. Gdyby złapało ją kiedyś Gestapo, lepiej, żeby wiedziała jak najmniej. Jego informatorka zajmowała uprzywilejowaną pozycję, a przekazując mu wieści, podejmowała ogromne ryzyko, stanowczo zamierzał więc zachować jej imię w tajemnicy.

Upłynęło już trochę czasu, odkąd Sławek rozesłał wśród swoich niemieckich kontaktów wici w sprawie siostry Ani. Z całą pewnością nie było jej teraz w żadnym z lokalnych obozów i prawdopodobnie nigdy do nich nie trafiła. Danuta to bardzo popularne imię – w tym problem. W końcu sam osobiście znał kilka Danut, jedna działała nawet w jego grupie! „Widzisz, jakie twoja siostra ma popularne imię”, powiedział do Ani. Niemniej obiecał, że nigdy nie ustanie w wysiłkach i właśnie nawiązuje znajomość z pracownikiem berlińskiego Wydziału Ewidencji, gdzie są przechowywane miliony kartotek szczegółowo rejestrujących wszelkie ruchy ludności na terenie Europy. Był przekonany, że już niedługo kartoteki zostaną przeszukane i jeśli uda się znaleźć siostrę Ani, to właśnie dzięki tej nowej berlińskiej znajomości.



Sławek zwołał zebranie u siebie w mieszkaniu, żeby omówić ściśle tajne wiadomości, które otrzymał właśnie od swojej informatorki.

Grabowski z Wisławą, Danuta, Józef, Eddie, dwóch Jurków i Natalka zebrali się na tyłach kwiaciarni.

– Będzie drobna zmiana taktyki dla naszej grupki. Krótkotrwała i o ogromnym znaczeniu. – Tego wieczoru nie było wódki, tylko mocna czarna kawa. – Od dawna nie zrobiliśmy niczego, co by bezpośrednio pokrzyżowało Niemcom plany, ale dostałem pewne informacje, które przekazałem Warszawie, i Stefan zgadza się, że głupio byłoby nie wykorzystać ich na naszą korzyść.

Sławek mówił o małym konwoju, który ma wkrótce wyjechać z Berlina. Cel podróży? Wiśnica. Będzie się składał z tylko trzech pojazdów oraz jednego członka eskorty motocyklowej. Wystarczy, by inni użytkownicy drogi ustąpili mu miejsca, ale nie będzie na tyle duży, by wzbudzać zainteresowanie. Na czele ma jechać opancerzony wóz do zadań wywiadowczych z dwoma esesmanami; nic w tym niezwykłego. Na końcu okryta brezentem ciężarówka z kilkoma esesmanami w środku. I znów: standardowa procedura dla małego konwoju. Ich interesuje środkowy samochód.

– A to dlaczego? – zapytał Józef, przewracając oczami na ten przydługi wstęp. Jakże nienawidził całego teatru, który towarzyszył ogłoszeniom Sławka. *No dalej, Sławek, mówże!*

– Prócz starannie wybranego kierowcy oraz jednego uzbrojonego strażnika na przednim siedzeniu będzie nim jechał także osobisty sekretarz i nie kto inny, jak sam szef wszystkich obozów koncentracyjnych w Europie, Obersturmbannführer Adolf Eichmann. – Ten komunikat powitała głucha cisza, do wszystkich dotarł bowiem ogrom otwierających się możliwości. – To nie wszystko, przyjaciele. Szef Gestapo i SS, szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa, Obergruppenführer Reinhard Heydrich, także będzie w tym samochodzie! Hitler nazywa Heydricha „Żelaznym Sercem”, ale uwierzcie mi, w innych miejscach ma on mniej sympatyczne przezwiska.

Grabowski gwizdnął, Wisława klasnęła w dłonie, dwaj Jurkowie spojrzeli na siebie nieco oszołomieni. Sławek kontynuował, wodząc wzrokiem od twarzy do twarzy, aż wreszcie jego spojrzenie spoczęło na Józefie.

– Przyjeżdżają skontrolować nową infrastrukturę w Wiśnicy.

– Dlaczego nie lecą samolotem? – zainteresował się Józef.

– W pobliżu Wiśnicy nie ma lądowiska, zresztą obaj boją się latać – wyjaśnił spokojnie Sławek.

– A pociąg?

– Eichmann nie czuje się bezpiecznie w pociągu, uważa, że jest tam bezbronny. Nasza ostatnia akcja, nieudane wykolejenie pociągu? Zdaje się, że jednak nie była takim kompletnym fiaskiem, co? – Sławek odczekał, aż ucichną śmiechy, i mówił dalej. O aktualnych działaniach, gromadzeniu broni w obozach, gotowości do powstania. Wizyta Eichmanna i Heydricha stwarzała niepowtarzalną okazję, która może wpłynąć na cały przebieg wojny. – To nasza szansa na wzmocnienie Polski, przywrócenia narodowej dumy. Gdyby się nam powiodło, cóż... chyba wszyscy rozumiecie, jak ogromną miałoby to wagę.

– A jeśli to pułapka? Jeśli ta twoja dziewczyna, ta informatorka, celowo przekazuje ci fałszywe informacje? To wszystko wydaje się zbyt łatwe – stwierdził Józef.

Sławek nie bez powodu rozmawiał ostatnio z Grabowskim na temat sceptycyzmu Józefa. Taka postawa podważała jego autorytet. Grabowski odparł: „Jest moim bratem. Znam go jak własną kieszeń. Jest w porządku, zaufaj mi. Tylko trochę narwany i lubi czuć się ważny”.

Sławek odpowiedział Józefowi:

– Wierzę tej kobiecie. Jest młodziutka, wystraszona i chce tak samo dać Niemcom popalić jak my.

– Skąd o tym wie, skąd zna szczegóły?

– Jest dziwką komendanta. On trzyma ją pod kluczem i odwiedza kilka razy w tygodniu. Takie „łóżkowe zwierzenia”, tak to się chyba nazywa. – Uśmiechnął się do Natalki. – Słuchajcie – powiedział żarliwie – musi się nam udać. To jak dotąd nasza najbardziej niebezpieczna misja, nie wolno nam o tym zapominać. Mamy okazję wpłynąć na losy wojny w Europie, likwidując jednocześnie dwóch najwyższych rangą oficerów naczelnego dowództwa Niemiec.

– A jeśli się nie uda? Jakie będą konsekwencje? – zapytał jeden z Jurków.

Sławek podniósł wzrok. Jego oczy mówiły wiele.

– Myślę, że wiecie to wszyscy... nie wolno nam nawalić.

41

Fischer wydawał się niespokojny.

– Obersturmbannführer Eichmann i Obergruppenführer Heydrich mają przyjechać jutro po południu. Zwiedzą obóz, obejrzą wszystkie nowe obiekty. Chcę pokazać im absolutnie wszystko, a potem podejmę ich kolacją. Musimy omówić menu: najlepsze wina i potrawy, tylko z najwyższej półki, rozumiesz, Fritz?

– Oczywiście, komendancie.

– Nie muszę ci tłumaczyć, jak ważna jest to wizyta. Podczas rozmowy telefonicznej w zeszłym tygodniu sam Führer powiedział, że jeśli raport Obersturmbannführera Eichmanna go zadowoli, być może odwiedzi nas tu osobiście.

– Oczywiście. Rozumiem. – Scholemu zależało na wywarciu dobrego wrażenia. Chciał podzielić się pewną uwagą, gdy nagle do gabinetu weszła niezapowiedziana Tina.

– A, to ty, moja droga, jesteś gotowa na ten wielki dzień? – zapytał ją Fischer. Potwierdziła, że jak najbardziej. Firma gastronomiczna jest w gotowości, czeka na zatwierdzenie menu. Pytają, czy któryś z gości jest wegetarianinem tak jak Führer. – A, właśnie, karta dań. – Fischer wyjął jadłospis ze stosu papierów na biurku, zakreślił kilka okienek. – To, to i to. A potem to. Co myślisz, moja droga?

– Uważam, że jesteś wspaniałą, gdy podejmujesz decyzje, mój drogi Baldy. Emanujesz taką siłą!

Schole postanowił wycofać się z gabinetu, gdy Tina usiadła Fischerowi na kolanach, dbając o to, by spódnica podniosła się wystarczająco wysoko i odsłoniła górę pończochy. Baldy zdawał się ostatnio tracić nią zainteresowanie

i Tina czuła się niepewnie. Miał mniejsze wymagania w sypialni, co ją martwiło. Może był rozkojarzony, w końcu wysocy rangą dygnitarze nie na co dzień zapuszczają się w rejony tak odległe od stolicy.



Mrok niczym koc otulił Sławka i jego grupę przy wąskiej drodze wijącej się z Auschwitz w stronę Wiśnicy. Noc była bezksiężycowa, dokładnie tak, jak Sławek zapowiadał.

Dotarli tam pieszo, przez pola, nadchodzili pojedynczo z różnych kierunków, w chłopskich ubraniach, niosąc motyki, grabie i inne narzędzia. Sławek i Wiśława ciągnęli wózek z sianem, pod którym ukryto kilka karabinów maszynowych, strzelb i granatów. Zanosilo się na długą noc i na szczęście nie padało. Gdy zapadł zmierzch, ich sylwetki wtopiły się w otoczenie.

Podobnie jak wszystkie misje Sławka i ta została zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach. Tydzień przed spodziewanym przejazdem konwoju przećwiczyli akcję. Zajęli pozycje w przewidzianym miejscu ataku, sporządzili notatki, narysowali mapy, uzgodnili sygnały i nawoływania. Warszawa przeanalizowała plan i dała zielone światło. Znajdowali się teraz na wyznaczonych pozycjach, drzemiąc pod osłoną żywopłotów, by mieć pewność, że będą gotowi na czas. Nie mogli popełnić żadnego błędu. Nie może być tak jak wtedy, kiedy wysadzili tory kolejowe, ale nie trafili w pociąg, ponieważ opóźnił się o kilka minut. W tej akcji nic nie może pójść źle.

Tuż po wschodzie słońca obudził ich warkot kilku motocykli robiących rozpoznanie na wąskich szosach, zatrzymujących się raz po raz, by skontrolować to i owo, i znów oddalających się w pośpiechu. Motocykl z przyczepą zatrzymał się w niewielkiej odległości od kryjówki Sławka. Żołnierz z przyczepy rozluźnił się, zamontowany przed nim karabin maszynowy wysunął mu się z rąk i przekręcił w bok. Niemiec prześliznął się wzrokiem po żywopłotach i drzewach, wyraźnie znudzony rozejrzał się po krajobrazie, w tym czasie jego kolega opróżniał pęcherz pod krzakiem, zaledwie kilka metrów od Sławka. Wkrótce ruszyli w dalszą drogę.

Po upływie mniej więcej trzydziestu minut motocykle powróciły. Tym razem było ich sześć. Tak jakby sprawdzili całą trasę, a teraz wracali do punktu wyjścia, usatysfakcjonowani, że wszystko jest w porządku. Nawet przypadkowi obserwatorzy domyśliliby się, że coś się święci.

Gdy tylko Niemcy zniknęli, seria umówionych wcześniej sygnałów od Sławka potwierdziła, że wszystko idzie dobrze. Słońce postanowiło wyrzeć zza horyzontu i rozproszyć resztki mgły na odległych pastwiskach, delikatny ciepły wiatr poruszał okoliczne trawy. Zanosilo się na piękny dzień, zwiastowany

śpiewem ptaków i bzyczeniem owadów wokół drzew i żywopłotów. Z zarośli wychynął mały szarak, obracał uszami i poruszał nosem, zajadając bujną trawę nieopodal stóp Wisławy.

Choć już dość długo tkwili na swoich stanowiskach, cała ekipa zachowywała najwyższą czujność. Nikt nie odzywał się słowem, nawet ci znajdujący się najbliżej siebie nie pozwalali sobie na szept. Dozwolony był jedynie sporadyczny sygnał, gwizd albo pohukiwanie. Sławek nigdy nie widział w swoich ludziach takiego zdyscyplinowania i determinacji. Czas płynął powoli, ale wszystkie pary oczu i uszu skupiły się na wychwytywaniu wszelkich nietypowych ruchów albo odgłosów.

Dokładnie o dziewiątej wszyscy zobaczyli, jak Sławek unosi palec wskazujący prawej dłoni, potwierdzając, że została już tylko godzina. Nagle zniknął im z widoku, a potem wyrastał znienacka przy każdym po kolei, kładąc im dłoń na ramieniu albo kiwając głową, milcząco życząc powodzenia. Przemykał jak lis, nikt nie słyszał, jak nadchodzi ani jak się oddala.

Dziewiąta trzydzieści. Ręka Sławka znów się podniosła i powoli przecięła powietrze. Konwój znajdował się pół godziny drogi od nich. Podczas ostatniego zwiadu Sławek upewnił się z zadowoleniem, że wszystko gra. Powietrze było rześkie i nieruchome, sceneria piękna, ale atmosfera napięta.

Na zewnątrz Sławek był jak opoka, tchnął niezmaconym spokojem, jak tafla wody w stawie w bezwietrzny letni dzień. Z samego rana zauważył, że pocą mu się dłonie, a teraz wiele by dał za cygaro, które schował za pazuchą. Zapali sobie później, a jakże.

Kwadrans przed dziesiątą. Ramię Sławka znów poszło w górę, dłoń zwinęła się w pięść. Po chwili opadło. Pozostało piętnaście minut. Czas sprawdzić broń. W zaroślach rozległo się kilka metalicznych trzasków. Zając przerwał posiłek, podniósł głowę, strzygąc uszami, węsząc, mrugając. Wystarczył głuchy odgłos ładowania magazynku, by zwierzę czmychnęło. Na pobliskim pastwisku zaryczała krowa, kilka wron zakrakało ze swoich obserwatoriów na wierzchołkach drzew. A potem znów zapadła cisza.

Podczas oczekiwania wszyscy powtarzali sobie w myślach plan. Każdy z nich musiał mieć jasność co do swojej roli – gdzie ma być, kiedy powinien się tam znaleźć i co robić, gdy nadejdzie czas. Nic nie pozostawiono przypadkowi. Tuż przed dziesiątą zaczęły drzeć im dłonie, puls przyspieszył, oczy gwałtownie mrugały, palce nerwowo postukiwały w spusty.

Dokładnie o dziesiątej dał się słyszeć odbijający się od listowia warkot i szum kilku silników gdzieś niedaleko. Odgłosom wtórowało pokaskiwanie kilku motocykli. Sławek z przyłożoną do oczu lornetką wyciągnął prawe ramię w górę i rozpostarł palce, informując o liczbie pojazdów. Sygnałem lewej ręki

potwierdził, ile motocykli eskortuje samochody, nie uzgodnił jednak, jak zasygnalizować fakt, że ciężarówkę z plandeką zastąpiono drugim opancerzonym wozem patrolowym zamykającym konwój. To go zastanowiło, po chwili jednak odrzucił kielkującą myśl – jeśli już, to znak, jak ważne są osoby w konwoju. Nie ma powodu do zmartwień.

Dwa wieczory wcześniej Sławek ogłosił, kto weźmie udział w akcji. Była wysoce ryzykowna, wiązała się z atakiem na pierwszej linii, który dawał im tylko jedną szansę. Danuta i Natalka miały czekać w kwiaciarni i mieszkaniu. Wisława jako jedyna kobieta z grupy uczestniczyła w zasadzce. Była zaprawiona w walce na pierwszej linii i mogła działać u boku mężczyzn niemal z zawiązanymi oczami, natomiast zabieranie Danuty i Natalki wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Danuta nie miała absolutnie żadnego doświadczenia bojowego, a Natalka była dla Sławka zbyt cennym skarbem, by narażać ją na tak wielkie niebezpieczeństwo. Jedyne akcje, jakie dotąd widziała, to te w sypialni, i Sławek absolutnie nie zamierzał igrać z losem.

Natalka mocno nalegała na włączenie jej do misji, po godzinnej argumentacji nadal się upierała, lecz Sławek pozostał niewzruszony i w rezultacie tamtego wieczoru samotnie udał się do sypialni.

Powodzenie tej misji było kluczowe, jeśli chciał, by wierchuszka Armii Krajowej poważnie go traktowała. Tworzyły się w niej frakcje, niektóre z nich zdradzały pewien antysemityzm, co mocno go niepokoiło. Walczyli o wolną Polskę, ale „bez Żydów”? Podczas ostatniego zebrania strategicznego doszło nieomal do rękoczynów między nim a jakimś młodszym funkcjonariuszem, który użył określenia „brudni Żydzi”.

Interweniował sam Stefan Rowecki, w akcie solidarności stanął na głowie, by w kolejnym wydaniu podziemnej gazety „Biuletyn Informacyjny” pojawił się nagłówek *Pomóżmy ukrywającym się Żydom*. Mimo to Sławek wciąż słyszał pomruki niezadowolenia ze strony przywódców niektórych sekcji. Wiedział, że być może będzie zmuszony pójść własną drogą, jeśli chce mieć choćby najmniejszą szansę pomagania swoim rodakom – polskim Żydom. „Właśnie tak, głupcy, oni są przede wszystkim Polakami, takimi samymi jak my!” Jego wybuch gniewu zamknął im usta, ale na jak długo?

Przed wyruszeniem grupy na akcję Natalka zadbała o to, by jej mężczyzna wyszedł z uśmiechem na ustach. Przeprosiła go za dąsy, powiedziała, że rozumie, dlaczego odmówił zgody na jej udział, a potem zapewniła go o swojej głębokiej miłości. Było to czułe pożegnanie.

Następnie wydano instrukcje, Danucie kazano czekać z Natalką do zakończenia akcji, a gdy wszyscy cali i zdrowi wrócą do kwiaciarni, przegrupują się po obiedzie. Uzgodniono sygnały, wyregulowano zegarki, wypowiedziano słowa

pożegnania. Tym razem zabrakło uśmiechów, zegnano się uniesionymi, zaciśniętymi pięściami i zdeterminowanymi minami.

W dniu akcji o dziewiątej rano niespokojna Natalka przygotowywała w kuchni na powrót Sławka gołąbki, jego ulubione danie. Danuta postanowiła przejść się na targ kwiatowy dla zabicia czasu. Obie słyszały, jak dzwon wieży ratuszowej wybił dziesiątą, każda z nich przerwała swoje zajęcia, spojrzała w niebo i odmówiła milczącą modlitwę.



Nagle z za zakrętu wyskoczyły dwa reflektory, jadący na czele transporter opancerzony ostrzegał wszystkich nadjeżdżających z przeciwnego kierunku, że należy ustąpić drogi i przepuścić konwój. Po chwili było już widać wszystkie pojazdy wijące się na zakrętach pośród odległych żywopłotów niczym mechaniczna jaszczurka.

Gdy dwa motocykle eskorty oraz pierwszy samochód minęły pozycję Sławka, jego oczom ukazał się mercedes wiozący oficjeli. Sławek natychmiast wyszedł z ukrycia. Wyłonił się z za drzewa, szeroko rozstawił nogi, podniósł wysoko głowę i otworzył ogień z karabinu maszynowego. Bezwzględny grad kul zatrzymał mercedesa, reszta grupy opuściła kryjówki i zaatakowała pozostałe pojazdy z obu stron drogi.

Sławek zabił kierowcę mercedesa pierwszą serią. Poszatkowała pojazd od maski po tył, siedzący w środku ludzie tańczyli na swoich miejscach niczym marionetki w jakimś opętańczym przedstawieniu na jarmarku, kule rozrywały ich ciała i siedzenia pojazdu, ręce i nogi fruwały w powietrzu wraz z kawałkami tapicerki. Krew rozprysnęła się po całym wnętrzu, wszystkie okna zostały roztrzaskane.

Eddie, Grabowski, Wisława oraz dwóch Jurków natychmiast otworzyli ogień, ale ręczne granaty, które miały unieruchomić pierwszy samochód oraz motocykle, w ogóle się nie pojawiły. Nigdzie nie było widać Józefa, któremu powierzono zadanie wturlania dwóch granatów pod transporter opancerzony, gdy zrówna się z jego kryjówką. Silnik transportera głośno zawył, pojazd gwałtownie się odwrócił, boczne drzwi otworzyły się z trzaskiem. Ogromny montowany na statywie karabin maszynowy wypuścił ponad pięćset naboju, gradem kul kładąc trupem Sławka oraz wszystkich dywersantów pośród krzyków i dymu. W niespełna półtorej minuty sześcioro z siedmiorga polskich działaczy zbrojnego podziemia legło martwych.

Terkot broni maszynowej ucichł równie nagle, jak się zaczął. Zapadła cisza, wiejski krajobraz wstrzymał oddech. Po chwili z wierzchołka pobliskiego drzewa

zakrakała wrona, żałobnie i posepnie, zarośla znów ożyły. Rozbrzęczały się owady, rozświergotały ptaki, wszystkie stworzenia powróciły do swoich zajęć. Dym z karabinów maszynowych powoli się rozpraszał.

Otworzyły się tylne drzwi transportera opancerzonego, na świeże powietrze poranka wysiadł uśmiechnięty oficer Gestapo. Obszedł jatkę, obejrzał mercedesa, kierowcę i pasażerów leżących bezładnie w chaotycznych pozycjach, obficie krwawiących, bez jakichkolwiek oznak życia. Szofera, sekretarza oraz wziętego na przynętę strażnika uprzejmię dostarczył Obersturmbannführer Fischer, przyodziewając ich na tę okazję w niemieckie mundury, ale fakt, że byli to Żydzi, miał pozostać ściśle strzeżoną tajemnicą. Manekiny zajmujące dwa pozostałe miejsca w mercedesie były ubrane w kopie mundurów Obergruppenführera Reinharda Heydricha i Obersturmbannführera Adolfa Eichmanna.



Obersturmbannführer Fischer, Cycata Tina oraz Rapportführer Schole stali na ukończonym w pośpiechu lądowisku w pobliżu głównej bramy Wiśnicy. Usunięto trawę, odsłaniając warstwę żwiru wyrównanego i ubitego na tyle, by mógł tam wylądować lekki samolot. Tuż po zakończeniu tej operacji miała tam powstać żwirownia z prawdziwego zdarzenia – przywieziono już wyposażenie czekające w niedawno wybudowanym hangarze po zachodniej stronie obozu.

Tina starała się zapanować nad spódnicą, którą unosił podmuch powietrza ze śmigła fieselera, tak zwanego Bociana, grożąc odsłonięciem większej partii uda, niż chciałaby pokazać. Adolf Eichmann był doprawdy niezwykle wpływowym człowiekiem o niemałej władzy. Gdy Tina zasiądzie obok niego przy kolacji, dopilnuje, by zobaczył jej nogi w pełnej krasie, na razie jednak pożądana była skromność.

W oczekiwaniu na otwarcie drzwi samolotu Schole dyskretnie poprawił Żelazny Krzyż na piersi Fischera. Wcześniej Fischer powiedział, że jest to dla niego z pewnością początek nowej ery; kroi się dla niego awans i obiecał, że zabierze ze sobą Scholego na ten wyższy urząd. Schole nie posiadał się ze szczęścia.

Kilka minut później Fischer zakasłał w rękawiczkę, dokonał ostatnich poprawek umundurowania, po czym stanął na baczność. Miał idealne wycucie czasu, ponieważ w tym samym momencie otworzyły się drzwi samolotu, a na stopniach stanęli Obersturmbannführer Eichmann oraz Obergruppenführer Heydrich. Powitała ich plejada uśmiechniętych olśniewająco się prezentujących oficjeli, a mała orkiestra dęta zagrała *Lili Marleen*.

42

1943

Początek tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku nie mógłby być lepszy dla Fischera. Nie dość, że zlikwidował sześciu członków polskiego podziemia, jednocześnie zapewniając bezpieczeństwo Eichmannowi i Heydrichowi, to poczynił również zdumiewające postępy w Wiśnicy. Jego statystyki dalece przewyższały te z Auschwitz. Pomimo ogromnej liczby personelu Hoess nie był w stanie zbliżyć się do wyników Fischera i o ile zwiększona liczba transportów z Europy nie przysparzała Fischerowi żadnych większych problemów, o tyle Hoess powoli tonął pod ich ciężarem. Mistrzowski plan Scholega nie mógłby lepiej wypalić.

Było jednak coś, co nie dawało Fischerowi spokoju, dręczyło go jak bolący ząb. Kto dał cynk polskiemu podziemiu o wizycie Eichmanna i Heydricha? Ktoś z jego zespołu, tego był pewien, tylko kto? Zaledwie garstka wiedziała o tej wizytacji, ale była przecież służba, pokojówki, kucharze, więźniowie, którzy myli okna i kosili trawę. Każdy z nich mógł podsłuchać rozmowę. Trudno to ustalić czy też zdecydować się na środek zapobiegawczy w postaci wysłania wszystkich członków personelu domowego do gazu i zwerbowania nowych. Zamiast tego posłał kilka oddziałów SS do małej wioski o nazwie Ciegłobin, wybranej na chybił trafił z wiszącej na ścianie gabinetu mapy.

Wymordowali wszystkich stu pięćdziesięciu sześciu mieszkańców: kobiety, dzieci, niemowlęta w ramionach matek i starców. Potem wjechały tam czołgi i zrównały z ziemią wszystkie zabudowania, żołnierze zatarli na koniec wszelkie ślady. Przed zmrokiem jedynym dowodem na istnienie Ciegłobina była nazwa na mapie.

Sukces konwoju z manekinami oraz odwet na miejscowej ludności ponownie tchnął dumę w ludzi Fischera. Prócz udaremnienia poważnej próby zamachu na dwóch spośród najwyższych funkcjonariuszy Hitlera, trafiła się też premia pod postacią brytyjskiego lotnika ukrywającego się w podziemiach kościoła w Ciegłobinie. Został poważnie ranny, prawdopodobnie w wyniku zestrzelenia jego samolotu, więc na miejscu dokonali egzekucji lotnika oraz księdza – powiesili ich obu na krokwiach nad chrzcielnicą; był to wspaniały widok, zdaniem wszystkich obecnych. Później przystąpili do zniszczenia kościoła, najpierw przy użyciu miotaczy ognia, a kilka godzin później dwóch czołgów, które zamieniły budynek w stertę zwęglonego drewna i kamienia.

Fischer sądził, że kiedy raporty o jego sukcesach dotrą do Berlina, wszyscy w głównym sztabie będą znali jego nazwisko. Czy wiedzieli, kim jest Hoess? Wątpił, czy kogokolwiek by to teraz obchodziło.

Pierwsze rysy zaczęły pojawiać się w Wiśnicy w połowie roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego. Liczba nieprzerobionych zwłok piętrzących się przy krematorium zdawała się rosnać; plan Scholego, by do każdego pieca wkładać trzy ciała zamiast dwóch, jak zalecał Berlin, nie działał jak należy, ponieważ proces spalania zajmował zdecydowanie zbyt dużo czasu. Początkowo udawało się przerobić czterysta ciał dziennie, ale z jakiegoś powodu nie zdołali utrzymać tego tempa. Doły z rusztami i masowe groby już od dawna były wypełnione po brzegi, zaczęły plenić się szczury. Ostatnią rzeczą, jakiej Fischer potrzebował, były zakażenia tyfusem albo innymi żydowskimi chorobami.

Co prawda Schole pracował niezmordowanie dzień i noc nad znalezieniem rozwiązań tak licznych problemów, ale Fischer miał też inne sprawy na głowie – lęki Tiny. Zrobiła się jeszcze bardziej przymilna, gdy podsłuchiwała Heydricha mówiącego o „rychłym końcu”. Domagała się większej uwagi, niż Fischer mógł jej poświęcić, a nocami leżała obok niego, biadoląc: „Mój kochany Baldy, będziesz nadal mnie pragnął, kiedy się to skończy, prawda?”

Ania także zaczęła narzekać; najwyraźniej czuła się samotna! Miała muzykę, czyste ręczniki, dobre jedzenie, odwiedzał ją sam komendant, czegóż więcej mogła pragnąć kobieta? Schole zasugerował, żeby dać jej odrobinę wolności, może dwa dni w tygodniu, pozwolić na kontakt z ludźmi. Niemal wszystkie kobiety z początków funkcjonowania przybytku zostały zastąpione innymi, w Klubie pracowało teraz pięć Żydówek posługujących się fałszywymi dokumentami sprokurowanymi przez Scholego. Chodziło o zwykłe względy praktyczne: sprostać zapotrzebowaniu, wykorzystując najlepszy dostępny towar. Inspektorzy obozowi byli nieświadomi żydowskiego pochodzenia dziewcząt, więc co za różnica?

Ania zaprzyjaźniła się z jedną z nowych kobiet, Zofią z Budapesztu, na której ramieniu mogła się wypłakać, opowiadając o ukochanej siostrze Danucie. Po śmierci Sławka odnalezienie jej wydawało się niemożliwe i Ania cierpiała z powodu tej „niepewności”.

Ania i Zofia korzystały z każdej okazji do rozprostowania nóg, spacerowały po obozie, rozmawiając, głośno marząc, a czasem nawet się śmiejąc, choć przyznawały, że im wstyd, że są jeszcze zdolne do uśmiechu, gdy wokół tyle nieszczęścia.

Wysokie ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym oddzielało sektor administracyjny od obozów dla kobiet i mężczyzn. Było pod napięciem i czasem zdesperowani więźniowie rzucali się na nie, by położyć kres cierpieniu

i koszmarowi ich życia. Ciała często tam pozostawiano, by ich widok działał odstraszająco na pozostałych, choć większość ludzi w pasiakach nie zauważała już ani zwłok, ani nawet latem nie czuła długo utrzymującego się fetoru rozkładu. Swobodne przechadzki po obozie dawały Ani i Zofii poczucie wolności, którego od dawna nie zaznały. Gdy zamykały oczy, wyobrażały sobie, że są na bulwarze w Warszawie albo Budapeszcie, oglądają wystawy sklepowe albo gawędzą przy kawie i ciastku w ogródku modnej kawiarni. Lecz rzeczywistość potrafiła szybko sprowadzić je na ziemię, a gdy pewnego popołudnia obserwowały ptaka, który nerwowo przeskakiwał z dachu na dach w poszukiwaniu schronienia, zauważyły, że nigdzie nie przysiadł na dłużej. Nawet dzika przyroda wyczuwała plugawość Wiśnicy.

Wszędzie roilo się od ludzi w pasiakach, którzy albo byli pędzeni przez Niemców z jednego miejsca pracy na drugie, albo stali oszołomieni w grupkach. Patrząc na nich, Ania słyszała ich niemy krzyk. Wychudzone, wycieńczone chorobą ciała były pokryte strupami i nosiły ślady brutalności esesmanów: zniekształcone od bicia nosy, braki w uzębieniu, rozcięte wargi, opuchnięte oczy, ropiejące rany. Bardziej przypominali cienie niż ludzkie istoty, a kiedy mówili, to z wielkim wysiłkiem i determinacją, walcząc o każdy łyk powietrza w płucach. Śmierć naznaczyła ich już swoim piętnem, teraz zdawali się tylko czekać, aż ich zagarnie.

Im głębiej Ania i Zofia się zapuszczały, tym gorzej wyglądali ludzie w pasiakach. Oddalając się od bloku administracyjnego w stronę strefy dla mężczyzn, często widywały otępiałych ludzi snujących się z pustymi miskami w nadziei, że ktoś coś do nich włoży – cokolwiek, może źdźbło trawy, jakiegoś owada, nie miało to większego znaczenia. Ci więźniowie byli już tylko wyniszczonymi, pustymi skorupami.

Jeszcze dalej odkryły stopy ciał. Niektóre ułożone starannie, jedno na drugim, inne bez ładu i składu. Porzucone przez kapo, czekające na zabranie, leżały w beładnych stertach, z których tu i ówdzie wystawały nogi i ramiona, niczym patyki z ogniska. W tym sektorze więźniowie nie podlegali już obowiązkowi stawiania się na apelach i zbiórkach. Niemcy pozostawiali ich na śmierć we własnym brudzie. Tak było łatwiej, ponieważ znajdowało się ich tam tak wielu. Tak wielu...

Karl Braun żwawo maszerował w stronę krematorium – sadył wielkie, gniewne kroki – a każdy, kto akurat stanął na jego drodze, był powalany mocnym ciosem na ziemię, w kurz mieszany z prochami tych, którzy przed nim poszli z dymem. Za każdym razem, kiedy Braun miał zły dzień, szedł do krematorium, ponieważ to miejsce doskonale nadawało się do wyładowywania na innych frustracji.

Kontrolowanie Kanady Dwa przysparzało Braunowi problemów. Zbyt dużo biurokracji jak na jego gust i zbyt mało szybkich akcji dyscyplinarnych. Liczba zwłok do przerobienia stawała się trudna do ogarnięcia, a od wszystkich, z nim włącznie, oczekiwano, że sobie z tym poradzą. Ostatecznie liczyły się statystyki, nic więcej. Cyfry, cyfry, cyfry. Presja, presja, presja, nieustanna. W takich momentach tylko na jedno miał ochotę: zadać komuś cierpienie; dzięki temu wytrzymał. A teraz z powodu sprzeczki z oficerem z Inspektoratu Obozów Koncentracyjnych miał ochotę skrzywdzić kogoś wyjątkowo brutalnie. *Wydaje się tym inspektorom, że kim niby są, pieprzonym Gestapo?* Gdzie podziewał się Schroder, kiedy był potrzebny? Schroder nie miał żadnych zatargów z inspektorami.

Brauna zaskoczyła niezapowiedziana inspekcja i był niegrzeczny dla głównego kontrolera, zlekceważył go. Nie za dobry początek. W rezultacie urzędniczyzna w okrągłych drucianych okularach balansujących na czubku kartoflowatego nosa, z podkładką pod pachą, zaczął strugać waźniaka i postanowił przekształcić zwykłą kontrolę w pełny audyt. To zaś oznaczało otwarcie skarbca, przedłożenie ksiąg z ostatniego kwartału, kontrolę wszystkiego, łącznie z zawartością sejfu w gabinecie komendanta. Fischer także nie był zadowolony z tego zajścia i jasno dał do zrozumienia, że porozmawiają o tym, „kiedy pan inspektor zakończy swoją ważną pracę”.

Fischer zawsze czuł się odrobinę nieswojo podczas inspekcji. Nie dalej jak rok temu przyłapano Hoessa na jakiejś drobnostce, przez co popadł w kilkumiesięczną niełaszkę. Mimo że później przyjęto go z powrotem, w całej tej sprawie było coś dziwnego. Fischer wiedział, że gdyby kontrola wypadła kiedyś niepomyślnie, jego szanse na sukces w Berlinie zostałyby zaprzepaszczone.

Obsługa krematorium zauważyła nadchodzącego Brauna: kapo, Sonderkommando. Zgasili papierosy, zapięli kołnierze, zaczęli wymachiwać ramionami i kłać na ludzi dookoła. Nie zawadziło też smagnąć kogoś kilkakrotnie batem. Obecność Brauna zawsze skutkowałą wzmożoną aktywnością.

Przed piecami leżał stos ciał, trzech kapo próbowało przygotować zeszywniałe zwłoki, by włożyć je do pieców, ale nogi i ramiona sterczały na boki tam, gdzie nie powinny, i panował jeden wielki bałagan.

– Kto tu jest głównym kapo? – ryknął Braun.

Wystraszony mężczyzna przydreptał, zdjął czapkę i ukłonił się z szacunkiem. Na Braunie ta pokora nie zrobiła wrażenia.

– Co się tu, kurwa, wyprawia? Dlaczego jest tu tyle niezutylizowanych?

Kapo wbił wzrok w ziemię i wyjąkał przeprosiny.

– Staramy się, jak możemy, proszę pana. W tej chwili piece są pełne, proszę pana.

Braun zwrócił się z szyderczym uśmiechem do jednego ze stojących w pobliżu strażników:

– Czy ci ludzie nie wiedzą, że ich dni są policzone i że to my je im odliczamy? Mają osiągnąć wyznaczony poziom, a jeśli nie sprostają zadaniu, są inni, którzy nie będą się tak ociągać. Siły roboczej mamy tu pod dostatkiem.

Braun był przekonany, że wszyscy dorabiają się jego kosztem. Kapo, Sonderkommando, strażnicy, więźniowie, nawet inspektorzy z Berlina próbują skorzystać na nieszczęściu w Wiśnicy i uszczknąć coś dla siebie. Wuttke, jeden z przewodników psów i powszechnie znany w kantynie plotkarz, twierdził, że Braun się zmienił od czasu awansu. Chart stał się agresywny, opryskliwy i drażliwy, nie można było mu ufać. Stał teraz przed piecem numer dwa, trzymał wystraszonego kapo za kołnierz i zwrócił się do pozostałych słowami:

– Musimy nauczyć tego kapo wydajności, pokazać wszystkim, że muszą szybciej się uwijać.

Jeden ze strażników nieśmiało wystąpił naprzód.

– Ale to mój najlepszy człowiek, Scharführer. Jako jedyny potrafi opróżnić tłuszcz z pojemników pod piecami, nie powodując przestojów.

Braun puścił kapo, który przestąpił z nogi na nogę, starając się uniknąć kontaktu wzrokowego.

– Doprawdy? Jak się nazywasz? – zapytał Braun.

Przerażony mężczyzna wydukał, patrząc w ziemię:

– Szymon, proszę pana. Główny kapo Szymon.

– Dobrze. Przekonajmy się, jak bardzo główny kapo Szymon potrafi zbliżyć się do ognia.

Praca wokół zamarła, wszyscy gapili się, czekając w strachu, co za chwilę się wydarzy.

Braun ruchem głowy wskazał piec.

– Otwórz drzwi.

Szymon podszedł, wyjął zza pasa kijek i pomimo palącego żaru kucnął i zwinnie pchnął skobel, błyskawicznie odskakując, gdy z paleniska buchnęło gorące powietrze niczym rozjuszony byk, który wpada na arenę. Intensywnie pomarańczowe płomienie lizały ruszty pieca, wiły się wokół żeber dwóch białych szkieletów w komorze.

– I na tym polega wasz problem – wrzasnął Braun do jednego ze strażników. – Dlatego macie tu te stopy. W środku są tylko dwie sztuki. – Chwycił Szymona i pchnął go w stronę pieca, zmuszając do zajrzenia do środka. – Widzisz? Widzisz to? Powinieneś mieć tam trzy, nie dwie, ciemniaku! – Kapo odruchowo się skulił, oczekując na cios w głowę, lecz zachowanie Brauna nagle się zmieniło. – Myślisz, że zmieściłaby się jeszcze jedna? Może znalazłoby się miejsce dla jeszcze jednej, co ty na to, główny kapo?

Szymon odpowiedział ostrożnie:

– Myślę, że zmieścilibyśmy jeszcze jedną sztukę, proszę pana. Tak, możliwe. Całkiem możliwe, proszę pana.

– Uważasz, że by się dało, tak? Więc dlaczego tego nie zrobiłeś? – Skinął na dwóch stojących w pobliżu kapo, którzy przyglądali się całemu zajściu. –

Zwiążcie go! – Ponieważ wydawali się skonsternowani, Braun powtórzył polecenie. – Powiedziałem. Wy dwaj, zwiążcie Szymona. Jazda!

Skądś pojawił się sznur i dwaj kapo zaczęli niepewnie krępować Szymonowi dłonie i stopy. Braun niecierpliwie stał obok.

– Dalej, pospieszcie się, bo mogę się rozmyślić i zamiast niego wziąć któregoś z was! Do pieca z nim.

Mężczyźni z wahaniem podnieśli Szymona w pozycji horyzontalnej, tak jak dźwiga się taran. W tym momencie kapo zaczął wić się i żałośnie krzyczeć. Na przedzie spodni pojawiła się ciemna plama.

– Nie! Nie, proszę, błagam!

To widowisko wyraźnie podobało się Braunowi. Swobodnym tonem rzucił do jednego ze strażników:

– Widzisz? Widzisz, jak łatwo zmusić ich do robienia tego, co chcesz? Wszystko zależy od motywacji. – Ponownie odwrócił się do dwóch kapo, którzy nadal trzymali Szymona. – Do pieca z nim, liczę do trzech!

Przed nieliczną wstrząśniętą publicznością miało wydarzyć się niewyobrażalne. Trzęsące się ciało Szymona przysunięto do drzwi pieca głową naprzód. Trzymający go mężczyźni odwrócili się tyłem do palących płomieni, gdy skóra na twarzy Szymona zaczęła pokrywać się pęcherzami, a włosy nagle stanęły w ogniu. W tym momencie Braun zauważył Anię i Zofię z wybałuszonymi oczami, zasłaniające dłońmi usta. Jakby pokrzepiony tym widokiem Braun poprawił czapkę, obciągnął mundur i wrzasnął do dwóch kapo:

– Do pieca go!



– Wiecie, że nie powinno was tu być?

Braun wydawał się się znacznie spokojniejszy, gdy dziesięć minut później podszedł do dwóch zszokowanych kobiet.

Ania odezwała się pierwsza:

– Komendant pozwolił nam spacerować.

– Macie pisemne upoważnienie?

Pokręciła głową.

– W takim razie nie wolno.

Zofia chciała coś powiedzieć, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa. Ciągłe miała przed oczami widok dwóch kapo wrzucających Szymona do pieca. Toczył pianę z ust, miał potwornie poparzoną twarz i skórę głowy. Braunowi płonęły oczy.

– Liczę do trzech!

Kąciki ust drgnęły i powędrowały w górę w ironicznym uśmiešku.

– Jeden!

Mężczyźni rozkołysali ciało Szymona.

– Dwa!

Zamachnęli się wprzód, a potem w tył, nadając mu większy impet. I kiedy wszyscy myśleli, że Braun ryknie: „Trzy!”, on zawołał:

– Dobrze, stop, połóżcie go, na litość boską. Daruję życie waszemu cennemu głównemu kapo od czyszczenia tłuszczu!

Dwaj mężczyźni pospiesznie odsunęli Szymona w bezpieczne miejsce, położyli go na ziemi, rozwiązali więzy krępujące stopy i dłonie, cały czas przy tym przepaszając. Oblano go wiadrem wody. Leżał, mamrocząc i płacząc, pokurczone ciało parowało.

– Powinnyście stąd odejść. No już, jazda! To nie jest miejsce dla was. Siedźcie tam, gdzie bezpiecznie, na swoim terenie. W każdej chwili mogłybyście zostać zgarnięte podczas akcji i gdzie byście skończyły?

Braun zaśmiał się i wymownie spojrzął na kominy, a Ania i Zofia oddaliły się w pośpiechu.

44

Fischer wrócił właśnie z krótkiej podróży do Berlina, a kiedy złożył wizytę Ani, był wyjątkowo ożywiony. Lubił przychodzić do niej w takich chwilach, a ona z łatwością potrafiła udawać, że za nim tęskniła. Jednak tym razem nie opowiadał o podróży, tylko o tym, co powiedziała mu Tina po jego powrocie.

– Tina podejrzewa, że cię odwiedzam. Urządziła mi awanturę. Powiedziała, że o nas wie, i groziła mi na wszystkie możliwe sposoby!

– Więc dlaczego jesteś taki zadowolony, mój drogi Baldricu? – zapytała Ania, powoli rozbierając komendanta.

– Ponieważ ona nie ma pojęcia! Wtedy, kiedy według niej spędzałem czas z tobą, w rzeczywistości byłem z Scholem! Zadzwoiłem do niego do domu, wyobrażasz sobie? Wyciągnąłem go z łóżka, kazałem przyjechać z kalendarzem, posadziłem go przed Tiną i powiedziałem: „No dobrze, Fritz, powiedz jej, gdzie byłem...”. Tina wyrwała mu kalendarz, sprawdziła daty i godziny, a potem cisnęła notesem w ścianę.

– Nadal nie rozumiem, Baldric.

Ania zaczęła się rozbierać.

– Nie rozumiesz, jaki to fantastyczny układ? Nie ma nic lepszego niż kobieta, która czuje się zdradzana lub lekceważona. Przysięga, że przyłapie nas razem. Przysięga! Lepiej na siebie uważaj, Aniu. To niebezpieczna kobieta. Wiesz, jakie są Polki! Przez tę swoją wściekłość jest... jak to się mówi? Że jest bardziej...

– Namiętna?

– Właśnie.

– Ja też jestem Polką, Baldric, i nie znoszę myśli, że ona jest z tobą. To tak jakbyś mnie zdradzał!

Fischer roześmiał się na widok nadąsanej miny Ani.

– A tak przy okazji, nie widziałaś gdzieś mojego zegarka? Wydaje mi się, że zostawiłem go tu kilka dni temu.

– Zostawiłeś. Znalazłam go przy umywalce.

Fischer wzruszył ramionami, gdy podała mu piękny czasomierz. Musiała się pomylić. Nigdy nie zostawiał zegarka na umywalce, wieszał go zawsze na słupku zagłówka, żeby pilnować czasu podczas seksu. Ponownie odwiesił zegarek na zagłówek, oddał się temu, po co przyszedł, a gdy wychodził po dwudziestu minutach, pamiętał o zabraniu zegarka.

Nazajutrz o dziewiątej rano Ania po raz pierwszy poczuła świąd. Nie mogła powstrzymać się od drapania, nie założyła nawet bielizny. Kiedy strażnik otworzył drzwi jej pokoju, zawołała do siebie Zofię.

– Swędzi mnie, Zofio, w miejscu, gdzie swędzieć nie powinno. Proszę cię, mogłabyś sprawdzić? Nie chcę iść do tej wstrętnej krowy, *Frau Groepler*.

– Aniu, kocham cię, ale to bardzo trudna prośba! To nie jest miejsce, do którego powinny zaglądać inne kobiety, chyba że wychodzi stamtąd dziecko.

– Zrób to dla mnie, proszę. Ja bym to dla ciebie zrobiła.

Zofia się zawahała.

– Pamiętasz to francuskie mydło, które sprezentował ci komendant? Zostało ci trochę?

– Możesz je sobie wziąć. Dam ci też perfumy, mam nawet coś takiego do smarowania pod pachami, jeśli chcesz. Proszę cię, Zofio! Tylko zerknij na moją pusię, proszę!

Po chwili twarz Zofii pojawiła się po niewłaściwej stronie łóżka, między kolanami Ani.

– O Boże, Aniu. Byłaś niedawno na plaży? Jakaś tajna wyprawa, którą przede mną ukrywałaś?

– Ale śmieszne! O czym ty mówisz, co się tam dzieje?

– Masz tam małych gości znad morza, moja droga. Takie małe krabiki!



Następnego dnia Tina powitała Fischera tak wściekłym wybuchem gniewu, że aż obawiał się o swoje bezpieczeństwo.

– Po powrocie z Berlina przywiozłeś mi prócz tego coś jeszcze, prawda?

Cisnęła w niego parą pięknych, szytych ręcznie butów.

– O czym ty mówisz, o co ci chodzi? – zapytał, próbując uniknąć konfrontacji. Wyprostował się na łóżku, otoczony teczkami i leżącymi luzem dokumentami. –

Muszę przejrzeć budżety, moja droga, i jeszcze rano przesłać dane do Berlina. Zostaw mnie samego.

Domyślał się, o czym mówi Tina. Sam też odczuwał świąd.

– Wszy. Mam wszy łonowe. Spałeś ze mną po powrocie z Berlina. Tego samego dnia.

– Kochana, nie zdradzałem cię w Berlinie. Po co miałbym to robić? Po co rozglądać się za tandetną biżuterią, skoro ma się w domu piękny brylant?

Odsunął na bok papiery i poklepał łóżko, prosząc, by usiadła obok.

– Jeśli nie odwiedzałeś nikogo w Berlinie, może tutaj masz jakąś przyjaciółkę i od niej coś złapałeś? Mam w bieliźnie nieproszonych gości, ja ich tam nie zapraszałam, to ty ich sprowadziłeś, panie Baldricu Fischer. Jak tylko się dowiem, od kogo je złapałeś, poleje się krew!

Nie mógł jej udobruchać. Ponieważ pół godziny później nadal się wściekała, krzyczała i generalnie robiła cyrk, Fischer spędził noc na kanapie w swoim gabinecie. Następnego dnia rano odwiedzi w Auschwitz swojego dobrego przyjaciela, doktora Mengelego, i poprosi o prywatną konsultację.

45

Danuta spojrzała na zegar nad kominkiem, w którym huczał ogień rozpalony zaledwie godzinę temu. Tego wieczoru na kolację była golonka z warzywami – ulubione danie. A do tego butelka dobrego czerwonego Bordeaux, jedna z kilku znalezionych w kuchennej szafce mieszkania, które dzieliła teraz z nowym niemieckim chłopakiem.

Poznali się tego samego dnia, w którym zginął Sławek i pozostali. Siedziała w kawiarni, zabijając czas przed powrotem do mieszkania na tyłach kwaciarni. W pewnym momencie do środka wpadła kobieta w stanie najwyższego podniecenia, która wyrzucała z siebie tysiąc słów na minutę. Otoczył ją mały tłumek gapiów. „Rano podziemie zastawiło zasadzkę, próbowali załatwić jakichś wysokich rangą niemieckich generałów jadących w konwoju!”

W mieście huczało, ale nikt nie znał szczegółów – tylko plotki. Dopiero gdy Danuta wracała do mieszkania, zobaczyła samochody i tajemniczych mężczyzn w kapeluszach i długich skórzanych płaszczach kręcących się tam i z powrotem. Sąsiad powiedział jej, że widział, jak Natalkę zabierało Gestapo.

Bóg jeden wie, co się z nią teraz działo. Danuta rozumiała, dlaczego Sławek tak niechętnie dzielił się informacjami. Misja się nie powiodła. Nieoczekiwany zwrot akcji. Zdawali sobie sprawę z ryzyka, jednak kiedy Danuta usłyszała, że wszyscy zginęli, nogi zrobiły się jej jak z waty i ledwo zdołała powstrzymać wybuch płaczu. Sławek był zawsze taki drobiazgowy, planował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Mówił, że jego źródło jest bez skazy, wyglądało jednak na to, że „dziewczyna z Wiśnicy” wpakowała go w pułapkę.

W życiu Danuty zapanował chaos, nie mogła wrócić do mieszkania za kwaciarnią, więc dokąd miała pójść? Nikogo więcej nie znała! Postanowiła udać się z powrotem do kawiarni i zapytać właściciela, czy nie zna kogoś, kto wynajęłby jej pokój albo dał pracę. Kiedy weszła do środka, przy kontuarze stał niemiecki żołnierz, zamawiając wódkę i ciastka. Przyglądał się jej w szczególny sposób. Przysiadł się do niej, nim zdążyła się zorientować, co się dzieje.

Nie był taki kulturalny i obyty jak kapitan Arndt Nebe, którego ugodziła nożem w jakiejś obcej bramie całe wieki temu. Nie miał manier Nebego, ani nie był specjalnie elokwentny. Wydawał się posępny, wręcz nerwowy, ale był wystarczająco miły i miał coś w sobie. Tamtego wieczoru wylądowali oboje w jego mieszkaniu. Może sprawiły to okoliczności, adrenalina, a może poczucie straty, w każdym razie nowy niemiecki kochanek potrafił ją rozśmieszyć, no i umiał gotować. Została u niego na noc. Trzy dni później była tam nadal. Czy

można wyobrazić sobie lepszą kryjówkę niż taką tuż pod nosem Niemców? Niewykluczone, że ten mężczyzna pomoże jej nawet w szukaniu Ani.

Od razu stało się oczywiste, że nowy chłopak Danuty zupełnie nie przypomina poprzednich. Im lepiej go poznawała, tym wyraźniej ujawniała się jego zmienność nastrojów i popęd. Miewał ogromne zwyczki nastroju i potężne spadki. Czasem zbyt trudno było ocenić, jak się zachować albo co powiedzieć. Nieustannie stąpała po cienkim lodzie. Czuła się, jakby mieszkała z bombą z opóźnionym zapłonem – kiedy miał zły dzień, zawsze istniało ryzyko wybuchu.

Miał duże libido i bywał przerażający w swoich wymaganiach. Miesiączka Danuty w niczym mu nie przeszkadzała; kiedy pragnął seksu, po prostu go brał. To był minus tej sytuacji. Płacił za to rachunki, pieniądze najwyraźniej nie stanowiły dla niego problemu. Kiedy miał dobry humor, rzucał jej garść gotówki i mówił, by poszła sobie kupić coś ładnego. Często przynosił do domu wino albo podarunki. Dzięki jego dostępowi do czarnego rynku nie zbywało jej na niczym.

Tak jak większość żołnierzy w Krakowie i okolicach niemiecki chłopak Danuty pracował w jednym z obozów i często wyjeżdżał na długo. Miał kilka wolnych wieczorów, a trzy dni później znów wracał do obozu na dwa tygodnie. Danuta czuła się przy nim w jakiś osobliwy sposób bezpieczna. Gdyby zatrzymano ją kiedyś na ulicy i zażądano dokumentów, pokazałaby przepustkę, którą od niego dostała. Wędrowała ulicami miasta, mijając kawiarnie i przez cały czas starała się dowiedzieć, co stało się z Natalką. Musiała jednak zachowywać ostrożność. Gdyby jej nowy chłopak zaczął podejrzewać, że była zaangażowana w polski ruch oporu...

Powiedział jej, że kiedy pracuje daleko od domu, lubi, jak ktoś jest w mieszkaniu. Obawiał się kradzieży – w czasie wojny ludzie stają się desperatami. Mieszkali jednak w porządnej dzielnicy, na tym samym osiedlu było wielu innych Niemców, także z rodzinami. Skąd ta jego obsesja? A zresztą... co z tego? Co z tego, rozumowała, że trzyma ją tylko ze względów bezpieczeństwa. Czy naprawdę ma to jakieś znaczenie, że związał się z nią po prostu dla wygody? Dla niej również ten układ był wygodny, no i zapewniał jej bezpieczeństwo. Na razie.

W mieście często widywano niemieckich żołnierzy i ich polskie przyjaciółki na wystawnych posiłkach, tańcach, bawiących się w co lepszych restauracjach i barach. Ale mężczyzna Danuty nie lubił zostawiać niestrzeżonego mieszkania. Był skryty i spięty, miewał coraz częstsze napady złości, choć kiedy się dąsał, generalnie zamykał się w sobie. Wydawał się niespokojny, a gdy Danuta kiedyś zażartowała, że mogłaby z kimś uciec pod jego nieobecność, boleśnie ścisnął jej podbródek i wycedził:

– Nie wydaje mi się, abys miała to zrobić.

Zajęta przygotowywaniem kolacji nie usłyszała, jak wchodzi do mieszkania, i gdy nieoczekiwanie objął ją w talii, o mało nie wywróciła garnka do góry nogami.

– Spokojnie – powiedział. – Jestem taki straszny?

– Oczywiście, że nie! Po prostu nie słyszałam, jak wszedłeś. – Oswobodziła się z jego objęć, a on skradł łyk wina z jej kieliszka. – Jak minęła zmiana?

– Nawet nie pytaj – odparł z pociemniałymi z gniewu oczami.

– Proszę. – Nalała mu wina. – Pij, a ja w tym czasie podam kolację.

Jedli w milczeniu i szybko opróżnili butelkę. Gdy Danuta zaczęła sprzątać ze stołu, jej chłopak na chwilę zniknął, a następnie wrócił, trzymając coś w dłoni.

– Spójrz na to – powiedział, kładąc pistolet na stole.

– To twój luger?

– Mniejsza o markę, spójrz na rękojeść.

Żydowski rzemieślnik trudził się trzy tygodnie nad złotą inkrustacją przedstawiającą charta w pełnym biegu.

– Piękna, Karl, niesamowita robota. Prawdziwe dzieło sztuki!

– Zrobił to dla mnie pewien złotnik, oczywiście Żyd. Trzymam go jeszcze bezpiecznie pod kluczem, ponieważ mam dla niego jeszcze jedno zadanie...

Podał jej mały woreczek z błękitnego aksamitu, który ważyła w dłoni.

– Co to jest?

– Otwórz – powiedział z uśmiechem.

Wytrząsnęła zawartość na stół. Z sakiewki wysypało się kilka sztuk biżuterii. Pierścionek z pięknym granatem, para ślicznych długich kolczyków z brylantami oraz złoty damski sygnet z wygrawerowaną literą „O”, którą żydowski złotnik zapewne przerobi dla niej na „D” – i będzie to prawdopodobnie jego ostatnie zlecenie.

Próbowała wykrztusić jakieś słowa. Dokładnie wiedziała, co miał na myśli, mówiąc o złotniku... o jego ostatnim zadaniu... Wiedziała też równie dobrze, skąd pochodzi biżuteria.

– Mój Boże, prześliczne. To dla mnie, Karl? Jesteś pewien? – mamrotała nieprzekonująco.

– Oczywiście, że dla ciebie! Ale czegoś brakuje, muszą tam być, pozwól, że sprawdzę.

Potrząsnął sakiewką i na stół potoczyły się jeszcze dwa przedmioty. Patrzyła na nie z przerażeniem – nie mogła zmusić się do ich dotknięcia. Z twarzy odpłynęła jej cała krew, zakręciło się jej w głowie, nerwowo zamrugła powiekami i zaczęła przełykać ślinę, by nie zwymiotować.

– Szkoda, że nie widzisz swojej miny! No przestań, to tylko zęby! Odzyskam z nich złoto i każę zrobić dla ciebie coś specjalnego, co tylko sobie życzysz! Może

jeszcze jeden pierścionek? Powiedz, co byś chciała. Mój człowieczek to dla ciebie zrobi, jest geniuszem!

Karl zachowywał się jak dziecko oglądające nową zabawkę znaną pod choinką.

– Jeśli jest w nich za mało złota, żaden problem. Pod koniec tygodnia przyjeżdża kolejne siedem tysięcy, więc z pewnością mogę wyrwać jeszcze kilka.

Danucie robiło się niedobrze, gdy patrzyła, jak Karl obraca ząb między palcem wskazującym a kciukiem.

46

Cycata Tina z uśmiechem przyglądała się swemu odbiciu w lustrze. To był wspaniały dzień. A jego koniec nie mógłby być lepszy – znów miała Baldy'ego pod butem. Sytuacja się wykryła, gdy podczas jednej ze swoich „kontroli osobistych” pod nieobecność Ani zobaczyła jego zegarek wiszący na słupku łóżka tej suki o dziwnych oczach. Oczywiście ta mała dziwka nie miała pojęcia, że ktoś wchodzi w jej pokój. Tina była na to o wiele za sprytna.

Już od jakiegoś czasu podejrzewała go o potajemne schadzki, ale ta gnida Schole nie chciał niczego potwierdzić, choć przecież musiał wiedzieć. Strażnicy również, im jednak lojalność nie pozwalała puścić pary z ust. Teraz nie miało to już znaczenia, ponieważ Tina zyskała potrzebny dowód. Tylko co z nim zrobić? Dążyła do pozbycia się Dziwacznych Oczu raz na zawsze. Chciała, by zniknęły z życia Baldrice i z jej życia. Musiała jednak uważać i nie naciskać zbyt mocno, zdawała sobie bowiem sprawę, że łatwo zastąpić ją kimś innym. Nie brakowało młodszych, ładniejszych Polek, które chętnie zajęłyby jej miejsce w łóżku komendanta.

Ta wstrętna mała zdzira o dziwnych oczach wczepiła się w Fischera pazurami, to oczywiste, i Tina wiedziała, że musi niebawem podjąć jakieś kroki. Tamtego dnia, gdy znalazła zegarek na zagłówku łóżka, zaczęła krążyć po pokoju Ani, aż w końcu spojrziała w lustro nad umywalką. I wtedy ją oświeciło!

Zostawiła zegarek i biegiem wróciła do domu, od razu układając w głowie szczegóły planu. Mógł okazać się trochę dla niej nieprzyjemny, ale co z tego, w końcu jest wojna, tak czy nie?

Gdy kilka dni później Fischer wyjechał do Berlina na osobiste zaproszenie Führera i płał się w blasku chwały po wizycie Eichmanna, Tina postanowiła „złapać” jakieś paskudztwo. Upiła się w kawiarni tanią wódką, z resztką alkoholu

w butelce wyszła na boczne uliczki wokół rynku w poszukiwaniu dawcy. To tam natknęła się na cuchnącego, zawszonego miejscowego, który próbował sprzedać szachy z wydrążonymi w środku figurami używanymi do szmuglowania czarnorynkowych towarów. Wdała się z nim w rozmowę, opróżnili butelkę. Gdy zaczęły pływać mu oczy, zdzieliła go w głowę torebką z cegłą w środku. Stracił przytomność, a wtedy Tina ostrożnie zdjęła mu spodnie i z zachwytem odkryła kolonię maleńkich stworzonek zasiedlających intymną część jego ciała.

Kolejny krok był stosunkowo prosty – nożyczkami wycięła kępkę włosów łonowych i włożyła dorodne wszy do słoiczka. Bóg jeden wie, co sobie pomyślał, kiedy się ocknął i zauważył swoją nową „fryzurę”. Tina śmiała się całą drogę powrotną do obozu.

Kiedy następnego dnia Baldric wrócił z Berlina, nie miała wątpliwości, że od razu będzie chciał złożyć wizytę Dziwnym Oczom i odzyskać zegarek. Nie miała też wątpliwości, że przy okazji zechce się trochę zabawić. Ale Tina dopadła go, gdy tylko przestąpił próg, nawet nie czekała, aż kierowca odstawi bagaże. Rzuciła się na niego w salonie, drocząc się, zawiązała mu oczy i urządziła mu „powitanie”, którego nigdy nie zapomni – podrzucając okazałą liczbę wszy łonowych do ich nowego lokum. Kilka godzin później pognał do Ani, twierdząc, że musi wziąć od Scholego najnowsze wyniki produkcji. Zostawił Tinie piękny prezent (szyte ręcznie skórzane buty), a nieco później zupełnie nieświadomie dał prezent także Ani.

Nazajutrz wstrząśnięta Tina oznajmiła, że jest zarazona „tam na dole”, i rozpętało się piekło. Wymogła natychmiastowe przebadanie przez *Frau Groepler* wszystkich dziewcząt z Klubu, a gdy otrzymała wynik kontroli, okazało się, że jedna z nich ma wszy – Dziwnooka!

To dlatego była z siebie taka dumna, gdy napadła na Fischera. Naskoczyła na niego nie na żarty. *Frau Groepler* i cały personel medyczny wiedzieli, że Ania ma „nieproszonych gości”, Fischer nie miał więc innego wyboru, jak tylko podjąć kroki zapobiegające rozprzestrzenianiu się insektów. Dziwnooką natychmiast wyszorowano karbolem, przeniesiono do pełnienia obowiązków w ogólnodostępnym burdelu i wyrzucono ze złotej klatki. Baldric już jej nie odwiedzi, nie ma mowy, żeby spotykał się z nią oddzielony tylko zasłoną. Anię wyrugowano z pokoju za zielonymi drzwiami. Miała szczęście, że nie uniosła się z dymem z komina krematorium prosto w niebo nad Wiśnicą.

Fischer uświadomił sobie, jaki był głupi, dając się manipulować Tinie. Jakim był głupcem, pozwalając, by kutas rządził głową! Ile wiedziała Tina? Czy to ona dała cynk podziemi? A co z Kanadą Dwa? Teraz, gdy transporty z Europy szły pełną parą i sprawy toczyły się znakomicie... A Tina wiedziała o wszystkim:

o jego funduszu emerytalnym, o sejfie i podwójnych księgach rachunkowych – absolutnie o wszystkim! Boże, jaki był głupi!

Wraz z mającym już na horyzoncie końcem wojny Fischer planował potajemnie urządzić Tinę w krakowskim mieszkaniu, gdzie żyłaby sobie wygodnie razem z córką, a on utrzymywałby je obie. Bez wątpienia wiódłby wygodne życie urzędnika państwowego wyższego szczebla w nowym rządzie Führera. W Berlinie postrzegano by go jako wspaniałego, pracowitego mężczyznę z żoną i dziećmi, a on kursowałby pomiędzy Krakowem a niemiecką stolicą w tej nowej ważnej roli. Przyszłość Baldriga Fischera wyglądała różowo.

A potem złapał od jakiejś dziwki wszy łonowe! *Verdamnte holle!*



Przez dzień czy dwa Tina udawała obrażoną, ale Fischer nie ustąpił i odmówił posłania Ani do komory gazowej. Nie chciał zatrzaskiwać sobie drzwi. O kimś takim jak dziewczyna o dziwnych oczach trudno zapomnieć. Kto wie, co może się wydarzyć w tej nieprzewidywalnej wojnie? Była młodsza od Tyny, z pewnością miała lepsze ciało i nie wahała się nim dzielić. Jakże byłoby cudownie zainstalować ją po wojnie w krakowskim mieszkaniu zamiast Tyny. Ale skąd wzięły się te wszy? Czy naprawdę była na tyle głupia, by go zdradzać podczas jego wyjazdów? W życiu! Czy została zgwałcona, a on nic nie wiedział? Wykluczone – powiedziałyby mu o tym natychmiast.

Więc gdzie złapała to paskudztwo? No a Tina? Ona też była zakażona.

Fischer mógł wyciągnąć tylko jeden wniosek. Od niego. A gdzie on podłapał to świństwo?

W Berlinie!



Cóż to był za wieczór w Berlinie! Grono najbliższych współpracowników Führera podjęło go wystawną kolacją w ramach podziękowania za wybitne osiągnięcia w Wiśnicy. Tak znamienite postaci jak Göring, minister Goebbels oraz inni erudyci ze względów wizerunkowych nie mogli pozwolić sobie na uczestnictwo w ostatecznym geście wdzięczności zaoferowanym komendantowi Fischerowi tamtego wieczoru, zapewnili go jednak, że sam Führer zatwierdził wizytę w najbardziej prestiżowym domu publicznym Berlina. Czy nie powiedział mu tak sam Eichmann, podwożąc tam Fischera własnym samochodem służbowym? W burdelu lał się szampan, były tańce, muzyka i oczywiście kobiety! Och, tamte

kobiety! Na pewnym etapie znalazł się w łóżku z trzema naraz, a może z czterema? Nieistotne, grunt, że nie mogły utrzymać rąk przy sobie! Była to dla niego najwspanialsza noc w życiu, ale nawet mu się nie śniło, że zakończy się w taki prozaiczny sposób.

Musiał złapać wszy w burdelu. Oto, co robi wojna: w całej Europie trudno było o porządne, czyste dziewczyny. Przez lata Fischer często odwiedzał wiele ekskluzywnych berlińskich przybytków, a dopiero teraz coś podłapał. Wyszmienita zabawa zakończyła się niestety niefortunnie.

Obecnie bardziej absorbowały go jednak sprawy dużo mniej nieprzewidywalne niż kobiety. Sądząc po przedstawionych mu przez Scholego księgach, gromadził niemałą fortunę. Prócz sporej ilości gotówki oraz znaczącej kolekcji biżuterii i złota pod podszewką walizki odkryto w Drugiej Kanadzie płótno. Schole przysięgał, że to obraz Rembrandta wycięty z ram, a poza tym nieuszkodzony. Już to jedno znalezisko ustawi go do końca życia. To, co najlepsze w życiu, zawsze było poza zasięgiem Baldrice Fischera, a teraz stało się osiągalne. I to wszystko dzięki Scholemu!

47

Leżąc w łóżku obok aksamitnej błękitnej sakiewki z makabryczną zawartością, która spoczywała na komodzie, Danuta rozmyślała o ludziach, którzy rozstali się ze swoim cennym dobytkiem na chwilę przed pójściem do komory gazowej. Te ukryte błyskotki były dowodem na czyjeś istnienie oraz absolutnie ostatnią szansą na wykupienie się z kolejki do gazu. Już samo to było wystarczająco trudne dla Danuty, ale zęby?

Rodziny ofiar nie będą miały sziwy, okresu żałoby, nie będą mogły się pożegnać, a już z pewnością postawić nagrobków. Nie będzie nawet prochów, wszystko pójdzie z dymem krematoryjnych pieców, poniesie się z wiatrem w kierunku zależnym od kaprysów pogody, osiadzie na czymś praniu albo wpadnie do rynsztoka pod krakowską kamienicą. Biżuterię ukrywaną we wnętrzach ciał wyjmowano albo tuż przed, albo tuż po śmierci, a teraz pyszniła się na nadgarstkach, szyjach lub uszach przyjaciółek esesmanów. Już sama ta myśl budziła w Danucie odrazę. Prawdę mówiąc, Danuta brzydziła się sobą, ponieważ godziła się na takie położenie. Ania nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, prawda?

Co wieczór po kolacji Karl spędzał dużo czasu zamknięty w swoim gabinecie w głębi mieszkania. Trzaskał szufladami, od czasu do czasu wybuchał śmiechem

jak szaleniec, a pół godziny później wyłaniał się stamtąd jak gdyby nigdy nic! I dlaczego zamykał drzwi na kłódkę, grożąc Danucie najstraszliwszymi konsekwencjami, gdyby ośmieliła się tam wejść bez jego zgody? Co on kombinował, co tam ukrywał – zęby?

Zaczął wypytywać Danutę o jej przeszłość. Chciał wiedzieć, kim jest, dlaczego tak nagle wkroczyła w jego życie i skąd się wzięła. Kazał sprawdzić jej papiery – okazały się fałszywe. „Muszę wiedzieć, z kim dzielę łóżko!” Było w niej coś takiego... coś nieuchwytnie znajomego...



Karl często udawał, że śpi, leżąc odwrócony do Danuty plecami. Praca odciskała na nim swoje piętno; nie brutalność czy zabijanie – z tym nigdy nie miał problemu. Męczyła go skala, ogromna liczba przywożonych każdego dnia, a także oczekiwania tych stojących wyżej od niego. I gryzło go coś jeszcze: Danuta zapytała go ostatnio, czy zna w Gestapo kogoś, kto mógłby odnaleźć dla niej pewną osobę. Po co? Co ona knuła?

Próbował rozgryźć, dlaczego wydaje mu się taka znajoma, gdy nagle pewnego dnia natknął się pod krematorium na dziwkę komendanta. Po gwałcie starała się go unikać, ale tym razem specjalnie ją zagadnął i właśnie wtedy go olśniło! Sposób, w jaki dobierała słowa i składała zdania, pełne gracji ruchy, wykrój ust i mały dołeczek w brodzie...

Cofnął się myślami do pewnego zimnego dnia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku w małym chłopskim gospodarstwie w Węgrzynie, kiedy kłócili się ze Schroderem o brakującą dziewczynę z listy. Ukrywała się w szafie czy nie? Później Schroder zauważył, jak uciekiniarka biegnie przez pole i powalił ją pierwszym strzałem. Ale czy zabił? Czy to może być ona? Widział bliznę na szyi Danuty, gdy po raz pierwszy uprawiali seks, ale zbyła go, tłumacząc, że to pamiątka po wypadku z dzieciństwa.

Miał zamiar ponownie sprawdzić raporty z tamtego dnia w Węgrzynie. Chciał poznać imiona dwóch dziewcząt z listy. Jeśli okaże się, że to Danuta i Ania, tyle mu wystarczy. Jeżeli ma rację, a był o tym przekonany, musi zrobić coś ze swoją nową przyjaciółką. I to niebawem.

Ania podeszła filozoficznie do sposobu, w jaki potoczyły się sprawy. Jeśli chodzi o obozowe życie, dotychczas korzystała z jego lepszej strony. Inne kobiety z Klubu żywiły do niej urazę, ponieważ zawsze miała gorącą wodę i miękki papier toaletowy, teraz jednak pokój za zielonymi drzwiami zamieniono w magazyn, a ona znalazła się w takiej samej sytuacji jak reszta kobiet. Być może niewłaściwie oceniła władzę Tiny nad komendantem. Fischer od początku jasno postawił sprawę: Ania była rozrywką, zabawką, luksusem, a nie koniecznością. Cieszyłby się nią nadal, gdyby Tina nie złapała wszy. Ale skąd one się wzięły? Ania doszła do wniosku, że nosicielem był Fischer. To musiał być on. Z pewnością nie ona, ponieważ z nikim innym nie sypiała. I raczej nie Tina? Przecież by nie ryzykowała chodzeniem do łóżka z innymi, prawda?

Życie dziewczyny o dziwnych oczach bardzo się zmieniło. Skończyły się smaczne posiłki i piękna pościel. Wcześniej Fischer od czasu do czasu obdarowywał ją perfumami i francuskimi mydlami, kupował jej także jedwabne pończochy i bieliznę, które przemycał w bagażu z podróży do Berlina. Czerpał przyjemność z tej potajemnej relacji i nagradzał Anię proporcjonalnie do jej entuzjazmu i spełniania jego zachcianek. Pomimo braku doświadczenia nietrudno było jej go zadowolić. Kluczem były naturalna uroda i ponętne ciało, jak również gotowość do poddawania się wyuzdanym aktom, które tak bardzo lubił. Zaspokajanie go było dla niej stosunkowo łatwe i nie trwało długo, po krótkim wysiłku leżał na plecach, ciężko dysząc, z szerokim uśmiechem na twarzy.

Teraz musiała pozwalać na dostęp do swojego ciała tym cuchnącym, brudnym, przepracowanym i głodnym kobietom kapo i Sonderkommando. Wkrótce się przekonała, że ci z Sonderkommando – ci, którzy pracowali w krematorium – byli najgorsi. Zofia opowiadała kiedyś, że jej ojciec handlował rybami i zapamiętała smród, który wokół siebie roztaczał; żeby nie wiadomo ile razy mył ręce, zapach ryb nie znikał. Nie sposób było się go pozbyć. Tak samo było z tymi, którzy pracowali w krematorium, nie mogli zrzucić z siebie fetoru śmierci.

Kobiety z Klubu dużo rozmawiały o przyszłości. Wiedziały, że gdy zakończy się wojna, a już szemrano o jej rychłym zakończeniu, zostaną surowo osądzone za swoją rolę. Nie zabraknie świadków wytykających je palcami na ulicy, szarpiących za włosy i wykrzykujących obelgi. Sklepy będą odmawiały im obsługi, na ich widok ludzie będą przechodzić na drugą stronę ulicy. Czy najgorsze miało dopiero nadejść?



Był rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty, alianci wreszcie przyznali, że są świadomi tego, co dzieje się w obozach koncentracyjnych w Europie Wschodniej.

Samoloty zwiadowcze w trakcie lotów rozpoznawczych natknęły się na fabryki śmierci, szukając celów bombardowania. Więźniowie i strażnicy z niedowierzaniem patrzyli na krążące nad nimi maszyny, w obozach nie mówiło się o niczym innym jak tylko o wyzwoleniu. Wreszcie ich odnaleziono, parlamenty krajów sojusznicznych z pewnością uruchomią maszynę, która uwolni ich z tego piekła. Poczynione przez Sławka plany powstania w Auschwitz i Wiśnicy nie trafiły do lamusa, a w gruncie rzeczy jeszcze bardziej przyspieszyły działania. Obozowi rebelianci dysponowali teraz wystarczającymi zasobami broni i amunicji, by tego wielkiego dnia rzeczywiście wpłynąć na bieg wydarzeń. Poza tym mieli w sobie dość woli walki na coś więcej niż podbicie Niemcom oka! Coś zarówno straszego, jak i wspaniałego miało już wkrótce wydarzyć się w Auschwitz i Wiśnicy.



Szczęśliwy posiadacz talonu nerwowym krokiem wszedł do pokoju Ani i zasłonił za sobą kotarę z dziwnym wyrazem twarzy. Rozejrzał się po pomieszczeniu przenikliwym, ptasim wzrokiem, błyskawicznie wszystko rejestrując. Dlatego nadal żył – nic nie uchodziło jego uwadze. Przygładził włosy i było widać, że starał się umyć, choć i tak był brudny i czuć było od niego ziemią.

Ania być może zauważyła też ślady dłoni odcisnięte z tyłu na bluzie – świadectwo otuchy, której z dumą dodała mu reszta mężczyzn z nowej zwirowni, gdy ich nadzorca udawał się na swoją wieczorną przygodę.

Mężczyzna potulnie stał z czapką w dłoni, nie dowierzając własnym oczom – ta dziewczyna mogłaby być jego córką! Spodziewał się podstarzałej, steranej kobiety w ciężkim makijażu, skropionej tanimi perfumami dla zabicia smrodu ciała, rozwalonej na łóżku niczym juczne zwierzę, umazanej czerwoną szminką, z grubą warstwą pudru, palącej papierosa.

Załatwili sprawę szybko i dość nieporadnie, a po wszystkim gość przycupnął na krawędzi łóżka i wdał się w rozmowę. Ania miała zrezygnowany wyraz twarzy, nie tyle z powodu znudzenia, ile myśli: „No dobrze, o jednego mniej do końca dnia”. Kiedy jednak popatrzyła na mężczyznę, który przedstawił się jako Szalbek, dostrzegła na jego twarzy troskę.

– Przepraszam, że cię na to naraziłem – powiedział. – Wyglądasz na delikatną młodą kobietę.

Ania wiedziała, że mężczyzna ma wystarczająco dużo lat, by być jej ojcem, a tymczasem to ona dodawała mu otuchy po tym, jak skorzystał z jej wdzięków. Czuła żal, ale nie umiała płakać. Ból przebywania w takim miejscu był wystarczająco ciężkim brzemieniem i bez ciężaru cudzej winy.

Trzydzieści minut dość szybko dobiegło końca. Ktoś huknął w ścianę na zewnątrz, więc mężczyzna wstał i wziął się w garść, gotów chełpić się swoimi wyczynami z piękną dziewczyną o dziwnych oczach po powrocie do żwirowni. Lekko się uklonił, pochylając przy tym cały tułów, a potem znów podziękował Ani. Przed wyjściem jakby się zawahał.

– Jutro rano siedz na miejscu. Znajdź sobie jakieś zajęcie. Nie wychodź na zewnątrz. Nie opuszczaj tego pokoju pod żadnym pozorem.

Kotara gwałtownie się odsunęła, jej miejsce wypełniła wielka gęba niemieckiego żołnierza.

– Wyłaż, ty brudny stary dziadzie. Użyłeś sobie, a inni czekają!

I Szalbek zniknął.



– Czasem z ciemności wyłania się słońce – mówił Fischer do Scholego z wyrazem niedowierzania na twarzy.

Za zasłoną dymu ze swojej ulubionej bruyerki, Fischer zdawał się rozmyślać nad czymś znaczącym.

– Co się stało, *mein Commandant*, wszystko w porządku?

– Chodzi o Führera... nie do wiary... nie do wiary...

Schole nie rozumiał.

– Komendancie, proszę...

– Tak, tak, przepraszam, Fritz, ale myślę, że kolejna boska interwencja stanęła na drodze Rzeszy. Pozwól, że zapytam, ile przeprowadzono prób zamachu na życie Führera?

– Pięć, może sześć, nie wiem, nikt nie wie tego na pewno.

– No więc szóstego czerwca, mój drogi Schole, nasz wróg wylądował w Normandii, próbując odebrać nam ziemie, o które słusznie walczyliśmy i za które ginęliśmy. Nasze zasoby na wielu frontach zbliżają się do punktu krytycznego i wrogowie usiłowali wykorzystać moment, kiedy nasza obrona jest słabsza. Ale Führer w dalszym ciągu prowadzi nas ku chwale i nie ma wątpliwości, że ta inwazja, to tak zwane lądowanie aliantów, jest jedynie drobną przeszkodą na naszej drodze do zwycięstwa.

– Oczywiście, Baldric, co do tego nie może być żadnych wątpliwości.

– Zgódźmy się, że Führer sporadycznie popełnia błędy. Bądź co bądź trwa wojna i czasem trzeba podejmować pospieszne decyzje. Już samo ich podejmowanie bez względu na okoliczności świadczy o odwadze, która cechuje wszystkich wielkich przywódców w historii. Ale co by się stało, gdyby naszego przywódcy zabrakło, gdzie byśmy wtedy byli, Fritz, kto podejmowałby decyzje?

Schole z trudem przełknął ślinę.

– O czym ty mówisz, Baldric... Führer... co, u licha, próbujesz mi powiedzieć? – Fischer wydawał się zamyślony, a Schole nagle wypalił: – O mój Boże. Führer... czy on... czy on nie żyje, Baldric? Proszę, powiedz mi, że tak nie jest!

– Właśnie do tego zmierzam. Z całą pewnością żyje. – Fischer przestał bujać gdzieś myślami, rozpedził mgiełkę dymu wokół głowy. – Jest tak samo żywy jak zawsze! *Mein Gott*, jakież on jest żywy! Podjęto kolejną nieudaną próbę zamachu, mój drogi Schole, tym razem w Prusach Wschodnich. Aż się nie chce wierzyć. Jakiś dureń z naczelnego dowództwa próbował zgładzić Führera i cały jego gabinet.

– W Wilczym Szańcu?

– Tak. A gdzieżby indziej w Prusach, jak nie w Wilczym Szańcu? – Do tonu Fischera wkradła się nuta irytacji. – Wydaje się, że stał za tym von Strauffenberg. W tej chwili trwa obława na niego i jego bandę zdrajców. Dziś wieczorem Führer przemówi do narodu, a von Strauffenberg i jego współkonspiratorzy zawisną na krokwiach najbliższego więzienia albo zostaną rozstrzelani pod ścianą jeszcze przed mową Hitlera.

– Nie do wiary, Baldric. Kolejna próba zamachu na życie Führera!

– Wyświadczyli naszemu wielkiemu narodowi przysługę!

– Tak?

– Oczywiście! Ponownie otworzyli nam oczy na wartość naszego wodza. Na myśl o życiu bez jego przewodnictwa, bez jego kierowania partią, bez niego u sterów przechodzą mnie ciarki.

– Z pewnością nie sposób sobie wyobrazić, gdzie bylibyśmy bez niego, Baldric. To wręcz niepojęte. Jego marzenie jest naszym marzeniem.

– W istocie. Podobają mi się te słowa, Fritz! Sam napiszę dzisiaj do Adolfa, osobiście, i powiem: „Twoje marzenie jest naszym marzeniem, *Mein Führer*”. Nie masz mi za złe, że ukradnę ci tę perełkę, prawda?

Schole wyprostował się i stuknął obcasami.

– Będę zaszczycony, komendancie!

– Wiesz, Fritz, jest jakiś pierwiastek boskości w tym, że Führer przetrwał tyle zamachów na swoje życie. Szczerze wierzę, że to znak z niebios. „On” przemówił. „On” potwierdził przed światem, że racja naprawdę leży po naszej stronie i że to my zwyciężymy. Bóg jest po stronie Niemiec, Fritz, nie ma co do tego wątpliwości!

CZĘŚĆ 6

Powstanie

49

Wrzesień 1944

Ten konkretny jesienny dzień zapowiadał się zupełnie zwyczajnie. W Auschwitz Rudolf Hoess zjadł z żoną i dziećmi śniadanie w swojej willi, zanim udał się do gabinetu na zaplanowane spotkanie. Wkrótce miała odbyć się inspekcja, a Hoess w pełni zdawał sobie sprawę, że nadal jest pod lupą. Ktoś się na niego uwziął, tego był pewien. Może Fischer, a może ktoś inny, komu działał na nerwy? Hoess wiedział, że podczas kolejnej inspekcji musi być czysty jak łoża.

W tym samym czasie w swoim domu na skraju obozu w Wiśnicy Obersturmbannführer Fischer zapytał *Fraulein* Krystynę, czy smakowało jej śniadanie. Sprzątaczką była zajęta myciem okien w jadalni, by nadal można było oglądać przez nie słońce – popiół z krematorium osiadał dosłownie na wszystkim, Tina tego nie znosiła. Kiedy padało, ziemia pokrywała się szarymi kałużami przypominającymi cienką owsiankę. Tym razem deszcz zmył pył z drzew, bujna czerwień i oranż rozjaśniały jesienny poranek i wprawiły Tinę w dobry nastrój.

Fischer obudził się dość rozochocony, wziął z Tiną wspólny prysznic. Już wcześniej uznała, że czas wyjść na balkon i skorzystać ze słońca, zanim ostatnie ciepłe promienie odejdą w siną dal i zakradnie się kolejna ponura polska zima.

– Bardzo smakowało mi śniadanie, dziękuję, Baldy. Może i jestem Polką, ale nie ma to jak niemiecka kiełbaska z samego rana.

Złączyła opuszki kciuka i palca wskazującego na znak, że było pysznie, a Fischer żartobliwie trzepnął ją w ucho. Bez ostrzeżenia zerwał się z krzesła. *Praca wzywa!*

Ze wszystkich obozów w Polsce i okolicach Wiśnica tak bardzo wyprzedzała inne pod względem produkcji, że z pewnością to tylko kwestia czasu, kiedy Führer doceni osiągnięcia Fischera i mianuje go szefem wszystkich obozów w Europie. Oto, co go czeka, wreszcie dopiął swego. Na pewno tak się stanie. Czas Eichmanna dobiegał końca, dlatego tak łatwo wpadał w irytację, kiedy się spotykali.

Rolf Schroder stawiał się w skarbcu przed dziewiątą rano i mimo że Braun się spóźniał (jeśli taki z niego chart, nigdy nie wygra żadnej gonitwy), wszystko wydawało się w porządku – na wierzchu i pod spodem! Pewność siebie Schrodera osiągnęła szczyty i tylko Braun wydawał się odczuwać presję. Wszystko szło zgodnie z planem. Życie było piękne.

Spodziejając się kolejnej inspekcji w Wiśnicy, w nowym skarbcu zainstalowano podwójną podłogę, która dzięki mistrzostwu dwóch wspaniałych polskich fachowców była nie do wykrycia. Ślusarz i stolarz zostali wysłani do gazu natychmiast po ukończeniu pracy, ponieważ Schroder nie chciał pozostawiać żadnych świadków. Zdumiewające, ile można tam było schować biżuterii i gotówki, pojemność skrytki znacznie przewyższała składzik w mieszkaniu Karla. Te żydowskie świny nigdy nie zawodziły – banda przebiegłych krętaczy. Ostatnie dwa transporty dostarczyły ilość łupów znacznie wykraczającą poza oczekiwania Schrodera.

Tego samego poranka Danuta obserwowała, jak Karl uruchamia pod domem swój motocykl zundapp KS 750. Poprzedniego wieczoru zamknął się po kolacji w swoim gabinecie i słuchał radia, co od trzech tygodni stało się jego cowieczornym rytuałem. Słyszała, jak tłucze się za ścianą, jak głośno tupie, trzaska różnymi przedmiotami i mówi do siebie, a do łóżka przychodził dopiero późną nocą.

W jego pokoju było tak wiele stalowych skrzynek z amunicją, że Danuta zaczęła się martwić. A jeśli podłoga nie wytrzyma ciężaru? Powiedział jej, że w skrzynkach nie ma amunicji, więc i nie ma powodu do niepokoju. *Co w nich wobec tego jest?* Kazał jej pilnować własnego nosa, jeśli wie, co dla niej dobre.

Chwała Bogu, miało go nie być przez cały dzień, a właściwie przez kilka dni. Wyjeżdżał do pracy. Mógł wyładowywać złość na tych biednych węgierskich Żydach – mówił, że wkrótce spodziejają się kolejnego transportu. Nawet siedem tysięcy nieszczęśników miało trafić do Wiśnicy, a ponad dziesięć tysięcy do Auschwitz-Birkenau. Danuta zastanawiała się, ilu z nich dożyje końca dnia oraz jak wiele wyrwą im zębów.



Hoess dowiedział się o ataku w chwili, gdy runął jeden z kominów krematorium numer cztery. Cegły, pył, części ciała i kości po wybuchu leżały wszędzie. Huk słyhać było w całym obozie, ludzie stawali jak wryci, spoglądali w niebiosa i zastanawiali się, czy to nie sygnał od Boga. Już w następnej chwili wszyscy się rozpierzchli, masowy ostrzał siekł powietrze, każdy człowiek w mundurze wydawał się celem.

Kilku Niemców zastrzelono. Ranni żołnierze leżeli, jęcząc, wokół ruin krematorium, natomiast zbrojni członkowie Sonderkommando kucali za stosami cegieł, używając zwłok w charakterze tarcz ochronnych, i strzelali z bliska do swoich pogromców.

Przeładowując w swoich kryjówkach broń, wymieniali szybkie spojrzenia. Wiedzieli, że dla większości z nich to początek końca. Czekali na kolejny wybuch, który miał wysadzić druciane ogrodzenie obozu, wyrывая w nim dziurę wystarczająco dużą do ucieczki setek, może i tysięcy więźniów. Dwie wieże strażnicze także miały zostać zburzone, dając tym, którzy podejmą próbę wydostania się z obozu, najlepsze szanse na dotarcie do lasu kuszącego swoją bliskością.

W Wiśnicy rozdzwonił się telefon w gabinecie Fischera – linia bezpośrednia. Dzwonił tak przez całe sześć minut, póki Schole nie postanowił go odebrać. W chwili gdy wchodził do gabinetu, otworzyły się drzwi prywatnej łazienki Fischera, z której wyłonił się komendant, podciągając szelki i dopinając spodnie.

– Jeśli to Führer, powiedz mu, że nawet ja muszę się czasami wysrać!

Schole pobladł, słuchając podniesionego głosu informującego o buncie w Auschwitz. Zanim zdążył wykrztusić słowo, w Wiśnicy padły pierwsze strzały.



Choć bunt w Wiśnicy trwał krótko, zebrał niemałe żniwo. Raniono dziesięciu strażników, z czego sześciu śmiertelnie. Zginęło też trzydziestu więźniów, choć nie wiadomo, ilu było zaangażowanych w rozruchy.

Usłyszawszy pierwsze serie z broni rebeliantów, Schroder pognął na dotknięty zamieszkami teren, a potem błyskawicznie się wycofał, szczęśliwy, że żyje. Było gorzej, niż się spodziewał, uświadomił sobie, że się trzęsie. To była prawdziwa walka, a na coś takiego nie miał najmniejszej ochoty!

Pierwsza rzecz, jaka przysłała mu do głowy, to pytanie, jak więźniowie zdobyli broń. Na odpowiedź trzeba będzie jednak zaczekać, ponieważ ktoś musi zapanować nad sytuacją i stłumić bunt, nim zupełnie wymknie się spod kontroli.

W tym momencie u boku Schrodera wyrósł podeksytowany Braun. Następnie ukrył się zwinnie za pojazdem, próbując rozpracować, skąd padają strzały i jak duża jest siła przeciwnika. Chart nie marnował czasu. Miał za sobą koszmarną noc i jeszcze gorszy początek dnia, więc był bardziej agresywny niż zwykle. Przez Danutę. To nie był dobry dzień, by z nim zadzierać!

– Osłaniaj mnie! – wrzasnął do Schrodera i już go nie było.

Unikając świszczących pod nogami kul, puścił się pędem na drugą stronę drogi, pobiegł na tyły części magazynowej, a następnie na dach, skąd miał dobry

widok na najbliższą okolicę. Ze swojego punktu obserwacyjnego widział tylko jedną wieżę strażniczą i przewieszoną przez jej okienko ciało jednego strażnika. Drugiego nie było. I wtedy zauważył dwóch ludzi w pasiakach majstrujących coś przy podstawie wieży. Zamierzali wysadzić ją w powietrze! Sprzątnął obu, jednego po drugim.

Ze swojego miejsca na dachu magazynu widział małe obłoczki dymu zdradzające lokalizację strzelca za każdym razem, gdy otwierał ogień. Oceniał, że buntownicy są niedoświadczeni i mało sprawni. Wielu z nich prawdopodobnie nigdy wcześniej nie miało w rękę broni palnej, więc celność strzałów jest w najlepszym razie losowa. Z tego, co widział, byli źle zorganizowani i rozproszeni, potrzebował zatem niewiele czasu na opracowanie w głowie planu, którego pierwszym punktem było wrzucenie granatu w otwarte okno sąsiedniego budynku.

Było rzeczą logiczną, że walczący mają ograniczone zasoby amunicji, co wkrótce się potwierdziło, bo strzelali dość oszczędnie. Walki jakby utknęły w martwym punkcie. A potem w baraku naprzeciwko jeden z rebeliantów zaczął machać pośpiesznie skonstruowaną białą flagą i z pięcioma innymi za swoimi plecami wyszedł na drogę, krzycząc: „*Nicht schiessen*, nie strzelać, *nicht schiessen!*”. Braun zabił mężczyznę pojedynczym strzałem w głowę, rozpryskując jego mózg na zdezorientowanych towarzyszy za jego plecami. Kiedy mężczyzna upadł, żałosna biała flaga przykryła mu twarz, barwiąc się na czerwono. Pozostali z ociąganiem wyłaniali się zza barykad i z kryjówek. Rzucili na ziemię broń, podnieśli ręce do góry, zostali otoczeni. Dzięki Braunowi wszystko skończyło się, zanim tak naprawdę się zaczęło.

Powstanie w obu obozach było wielkim szokiem dla Niemców. Nikt nie wiedział, jak więźniowie weszli w posiadanie broni, wydawało się jednak prawdopodobne, że materiały wybuchowe, których użyli, pochodziły z fabryki amunicji za główną bramą Auschwitz. Wybuchł wielki konflikt między Fischerem a Hoessem – ten pierwszy obwiniał drugiego o kiepską ochronę, z kolei Hoess oskarżał Fischera o dostarczenie mu siły roboczej złożonej z rebeliantów i złodziei.

Cała sprawa mocno wstrząsnęła Fischerem. Pozostanie mu rysa na reputacji, a po zakończeniu tej cholernej wojny i zaprowadzeniu Nowego Ładu będzie musiał mocno się naharować, by odzyskać dawną wiarygodność. Tyle pracy! Tyle lat planowania i po co? Szef inspektorów obozów koncentracyjnych już złapał za telefon, a Obersturmbannführer Eichmann zadzwonił osobiście, oświadczając, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin oczekuje pełnego raportu z tego godnego pożałowania zajścia. W dochodzeniu pomoże Gestapo i będą reperkusje. Zawsze były, gdy Gestapo maczało w czymś palce.



Największym zmartwieniem Scholego było to, jak sprawić, by sytuacja wyglądała lepiej, niż wygląda w rzeczywistości. Gdyby nie Schroder i Braun, zwłaszcza Braun, Bóg jeden wie, co by się stało. Przynajmniej rebelianci zostali już powieszani.

Dodatkowo rozstrzelano stu dwudziestu więźniów (dziesięciu za każdego ranionego lub zabitego Niemca), a w wyniku trzech błyskawicznych akcji opróżniono dwa największe baraki zajmowane przez więźniów, którzy przebywali w obozie najdłużej. W charakterze środka zapobiegawczego zagazowano też członków Sonderkommando i kapo.

– Chodzi o to, Baldric, że musimy być postrzegani jako ludzie stanowczo reagujący na sytuację, musimy dowieść Berlinowi, że w pełni zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji. Będą oczekiwali wyciągnięcia surowych konsekwencji wobec więźniów, czegoś znacznie więcej niż powieszenie kilku z nich. Berlin zechce wiedzieć, że zaostrzono środki bezpieczeństwa. Trzeba wprowadzić zmiany, duże zmiany. Zlikwidować przywileje, nasilić kary. Dobre czasy się skończyły.

Schole skwapliwie służył radą. Chciał za wszelką cenę ochronić szefa przed jakąkolwiek skazą na reputacji.

– Wiem, o czym myślisz, Fritz, ale trudno mi rozważać taki krok. Rozumiesz, po tak spektakularnym sukcesie...

– Ale Berlin będzie chciał...

– Wiem, wiem. Berlin będzie chciał cofnięcia dodatkowych korzyści. Zdaję sobie z tego sprawę. Nie mam wyboru, co? – Spojrzał na Scholego w nadziei, że dostrzeże w jego twarzy odrobinę optymizmu, ale go tam nie znalazł.

– Komendancie, jeśli pan tego nie zrobi, zrobi to za pana Berlin, a to nie będzie dobrze wyglądać.

– *Gott Verdammt*. Dobrze. Rozumiem, Fritz. Zamknij Klub!

50

Gdy tamtego dnia Braun niespodziewanie wrócił do domu, by zmienić podarte i zakrwawione ubrania, zastał Danutę siedzącą na walizce w korytarzu ich

mieszkania i czekającą na Natalkę. Jakimś cudem wpadły na siebie rano na targu i Natalka opowiedziała o próbie powstania w Wiśnicy i Auschwitz.

– Musisz odejść od swojego Niemca jeszcze dzisiaj, jak najszybciej! – ostrzegła, gdy Danuta opowiedziała jej o Karlu. Wszyscy wokół mówili już o reperkusjach.

Sam Stefan Rowecki odegrał zasadniczą rolę w negocjowaniu uwolnienia przez Gestapo Natalki, która wpadła w ich ręce po nieudanej próbie zamachu na Eichmanna i Heydricha. Znaleźli ją w mieszkaniu na tyłach kwaciarni. Wyrwanie jej policji politycznej kosztowało niemałą fortunę, ale Rowecki był świadom, jak wiele może wiedzieć ta dziewczyna. Na szczęście miał odpowiednie koneksje, a po wykupieniu Natalki powiedział, że gdyby nie zdołał jej stamtąd wydobyć na jego warunkach, musiałyby zlecić zamordowanie dziewczyny w więzieniu. Szczęśliwie wyszła stamtąd w jednym kawałku i miała dożywotni dług wdzięczności wobec Roweckiego. Wówczas jeszcze tego nie wiedziała, ale szansa spłaty okazała się nieodległa.

W dniu powstania Danuta rozstała się z Natalką późnym popołudniem. Udała się prosto do domu i zgodnie z instrukcją spakowała swoje rzeczy.

– Poczekaj, przyjdę po ciebie z wózkiem. Postaram się jak najszybciej – brzmiały ostatnie słowa Natalki.

Po drodze Danuta myślała o rebelii w obozie, modląc się, by Karl był w gronie rannych, a jeszcze lepiej – ofiar śmiertelnych. Jednak ledwo spakowała torby i zataszczyła je do korytarza, nieoczekiwanie otworzyły się drzwi wejściowe i stanął w nich Karl, poturbowany, brudny, a poza tym jak najbardziej cały i zdrowy.

Odezwała się pierwsza.

– Muszę odejść, Karl. Przepraszam. Między nami koniec.

Nic innego nie przychodziło jej do głowy. Nie zostawiła listu pożegnalnego – miało nie być po niej śladu. Miała po prostu zniknąć. Zastanawiała się, czy nie zostać na jeszcze jedną noc dłużej i nie zrobić z Karla kolejnej ofiary, kolejnego martwego Niemca dla pomszczenia śmierci jej rodziny. Ale Karl nie był łatwym celem, nawet we śnie. Życie z nim zamieniło ją w zmęczoną, zléknioną kobietę, a gdy pakując się, dostrzegła w lustrze swoje odbicie, przeraziła ją postać, którą tam zobaczyła.

Co, u licha, wydarzyło się od stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku? Krzys zginął, Grabowski zginął, zginął też Sławek i jego ludzie. Ani też już nie było, pora przestać się łudzić i stawić czoło rzeczywistości. Poza Natalką nie przeżył nikt z grona bliskich jej osób. I z jakiego powodu?

– A więc... – Karl wydawał się zupełnie spokojny, odkładając klucze i kask motocyklowy, a potem zamykając drzwi. – Więc uważasz, że to najlepszy sposób,

by mi się odwdzięczyć, tak?

– Nie chcę, żebyś tak to odbierał – odparła, próbując się wytłumaczyć.

Nie pozwolił jej mówić dalej. Teraz była jego kolej.

– Wziąłem cię do siebie, dałem ci schronienie, nakarmiłem cię. Mieliśmy też trochę wspólnej zabawy, dobrych chwil, prawda? – Wiedziała, że to pytanie retoryczne. – A teraz uważasz, że właśnie tak powinnaś mi się odwdzięczyć?

– Karl... nie byliśmy sobie przeznaczeni, ty i ja... Na pewno sam to widzisz, prawda?

Brnęła dalej, chwytając się jak tonący brzytwy, a on patrzył zimnym, złowrogim wzrokiem. Wiedział, że Danuta weszła w jego gabinet, że tam grzebała. Zglądała do skrzynek po amunicji i do sejfu. Wypchanych obcymi walutami, biżuterią, złotem i wszelkiego rodzaju kosztownościami. Nie ma mowy, by pozwolił jej odejść po tym, co widziała. To niemożliwe. Oczywiście, że nie może odejść, przynajmniej nie na własnych nogach, w pełni przytomna. Nigdy!

– To nie jest kwestia tego, co jest nam przeznaczone, a co nie, Danuto. Po prostu nie mogę pozwolić ci odejść. Obawiam się, że zbyt dużo wiesz.

Gniew wezbrał w nim błyskawicznie, nawet nie zauważyła, że podnosi prawą rękę, zobaczyła ją dopiero na ułamek sekundy przed tym, jak jego pięść trzasnęła ją w twarz. Runęła jak długa na podłogę, z nosa ciekła krew, lewe oko od razu spuchło i się zamknęło. Gdy szybko mrugała powiekami, by krew nie zalewała oczu, szarpnął ją za włosy i przyciskając do ściany, uderzył w twarz grzbietem dłoni.

– Widzisz, i to jest właśnie problem z wami, Polakami. Nie potraficie odróżnić, kiedy dobrze się wam powodzi. Jak sądzisz, dlaczego Polska jest wiecznie w tarapatkach? Ponieważ to naród pełen takich głupich ludzi jak ty! Skoro życie ze mną jest takie złe, możesz dołączyć do swojej odrażającej siostry kurwy w Wiśnicy.

Celnie wymierzony cios pozbawił ją tchu i przytomności.

Danuta się nie ocknęła, kiedy kilka minut później motocykl Karla z rykiem odjechał spod domu. Wrzucił ją do bocznej przyczepy, nie zważając na to, co pomyślą sąsiedzi. Kiedy na pełnym gazie skręcił za róg, ledwo uniknął zderzenia z małym wózkiem pchanym przez piękną blondynkę o zaniepokojonej twarzy.

Zakończone fiaskiem powstanie w Wiśnicy pozostawiło ranę, która nigdy się nie zabiłi. Wszyscy odczuwali jego skutki, od Fischera po najędźniejszego z więźniów. Wcześniej więźniom trudno było wyobrazić sobie gorszy los, a tymczasem przez obóz przetaczała się nowa, potworna fala wzmożonej brutalności, ponieważ Fischer zdał sobie sprawę, że jego próby nagradzania za sumienną pracę to strata czasu i zbędny wysiłek.

Klub rozwiązano i zamieniono w barak dwieście czterdzieści sześć z trzema piętrami drewnianych pryczy, które wkrótce przykryto zgniłą, nasiąkniętą moczem i ekskrementami słomą. Zamieszkały tu kobiety z Klubu wraz z innymi lokatorkami. Nazajutrz po ich wprowadzeniu się przybyły szczury, podgryzając im nocami palce stóp oraz małżowiny uszne i wykradając schowane skórki chleba. Każdy ciemny kąt zdawał się domem pary maleńkich czerwonych oczek. Pod koniec pierwszego tygodnia smród stał się nie do zniesienia, w drugim odstręczający, natomiast w trzecim był już do wytrzymania. Wraz z początkiem czwartego zubożniał.

Wszystkie kobiety z baraku dwieście czterdzieści sześć przydzielono do pracy w tartaku. Przez czternaście godzin dziennie. Na lodowatym chłodzie zimą i w potwornej spiekocie latem, gdy wszelkie możliwe rodzaje owadów wylaziły ze swoich kryjówek pod korą kłód przepychanych przez ogromne piły tarczowe. Podobnie jak ci, którzy dłużej pracowali w tartaku, tak i Ania wkrótce się przekonała, że drobne pełzające owady, na których widok początkowo się wzdragała, w końcu zaczęły wywoływać u niej odruch oblizywania ust. Szybko się nauczyła, co nadaje się do zjedzenia, a od czego zbiera się jej na wymioty. Była to najgorsza wyobrażalna postać białka, ale pozwalała utrzymać się przy życiu.

Fischer miesiącami rozpamiętywał powstanie. Czuł się osobiście urażony niewdzięcznością, nie mógł zrozumieć, jak mogli okazać mu taki brak szacunku, skoro był dla nich taki hojny.

– Ostatecznie – powiedział do Scholego w chwili refleksji – to Polacy i Żydzi. Kim oni są? Zwykłym robactwem. Okazujesz im odrobinę dobroci, a oni gryzą rękę, która ich karmi. Uwierz mi, wyciągnąłem wnioski na całe życie.

Po pierwszych oskarżeniach i krokach odwetowych Fischer nie zachowywał się już jak dający się lubić, niewydarzony dyrektor szkoły. Działał z bezwzględnością. Każdą decyzję przepajała ponura rzeczowość; brutalność i okrucieństwo, które zawsze rzucały się w oczy w Auschwitz, przenikały teraz każdy aspekt życia w Wiśnicy.

Przyspieszone egzekucje stały się chlebem powszednim. Wielkość transportów pęczniała, baraki były przepełnione ludźmi oznakowanymi żółtą gwiazdą Dawida. Szerzyły się choroby, powszechna była dyzenteria. Żydowski więźniowie zaczęli się burzyć. Minęło pragnienie biernego życia. Po oczyszczeniu wielu

części Europy z Żydów Fischer wyrobił sobie opinię na temat tych, którzy ocaleli. „Zostały tylko szumowiny, Żydzi, którzy ochoczo zamordują swoich współbraci, byle przeżyć o jeden dzień dłużej; najgorszy rodzaj Żyda!”

Zgłaszanie przez funkcyjnych baraków kilku zgonów w ciągu nocy było na porządku dziennym, choć rzadko rejestrowano je jako podejrzone. Mnożyła się broń wykonana domowym sposobem, funkcyjni, którzy w swojej kwaterze dzierżyli w rękach władzę nad życiem i śmiercią, zaczęli brać sobie do łóżka młodszych mężczyzn – chłopców – w charakterze termoforów. Pogłoski o homoseksualizmie i pedofilii stały się rzeczywistością. Baraki przestały być miejscem schronienia i kiedy zapadał zmrok, w niektórych z nich poziom lęku i cierpienia jeszcze narastał.



Braun kazał umieścić Danutę w izolatce bloku więziennego w Wiśnicy; aresztowano ją jako dywersantkę i potencjalnego członka Armii Krajowej. Zjawiło się Gestapo, bestialsko ją przesłuchało. Ku zaskoczeniu Brauna dość szybko przyznała się do mieszkania na tyłach kwiaciarni. Ta informacja pozwoliła powiązać ją ze Sławkiem i Grabowskim, co zupełnie wystarczyło Gestapo. Karl cudem wyszedł z opresji – nie uznano go za osobę zamieszana w sprawę i oficerowi śledczy zgodzili się, że był po prostu niewinnym gościem kawiarni, owszem, głupim, ale niewinnym. „Radzimy nigdy więcej nie mylić genitaliów z mózgiem”, ostrzeżono go.

Po kolejnym brutalnym pobiciu zostawiono Danutę w małej, zawilgoconej celi, w której roiło się od karaluchów i pcheł. Rany ropiały, krwiaki nie chciały się goić. Pomimo cierpienia jej myśli uparcie powracały do ostatnich chwil przed tym, jak Karl pozbawił ją przytomności i wepchnął do przyczepy motocykla. To jego ostatnie słowa sprawiły, że się nie poddawała, dały siłę do oparcia się pokusie wczolągania się w najdalszy kąt celi i dokonania tam żywota. „Skoro życie ze mną jest takie złe, możesz dołączyć do swojej odrażającej siostry kurwy w Wiśnicy”.

Ania żyła!



Karlowi powodziło się teraz lepiej. Taniej było mieszkać w dni powszednie w obozie i stołować się w kantynie. Jeśli zapragnął rozrywki, nie brakowało jej w Auschwitz, które praktycznie było miastem samym w sobie, z kinem, klubami

sportowymi oraz różnymi organizacjami stworzonymi z myślą o zajęciu czymś Niemców po służbie.

Poza prostytutkami, których namnożyło się w centrum Krakowa (jeśli tylko wiedziało się, do jakich klubów chodzić, a Karl wiedział), w Auschwitz było wiele kobiet pracujących w kantynach i klubie oficerskim. Ale Karl uganiał się za strażniczkami i pielęgniarkami. Często były to brutalne kobiety o zaciętych twarzach, które czerpały przyjemność z zadawania bólu albo przyglądania się, jak robi to ktoś inny, i nie miały nic przeciwko perwersjom, które upodobał sobie Karl. Polskie dziwki były ładniejsze, fakt, ale wiecznie nastawione na branie, chciały zostać na noc, chciały tego, tamtego... zawsze czegoś chciały.

W swoim mieszkaniu w Krakowie Karl chował się w gabinecie niczym pirat ze skrzyniami skarbów, wypijając pokaźne ilości piwa. Transporty liczące ponad osiem tysięcy jednostek, które przybywały niemal codziennie, dostarczały średnio sześciu tysięcy sztuk bagażu każdego dnia. A do tego ciała, otwory, ubrania... i tyle zębów...

Wydawało się, że sprawy psują się na każdym froncie w Europie i teraz to już tylko kwestia czasu. Może kilka miesięcy, raczej nie dłużej. Karl wiedział, że ostatnią rzeczą, na której zależałoby Berlinowi, było słuchanie przez żołnierzy audycji Edwarda Murrowa i dowiadywanie się z nich prawdy. Może odbieranie radia BBC przez niemieckiego żołnierza było przestępstwem, ale tylko idiota by tego nie robił.

A co po zakończeniu wojny? Dom na wsi zajmował pierwsze miejsce na liście. Potem Karl znajdzie sobie porządną niemiecką żonę (żadnych więcej Polek), będzie miał kilkoro dzieci... i po co zawracać sobie głowę pracą? Zdawał sobie sprawę, że za pieniądze można kupić znacznie więcej niż dobra materialne, a najważniejszą z tych rzeczy jest czas. Karl Braun, Chart, łobuz i słaby uczeń, był teraz niewyobrażalnie bogaty.

Karl lubił słuchać radia, tak samo jak lubił planować przyszłość.

52

Danutę obudził odgłos otwieranych drzwi celi. Nie miała pojęcia, jak długo znajdowała się w tym maleńkim pomieszczeniu ani ile upłynęło czasu, od kiedy wyprowadzili ją stąd na ostatnie bicie. Parę tygodni? Miesiąc? Niemcy dawali jej tylko tyle zupy, by utrzymać ją przy życiu – po co?

Była w naprawdę złym stanie, czasem z trudem oddychała. Nos złamali jej już na pierwszym przesłuchaniu, oczy miała tak opuchnięte, że ledwo coś widziała. Miała też rozciętą górną wargę, a twarz całą w ranach, pokrytą zakrzepłą krwią.

Choć jej ubranie było przesiąknięte moczem i ekskrementami, nie czuła już wstrętnego odoru. Towarzystwa dotrzymywały jej jedynie karaluchy, które łąziły po każdym skrawku obnażonego ciała, szukając jakiejś szczeliny na złożenie jaj. Nie obchodziło jej, gdzie wpełzają, leżała we własnych odchodach i wymiocinach, czasem majaczyła, nieustannie coś mamrotała, modliła się i dygotała. W rzadkich momentach jasności umysłu marzyła o dawnych czasach w Węgrzynie z Kapustkiem na łóżku, o rozmowach z Anią do późnej nocy. Nie pozwalała sobie na płacz, za każdym razem znajdowała w sobie siłę, by powstrzymać łzy. Porażka byłaby jej końcem, wiedziała bowiem, że gdy zabraknie łez, zabraknie też woli życia.

Miała tylko jeden powód, dla którego chciała żyć: Ania. Z tego, co mówił Karl, znajdowała się gdzieś w obozie. Gdyby tak mogła jeszcze raz przytulić swoją kochaną młodszą siostrę, ból by zniknął, wiedziała.

– Wyłaż, suko! *Schnell, schnell!*

Strażnik krzyczał. Zasłonił twarz chusteczką. Nie chciał dotykać brudnego ciała Danuty, sam smród był trudny do zniesienia. Gdy zdał sobie sprawę, że dziewczyna nie może wstać o własnych siłach, nie miał wyboru, musiał jej pomóc.

Podtrzymując jej łokieć, by mogła złapać równowagę, pchnął ją twarzą do ściany, docisnął kolanem w krzyżu, żeby utrzymała pion, gdy wykręcał jej do tyłu ramiona i zakładał kajdanki. W końcu założył jej na głowę worek, a ziemisty zapach juty podziałał na nią dziwnie kojąco. Strażnik prowadził ją korytarzem, niechętnie pozwalając jej się na nim opierać, gdy kuśtykała po omacku ku rozproszonemu światłu w oddali. Droga zdawała się nie kończyć, lufa pistoletu wpijała się Danucie w kręgosłup, strażnik kłął pod nosem na smród.

Gdy po raz pierwszy trafiła do tej celi, jeden ze strażników, mściwy młody mężczyzna cierpiący na chroniczny trądzik, powiedział jej o Ścianie Śmierci. O liczbie odbywających się tam egzekucji, o krwi przelanej w ostatnich kilku latach – opowiedział jej o wszystkim, śmiejąc się z wymierzanych tam kar, ze strachu ludzi stojących przed plutonem egzekucyjnym, z tego, jak się moczyli, a niektórzy nawet robili pod siebie! Danuta odmówiła mu satysfakcji i nie okazała lęku. Po co, skoro wcale go nie czuła?

Wreszcie wyprowadzono ją na dziedziniec za blokiem więziennym, w którym przetrzymywano najgorszych więźniów politycznych i dysydentów. Dzień był szary, pochmurny, ale przez gęste chmury wiszące nisko nad okolicznymi dachami sączyła się odrobina światła. Danucie nogi odmówiły w końcu posłuszeństwa.

Były zbyt ciężkie, nie mogła stawiać ich na przemian, więc strażnicy ciągnęli ją przez dziedziniec, żłobiąc głębokie rowy w świeżo zagrabionym podłożu. Puścili ją, gdy dotarli do celu. Klęcząc na żwirze, wiedziała, że nie jest tam sama. Czowała, że ktoś znajduje się bardzo blisko, a właściwie tuż przed nią. Słyszała czyjś oddech.

I wtedy odezwał się Braun. Brzmiał tak, jakby stał gdzieś daleko, a nie metr dalej. Danuta ogłuchła na jedno ucho, w drugim zachowała słuch częściowy, ale zdołała rozpoznać jego głos. Braun czuł ulgę, że już wkrótce po jego flircie nie zostanie żaden ślad. Przede wszystkim nie powinien być nigdy zadawać się z tą suką. Schroder go ostrzegał. Polskie kobiety? Same kłopoty! Chryste! Przecież ona przyznała się na przesłuchaniu do znajomości z polskim ruchem oporu. Musiał nieźle się napocić, by przekonać Gestapo, że nic nie wiedział o jej przeszłości. Dziewczyna tylko mu gotowała i sprzątała, no i ją przelatywał. Na szczęście ujął się za nim Schroder, i to właśnie on wydał rozkaz przeprowadzenia dzisiejszej małej ceremonii, chwala Bogu.

Danutę oślepił nagły blask światła, ponieważ ktoś zerwał jej z głowy worek. Odwróciła się, gwałtownie mrugając powiekami. W celi oczy zdawały się sklezione od brudu i zakrzepłej krwi, teraz jednak były otwarte. Zmrużyła je, znów zamrużyła powiekami, próbowała wyostrzyć widzenie pomimo obrzęku i bólu. Wzrok stopniowo powracał, wydawało się jej, że jest w akwarium z brudną wodą i patrzy na zewnątrz przez szybę.

Wtedy dostrzegła jakąś postać klęczącą przed nią na mokrym żwirze. Na początku tylko tyle, widziała sam kształt, w końcu jednak obraz przelotnie nabrał większej ostrości i zrozumiała, że ten kształt należy do kobiety. Patrzyła na nią, a kobieta odwzajemniała spojrzenie – na twarzach ich obu natychmiast pojawiło się pytanie. Pomimo bólu Danuta mrużyła powieki, ponieważ dzięki temu lepiej widziała. Klęcząca przed nią kobieta nie wyglądała na tak niedożywioną jak większość więźniów w obozie, na jej twarzy nie było strupów, krwiaków ani opuchnięć. I miała długie czarne włosy – z jakiegoś powodu nie ogolono jej głowy i choć wyglądała na zmęczoną, nie była całkiem wycieńczona. Ta kobieta sprawiała wrażenie obcej, a zarazem znajomej. Bardzo znajomej. I wpatrywała się w Danutę z taką samą intensywnością, przechyliwszy na bok głowę, głęboko zmarszczywszy czoło.

Kobieta o czarnych włosach nagle przejrzała przez krew i sińce złamanej, maltretowanej postaci, spadła jej z oczu zasłona, wstrząsnął nią dreszcz. Kilkakrotnie zamrużyła powiekami, pokręciła głowę i spojrzała na Brauna. *Powiedz, że się mylę, powiedz, że to nie ona. Powiedz!*

Braun sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego. Już wcześniej wiedział to, co ciemnowłosa kobieta odkryła dopiero teraz, przyglądał się

lodowatym wzrokiem, jak falują jej ramiona i jak wznosi dłonie do nieba z głośnym krzykiem:

– Proszę cię, Boże, proszę! Nie!

Braun stanął za plecami Danuty z lugerem w prawej dłoni, tym z inkrustowanym złotem chartem na rękojeści. Pozwolił kobietom patrzeć na siebie jeszcze przez chwilę. Ciemnowłosa, drżąc na całym ciele, powoli wyciągnęła ramię i pogłaskała tę drugą po policzku, ocierając łzę, która spłynęła po poranionej twarzy. Piękna ciemnowłosa kobieta także płakała. W tej ulotnej chwili Danuta zdołała otworzyć zapuchnięte oczy, obraz rozjaśnił się na tyle, że wyraźnie zobaczyła, kogo ma przed sobą.

I po raz ostatni usłyszała głos Brauna.

– Pożegnaj się z siostrą, suko.

W tej samej chwili powietrze rozerwał głośny huk eksplozji. Głowa Danuty odskoczyła w tył, w powietrze trysnął pióropusz krwi niczym woda z pękniętej rury. Usłyszała dziwnie melodyjny brzęk odrzucanej łuski naboju, pochyliła się, z dziury w czaszce rytmicznie wypływała krew. Nadal klęczała ze skutymi za plecami dłońmi i podwiniętymi pod siebie nogami, głowa opadła jej na pierś, jak do modlitwy, a wraz z ostatnim tchnieniem wydobyła z siebie jedno słowo: „Ania”.

53

Tina zniknęła w ciągu dziesięciu minut od powrotu Scholego z wiadomością z Berlina, w której zakomunikowano Fischerowi, że czas ewakuować obóz. W jednej chwili tam była, a minutę później jakby się rozplynęła. W garderobie pozostała większość ubrań, ale biżuteria, torebki i szyte ręcznie buty – kosztowne podarunki, które latami dostawała od Fischera – zniknęły. Inne rzeczy prawdopodobnie też, lecz nie był to odpowiedni moment na kontrolę. Fischer nie miał pojęcia, dokąd poszła ani jak wydostała się z obozu, a jego pospieszne indagacje wywołały konsternację na twarzach pytanych. W tej jednak chwili miał ważniejsze sprawy na głowie niż to, gdzie ona się podziała.

Instrukcje z niemieckiego dowództwa naczelnego były jasne. Dopilnować, by nikt nie ocalał; wszystkich więźniów przerzucić do Auschwitz, by dołączyli do przymusowej ewakuacji na zachód. Fischerowi dostarczono szczegółowy plan, który musiał przygotować z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Zawierał nawet wskazówki, jak się bronić w razie pojmania. Główną wytyczną było to, by w ręce

wroga nie wpadły żadne tajemnice, ponieważ to nie jest początek końca ani odwrót, a jedynie przegrupowanie.

Fischer nakazał Scholemu zorganizowanie natychmiastowej ewakuacji więźniów; niech zostawi tylko kilku zaufanych, by zniszczyli dokumentację obozową i zutylizowali maruderów, którzy nie są w stanie maszerować.

– *Mein Commandant*, a co z panem! Co z nami? – Schole miał dziwną minę, wyglądał nie jak administrator troszczący się o bezpieczeństwo, a raczej jak zagubione dziecko. – *Mein Commandant*?

Fischer zdołał ukryć irytację. Nie chciał wystraszyć Scholego na tym etapie.

– Nic mi się nie stanie, Fritz, tobie też nie. Jedziesz ze mną! Wszystko jest na swoim miejscu, przygotowania rozpocząłem już jakiś czas temu po rozmowach z Hoessem. Co prawda zawsze gardziłem tym jadowitym karłem, ale i zawsze będzie nas coś łączyć. A teraz idź rozpocząć ewakuację, żebym ja mógł się zająć wszystkim tutaj.

Te zapewnienia wlały w serce Scholego otuchę, poczuł nagły przypływ dumy; dobrze widzieć, jak komendant przejmuje kontrolę nad sytuacją.

Fischer wpadł do sąsiedniego pokoju po dokumenty z sejfu, nie przestając wykrzykiwać poleceń przez otwarte drzwi:

– Zbierz małą ekipę, Fritz, najwyżej pięciu ludzi. Zatrzymaj też jednego lub dwa psy, przydadzą się. Zamelduj się za piętnaście minut. No już, do roboty, szybko, *schnell, schnell!*

Schole stuknął obcasami i energicznie przystąpił do działania. Teraz musi znaleźć kogoś zdolnego do wdrożenia poleceń komendanta, bez dyskusji. Kogoś, komu można bezwzględnie ufać.



Schroder wybrał ekipę. Rozkazy były jasne. Wszystkie dokumenty mają zostać zniszczone, każdy skrawek papieru spalony. Wszyscy ocalali więźniowie straceni, poza garstką chorych i kalekich – tych, którym i tak zostało tylko kilka dni życia. Pozostawienie ich pozwoli stworzyć pozory, że strażnicy pomagają ocalonym. To poprawi ich sytuację po wyzwoleniu obozu – to znaczy jeśli sami nie zdołają uciec przed przybyciem wroga. Kapo, Sonderkommando? Schroder miał zatrzymać kilku zaufanych ludzi do samego końca, a potem się ich pozbyć, żeby nie było świadków.

Trwała ewakuacja. Schole pobiegł do domu Fischera. Komendant wiedział, że choć w wiadomości z Berlina nie padły słowa „zbrodnie wojenne”, bez wątpienia można się było domyślać, że o to chodzi, o czym zresztą wielokrotnie rozmawiali ostatnio z Hoessem.

Godzinę później Fischer siedział wygodnie pod blokiem administracyjnym w swoim służbowym mercedesie razem z kierowcą i Scholem, ale bez Tiny, która dotąd się nie pojawiła. Schroder stał sztywno na baczność przy samochodzie, w nieskazitelnym mundurze zapiętym pod samą szyję, w lśniącym hełmie. Fischer wydawał przez tylne okno ostatnie rozkazy, a dwóch kapo pakowało w tym czasie do bagażnika kosz piknikowy oraz kilka sztuk bagaży.

Po dziesięciu minutach Fischer po raz ostatni przekroczył bramę Wiśnicy w eskorcie dwóch motocykli, z powiewającą na dachu czerwoną chorągiewką z czarną swastyką. Poczul lekki smutek, że nie będzie mógł dokończyć zadania. Nadal pozostało mnóstwo jednostek do utylizacji, a nie dysponował danymi, jak wiele z nich rozpoczęło już marsz do Auschwitz – operacja się ślimaczyła i zamierzał porozmawiać na ten temat z Scholem w swoim czasie.

Niewielka kolumna sunęła pokrytymi śniegowym błotem wiejskimi drogami, mijając rząd za rzędem bosych więźniów rozpaczliwie brnących w śniegu. Kilkakrotnie przejeżdżali obok strażników przywołujących maruderów do porządku, bijących ich pałkami i kolbami karabinów, zostawiających na poboczu drogi skulone postaci, które zasypywał świeży biały śnieg splamiony teraz ich krwią. Strażnikom zależało na jak najszybszym dotarciu do Auschwitz. W grupie bezpieczniej.

Fischer był zajęty studiowaniem mapy z wygodnego tylnego siedzenia samochodu, który gładko posuwał się wzdłuż wijącego się jak wąż sznura nieszczęścia. Sto metrów dalej droga się rozwidła – znak wyraźnie wskazywał szosę do Oświęcimia. Strzałka kierowała w lewo. Fischer poinstruował kierowcę, by skręcił w prawo.



Schroder był pochłonięty kierowaniem operacją w Wiśnicy.

– Ilu kapo zostawiłeś? – zapytał Brauna.

– Dość.

Braun nie miał czasu na rozmowy, prowadził grupkę obdartych, złęczonych mężczyzn na pierwsze piętro bloku administracyjnego. Najpierw mieli skupić się na pomieszczeniu, w którym przechowywano większość statystyk oraz szczegółowe rejestry przyjętych do obozu. W pierwszych latach jego funkcjonowania fotografowano każdego więźnia i wprowadzano do kartotek dane osobowe. Dopiero po ostatnim znacznym powiększeniu placówki zaniechano tej biurokracji, a gdy wszedł w życie zmyślny nowy plan Scholego, sytuacja w obozie radykalnie się zmieniła. Przerabiali dziesiątki tysięcy dziennie. Koniec z tatuażami, koniec z fotografiami, koniec z kartotekami.

A co z tymi, których już zutilizowano? Od chwili przekroczenia bram Wiśnicy istnieli jedynie w sercach i pamięci bliskich. Zostali zredukowani do ptaszka albo krzyżyka na przyczepionym do podkładki formularzu; na dole strony podsumowanie: na każdy ptaszek przypadały setki krzyżyków.

Na górze otworzyło się okno, Braun krzyknął do Schrodera:

– Będę wszystko stąd wyrzucał. Odsuńcie się, póki nie skończymy, a potem zgarnijcie to na kupę. Jeden z moich ludzi idzie do garażu po benzynę, to przyspieszy spalanie. W porządku?

Schroder dał znak, że wszystko jasne, a następnie wydał kapo polecenia, co robić z dokumentami i kartotekami, które zaczęły już sfruwać z okien na piętrze.

Wkrótce pod budynkiem zebrały się stosy teczek i zbitki kart. Sporadycznie lądowała na dole cała szafka z dokumentami rozsypującymi się po ziemi. Do ogniska wrzucano także krzesła i biurka. W ciągu godziny opróżniono archiwa i rejestry z pierwszego piętra.

Schroder i Braun stali z boku, a dwóch kapo uwijało się wokół nich, zbierając luźne, fruujące kartki. Kiedy Schroder uznał, że wszystko gotowe, jeden z kapo polał stertę benzyną. Rzucono zapalną i stos eksplodował.

Po początkowym wybuchu, gdy góra papierysk i mebli zajęła się ogniem, płomienie przygasały, wzbijając w górę skrawki nadpalonych dokumentów zawierających dane setek tysięcy ludzkich istnień. Unosiły się w rozedrganym powietrzu, póki wiatr nie poniósł ich ponad zabudowania obozu. Dołączyły do prochów zmarłych, nieustannie wypluwanych przez kominy krematoriów. Ludzkie prochy i żarzące się skrawki papieru, utracone życie i szczątki dokumentujące jego istnienie wirowały, opadając na ziemię niczym delikatne szare płatki śniegu. Zniszczone bezpowrotnie, ale nigdy nie zapomniane.

Braun i Schroder obserwowali ognisko przez kilka minut, gdy nagle ten pierwszy oznajmił, że jeszcze raz rozejrzy się po piętrze, nim zajmie się parterem.

– Chcę się upewnić, że na górze wszystko opróżnione.

Zniknął, wrócił po kwadransie, rozcierając sobie ramię. Miał krew na rękawie, a gdy Schroder zapytał, co się stało, wyjaśnił, że skaleczył się rozbitym szkłem. Nic poważnego, nie ma się czym przejmować, zwłaszcza że wokół tyle do zrobienia. Ale miał jakąś dziwną minę i zachowywał się nerwowo, przez co Schroder poczuł się nieswojo, choć nie potrafił zrozumieć dlaczego. Z jakiegoś powodu Braun przestał patrzeć mu w oczy i naciągnął daszek czapki głęboko na czoło.

Braun zaczął zagarniać nogą do ogniska luźne karty i dokumenty, które zmiótł ze sterty podmuch gorącego powietrza. Raz po raz przystawał, oglądał jakąś kartę. Schroder obserwował kątem oka, jak Braun dyskretnie wsuwa jedną z nich do wewnętrznej kieszeni munduru.

– Zaraz wracam! – wrzasnął, przekrzykując trzask ognia, i bez dalszych wyjaśnień zniknął na schodach bloku administracyjnego, pokonując po trzy stopnie naraz.



W trakcie zamieszania panującego podczas zgarniania zdolnych do poruszania się o własnych siłach przed wymarszem do Auschwitz więźniów Ania i Zofia zdołały ukryć się w głębi baraku numer dwieście dwanaście. To tam umieszczano stare i niedołążne kobiety, a gdy uznawano, że barak jest wypełniony po brzegi, organizowano akcję i pędzono wszystkie do komór gazowych. Schroder stwierdził, że te kobiety nie dadzą rady przejść nawet na drugą stronę drogi, a co dopiero maszerować do Auschwitz, i zamierzał zająć się nimi później. Przecież nigdzie nie uciekną!

Ania i Zofia wbiegły tam przestraszone i bez tchu, na gwałt szukając kryjówki. Otoczył je niewyobrażalnie wstrętny fetor rozkładu, zdołały jednak pohamować odruch wymiotny i wejść głębiej. W dachu na końcu baraku było kilka dziur, przez które wpadał śnieg i usypywał przy niektórych pryzkach kopczyki. Dziury zapewniały przy okazji dość światła, by obie przekonały się, że większość łóżek jest zajęta. Patrzyły na nie z nich szare, wynędzniałe twarze, trzy lub cztery na każdym poziomie.

Krucze stare kobiety wyglądały jak wiedźmy z baśni Hansa Christiana Andersena. Jakaś zwiędła dłoń zaczęła tajemniczo do nich machać, skrzeczący głos zawołał:

– Tutaj, szybko. Na górę!

Ania i Zofia posłuchały bez słowa i zniknęły w cuchnących czeluściach baraku.

Na zewnątrz jeden wielki popłoch: polecenia wykrzykiwane przez Niemców nagłymi głosami, wystrzały, szarpiące się na smyczy psy, ujadanie, warczenie, szczyrzenie kłów. Teraz dołączył do tego jeszcze warkot silników, masowy tupot stóp na śniegu, strzelające gaźniki motocykli, wszelkie możliwe odgłosy świadczące o jednym: dzieje się! *Ruchy, ruchy!*

Po godzinie pod barakiem zrobiło się cicho, słychać było tylko upiorny świst zimnego wiatru poszukującego śladów życia wokół budynków. Ziemię pokryła cienka warstewka śniegu, ale przestał prószyć równie szybko, jak zaczął, jakby i on nie był pewien, co tutaj robi. Wkrótce wiatr też przycichł, a jedynym zauważalnym ruchem wewnątrz baraku numer dwieście dwanaście było mruganie anonimowych, wielkich i pełnych wyczekiwania oczu w mrocznych otchłaniach prycz. Wszystkie czekały. Tylko na co?

Co się teraz wydarzy? Kiedy wyczytają kolejne osoby i kto wyniesie zmarłych na zewnątrz, żeby można było ich policzyć i odhaczyć na liście strażnika? Funkcyjni z baraków musieli raportować liczby zmarłych, jak również żywych. Nie cierpieli tego zadania. Zwłoki wynoszono na zewnątrz na dowód ich istnienia, a stanie na zimnie wczesnego poranka, gdy Niemcy zajmowali się swoją papierkową robotą, było naprawdę dużym wysiłkiem.

Tylko jedna rzecz okazała się gorsza od apeli. Akcje. Z pozoru Niemcy organizowali je losowo, ale w istocie rzeczy nic nie pozostawiali przypadkowi. Ktoś naprawdę czytał wszystkie raporty, dzięki czemu wiedzieli, w którym baraku jest najwięcej chorych, starych i słabych. Od czasu do czasu urządzano akcje tuż przed porannym apelem: wzmożony ruch, światła latarek przeszywających ciemność niczym lance. Do działania wkraczali kapo wraz z psami szczerzącymi kły, niemieccy strażnicy stali w tym czasie na zewnątrz, paląc i gawędząc. Z łóżek wywlekano chorych i starych oraz tych uznawanych za niezdolnych do pracy – za ręce, za barki, za włosy. Szarpano ich, rzucono na zimne klepisko, bito bezlitośnie, a potem wyrzucano na zewnątrz, gdzie musieli podnieść się z ziemi o własnych siłach i ustawić w rzędzie.

Ci, którzy nagle stwierdzali, że są zdolni do pracy, krzyczeli desperacko: „Nie ja, ja mogę pracować, mogę się przydać, sam, sama mogę stąd wyjść, tylko mi pozwólcie!”. Ale ci naprawdę chorzy byli zadowoleni. Nadszedł ich czas, byli tak niehumanie wyczerpani. Koniec wreszcie się zbliżał, chwala Bogu. „Panie, proszę, niech stanie się to szybko, niech stanie się to szybko i sprawnie”.

Ania i Zofia ukrywały się w zauszonym legowisku wraz z kilkoma starymi kobietami, nad którymi czuwały – ich ostatni akt ludzkiej przyzwoitości w pozbawionym jej świecie. Wraz z zapadającym mrokiem popołudnia na końcach pryczy pojawiało się coraz więcej twarzy. Nikt nic nie mówił. *Były w stanie mówić?* Nikt się nie uśmiechał. *Były w stanie się uśmiechać?* Tylko cicho oddychały i mrugały tymi wielkimi, okrągłymi oczami. Widziały wszystko, choć nie było na co patrzeć. Czekały na to, co nadejdzie; i na Niemców, tych, którzy zawsze o tym decydowali. Gdzie oni byli?

54

Fischer miał w bagażniku mercedesa dwa pasiaki zamówione w tajemnicy kilka tygodni wcześniej. Schole nic o nich nie wiedział. Był tam również kosz z jedzeniem zawierający doskonałe sery, brandy, butelkę wyborowego francuskiego

szampana, a także kieliszki i pledy. Na tylnym siedzeniu obok komendanta leżała teczka wypchana obcymi walutami o różnych nominałach, przyborami do palenia i kilkoma mapami.

Gdy auto powoli toczyło się naprzód, Fischer zajmował się czytaniem różnych ściśle tajnych rozkazów i komunikatów wydanych przez naczelne dowództwo: „wyłącznie dla upoważnionych”. W wewnętrznej kieszeni pistolet, w lewej kieszeni munduru zegarek.

Skarbiec opróżniono poprzedniego wieczoru pod nadzorem Scholego. Jako jedyny znał jego nową lokalizację, prócz kapo, którzy załadowywali i rozładowywali ciężarówki, oni jednak zostali „zutylizowani w trybie pilnym”. Schole nie mógł się nie uśmiechnąć na myśl, że jest jedyną osobą na całym świecie, która wie, gdzie znajdują się łupy komendanta i jak się do nich dostać. Był bezpieczny. Miał przed sobą przyszłość.

W górnej kieszeni ukrył niewielki notes, a w tym notesie zanotował na pozór przypadkowy adres – lokalizację fortuny komendanta. Gdyby ktoś ukradł notes albo gdyby przypadkiem wpadł on w niepowołane ręce, nikt nie miałby pojęcia, co ten adres znaczy. Na wszelki wypadek Schole zapisał go też sobie w pamięci. W razie zaginięcia notesu jedyną osobą na kuli ziemskiej, której Schole przekazałby tę informację, był sam komendant – jego komendant.

Wkrótce po skręcie w prawo na rozwidleniu dróg Fischer rozkazał dwóm motocyklom eskorty zawrócić i dołączyć do pochodu strażników oraz więźniów zmierzających do Auschwitz. Został teraz tylko mercedes z szoferem i Scholem na przednich siedzeniach oraz ich panem i władcą z tyłu, w otoczeniu map, dzienników i dokumentów.

Fischer oderwał się na moment od papierów, podniósł głowę, rozejrzał się po okolicy i zawołał do kierowcy:

– Hans, zjedź na tamtą polankę przed nami i otwórz bagażnik!

Auto z cichym warkotem zatrzymało się z boku szutrowej drogi, Fischer dał znak, by zgasić silnik. Na szczęście nie padał śnieg. Gdy komendant wysiadł i poszedł na tył samochodu, bagażnik został już otwarty, a kierowca stał obok na baczność, czekając na dalsze polecenia. Komendant zaczął grzebać w koszu piknikowym, wyłaniając się chwilę później z udkiem kurczaka w zębach, butelką wybornego szampana oraz dwoma kieliszkami w lewej dłoni.

Tylko dwoma.

Kierowca przyglądał się, jak Fischer otwiera szampana, i w głębi serca poczuł się pokrzywdzony. Komendant mógłby przynajmniej poczęstować go trunkiem o tej późnej godzinie. Przez cztery lata okazywał mu lojalność, był na każde jego skinienie dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu,

wielokrotnie woził go bezpiecznie po Polsce. Kilka razy w roku wiozł go nawet do Berlina, ponieważ Fischer nie znosił latania.

Woził też tę jego głupią przyjaciółkę, Cycatą Tinę, która siadała nadąsana na tylnym siedzeniu w taki sposób, by we wstecznym lusterku widział jej dekolt, gdy jechali do Krakowa czy Warszawy na kolejne rozrzutne zakupy. Po tym wszystkim, co musiał znosić, z pewnością zasługiwał na wypicie kieliszka francuskiego szampana ze swoim szefem.

Kierowca usłyszał wystrzał korka, ale do jego uszu nie dotarł trzask odbezpieczanej broni na moment przed tym, jak Fischer strzelił do niego z bliskiej odległości.

Komendant wydawał się kompletnie nieporuszony, przestępując zwłoki swojego oddanego szofera. Odgryzł ostatni kęs udka, cisnął resztki w krzaki, a potem wręczył Scholemu kryształowy kieliszek i napełnił go szampanem, jak gdyby zażywali rozrywki na wyścigach konnych.

Schole przyjął kieliszek i starał się zachowywać tak, jakby śmierć kierowcy nie zrobiła na nim większego wrażenia. Dość szybko wyciągnął wnioski, zdał sobie sprawę, że musiało się tak stać – chodziło o to, by zostali tylko we dwóch: on i komendant. No przecież, jasna sprawa! Ucieszył się, że jest teraz jedynym człowiekiem w życiu Fischera, jedynym, na którym komendant polegał. Któremu ufał na tyle, by zostawić go przy sobie. Co z tego, że Fischer zmieniał porządek rzeczy omówiony jeszcze przed ewakuacją. W końcu to on był komendantem. Wszystko jest w porządku.

Dziesięć minut później, po opróżnieniu połowy butelki szampana, Fischer wyjął z bagażnika torbę, przeprosił Scholego, po czym udał się za krzaki, gdzie pospiesznie zdjął mundur. Zostawił na sobie ciepłą zimową bieliznę i wcisnął się w pasiak. Był teraz jednym z więźniów.

Fischer wypuścił się niedawno w tajemnicy na zakupy i wybrał dwa komplety nowiutkich piżam w paski. Największy rozmiar, jaki udało mu się znaleźć. Miały za długie nogawki i były przyciasne w pasie, ale żydowski krawiec, którego zatrzymał z jednego z pierwszych transportów, zdołał dokonać odpowiednich poprawek. Piżama nadal była ciut za ciasna, ale dało się wytrzymać.

Ubrany w pasiak Fischer miał gotowe alibi.

Przebywał w obozie tylko dwa dni, Gestapo wywlekło go siłą z jego zakładu pracy w Krakowie i oskarżyło o machlojki. Był handlowcem, wojna okazała się dla niego łaskawa; dobrze prosperował dzięki czarnemu rynkowi – to znaczy dopóki to przekłete Gestapo nie zabrało go do Wiśnicy. To miało wyjaśniać jego dobrą formę w porównaniu z innymi więźniami. Bajeczka Fischera była tak przekonująca, że niemal sam w nią uwierzył!

Czuł, że jego dobrze wyćwiczony polski akcent brzmi dość znośnie, a jedyną luką, jaką dostrzegał w swoim planie, był brak dokumentacji. Z drugiej strony, co w tym dziwnego? Zawsze mógł powiedzieć, że Gestapo zabrało mu papiery, prawda? Tak, właśnie tak powie. Był przekonany, że przy sprzyjających wiatrach i odrobinie szczęścia może mu się upiec. Dlatego pozwolił Tinie na ucieczkę. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była bliskość kogoś, kto mógłby ujawnić jego tożsamość, próbując ratować własny tyłek. Wiedziała wszystko o jego tajnym magazynie skarbów, o emeryturze, na szczęście Schole przeniósł skarbiec w inne miejsce, więc i tak nie mogłaby niczego udowodnić. Nie liczyła się.

Tak czy owak, przyjdzie na nią czas, i to bardzo szybko. Odwet na takich kolaborantach jak Tina będzie błyskawiczny i bezlitosny. Będzie starała się nie rzucać w oczy, podobnie jak Fischer oraz inni członkowie SS.

Fischer w końcu wyłonił się zza krzaków, zarzuciwszy na ramiona więzienny koc dla ochrony przed chłodem.

– Fritz, jest zimno jak cholera, idź się przebrać i się pospiesz. Zostawiłem dla ciebie w krzakach piżamę. Razem spalimy nasze mundury. Mam gdzieś schowaną butelkę brandy i trochę dobrego sera. Dogodzimy sobie przed dalszą podróżą, co ty na to?

Brytyjczycy uchodzili za „dżentelmenów” nawet podczas wojny. Fischer wiedział, że przyzwoicie potraktują każdego więźnia (czy też każdego, kogo uznają za więźnia), któremu udało się zbiec podczas zamętu towarzyszącego ewakuowaniu przez Niemców obozu koncentracyjnego.

Wiedział też, że Brytyjczycy nie są tacy bystrzy, jak im się wydaje. Był przekonany, że jego plan się powiedzie, ponieważ mają teraz pełne ręce roboty z trupami Żydów. Najgorsze, co może się mu przytrafić, to wpadnięcie w ręce Rosjan. Będzie musiał nieco się nagimnastykować, by się na nich nie napatoczyć, inaczej sam może skończyć w obozie zagłady – jeśli wcześniej nie wykonają na nim egzekucji na poboczu drogi. W opinii Fischera Rosjanie stanowili główne ryzyko, ale jaki miał wybór?

Zamierzał się ukrywać, dopóki nie nadejdzie jakaś jednostka armii brytyjskiej. Może natknie się na pojedynczy samochód, czołg, może nawet konwój, kto to wie, lecz jeśli ktoś potrafi zamydlić Brytyjczykom oczy, to właśnie Baldric Fischer!

Schole zniknął już za krzakami, lekko podchmielony po wypiciu szampana i dziwnie odurzony perspektywą przyszłości z Fischerem. Komendant najwyraźniej wszystko zaplanował, załatwił mu nawet tę okropną pasiastą piżamę, żeby mogli zostać razem wyzwoleni!

Fischer zdawał się ufać Scholemu bezgranicznie. Może był zadowolony, że Tina i Ania zniknęły z jego życia; czyżby to stanowiło część wielkiego planu? Ostatnio komendant dystansował się od wszystkich z wyjątkiem niego, choć był

też za pan brat z Hoessem, jadał z nim kolację co najmniej dwa razy w tygodniu i codziennie do siebie dzwonili.

Scholemu udało się przeczytać osobisty liścik, który Hoess przesłał przez kuriera zaledwie dwa dni temu. Zauważył słowo „trybunał”, ale komendant porwał pismo z biurka i schował je do wewnętrznej kieszeni, gdy uświadomił sobie, że Schole usiłuje odczytać je do góry nogami.

Skacząc w krzakach na jednej nodze i próbując wciągnąć spodnie przez buty, Schole usłyszał świst. Samochód stanął w płomieniach. Gęsty czarny dym buchnął w górę, poczuł swąd, gdy w powietrzu zaczął się rozdymać potężny balon ognia. Żar był intensywny, rozległ się charakterystyczny odgłos pękającego szkła i skwierczących zarośli. Wreszcie udało mu się wbić w te idiotyczne pasiaste spodnie.

Kiedy wkładał przez głowę górę od piżamy, wyczuł pod palcami krawędzi jakiejś innej tkaniny, przyszytej do bluzy łąty. Był to trójkąt różowego materiału na piersi po lewej stronie. Krew odpłynęła mu z twarzy. Myśli pognały w tysiącu różnych kierunków, zanim jednak zdążył je pozbierać, usłyszał trzask gałęzi, a gdy się odwrócił, by sprawdzić, co się dzieje, znalazł się twarzą w twarz z Fischerem, który mierzył do niego z broni.

– Komendancie!

– Spokojnie, Fritz, spokojnie. Nic ci się nie stanie. Wszystko będzie dobrze. Daj mi tylko notes z lokalizacją mojego skromnego funduszu emerytalnego. –

Fischer mówił przyjaznym, opanowanym głosem. Ale miał rewolwer. A oczy ciemne i zimne. Usta zaciśnięte. – Chcę adres, Fritz, i nic nie kombinuj, dobrze?

– Jest w kieszeni mojego munduru, komendancie, nie ukrywam go przed tobą. Nigdy niczego przed tobą nie ukrywałem – powiedział Schole, dotykając palcami różowego trójkąta na piersi.

– Wiem, Fritz. Widzisz, i w tym właśnie problem. Może powinieneś być zataić przede mną niektóre rzeczy, nie uważasz? Zresztą mniejsza o to, teraz chcę tylko notes. Rzuć mi go, bądź kumplem.

Schole schylił się i zaczął grzebać przy bluzie munduru, ani na sekundę nie spuszczać wzroku z komendanta. Wiedział, że ma gdzieś służbowy pistolet, ale gdyby za niego chwycił, pozostałby bez żadnych szans. Zresztą dlaczego miałby się martwić? To absurdalne. Wszystko będzie dobrze, przecież sam komendant załatwił mu tę pasiastą piżamę, tak czy nie? Nie chce go skrzywdzić, prawda? Tylko dlaczego postanowił poprosić go o ten adres, stosując taki przymus? Dlaczego groził jedynej osobie, która zawsze się za nim wstawiała? Schole znalazł notes i rzucił go komendantowi.

– Dziękuję, Fritz. – Nie wypuszczając broni z ręki, kartkował notes, aż wreszcie zatrzymał się w miejscu, które zwróciło jego uwagę. Pokazał stronę

Scholemu. – To jest ten adres?

– Proszę, komendancie, proszę – błagał Schole, ale Fischer uciszył go ruchem ręki trzymającej rewolwer. Nie miał czasu na ceregiele, Schole widział to wyraźnie. – Oczywiście, komendancie! Tyle że napisany wspak.

Fischer milczał ze zdziwioną miną. Schole znów się odezwał:

– Tam jest nazwa ulicy, komendancie. Numer 1201 Aksnyszrowaj?

– Zgadza się.

– Adres brzmi: Jaworzyńska 1021. Na odwrot. – Schole uniósł brwi. – Miasto jest napisane poprawnie, Kraków, ale nazwę ulicy zapisałem wspak.

– Po co, na litość boską?

– Żeby zabezpieczyć twoją przyszłość, komendancie. Z żadnego innego powodu. Mówiłem ci o tym, Baldrice, między nami nie było tajemnic. Po tylu latach...

– Jedna była, Fritz, i to po twojej stronie. Czy raczej tak ci się wydawało. – Fischer wskazał lufą rewolweru różowy trójkąt na piersi Scholego.

Ten poczuł, jak się czerwieni.

– Kiedy się dowiedziałeś, komendancie?

– Myślisz, że jestem ślepy? Wiedziałem od początku, ty cholerny idioto. Dlatego muszę to zrobić.

Zanim Schole zdążył wykrztusić słowo, Fischer z całym spokojem wpakował w jego ciało cztery kule i patrzył, jak jego asystent upada na ziemię, obficie krwawiąc z piersi i barku.

Schole kaszlnął z trudem, w kąciку ust zebrała mu się odrobina krwi.

– Dlaczego, komendancie? Dlaczego?

– W Nowym Ładzie nie ma miejsca dla takich jak ty, Fritz – oznajmił stojący nad nim Fischer. – Czy choć przez moment się łudziłeś, że Führer pozwoliłby ci żyć po twojemu, kiedy ja wróciłbym do Berlina, do bunkra? On nienawidzi takich jak ty. Nie widzi różnicy między dewiantami a wywrotowcami, wiesz o tym. Takie obleśne zasrane cioty jak ty nie mają racji bytu w naszym świecie, Fritz. Führer zawsze jasno stawiał sprawę.

Fischer po raz ostatni uniósł rewolwer i oddał kolejne dwa strzały.

Na twarzy Scholego pojawił się wyraz niedowierzania. Zamknął oczy, wymamrotał: „*Mein Commandant*”... i odszedł na zawsze.

Fischer wzruszył ramionami. Zbyt długo zwlekał, by rozprawić się z Scholem, ale ten człowiek miał przenikliwy umysł i był najlepszym zarządcą w Rzeszy. Wielka szkoda.

Spojrzał na broń w swojej prawej dłoni, ciężką, za to niezawodną, pamiątkę z pierwszej wojny światowej: angielski rewolwer enfield MK1, kaliber 0.476. Fischer go uwielbiał. Podobnie jak kolekcja fajek i zegarek kieszonkowy,

stanowił on kolejny drobny luksus, który wysoko sobie cenił, kolejny wyznacznik człowieka, którym był. Większość jego kolegów w SS obnosiło się z wytworami najnowszej technologii, lugerami albo waltherami p38s. Ale nie on. Pewnie śmiali się ze starego enfieldda, ale o jego skuteczności świadczyły teraz dwie ofiary śmiertelne. Problem w tym, że udawał obecnie więźnia obozu koncentracyjnego, jak by więc wytłumaczył posiadanie broni? Nie miał innego wyjścia, musiał cisnąć rewolwer wraz z amunicją jak najdalej w las.

Przez krótką chwilę Fischer poczuł się dziwnie bezbronny, odarty z władzy i autorytetu, w dodatku nieuzbrojony. Nie decydował już o życiu i śmierci, już nikt mu nie nadskakiwał, by go zadowolić. Nie miał norm do wyrobienia, nie miał budżetów ani harmonogramów, nie miał komu raportować. Poczuł jakąś dziwną wolność.

Pozbierał mundury SS, swój i Scholego, rzucił je na ciało wiernego towarzysza, przytaszczył połamane gałęzie, położył je na wierzchu i udał się na polankę, gdzie zostawił jeszcze jeden kanister benzyny. Oblał nią zwłoki i wszystko wokół nich, a potem podpalił. Wielki płomień ze świstem wystrzelił w górę. Fischera przeszedł dreszcz. Otulił się kocem, wrócił przez zarośla na drogę z zamiarem czekania na Brytyjczyków.

55

Od kilku tygodni BBC nadawało komunikaty o zwycięstwach aliantów w Europie. Wojska alianckie znajdowały się już w granicach Polski, Rosjanie szybko wkraczali. Dla wszystkich związanych z Wiśnicą koniec był bliski. Braun wiedział od tygodni, że należy zacząć myśleć o przyszłości. Opracowany przez niego plan nie czekał długo na realizację, a Schroder nieumyślnie mu w tym pomógł, prosząc, by został w obozie i zniszczył archiwa, dając mu tym samym doskonałą okazję do upozorowania zniknięcia.

Kiedy Braun patrzył na stos płonących akt, jego wzrok przykuła pewna twarz. Wyglądała bardziej na gojską niż żydowską, ale na karcie widniała czerwona pieczętka „*Juden*”. Mężczyzna na podniszczonej fotografii był trochę do niego podobny: kościsty, z ogoloną głową, wydatne kości policzkowe, głęboko osadzone oczy. Nawet wykrzywiony w grymasie kącik ust – w tej twarzy nie było strachu, tylko pogarda. Istniało prawdziwe podobieństwo między Braunem a człowiekiem ze zdjęcia, któremu nadano numer 27944; nazywał się Paweł Michalik.

Braun przez chwilę przyglądał się karcie, po czym wepchnął ją sobie do kieszeni. Wrzasnął do Schrodera, że ma coś do zrobienia, i popędził na piętro.

Przekonał się, że niełatwo jest własnoręcznie się wytatuować. Igła zamiast drapać skórę, zdawała się wyszarpywać jej fragmenty. Mimo to wkrótce na jego przedramieniu widniał numer 27994. Nie musiało to być dzieło sztuki, kapka tuszu nada mu pewnej wiarygodności. Później wtarł w ranę trochę pyłu z podłogi. Zabieg ten dość skutecznie zatamował krwawienie. Następna rzecz to znalezienie maszynki do włosów.

Kiedy Braun wrócił do ogniska, nasunawszy głęboko czapkę na świeżo ogoloną głowę, zorientował się, że Schroder łypie na niego podejrzliwie. *Co Chart robił na górze i dlaczego tak dziwnie trzyma rękę? Co tu jest grane?* Braun starał się zachowywać jak gdyby nigdy nic, ale aktorstwo nie było jego mocną stroną. Schroder robił się coraz bardziej podejrzliwy, a potem sam zniknął, wbiegając na piętro po trzy stopnie naraz, obejrzawszy się jeszcze na Brauna, kiedy mijał na schodach kapo.

Znalezienie maszynki do tatuażu oraz włosów w umywalce zajęło mu tylko kilka minut. Szybko połączył fakty, zanim jednak wrócił na dół, Braun zniknął. Kapo twierdzili, że niczego nie widzieli; ze spuszczonej głowami pracowali przy ognisku. Gdzie podział się Chart?



Braun zdążył już pomyśleć o tym, że może nie wystarczy ogolić głowy i wydrapać sobie kilka cyfr na przedramieniu. Jeśli ma wtopić się między pozostałych więźniów, musi także zmienić wygląd cery. Choć był z natury chudy, musiał zadać sobie więcej trudu, by idealnie wpasować się w otoczenie. Gdy biegł w stronę krematorium, uderzyła go cisza i pustka, ale nie mógł marnować czasu – musiał szybko znaleźć jakieś zwłoki! Im głębiej się zapuszczał, tym więcej ich znajdował. Wynędzniałe twarze spoglądały na niego z każdego rogu.

Braun zatrzymał się przy baraku, obok którego leżał pod ręką stos ciał. Rozebrał się, wziął garść zimnej ziemi i wysmarował nią swoje nagie ciało: wtarł ją w każdą zmarszczkę na skórze, w małżowiny uszne, między palce stóp, wszędzie. Spowił go ohydny smród. Nie potrzebował wiele czasu, by zauważyć ironię: wykorzystywał żydowskie prochy do postarzenia swego wątłego, białego, niemieckiego ciała i ogolonej głowy.

Czas miał zasadnicze znaczenie, ponieważ Schroder na pewno zaczął już go szukać. Braun stał samotnie, całkiem nagi, szcząkał zębami, czuł mrowienie w palcach stóp i dłoni, którym ziąb powoli odbierał czucie. Co teraz? Ubrania! Ciała były przysypane cienką warstwą śniegu, leżały bezładnie, ręce splecione

z nogami, głowy wciśnięte między uda, zapadnięte brzuchy, sterczące łopatki i żebra, puste oczodoły w bladych twarzach. Niektórzy z tego stosu wciąż mieli na sobie pasiaki.

Chwycił jakieś ramię i próbował wyciągnąć ciało ze sterty, ale wszystko było pomieszane niczym elementy makabrycznej układanki. To ramię łączyło się z tym barkiem, ale już głowa zdawała się należeć do tamtego tułowia, stopa, za którą szarpnął, była zespolona z kimś zagrzebanym głębiej w tym potwornym stosie. Gdy tak stał, próbując rozgryźć ten galimatias kończyn, zauważył, jak drgnęło jakieś ramię. Patrzył, jak wsuwa się na poprzednie miejsce, z którego próbował je wyjąć – to był celowy ruch.

Cofnął się w przerażeniu.

Ono żyło!

To ramię żyło!

Czyli ktoś w tej stercie trupów wciąż jeszcze oddychał! Pociągnął za inną kończynę, tym razem nogę, zaskakująco lekką, kruchą strukturę, która zdawała się częścią porzuconej marionetki. Szarpnął ją oburącz, wykręcając w taki sposób, jak oddziela się udko od świątecznego indyka. Coś pękło, gdy obracał kończynę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, i w końcu się poddała...

Pod rozerwaną skórą na stawie ziała otwarta rana, ale ze środka nie wypłynęła ani kropla krwi. Purpurowa dziura była wstrząsającym widokiem, dobrze widoczna biała kość raziła obrzydliwością. Wypuścił kończynę, która opadła z powrotem na płataninę różnych części ciała. Smród rozkładu dotarł do jego nozdrzy niczym obłok niewidzialnej mgły. Odwrócił głowę, by nie zwymiotować. Musi to zrobić, musi znaleźć jakieś ubranie, ale jak odróżnić żywych od zmarłych? Zastanawiał się, jak udawało się im oddzielać ciała z tego kłębowiska przed wsadzeniem ich do krematoryjnych palenisk. Kto trzymał się jeszcze życia, a kto był martwy? Braun uświadomił sobie, że dla Sonderkommando prawdopodobnie nie miało to znaczenia. Nagle zamrugła do niego para apatycznych oczu. Musiały należeć do tego żywego ramienia! Dwie okrągłe i zmętniałe gałki oczne osadzone głęboko w oczodołach przypominających pieczary w kościstej, obciągniętej skórą twarzy, mrugające raz po raz, jakby wysyłały wiadomość alfabetem Morse'a. Wydawały się niezadowolone. *Jak śmiesz mnie niepokoić! Nie widzisz, że umieram? Zostaw mnie w spokoju, do cholery!*

Braun rzucił się na stertę ciał ze wzmożoną energią. Odsunął na bok obrzydzenie, przekopując szczątki tych plugawych Żydów, i wreszcie trafił na ubrane ciało na wierzchu mocno zredukowanej sterty. Ciało żyło. Próbował zdjąć z niego pasiastą bluzę, ale ku jego zaskoczeniu stawiało opór, z rozpaczliwym wysiłkiem walcząc o zachowanie resztek godności.

Braun wrzasnął.

– Puść, na litość boską, puść!

I nim zorientował się, co robi, jego pięść wylądowała na znajdującej się przed nim wymizerowanej twarzy. Jakby uderzał w kawałek drewna. Nic nie amortyzowało ciosu, ponieważ pod skórą nie było ciała. Szybko było po wszystkim. Żadnej szarpaniny, wymiany ciosów, oporu. Braun prędko zdarł ubranie i przebrał się w pasiasty strój, nie zważając na smród bijący od sztywnej tkaniny. Głowa, której wymierzył cios, leżała nienaturalnie wykręcona, wciąż żywa, pod prawym okiem wyrósł twardy guz.

W żołądku wezbrała fala obrzydzenia, Braun głośno zwymiotował na ziemię. Miał ochotę kopnąć głowę z tymi mrugającymi, smutnymi oczami, docisnąć ją butem, poskakać po niej i rozgnieść na miazgę, lecz nagle usłyszał gdzieś niezbyt daleko ujadanie psów. Światło popołudnia powoli przygasało. Spod baraków wypełzały cienie, rozlewały się na drogi niczym ciecz zamierzająca pochłonąć wszelkie pozostałe jeszcze na ziemi plamy światła. O tej porze roku wiatr zwiastował zwykle nadejście nocy, teraz jednak niósł ze sobą jeszcze coś złowieszczego.

Nikt tak bardzo nie pragnął tych cieni jak trzymające się jeszcze życia ludzkie ciała. One wiedziały, że obezwładniający ziąb zabierze je ze sobą, zanim rozproszy się o świcie wraz z pierwszymi promieniami słońca. Cienie je pożrą, noc wysysie z nich życie i zostawi je tam, gdzie spoczywają, na tym ludzkim wysypisku śmieci, patrzące w pustkę, ze znieruchomiałymi powiekami. Nie czekające już na nic.

Braun oszacował, że psy są mniej więcej cztery przecznice dalej, wrywają się na smyczy – sądząc po odgłosach – wyczuwszy jego trop. Zabrał swój porzucony mundur, pobiegł za róg do krematorium i cisnął ubranie do otwartego pieca, w którym trzy szkielety kurczyły się w jaskrawożółtym ogniu. Przystanął na chwilę i obserwował, jak płomienie pochłaniają mundur.

Wokół było mnóstwo stert śniegu, ale to nie zasy naniesione w narożnikach przez lodowaty wiatr. To były kopce zwłok przysypane popiołem i śniegiem. Tu i ówdzie, w miejscu, gdzie słońce roztopiło śnieżną pokrywę, sterczało ramię uniesione w powietrzu w taki sposób, jakby chciało złapać rzuconą przez dziecko piłkę. Braun się przyglądał, niemal oczekując, że ciało powoli wygrzebie się spod śniegu i stanie przed nim, otrzepie się i oddali mimochodem.

Potrzebował więcej ziemi i popiołu, by zamaskować własny zapach. Zaczął biegać wokoło, rozglądając się za błotnistym miejscem, rzucił się w nie i wytarzał, a następnie przyklepał do siebie brud. Znów rozszedł się zapach śmierci, brutalnie wdzierał się w nozdrza, gdy Braun schylił się po kolejną garść żydowskich prochów, które wtarł sobie w twarz. A potem w skórę głowy, w uszy, w nos, póki nie wżarł się w nie brud i smród tych, których już nie było.

Na prawo po drugiej stronie drogi leżały kolejne ciała. Tyle zwłok. Niczym kopce jesiennych liści. Co dziwne, w tym miejscu nie czuł żadnego zapachu. Może chłód zamroził go w ich wnętrzach, a może po prostu nie miało co się w nich rozkładać, pozostała sama skóra i kości oraz kilka gałek ocznych dla szczurów do obgryzania.

Z początku nie zauważył szczurów. A potem kątem oka dostrzegł, jak coś porusza się między jednym a drugim stosem ciał. I jeszcze fragment jelita wleczony po ziemi niczym pęto kiełbasy, i dalej w górę po ścianie, a potem zniknął między krokwiami blaszanego dachu najbliższego baraku. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że szczury są wszędzie: czerwone punkciki, parami, mrugające od czasu do czasu, cierpliwie wypatrujące okazji, by zabrać się do swojej odrażającej pracy. Kiedyś chętnie oddawał się rozrywce strzelania do gryzoni po pijaku na chybił trafił, ale teraz nie czas na wspominki.

Braun zaczął wyciągać przypominające szkielety ciała ze sterty obok krematorium, schludnej, starannie ułożonej, gotowej do umieszczenia na tacach, które wsuwano prosto w płomienie. Psy były już o wiele bliżej... Szybko odłożył na bok cztery, pięć, sześć trupów, serce mu waliło, oczy błyszczały, lustrując sąsiednie zabudowania, wypatrując jakiegokolwiek ruchu. Psy wyły, żądne krwi, skore do rozerwania go na kawałki pod okiem Schrodera – *ten chudy skurwysyn będzie miał nauczkę.*

Braun zdołał zakopać się między warstwami zwłok, pozostawiając małą szczelinę w beładzie kończyn i innych części ciała, by widzieć, co się dookoła dzieje.

Gdy skończył układać się w odpowiedniej pozycji, zobaczył je, jak wybiegają zza rogu, cztery psy szarpiące się na smyczach trzymany przez dwóch strażników – jednym z nich był Schroder.

Wydawał polecenia, usiłując przekrzyczeć ujadanie, a wtedy jeden z psów się wyrwał. Ziemia zadudniła pod potężnym dobermanem pędzącym prosto do jego kryjówki. Braun zamknął oczy, wstrzymał oddech i próbował opanować szczękanie zębów, gdy zwierzę zaczęło wciskać w stos ciał swój masywny łeb. Czuł wręcz na twarzy jego cuchnący oddech, gdy pies torował sobie pyskiem drogę. Braun otworzył oczy. Przywitało go gardłowe warczenie. Znalazł się praktycznie nos w nos z wielką, śliniącą się bestią.

Walentyna Wilk postawiła przed Rolfem Schroderem wielki talerz ze sznyclem. Zatrzymano ją w charakterze kucharki do czasu zniszczenia całej dokumentacji oraz pozbycia się reszty więźniów. Schroder dźwigał teraz dodatkowe brzemie w postaci znalezienia Charta, co bez wątpienia okaże się jego najtrudniejszym zadaniem.

Walentyna nauczyła się mówić właściwe rzeczy właściwym ludziom we właściwym czasie. Trzy lata gotowania w oficerskiej kantynie pozwoliło jej opanować przynajmniej tę sztukę, nawet jeśli żadnej więcej. Personel Wiśnicy lubił ją i jej gotowanie. Na razie czuła się bezpieczna, ale co zamierzali z nią zrobić, gdy skończy się dla niej praca? Trzeba trzeźwo myśleć.

– Widziałeś tego jebanego psa biegającego z ręką w pysku? – zapytał z pełnymi ustami Meike Wuttke z psiego oddziału. – Czyste szaleństwo, mówię ci. Zanurkował w tę stertę pod krematorium i wywlókł stamtąd całe pieprzone ramię! Ganiał z nim przez dziesięć minut jak głupi, bo i jest głupi! Powinniśmy mieć owczarki, a nie doberman. Równie dobrze można by mieć pierdolone pudle!

Schroder głośno się roześmiał, opróżnił szóstą butelkę piwa i cisnął ją za siebie. Roztrzaskała się o ścianę i rozprysła na tysiące odłamków.

– Najbardziej chciałbym Charta, nie jakiegoś pudla czy dobermana. Gdzie on jest, co? Gdzie się zaszł ten nasz pieprzony Chart?

– Pewnie poszedł do psiego nieba. Ulotnił się jak kamfora, bez śladu!

– Nie wydaje mi się, Wuttke, przyjacielu, nie wydaje mi się. On nadal tu jest. Czuję to. Znam go lepiej niż ktokolwiek i nie mam wątpliwości, że ten podstępny skurwiel gdzieś się tu ukrywa. I ja go złapię, Wuttke, wspomnisz moje słowa!

– No więc go złapiesz. I co? Co wtedy zrobisz z jego kościstym ciałem?

Schroder się zamyślił, wepchnął sobie do ust kęs sznycła i powiedział:

– Pocałuję go, a potem zabiorę na wakacje.

– Że co?

– Zabiorę go stąd, zadbam o jego bezpieczeństwo, zaopiekuję się nim i dopilnuję, żeby nie wpadł w łapy Rosjan. Ma gdzieś ukrytą moją część łupów i póki jej nie dostanę, włos mu z głowy nie spadnie, tego możesz być pewien!

– A jak wreszcie położysz łapy na skarbie? Co wtedy?

– Zdrajca na zawsze pozostanie zdrajcą, mój drogi Wuttke! Słuchaj, wiesz co? Jeśli znajdziesz go żywego przede mną, podzielę się z tobą. Co powiesz na dziesięć procent?

Wuttke siorbnął piwo.

– Powiem, że to mniej niż dwadzieścia procent! – Jego tłuste policzki zatrzęsły się z zachłanności i po raz pierwszy od wstąpienia do wojska i przydziału do psiej jednostki Wuttke się uśmiechał. Zanosilo się na to, że ta wojna mimo wszystko będzie miała przyzwoite zakończenie. – Jak myślisz, ile jeszcze czasu?

- Dwa dni. Najwyżej trzy. Nie więcej.
- A jak wkroczą tamci, Ruscy?
- Nie zastrzelą nas. Jesteśmy nieuzbrojeni i nie stanowimy żadnego zagrożenia. Mam gdzieś opaski Czerwonego Krzyża. Będziemy opiekować się chorymi, starać się ze wszelkich sił, by przygotować wszystko dla wyzwolicieli. Do tego czasu nie pozostanie tu już nikt, kto mógłby wywołać nas po nazwisku czy wytknąć palcem podczas konfrontacji. Nikt, kto mógłby powiedzieć Rosjanom, co robiliśmy.
- Z wyjątkiem...
- Z wyjątkiem Charta.



Baldric Fischer wałęsał się bez celu zamarzniętymi leśnymi ścieżkami, zziębnięty, bezbronny i bardzo samotny. Miał przy sobie swoją teczkę, ale żałował, że wyrzucił rewolwer, to był wielki błąd. Gdyby zatrzymał broń, nie czułby się tak narażony na niebezpieczeństwa. Jego wojna nie tak się miała skończyć. Jego przeznaczeniem było wbijanie kolorowych pinezek w mapy i planowanie ruchów wojsk ze strony Führera w ciepłym berlińskim bunkrze, a nie gramolenie się przez powalone pnie drzew w zaśnieżonym polskim lesie. Postanowił zrobić postój i rozpalić małe ognisko w pobliżu jednej z większych polnych dróg – miejsce dobre jak każde inne, jeśli czeka się na Brytyjczyków.

Udało mu się znaleźć pod drzewami trochę suchych patyków i niewielkich gałęzi, których nie zasypał śnieg. Gdzieś w oddali słyszał od czasu do czasu huk ciężkiej artylerii, potem pach, pach, pach z karabinu maszynowego i to wszystko. Raz wystraszył się jelenia i zaczął nagle myśleć o wilkach. Czy w polskich lasach żyją wilki? Schole by to wiedział.

Fischer miał kilka małych kapsułek z cyjankiem ukrytych w szwach swojego specjalnie spreparowanego pasiaka. Siedząc na kłodzie, otulony nowiutkim kocem, obracał je w palcach. Nie chciałby zażywać cyjanku, ale wytyczne Berlina były w tej kwestii jasne. W żadnych okolicznościach nie wolno mówić o Ostatecznym Rozwiązaniu ani pozwolić, by istotne akta wpadły w ręce wroga. Istniały jednak rzeczy dużo bardziej obciążające niż dokumenty: osobiste zeznania. Wszystkim komendantom obozów wydano stanowcze rozkazy, że w razie pojmania nie wolno im opowiadać o swojej roli ani o otrzymanych dyrektywach. Po to był cyjanek: do ochrony integralności planów Führera. Ostatecznie nawet gdyby Niemcy przegrały wojnę, byłaby to jedynie drobna komplikacja. Bo Führer wróci, silniejszy niż kiedykolwiek dotąd, czyż nie tak?

Kiedy Fischer siedział na kłodzie, próbując rozgrzać się przy trzaskającym ogniu, jego myśli podryfowały do okresu świetności w Wiśnicy. Bankiety, uznanie, zaszczyty, liczby zutilizowanych jednostek – w końcu pokazał Hoessemu, co potrafi! No i... kobiety. O tak, kobiety. Tina. Bardzo doświadczona, wiedziała, jak dogodzić mężczyźnie, ale zarazem wymagająca i pragnąca uwagi. A później trafiła się piękna Ania o dwóch różnych kolorach tęczy i wspaniałym ciele. A jaka pojęta, jaka skora do dawania mu rozkoszy! To były cudowne czasy...

Teraz jedyne, co musiał zrobić, to dotrzeć do następnego miesiąca. Cztery tygodnie. To wszystko, czego potrzeba do ugruntowania nowej tożsamości i przekonania Anglików, że jest najprawdziwszym więźniem ocalałym z obozu koncentracyjnego, ofiarą wojny zasługującą na drugą szansę. A potem odbierze swoje skarby, znajdzie sobie inną Tinę albo poszuka przepięknej Ani i zaczną nowe życie. Mówił, że pewnego dnia po nią wróci. To była obietnica. Wiedział, że z jego świeżo zdobytym bogactwem i jej urodą nawet po przegranej wojnie mogą osiągnąć razem coś wspaniałego w odnawiającej się Europie.

Pogrzebał patykiem w ogniu, pociągnął kolejny haust z piersiówki, dygocząc z zimna przenikającego przez zbyt skąpe ubranie, powoli dobierającego się mu do szpiku kości. Nie zostało już nic do jedzenia, tęsknił za porządnym stekiem z tym przepysznym sosem grzybowym, który przyrządzał jego kucharz. Oto siedział tu z teczką pełną pieniędzy, a nie mógł sobie za nie kupić porządnego posiłku. Czasem życie nie skąpi absurdów.

Gdy tak siedział i rozmyślał nad swoją niedolą, usłyszał gdzieś z tyłu głosy. Szybko rzucił patyk, zagasił ogień, zdławił dym i wyteżył słuch, chcąc ustalić, w jakim mówią języku. *Proszę, niech to będą Anglicy. Niech to będą Anglicy.*

Usłyszał je ponownie. Głośno i wyraźnie. Tym razem nie dobiegały zza zarośli. Tym razem znajdowały się bezpośrednio za jego plecami – dwóch mężczyzn z bronią wycelowaną w jego głowę. Odezwali się soczystym rosyjskim:

– Ręce do góry, tłusta świnio. Pospiesz się, bo zrobimy ci drugą dziurę w dupie!

Fischer wznosił do nieba rozpostarte dłonie i odpowiedział swoim najlepszym rosyjskim:

– Towarzysze, proszę. Towarzysze broni!



Dopiero kiedy zapadły głębokie ciemności, w baraku numer dwieście dwanaście zaczęły się jakieś ruchy. Ania słyszała upiorne odgłosy cichych kroków na klepisku, ludzkie cienie poruszały się jak w starannie wyreżyserowanym balecie, gromadząc się w najciemniejszych kątach i coś szepcząc. Martwi coś knuli.

– Skąd jesteście?

Stara bezzębna kobieta, która pozwoliła Ani i Zofii ukryć się w baraku, odezwała się pierwsza, choć jej głos był słaby i chrapliwy, słowa budowane z prochu.

– Nie będę kłamać. Byłyśmy w obozowym burdelu, nim komendant go zamknął.

Kobieta pytała o to, z jakich rejonów Polski pochodzą, gdzie mieszkały przed rozpoczęciem tego niemieckiego aktu przemocy, ale dla Ani nie było żadnego „przed”.

– Nie musisz usprawiedliwiać tego, co robisz w czasach wojny, moja mała. Wiem, co robiłaś, a co więcej, wiem, dlaczego to robiłaś. Gdybym była w twoim wieku i tak wyglądała, zrobiłabym to samo, a może i więcej. W takich czasach człowiek robi, co robi, i tyle. Jeśli to wystarczy, przeżyje, a jeśli nie...? – Wzruszyła kościstymi ramionami jak zerwana ze sznurka marionetka.

Wyszły inne cienie, objawiły się jak widma, z ich oczu dawno odpłynęła nadzieja. Marzenia o przyszłości nic nie znaczyły; one uczepliły się przeszłości. Wspomnienia utrzymywały je przy życiu, trudy znoszone w latach, które dawno minęły, niezliczone, ciągnące się w nieskończoność dni znoju, pracy w polu z niemowlęciem przy piersi. Wtedy myślały, że życie nie może być cięższe. A teraz? Teraz z nostalgią wspominały luksus bycia wśród bliskich, wiary, że czeka je jakaś przyszłość, bez względu na to, jak bardzo doskwiera im ziąb, wilgoć i jak wiele w ich życiu cierpienia.

Podawały swoje imiona, roczniki, główne fakty z życia. Jedna z kobiet chodziła do tej samej szkoły co Ania. Mówiła łagodnie, z wielkim wysiłkiem.

– Byłam o klasę niżej – wyrzeźbiła przez wyschnięte usta.

Ania się jej przyglądała. O rok młodsza, a wyglądała pięćdziesiąt lat starzej.

– Przepraszam...

Ania nie wiedziała, co powiedzieć. Ogarnęło ją poczucie winy, że w porównaniu z nimi miała jak u Pana Boga za piecem, a w tym samym czasie one musiały tak wiele wycierpieć.

– Nie szkodzi. Wiesz, słyszałam, że w zeszłym tygodniu zabili twoją siostrę, a przecież nie tak dawno temu ścigałam się z nią na szkolnej bieżni. Wygrała bieg na sto metrów. Gazela, po prostu gazela. – Głos kobiety był wyzuty z jakichkolwiek emocji, przytaczała tylko fakty. Beznamiętnym tonem. – Tak, była szalona. Jak myśmy jej nie cierpiały, ale wiesz, ciebie nie znosiłyśmy bardziej. – Kobieta uniosła ramię i żartobliwie dźgnęła Anię w pierś szponiastym palcem. – Wszystkie wam zazdrościłyśmy. Wy, Burczykówny, miałyście wszystko. Spójrz na siebie, tylko popatrz. – Zadrżała jej koścista dłoń. – Nie było w szkole chłopca, który by nie marzył o dotknięciu twojego ciała. Nauczyciele marzyli o tym samym.



Kobiety-cienie rozmawiały o wyzwoleniu. Jeśli przyjdą Anglicy – otoczą je opieką. Ale Rosjanie? Rosjanie nienawidzili Polaków niemal tak samo jak Niemców.

– Rosyjscy żołnierze najpierw sięgną po świeże owoce, które wiszą jeszcze na drzewie. To mściwy naród, chcą wziąć odwet za swoje straty. Nie będziecie bezpieczne, jeśli przyjdą i dowiedzą się, że pracowałyście w burdelu. Uznają was za kolaborantki. – Kobieta o wyglądzie staruszki umilkła i głęboko zajrzała Ani w oczy. – Więc jak, zostajecie czy idziecie? Musisz podjąć decyzję, Aniu Burczyk. Co wybierasz?

CZĘŚĆ 7

Wyzwolenie

30 stycznia 1945

Gdy warczący pies wsadził pysk w górę ciała, Braun był pewien, że to koniec. Zastanawiał się, czy nie wyskoczyć stamtąd z podniesionymi rękoma i nie zdać się na łaskę swego najlepszego przyjaciela Rolfa Schrodera. Pysk dobermana dzieliło od jego twarzy zaledwie kilka centymetrów, pies ślinił się, obnażył kły, warczał i rył nosem pośród zwłok, zbliżając się coraz bardziej.

Braunowi udało się znaleźć w tej masie ciała luźną kończynę. Wepchnął ją między siebie a dobermana dokładnie w chwili, gdy zwierzę rzuciło się na niego. Z przyprawiającym o mdłości chrzęstem wielkie bydlę Chapmano chwyciło ramię i wyrwało je z barku martwego właściciela. A potem wycofało się ze skowytami i z ręką w pysku przebiegło przez drogę, za nim Schroder i drugi strażnik, niczym w jakimś skeczu z niesmacznego musicalu.

Braun cudem uniknął nieszczęścia – Schroder i psy już nie powrócili. Czekał, aż niebo z szarego stanie się atramentowo czarne. Nie słyszał żadnych odgłosów, nie widział żadnych świateł, tylko koszmarne blaski z pieców, których zawartość wciąż spalała się na białe drobinki rozsypujące się w końcu w proch. Przeszło godzinę leżał wśród odrażających trupów i częściowo obnażonych szkieletów. Dopiero wraz ze spadkiem poziomu adrenaliny poczuł chłód i zaczął spazmatycznie się trząść. Gdy rozpychał się ramionami, torując sobie drogę do wyjścia z obrzydliwej kryjówki, jego wzrok padł na ziejący purpurą otwór w miejscu wyrwanej przez psa ręki. Czerwie spadły mu na policzek, potworny odór wypełnił nozdrza. Braun skoczył na nogi, wrzeszcząc:

– Wy ohydne żydowskie świnię. Wy cuchnące, brudne kanalie!

Wypadł z kryjówki, potykając się i dławiąc, dobiegł do najbliższego baraku i ukrył się w najdalszym, najciemniejszym kącie. Trzęsąc się i bełkocząc jak szalenię, zdołał znaleźć przesiąknięty moczem koc i naciągnął go na siebie.

Głosy w jego głowie umilkły, wokół panował spokój, słyszał jedynie szybkie bicie własnego serca i świst wiatru na zewnątrz baraku. I nagle z mroku rozległ się głos o dziwnym, bardzo wyraźnym, obcym akcencie.

– Masz dziesięć sekund. Albo wyjdiesz teraz albo nigdy. Dziesięć... dziewięć... osiem...

Przy sześciu wyszedł na środek baraku, wyężając wzrok, by zlokalizować źródło głosu. Był pewien, że pomieszczenie jest puste, ale gdy stanął między piętrowymi pryzkami biegnącymi wzdłuż obu ścian, uzmysłowił sobie, że wcale nie jest tam sam. W tym momencie ktoś znieacka złapał go od tyłu.



– Mówisz więc, że nigdy nie czytałeś Charlesa Dickensa? – ciągnął dziwny głos, który nie milkł, od kiedy Żydzi z baraku numer dziewięćdziesiąt osiem skrępowali Braunowi ręce za plecami i rzucili go na dolną pryz.

– Po co miałbym czytać Dickensa? To Anglik, prawda? Nie czytałbym go, tak samo jak nie czytałbym Tołstoja – odparł sarkastycznie. – To znaczy próbowałem kiedyś czytać polskich autorów, ale utknąłem niestety na Staffie.

Nie znał żadnych nazwisk wybitnych polskich literatów, ale bibliotekarz Schroder opowiadał mu kiedyś o Staffie, wielkim poecie, bohaterze.

– Widzisz, Dickens rozumiał Żydów – kontynuował głos. – Pisał o człowieku imieniem Fagin, a Fagin był mistrzem wśród ocalałych londyńskich Żydów. Największym ze wszystkich ocalałych. Przetrwałby nawet tutaj, w Wiśnicy. Albo w Auschwitz, mało tego, w Treblince! Jak myślisz, dlaczego Żydzi zwą mnie tutaj Faginem, co? – Głos zarechotał bardziej do siebie niż do Brauna.

Samozwańczy Fagin wreszcie zgramolił się z pryczy i wynurzył z cienia. Twierdził, że miał trzydzieści pięć lat, gdy trafił tu z łódzkiego getta, ale Braun dałby mu bliżej osiemdziesięciu. Wciąż miał bujną czuprynę i długą, spiczastą brodę na prawdziwie dickensowską modłę. Ale Dickens nie zdołałby wyobrazić sobie ciemnych oczu tego Fagina, skrywały bowiem najgorszą z tajemnic: zbrodnie, których się dopuścił, by utrzymać się przy życiu – gwałty, szantaże, pobicia, nawet zabójstwa. I wszystkie popełnione przeciwko własnym rodakom.

Od momentu, kiedy zaczął kontrolować czarny rynek w łódzkim getcie, po chwilę, w której napatoczył się na niego Braun w baraku dziewięćdziesiąt osiem, Fagin nieustannie rozglądał się za jakimś interesem. Miał ze sobą dwóch popleczników, których w swoim czasie pewnie trzeba było traktować poważnie, teraz jednak, gdyby przyszło ich obezwładnić, nie stanowiliby realnego zagrożenia dla Brauna, żyłastego, wysportowanego i mocno zdeterminowanego. A skoro już wiedział, że musi uporać się tylko z Faginem i jeszcze dwoma, ten moment nie wydawał się odległy.

– Inni umierają, my trwamy – oznajmił z dumą Fagin. – Kiedy jest nam zimno, ja zapewniam ciepło. Kiedy jest nam gorąco, znajduję wodę do ugaszenia

pragnienia. Kiedy lękamy się o nasze życie, ja nas zbroję. – Jeden z pomocników machnął w powietrzu jakąś bronią. – A kiedy brakuje jedzenia, karmię nas!

Wyjął z kieszeni małą puszkę po tytoniu, otworzył ją, wyciągnął ze środka coś, co przypominało karalucha, wsadził między odrażające zęby i przegryzł. Z odwłoka owada trysnęła gęsta żółta ciecz, Braun usłyszał chrzęst, a mężczyzna zaczął przeżuwać swój wstrętny posiłek z otwartymi ustami, by dobrze było widać ich zawartość.

Ten Fagin, ten dziwak, ta żałosna kreatura, ten największy ocalony wśród ocalonych – z nim nie pójdzie tak łatwo. Nie z powodu jego siły fizycznej, tylko przebiegłości. Rozbiegane oczy i nieustannie podrygujące palce jednoznacznie świadczyły o tym, że nie tylko szukał największych korzyści, lecz także umiał znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Jak to zwykle bywało z tymi, co przeżyli. I zwykle czyimś kosztem.

Braun nigdy nie widział Fagina w obozie, nawet na apelu, nigdy też nie słyszał, by ktoś wymieniał takie imię. Był pewien, że dowiedziałby się o mitycznej postaci o tak osobliwie brzmiącym imieniu. Zrozumiał, dlaczego minister Goebbels nazywał Żydów szczurami. Szczury słyną z tego, że uciekają z tonącego okrętu. Nawet po bombardowaniu Hamburga czy Drezna widziano setki tysięcy szczurów przemykających pośród gruzów, żywiących się ludzkimi szczątkami, wlokących wnętrzności wyjęte z rozprutych ciał zmarłych i umierających. Szczury jakoś zawsze przeżywały, bez względu na okoliczności, bez względu na koszt.

Braun nie czuł zagrożenia ze strony Fagina, był nie tyle niespokojny, ile zaintrygowany. Odnosił wrażenie, że ta nędzna kreatura, z tą swoją brodą, skorupą brudu na twarzy i kościstymi palcami, nigdy nie umrze. Na szubienicy urwałby się sznur, plutonowi egzekucyjnemu zacięłaby się broń, a przyparty do muru ulotniłby się jak kamfora. Pytanie brzmiało: czy skończyć z nim na miejscu, obezwładnić jego dwuosobową straż przyboczną i zabić dziada raz na zawsze, czy raczej podjąć próbę połączenia z nim sił? Czy Fagin był krokiem we właściwym kierunku, czy przeszkodą?



Dla pozostałych w Wiśnicy niemieckich strażników poprzednia noc była przenikliwie zimna, męcząca i ciągnęła się w nieskończoność. Wraz z nadejściem poranka żadna syrena nie wzywała na apel. Rolf Schroder i Meike Wuttke siedzieli przy stole w kantynie i chrapali z głowami w talerzach, otoczeni pokaźną liczbą pustych butelek po piwie. Śpiewy skończyły się około wpół do trzeciej nad

ranem. Wutke padł pierwszy, zanurzając twarz w resztkach kolacji, wyższy rangą Schroder poszedł w jego ślady, usatysfakcjonowany, że prześcignął kolegę.

Poprzedniego wieczoru Schroder wyliczył, że w najlepszym wypadku pozostały im dwa, góra trzy dni do wyzwolenia, które będzie dla nich niebezpiecznym czasem. Ale świat w końcu odnajdzie nową „normalność”. Ludzie będą mieli pracę, otworzą biznesy, rozkwitnie handel, a rodziny się połączą.

Ci, którzy przeżyli wojnę, znów zaczną organizować doroczne spotkania rodzinne, piwo będzie się lało strumieniami, więcej od piwa będzie tylko kłamstw. Nawet jeśli Niemcy przegrają, nikt nie odbierze im nigdy braterstwa i rozrywki, której przy okazji zażywali. Czy to jednak wystarczy? Schroder ochocho zamieniłby perspektywę wspaniałych zjazdów rodzinnych na życie na wygnaniu – pod warunkiem że będzie luksusowe. A takie się stanie, jeśli uda mu się zlokalizować fortunę, którą ukrył gdzieś Chart.

Walentyna Wilk czekała cierpliwie do późnej nocy, aż dwaj Niemcy usną. Kiedy nabrała przekonania, że jest bezpiecznie, obładowana jedzeniem zniknęła w sektorze dla kobiet. Zgodnie z ustaleniami poszła do baraku z rozbitą doniczką na zewnątrz. W świetle zabranych z kuchni świec odkryła makabryczny widok: pokiereszowane ciała kobiet, które wcześniej zgodziły się udzielić jej schronienia. Czekały w baraku cały dzień, ukryte w najdalszych kątach przy podbrudnymi kocami i cuchnącą słomą. Pozostałe kobiety stłoczono wcześniej przed budynkiem i popędzono do Auschwitz, lecz tym sześciu udało się schować. A potem dwaj niemieccy strażnicy wrócili, przeszli się tam i z powrotem wzdłuż całego baraku, strzelając w łóżka serią z karabinów maszynowych.

Sześć kobiet, którym przez ostatnie dwa lata udawało się uniknąć każdej „akcji”, zginęło. Zabrakło im szczęścia na samym końcu, tuż przed wyzwoleniem, gdy Niemcy opuszczali obóz.



Tamtej nocy Ania i Zofia spały, ale kobiety-cienie nie. Od roku drzemały tylko za dnia, kiedy Niemcy byli zajęci nadzorowaniem pracy robotników i nie mieli czasu na akcje.

Gdy w Wiśnicy garstka pozostałych przy życiu osób przygotowywała się na powitanie porannego słońca, Baldric Fischer nie był pewien, czy ma się z czego cieszyć. Przywiązany do drzewa, siedząc na ośnieżonej trawie i dygocząc, wiedział, że jego walka z całą pewnością skończyła się na dobre i potwierdziły się najgorsze obawy. Został pojmany przez dwóch samotnych Rosjan, którzy zgubili się w lesie w drodze do Wiśnicy, gdzie mieli dołączyć do swojego oddziału.

Rosjanie spierali się między sobą o Fischera, a spór zakończył się zakładem. Jeden był przekonany, że komisarz kazałby im zastrzelić podejrzanego grubego więźnia w pasiaku, a drugi uważał, że chciałby go zatrzymać do przesłuchania.

A ten, kto wygra zakład? Zwycięzca będzie miał wybór pomiędzy teczką (wypchaną, zdaje się, fałszywymi banknotami) a najładniejszą kobietą, na jaką trafią w najbliższej wsi. By przelać czarę goryczy, jeden z Rosjan natychmiast zainteresował się fajką Fischera i próbował zapalić ją na jego oczach – bez powodzenia. Fischer zabiłby go gołymi rękami, gdyby tylko mógł. Na szczęście Rosjanie nie znaleźli notesu z miejscem ukrycia „funduszu emerytalnego”, no i wciąż miał kartę przetargową w postaci kieszonkowego zegarka. Jak wiele zdoła wytargować?

W baraku Fagina Chart potrzebował niespełna dziesięciu minut na uwolnienie się z więzów, pozostawił jednak sznur pozornie na swoim miejscu, w razie gdyby ci, którzy go skrupowali, postanowili sprawdzić. O ile się orientował, Fagin nie był uzbrojony, ale jego dwaj tak zwani popiecznicy dysponowali nożami własnej roboty. Braun miał już mnóstwo krwi na rękach, zabijanie go intrygowało. Lubił widzieć miny swoich ofiar, gdy pociągał za spust albo wbijał ostrze. Często rozmawiał o tym z innymi esesmanami. Podobnie jak jego koledzy, w szaleńczym wirze i chaosie zabijania miewał czasem erekcję i wtedy przyjemność była największa. W takich momentach lubił gwałt; tamtej nocy, kiedy przekupstwem dostał się do pokoju Ani i ją zgwałcił, przyszedł tam prosto z krematorium, gdzie rozprawił się z kilkoma członkami Sonderkommando, którzy już od pewnego czasu mocno działali mu na nerwy. Leniwi, ośmielali się pyskować, zbyt pewni siebie i aroganccy. Wziął bagnet od jednego ze strażników i z werwą rzucił się na gnuśnych polskich sukinsynów. Najgorsze było to, że oni po prostu stali tam jak słupy soli, gdy przebijał ich ostrzem! Na pewno po to, żeby go rozjuszyć, ponieważ Polacy czasem właśnie tak robili. Wiedzieli, że i tak zginą, więc starali się go zastraszyć i upokorzyć swoim spokojem. Braun w ataku szału wskoczył na jednego z nich i niemal odciął mu głowę. Tamtego popołudnia, kiedy biegał w amoku, czuł, że zaraz go coś w środku rozerwie, a kiedy wreszcie uwolnił się od swoich demonów, miał mundur całkowicie zbroczony krwią, a do nogawek spodni przyklepione strzępy wnętrzności i mózgu. Wszędzie dookoła leżeli martwi kapo i Sonderkommando. Wtedy postanowił przekupić strażnika i dostać się do Ani. Miała szczęście, że mu przerwano, kiedy tamten grubas złożył wizytę Emilii...

Dwaj ludzie Fagina spali, ich chrapanie niosło się po ciemnym baraku. Braun był pewien, że słyszy też gdzieś w tle ciężki oddech i postękiwania Fagina, ale nie mógł dokładnie określić miejsca, skąd dobiegały. Jedyne, co musiał teraz zrobić,

to czuwać i czekać na najmniejszą choćby odrobinę światła z uchylonych drzwi, by mógł z nimi skończyć.

58

Północne bramy Wiśnicy były już otwarte, choć słońce wstało niespełna godzinę wcześniej. Zanosiło się na piękny, rześki zimowy dzień, zapewniający idealną oprawę dla jak zwykle pełnego dramaturgii wkroczenia generała Leona Martowa z czterdziestej siódmej armii, który wjechał na dziedziniec na swoim białym rumaku Dimitrim. Zatrzęsła się ziemia, masywne zwierzę waliło kopytami w bruk jak na moskiewskim konkursie ujeżdżania. Gdy pojawili się koń i jeździec, chude jak szkielety postaci stłoczyły się w drzwiach, a wielkie jak spodki oczy spoglądały zza zmatowiałych szyb.

Generał Martow triumfował. Odpowiadał na spojrzenia gapiów i prawym ramieniem wykonując zamaszty teatralny gest, zawołał po polsku, kalecząc język:

– Jesteście wolni, możecie wyjść. Idźcie, gdzie chcecie. Jesteście wolni. Wszyscy. Wolni.

Więźniowie, którym starczyło sił na opuszczenie baraków, stali stłoczeni i patrzyli po sobie zdezorientowani, przypominając ludziki z dziecięcego rysunku, które nagle ożyły. *Wolni? Co to znaczy: wolni?*

Na południowym krańcu obozu rozgrywały się równie doniosłe wydarzenia, tyle że w znacznie bardziej pragmatycznym wymiarze. Czołg typu centaur zrównał z ziemią ogrodzenie, za nim wtoczyły się dwa pojazdy opancerzone z odkrytą paką i zatrzymały przy komorach gazowych oraz krematorium. Ekscentryczny brytyjski oficer, pułkownik Richard Snapes z Jedenastej Dywizji Pancерnej, stał na przednim siedzeniu jednego z pojazdów, poprawił beret i powiedział:

– No, panowie, co my tu mamy?

Zanim Snapes zszedł ze swojego prowizorycznego piedestału, jego adiutant trzymał już w pogotowiu notes i podkładkę. Po dziesięciu minutach zaczęły zjeżdżać się ambulanse i personel medyczny, a saperzy szukali min i pułapek.

– Mam okropne przecucie, że będziemy tu potrzebowali trochę ciężkiego sprzętu – rzekł Snapes, rozglądając się wokół po ogromnej liczbie zwłok. Tego samego doświadczył w Bergen-Belsen, gdzie brał udział w wyzwalaniu obozu. Jedynym praktycznym rozwiązaniem były masowe groby. Pilnie potrzebne, zanim wiosenne ciepło roztopi śnieg i zacznie rozkładać ciała.

Gdy Snapes studiował rozłożone na stole mapy, zjawił się potężny biały koń dosiadany przez rosyjskiego oficera.

Zbliżając się do człowieka, który wyglądał na dowodzącego, tego w idiotycznym nakryciu głowy, Leon Martow uśmiechnął się do siebie na widok wycelowanych w niego co najmniej dwudziestu brytyjskich karabinów.

Martow uważał, że jego wejście było stosowne, ale – jak skwitował angielski oficer – w istocie było na wskroś absurdalne.

– A gdybyśmy otworzyli ogień, generale? Mógłby to być początek trzeciej wojny światowej, a przecież jeszcze nie posprzątaliśmy po tej!

– Gdybyście oddali strzały, ten oto Dimitri narobiłby na was i wasze głupawe karabinki i na tym by się skończyło. Podobnie jak ja, nie lubi, jak ktoś do niego strzela – odparł Martow łamaną angielszczyzną. Wzrok obu mężczyzn padł na koński zad, pod którym na zamarzniętej ziemi leżał okazały kopczyk parującego łajna.

– Rozumiem, co ma pan na myśli – rzekł Snapes z kamienną twarzą.

Później rozpoczęły się negocjacje, ale dopiero wtedy, gdy Martow zgodził się wypić filiżankę herbaty, a Snapes kieliszek najlepszego dziewięćdziesięcioośmioprocentowego rosyjskiego spirytusu.

– Więc chcecie wziąć ten, tak? – zapytał Rosjanin. Chodziło mu o to, czy Anglicy chcą przypisać sobie wyzwolenie Wiśnicy.

– Oddaliśmy wam największy, Auschwitz-Birkenau, czyż nie, generale? Jeśli ustąpię i tym razem, pan i pańscy ludzie zbierzecie całą chwałę, a my będziemy musieli obejść się smakiem. Chyba pan to rozumie?

Prawdą było, że skromne rosyjskie siły humanitarne zostały mocno nadwerężone w Auschwitz. Teraz jednak, gdy działał Czerwony Krzyż wraz z innymi organizacjami, Martow mógł swobodnie kontynuować swój marsz przez Polskę w kierunku Berlina, gdzie były do zagarnięcia inne nagrody.

– Rzec przedstawia się następująco, pułkowniku. Możecie wziąć obóz, ale esesmani należą do mnie. Cała reszta jest wasza, z chwałą włącznie.

Dobijanie targu w kwestii jeńców wojennych wydawało się Snapesowi niestosowne. Ostatecznie są bardziej naglące sprawy, na przykład pochowanie zmarłych i zapobieżenie rozprzestrzenianiu się chorób. Sprzeczenie się o garstkę esesmanów było nie na miejscu.

– Zachowajmy rozsądek, generale. Wszyscy chcemy pociągnąć Niemców do odpowiedzialności, w tej kwestii zawsze będziemy zgodni. Ale metoda wymierzania sprawiedliwości wydaje się punktem spornym. Zgodzi się pan ze mną?

– To prawda, pułkowniku, ale to, co pan nazywa sprawiedliwością... wasza angielska definicja nie odpowiada naszej. Wy macie swoje sposoby, my swoje. Ja

weznę esesmanów, pan weźmie resztę. Co to dla pana za różnica? Zamierza pan sprzeczać się o takie błahostki?



Światło otwartych drzwi baraku numer dwieście dwanaście nagle przesłoniła sylwetka brytyjskiego żołnierza.

– Jest tu kto?

Mężczyzna wszedł do środka, jakby nieświadom potencjalnego niebezpieczeństwa w postaci min pułapek albo czającego się wroga. Sierżant sztabowy Jim Maurice dostrzegł w głębi jakiś ruch pośród cieni.

– Jeśli jesteście Niemcami, ujawnijcie się, bo inaczej będę zmuszony wrzucić tu granat. Wtedy wyjdziecie stąd dużo szybciej i w wielu kawałkach. Wasz wybór. Pospieszcie się. *Schnell, schnell.*

Stara kobieta, która dała schronienie Ani i Zofii, poczłapała w stronę żołnierza, patrząc na niego zmęczonymi oczami spod przymrużonych powiek. Zawołała przez ramię:

– To Brytyjczycy! Jesteśmy bezpieczne. Bóg musiał wreszcie się obudzić.

Ania i Zofia zeszły z prycz i pomogły kobiecie wyjść na dwór. Wszystkie zamrugały powiekami, spoglądając w niebo. Jim Maurice stał zdumiony, patrząc jak z mroku chwiejnym krokiem wynurzają się kolejne ludzkie szkielety, dołączając do tych przed barakiem.

Te dziwne istoty o smutnych, żałosnych twarzach padały na kolana, splótszy przed sobą dłonie, modliły się i łkały, wznosząc oczy ku zinnemu błękitnemu niebu. Do kobiet dołączyła skądś garstka mężczyzn. Mała, milcząca, zagubiona gromadka zbierała się wokół Jima Maurice'a, łącznie z nagim, wynędzniałym mężczyzną trzymającym w ręku łyżkę. Inny miał zawieszony na okręconym wokół szyi sznurku poobijany blaszany kubek, jeszcze inny ze zmiażdżonym, ale wygojonym już nosem, z którego pozostała resztką chrząstki nad bezzębnymi, wykrzywionymi ustami. Na twarzach wszystkich malowało się to samo pytanie: „co teraz?”.

Zza rogu wyszła nagle, ślaniając się na nogach, naga, wychudzona kobieta. Maurice mógłby objąć jej udo jedną ręką. Pod skórą rysowała się wyraźnie każda kość – łopatki sterczące jak skrzydełka, zapadnięte policzki, fałdki skóry zamiast piersi, kolana jak kołpaki, wielkie stopy z nieproporcjonalnie długimi, gruzłowatymi palcami.

Popatrzyła na Maurice'a obojętnym, matowym, nic niemówiącym wzrokiem, odwróciła się i powoli odeszła. Każdy ruch zdawał się sprawiać jej ból, stawiała

dziwne, kanciaste, jakby żyrafie kroki, utwierdzając Maurice'a w przekonaniu, że gdyby potknęła się i upadła, jej ciało po prostu rozsypałoby się na kosteczki.

Maurice otrząsnął się i powrócił do rzeczywistości, wezwał więcej personelu medycznego. Wkrótce pojawiły się nosze. Oraz pielęgniarki, by zaopiekować się tymi kruchymi istotami, które wymykały się wszelkim racjonalnym próbom opisu. Stara kobieta, która ukryła Anię i Zofię, nagle upadła. Gdy ułożono ją na noszach, żałośnie podniosła głowę i próbowała coś powiedzieć. Było jasne, że jej koniec jest bliski. Ania do niej podbiegła.

– Czego ona chce? Czego potrzebuje?

Maurice był wyraźnie poruszony stanem kobiety. Dziwnie kojarzyła mu się z siostrą, która została w domu w Dorset. Jej marzenie o poślubieniu narzeczonego, pilota myśliwca z RAF-u, roztrzaskało się i legło w gruzach tak jak jego samolot podczas bitwy o Anglię. Oczy kobiety, gesty, a przede wszystkim stoicyzm w obliczu takiego losu najbardziej przypominały mu siostrę.

Maurice był typowym sierżantem sztabowym Armii Brytyjskiej: szorstki i elokwentny, z laską pod pachą, w czapce z lśniącym daszkiem nasuniętym płasko na czoło. Budził strach w niższych rangą, zdobywał szacunek tych wyżej. Drobną dłoń Ani spoczęła na jego ramieniu. Dziewczyna szepnęła mu coś do ucha. Skinął głową, powoli zsunął czapkę, odłożył na bok laskę i zdjął bluzę munduru.

Następnie podniósł z noszy wątłą kobietę, bo o to właśnie prosiła, trzymał ją delikatnie, ostrożnie, by nie połamać kruchych kości, przytulił ją do szerokiej piersi. Kobiecie natychmiast zaszklily się oczy. Wreszcie była bezpieczna w kokonie męskich ramion, w objęciach kogoś, kto już nigdy nie pozwoli jej skrzywdzić. Co dziwne, bardziej pragnęła ciepła Jima Maurice'a niż napoju i stawy. Jej pożywieniem było człowieczeństwo.

Maurice tulił ją przez dziesięć minut. Żołnierze, zahartowani w bitwie mężczyźni, uodpornieni przez okropieństwa, które widzieli, odsunęli się i zrobili im miejsce. Gdy kobieta w końcu powiedziała, że jest gotowa, Maurice z czułością otarł jej twarz i uważnie zaniósł do ambulansu tę niemal pozbawioną ciężaru postać. Tamta chwila pozostała z nim do końca życia, usunęła w cień obrazy rzezi, której był świadkiem podczas działań frontowych. Nikomu nie mówił o tym wydarzeniu, zachował je dla siebie. Tak osobistą chwilą podzielił się tylko z Bogiem, którego nagle odnalazł, choć w tym potwornym czasie wojny przekonywał się nieraz, że Bóg nie istnieje.



Tamtego popołudnia w obozie pojawiła się kamera. Człowiek w mundurze brytyjskiej armii trzymał przed twarzą mikrofon i próbował znaleźć słowa na

opisanie tego, co zastał w Wiśnicy. Jak można oddać woń choroby, przenikający powietrze zapach śmierci, upiorną atmosferę? Dla wyzwolonych radość obróciła się w zawód, pustkę, próżnię, w której czas stanął w miejscu, by pozwolić śmierci dokończyć jej makabrycznego dzieła. Kiedy zegar znów ruszy, przez pewien czas wskazówki będą przesuwają się w zwolnionym tempie, póki ci, którzy przeżyli, nie nabiorą sił do podźwignięcia się i rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Nawet powietrze wydawało się puste i głuche.

59

Chart w końcu opuścił kryjówkę i wyszedł przed barak Fagina. Obserwował sytuację przez uchylone drzwi, nim zdecydował się dołączyć do więźniów na zewnątrz. Niektórzy z nich tańczyli, inni śpiewali, nieliczni znaleźli w sobie siłę, by płakać, ale większość po prostu patrzyła tępo przed siebie, jakby zdezorientowana nagłą nieobecnością Niemców.

Braun zostawił dwóch pomocników Fagina w baraku dziewięćdziesiąt osiem. Nie był pewien, czy rzeczywiście zmarli w wyniku ran, które im zadał podczas krótkiej walki, czy tylko doznali szoku. I było mu to obojętne. Najbardziej interesował go Fagin, który podczas szarpaniny zniknął. Szybkie przeszukanie baraku nie przyniosło rezultatów. Fagin się rozpułnął.



Generał Martow najpierw dopilnował, by nakarmiono Dimitriego i odpowiednio się nim zajęto, a dopiero potem postanowił obejrzeć podejrzanego więźnia, którego dwaj jego żołnierze przyprowadzili na przesłuchanie. Mężczyzna był dobrze odkarmiony, twierdził, że jest przemysłowcem niesłusznie aresztowanym przez Niemców dwa dni temu. Nie zdążyli nawet wytatuować mu numeru na ramieniu ani ogolić głowy, a gdy opuścili obóz, udało mu się zbiec do okolicznych lasów.

Martow mu nie uwierzył.

– Więc kogo my tu mamy? Widzę, że Rzesza dobrze jada, podczas gdy Polska głoduje. Co masz do powiedzenia?

– Byłem administratorem, to wszystko, panie generale. Zwykłym trybikiem w maszynie.

Fischer potulnie zmienił bajeczkę, gdy tylko na arenę wkroczył Martow. Nie zamierzał ryzykować próby blefu wobec generała. Musiał rozegrać to ostrożnie. Jedno nieroztropne słowo i zawiśnie na tym niewłaściwym końcu sznura.

Rosjanin żartobliwie poklepał Fischera po brzuchu i parsknął śmiechem.

– Ta maszyna musiała być dobrze naoliwiona. – Zgromadzeni wokół generała też wybuchnęli śmiechem, zwłaszcza tamci dwaj, którzy pojмали Fischera. Martow ciągnął: – Są dwa sposoby traktowania takich jak ty. Jeden bolesny dla Niemiec, drugi dla Rosji.

– Bolesny dla Rosjan, panie generale? Jak to? – zapytał nieśmiało Fischer.

– Nasz ból bierze się stąd, że jeszcze żyjesz, ty tłusta niemiecka świnió! – Obleczone w rękawicę pięść Martowa trafiła Fischera pod prawym okiem, a krzesło, do którego był przywiązany, wywróciło się wraz z nim. Dwaj strażnicy mocowali się, by z powrotem go posadzić. – Rozumiesz, co mam na myśli? Boli mnie świadomość, że nie rozprułem ci flaków bagnetem, zamiast się tu cackać z twoją tłustą gębą.

Fischer nie wydawał się szczególnie urażony komentarzami Martowa. Może mimo wszystko był szczery, nazywając siebie drobnym urzędnikiem czy administratorem.

– Panie generale – Fischer w końcu wziął się w garść. – Proszę, panie generale, jeśli pan pozwoli... Mam podarunek, który być może pomógłby nam nieco lepiej się porozumieć.

– Masz „podarunek”? – Rosjanin zapytał z niedowierzaniem. – Mam nadzieję, że zapakowany.



Schrodera i Wuttkego ominęło jak dotąd panujące na zewnątrz podniecenie, ponieważ spali jak susły w kantine. Pomimo zgody na pozostawienie obozu Brytyjczykom, kilku Rosjan postanowiło rozejrzeć się za upominkami. Hałas, który robili w trakcie przetrząsania pomieszczeń sąsiadujących z kantiną, wreszcie obudził obu Niemców, którzy słysząc rosyjskie głosy, odruchowo schowali się pod stołem.

Schroder przemknął na czworakach do drzwi wejściowych, zamknął je na zamek, po czym pośpiesznie wycofał się do kryjówki, by zdecydować, co dalej. Znalezienie Charta zeszło teraz na drugi plan. Priorytetem było utrzymanie się przy życiu.

Gdy dwaj niczego nieświadomi Niemcy siedzieli pod stołem, próbując wymyślić, jakie należy podjąć kroki, dwóch rosyjskich żołnierzy obserwowało każdy ich ruch przez szybę w drzwiach kuchni.



– No to co zrobimy z tobą i tym twoim wspaniałym... jak to nazwałeś?... Zegarkiem kieszonkowym? – zapytał rosyjski generał, oglądając niezwykle cenny czasomierz Fischera.

– Zawsze może pan przyjąć go z przychylnością, z której słynie Armia Czerwona – odparł Fischer. Rosjanina bawił ten Niemiec, który miał bardzo dużo do powiedzenia jak na zwykłego gryziopiórka. – Pozostaje jeszcze kwestia mojej teczki, panie generale.

– Teczki?

– Tak, panie generale. Zabrali ją pańscy żołnierze, a muszę panu powiedzieć, że jest pełna amerykańskich i brytyjskich banknotów. Znalazłem ją niedaleko miejsca, w którym zaznajomiłem się z pańskimi ludźmi. Zapewne porzucił ją tam jakiś wysoki rangą niemiecki oficer, wycofując się w pośpiechu przed waszym nadejściem. Był tam również spalony samochód służbowy i zdaje mi się, że widziałem też zwłoki, ale nie zostałem tam dłużej, by sprawdzić. Chciałbym, żeby zatrzymał pan te pieniądze, generale, jako prezent dla pana i pańskiej żony. – Martow uniósł brew. – I jeszcze jedno, generale, jeśli pan pozwoli? Moja fajka. Czy dałoby się ją odzyskać?

– Fajka?

– Przejął ją jeden z pańskich żołnierzy.

– Więc jesteś fajczarzem? Niesłychane. Spasiony szary urzędniczyna z walizką pieniędzy, drogim zegarkiem, a do tego pali fajkę?

– Panie generale, w Niemczech wiele osób z klasy pracującej lubi palić w ten sposób tytoń. To nie kwestia statusu, jak to jest, jak mniemam, u Anglików. Wśród Niemców mamy wielu znanych miłośników fajki. Na przykład Beethoven.

– Ha! Beethoven, mówisz? Palił fajkę? To wyjaśnia jego muzykę! Byle co. Okropna. Rimski-Korsakow, oto prawdziwy kompozytor. Gdyby dać mu fajkę, nie wiedziałby, czy wetknąć ją sobie do ust, czy w zadek!

Rosjanin był w szampańskim humorze. Jego śmiech przerwało wejście posłańca, który szepnął coś Martowowi do ucha, po czym się oddalił. Generał ponownie zwrócił się do Fischera.

– Wracajmy do rzeczy, mój tłusty przyjacielu. Postanowiłem dać ci szansę na udowodnienie, że byłeś tylko... jak ty to powiedziałaś?... Trybikiem w maszynie? Przypomnij mi: jak się nazywasz?

– Schole. Fritz Schole – odparł Fischer odrobinę zbyt skwapliwie.

– No dobrze, *Herr* Schole. Przypuszczam, że masz jakiś stopień?

– Oczywiście, panie generale. Mam stopień Rapportführera.

– Czy ten wasz Hitler nie był kiedyś Rapportführerem? Kapralem?

– Nie, panie generale. Kapral to Rottenführer. Rapportführer to niski, niewiele znaczący stopień, niższy nawet od kaprała, choć miałem nadzieję, że pewnego dnia dochrapię się takiego wysokiego statusu jak pan. Zawsze trzeba mieć marzenia, nie uważa pan?

Postawny rosyjski generał znów serdecznie się zaśmiał. Drobne pochlebstwo nigdy nie zaszkodzi, a poza tym podobała mu się ta zabawa z Niemcem. Rozkazał jednemu ze strażników rozwiązać więźnia.

– Chodź – rzucił do Fischera. – Chodź ze mną.

Fischera wprowadzono do kantyny przez drzwi ze stłuczoną szybą. Na podłodze w kałuży krwi leżały dwa ciała.

– Moi żołnierze znaleźli tych dwóch bohaterów chowających się pod stołem jak kundle. Chcę wiedzieć, co to za jedni.

– Mają przy sobie dokumenty? – zapytał Fischer.

– Oczywiście – odparł generał. – Ale chcę usłyszeć, co ty masz o nich do powiedzenia.

Fischer spojrział na bezładnie rozrzucone na podłodze i podziurawione kulami zwłoki Schrodera oraz przewodnika psa, Wuttkego.

– Ten po lewej to Friedrich, kierowca komendanta obozu. Dobrze go znałem. Ma fałszywe papiery, ale nie przypominam sobie na jakie nazwisko. Wydaje mi się, że jakiegoś żołnierza z psiej sekcji.

– A tamten drugi? – spytał Rosjanin, mrużąc oczy.

– Zdaje się, że wygrał pan los na loterii, panie generale. Będzie miał przy sobie fałszywe dokumenty, które rozkazano mi dla niego załatwić w ramach moich obowiązków. Na nazwisko porucznika Rolfa Schrodera.

– A jego prawdziwa tożsamość?

– To nie kto inny jak sam komendant obozu. Obersturmbannführer Baldric Fischer.

60

Kilka dni po wyzwoleniu oficerowie brytyjskiego wywiadu przystąpili do akcji wyłapywania członków SS ukrywających się wśród więźniów Wiśnicy. Było to rutynowe działanie przyjęte i przetestowane już w innych wyzwolonych obozach.

Wiadomo było, że esesmani mieli wytatuowaną pod lewą pachą grupę krwi – typowo niemiecki akt pragmatyzmu, który okazał się przydatny w ferworze walki,

gdy raniono jakąś ważną osobę.

Wszyscy zdolni do poruszania się o własnych siłach więźniowie mieli przejść przed lekarzem z uniesionym lewym ramieniem. Łatwo było rozpoznać tych fałszywych. Czasem w tłumie ukrywali się kapo i ci z Sonderkommando, nawet pielęgniarki – tych nie dało się równie łatwo zidentyfikować. Wszyscy jednogłośnie twierdzili, że są niewinni, uparcie przekonując, że zostali zmuszeni do wykonywania swoich odrażających obowiązków pod groźbą utraty życia.

Rosyjski generał zdawał się usatysfakcjonowany wyjaśnieniami Fischera, jakoby był zwykłym urzędnikiem, pokornym, rzetelnym pracownikiem administracji obozu. Przekazano go w ręce Brytyjczyków, którzy mieli wsadzić go do więzienia, a we właściwym czasie przekazać Rosjanom wraz z innymi oficerami SS, których ewentualnie znajdą.

Brytyjczycy sprawdzali teraz wszystkich. Drobną pomoc zapewniła im lista znaleziona w kartotekach obozowego szpitala. Figurowały na niej imię, nazwisko, stopień oraz grupa krwi całego personelu SS. Fischer tego nie wiedział, ale gdyby jego grupa krwi różniła się od grupy Scholego, za którego się podawał, będzie to dla niego oznaczało koniec gry.

Kolejka posuwała się powoli, kilkakrotnie wydawało się, że zaraz kogoś zdemaskują, tu i ówdzie trafiał się ktoś podejrzany, ponieważ miał dziwne znamie albo niespotykaną bliznę. Fischer ustawił się w samym ogonie, kilka osób łypało na niego podejrzliwie, zapewne zastanawiając się, czy go nie wsypać dla ratowania siebie – z pewnością wyróżniał się z tłumu.

Braunowi udało się radykalnie zmienić wygląd. Był z natury tak chudy, że można mu było policzyć wszystkie żebra, a łopatki sterczały jak wieszaki – zdecydowanie miał aparycję więźnia obozu. Gdy po raz pierwszy stanął przed brytyjskim zespołem medycznym, wyglądał na niedożywionego i wydierał zapach śmierci. Tatuaz na przedramieniu złożony z rozmazanych cyfr 27944 zgadzał się z aktami więźnia imieniem Paweł Michalik, którego kartę katalogową wręczył medykom, oświadczając, że znalazł ją pośród stosu spalonych dokumentów przed blokiem administracyjnym. Wszystko wyglądało autentycznie. Zniszczona fotografia na karcie nosiła wystarczające w tych okolicznościach podobieństwo. Braunowi się udało! Oszukał wszystkich swoją transformacją i jak dotąd szczęście mu sprzyjało.

Największa próba nadeszła wtedy, gdy zeszły się drogi jego i Ani. Na szczęście najwyraźniej go nie poznała, gdy mijali się w kantynie. Uświadomił sobie, że dokonał udanej przemiany: łysa głowa, nieogolona, pokryta skorupą brudu twarz i niechlujny pasiak zrobiły swoje – zdawała się nie mieć pojęcia, kim on jest. Stojąc teraz w kolejce i czekając na identyfikację, przeklinał sam siebie, że nie zrobił nic z tatuazem pod pachą...



W oczekiwaniu na swoją kolej Fischer rozglądał się po otaczających go twarzach. Niektórzy wydawali się równie niespokojni jak on, był też pewien, że rozpoznał jedną z kobiet na przedzie kolejki – pielęgniarkę z fantastycznymi nogami, którą zauważyłby zawsze i wszędzie. Ona chyba go nie dostrzegła, może z powodu zdenerwowania. I bardzo dobrze! Ale kilka osób za nim stał chudy jak szczapa człowiek w pasiaku, który wydawał mu się dziwnie znajomy. Miał zapadnięte policzki, kościstą, nerwową, szczurzą twarz, jednak Fischer jakoś nie mógł skojarzyć nazwiska. Uświadomił sobie, że zbyt intensywnie się mu przygląda, ponieważ kiedy znów zerknął w jego stronę, tamten zasuszony szczur gapił się na niego. Bez wątpienia...



Fischer w końcu stanął twarzą w twarz z brytyjskim lekarzem wojskowym, który polecił mu podnieść lewe ramię. Lekarz sprawdził listę, zapytał Fischera o nazwisko i grupę krwi. Fischer wymamrotał coś niezrozumiałego ze spuszczoną głową i został poproszony o mówienie głośniej.

– Jak się pan nazywa?

– Schole. Rapportführer Fritz Schole.

Braun cały czas usiłował wymyślić sposób, jak tu się wywinąć. Widział przed sobą Fischera w kolejce, kilkakrotnie przyłapał komendanta, jak mu się przygląda. Potem usłyszał, że Fischer podaje się za Scholego. Okazja spadła mu z nieba! Braun wyskoczył z kolejki i wrzasnął:

– To nie jest Schole! To komendant obozu Baldric Fischer!

Ktoś mu zawtórował.

– Tak. Zgadza się, to on! To komendant. Ma na nazwisko Fischer, ten człowiek to Fischer!

Nagle wybuchła wielka wrzawa.

– On się myli. Kto to jest, żeby mnie oskarżać? Zapytajcie Rosjan, oni mnie znają. Jestem Schole, Fritz Schole! Mam dokumenty, spójrzcie na dokumenty! – Fischer klepał się po całym ciele w daremnej próbie zmylenia Brytyjczyków. Przystąpił do niego jakiś żołnierz i złapał go za ramię. Fischer się szarpał, próbując uwolnić się z uścisku.

Rozkrzyczany tłum zaczął napierać na tęgiego Niemca, więc Braun kogoś popchnął. Inny więzień w odwecie trącił stojącą przed nim osobę. Na przedzie

kolejki rozpoczęła się reakcja łańcuchowa. Braun wkroczył między rozpychających się łokciami, szarpiących się i wrzeszczących więźniów, próbując dopaść Fischera. Ktoś huknął na niego, żeby przestał się wpychać, więc ten zadał mu cios pięścią. Kilku innych więźniów doskoczyło do Brauna, który upadł na podłogę, nadal się drąc i wskazując na Fischera.

– Zostawcie mnie, łapcie komendanta! Dorwijcie Fischera!

Brytyjski oficer w końcu podniósł poturbowanego Brauna.

– Może pan przysiąc, że ten człowiek jest komendantem Wiśnicy? – zapytał, przekrzykując harmider.

– Oczywiście. Wszędzie bym poznał tego podłego łajdaka! Patrzcie, co mi zrobił! Patrzcie na mnie!

Ktoś w tłumie się obruszył.

– Na ciebie? A ja to co?

Braun ryknął mu prosto w twarz:

– Niech cię szlag!

Padły kolejne ciosy. Wybuchła burda, do bójki rzuciło się też kilku brytyjskich żołnierzy. Braun wykorzystał okazję, by zręcznie wystawić się na razy i wkrótce po raz drugi wylądował na podłodze, tarzał się pod atakującym tłumem, kłął i wierzgał, próbując dopaść Fischera i wszystkich innych.

W końcu Brytyjczycy opanowali sytuację, awantura ucichła. Oficer wskazał na Fischera.

– Zabrać go do celi!

Wyprowadzono komendanta, który wciąż usilnie przekonywał o swojej niewinności. Braun wykrzywił twarz i utykał na jedną nogę.

– Co się stało? Coś pana boli? – zapytał oficer.

– Chyba mam stłuczoną kostkę, ktoś mnie kopnął. Jestem słaby po spędzeniu tutaj tak długiego czasu – rzekł Braun, starając się jak najlepiej udawać rannego.

Oficer wydał kolejny rozkaz.

– Tego zaprowadźcie do namiotu medycznego!

Żołnierze pomogli Braunowi wyjść.

Kolejkę przeorganizowano. Jeden z Brytyjczyków powiedział:

– Na czym stanęliśmy, zanim się to wszystko zaczęło?

Wezwał następną osobę z kolejki, zajrzał pod lewą pachę i kazał przejść dalej. W ciągu dziesięciu minut Braunowi zabandażowano kostkę. Zapomniano o kontroli. Był bezpieczny.



Ania usłyszała później, że aresztowano komendanta obozu, który próbował podawać się za Scholego, podeszła więc do stanowiska administracyjnego z pytaniem, czy mogłaby pomóc. Zna Fischera lepiej niż kogokolwiek, powiedziała. Wyjaśniono jej, że więzień, który zidentyfikował komendanta w trakcie proceduralnej kontroli, przebywa obecnie w szpitalu z uszkodzoną kostką – być może złamaną. Za kilka dni złoży zeznanie, ale potrzebują też innych świadków, więcej dowodów, kolejnych zeznań.

Ania zidentyfikowała Fischera. Kiedy przed nim stanęła, spojrzął na nią z nadzieją na odrobinę współczucia. Zdobył się na blady uśmiech, drgnął mu kącik ust, w oku pojawił się błysk. *Pamiętasz dobre chwile, Aniu?*

Dla mnie żadna chwila nie była dobra, pomyślała, odwróciła się do nadzorującego procedurę żołnierza i ponuro skinęła, potwierdzając prawdziwą tożsamość Fischera. Zwiesił głowę. Wiedział, że tym razem gra naprawdę się skończyła.



Trzy dni później Ania dostała wiadomość, że stara kobieta, która ukryła ją w baraku dwieście dwanaście, umarła. Poddała się, życie uleciało z niej na delikatnych jak pajęczyna skrzydłach. Odeszła w świadomości, że jej ostatni czyn na tym świecie, ukrycie Ani i Zofii, był aktem najwyższego człowieczeństwa.

Panowała ogólna konsternacja spowodowana dużą liczbą zgonów w wyzwolonych obozach. Chyba teraz, gdy ludzie są wolni, nie będą umierać? Przecież nie ma już powodu do umierania, prawda? Ale wielu oswobodzonych więźniów nie mogło jeść, bez względu na to, jak pożywny podawano im pokarm. W końcu brytyjscy medycy opracowali specjalną postać owsianki, którą skurczone żołądki były w stanie strawić.

Kamery filmowe zarejestrowały niewiarygodny widok tysięcy ludzkich zwłok spychanych buldożerami do przepastnych dołów. Operatorzy maszyn zasłaniali usta chusteczkami, wypełniając to makabryczne zadanie. Tysiące ciał podrzucanych, odwracanych, staczających się do ziemi to tu, to tam w zupełnie przypadkowy, chaotyczny sposób niczym zepsute szmaciane lalki. Widok zdawał się nierealny. Grzebanie zmarłych buldożerem?

Podczas wyzwalań Wiśnicy na dziedzińcu bloku administracyjnego znaleziono zwęglone pozostałości obozowych akt i statystyk. Odkryto wśród nich wystarczająco dużo częściowo spalonych dokumentów, by potwierdzić, że Fischer wcale nie pobił wprawiającego w osłupienie rekordu ustanowionego w Treblince, gdzie zamordowano ponad trzysta dwanaście tysięcy ludzi

w niewiele ponad miesiąc. Dziesięć tysięcy dziennie, każdego dnia, przez miesiąc.

Siedząc samotnie w celi, Fischer rozmyślał o otrzymanych właśnie od strażnika wiadomościach. Za dziesięć dni miał zostać przekazany Rosjanom. Sytuacja ze złej stawała się bardzo zła. Odebrano mu pasiak, zastępując go brytyjskim więziennym uniformem. Wraz z pasiakiem zniknęły tabletki z cyjankiem i okazja do popełnienia samobójstwa. Wkrótce Fischer miał się znaleźć na łasce Rosjan.

Była jednak nadzieja. Dla Baldrice Fischera zawsze była nadzieja! Rosyjski generał w chwili słabości odesłał mu fajkę, a wraz z nią woreczek z tytoniem i zapalki. Żołnierz, który je ukradł, i tak nie umiał z nich skorzystać, więc bez protestów zrezygnował ze zdobyczy.

Oczywiście, że nie mógł zapalić fajki! Cybuch zatykały brylanty, które Fischer osobiście tam upchnął. Teraz strzegł ich jak oczka w głowie. Notes z adresem ukrycia nieoficjalnego funduszu emerytalnego przepadł wraz z pasiakiem, więc teraz zostały mu tylko brylanty schowane w fajce. Musi być jakieś wyjście z tych tarapatów, po prostu musi!

61

Po wyzwoleniu Wiśnicy Armia Krajowa dowiedziała się o Jimie Maurisie. Lokalną sekcją AK kierowała młoda, piękna blondynka, mieszkanka Krakowa, która celowo zaprzyjaźniła się z Maurice'em i zdobyła jego zaufanie. Alianci oficjalnie nie uznawali Armii Krajowej, lecz Maurice dość szybko zrozumiał cel działania tej organizacji i docenił jej poświęcenie w trakcie konfliktu zbrojnego.

Blondynka powiedziała mu, że dla Polaków wojna jeszcze się nie skończyła. Sprawiedliwość musi zwyciężyć. Zrelacjonowała Maurice'owi potworności, których dopuszczali się Fischer i jego ludzie: okaleczanie, gwałty, tortury, przyspieszone egzekucje. Wojna zdawała się mieć dla niej bardzo osobisty wymiar.

– Nie martw się o Fischera, za parę tygodni zajmą się nim Rosjanie, tego możesz być pewna.

– Tak się nie stanie, uwierz mi – odparła blondynka. – Wasz pułkownik Snapes zostanie wkrótce wezwany do Londynu na ważną odprawę, wiem to z dobrze poinformowanych źródeł. Rosjanie nigdy nie dostaną Fischera w swoje ręce, ponieważ zostanie przeniesiony do więzienia Spandau w Berlinie, gdzie będzie

czekał na proces, oskarżony o zbrodnie wojenne wraz z innymi kluczowymi postaciami SS. Chodzą słuchy, że procesy odbędą się w norymberskim Pałacu Sprawiedliwości i wiele osób się obawia, że większość oskarżonych uniknie ciężkich wyroków.

Dwa dni później Snapes został rzeczywiście wezwany do Londynu, a po powrocie poinformował swoich ludzi o nadchodzącej serii procesów, pierwszych tego rodzaju na świecie – o zbrodnie przeciw ludzkości. Najcenniejszy więzień Snapesa, komendant Wiśnicy Baldrich Fischer, miał zostać przewieziony do Berlina pod specjalną strażą i oczekiwać tam na proces.



W pewien wyjątkowo zimny lutowy dzień tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, kiedy Snapes omawiał w Warszawie środki bezpieczeństwa związane z przewiezieniem Fischera do Berlina, Armii Krajowej udało się przemycić do Wiśnicy grupkę tajnych agentów. Przebranych za inspektorów Czerwonego Krzyża, z fałszywymi dowodami tożsamości oraz dokumentami upoważniającymi ich do przeprowadzenia szybkiej kontroli, także w areszcie śledczym. Mieli prawo przesłuchać każdego więźnia podejrzanego o zbrodnie wojenne, by zapewnić mu traktowanie zgodne z konwencją genewską. W tym samym dniu kilka minut po osiemnastej znaleziono Fischera powieszzonego w jego celi, pod ciałem leżały rozsypane na podłodze brylanty.

W trakcie kontroli nikt nie widział ani nie słyszał niczego podejrzanego, nawet Jim Maurice, który odpowiadał za bezpieczeństwo pod nieobecność Snapesa. Został całkowicie uwolniony od odpowiedzialności za incydent, który zaprotokołowano jako samobójstwo.



Stało się oczywiste, że największą tajemnicę Fischer zabrał ze sobą do grobu – tajemnicę swej władzy nad Adolfem Hitlerem. Kilka lat przed wybuchem wojny Führer wdał się w zakazany romans z młodziutką córką swojej przyrodniej siostry, Angelą „Geli” Raubal. Popełniła samobójstwo w wieku dwudziestu trzech lat, co było bezpośrednim rezultatem prób kontrolowania jej przez wuja. Hitlerowi udało się zakneblować niemiecką prasę; gdyby upubliczniono oskarżenia Geli dotyczące brutalności i perwersji wuja, może udaremnilo by jego próbę dominacji nad światem.

Rodzina Geli przyjaźniła się z żoną Fischera, a sama Geli była częstym gościem w ich domu. Baldric Fischer wykorzystywał te okazje do rozpieszczania dziewczyny w nadziei, że Hitlera dojdą słuchy, jakim to jest wartościowym, wspaniałym człowiekiem. Im większa łączyła ich zażyłość, tym częściej dziewczyna mu się zwierzała.

W dniu, kiedy popełniła samobójstwo, Geli wysłała Fischerowi dramatyczny, pisany odręcznie list, szczegółowo opowiadający wszystko, co zaszło między nią a wujem – Führerem. Fischer ukrył list, a kiedy nadszedł właściwy moment, powiedział o nim Hitlerowi. Pismo oraz okropne sekrety, które zawierało, są bezpieczne, zapewnił, i nie zostaną ujawnione, chyba że zmusi go do tego przedwczesna śmierć – pozostawił stosowne instrukcje. Szantażowanie Hitlera wiązało się z ogromnym ryzykiem, ale okazało się skuteczne. Oczywiście Fischer obiecał Führerowi, że natychmiast po zakończeniu wojny osobiście dostarczy mu rzeczony list; a tymczasem pismo stało się jego przepustką do Żelaznego Krzyża (pierwszej klasy) oraz awansu do stopnia podpułkownika i wygodnego życia w Wiśnicy.

Pomimo licznych prób podejmowanych przez najtęższe umysły Berlina nie zdołano ustalić, co łączyło Führera z Fischerem, i nawet ściśle tajne śledztwo Gestapo nie wydobyło na światło dzienne tej tajemnicy. Była to jedna z wielkich zagadek, która umknęła wszystkim z wąskiego grona Hitlera. Nie dowiedziano się o niczym, dlatego że list nie istniał. Istniała tylko przyjaźń między Geli Raubel a żoną Fischera. On wymyślił całą resztę.

Inną tajemnicą, która wypłynęła wiele lat później, było to, w jaki sposób Karl Braun, zwany również Chartem, znalazł się w Ameryce w dwutysięcznym roku.

CZĘŚĆ 8

Oczami Ani

62

Pomimo upływu wielu lat obóz ożywał w pamięci Ani w spokojnych chwilach tuż przed zaśnięciem. Choć znajdowała się w przytulnym zaciszu swojej sypialni w New Jersey, Wiśnica stawała się nagle tak prawdziwa, jak gdyby Ania leżała na nasiąkniętym moczem sienniku rzuconym na drewnianą prycę, otoczona smrodem i strachem setek innych kobiet.

Wyzwoleni więźniowie obozów potrzebowali do życia miłości i ciepła, bliskości i dotyku, nie tylko stawy i lekarstw. Byli w rozpacz. Nie istniało nic bardziej bolesnego niż tkwiący w pamięci obraz najbliższych prowadzonych do komory gazowej.

Wkrótce po wyzwoleniu Wiśnicy Brytyjczycy zgromadzili pokaźną liczbę dostojników, wysokich rangą urzędników oraz zamożnych Polaków, których wojna na pozór nie dotknęła. Zebrano ich z okolicznych miasteczek i wsi, także z Oświęcimia. Niektórzy przybyli aż z Krakowa. Oprawdano ich po terenie obozu, nie oszczędzając żadnego widoku. Zmuszono do wejścia do komór gazowych, podczas gdy jeden z brytyjskich żołnierzy zatrzasnął za nimi drzwi. Ocaleni, którzy stłoczyli się, by być świadkami tego spektaklu, z satysfakcją obserwowali panikę na ich twarzach i przysłuchiwali się wstrętnym komentarzom, gdy w końcu ich wypuszczono.

Następnie zabrano przybyłych do krematorium, gdzie stali sztywni i nadęci, wpatrując się w zbieleńskie szkielety leżące nadal w piecach. Pokazano im górę drobnych fragmentów kości oraz ludzkich prochów czekającą na wywóz, była jednak zbyt duża, by mogła wydać się prawdziwa. Większość po prostu patrzyła i wzruszała ramionami w swoich futrach i szytych ręcznie wełnianych garniturach.

Następnym punktem oprowadzania były baraki, żeby burmistrzowie i właściciele sklepów, rzeźnicy i jubilerzy, ramię w ramię z radnymi oraz innymi zadufanymi w sobie członkami polskiego społeczeństwa, poczuli zapach „pomieszczeń mieszkalnych”. Kobiety zakrywały twarze koronkowymi chusteczkami, chroniąc zmysły przed smrodem wilgoci, zimna i chorób. Słyszano, jak jeden z mężczyzn powiedział: „Nie jest tak źle. O co tym Żydom chodzi? Co

prawda to nie hotel Bristol, ale mógłbym tu spędzić parę nocy”. Jedna czy dwie osoby zareagowały na ten komentarz autentycznym śmiechem.

Brytyjczycy zebrali dziesiątki tysięcy zwłok z każdego zakątka obozu. Niektóre zamarznęte w groteskowych pozycjach, z twarzami wykrzywionymi udręką śmierci, z otwartymi ustami, wytrzeszczonymi oczami, wyniszczonymi twarzami – sceny z dantejskiego *Piekle*. Ciało spoczywały w ogromnych stertach, niczym góry połamanych manekinów, a goście zmuszono do przechadzania się między nimi, patrzenia na wszy oraz robactwo wypełzające z ziejących oczodołów i uszu. Odeń rozkładu towarzyszył zapach obfitych ilości tanich perfum i wody różanej domowej roboty, którymi ludzie próbowali zamaskować smród. Wiele lat później Leo będzie narzekać, że Anna używa perfum w łóżku, ona jednak nawet nie próbowała wyjaśnić mu dlaczego. Szkoda zachodu, zwłaszcza przy takim Leo.

Brytyjczycy wybili tysiące szczurów – truli je, strzelali do nich, chwyтали w pułapki. Przed inspekcją gryzonie także ułożono w stosy, by potem oblać je benzyną i podpalić, uwalniając obóz od przenoszonych przez nie chorób. Co dziwne, dopiero ten widok zdawał się wzbudzać w gościach odrazę.

Magazyn w Wiśnicy zwany Kanadą Dwa był wypchany po sufit odebranymi więźniom rzeczami osobistymi. Walizkami, butami, okularami, szczotkami do włosów, bielizną, nawet protezami kończyn. Najbardziej przygnębiał stos dziecięcych ubrań i zabawek; podniszczone misie i lalki, które dawały tak wiele otuchy, zostały wyrwane z rącek niewinnych, przerażonych dzieci, a teraz polscy mężczyźni złościли się, że ich żony muszą oglądać takie widoki. Przecież one tego nie zrobiły, dlaczego więc każą im na to patrzeć?

Kilka godzin później dostojnicy w końcu odjechali. Niektórzy pochyliłi w zadumie głowy, jednak większość trzymała je wysoko, a ich oczy pały gniewem. A kobiety? Owszem, część z nich była zdruzgotana, ale wiele postanowiło zachować wyniosłą godność, z wyzywającymi minami otulając się futrami w drodze do samochodów, którymi je tu przywieziono. Podczas inspekcji nikt nie okazał wstydu, nikt nie zaoferował pociechy, otuchy, nikt nie wyraził ubolewania przed wymizerowanymi ludźmi przyglądającymi się tej wizytacji. Ani jedna osoba nie wyszła przed szereg, by okazać współczucie ocalałym.

Sierżant sztabowy Jim Maurice był oburzony reakcją dostojników, wpływowych postaci, które odwracały głowy, gdy Niemcy mordowali setki tysięcy ludzi niemal na ich podwórkach. „Spójrzcie na siebie, tylko na siebie popatrzcie!”, krzyczał, jakby ustawiał rekrutów w szeregu na placu apelowym. „Okryliście się hańbą! To się działo w waszych miastach i wsiach, tuż za waszymi płotami, a wy nie kiwnęliście palcem, by pomóc tym nieszczęsnym, niewinnym ludziom. Wstydź się, Polsko. Wstydźcie się wszyscy!”

Kilka dni później o północy ludzi w obozie wyrwał ze snu przerażający odgłos strzałów. Całe zamieszanie szybko ucichło, ale rano następnego dnia zapytano byłych więźniów, czy potrafią zidentyfikować zwłoki ułożone na placu apelowym. Przyłapano mężczyznę, który odkopywał zwłoki i szukał pojedynczych klejnotów ewentualnie przeoczonych przez Niemców. Widziano go już kilka dni wcześniej, jak przesiewał prochy na tyłach krematorium, i ostrzeżono, że jeśli wróci, dostanie kulkę. Wrócił.

Jim Maurice ściągnął ze zwłok prześcieradło.

– Zna ktoś tego tchórza? Nie ma dokumentów ani identyfikatora.

Ktoś wystąpił naprzód.

– Ja go znam. Jego brat był wielkim przyjacielem tego obozu, działał w ruchu oporu. A ten? Ten też był w ruchu oporu, ale był tchórzem i zdrajcą! Krzyżyk mu na drogę. I jemu podobnym. – Mówiący te słowa splunął na zwłoki i mruknął: – Szczeńnij w piekle, jednooki sukinsynu!

Tamtej nocy włączono reflektory oświetlające ogrodzenie obozu, zbiorowe mogiły i krematoria. Miały świecić co noc przez cały okres brytyjskiej okupacji obozu. Hałas z agregatów prądotwórczych przeszkadzał w spaniu, ale lampy odstraszały takie hieny jak brat Grabowskiego, Józef.



Po wyzwoleniu w obozie nadal obowiązywała godzina policyjna. Byli więźniowie mogli chodzić, dokąd chcieli, tylko za dnia. Ani powiedziano, że pozostanie w Wiśnicy, dopóki alianci nie zakończą śledztw, nie wydadzą jej papierów i dokumentów podróжных i nie potwierdzą, że jej stan pozwala na zwolnienie. Nie miała pojęcia, dokąd się uda, ponieważ Europa była pełna wysiedleńców. Spędzała więc dni na spacerowaniu po obozie, powracaniu do wspomnień, a także próbach wyrugowania ich z pamięci.

Stojąc któregoś dnia w pobliżu komór gazowych w zarzuconym na ramiona ciepłym palcie ofiarowanym jej przez Czerwony Krzyż, Ania zauważyła parę gołębi na trawie. Dzień był zimny (w Wiśnicy zawsze było zimno), a jeden z ptaków, oczywiście samiec, stroszył pióra i dumnie paradował – *patrz na mnie, patrz* – jak mężczyzna, który chce zaimponować kobiecie. Niebieskie upierzenie wokół szyi lśniło w świetle niczym piękny jedwabny szal, gołąb gruchał i się puszył, wyraźnie z siebie zadowolony. Nagle oba ptaki zatrzepotały szarymi jak gradowa chmura skrzydłami, zerwały się do lotu i zniknęły. Na ich miejscu pojawił się jeden z członków Sonderkommando, którego Ania widywała przy pracy w obozie podczas okupacji. Także i jego jakaś siła zdawała się przyciągać do komór gazowych, kazała wszystko przeżywać od nowa, puszczać w głowie

wciąż od nowa ten sam film, a on modlił się, by te widoki, zapachy i odgłosy go opuściły – wiedząc, że to nigdy nie nastąpi.

Ania podeszła do niego i w milczeniu otoczyła go ramieniem. Wtedy przemówił. Jego głos brzmiał dziwnie bezbarwnie, był wyzuty z emocji, jak gdyby on sam nie mógł uwierzyć, co się z nim stało podczas wojny. Z pewnością nie grał żadnej roli w tym dziwnym przedstawieniu. On? Przecież to niemożliwe? Przed wojną był rzeźnikiem. Powiedział Ani, że to dlatego wcielili go do Sonderkommando – ponieważ przywykł do śmierci. Teraz potrzebował rozmawiać o wszystkim, co widział i robił, jakoś to zracjonalizować, opowiedzieć komuś, kto będzie tylko kiwał głową, zamiast osądzać.

– Człowiek nie może trzymać takich rzeczy w sobie, musi je z siebie wyrzucić... To, co robiłem. Bardzo trudno mi żyć z tymi wspomnieniami. Pewnego dnia wybuchnę, bo one rozsadzają mi głowę.

Opowiadał, co widział, wyciągając ciała zagazowanych. Najgorsze były dzieci, ciągle te dzieci: malutkie szkraby, niemowlęta w ramionach, niewinne maleńkie istotki, niezagrażające nikomu, niezdolne do wyrządzenia żadnej szkody żadnemu państwu czy rządowi.

Mówił, że nigdy nie zapomni tego zapachu: nie tylko woni gazu, bo tę czuć było sporadycznie, lecz także smrodu fekaliów, uryny i krwi.

– Kobietom zdarzały się tu poronienia. Ludzie popuszczali kał, prowadząc beznadziejną walkę ze śmiercią.

Po twarzy mężczyzny płynęły łzy, żłobiły ślad na zapadniętych policzkach. Brytyjczycy oczyścili go ze wszystkich zarzutów, lecz dla niego nie miało to znaczenia. Dla niego było za późno. Popełnił samobójstwo na drugi dzień po uniewinnieniu.



Dowiedziawszy się, że mężczyzna odebrał sobie życie, Ania regularnie odwiedzała miejsce, gdzie rozmawiali po raz ostatni. I właśnie kiedy wpatrywała się w otwarte drzwi komory gazowej, dostrzegła w środku jakiś ruch, a po chwili ktoś stamtąd wyszedł i ruszył ku schodom. Spojrzał na Anię i smutno pokręcił głową. To nie miało być ich ostatnie spotkanie.

Ania usłyszała o śmierci Hitlera w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, gdy znajdowała się na pełnym morzu. Europa wreszcie uwolniła się od zmyry zwanej nazistami. Minie jeszcze trochę czasu, zanim Amerykanie zakończą wojnę w Hiroshimie i Nagasaki, ale dla ocalonych z Wiśnicy działania wojenne były już zamkniętym rozdziałem. A Ania stała się zamężną kobietą!

Była mężatką w każdym sensie poza tym legalnym, udokumentowanym. Miała męża, przyjęła jego nazwisko, dzieliła z nim łóżko i wiodła małżeńskie życie, ale poznali się zaledwie kilka tygodni wcześniej – gdy zobaczyła, jak Leo Braniewski wychodzi z komory gazowej i kręci głową.

Podczas oficjalnej rejestracji w Wiśnicy, kiedy ocaleni ustawili się w kolejce po nowe paszporty, przepustki podróżne oraz inne dokumenty, Ania po raz kolejny znalazła się twarzą w twarz z Jimem Maurice'em. Natychmiast się rozpoznali i do siebie uśmiechnęli. Wiedziała, że Jim Maurice jej pomoże. I pomógł. To wtedy powstała słynna towarzyska opowieść o Australii: zagraniczne rządy dawały pierwszeństwo parom małżeńskim, które po wojnie chciały rozpocząć nowe życie w nowym kraju. W chwili gdy Ania próbowała wyjaśnić Jimowi Maurice'owi swoją sytuację, pojawił się Leo, zupełnie znikąd, objął ją w pasie ramieniem i przeprosił za spóźnienie.

– A kim pan jest? – zapytał Maurice.

– Mężem Ani, rzecz jasna. Leo Braniewski – odparł łamaną angielszczyzną.

Jim Maurice popatrzył na Anię.

– Wydawało mi się, że podała pani nazwisko Burczyk?

Leo szybko się wtrącił.

– To nazwisko panińskie, tak to się chyba nazywa. Zwykle nieporozumienie.

Maurice ponownie podniósł na Anię pytający wzrok. Wzruszyła ramionami i skinęła głową, przekreślił więc jej nazwisko na dokumencie, zmienił na Braniewską, a następnie odhaczył okienko „zamężna”. Mogła teraz wskoczyć razem z mężem na pokład statku płynącego do Australii!

Tylko że Ania nie chciała jechać do Australii. Chciała jechać do Stanów Zjednoczonych. Następnego dnia zakradła się z Leo na statek do Nowego Jorku. Nie zdemaskowano ich na zatłoczonym okręcie, a po dotarciu na miejsce udawali, że prawie nie mówią po angielsku, przeistaczając się nagle w najbardziej zagubionych i zrozpaczonych migrantów, którzy kiedykolwiek postawili nogę na Ellis Island!

W końcu pozwolono im na wjazd, a po wielu latach osiedli w Jersey. Leo jeździł taksówką, Ania (a raczej Anna, bo pod takim występowała teraz imieniem) znalazła pracę w domu opieki dziesięć minut od ich mieszkania, które wówczas znajdowało się nad pralnią chemiczną.

Po kilku latach Anna dowiedziała się, że nie może mieć dzieci z powodu obrażeń wewnętrznych zadanych jej przez Niemców w czasie wojny. By zaspokoić instynkt macierzyński, kupiła psa, którego nazwała Kapustkiem. Od tamtej pory każdy kolejny pies wabił się tak samo. Anna i Leo jakoś radzili sobie w życiu, a w końcu kupili niewielki wygodny domek niedaleko wynajmowanego wcześniej mieszkania.

Już przy pierwszym spotkaniu ze Stellą Annę niemal zatkało. Okazało się, że mają tak wiele wspólnych poglądów i opinii, że wkrótce stały się nierozłączne. Kilka lat młodsza od Anny Stella była jedynaczką i nie miała żadnych relacji z rodzicami ani innymi członkami rodziny. Była samotna, tak jak Anna. Obie kobiety szybko wypełniły tę pustkę w swoim życiu. Anna znów miała „siostrę”.

Najbardziej prozaicznym spoiwem tej przyjaźni byli ich mężowie. Zdawało się, że obydwaj mężczyźni „potrzebują” swoich żon, ale żaden z nich ich nie „ceni”. Anna i Stella umiały gotować, obsługiwać pralkę, prasować i utrzymywać czystość w domu. Nie odmawiały mężom w sypialni, zarządzały domowymi finansami i opłacały rachunki, organizowały życie swoich partnerów i bez skargi wysłuchiwały ich ciągłego głupiego gadania. „Zastępujemy im matki wszędzie poza sypialnią!”, mawiała Anna.

Joe był typowym Włochem; lubił myśleć, że to on dzierży domowe stery, choć wszyscy wiedzieli, że rządzi Stella. Joe manifestował swoją władzę, kontrolując finanse, a Stella często to komentowała, twierdząc, że więcej w nim Żyda niż Włocha, ponieważ nie cierpi rozstawać się z gotówką. Nie żeby Joe nie lubił wydawać pieniędzy, bo zawsze miał wypchany portfel – on po prostu nie lubił, jak ktoś wydawał je za niego, zwłaszcza Stella, która zdaniem Joego traciła je na takie niepotrzebne rzeczy jak jedzenie i hipoteka.

Stosunek Joego do pieniędzy był popularnym dowcipem przywoływanym często przez oba małżeństwa, a Leo uwielbiał powtarzać sąsiadowi, że byłby doskonałym partnerem dla jakiejś cioty, ponieważ „cioty niczego nie uwielbiają bardziej niż wąż w gaciach, a on ma go i w gaciach, i w kieszeni”.

Pomimo tych popisów i przechwałek Leo był nie lepszy od Joego w kwestiach pieniędzy. Anna zajmowała się rachunkami, spłacała kredyt hipoteczny, kupowała produkty spożywcze oraz wszystkie inne potrzebne rzeczy i dopiero kiedy kończyły się jej własne pieniądze, dokładał się on. Leo lubił wypić, zwykle wolał towarzystwo kumpli w Polskim Klubie niż własnej żony. Oznajmił Annie bez ogródek, że zasłużył sobie na zrobienie z resztą swojego życia tego, co mu się żywnie podoba. Przeżył wojnę, a to, że nie ma wytatuowanego na przedramieniu pięciocyfrowego numeru, wcale nie znaczy, że wycierpiał mniej niż ona. Poza tym nie lubił powracać do tamtych czasów. „Wojna się skończyła. Zapomnij. Żyj!”



Anna po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że znów umie płakać, w Wigilię tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku. Uchodźcy wciąż borykali się z integracją, Amerykanie często patrzyli podejrzliwie na ich dziwne potrawy, zwyczaje i stroje. Niektórzy obawiali się, że przedmieścia zamienią się w getta, ponieważ polscy i włoscy migranci upodobali sobie właśnie te odległe dzielnice. Znalezienie się w otoczeniu znajomych akcentów niosło nowo przybyłym otuchę. W samym Nowym Jorku ludzie tacy jak Anna i Leo oraz Stella i Joe osiedlali się na Lower East Side i tam tworzyli podwaliny nowego życia.

Problemem większości przesiedleńców było to, że wszystko wokół okazało się takie na wskroś amerykańskie! Kto wie, co wsadzają do tych dziwacznych hot dogów; przecież robi je maszyna, tysiące na raz! Gdzie są warzywniaki i delikatesy? Nowi przybysze za żadne skarby nie mogli kupić porządnej kiełbasy. Dlatego sami zabrali się za wytwarzanie żywności, uprawiali warzywa i zioła w doniczkach na balkonach, a jeśli dopisało im szczęście – we własnych ogródkach albo u znajomych. Wędzarnie wyrastały w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, a hasła „domowy” albo „z domowej wędzarni” stały się dewizami części nowojorczyków. Początki były trudne, w końcu jednak znaleźli swoje miejsce, a Ameryka tylko na tym zyskała.

W kościele, do którego Anna i Leo wybrali się w Wigilię Bożego Narodzenia, było zaskakująco dużo osób z Europy Wschodniej; szorstkie akcenty podnosiły na duchu. Jeszcze bardziej krzepiące okazały się śpiewy: zdawało się, że Amerykanie znają te same pieśni i kolędy co przybysze. Tamtego dnia ksiądz mówił o Bogu i o tym, że wojna skończyła się na dobre. Że to czas nowego początku, może krok w kierunku niemożliwego na pozór do pojęcia przebaczenia – trudno było wyobrazić sobie w owym czasie taki akt wspaniałomyślności.

Anna nigdy nie wybaczy Niemcom. Zabili całą jej rodzinę. Jak można coś takiego wybaczyć? Zamknawszy oczy, by porozmawiać z Bogiem, oznajmiła mu, że nigdy nie wybaczy mu tego, co stało się w Wiśnicy. Podczas wojny opuścił tak wielu ludzi, a przecież wzywali jego imię, gdy ból stawał się nie do zniesienia. Śpiewając w kościele kolędy, Anna poczuła w kąciку ust słony smak łzy. Po raz pierwszy od lat. Przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, co to takiego, ta kapka, która spłynęła po policzku i wpadła pomiędzy wargi. Ale po pierwszej łzie popłynęły następne, a potem jeszcze więcej. Leo zapytał ją, dlaczego płacze.

– Przez wojnę, Leo. Płaczę przez los, który spotkał moją rodzinę oraz wszystkich tych, których nie ma już z nami.

– Mówiłem ci już, kobieto: trzeba iść naprzód. Tamto się skończyło. W ogóle nie miało miejsca.

Ponieważ Annie nie wolno było rozmawiać o wojnie, dusiła wszystko w sobie. Dopiero kiedy poznała Stellę, znalazła życzliwe ucho, kogoś, kto chciał wysłuchać tego, co musiała z siebie wyrzucić. Stella była jak siostra.

Co prawda zajęło jej to trochę czasu, niemniej Anna stopniowo oczyszczała sumienie z głęboko skrywanego poczucia winy dręczącego ją z powodu jej roli w burdelu, z powodu wstrętnych rzeczy, które robiła i na które pozwalała wobec siebie innym, by utrzymać się przy życiu. Ale jednej winy nie potrafiła wymazać, tej związanej z egzekucją Danuty. Ból był czasem nie do zniesienia, zakradał się w chwilach, gdy najmniej się tego spodziewała, przenikał głęboko, aż do szpiku kości. *To powinnam być ja, to powinnam być ja.*

Anna nigdy nie zdradziła Stelli, jak zginęła Danuta, za to dzieliła się z nią wieloma innymi sekretami i nigdy nie była poddawana ocenie. Leo natomiast ją osądzał, i owszem, a fakt, że była wtedy bardzo młoda, nie wpływał na jego opinię. Poszła na ławiznę, nie próbowała uciec, nie sabotowała swoich oprawców. Leo został przyłapany na oszukiwaniu niemieckiego żołnierza na czarnym rynku i wysłany za to do Wiśnicy, gdzie miał być stracony wraz z innymi spekulantami, ale przeszkodziło w tym wyzwolenie obozu. On przynajmniej próbował, jak twierdził, zemścić się na Niemcach, sikając do ich nielegalnej whisky. A Anna? Co robiła? Ona z nimi współpracowała.

Niektóre kobiety wolały popełnić samobójstwo, niż znosić nieustanne akty poniżenia, do których zmuszali je Niemcy. Anna widziała tęgą żonę chłopca wiszącą na elektrycznym ogrodzeniu w Wiśnicy. Nie wytrzymała niekończących się okrucieństw i upokorzeń. Anna przypisywała swoją porażkę tchórzostwu. Nie poszła w ślady żony rolnika. Choć myśl o tym wielokrotnie przychodziła jej do głowy, nie umiała zdobyć się na skok na ogrodzenie i skończenie z tym wszystkim.

Życie Anny i Leo w Jersey w końcu się polepszyło. Jak większość małżeństw miewali od czasu do czasu swoje problemy, ale nie więcej niż inne pary w tamtych powojennych latach. Stopniowo zbudowali fundament i wypracowali sobie znośnie funkcjonującą rutynę, która odpowiadała im obojgu. Nie było między nimi miłości, ale nie czuli też potrzeby szukania jej poza związkiem. Kilka razy wybrali się na wspólne wakacje, zobaczyli kawałek Ameryki, w końcu spłacili hipotekę. Wiedli dobre życie, ale ten stan nie miał trwać wiecznie.



Pan Ramez, dyrektor domu opieki, należał do dżentelmenów starej daty. Zawsze chodził pod krawatem, wstawał, gdy do pokoju wchodziła kobieta, przytrzymał

paniom drzwi. Jednak Anna denerwowała się, gdy wezwał ją do swojego gabinetu, choć był znany z tego, że wolał unikać sytuacji konfliktowych, jeśli tylko się dało. Ten rosły mężczyzna mówił cichym głosem, miał wielkie smutne oczy osadzone pod parą krzaczastych brwi. Wydawał się spięty i z pewnością nie czuł się zbyt komfortowo na tak wysokim stanowisku.

Kiedy Anna zajęła miejsce, Ramez wdał się w rozmowę o pogodzie, wilgotności powietrza – *okropność o tej porze roku* – o tym, jak szybko rośnie trawa, i oczywiście o Janekach. Anna kompletnie nie znała się na baseballu.

– Na boisku nie wiedziałabym nawet, za który koniec trzymać kij!

W końcu Ramez przeszedł do sedna. Wyłuszczył rzecz w długim, nerwowym zdaniu, niemal na jednym oddechu. Sprawiał wrażenie, jakby ćwiczył je od wielu dni.

Anna oniemiała.

– Jestem zwolniona, panie Ramez?

Brwi dyrektora uniosły się jak żaluzje.

– Ależ skąd, pani Braniewska. Przechodzi pani na emeryturę!

Reszta rozmowy Annie umknęła, wróciła do domu jak w transie. Łzy przysły dopiero wtedy, gdy zaczęła gotować obiad.

Co teraz pocnie? Nie martwiła się o pieniądze, byli dość dobrze sytuowani – hipotekę spłacili lata temu, mieli oszczędności. Chodziło o to, że ten dom opieki stał się jej życiem. A co ze Stellą? Nie będą już chodzić razem do pracy w dniach, gdy pokrywają się im zmiany, pozostanie im tylko widywanie się przy płocie podczas rozwieszania prania albo na rodzinnych uroczystościach. Bez domu opieki życie Anny rysowało się w ponurych barwach.

W ostatnim dniu pracy urządzono pożegnalne przyjęcie, na którym panowała przygaszona atmosfera, jako że nikt nie chciał patrzeć na jej odejście. Nawet kierowniczka zmiany Elaine Brinkworth wydawała się smutna, mimo że przez lata zdarzały się im spięcia. Z obietnicą zaproszenia na bożonarodzeniowe przyjęcie dla personelu, bukietem kwiatów i pięknym kryształowym wazonem Anna opuściła dom opieki Paterson Manor. Zgodnie z obietnicą Leo przyjechał po nią taksówką – co zdarzało się niesłychanie rzadko – i miał odwieźć ją do domu, a gdy zauważyła tykający licznik, zarzekał się, że zostawił włączony taksometr przez pomyłkę. Planowali wybrać się razem na kolację, by uczcić tę okazję, ale gdy dotarli do domu, Anna odwołała rezerwację w Polskim Klubie. Była zbyt przygnębiona, by siedzieć z mężem i słuchać, jak plecie trzy po trzy.

Przez kilka kolejnych dni snuła się po domu, wciąż jeszcze rozbita i już osamotniona. Gdy rano zadzwonił telefon, mało brakowało, a by go nie odebrała, kiedy jednak sięgnęła po niego po siódmym sygnale, zaskoczona usłyszała głos Elaine Brinkworth. Okazało się, że pan Ramez wraz z zarządem znaleźli wreszcie

w budżecie trochę pieniędzy na obwoźną bibliotekę. Rozprawiano o tym od lat i wreszcie nowi właściciele zdecydowali się przeznaczyć na ten pomysł kilka dolarów. Inwestycja nie była duża, ponieważ chcieli, by wózek biblioteczny obsługiwali wolontariusze. A konkretnie: wolontariusz. Wtedy Elaine zapytała:

– I co ty na to, Anno? Jesteś zainteresowana?

Nie minęło wiele czasu, a Anna zrobiła z ruchomej biblioteki kwitnące przedsięwzięcie, a to, co na początku było tylko dorywczym zajęciem, rozwinęło się w cztery i pół dnia pracy. Wszyscy byli zachwyceni efektami, z kolei Anna lubiła kontakty z miejscową biblioteką oraz księgarnią w centrum handlowym. Musiała załatwiać egzemplarze najnowszych publikacji w wersji z dużym drukiem, jak również audiobooki, od czasu do czasu chętnie przedstawiała prelegentów – lokalnych autorów, których zapraszano na spotkania z pensjonariuszami Paterson Manor. Życie Anny wróciło do normalności... Ale czy na pewno?

64

Pewnego ranka pan Croft, pensjonariusz z pokoju numer dwadzieścia cztery, został w łóżku dłużej niż zwykle. Gdy ktoś zauważył, że nie widziano go na śniadaniu, Stella postanowiła sprawdzić, co się dzieje. Taca ze śniadaniem stała na łóżku, głowa pana Crofta była przechylona pod dziwnym kątem, proteza niemal wypadła mu z ust. Miał też wyraz zaskoczenia na twarzy.

I szeroko otwarte oczy. Nie żył.

Dom opieki był prawdziwym domem dla większości swoich podopiecznych, ale także interesem i to dość poważnym, częścią większego przedsięwzięcia. Pokój pana Crofta wysprzątało, maźnięto świeżą farbą i mniej więcej po tygodniu zajął go nowy lokator. Mężczyzna ze słonecznej Florydy, mówiono, choć nikt dokładnie nie wiedział, dlaczego przejechał taki szmat drogi do New Jersey. Ponoć miał jakieś związki z Kościołem katolickim, lecz z jakiegoś powodu nie zdecydował się na któryś z prowadzonych przez Kościół domów. Nowy mieszkaniec miał osiemdziesiąt lat i, jak uprzedzono personel, bywał kłótniwy. Elaine Brinkworth przekazała wszystkim te informacje podczas porannej odprawy. Sprawiała wrażenie dość podekscytowanej pojawieniem się nowego lokatora w pokoju dwadzieścia cztery, tak jakby był jakąś znaną osobą, a kiedy oznajmiła: „Jeśli ktokolwiek ma prawo być na starość swarliwym, to na pewno ten człowiek”, stało się jasne, że ów nowy rezydent wywarł na niej wrażenie.

Wyjaśniła personelowi, że podczas drugiej wojny światowej był kimś w rodzaju bohatera w obozie koncentracyjnym, opublikowano nawet jego pamiętniki. Anna obserwowała z zainteresowaniem, jak wszyscy robią wielki szum wokół bohatera wojennego w Paterson, sama jednak wolałaby widzieć, jak do dawnego pokoju pana Crofta wprowadza się na przykład emerytowany kierowca autobusu. Zdawało się, że chociaż raz w słowach Leo jest trochę racji. „Wojna się skończyła, zapomnij o niej!”

Ponieważ natura ludzka rządzi się swoimi prawami, wkrótce Anna znalazła pretekst, by przejechać wózkiem bibliotecznym obok pokoju dwadzieścia cztery. Może uda się jej rzucić okiem na nowego lokatora. Gdy dotarła pod drzwi, były zamknięte, ale wizytówka z nazwiskiem pana Crofta już zniknęła, zastąpiła ją nowa, świeżutko wydrukowana. W Paterson Manor panował zwyczaj umieszczania na pierwszym miejscu pseudonimu albo preferowanego przez pensjonariusza imienia, co było wyrazem sympatycznego i przyjaznego podejścia do opieki nad starszymi, zgodnego ze statutem placówki. Na tabliczce figurował najpierw pseudonim „Polak”, wypisany tłustym drukiem, a poniżej pełne imię i nazwisko nowego lokatora: Paweł Michalik.



Stella poznała go pierwsza. Tak jak wszyscy, bardzo chciała poznać bohatera, więc przy pierwszej nadarzającej się okazji wsadziła głowę do jego pokoju i się przedstawiła.

– Żałosny stary zgred – oznajmiła podczas lunchu. – Ale się rozpromienił, gdy zaczął mówić o sobie, jak to mężczyzna.

Anna mruknęła znad filiżanki kawy:

– Jest Polakiem. Czego się spodziewasz?

Stella wyglądała na zaskoczoną.

– Mówiłaś, że go nie poznałaś.

– Nie poznałam, ale widziałam tabliczkę z jego nazwiskiem – odparła Anna z osobliwym wyrazem twarzy.

Stella podzieliła się kolejnymi spostrzeżeniami.

– Wiesz, odzywał się do mnie z wyższością, jakbym była jego służącą. W pewnym momencie myślałam, że zacnie na mnie wrzeszczyć, mówię serio. I ma w oczach coś takiego, no wiecie, dziewczyny... Z całą pewnością nie chciałabym się znaleźć w jego pokoju po niewłaściwej stronie łóżka!

„Niewłaściwa strona łóżka” to wyrażenie, jakim kobiecy personel opisywał obłąpywanie przez „starych zbereźników”. Dawno zauważono, że większość pensjonariuszek traciła z wiekiem popęd seksualny, natomiast wśród mężczyzn

„bycie w nastroju” nie należało wcale do rzadkości nawet dobrze po osiemdziesiątce, a bywało, że i w kolejnej dekadzie życia. Pielęgniarki, ich pomocnice i sprzątaczkę często czuły na pośludkach jakąś zabłąkaną, trzęsącą się dłoń, gdy poprawiały komuś łóżko, dlatego już dawno temu wprowadzono zasadę, że na dyżurze mają nosić spodnie.

Stella przypominała sobie dzień, kiedy gonił za nią po pokoju pewien całkiem nagi pensjonariusz w pełnym wzwodzie. Udało się jej wcisnąć guzik alarmowy, zanim zdążył ją dopaść. Lekarz zjawił się w idealnym momencie, ponieważ staruszek upadł na podłogę z palpitacjami serca. Erekcja utrzymywała się uparcie jeszcze przez pewien czas, ale Stella przywróciła staruszkowi odrobinę godności, kładąc na jego sterczącym penisie odwróconą do góry dnem plastikową doniczkę i wciskając sztuczną stokrotkę w otwór odpływowy.

Nawet doktor Mahmoud uznał to za zabawne, a wcale nie sływał z poczucia humoru. Staruszek wyszedł z tego incydentu bez szwanku, a Elaine Brinkworth skonfiskowała viagrę znalezioną w jego łazience.

– Wygląda na to, że któryś z jego głupich kumpli przemycił tabletki podczas odwiedzin, a one mogły przecież zabić tego durnego starego pryka! – oznajmiła z rzadko widywanym na jej twarzy uśmiechem.



Nazajutrz po przybyciu Polaka personel zebrał się przy stole w jadalni nad artykułem z florydzkiej gazety. Historię Polaka opublikowano w dwóch odcinkach. Elaine Brinkworth puściła w obieg kilka egzemplarzy tekstu. Stosownie do okoliczności wszyscy byli pod ogromnym wrażeniem opowieści, wedle której Polak przeżył kilka lat w obozie koncentracyjnym, a potem dokonał osobistej zemsty, własnoręcznie zabijając kilku esesmanów, innych pociągając do odpowiedzialności po wyzwoleniu obozu. Anna usiłowała sprawiać pozory niezainteresowanej i miała już wyjść z jadalni, gdy odezwała się Stella:

– Ten obóz nazywał się Wiśnica, znajdował się gdzieś na terenie Polski. Czy to blisko miejsca, w którym sama byłaś?



Anna wymamrotała coś niezrozumiale i wyszła na dwór zaczerpnąć powietrza. Kręciło się jej w głowie, myśli galopowały; poczuła nagły przypływ gniewu, tak silny, że miała ochotę w coś uderzyć – albo w kogoś. Zamiast tego ku zdumieniu jakiegoś przechodnia wzniosła do nieba zażawione oczy i krzyknęła:

– Dlaczego? Dlaczego teraz?

Paweł Michalik... Łamała sobie głowę, lecz to nazwisko nic jej nie mówiło. Nie przypominała go sobie z Wiśnicy, a według artykułu z gazety przebywał tam w tym samym czasie co ona. Ocalało kilkaset osób, więc dlaczego miałyby pamiętać nazwisko akurat tego człowieka? Stopniowo zaczęły ogarniać ją złe przeczucia. Siedziała w słońcu, próbując zebrać myśli, i nagle uświadomiła sobie, że czy jej się to podoba, czy nie, będzie musiała stanąć z tym Polakiem twarzą w twarz, i to niebawem. Przeszłość powróciła do Anny w najmniej spodziewany sposób.



Anna postanowiła nie mówić Leo o nowym rezydencie. Wiedziała, co na to odpowie, i że z pewnością nie będzie zainteresowany wysłuchaniem tego, co ona ma do powiedzenia. Spała niespokojnie, budziła się raz po raz, nieprzespana noc pozostawiła ślad na jej twarzy. Po raz pierwszy od chwili podjęcia pracy w Paterson Manor nie miała ochoty udawać się tam następnego dnia.

W drodze na następny dyżur Anna mamrotała do siebie. Rozważała rozmaite opcje. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że uniknięcie Polaka nie będzie możliwe. Może więc powinna zebrać się w sobie, przedstawić mu się i mieć to z głowy? Czy raczej poczekać, aż nastąpi to w sposób naturalny, na przykład miną się przypadkowo w korytarzu albo zobaczą w jadalni podczas posiłku? O ile perspektywa spotkania Polaka była zniechęcająca, Anna pocieszała się myślą, że może przebywa on w Paterson tylko tymczasowo. Ostatecznie Elaine powiedziała, że pochodzi z katolickiej rodziny i ma jakieś związki z Kościołem, może więc po prostu czeka na miejsce w jednym z ich ośrodków.

Nieuchronne zdarzyło się znacznie szybciej, niż się spodziewała. Kiedy rano przyszła do pracy, w jej przegródce czekała wiadomość. Różowa karteczka z prośbą o jak najszybsze odwiedziny obwoźnej biblioteki w pokoju dwadzieścia cztery.



Zwykle przykuci do łóżka pensjonariusze albo ci, którzy mieli leniwy dzień, otwierali drzwi swoich pokoi, by móc obserwować, co się dzieje, natomiast Polak należał do osób ceniących swoją prywatność. Gdy Anna zjawiała się z wózkami, zastała zamknięte drzwi. Zapukała nieśmiało, odczekała kilka sekund, zebrała siły, po czym nerwowo weszła do środka. Wąły starszy mężczyzna

w kosztownej na pierwszy rzut oka czarno-czerwonej piżamie siedział na łożku i patrzył prosto na nią.

– Kto pozwolił pani wejść? – warknął.

– Pan. Kaszlnął pan. Wzięłam to za zaproszenie.

Postanowiła nie dać się onieśmielić Polakowi otoczonemu gazetami, magazynami oraz różnymi innymi drobiazgami, z których część próbował przed nią ukryć.

Miał bladą, poszarzałą cerę usianą plamami starczymi, do tego kilka trwałych przebarwień. Annę najbardziej zaniepokoiły jego oczy. Nie miały czerwonych obwódek i nie były wyblakłe jak zwykle u ludzi w podeszłym wieku, tylko błyszczały zimną czernią gdzieś w głębi oczodołów jak dwa drapieźniki czyhające na przechodzącą obok ofiarę. Właśnie te oczy zjeżyły Annie włosy na głowie – te oczy rozpoznałaby wszędzie.

65

– Pani jest tą bibliotekarką, tak? – nie tyle zapytał, ile zażądał odpowiedzi Polak.

– Czyli pan nazywa się Paweł Michalik – odparła Anna, starając się unikać jego wzroku.

– Polak! Tak się nazywam. Wszyscy tak na mnie mówią. I pani też będzie się tak do mnie zwracać! Jest napisane na drzwiach. Tak czy nie? – warknął.

Ton jego głosu brzmiał znajomo nawet po tylu latach. Jeśli Anna miała wcześniej jakieś wątpliwości co do tego, kim jest ten człowiek, wyparowały w tej samej sekundzie, gdy jego paciorkowate oczy zaczęły ją rozbierać, a błyszczące od śliny kąciki ust drgnęły. Ponowne znalezienie się w obecności Karla Brauna przyprawiło ją o dreszcze. Poczowała się skażona, zaczęła świerzbic ją skóra, pilnie potrzebowała prysznic.

Polak trzymał w ręku kartkę papieru.

– Chcę zamówić kilka książek. Tu jest lista. – Gdy Anna wyciągnęła po nią rękę, on beczelnie cofnął kartkę. – Ostrożnie – powiedział. – Bo jeszcze coś pani ode mnie złapie! – Po czym parsknął śmiechem i rzucił jej listę.

– Wszystkie na temat Holocaustu – zauważyła Anna, przeglądając tytuły.

– Nie czytała pani mojej książki *Ocalony*? Obecnie zbieram materiały do kolejnej części.

– Nie, nie czytałam. Te rzeczy mnie nie interesują. Osobiście uważam, że należą do przeszłości i tam powinny pozostać. Przepraszam.

- Przepraszam? Niby za co pani przeprasza?
- Za to, że nie przyczynię się do powiększenia pańskich tantiem.
- No tak, typowe dla Polaków. Przez swoje skąpstwo nie pomogą starszemu człowiekowi. I to jest prawdziwa historia mojego życia: zawsze muszę pomagać sobie sam.



Od spotkania z Polakiem Anna stawała się coraz bardziej drażliwa i nerwowa. Jak gdyby znów chodziła korytarzami Klubu w Wiśnicy. Nocami leżała w łóżku, czując na sobie czyjś ciężar, a gdy zamykała oczy, pojawiał się obraz tęgiej żony rolnika wiszącej na elektrycznym ogrodzeniu. Wspomnienia były przerażające i brutalne, wciągały ją z powrotem w piekło, które, jak sądziła, zostawiła daleko za sobą. Ciężkie kroki Leo w przedpokoju zamieniały się w tupot wojskowych buciorów, huk z gaźnika na ulicy był wystrzałem z broni palnej. Koszmar powrócił.

Od czasu do czasu w myśli Anny wdzierał się głos rozsądku: czy mogła się pomylić? Czy Polak rzeczywiście jest Karlem Braunem? Chartem? Może naprawdę jest tym, za kogo się podaje. Bądź co bądź, od wojny minęło ponad pięćdziesiąt lat, a pamięć potrafi przecież płatać figle. Może jednak się pomyliła?



Rozważała pomysł skontaktowania się ze służbami, by raz na zawsze rozstrzygnąć tę kwestię. Gdyby Polak okazał się zbrodniarzem wojennym, z pewnością podjęto by odpowiednie kroki, prawda? Ale co zrobiliby funkcjonariusze, gdyby wezwała policję? Co mogliby zrobić? Przecież nie aresztowaliby go ot tak. Może sprawą zainteresowałoby się Centrum Szymona Wiesenthala? Mieli tam akta każdego nazisty i esesmana. Wiedzieliby, jak potwierdzić lub podważyć tożsamość Polaka. No ale co działałoby się w międzyczasie? Nie zabraliby go stąd na czas dochodzenia. Oczywiście, że nie, i Anna byłaby skazana na jego obecność w Paterson Manor przez cały ten okres, gdy ośrodek badałby jego przeszłość. To znaczy, gdyby w ogóle chcieli się tego podjąć. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej sobie uświadamiała, że zawiadomienie służb byłoby stratą czasu.

Rozmyślała o Polaku dzień w dzień, noc w noc, przez okrągły tydzień, wciąż powracając do tego samego wniosku, tego samego logicznego rozwiązania dylematu. Sama będzie musiała udowodnić, kim on jest. Nie przywróci tym życia

Danucie, ale może przynajmniej dopilnować, by Polak – Karl Braun – stanął przed sądem za zbrodnie, których dopuścił się w Wiśnicy podczas drugiej wojny światowej.



Anna wykorzystała okazję, kiedy wszyscy byli na zebraniu personelu, i po cichu zajrzała do akt Polaka: zaznaczono w nich demencję oraz chorobę Alzheimera. Czasami rzeczywiście wydawał się trochę nieobecny, ale mógł udawać – czy można coś takiego udawać? Gdy pytano go o wojenne lata, Anna widywała czasem w jego oczach śmiech. Zwykle był niesłychanie pewny siebie. Arogancki i samolubny. Mimo to część personelu autentycznie mu współczuła. „Taki wspaniały mężczyzna i proszę, na co mu przyszło: demencja”.

Anna nadal nie powiedziała o niczym Leo. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było wypominanie, że podczas wojny była niemiecką dziwką. Kiedyś w pijackiej złości wygarnął jej, że jej obrzydliwa przeszłość jeszcze ją kiedyś dopadnie i będzie prześladować. Może miał rację. Dlatego zamknęła się w sobie i przez większość czasu była pochłonięta własnymi myślami, próbując znaleźć sposób na zdemaskowanie Polaka. Jej nocne koszmary przybrały na sile, budziła się drżąca i zlana potem, krzyczała we śnie na obozowego strażnika. Leo przewracał się zaspany na drugi bok i mamrotał: „Wszystko dobrze?”, zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, upominał ją, żeby się uciszyła, i znów zapadał w sen. Nie miał pojęcia, co dzieje się w głowie Anny, nigdy tego nie wiedział.



Im więcej rozmyślała o Polaku i jego opisaney w gazecie historii, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że to wszystko nie trzyma się kupy. Twierdził, że jest Polakiem, lecz pod wieloma względami sprawiał wrażenie Niemca, choć najwyraźniej nikt tego nie zauważał; większość Amerykanów nie odróżniała tych dwóch krajów ani akcentów. Polak kłamał i Anna o tym wiedziała; jednak istotniejsze pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi: czy ją rozpoznał?

Nie wydawał się szczególnie nią zainteresowany po ich pierwszym spotkaniu – nie pytał o przeszłość, rodzinę, nie sondował, nie drążył. Zachowywał się tak, jakby kompletnie go nie obchodziła, i z biegiem czasu zaczęła myśleć, że może mimo wszystko jego demencja i Alzheimer są autentyczne. Ale nie – ciągle od nowa sobie przypominała, kim naprawdę jest Polak – wystarczyło popatrzeć mu

w oczy. Czyżby bawił się z nią w kotka i myszkę, a jeśli tak, kto był kotem, a kto myszką?



Anna postanowiła uczynić pierwszy krok na drodze do udowodnienia, że Polak jest człowiekiem, za którego go bierze. Zaaranżowała niewinną z pozoru sytuację – znalazła się z nim sam na sam w sali telewizyjnej, gdzie na kanale Fox Sport oglądał powtórkę finałowego meczu Anglia–Niemcy rozegranego w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku podczas Pucharu Świata. Był to chyba najbardziej kontrowersyjny finał w długiej historii rozgrywek, pierwsze poważne spotkanie tych dwóch reprezentacji od zakończenia wojny.

Większość Amerykanów miała znikomą wiedzę o sporcie zwanym piłką nożną, ale Anna całkiem dobrze orientowała się w temacie, pochodziła przecież z Polski, była żoną Leo i mieszkała obok zwariowanych na punkcie futbolu Stelli i Joego. Niemcy przegrali tamten mecz w dogrywce, ale wybuchły wielkie kontrowersje wokół jednego z goli Anglików. Polak zapytał Annę, co o tym myśli:

– Był gol czy go nie było?

– Nie śledzę piłki nożnej. Interesuje mnie baseball – skłamała, krzątając się przy układaniu pism i porzrzucanych poduszek.

– No tak, Amerykanie i te ich sporty. Są mistrzami świata w baseballu, ale w World Series grają tylko amerykańskie drużyny! – Od jego śmiechu Annie nadal cierpła skóra. Wskazał ekran telewizora. – Widziała pani trzeciego gola? Anglicy oszukali. Musieli przekupić sędziego, ponieważ Hurst, grający w barwach Anglii Geoff Hurst, uderzył w poprzeczkę, a piłka odbiła się na pole karne. Nie przekroczyła linii bramki! Mecz był rozgrywany w Anglii na stadionie Wembley przed tłumem Anglików. Oszukali. Nigdy nie grali fair. Wiadomo nie od dziś. Anglikom nie można ufać, mówię pani.

– Ale czy kilka minut później nie zdobyli kolejnej bramki? Czy Niemcy nie przegraliby niezależnie od tego spornego gola? – Anna pamiętała ten mecz. Anglia wygrała cztery do dwóch. Leo oglądał go jak urzeczony, a dogrywkę obejrzeli razem. – Uważam, że Anglia wygrała uczciwie. Niemcy przegrali – ucięła Anna.

Polak zmrużył oczy.

– Niemcy nie przegrali. Ukradziono nam zwycięstwo!

Wydawał się nieświadomy tego demaskatorskiego komentarza – powiedział: „Ukradziono *nam* zwycięstwo!”. Próbowwała zamaskować radość, udawała, że niczego nie zauważyła. Gdyby tylko zdołała skłonić go do powiedzenia czegoś przy świadku, czegoś, z czego wynikałoby, że jest Niemcem. Potrzebowała

wspólnika, kogoś, komu zależało na poznaniu prawdy o Polaku równie mocno jak jej.

Osoba, której potrzebowała, była bliżej, niż Anna sądziła.



Gdy owego wieczoru Polak zajął miejsce przy stole, zachowywał się arogancko i niezdolnie jak zawsze. Po dyskusji o meczu wydawał się pobudzony i gotowy do sprzeczki.

Anna wiedziała z doświadczenia, że jeśli istnieje temat, na który mężczyźni lubią rozmawiać, to są nim oni sami. *Mają mocne głowy, są niesamowitymi kochankami, fantastycznymi ojcami, wielkimi sportowcami i bohaterami wojennymi, i to wszystko wymieniają na jednym oddechu. Wystarczy zapytać!* Polak raczył wszystkich swoimi opiniami na temat tego, co szwankuje we współczesnym świecie oraz jak można to naprawić. Jak zwykle miał pod ręką swoją piersiówkę, a gdy wydawało mu się, że nikt z personelu nie patrzy, puszczał ją w obieg; nazywał trunek „wodą życia ocalonych” – był to oczywiście sznaps.

Większość osób przy stole odmawiała, więc kiedy Anna przechodziła akurat obok, zawołał do niej:

– Ej, Polko! Poczęstujesz się eliksirem życia? Może dwoje starych Polaków napije się razem?

– Doskonale pan wie, że nie mogę tykać alkoholu podczas pracy. Chce pan, żeby mnie zwolnili?

Joanie Nevin natychmiast włączyła się do tej słownej potyczki.

– No wie pan, panie Polak? Nie powinien pan zmuszać Anny do picia tego pańskiego paskudnego świństwa i dobrze pan to wie.

Spoglądała zza okularów balansujących na czubku nosa. Spod uniesionych brwi łypała para skrzących się oczu, kąciki ust wygięły się w uśmiechu dzokera. Była w zadziornym nastroju – szukała guza albo rozrywki. Zawsze należała do osób prostolinijnych, jeśli miała coś do powiedzenia, mówiła to prosto z mostu. Nie dawała się łatwo wywieść w pole. Anna zauważyła, że od czasu pojawienia się Polaka starsza pani zrobiła się nieco nerwowa, w jego obecności czuła się niekomfortowo, co zupełnie do Joanie nie pasowało.

Polak odburknął pani Nevin:

– Bzdury, stara kobieto! Ona jest wolontariuszką, wszyscy o tym wiemy! Nie można wyłączyć z pracy osoby niezatrudnionej!

Ponownie machnął do Anny piersiówką, ona wyjaśniła jednak, że naprawdę nie może się do niego przyłączyć. Z uprzejmości nałapała sobie wody do szklanki i wzniosła ją w toaście.

– Na zdrowie!

Polak w odpowiedzi skinął głową, a następnie pociągnął spory haust. Anna postanowiła trochę się z nim podroczyć.

– Wie pan, zastanawiałam się nad tamtym meczem, panie Polak. Dobrze, że Niemcy nie grali wtedy z Polską, bo kontrowersje byłyby jeszcze większe, nie uważa pan? – Jeszcze raz uniosła szklankę z wodą i się z nim trąciła.

– Polska pokonująca Niemcy? Ha! Niemożliwe – zadrwił.

– Na zdrowie – powtórzyła Anna.

– Polko, ależ wygaduje pani bzdury. Ale co tam, za pani bzdury! – Mężczyzna podniósł piersiówkę i rzucił bez namysłu: – *Prost!*

Twarz Joan Nevin rozjaśniła się jak fajerwerki na ciemnym niebie. Nozdrza się rozdęły, usta ściągnęły w grymasie determinacji. Rumieńce na policzkach odcinały się wyraźnie od białych włosów, nadając jej niemal wiedźmowaty wygląd. Z radością uderzyła dłonią w stół. Anna nie była osamotniona w swoich podejrzeniach co do tożsamości Polaka!

Kilka lat wcześniej Joanie Nevin i Anna były zajęte układaniem skomplikowanych, podstępnych puzzli i szukały tego jednego elementu wśród prawie niemożliwych do rozróżnienia fragmentów błękitnego nieba, gdy nagle starsza pani postanowiła podzielić się czymś bardzo osobistym. Opowiedziała o swoim żydowskim pochodzeniu. Z niejaką ulgą przyjęła nazwisko męża, Richiego Nevina, irlandzkiego katolika, gdy pobrali się kilka lat po zakończeniu wojny.

Los nie obdarzył ich dziećmi, dlatego nigdy nie wyniknął oczywisty dylemat wyznania, zresztą pani Nevin odsunęła się po wojnie od religii. Byli cudownym małżeństwem, Joanie i jej mąż, księgowy, przeżyli razem wiele lat, a teraz w wieku dziewięćdziesięciu kilku lat została na tym świecie sama jak palec.

Choć czasem jej umysł szwankował, zdarzały się chwile, kiedy pamięć i przenikliwość powracały.

– Oto, w czym rzecz, moja droga Anno. Widziałam w życiu wszystko, co chciałam zobaczyć, słyszałam prawie wszystko, co musiałam usłyszeć. Żałuję tylko jednego: że nie miałam okazji pożegnać się z rodzicami i dziadkami. Poszli z dymem w obozie koncentracyjnym w Dachau, a wraz z nimi moja wiara w Boga. Tak, to dawne dzieje, ale nigdy nie zapomnę. O nie. I nigdy nie wybaczę. Bez wątpienia wkrótce i ja podzielę ich los, ale spalą mnie w amerykańskim piecu, który wybiorę sobie sama.

Rano następnego dnia, gdy Anna wieszała pranie w ogrodzie, Stella wystawiła głowę zza płotu. Wydawała się podenerwowana, mówiła, że źle spała. A potem zapytała Annę, czy wszystko w porządku; bardzo się martwiła, że wytrąciła czymś przyjaciółkę z równowagi. Mówiła, że pytała Leo, czy wie, co się stało, dlaczego Anna nagle się zmieniła, a on odparł, że nie ma pojęcia, i nawet nie zdawał sobie sprawy, że coś jest nie tak. „Jaka zmiana? Ugotowała obiad, narzekała na prasowanie...”

Anna zapewniła Stellę, że wszystko jest dobrze, poza lekkim bólem głowy, którego nie może się pozbyć. Zapowiedziała, że jeśli nie przejdzie do końca tygodnia, skonsultuje się ze swoim lekarzem. Stella się spieszyła, było jednak widać, że nie uwierzyła Annie. Coś było na rzeczy, tylko co?

Leo zastanawiał się nad pytaniem Stelli za dnia, a gdy nadszedł wieczór, zapytał Annę w swój jak zwykle subtelny sposób:

– Kobieto, co z tobą?

Wzruszyła ramionami, wyjaśniając, że to sprawa hormonów. Leo mruknął tylko pod nosem:

– Kobiety! Kiedyś był ten czas w miesiącu, teraz jest ten czas w życiu...

Następnego dnia w jadalni Paterson Manor wybuchła wrzawa. Padły pewne słowa, wywrócono krzesło, ciśnienie krwi wzrosło do niebezpiecznych poziomów. Sprawcą całego zamieszania był Polak, który z zaciekłą determinacją postanowił prowokować Joanie Nevin. Czyżby odkrył jej żydowskie korzenie? Prawdziwa awantura wisiała na włosku.

Anna zjawiała się wkrótce po tym, jak skoczyli sobie do gardeł. Polak rozwodził się na wspaniałość hitlerowskich Niemiec.

– Po pierwszej wojnie światowej, wojnie, która miała zakończyć wszystkie wojny, Niemcy były na kolanach. A potem Hitler doszedł do władzy i zwrócił krajowi dumę. Nikt inny by tego nie dokonał, nawet Kaiser. – Popatrz na Joanie. – Może sobie pani o nim mówić, co tylko chce, stara kobieto, ale Hitler był wizjonerem, politycznym geniuszem, niesamowitym mówcą oraz charyzmatycznym przywódcą.

– Był łajdakiem! – Pani Nevin wyrzuciła z siebie te słowa wraz z kawałkami na wół przезutego jedzenia, które rozprysnęły się po stole jak śrut z dubeltówki.

Usta Polaka rozciągnęły się w chytrym, lisim uśmiechu. Połknęła haczyk, jest zabawa!

– Gdyby nie Hitler, nie istniałby volkswagen. Niech sobie pani tylko wyobrazi: samochód dostępny dla wszystkich! Wizja Führera – ciągnął Polak.

– Hitler nie był europejskim odpowiednikiem Henry’ego Forda, panie Polak. Ford był ekscentrycznym geniuszem. Hitler nikczemnym draniem.

Joan zacisnęła usta, trzymając pionowo nóż i widelec w drobnych, powykęcanych artretyzmem dłoniach o wydatnych białych kłykciach. Mimo że trzęsła się od stóp do głów, nie ustępowała ani na jotę.

Polak był równie nieugięty, a prowokowanie staruszki sprawiało mu wyraźną przyjemność. Miał wielką chrapkę na solidną awanturę. Siedział naprzeciwko Joan pewny siebie i wyprostowany jak struna.

– A autobahny? Porozmawiajmy o nich. Hitler dał nam autobahny, czy tam autostrady, jak je tu nazywają.

– Hitler był draniem. Jak powiedziałam. I pan też nim jest.

Polak zignorował tę obelgę.

– Silnik odrzutowy, kolejna zasługa Hitlera. – Wepchnął sobie do ust jeszcze jeden kęs i mówił dalej, racząc wszystkich obmierzłym widokiem przeżywanego jedzenia. – I rakietą, Hitler stał też za powstaniem rakiety. Niech pani spyta mieszkańców Londynu, bo to oni byli odbiorcami pocisków V-1.

Oczy staruszki zmrużyły się w wąskie szparki, jak u węża szykującego się do ataku. Gdy świdrowali się nawzajem wzrokiem, ukradkiem odłożyła sztucce i zaczęła delikatnie przesuwac palce po blacie w poszukiwaniu butelki z sosem, która powinna znajdować się gdzieś w zasięgu jej ręki.

Polak niczego nie zauważył, był zbyt pochłonięty tą bitwą na spojrzenia, która sprawiała mu niekłamaną przyjemność.

– Muszę natomiast powiedzieć, że to nie Hitler stworzył obozy koncentracyjne – rzekł z uśmiechem wyższości. – Wymyślili je Brytyjczycy, zdaje się, że podczas wojny burskiej. Adolf Hitler jedynie je udoskonalił.

Nagle wystrzelił strumień keczupu, trafiając Polaka prosto w twarz. Plask! Oberwało się też obrusowi oraz ścianie za plecami mężczyzny, jednak większość sosu wylądowała na jego głowie i koszuli. Starsza pani zerwała się na równe nogi.

– A to dla pana i pańskiego przyjaciela Hitlera, panie Polak. Ty niemiecki jebańcu!



Dystyngowani, kulturalni ludzie przy sąsiednich stolikach natychmiast odczuli skutek tej scysji: harmider i chaos. I na tym nie koniec, ponieważ obie strony gniewnie odsunęły swoje krzesła. Pomimo zaawansowanego wieku Joanie Nevin, dotknięta artretyzmem białowłosa staruszka, miała jasny zamiar stanąć w szranki z Polakiem. Trzej członkowie personelu potrzebowali dziesięciu minut, by

odprowadzić ją do pokoju. Nadal kipiała ze złości, chciała walczyć z Polakiem do upadłego.

Po wyjściu Joanie Polak starał się zbagatelizować incydent z tryskającym keczupem. W dodatku wydawał się szczególnie zadowolony rzuconą jej na odchodne uwagą.

– Radzę uważać, staruszko, chodzą słuchy, że Niemcy nadal rozglądają się za adresem, na który mogliby wysłać rachunek za gaz!

Joanie Nevin straciła w Holocauście rodziców, sześcioro rodzeństwa oraz dziadków. Uratowała się tylko ona i jej ciotka.

– Nazywają to szczuciem Żydów – powiedziała później Annie. – Niemcy i wszyscy nienawidzący Żydów robili to podczas całej wojny i robią to także dziś. Kanalie! Wszystko to kanalie. A ten cały Polak? Taki z niego Polak, jak ze mnie Szkotka. Potrafię wyczuć Niemca ze stu metrów i w tej samej sekundzie, kiedy go zobaczyłam, wiedziałam, że jest zażerającym się kielbasą Szkopem!

Zarząd zdecydował, że należy separować od siebie panią Nevin i Polaka, kiedy to tylko możliwe, przynajmniej dopóki sprawa nie przycichnie. Następnego dnia w rozmowie z zatrudnionym w ośrodku psychologiem Polak twierdził, że nie wiedział, że pani Nevin jest Żydówką, i nie miał pojęcia, że zachowywał się obraźliwie. Utrzymał też, że niewiele pamięta z tamtego incydentu. Może i oszukał psychologa, natomiast nie oszukał Anny ani Joan Nevin. I teraz także inni zaczęli zadawać sobie pytanie, kim naprawdę jest Polak.



W domu opieki Paterson Manor nie było wewnętrznych zamków w pokojach pensjonariuszy, dzięki czemu podopieczni przestali zamykać się na klucz, czy to przez przypadek, czy celowo. Brak możliwości zamknięcia pokoju od środka stał się największym zmartwieniem Anny kilka dni po incydencie z keczupem, ponieważ postanowiła złożyć w pokoju Polaka nielegalną wizytę, gdy ten będzie u dentysty.

Gdyby ktoś ją nakrył, zamierzała tłumaczyć swoje bezprawne wtargnięcie do pokoju poszukiwaniem zaginionej książki bibliotecznej. Powiedziała pani Nevin, że zamierza poszukać dowodów na to, że Polak podaje się za kogoś, kim nie jest, a starsza pani natychmiast zaproponowała, że stanie na straży.

– Słuchaj, Anno, jeśli chcesz, żebym zrobiła kupę do jego butów, po prostu daj mi znać!

Pokoje podopiecznych nie były przestronne, miejsca wystarczało na kilka sprzętów. Brakowało też przyzwoitych kryjówek, toteż Anna nie potrzebowała wiele czasu, by znaleźć skarbczyk Polaka, metalową puszkę wielkości pudełka na

buty. Na jego nocnym stoliku stała stara pozytywka, która grała *Lili Marleen*, gdy podnosiło się pokrywkę. Anna zajrzała do środka. Znalazła zegarek, kilka mosiężnych usztywniaczy do kołnierzyków oraz kluczyk do puszek. Starzy ludzie nie wykazywali się inwencją przy ukrywaniu rzeczy.

Skarbczyk był wypchany po brzegi dokumentami i wycinkami prasowymi, a wśród nich Anna znalazła amerykański paszport na nazwisko Polaka. Był tam też paszport argentyński z tą samą fotografią, ale innym nazwiskiem. Kilka listów wysłanych z argentyńskiego adresu, ale nie pisanych po angielsku, opatrzonych znakiem wodnym i symbolem religijnym, wizerunkiem Jezusa obok wytłoczonego adresu. Korespondencja z banku szwajcarskiego w nieznanym Annie języku.

To, czego szukała, znajdowało się w dużej szarej kopercie – oryginalny dokument z Wiśnicy ze zdjęciem Pawła Michalika wyzywająco patrzącego w obiektyw. Samo zdjęcie zbrązowiało i się kruszyło, było miejscami wytarte i miało przypalone brzegi. Tę samą fotografię opublikowano we florydzkiej gazecie, świadectwo osadzenia Polaka w Wiśnicy, które, jak twierdził, wyrwał z płomieni, kiedy Niemcy niszczyli obozową dokumentację.

Anna uważnie przyjrzała się zdjęciu. Postać zdecydowanie wyglądała jak młodsza wersja Polaka, ale fotografia była zabrudzona i ziarnista – na pierwszy rzut oka mogła przedstawiać dowolną wychudzoną ofiarę obozu koncentracyjnego z tamtego okresu, a teraz, gdy czas działał na jego korzyść, jeszcze łatwiej było mu poświadczyć, że jest Pawłem Michalikiem.

Anna zaczęła przeglądać pozostałą zawartość puszek i natknęła się na naszywkę SS, najprawdopodobniej wyciętą z munduru. Z pewnością by skłamał, zapytany o to, jak wszedł w posiadanie tego skrawka tkaniny. Była tam też łyżeczka z emblematem SS na trzonku, zapewne pamiątka. Swastyka miała kolory piżamy Polaka: czerwony i czarny.

I oto nagle zmaterializował się prawdziwy dowód, którego Anna potrzebowała! Opróżniona metalowa puszka była dziwnie ciężka. Gdy nią potrząsnęła, głuche grzechotanie potwierdziło, że ma ona podwójne dno. Obmyślając, jak dostać się do środka, Anna znalazła coś, czego nigdy nie spodziewała się znów zobaczyć...

67

Po przyjęciu z okazji rocznicy ślubu Stelli i Joego Anna nie mogła zmrużyć oka. Leo był już w łóżku i spał jak suseł, a Anna leżała bezsennie, obserwując

przeskakujące na budziku cyfry. Pół godziny po północy zdała sobie sprawę, że czas podjąć decyzję.

Wcześniej tego dnia Anna znalazła w skrytce Polaka pistolet, którym zabił Danutę. Joanie Nevin stała na straży pod drzwiami pokoju, a Anna trzymała w dłoni, nie mogąc opanować jej drżenia, luger z grawerowaną rękojeścią i złotym wizerunkiem charta w pełnym biegu. Znalazła również pełny magazynek i kilka nabojów luzem. Naszła ją potworna myśl. Mogłaby skończyć z tym wszystkim tu i teraz. I jakże stosownie byłoby to zrobić pistoletem Charta. Tylko czy zabicie się pomogłoby postawić Polaka przed sądem? Oczywiście, że nie, zostawiłoby jedynie wiele pytań bez odpowiedzi. Gdy stała pochłonięta tymi myślami z bronią w ręku, Joan zaczęła pokasływać pod drzwiami na korytarzu – ten sygnał oznaczał, że ktoś nadchodzi.

Alarm okazał się fałszywy, ale Anna zdążyła wynieść z pokoju pistolet i amunicję bez wiedzy Joan.

– Niczego nie znalazłam, moja droga, ale się nie poddam, uwierz mi. Przyszpilimy go, nawet gdyby miało nam to zająć wieki.

Starsza pani wpatrywała się w Annę z niepewną miną, nie wiedząc, czy wierzyć jej, czy nie – wyglądała dość podejrzanie jak na kogoś, kto wyszedł z pustymi rękami.

Trzydzieści pięć minut po północy Anna siedziała przy kuchennym stole i pisała, Kapustek snuł się jej pod nogami. W ostatnich tygodniach napisała listy do Leo i Stelli, dziękując im za wszystko, co dla niej zrobili. Potem zaczęła spisywać swoją biografię, historię życia w Wiśnicy i po Wiśnicy. Czasem łązy w oczach zamazywały litery na kartce papieru, zwłaszcza gdy cofnęła się pamięcią do dnia, kiedy Niemcy zjawili się w gospodarstwie dziadków. Starła się ująć w tekście jak najwięcej obozowych szczegółów, ponieważ to one były prawdziwym powodem sporządzania tych zapisków – miały posłużyć jako zeznania naocznego świadka relacjonującego zbrodnię Karla Brauna. Zakończyła notatki prośbą, by nie oceniano jej postępowania podczas wojny. Ostateczny osąd jej życia należy do Boga w niebiosach.

Anna wiedziała, że trudno będzie udowodnić Braunowi zbrodnię w sensie prawnym. Była jedynym świadkiem, nie dysponowała żadnymi dokumentami ani innymi namacalnymi dowodami na potwierdzenie swoich zeznań. Tylko słowo przeciw słowu. Znalazła jednak broń, mogła powiedzieć, że Braun ukrywa w schowku fałszywe paszporty.

Nie miała już w zasadzie wątpliwości, że Polak to Braun. Dlatego uznała, że jeśli ma zostać rozliczony ze swoich zbrodni, musi się to odbyć poza systemem sądowym. Prawo naturalne będzie musiało wziąć górę. Zdecydowała, że to ona wymierzy sprawiedliwość.

Zrelacjonowała już jego przewinienia, więc by oddać sprawiedliwość, przedstawiła też argumenty na jego obronę, co robił niemal każdy nazista na procesach norymberskich: „Działalem z rozkazu”. Stworzony przez nią dokument zawierający zeznania na korzyść i niekorzyść Polaka liczył piętnaście stron. W końcu Anna sięgnęła po nową kartkę, na której wypisała nagłówek: *Wyrok w sprawie z powództwa Ani Burczyk przeciwko Karlowi Braunowi*. Pod nagłówkiem widniało tylko jedno słowo skreślone wielkimi literami: WINNY.



Anna dobrze знаła miejscowego księdza. Od czasu do czasu odwiedzał Paterson Manor, by udzielić ostatniego namaszczenia katolickim podopiecznym ośrodka w ostatnich godzinach ich życia. Ojciec Pat pochodził oczywiście z Irlandii, co stanowiło nieodzowną kwestię w przypadku katolickiego kapłana w Nowym Jorku. Był młodszy od poprzednika i słynął z łagodności oraz troski wobec wiernych w potrzebie. Anna zastanawiała się, czy będzie równie uczynny o wpół do szóstej rano, kiedy to zapukała do jego drzwi.

Był. Powiedział, że chętnie wysłucha spowiedzi Anny, ale o tej porze potrzebuje czegoś na pobudzenie. Jak na tak młodego człowieka wykazał się wystarczającą przenikliwością, by czytać między wierszami, zorientował się, że w wizycie Anny chodzi o coś więcej, niż powiedziała na wstępie. Po nieudanej próbie uruchomienia nowoczesnego ekspresu ofiarowanego przez wdzięcznego parafianina, przeprosił się z kawą rozpuszczalną.

– Ta maszyna jest zbyt skomplikowana. Jej obsługa przypomina pilotowanie samolotu! Gdyby Pan chciał, żebyśmy parzyli kawę w ten sposób, nie zesłałby nam nescafé w granulkach, prawda?

Gawędzili, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku, a potem ojciec Pat pokiwał palcem.

– Już wiem, w czym rzecz! Patrzyłem na ciebie i zadawałem sobie pytanie, dlaczego wyglądasz dzisiaj, Anno, jakoś inaczej. I właśnie to odkryłem. Masz oczy w różnych kolorach! Jedno inne niż drugie. Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem!

– Dlatego, że zwykle noszę kolorowe szkła kontaktowe, ojciec. Nie tyle dla poprawy widzenia, ile po to, żeby obie gałki wyglądały tak samo. A dzisiaj? Dzisiaj chcę być sobą. Prawdziwą sobą.

Wypili kawę w niekrępującym milczeniu, a potem przeszli przez ogród do bocznych drzwi kościoła. Ojciec Pat majstrował przy kluczach.

– Muszę niestety zamykać. Przez wandalów. W zeszłym roku włamali się trzy razy. Miarka się przebrała, zamykam więc na noc i zostawiam informację, żeby

każdy, kto potrzebuje dostępu do kościoła, wysłał mi esemes albo mail, a wtedy przyjdę i wpuszczę potrzebujących. Jak bardzo wszystko pozmieniało się na tym świecie, Anno.

– Ojczy, potrafisz odbierać esemesy i maile na telefonie komórkowym, a nadal nie umiesz włączyć ekspresu do kawy?

– Niezbadane są ścieżki Pana, Anno – powiedział, otwierając przed nią drzwi na oścież. Chwilę później zajął miejsce w konfesjonale, Anna znalazła się po drugiej stronie kratki.

– Czy mam teraz wyrecytować limeryk, ojczy?

Anna już dawno nie zachowywała się tak krotocwilnie, ale i równie dawno nie stała przed obliczem księdza.

Ojciec Pat starał się stworzyć swobodną atmosferę.

– Wiesz, Anno, mówiono mi o twoich limerykach, a teraz skłaniam się ku podejrzeniom, że są naprawdę okropne. Czy to z tego powodu przyszedłeś do konfesjonału?

Ten subtelny irlandzki zaśpiew w jego głosie pomógł. Anna rozluźniła się po drugiej stronie dzielącej ich przegrody.

– Ojczy? – zaczęła, obracając na palcu obrączkę.

– Słucham, Anno.

– Czy to źle, że przychodzę do konfesjonału przed popełnieniem ciężkiego grzechu?

– Myślisz o grzeszeniu? Czy już samo to nie jest grzechem?

– Pewnie jest.

– Anno, jesteś bardzo zdenerwowana – rzekł cicho ojciec Pat. – Być może to, o czym zamierzasz mi powiedzieć, od dawna nie daje ci spokoju. Dlaczego po prostu tego z siebie nie wyrzucisz? Zdejmij ciężar z piersi i pozwól mi się nim zająć. Przecież od tego tu jestem.

– Wiem, ojczy, wiem, dlaczego Bóg cię tu zesłał.

– A teraz powiedz mi, dlaczego ty sama potrzebujesz mojej obecności. Nie bój się, nie zaszokuje mnie nic, cokolwiek usłyszę. Gdybym nie był katolickim księdzem, byłbym szwajcarskim zegarkiem.

Głęboko westchnęła.

– Ojczy, zamierzam dzisiaj kogoś zabić.

Usłyszała, jak ojciec Pat głośno przełyka ślinę, a potem jak jego krzesło szura o podłogę.

– Jesteś tam, ojczy?

Odezwał się odrobinę silniejszym głosem:

– Anno, jesteś pewna, że nie wolałabyś jednak wyrecytować mi limeryku?



Ojciec Pat zaprowadził Annę z powrotem do kuchni na kolejną filiżankę kawy, by omówić jej „mały problem” na bardziej osobistym gruncie. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to że Leo zdenerwował ją jakąś błahostką, którą Anna rozdmuchała ponad miarę i, jak wiele żon na pewnym etapie małżeństwa, miała ochotę zabić własnego męża. Próby obrócenia sprawy w żart uwięzły mu w gardle, gdy tylko przedstawiła prawdziwy powód.

Spokojnie opowiedziała o wojennych latach, o Polaku oraz o tym, co zamierza z nim zrobić. Ksiądz słuchał, oniemiały, dogłębnie wstrząśnięty. Pili kolejne kawy, rozmawiali. Gdy przybyła gospodyni, zdali sobie sprawę, że jest wpół do dziesiątej.

– Ojczy, dlaczego wyszedłeś z konfesjonału i nie chciałeś rozmawiać ze mną w kościele?

– Powiedziałaś, że czułaś, jakby lata temu Bóg cię opuścił. Nie chcę cię obrażać i nie chcę, żebyś myślała, że w takiej chwili wpycham ci Boga do gardła. Że próbuję sprzedać ci Biblię. Jestem tu po to, by słuchać, a nie oceniać, i mam nadzieję, że zdołam przekonać cię do zrezygnowania z tego mściwego czynu, ponieważ nikt na nim nie zyska, nikt nie wygra, a najmniej ty i twoja droga zmarła siostra Danuta.

Ojciec Pat nie umiał znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie było Boga przy wszystkich niewinnych ludziach, którzy cierpieli w obozach koncentracyjnych na terenie Europy.

– Chyba nie z powodu liczby? Nie dlatego, że było ich za dużo? Zbyt wiele dusz?

Odrzekł na to, że jego zdaniem Bóg był w obozach, cierpiał razem z innymi, nie miał jednak wytłumaczenia, dlaczego tak wielu musiało przechodzić gehennę tak długo. Wykraczało to poza jego zdolność rozumienia, ale był pewien, że Bóg musiał z rozpaczą patrzeć na to, co robiła ludzkość – dzieło jego stworzenia. Mówił, że jego zdaniem Anna wciąż ma w sercu Boga i dlatego postanowiła tego ranka zapukać do jego drzwi.

– Zabijając go, nie skrzywdzisz nikogo poza samą sobą, Anno. Oczywiście, mężczyzna, którego nazywasz Polakiem, będzie martwy, ale dlaczego nie pozwolić Bogu go osądzić? Zrujnujesz tylko własne życie, żadne inne, nie rozumiesz?

– Ojczy, moje życie zostało już zrujnowane, ja już jestem martwa. Niemcy postarali się o to dawno temu. Zaznałam od tamtego czasu nieco radości, ale zawsze kładło się na niej cieniem to, przez co przeszłam w rękach esesmanów.

Nie szukam zemsty, ojciec, zależy mi wyłącznie na sprawiedliwości. Co mam do stracenia?

– Swoje życie, Anno. Stracisz najcenniejszą rzecz, którą dał ci Bóg.

– Jak już mówiłam, ojciec, utraciłam je w dniu wkroczenia Niemców do domu dziadków.

Rozmawiali dalej. Pili kolejne kawy. Ojciec Pat słuchał, wyrażał swoje zdanie. Anna słuchała jego opinii i znów mówiła. Konwersacja toczyła się przez kolejną godzinę i wreszcie Anna oznajmiła, że musi iść.

– Chcę ci to dać, ojciec. – Wręczyła mu zaklejoną kopertę zawierającą historię jej życia, sporządzony przez nią dokument oraz listy do Stelli i Leo.

– Mogę zapytać, co to jest?

– Chcę, żeby ojciec przeczytał o moim życiu i poznał argumenty stojące za decyzją, którą pomógł mi ojciec dziś zmienić. Muszę jeszcze się zastanowić nad poinformowaniem służb i być może, kiedy przemyślę sprawę, wrócę tu i ją z ojcem przedyskutuję, przyjdę się poradzić.

– Czy to oznacza, że nie zamierzasz nikogo zabić, moja droga? Ani dzisiaj, ani kiedy indziej?

Anna się uśmiechnęła, a jej twarz wreszcie się rozluźniła.

– Tak, Ojciec. Życie moje oraz innych jest dzisiaj bezpieczne.

Wyszła od księdza o godzinie dziesiątej trzydzięci ze świadomością, że po raz pierwszy w życiu okłamała kapłana.

68

Po krótkiej ogrodowej przechadzce z Kapustkiem Anna przebrała się w służbowy uniform. Stworzyła ten ogród od zera; kiedy kupili dom, rosła tam tylko trawa, a przez środek przeciągnięto sznur do suszenia prania. Teraz były tam kwiatowe rabaty, dające obfity plon grządki warzywne, a nawet dwie srebrne brzozy, które przypominały jej rodzinny dom. Mały skrawek rajy w hołdzie dziadkowi, rolnikowi.

W drodze do pracy Anna raz po raz przekładała torbę z ramienia na ramię. Ważyła znacznie więcej niż zwykle, choć zawierała te same co zawsze drobiazgi: szczotkę do włosów, chusteczki, karty kredytowe, trochę gotówki, kilka kosmetyków, klucze i tak dalej. To, co stanowiło o różnicy, spoczywało na samym dnie pod wszystkimi innymi przedmiotami – pistolet luger skradziony dzień wcześniej wraz z amunicją z pokoju Polaka.

Anna była prawdopodobnie jedyną żyjącą osobą, która wiedziała o okropnych zbrodniach popełnionych przez Polaka oraz o jego dawnej żądzy zabijania. Nie miała cienia wątpliwości, że jest to Karl Braun, Chart, ale gdyby powiedziała o tym otwarcie, kto by się zainteresował? Nikt. Wszyscy w Paterson Manor widzieli, jak ogląda niemiecką telewizję i czyta niemiecką prasę. Nawet dostarczano mu co miesiąc niemieckie czasopisma, a i tak nikt nie pytał dlaczego. Odpowiedź była prosta: nikogo to nie obchodziło.

Od wielu lat takie organizacje jak Centrum Szymona Wiesenthala niestrudzenie pracowały nad postawieniem przed sądem niemieckich zbrodniarzy wojennych, ale zaczynały podnosić się głosy: „Zostawcie ich w spokoju, wojna dawno się skończyła. Przebaczcie i zapomnijcie. Co na tym zyskacie?”. Garstka ocalałych Niemców, którzy zainicjowali te potworności i w brali w nich aktywny udział, to dziś starzy i wątli ludzie, czas zrobił swoje. „Żyćcie i pozwólcie żyć innym. Póki tlą się w nich resztki życia”.

Annie wciąż jeszcze zdarzało się płakać za bliskimi, których utraciła, i za odebraną jej niewinnością. Powoli zostawała z tymi łzami sama. Ludzi takich jak ona co roku ubywało, podobnie jak tych, którzy tak okrutnie ich traktowali. Czy czas odpuścić?

Utkwiło jej w głowie kilka rzeczy, które powiedział rano ojciec Pat. Jeśli zabije człowieka, który sam był znanym zabójcą, czy nie zrówna się z nim w okrucieństwie? Czy nie powinna „okazać przebaczenia, wznieść się wyżej i być lepszym człowiekiem? Nie ma sprawiedliwości w aktach niesprawiedliwości – a każde zabójstwo, bez względu na etykietę, jaką się mu przyklei, jest samo w sobie niesprawiedliwością według ojca Pata i Biblii”.

Gdy dotarła do szatni, zakręciło się jej w głowie. Nie odpowiedziała na kilka powitań po wejściu do budynku, jej mózg przełączył się na autopilota. Była w stanie skupić się wyłącznie na czekającym ją zadaniu. Przy wyciąganiu wózka bibliotecznego dostrzegła w lustrze swoje odbicie. Czy różniła się czymś od tamtych niemieckich strażników w Wiśnicy? Każdego dnia wchodzili do swoich szatni dla personelu, otwierali swoje szafki, tak jak ona w tej chwili. A po przebraniu się w swoje ładne, czyste mundury przystępowali do pracy, jak za chwilę ona. Tylko że Anna zajmowała się dostarczaniem książek, a oni dostarczali śmierć. Ludzie zabijali ludzi nie dlatego, że zagrażali ich bytowi, rodzinom czy życiu. Nie. Zabijali, ponieważ na tym polegała ich praca, ponieważ ktoś stojący ponad nimi w hierarchii służbowej tak im kazał. Mordowanie Żydów stało się dla Niemców takim samym zadaniem jak czyszczenie rynsztoków czy układanie torów kolejowych – przywykli do zapachu krwi i czasem strzępków wnętrzości na ubraniu. Dla strażników obozów koncentracyjnych w Europie była to praca jak każda inna. Robili, co do nich należało.

Ale raz na jakiś czas wśród harujących w niemieckich fabrykach śmierci robotników zdarzał się taki, któremu inaczej patrzyło z oczu podczas wypełniania służbowych obowiązków. Taki, który delectował się przydzielonym zadaniem, który zdawał się czerpać przyjemność z patrzenia na śmierć i cierpienie innych ludzi. Może sprawiało to poczucie władzy, a może chory umysł. Obecnie takim ludziom przyczepia się etykietę, mówi się, że są chorzy, i nadaje się ich chorobom nazwy, by pomóc im się pogodzić z ich szokującymi czynami. Z całą pewnością otoczono by ich pomocą psychiatryczną i zapewniono psychologa. Sprawca stałby się ofiarą, a jego prawnicy zrzuciliby odpowiedzialność na nieszczęsny umysł wypaczony w dzieciństwie przez molestowanie, nocne moczenie albo jakąś inną klinicznie uzasadnioną przyczynę.



Stella spotkała Annę w korytarzu, gdy ta pchała swój wózek w stronę pokoju dwadzieścia cztery. Stały naprzeciwko siebie niczym dwaj rewolwerowcy, oddzielone tylko książkami. Stella odezwała się pierwsza:

– Anno, proszę, możemy porozmawiać? Muszę z tobą porozmawiać. – Miała oczy pełne łez.

– Oczywiście – odparła matowym głosem Anna. – Może po lunchu? – Mijając przyjaciółkę, unikała kontaktu wzrokowego, ale gdy znalazła się kilka kroków za nią, zatrzymała się i zawołała: – Stell?

Stella odwróciła się i zapytała pełnym nadziei głosem:

– Tak, Anno?

– Kocham cię, Stell. Pamiętaj o tym, proszę, dobrze?

Stella się rozpłakała.

– Anno, co się dzieje? Co z tobą? O co w tym wszystkim chodzi, co jest, u licha, grane? Czy jakoś cię uraziłam?... Jak mogłabym to naprawić?

Anna wiedziała, że nie może się rozpraszać. Gdyby teraz zrzuciła maskę, byłoby po sprawie, nie zrealizowałyby swojego planu. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, lecz nie umiała znaleźć słów. W końcu zdołała wykrztusić:

– Po lunchu, dobrze? Wtedy porozmawiamy.

Odwróciła się i odeszła, nie oglądając się więcej za siebie. Czuła, jak oczy Stelli wwiercają się w tył jej głowy, wiedziała, że przyjaciółka płacze, myśli, że jest winna jej złego nastroju. Wkrótce pozna prawdziwy powód. Podobnie jak wszyscy inni.

Gdy Anna stała pod pokojem Polaka, starając się uspokoić nerwy, przypomniła sobie kłótnię, którą odbyła kiedyś z Leo. Był pijany, domagał się seksu, lecz ona czuła się zbyt zmęczona. Napomknął wtedy o Niemcach, rzucił jakąś wstrętną uwagę, że dla nich nigdy nie była zmęczona. Miał oczywiście rację, ponieważ Niemcom nie odmówiła, ale jak by mogła? Odmowa wiązałaby się z ciężkim pobiciem albo i czymś gorszym – podróżą do komory gazowej z biletem w jedną stronę. Leo nie przyjął do wiadomości realiów, w jakich Anna znalazła się lata temu. W jego mniemaniu była kolaborantką, zdarzało się nawet, że z lubością jej to wypominał. Im robił się starszy, tym bardziej go to zżerało.

– Dobrze się czujesz, Anno?

Odwróciła głowę i ujrzała obok wózka bibliotecznego wspartą na lasce Joanie Nevin.

– Dobrze, moja droga. Może pójdziesz do swojego pokoju? Wyglądasz na zmęczoną.

– Wiem, co się święci, Anno. Obserwuję cię od kilku dni. Wiesz wszystko o Polaku i jego podłej przeszłości, prawda? Znalazłaś coś w jego pokoju, coś, co go obciąża, prawda?

– Muszę iść, Joanie. Czas na odwiedziny u Polaka – rzekła cicho.

– W takim razie zrób to, co musi być zrobione, Anno Braniewska. Zrób, co należy.

Staruszka uśmiechnęła się uroczo, odwróciła na pięcie i poczłapała w swoją stronę równie cicho, jak się zjawiła. Słowa, które rzuciła na pożegnanie, utkwiły Annie w głowie.

Anna poświęciła chwilę na zebranie myśli i dopiero wtedy zapukała do drzwi Polaka i szybko weszła do środka. Z ulgą usłyszała, jak cicho zamknęły się za jej plecami, ponieważ była z nim teraz sam na sam: Karl Braun i Ania Burczyk.

– Mam książkę, o którą pan prosił, panie Michalik – powiedziała, udając, że szuka jej na wózku.

Polak jak zwykle siedział na łóżku w swojej ulubionej czerwono-czarnej piżamie, wsparty na poduszkach. Czuła na sobie jego palące spojrzenie.

– Co? Co pani powiedziała?

Był rozdrażniony.

– Mam dla pana książkę – powtórzyła. – Tę o Holocauście.

Gdy spotkały się ich spojrzenia, Polak rzekł do niej opryskliwym tonem:

– Jedyną rzeczą, którą masz i której chcę, jest to, co ukradłaś wczoraj z mojego pokoju, Aniu Burczyk.



Polak sprawiał wrażenie dobrze przygotowanego, tak jakby wcześniej ćwiczył rolę. Miał pozbawioną wyrazu twarz, mówił spokojnym tonem.

– Widzę, że zdjęłaś szkła kontaktowe. To było bardzo sprytnie posunięcie. Ukrywanie prawdziwego koloru oczu. – Uniósł palec. – To mnie zmyliło, muszę przyznać. Z powodu tych soczewek rozpoznanie cię zajęło mi nieco więcej czasu.

Anna zacisnęła dłonie na uchwycie wózka. Wystarczająco długo bała się tego człowieka. Czasy się zmieniły, miejsce również. Nie pozwoli mu zobaczyć, że cała się trzęsie.

– Wielka szkoda, że natknąłem się tu na ciebie – ciągnął. – Miałem nadzieję, że spokojnie dożyję końca w tej zafajdanej norze. Tak czy owak, chcę dostać z powrotem mój pistolet. Ukradłaś go wczoraj, ale nie będziesz miała z niego żadnego pożytku – są w nim ślepe naboje. Jeśli chcesz zrobić mi krzywdę, skuteczniej będzie mnie nim uderzyć. Jest wystarczająco ciężki, by rozbić staremu człowiekowi głowę.

Jego śmiech przeniósł Annę z powrotem do Klubu. Wtedy też się śmiał. Kiedy gwałcił kobietę komendanta.

Wyjęła broń z torby i ważyła w dłoni ciężki, zimny kawałek metalu. Uśmiechnął się na widok pistoletu.

– To ten. Ładne cacko, prawda? Grawer, który wyrył psa na rękojeści... do dziś pamiętam jego imię: Solomon. Porządne żydowskie imię, nie uważasz? Nie masz pojęcia, za ile sznurków musiałem pociągnąć, żeby nie poszedł do gazu, nim zdąży wykonać dla mnie tę robotę. W tym celu musiałem też wyrwać sporo zębów. On skończył zlecenie, ja skończyłem z nim. – Wzruszył ramionami. – Tak to już było w dawnych dobrych czasach. – Anna zobaczyła, jak Polak wsuwa rękę pod prześcieradło i przemknęło jej przez myśl, że ma tam schowaną inną broń, którą przeoczyła podczas przeszukiwania pokoju. Kiedy jednak dłoń wyłoniła się ponownie, rzucił na łóżko garść lśniących naboje.

– Te są prawdziwe, Aniu. Ty masz ślepaki.



Na razie tylko się rozkręcał, droczył się z Anną, teraz po jego twarzy rozszedł się wyraz pogardy.

– Wy, Polacy, wszyscy jesteście tacy sami. Nawet się nie domyślasz, prawda?
– W końcu przestał się hamować, w jego czarnych oczach płonął gniew. –

Naprawdę sądzisz, że zostawiłbym ostrą amunicję w tym samym miejscu co broń? Litości, doceń mnie trochę. Gdybyś lepiej się rozejrzała, znalazłabyś prawdziwe naboje w mojej kosmetyczce, owinięte w woskowany papier, ukryte bezpiecznie w wodoszczelnej mydelniczce, czekające na taki dzień jak dziś.

Anna starała się zachować spokój.

– Skąd w tobie tyle nienawiści? Do Żydów, do nas, Polaków? Dlaczego tak wszystkich nienawidzisz?

– Nie zapominaj o Cyganach. Tych brudnych sukinsynów też nienawidzę. I waszych tak zwanych profesorów uniwersyteckich i rozpowszechnianych przez nich kłamstw na temat naszej ukochanej Rzeszy. A, i jeszcze kalek, tych z defektami. Ich nienawidzę prawie tak samo jak Żydów.

– Dlaczego?

– Ponieważ są nieczyści. Nie rozumiesz? Führer miał co do nich rację. Świat musiał zostać oczyszczony z takich jak oni. Byli obciążeniem dla społeczeństwa, należało się ich pozbyć. Ktoś musiał to zrobić, a czy naprawdę ma znaczenie, jakimi posłużył się metodami? Szkopuł w tym, że było ich tak wielu. Odwaliliśmy kawał ciężkiej roboty, wiesz o tym? Uwolnienie planety od ludzkiego robactwa było cholernie ciężką pracą.

Anna z niedowierzaniem pokręciła głową, zdumiona okrutnymi, chybionymi komentarzami Polaka. Jak tyle jadu i złości może przetrwać tyle lat w jednym człowieku? Przerwał tok jej myśli.

– Więc jaki masz plan B, Aniu Burczyk? Zamierzasz powiedzieć o mnie władzom? Czy tak?

Zignorowała to pytanie i zadała własne:

– Mógłbyś mi coś wyjaśnić?

– Czemu nie? Śmiało, pytaj, o co chcesz. Mów, co masz do powiedzenia.

– Jak dostałeś się po wojnie do Ameryki? Jak udawało ci się tak długo unikać demaskacji?

Opowiedział jej, jakie to było łatwe. Po wyzwoleniu zdołał przekonać władze, że naprawdę jest Pawłem Michalikiem, byłym więźniem obozu koncentracyjnego. Może przesądziły o tym jego wychudzone ciało i wytatuowany na przedramieniu numer. Miał też papier, który, jak twierdził, był dowodem jego przyjęcia do Wiśnicy. Wszystko wydawało się zgadzać. W końcu wystawiono mu stosowne dokumenty i puszczono wolno. Na wolności odzyskał swoje nielegalne łupy i zajął się budowaniem nowego życia. Ale później powinęła mu się noga. Krewni prawdziwego Pawła Michalika namierzili go z pomocą Czerwonego Krzyża, który niestrudzenie pracował nad łączeniem po wojnie rozproszonych rodzin. Brytyjczycy zarejestrowali Pawła Michalika jako człowieka ocalonego z obozu, więc w końcu go wytropiono. Rodzina natychmiast zorientowała się, że

Braun podszywa się pod ich krewnego, zanim jednak można było podjąć jakiegokolwiek kroki w kierunku jego oficjalnego zdemaskowania, Braun zniknął.

Zwolennicy nazistów w łonie Kościoła katolickiego utworzyli tak zwaną „linię szczurów”, organizację pomagającą prawicowym, antykomunistycznym zbrodniarzom wojennym uciec przed sprawiedliwością. Za odpowiednią cenę oraz obietnicę przysług w przyszłości „Michalikowi” wydano wizę Czerwonego Krzyża oraz stosowne dokumenty, by bezpiecznie przerzucić go do Buenos Aires.

Tuż po przybyciu na miejsce połączył siły z doktorem Mengelem, któremu udało się zbiec z Auschwitz i który wiódł wygodne życie w Argentynie. To Mengele przedstawił Brauna Adolfowi Eichmannowi występującemu pod nazwiskiem Ricardo Clement. Trójka esesmanów założyła firmę importowo-eksportową, finansowaną głównie przez Michalika. Może i w czasie wojny był niskim rangą żołnierzem, za to teraz miał pieniądze, i to naprawdę sporo.

Bogactwo zapewniło mu dobre życie w Argentynie, ale pod koniec lat pięćdziesiątych sytuacja zaczęła się zmieniać. Władze na całym świecie, także te niemieckie, rozpoczęły polowanie na czarownice, ścigając byłych nazistowskich zbrodniarzy wojennych, takich jak Eichmann, Mengele, a nawet takie płotki jak Karl Braun. Zrzędzeniem losu Braun i Mengele zdołali wymknąć się Mosadowi, izraelskim tajnym służbom, których agenci nieoczekiwanie zjawili się w Argentynie i pojmali Eichmanna w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku.

Mengele zbiegł do Rio, a Braun znów znalazł się w drodze, osiadając w końcu w Stanach Zjednoczonych pod tym samym fałszywym nazwiskiem: Paweł Michalik. Świat co prawda jest mały, ale w tamtych czasach nie sprawdzano w komputerze wiz i paszportów, więc jeśli miało się pieniądze, dużo łatwiej można było zniknąć.

– Żyło mi się dobrze. Miałem na Florydzie żonę i dzieci, wiesz?

Przez twarz Polaka przemknął wyraz dumy, mówił tak, jakby był autentycznym uchodźcą, który po wojnie zbudował swoje imperium od zera. Jego żona zmarła wkrótce przed jego przeprowadzką do New Jersey, ale to nie jej śmierć go tutaj przywiodła. Jakiś wścibski reporter zaczął węszyć, zadawać kłopotliwe pytania, przekopywać archiwa. Przed rokiem dwutysięcznym w domenie publicznej pojawił się łatwy dostęp do wielu materiałów z okresu wojny i Braun obawiał się, że reporter skontaktuje się z jego dziećmi i wyjawi im prawdę o ojcu. Dlatego po śmierci żony postanowił oddać się pod opiekę w New Jersey, z dala od dzieci, gdzie mógłby w spokoju dożyć swoich dni.

– Dzieci nie muszą wiedzieć o mojej przeszłości, zgodzisz się? Są niewinne. Zawsze wiedziałem, że coś takiego może się wydarzyć, ale nie sądziłem, że stanie się to tak szybko. Myślałem, że jeśli już, to dopiero po mojej śmierci.

Nagle ton jego głosu złagodniał, gniew na chwilę ustąpił z twarzy.

– Aniu Burczyk, może odłożysz ten pistolet? Daj spokój, odłóż broń, porozmawiajmy rozsądnie, tylko my dwoje, jak dwójka ocalałych.

Anna pojęła w lot.

– Co? Mam go odłożyć? Broń ze ślepą amunicją? Pistolet startowy? Mam go schować, tak?

Polak zmrużył oczy i zaklął pod nosem. Blefował! Skoro w pistolecie były tylko ślepe naboje, dlaczego się obawiał? Musiał dostrzec zmianę na twarzy Anny, gdy uświadomiła sobie prawdę. Zauważyła, jak bieleją mu kłykcie, jak kurczowo zaciska dłonie na pościeli, zły na siebie za to potknięcie. Uznała, że dość już gadania, czas zrobić to, po co tu przyszła. Podniosła rękę z pistoletem, zamknęła lewe oko, wyprostowała ramię i spojrzała w celownik na końcu lufy wymierzonej w czoło Polaka. Nigdy w życiu nie strzelała z broni palnej, była jednak pewna, że ma to rozpracowane. W telewizji wyglądało to naprawdę prosto.

– Czas odpokutować za grzechy, *Herr Braun*.

Wtedy Polak ryknął.

– Odłóż ten cholerny pistolet, idiotko! Odłóż broń, mówię! – Przez chwilę znów był w Wiśnicy, wykrzykiwał rozkazy, groził natychmiastową śmiercią każdemu, kto ośmielił się go nie posłuchać. Anna wiedziała, że postawiła go pod ścianą, on też to wiedział, ale wciąż się nie poddawał. – Nie rób niczego, czego będziesz żałowała, Aniu. Wiesz, kim jestem. Bądź rozsądna. – Widział, że nic się nie zmienia. Broń nadal była wycelowana w jego głowę. – Powiedziałem: odłóż ten pieprzony pistolet, polska kurwo!

70

Ktoś wparował do pokoju bez ostrzeżenia. Anna słyszała, jak za jej plecami otwierają się drzwi, jak ktoś gwałtownie wciąga powietrze, a następnie te drzwi zamyka. Intuicyjnie wiedziała, kto to. Stella omiotła wzrokiem rozgrywającą się przed nią scenę: Polak siedzący w łóżku, wyraźnie zdenerwowany, i stojąca przed nim Anna, trzęsąca się jak idiotka. Idiotka z bronią w ręku!

– Anno, ojciec Pat zadzwonił z pytaniem, czy z tobą wszystko w porządku. Bardzo długo rozmawiał z Elaine, mówił coś o liście, który zostawiłaś mu do przeczytania. Wszyscy się o ciebie martwimy. Anno, co się tu dzieje?

– To on, Stell. Wiedziałam od początku – rzekła Anna.

Polak przeniósł wzrok z Anny na Stellę i szybko powrócił spojrzeniem do Anny. Był jak przyczajony wąż czekający na dogodny moment do ataku, ale Anna

znajdowała się poza jego zasięgiem.

Stella nie rozumiała.

– Anno, kochana, proszę cię, odłóż ten pistolet. Załatwmy to na spokojnie, dobrze? Nie chcemy, żeby broń wypaliła przez przypadek, prawda? Proszę cię, kochana, odłóż tę spluwę.

Anna poczuła pierwsze mdłości. Co ona, do diabła, wyprawia? Czy naprawdę zamierza zabić człowieka? Oczywiście, że tak! Ktoś musi dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość, prawda? Jeśli nie zrobi tego ona, to kto? Nikt! I w tym problem! Polak będzie dożywał swoich dni bez strachu. W Wiśnicy Anna marzyła o przeżyciu bez strachu choćby jednego dnia, choćby jednej godziny.

Tym razem zwróciła się do Polaka.

– Twoje zbrodnie zostaną ujawnione, Karlu Braunie, nie rozumiesz? Czas zapłacić za to, co zrobiłeś mojej Danucie i wszystkim innym.

I wtedy stało się z nią coś dziwnego. *Mojej Danucie...* Po wypowiedzeniu imienia siostry nagle zachciało się jej płakać. Ogarnęła ją potężna fala emocji, grożąc zatopieniem.

Oto stała w domu opieki w New Jersey, mierząc z broni do człowieka, który wiele lat temu zamordował jej siostrę w obozie koncentracyjnym. Trzymała w ręku ten sam pistolet, z którego on zastrzelił Danutę. To jakiś absurd! No i co niby zamierzała zrobić? Naciśnięcie spustu to taka sama abstrakcja jak lot na księżyc. Co się z nią dzieje?

Kiedy Polak znów się odezwał, spojrzał najpierw na Annę, potem na Stellę, jakby próbując przekonać obie o swojej niewinności.

– Nie mam za co odpokutowywać. Zupełnie nie wiem, o czym mówisz. Mylisz się. Spójrz na siebie, zobacz, w jakim jesteś stanie, Aniu! – Ponownie zerknął na Stellę, która kompletnie nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi. – Nie czytałyście florydzkich gazet? Nie jestem człowiekiem, za którego mnie bierzesz. Jestem bohaterem wojennym, takim samym ocalonym jak ty. Jestem Polakiem!

Anna zaczęła się śmiać. Zdawała sobie sprawę, że ten śmiech brzmi obłąkańczo, miała wrażenie, jakby należał do kogoś innego. Nie może się rozpraszać.

– Racja, jesteś Polakiem. Ale również Chartem. Polakiem oraz Chartem!

Hałas za drzwiami na korytarzu zakłócił tok jej myśli. Miała świadomość, że kończy się jej czas. Że błyskawicznie rozchodzi się wieść o tym, co dzieje się w pokoju dwadzieścia cztery w domu opieki Paterson Manor.

Bez wątplenia wszyscy już wiedzą, że Anna ma broń. Słyszała za drzwiami bieganinę, krzyki. „Policja jest już w drodze, będą tu lada chwila!” Widywała w telewizji obławy; ekipy telewizyjne w pośpiechu montowały sprzęt na parkingu, rozwijano wielkie rolki kabli, operatorzy trzymali na barkach kamery,

reporterzy z mikrofonami poddawali się zabiegom charakteryzatorów, czekając na sygnał do rozpoczęcia relacji. Wkrótce na ulicy zawyją syreny, nad głowami zaturkoczą helikoptery. To będzie sensacja roku, w kilka godzin obiegnie cały świat, ponieważ Anna wzywa Karla Brauna, Charta, nikczemnego mordercę z obozu koncentracyjnego w Wiśnicy, by zapłacił za swe straszne czyny.

Polak ponownie przerwał ciszę.

– Jest jeszcze czas, żeby się wycofać. Zabijając mnie, nic nie zyskasz, Aniu. Spójrz na mnie, tylko spójrz. Jestem starym człowiekiem. Co było, to było, zapomnijmy o przeszłości.

– On ma rację, Anno. – Stella postanowiła wtrącić się do rozmowy. – Da się to załatwić. Wszystko można załatwić. Bez względu na to, co ma na sumieniu, niech zajmą się tym odpowiednie władze. No, kochana, odłóż pistolet. Chodźmy razem do domu, napijmy się herbaty. Chodźmy i porozmawiajmy, co ty na to?

Tym razem Polak odezwał się z wyższością.

– Twoja przyjaciółka ma rację, Aniu. Spójrz na siebie, widzisz, jak trzęsie ci się ręka? Nie pociągniesz za ten spust. Nie masz w sobie tyle odwagi.



– Zamknijcie się! Wszyscy się zamknijcie! Dajcie mi zebrać myśli!

Anna wymachiwała pistoletem. To cholerstwo mogło wystrzelić w każdej chwili; ona nie wie, co robi! I wtedy stała się rzecz najdziwniejsza – Anna wyczuła urynę, ten niemożliwy do pomylenia z niczym zapach moczu.

Po całej tej fanfaronadzie, po blefie ze ślepymi nabojami, po drwinach, że brak jej odwagi, by nacisnąć spust, staruch zmoczył spodnie! A gdy zorientował się, że ona o tym wie, wszystko się zmieniło. Polak się rozkleił, zaczął płakać – przedstawienie na miarę Oscara. Anna patrzyła, jak po policzkach płyną mu łzy, jak falują ramiona, jak szlocha i podciąga kołdrę pod brodę niczym wystraszone dziecko.

– Proszę. Nie rób tego, proszę – łkał żałośnie.

W głowie Anny narastało brzęczenie, jakby w czaszce uwiązł rój pszczoł. Wszystko dookoła zaczęło się zapadać. Przed twarz spłynęła gęsta mgła. Wciąż słyszała szloch Polaka, wciąż czuła zapach jego moczu, Stella paplała coś daleko za jej plecami. Annę zapiekły oczy, zdała sobie sprawę, że i ona płacze, tyle że z zupełnie innych powodów niż Polak. Starła się złapać ostrość zza zasłony łez, szybko mrugała powiekami, żeby wyklarować myśli i pole widzenia. Otarła twarz przedramieniem. Coraz trudniej było jej utrzymać cel, pistolet z minuty na minutę ciążył coraz bardziej. I wtedy przez to wszystko, co działo się w jej głowie i wokół niej, jeszcze raz przebił się głos Polaka.

– No to mnie zabij! No już, suko, zabij mnie, a skończysz w więzieniu.

Miarka się przebrała. Jak on śmie tak do niej mówić! *Wsadzą ją do więzienia?* Ha!

– Jestem w więzieniu od stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, ty stary durniu! Nie mam nic do stracenia, bo jest mi wszystko jedno, co się ze mną stanie. Obchodzi mnie jedynie to, co stanie się z tobą!

Anna ustawiła pistolet w jednej linii z głową Polaka, jeszcze raz wzięła go na muszkę, patrzyła, jak tchórzliwie zerka zza kołdry, bo przecież był tchórzem. Pokręciła głową, wzruszyła ramionami, wzięła kilka głębokich oddechów; musi się skupić, musi się skoncentrować.

I wtedy przed jej oczami zaczęły pojawiać się twarze.

Najpierw zamajaczyła przed nią Emilia. „Patrz, co dla ciebie zrobiłam”, rzuciła przez ramię, oddalając się w gęstej mgłę ręką w rękę z Rolfem Schroderem. Annie zjeżyły się włosy na karku, bo nagle ukazał się jej Fischer uśmiechnięty od ucha do ucha jak niemile widziany wujek przy łóżku złężnionego dziecka. Zrobiło się jej niedobrze na samą myśl o rzeczach, do których ją zmuszał, a oto stał przed nią, głupkowato szczerząc zęby. Następnie zjawili się dziadkowie, mieli puste oczy – oczy trupów. Potem matka. Miała takie same oczy, oczy, z których uszło życie... Przed Anną unosiły się teraz puste oblicza, wirowały, mieszały we mgłę z facjatami Fischera i innych Niemców.

Za tym wszystkim, gdzieś w oddali, wydawało się jej, że słyszy drażniącego się z nią Polaka, testującego jej determinację. „Nie umiesz tego zrobić, prawda, Aniu? Brak ci odwagi, co? Jesteś tchórzliwą polską dziwką”. Nagle wszystkie zasiedlające wyobraźnię Anny postacie odsunęły się na bok, wyparte przez inną, widzianą jak przez mgłę: Polaka. „Naciśnij spust, no dalej, strzelaj, dlaczego nie strzelasz?” Łzy zastąpiła pewność siebie. Zmieniło się całe jego zachowanie. Znow był w mundurze, niemieckim mundurze, a w tle za jego plecami ceglana ściana. Czerwone cegły sięgające nieba – komin krematorium w Wiśnicy z huczącymi u wylotu płomieniami. A w dymie tysiące unoszących się ludzi – starych kobiet, niemowląt, dzieci o złężnionych twarzach i pytającym spojrzeniu, wszyscy pragnący odpowiedzi na to samo pytanie: dlaczego?

Teraz ktoś jakby krzyczał przez megafon. W pokoju albo w korytarzu za drzwiami, a może za oknem. Co mówił? Czy to policja, czy znow Stella? Anna nie umiała się połapać. „Odłóż broń, Anno, odłóż broń...” Nagle znow pojawił się przed nią Chart jak na starym, wyblakłym, czarno-białym filmie, Chart w pełnym umundurowaniu esesmana, z dobrze znajomym wyrazem twarzy. Przechadzał się tam i z powrotem za rzędem ludzi klęczących na mokrym żwirze, których usta poruszały się, odmawiając modlitwę albo prosząc o łaskę... Uśmiechał się, a gdy dotarł na koniec rzędu, popatrzył na Annę, podniósł rękę i bum! Klęcząca przed

nim osoba upada na twarz – nie żyje! Kolejne bum – kolejne ciało. Anna pamiętała tamten odgłos następujący po każdym strzale, taki dziwny brzdęk, gdy pistolet Polaka wypluwał łuskę.

I za każdym razem Polak odwracał się do Ani, szczerząc zęby. „Tak się to robi, Aniu. Wystarczy nacisnąć spust!” Kolejne bum. „Widzisz?” Rozejrzał się wokół i zobaczył, że klęczy przed nim jeszcze jedna postać, która odwraca głowę i patrzy na Annę zrozpaczonym wzrokiem. Danuta! Anna widzi, jak Danuta bezgłośnie wypowiada słowo „Ania”. Braun ustawia się za nią, wciąż z uśmiechem na ustach, wywija górną wargę w ten swój charakterystyczny, mściwy sposób. Celuje w jej głowę. „Pokażę ci jeszcze raz, jak się to robi, Aniu...”

W głowie Anny rozległ się jeszcze jeden huk. Ciało Danuty osunęło się na ziemię. Anna głęboko wciągnęła w płuca powietrze, potem zrobiła długi, uspokajający wydech, uniosła ramię i skierowała lufę w stronę Polaka. Zazgrzytała zębami, zmrużyła oczy. Za jej plecami Stella wykrzywiła twarz i zasłoniła uszy. Nie słyszała słów Anny: „To za Danutę...”.

I się stało. Wybuch w pokoju, wystrzał jak z armaty, który napełnił powietrze ogłuszającym hukiem. Szarpnięcie o mało nie wyrwało Annie ramienia ze stawu i przez ułamek sekundy myślała, że upadnie...

Stella krzyknęła. Dołączyły inne głosy. Chaos, gwałtownie otworzyły się drzwi, ludzie w niebieskich mundurach wbiegli do środka, wymachując rękami i krzycząc. Mgła natychmiast opadła Annie z oczu, poczuła, jak zamiast niej spowija ją zasłona spokoju. Ktoś chwycił ją od tyłu i wyrwał lugera ze ściskającej rękajeść dłoni. Wszystko działo się w zwolnionym tempie, a gdy Annę odciągnięto na bok, wykręciła głowę w stronę łóżka i po raz pierwszy ujrzała krew – ciało Charta osunęło się na bok, pomiędzy oczami widniała mała okrągła dziura.

Od autora

W moim wcześniejszym życiu na wiele lat przed tym, jak wkroczyłem w świat pisania książek, przyjaciel powiedział mi, że zamierza odwiedzić rodzinę w Polsce. Po jego powrocie zapytałem go o tę podróż, czy udało mu się z kimś spotkać, jacy byli ci ludzie? Właśnie wtedy dowiedziałem się, że nie spotkał się z krewnymi, tylko ich widział – ich fotografie wisiały na ścianie bloku szóstego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau.

Okazało się, że jedynie kilku członków rodziny przeżyło drugą wojnę światową, między innymi jego ojciec i matka, którzy byli wtedy dziećmi. Ukryli ich obcy ludzie, ryzykując własnym życiem, dzięki czemu uratowali ich przed obozami śmierci i SS.

Od tamtej pory prześladował mnie temat Holocaustu. Dwukrotnie odwiedziłem Polskę i Oświęcim w poszukiwaniu historii, którą mógłbym opowiedzieć. Każda z tych wizyt poruszyła mnie do łez, ale nie zdołała usmierzyć poczucia winy: świadomość, że ludzkość wymyśliła i prowadziła tego rodzaju miejsca z zamysłem starcia z powierzchnią ziemi całej rasy, wciąż napawa mnie grozą, wstydem i wprawia w osłupienie. Ale dopiero w Australii ktoś niechcący naprowadził mnie na trop *Sekretnego pokoju w Auschwitz*: Stephen Bourke, któremu jestem dożgonnie wdzięczny.

Prócz wizyt w Polsce przeczytałem dziesiątki tysięcy stron o Holocaustu. Obejrzałem również kilkaset godzin materiału dokumentalnego oraz wywiadów i nie zliczę, ile spędziłem czasu na przekopywaniu internetu. Udało mi się nawet odnaleźć kilka osób, które doświadczyły wojny na własnej skórze, i z nimi porozmawiać.

W końcu zdałem sobie sprawę, że chciałbym napisać o pewnym aspekcie systemu obozowego, o którego istnieniu wiedzieli tylko nieliczni.

Historia Anny Braniewskiej to opowieść o kobiecie, która przeszła przez najbardziej haniebne doświadczenia w historii ludzkości. Nie tylko sama straszliwie cierpiała, ale i była świadkiem niewyobrażalnych potworności. Pomimo tego wszystkiego zdołała po wojnie znaleźć kruchy spokój w Ameryce.

Sekretny pokój w Auschwitz jest fikcją literacką, w której przeplatałem wydarzenia wymyślone z prawdziwymi. Większość postaci w tej książce jest

fikcyjna, poza kilkoma Niemcami, znanymi bez wątpienia większości czytelników: Adolfem Hitlerem, Rudolfem Hoessem (komendantem obozu w Auschwitz), Himmlerem i Mengelem.

Część kluczowych dla historii Anny wydarzeń oparłem na faktach zebranych w trakcie poszukiwania materiałów do książki. O ile sam obóz w Wiśnicy nie istniał, o tyle wiele opisywanych przeze mnie wydarzeń oraz obiektów miało miejsce i znajdowało się w niemieckich obozach koncentracyjnych na obszarze Europy.

W Auschwitz rzeczywiście działał dom publiczny w bloku 24. Był magazyn do sortowania dobytku ofiar zwany „Kanadą”, a w jednym z obozów rzeczywiście ustawiano na peronie orkiestrę, która witała przybywające transporty więźniów piękną, kojącą muzyką, graną również podczas selekcji. SS zorganizowało nawet procedurę wysyłania przez więźniów pocztówek do bliskich z miejscowości Waldensee, z zapewnieniami, że wszystko u nich w porządku. Okrutna niemiecka propaganda w całej okazałości.

Wspomniane kontrole żywieniowe podczas niemieckiej inwazji na Polskę również są prawdą, istnieją też liczne dowody na romans Hitlera z Geli Raubal, córką jego przyrodniej siostry, którą to wiedzę wykorzystuje z wielką dla siebie korzyścią mój fikcyjny bohater, komendant Baldric Fischer. Podczas zbierania materiałów do książki napotkałem trudności z ustaleniem dokładnej liczby prób zamachu na Hitlera, ale z pewnością było ich wiele, wszystkie, niestety, jak wiemy, nieudane. Mrozące statystyki z Treblinki (trzysta dwanaście tysięcy ofiar odnotowanych tylko w jednym miesiącu) oraz budzące wstręt metody wabienia ludzi do komór gazowych są uznawane przez historyków za prawdziwe.

W pewnym momencie tej opowieści Polak ukrywa się za sutannami księży Kościoła katolickiego. Na całym świecie toczyły się dyskusje dające podstawy do podejrzenia Kościoła katolickiego o pomoc udzielaną po wojnie partii nazistowskiej i SS.

Dylemat nie do pozazdroszczenia, z którym mierzyli się kapo i Sonderkommando, jest prawdziwy. Nikt z nas nie wie, jak byśmy się zachowali w obliczu wyboru między natychmiastową śmiercią a pracą w komorach gazowych i krematoriach – gdzie bicie i karanie znajomych osób należało do najmniej nieprzyjemnych z przydzielonych zadań. Część historyków zauważa jednak, że kapo wybierano spośród kręgów przestępczych, a niektórzy z nich zachłysnęli się swoją nową władzą.

Wstrząsnęły mną dowody na antysemityzm niektórych członków polskiej Armii Krajowej, na które natrafiłem podczas gromadzenia materiałów.

Natknąłem się na odnotowane przypadki osób próbujących odkopywać zwłoki ofiar, by odzyskać ukrytą biżuterię, którą SS mogło przeoczyć w ostatnich dniach

szaleńczego likwidowania więźniów tuż przed wyzwoleniem obozów. Interesujące – a zarazem wstrząsające – było dla mnie odkrycie, że ludzie umierali także po wyzwoleniu, aliantom zajęło bowiem trochę czasu opracowanie pożywienia, które wycieńczeni więźniowie mogli bezpiecznie strawić.

Powszechną obroną stosowaną przez większość zbrodniarzy wojennych na procesach sądowych po wojnie (łącznie ze słynnymi procesami norymberskimi) było twierdzenie, że „działali z rozkazu”. Warto odnotować, że niektórzy z nich rzeczywiście nosili u schyłku wojny obozowe pasiaki, by wmieszać się w tłum więźniów.

Rosyjskie działania odwetowe są również dobrze udokumentowane; wiadomo też, że inni alianci mieli swoje własne metody wymierzania sprawiedliwości.

Liczne aspekty tej opowieści są zgodne ze stanem faktycznym. Przepraszam tych wnikliwych obserwatorów historii, którzy znajdują nieścisłości w dotyczących wojny faktach. Czasem celowo zmieniałem okoliczności i wydarzenia, by dopasować je do mojej opowieści. Ale bądźcie pewni, że zawsze starałem się pozostać wierny tym wszystkim, którzy zginęli, i tym, którzy przetrwali tamten potworny czas.

Dla uproszczenia lektury napisałem wszystkie dialogi w języku angielskim pomimo różnych narodowości występujących w książce postaci.

Nie mam złudzeń, że moje słowa oraz miliony innych napisanych dotąd na temat Holocaustu nie zdołają oddać prawdziwego obrazu potwornych cierpień ofiar, które wpadły w tryby obozowego systemu. Mam jednakże nadzieję, że książka ta w pewnym stopniu pomoże nam wszystkim zrozumieć skalę tego, co działo się za metalowymi bramami, drutami kolczastymi i elektrycznymi ogrodzeniami.

Dziękuję Centrum Szymona Wiesenthala za niesamowitą pracę, którą wykonuje od czasu swego powstania po wojnie. Zasoby tego ośrodka były dla mnie bezcenne. Chciałbym również wspomnieć o znakomitej książce *Auschwitz – the Nazis and the Final Solution* autorstwa Laurence’a Reesa, wybitnego pisarza, producenta i historyka. W mojej opinii jest to najlepszy dokument poświęcony temu tematowi. Wyrazy uznania dla twórców serialu BBC/PBS *Auschwitz* opartego na książce Laurence’a Reesa. I wreszcie byłoby z mojej strony zaniedbaniem nie wspomnieć o bestsellerowym pamiętniku *Dom lalek* napisanym przez ocalałego z obozu Ka-Tzenika 135633, opublikowanym w Wielkiej Brytanii w roku 1956 w przekładzie z hebrajskiego. Ze wszystkich dzieł biograficznych, które przeczytałem na temat Holocaustu (a jest ich naprawdę wiele!), to jedno najbardziej zapadło mi w pamięć. Wielkie podziękowania i wyrazy podziwu dla wszystkich autorów.

Na koniec chciałbym wyrazić nadzieję, że lektura tej książki skłoni czytelniczki i czytelników do zadania sobie pytania, co by zrobili, znalazłszy się na miejscu Ani – na obu biegunach jej życia. Przyznam, że sam długo się nad tym zastanawiałem i nie jestem dumny z wniosków, do których doszedłem.

Dla tych, którzy doświadczyli wojny, ona nigdy się nie skończy. Tę opowieść poświęcam wszystkim Anom Braniewskim, które cierpiały w obozach koncentracyjnych drugiej wojny światowej – niech Wasz Bóg Wam błogosławi i obyście wreszcie zaznały spokoju, czy to w ziemi, czy ponad nią.

Steve Matthews